

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Anna Bojarska**

**URBAN**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

*Pełnia ludzkiego szczęścia leży w podwyższonej temperaturze. Odwrotnie niż w medycynie. Pocieranie termometru nie pomoże. Jak osiągnąć gorączkę? Chciałbym to wiedzieć również na własny użytek.*  
(Jerzy Urban, „Po Prostu”, 1956)

## Cholerny, nieunikniony wstęp

Urodził się w Łodzi, 3 sierpnia 1933, godziny urodzenia nie zna. Z jego horoskopu wynika w tej sytuacji tyle: agresywna inteligencja, szczęście w miłości – oraz że zostanie zamordowany.

Kiedy to piszę, żyje.

Na razie żyje.

Bez godziny i minuty urodzenia szczegółów nie zgadnę.

Wczoraj Pani-Od-Polskiego mojego dziecka poświęciła mu całą lekcję. Cóż to za wspaniały, błyskotliwy człowiek, co za osobowość, co za talent! Najlepszy z polskich dziennikarzy! Ileż on ma wspólnego z Judymem! Uczniom, przekonanym, że Judym to pomyłony lekarz-społecznik-utopista z „Ludzi bezdomnych” Żeromskiego, szczęki poopadały. Gdzie Rzym, gdzie Krym?

– To zobaczcie, jak on się zachowywał w towarzystwie! Zobaczcie, jak się zachowywał wobec wrogów!

– Kto?

– Judym, pacany, Judym! Zajrzyjcie do książki! Urban jak żywy!

Ponoć większość zajrzała do „Ludzi bezdomnych”, tej niegdysiejszej „biblii każdego pesowca”. Szkoła mojego dziecka kosztuje majątek, ale po takiej lekcji polskiego nawet nie żal. NIEEEE-ZŁE!!! Naprawdę niezłe.

Ja też zajrzałam do „Ludzi bezdomnych”. Judym-Urban kłania się tam „z wrodzonym płatanem się nóg”, informuje „z kłującą satysfakcją” każde eleganckie towarzystwo, że jego ojciec był szewcem, a w dodatku lichym szewcem, i do tego przy okropnie złej ulicy. Jednych takie wyznania peszą, innych prowokują do złośliwości. A cóż to szył papcio, damskie pantofle czy męskie kamasze?

– Trzewiki – odpowiada urodzony prowokator – głównie trzewiki, w dość odległych jedna od drugiej chwilach przytomności, najczęściej bowiem robił po pijanemu awantury, gdzie się dało.

A gdy wstrząśnięci ludzie gratulują mu odwagi (któż mówiłby o sobie takie rzeczy, to się ukrywa!), uśmiecha się szydlerczo.

Na ustach szydlerczy uśmiech, w ustach kpiny ze wszystkiego, co akurat święte, w sercu natomiast – paskudne, nieubłagane zrozumienie własnej „niższości społecznej”, tudzież nieustanny lęk, żeby nie zrobić czegoś „z szewska”. I widzenie wszędzie drwiny, widzenie wszędzie pogardy. Choć niby nic go takiego nie spotkało. „Nie mógł się skarżyć na to (nie miał prawa), żeby ktokolwiek odsunął się od niego czy świadomie stronił, ale czuł dokoła siebie próżnię i wyziębłe miejsce”. Może właśnie dlatego, że z takim uporem uprzedza wszystkich: „Ja jestem z motłochu, z ostatniej hołoty...”. Najzyczliwsi ludzie mają go w końcu dość, i trudno im się dziwić. Zwłaszcza że facet jest niezaprzeczalnie wybitny. Może i genialny. Stuliłby wreszcie pysk, w którym obnosi jak tresowany pudel trzewiki pijanego tatu-sia!

Tylko Żyd go rozumie, bo sytuacja jest diabło podobna. Żyd jest wybitnym lekarzem, cenionym, szanowanym, ale – ach, panie Judym! Czy pan sobie wyobraża, jak to jest, być Żydem o nazwisku Chmielnicki? Chmielnicki!!! Jak ten hetman kozacki, jak ten demon z Trylogii! Chmielnicki, bo z Chmielnika, tak jakiegoś przodka ruskie w rejestrach zapisały – ale ileż się taki człowiek nacierpi!

Syn szewca-pijusa z warszawskich slumsów wzrusza ramionami: ależ to znosi każdy! Żyd Chmielnicki protestuje: nie, nie każdy! Tylko Żydzi! To jest jak garb! To jest – BEZ WINY !!!

Też coś. Bez przesady. A co on, Judym, zawinił? Urodził się w slumsach, jest synem zachlanego szewca-łajdaka, w jego domu trzymano obłąkaną staruszkę na łańcuchu w komórce, życie zmarnowane, dusza pęknięta na pół, a co on winien? No, co? Może to nie garb? W czym to lepsze niż być Żydem? Przestań robić z siebie ósmy cud świata, *krajowy cudzoziemcze*, sam jestem *krajowym cudzoziemcem*, takich jest legion, zamknij się!

Dobrze, znosili to obaj. I jeszcze ładny tłumek innych, za coś tam ukaranych bez winy. Zdarza im się zejść znacznie wyżej niż nie garbatym. A jeśli już wdrapali się na swój Mont Blanc – to dopiero szpas! Teraz dostaną łupnia!

„– U nas, niestety, tak zawsze – mówi doktor Chmielnicki z Chmielnika. – Jeżeli ktoś wyrasta nad głowy tłumu, zaraz go...

– Szanowny kolego, ja nie marzyłem o wyrastaniu nad jakiegokolwiek głowy.

– Ja wiem, ja rozumiem! Mówię nie o zamiarze, lecz o fakcie.”

MÓWI NIE O ZAMIARZE, LECZ O FAKCIE. Tak, tak, świętą panią od polskiego ma mój synalek. Cały Urban!

A niech to. Siedzę w domu, popijam gin z tonikiem, i pojęcia nie mam, jak zacząć. Faceta dwa razy w życiu widziałam. Miły. Naprawdę miły. Tyle że nie w tym, co pisze. W tym, co pisze – kanalia, ośmiornica, skorpion, jadowita glista, bestia i ostatnie bydlę. Ja też taka jestem.

Do ginu dodałam masę lodu. On też lubi dodawać do wszystkiego, co pije, masę lodu, po wręby! Machnął o tym świetny felieton w czasach niewoli (które dla niego były czasami wolności, niech mu będzie, teraz to już nieważne). Chodziło mu o to, że on lubił wszystko z lodem, a zgłodniała hołota zapychała ciasne zamrażalniki swych lodówek mięsem z czarnego rynku, wołała kotlety dla bachorów od porządnych drinków, nie miała miejsca na pojemniki z lodem, więc podawała gościom ciepłą whisky, ciepłą wódkę: mowy nie było o luksusie i wykwintności! Upadek cywilizacji! Ach, nie było już u kogo bywać w stanie wojennym, zeszmacili się starzy znajomi! Zresztą zawsze aż kipiała z niego pogarda dla zwykłych, szarych ludzi (jeśli istnieje coś takiego jak Zwykły, Szary Człowiek: pewnie, że istnieje, nie dzielimy włosa na czworo!), zawsze cieszył się ich naiwnym zdumieniem: jak to, więc lód do drinka miałby być ważniejszy od obiadu? Rozwiązywanie krzyżówek miałoby być zajęciem idiotów? Kobieta zmieniająca nazwisko po ślubie miałaby być ostatnią szmatą, godną pogardy każdego inteligentnego faceta (i baby również)? I tak dalej, i tak dalej, bez końca? A kimże on był, żeby aż tak gardzić? Stał sobie na cokole z białą lilią w ręku?

„– To nie twoja rzecz, KRAJOWY CUDZOZIEMCZE” – jak zwrócił się (w myśli) doktor Judym do Żyda. Pewnie. Ach, krajowy cudzoziemcze, światowy cudzoziemcze, powszechny cudzoziemcze, co cię opętało?

Moment. O co jeszcze chodziło Pani Od Polskiego z tym Judymem?

„Zdecydował się iść drogą, którą sobie był obrał, no i szedł, rzecz prosta, w niezupełnie całych butach”.

A czemuż to?

„Im silniej pracował, tym więcej czuł w sobie mocy, jakiegoś rozmachu i owej pasji, która potężniała i wyrabiała się od trudu jak mięsień.

(...) Doktor Judym czuł nawet, że w tym jest może trochę jakiego sentymentalizmu, albo czego tam jeszcze gorszego, ale nie mógł na to poradzić.

– Pewno, że tego sentymentu – myślał – nie można ani krajać mikrotonem, ani zgoła obejrzeć pod mikroskopem, ale cóż z tego, kiedy sentyment istnieje i jest takim samym faktem spełnionym, jak najlepiej opisany bakcylus”.

No, dobrze. Panią Od Polskiego w parę dni po tak ekstrawaganckiej lekcji – właściwie nie za to – wyrzucają ze szkoły. Uczniowie podpisują listy protestacyjne, ale co to da?

A w ogóle – ostatni cytat z „Ludzi bezdomnych”, i niech stary Żeremiasz zamilknie na wieki ze swymi żeremiadami.

Nawet niezły cytat.

„– *Ce sont des flaki z olejem...* – rzekł blondyn o twarzy Apollina”.

Słusznie. *Ce sont des flaki z olejem*. Zaczynam jeszcze raz.

\*

Urodził się w Łodzi, 3 sierpnia 1933, jako Jerzy Urbach, syn dziennikarza. Nawet redaktora naczelnego. Tatuś wydawał umiarkowaną lewicową gazetę „Głos Poranny”, a matka – „też parała się próżniactwem”. Tatuś zwalczał Hitlera, ale Hitler był lepszy. Tatuś musiał wiać przed nim, a nie odwrotnie. Udało mu się. Chodziło o to, że...

No, właśnie. Tatuś był *krajowym cudzoziemcem*. Matka była *krajową cudzoziemką*. Dziecko – nie mające jeszcze pojęcia, co i jak na tym świecie – też było *krajowym cudzoziemcem*. Zresztą wystarczyłoby lewicowania i liberałowania, wszyscy tacy ekscentrycy w 1939 wiali na wschód. Do Świata Sprawiedliwości Społecznej, Internacjonalizmu i w ogóle. Naziści byli takimi sensatami, że o dogadaniu się z nimi mowy nie było. Jeszcze nie palili kogo popadnie w piecach krematoryjnych, jeszcze nie zamykali kogo popadnie za drutami kolczastymi, przez które puszczały prąd elektryczny, jeszcze nie chwyтали kogo popadnie w ulicznych łapankach, jeszcze nie brali gdzie popadnie zakładników, żeby ich wieszać w widocznych miejscach (z gębami zaklejonymi gipsem, aby nie mogli wznosić nieestosownych przedśmiertnych okrzyków), jeszcze nic takiego, strzelali po prostu, bomby rzucali i uczciwie zapowiadali wszystko, co najgorsze. Wyglądało na to, że ci ze wschodu, ci z Bolszewii, mają więcej POCZUCIA HUMORU. Fatalny błąd!

Ma się sześć lat, duże mieszkanie w prowincjonalnym mieście, ładne ubranka i służbę. Ma się ojca na tyle wprowadzonego w wielkie tajemnice tego świata, że już na trzy dni przed wybuchem wojny, zanim tłumy wpadną na to samo, zanim zabraknie benzyny, samochody uciekinierów staną, a bombowce nadlecą nad ogarnięte paniką drogi, ucieka się na wschód. Ma się trzy dni przewagi nad głupcami, nieświadomymi, że Niemcy zaraz zaatakują z zachodu. Ma się sześć dni przewagi nad drugą wojną światową. Ma się dwadzieścia dni przewagi nad głupcami, nieświadomymi, że był tajny układ i Rosjanie uderzą od wschodu. A także nad nie przewidującymi, że tajny układ zmieni się z marszu i nowa granica wcale nie będzie na Wiśle, tylko znacznie dalej. Coś się wie albo ma się szczęście, albo jedno i drugie naraz. Dojechało się do Lwowa, trochę nerwów, nowa władza, nowe mieszkanie i święty spokój. Nazywają się teraz nie „Urbach”, tylko „Urban”, bo Rosjanie nie rozróżniają dobrze łącińskich liter i coś pokręcili, przepisując nazwisko cyrylicą: tak powiedział tata. Tatę zamknęli, ale zaraz puścili, bo kiedyś ten łajdak Fikus zamieścił w swoim szmatławcu zrobione ukradkiem zdjęcie taty wychodzącego z paczką z sowieckiej ambasady i nazwał tatę agentem, a przecież tata tylko książki brał z ambasady, bo lubił czytać. Rosjanie mieli to zdjęcie, wiedzieli wszystko i zwolnili tatę. Więc właściwie nieważne, że się opowiadało małej Lubie, której mama pisze na maszynie w NKWD, jakie piękne było poprzednie mieszkanie i jak świetnie się żyło w kapitalizmie, ale na przyszłość lepiej trzymać język za zębami. Swoją drogą Tuwim – to taki poeta, też z Łodzi, tata go zna – jest idiotą albo prowokatorem. Żeby przysłać tu, do Sowietów, kartkę z Paryża! Żeby się chwalić, że tu się spotkało w Paryżu ministra, a tam księcia! Na szczęście tata z tego wybrnął, ale trzeba mieć rozum i rozsądek. Wiedzieć, co można powiedzieć i kiedy. Na razie tata dostał dobrą posadę w sowieckim Lwowie, my zostaliśmy Urbanami, a tata urbanistą; na razie dobrze jest.

Mijają dwa lata i przestaje być dobrze.

Niemcy zerwali kolejny układ, przekroczyli kolejną granicę, i znów nadchodzą z zachodu. Miejscowi stawiają im bramy triumfalne, bo chcą wolności od Rosjan, ale natną się na tym

potwornie: do głów im nie przyszło, że Niemcy uważają ich za podludzi (szympansa też można ubrać w waciaczki i gumki), i że żadnej wolności dawać im nie zamierzają. Cóż, ludzie są głupi. Rosjanie walczą z Niemcami, tyle że to potrwa. A może i nie mają szans, zobaczymy. W każdym razie walczą. Będą mogli sobie o tym piosenki układać, będą mogli się chlubić. Ich wojna ojczyzniana, ich święta wojna. Dla nich po prostu pewnego czerwcowego dnia messerszmitnicy wrony rozdarły ciszę poranka, ale Łońka Korolow włożył czapkę na bakier i poszedł na wojnę – która i dla Łońki, i dla George’a Bernarda Shawa w Londynie była już w tym momencie wygrana. Ale temu chudemu dziwakowi w jaegerowskim ubraniu, GBS, chodziło o światową, światowa trwa od dwóch lat, wybuchła w tydzień po naszym wyjeździe z Łodzi, nieważne. Rosjanie mają swoją wojnę za ojczyznę, swoją świętą wojnę, Białorusini i Ukraińcy stawiają Niemcom bramy triumfalne, tak jak dwa lata temu Rosjanom (znów się natną: strasznie głupi są ludzie!), a my – a z nami jest zupełnie inaczej, my nie mamy wyboru. Musimy ci w końcu coś powiedzieć. Coś, o czym nie miałeś pojęcia. Jesteśmy Żydami.

No. Jest się w mieszkaniu, a w mieszkaniu jest lustro. Biegnie się przed lustro i patrzy na siebie ze zgrozą. Widziało się już Żydów, nosili jarmułki i chałaty, śmierdziali i szwargotali. I budzili wstręt, najzwyczajniejszy fizyczny wstręt. Jakim cudem można się stać w ciągu jednej chwili kimś takim jak oni? Takie ładne, czyste dziecko, syn redaktora naczelnego: co może mieć wspólnego z podobną ohydą?

A dalej już wszystko nieważne. Mętne, zagmatwane i nieważne.

Usłyszał i gdzieś pobiegł. Według jednej wersji – z płaczem przed lustro. Według drugiej, lepszej, śmiesznej, świadomej – z radością na podwórko, „powiedzieć wszystkim, którzy się tam bawili, że jesteśmy Żydami i właśnie zaczynamy udawać chrześcijan. Niestety, moi rodzice byli szybsi w uciekaniu niż biurokraci z gestapo w gonieniu”.

Potem była wioska pod Trembowłą, gdzie – zupełnie niepodobni z wyglądu do Żydów miejscowych – udawali rodzinę normalnego, ukrywającego się przed Niemcami z powodów czysto politycznych, sterylnych i eleganckich (jako żywo, nie pasowały do nich wyfluszczone chałaty!) sanacyjnego dziennikarza. Niby prawda: był tatuś sanacyjnym dziennikarzem i miał od Niemców zaoczny wyrok śmierci, ale nie cała prawda. Gdyby sekret wyszedł na jaw, wydałaby ich okoliczna ludność hitlerowcom jak amen w pacierzu, na rozwałkę albo do obozu i komory gazowej. Potwierdziła to zresztą okoliczna ludność po wielu latach, pisząc do sławnego Jerzego Urbana z prośbą o pieniądze i dary: ocaliliśmy was przecież we wojnę! Innymi słowy: gdybyśmy wiedzieli, co ukrywacie, to byśmy was wydali, ale nie wiedzieliśmy i nie wydaliśmy was, więc coś zapłaćcie! Odwdzięczcie się jakoś za to, żeśmy nie wiedzieli! Lekki szlag wtedy trafił sławnego Jerzego Urbana, chociaż, w gruncie rzeczy – jakież to wszystko nudne i błahe, z czego tu robić dramat albo epopeję?

„Moje żydowskie pochodzenie” – napisze – „zwisła mi u przyrodzenia nieobrzeszaną glistą”.

Na razie chodzi z mamusią do kościoła, żegna się, modli, przystępuje do pierwszej komunii, i już dobrze wie, że każdy jest wrogiem. Jakby zobaczyli, że klękasz na oba kolana jak dziewczynki, albo nie na to kolano, co trzeba, albo że się żegnasz nie tymi palcami czy nie w tę stronę, to ci ludzie, co są wszędzie dookoła, doniosą na ciebie Niemcom, żeby cię zabili. Tak sobie wymyślił Bóg tych ludzi, ich Ojciec Który Jest W Niebie, a oni wszyscy są na Jego (nie wolno pisać po prostu „jego”, małą literą, bo ludzie przeczytają, doniosą, a wtedy Niemcy spalą cię żywcem) – oni wszyscy są NA JEGO OBRAZ I PODOBIENSTWO. Człowiek patrzy i aż go mdli na myśl o pierwowzorze. Ale lepiej udawać takiego samego jak ta hołota niż umrzeć w męczarniach, prawda? Z dwojga złego lepiej iść do kościoła niż do gazu. Tyle że trudno lubić kościół, jeśli ma się tylko taki wybór. Tyle że mała już różnica między nim a komorą gazową, skoro jest tylko taki wybór. Może to nie jest wina kościoła, ale w takiej sytuacji – naprawdę nieważne.



Tylko tatuś nie chodzi do kościoła, bo nie: jest przysięgłym ateistą i aż tak wygłupiać się nie będzie, nawet pod groźbą śmierci. W sumie instynkt dobrze mu doradził: gdyby ktoś nawet podejrzewał, że jest Żydem, to by przestał. Ukrywający się Żyd latałby po kościołach z półmetrowym krzyżem na szyi, zamiast popisywać się swoją niewiarą. Ach, niekonwencjonalne zachowania mogą być nie tylko przyjemne, ale i rozsądniejsze od konwencjonalnych! Wspaniała nauka! Bywa, że uczciwość się opłaca! Że rzucanie wyzwania społeczeństwu się opłaca! Fantastyczne!

To sobie pomyślimy potem: na razie mamy pierwszą komunię i zbiorowe zdjęcie z tą hołotą Na Obraz I Podobieństwo, i trzeba zrobić miły wyraz twarzy. Ale Hitler przegra, na pewno przegra. I jeszcze zobaczymy, kto będzie górą.

W sumie – ciągle jakoś się żyje, a jest się dzieckiem i nie musi się wiedzieć, za co się żyje: to sprawa taty. W sumie nic nadzwyczajnego: zwykłe życie polskiego żydowskiego dziecka pod niemiecką okupacją, kiedy to trzeba się bać tak samo okupantów w pięknych mundurach, z trupa czaszką na czapkach, z napisem *Gott mit uns* na paskach z doskonale wyprawionej skóry, z czołgami, pistoletami, samolotami, bombami, plutonami egzekucyjnymi – kiedy to trzeba się ich bać tak samo jak pokreconych bab w chustach zawiązanych pod sterzącymi podbródkami, zgarbionych chłopów z chytrymi małymi oczkami, bosych dzieciaków ze strupami na kolanach i ich tłustego księżula. Tyle że okupanci są sympatyczniejsi. Czegoś chcą, walczą, zabijają i ryzykują co chwila własne życie. Jest w nich – no, dobrze, jest w nich jakaś wielkość. W tej hołocie, wśród której kłęczy się co niedziela na właściwym kolanie, nie ma niczego. Jakby cię wydali najeźdźcom, jakby cię wydali na śmierć, jakby cię zabili cudzymi rękami, może dostaliby nagrodę starczającą na naprawę dachu. Nie dowiedzieli się, że mogą przez posłanie cię do komory gazowej zarobić na naprawę dachu, ale zrobiliby to, i potwierdzą to po latach, i nie będzie już miejsca na wątpliwości. Albowiem są NA OBRAZ I PODOBIENSTWO swojego Boga: gratulacje dla Boga!

A w ogóle – nuda i nieobrzezana glista. Nie ma o czym mówić, nie warto mówić, nie chce się mówić, są ciekawsze tematy. Temat na trzy strony, nie więcej. Za banalny. Za głupi. Było, przeszło. Dało trochę wiedzy o ludziach: kanalie. Wrogowie. I dosyć, jak skwitował enkawudzista odpowiedź aresztanta na pytanie, ile ma lat. Starczy, chwatit.

\*

Albo było zupełnie inaczej. Wcale się nie uciekło na trzy dni przed wojną, wcale się nie odkryło głupiej, krępującej prawdy dopiero po dwóch latach. Przeszło się całe piekło wojny: wyrzucenie z domu, żółte gwiazdy na ubraniach, początek getta. Doktor Joseph Goebbels, minister propagandy Trzeciej Rzeszy, wpadł w listopadzie do właśnie tego, łódzkiego getta, i aż go zemdlilo ze wstrętu. „To już nie ludzie, to zwierzęta. Zatem czeka nas zadanie nie tyle humanitarne, co chirurgiczne. Potrzebne są cięcia, i to radykalne”.

Swoją drogą świat poza gettem też ministra zbrzydził. Ofiary zawsze są ohydne. Ludzie głodni, brudni i zmarznięci, walczący o życie, to paskudztwo. Polacy-nie-Żydzi też pełzali po ulicach jak insekty, apatyczni i „podobni do cieni”: „przytłaczająca beznadzieja”! Wszystko to było odrażające i każdemu czystemu, sytemu, pachnącemu, dobrze odżywionemu człowiekowi z obozu zwycięzców nasuwał się ten sam wniosek: im prędzej z tym robactwem skończymy, tym lepiej. Choć bywa robactwo paskudne i robactwo jeszcze paskudniejsze. Ludzie Goebbelsa sfilmują w getcie – nie tym, warszawskim – rytualny ubój bydła, kluczową scenę szykowanego od maja filmu „Wieczny Żyd”: ludzie będą mdleć w kinach! Te umęczone, pełne zgrozy przekraczającej wszelkie pojęcie, zwierzęta zarzynane powoli, powolutku, sadyście przez śniade, kędzierzawe pokraki w imię ich parszywego Mojżesza i cuchnącego czosnkiem Jehowy: ach, skończyć z nimi, skończyć z nimi czym prędzej! Każdy cywilizowany człowiek będzie błagać władzę, żeby z tym skończyła – zaraz, natychmiast, nie tracąc ani

chwili! Życzeniom cywilizowanych ludzi stanie się zadość. Ludzkie pluskwy, ogromne pluskwy napompowane krwią swoich niewinnych ofiar, swoich bezbronnych ofiar, zginą śmiercią, na jaką sobie zasłużyły. Wystarczy zobaczyć getto w pokonanej wreszcie Polsce, wystarczy je zobaczyć w kilka tygodni po swoim zwycięstwie, a ich klęsce. Pluskwy. Smród. Gnój. Trzeba z tym zrobić porządek, trzeba wytępić robactwo!

I właśnie wtedy, właśnie w listopadzie, pod pełnym wstrętem spojrzeniem doktora Goebelsa, ucieknie się z cuchnącej rzeźni łódzkiego getta do sowieckiego Lwowa. Od żółtej gwiazdy przyszytej do dziecinnego ubranka pod czerwony sztandar rozwiany na wietrze wolności. Tę wersję będzie Urban przedstawiał w książkach, wydawanych po upadku polskiego socjalizmu, nie rezygnując jednak ze sceny wielkiego szoku, przed lustrem czy nie przed lustrem: tak, dopiero w 1941 odkrył, pouczony przez rodziców, że jest Żydem. Przedtem, z żółtą gwiazdą na piersi, nawet mu to przez myśl nie przeszło, a i rodzicom ani się śniło tłumaczyć. Ot, wojna. Albo właśnie wtedy to odkrył. Tak, przeszedł przez getto. Nie, wcale nie przeszedł, bo wyjechali wcześniej. A jak odkrył, był wstrząśnięty. Nic podobnego, był rozbawiony. To było dwa lata wcześniej. To było dwa lata później. Było straszne. Było śmieszne. Było takie sobie. No, może to będzie najlepsza wersja, może to jednak najlepsza wersja. Nie zrezygnuje z innych, ale tę będzie powtarzał najczęściej. Dopiero w 1941, po wejściu Niemców do Sowiec, dopiero kiedy rodzice – na biednego nie trafiło – opłacili księdza, żeby nauczył dziecko paciorka, klęknięcia na właściwym kolanie i innych wygibasów, dopiero wtedy dowiedział się, że przedtem był *krajowym cudzoziemcem*, a potem, teraz, kawałkiem mięsa do zagazowania żywcem w jakiejś wielkiej piwnicy, w jakimś (ohyda!) okropnym ścisisku.

Może tak było, może nie. Może uciekli trzy dni przed wojną, a może w dwa – trzy miesiące później. Może tatuś był bardzo ważny, więc trzy dni przed. Może był średnio ważny, więc trzy miesiące po. Trzeba by w to włączyć z duchem doktora Freuda i homoseksualnym kompleksem Edypa: tak czy owak, obie wersje dotyczą redaktora Urbacha, nie redaktora Urbana, ojca, nie syna. Jak było, tak było: *ce sont des* flaki z olejem.

W pięćdziesiąt lat później przesławny Jerzy Urban napisze o swoim kumplu z „Polityki”, Danielu Passencie:

*Jako dziecko był dzieckiem żydowskim i w czasie okupacji siedział w szafie, ponieważ naziści pragnęli Passenta zabić. Dziwne, ale zostawiło to jakiś uraz.*

Tak to widział. Kpił sobie, ale tak to widział. Na pewno fakt, że kiedy się było dzieckiem, tłumy sprzysięgły się, żeby to dziecko zabić („Oni chcą mnie zabić!” – krzyczy żołnierz wbrew woli u Vonneguta, a kiedy koledzy pocieszają go: „Głupcze, oni chcą zabić WSZYSTKICH!”, odpowiada logicznie: „No właśnie”), na pewno taki fakt naznacza człowieka. Ale nie pierwszoplanowo. Jakoś tak, na drugim albo trzecim dniu. Może w podświadomości. A w ogóle dzieciństwo jest nieważne. Karykatura człowieczeństwa. Pierwsza wprawka, bzdura. Liczy się to, co było, odkąd dorosłeś. Własne wybory, własna odpowiedzialność. Nie to, co przypadkowe albo narzucone. Nie to, co spotkało embrion albo ośmiolatka. *Ce sont des* flaki z olejem i liczą się tylko dla idiotów. W NIM to wszystko me zostawiło żadnego „urazu”, nudzi go, zwisa w spodniach nieobrzezaną glistą. Skoro dla idiotów jest ważne, czasem się coś powie idiotom na odczepnego. Jedno Amerykanom do „New Yorkera”, drugie Spielbergowi do filmu o czasie zagłady, jeszcze co innego w książce dla Polaków. Że trzy dni przed wojną albo dwa miesiące po wojnie, że tak albo inaczej, że nudne. I to naprawdę jest nudne.

Co innego się liczy, co innego określi szczeniaka na zawsze. Język. *La langue natale. The native language*. Mowa ojczysta. Jeszcze większy banał niż żydostwo, ale przed tym to już naprawdę nie można uciec. Kalectwo i przekleństwo.

\*

No, jeszcze raz.

Szczeniak ma sześć lat, jest wojna, rodzice uciekają z nim na wschód. Rosjanie dogadali się przedtem z Niemcami i prą na zachód: ani się człowiek obejrzał, a kraju, w którym się urodził, już nie ma. Ach, wielka jest zmienność rzeczy! Właściwie nic w tym takiego nadzwyczajnego. Ciągłe coś znika, umiera, zmienia się w co innego, ledwo zdążyło powstać, a już się rozpada: nie nasz pomysł, nie my to wymyśliliśmy. Dopóki się człowiek sam nie rozleci i nie zgnije, wszystko dokoła wiruje jak na karuzeli: to jedno miejsce, to drugie, ludzie są, znikają, umierają, pojawiają się inni; we wszystko można zwątpić. Jedno jest stałe, zupełnie głupstwo: język. Mówi się w nim, myśli, potem czyta, pisze: niektórzy i to potrafią zmienić, ale nie ma ich wielu. Szczeniak do nich nie należy. Tkwi w języku polskim i będzie w nim tkwił do śmierci. Innego nawet nauczyć się nigdy nie zdoła. Tak więc jedno mamy określone: Polak z niego. Skazany na kraj, który właśnie, nie po raz pierwszy, zniknął z map i globusów. Nie najlepszy kraj. Źle położony, płaski, brzydki i nieszczęśliwy: bardzo możliwe, że z własnej winy. Kiedyś się liczył, potem przez sto kilkadziesiąt lat należał do trzech panów, przez dwa dziesięciolecia był wolny, teraz znów wpadł, znów go rozebrano. Nie najlepsze miejsce urodzenia, choć na pewno są i gorsze. Fatalna tożsamość, choć im kto głupszy, tym łatwiej da sobie radę ze złą tożsamością. Można wziąć ze swego miejsca urodzenia kilkaset słów, byle się porozumieć, można nawet być głuchoniemym, i więzy zaraz są lżejsze. Głupiec w każdej chwili może pojechać do Ameryki, kłaść tam cegły, potem handlować cegłami na migi, potem poduczyć się troszkę i handlować cegłami na większą skalę, przy pomocy paru zdań i paru ludzi, potem nawet zrobić majątek i osiągnąć spełnienie największych marzeń mądrali. Bez zbyteńnego wysiłku. Człowiek mądry to kretyn.

Szczeniak jest ofiarą wieży Babel: spadną na niego, już spadają, tysiące słów, plus przecinki, średniki, kropki, wielokropki, nawiasy i cudzysłowy. Trzeba by mieć inną rodzinę – albo w ogóle trzeba by być kim innym. To więc mamy rozstrzygnięte i określone: już go zakuto w mowę polską, a przeznaczenie łatwo go nie uwolni.

„Jako człowiek, którego warsztatem pracy jest warstwa słów, a nie czynów...” – napisze o sobie w roku 1981... jako taki człowiek, był z góry przegrany, od początku przegrany. Bo te słowa były polskimi słowami, i sto razy to ważniejsze od zgrozy dziecka, któremu powiedziano, że jest Żydem, i które pyta lustro, czy też będzie takie brzydkie jak Żydzi. Tamto było drobiazgiem do ukrycia, do zakamuflowania, do skasowania, gdyby się człowiek uparł. To jest przeznaczeniem. Być człowiekiem słowa – i ugrzęznąć w świszczącym, środkowoeuropejskim języku z siedmioprzypadkową deklinacją rzeczownika! Marny los, a o inny trudno.

Poza tym, normalnie, życiowo – jest synem dziennikarza, ma rodziców, którzy go kochają, a rodzice mają trochę sprytu i szczęścia. Szybsi są w uciekaniu niż ich wrogowie w pościgu. I tyle.

A on nie ma talentu do języków, więc nigdy daleko nie odejdzie. Zresztą przywiązał się.

\*

No, i skończmy z tym wreszcie. Wojna, ten skarb kombatantów, dla reszty ludzkości jest potwornie nudna. Dzieciństwo jest studnią bez dna dla psychiatrów i sentymentalnych starszek, ale – u diabła – nie ono się liczy.

Wojna się skończyła, dzieciństwo się kończy, zaczyna się życie. Prawie w tym samym punkcie, w którym się zaczęło. Tata w 1944 dotarł do polskiego wojska w ZSRR, do IV dywizji piechoty imienia Kilińskiego, spotkał dawnych znajomych, z miejsca się urządził, dostał gwiazdkę i gazetę, zabrał – nielegalnie, ale wszyscy to robili, jeśli mogli – żonę i syna, i ruszył na zachód. Tata robił gazetę w ciężarówce i grzecznie prosił szofera, żeby ciszej zmieniał

koło, bo pracować nie można. Dojechali do Lublina, i tata został posłem do Krajowej Rady Narodowej, kierownikiem wydziału prasy w PKWN, redaktorem tygodnika, sekretarzem klubu poselskiego Polskiej Partii Socjalistycznej (którą zaraz się zmiecie z powierzchni ziemi), a potem dojadą we troje do Łodzi, do starego mieszkania (odzyskają stare mieszkanie!!!), i zacznie się nowe życie, w nowych czasach. Sześć lat stracone, ale wróciło się do punktu wyjścia.

Rodzice wrócili do punktu wyjścia. On już go prawie nie pamięta. Dla niego zacznie się życie, i już.

Ma dwanaście lat, a życie trzyma w ręku czerwony sztandar.

## Zaraz, jeszcze nie koniec

### (*Druga wersja pradziejów Urbana*)

Naprawdę to było tak. Albo mogło być.

Albo powinno być.

Tata z mamą wpadli samochodem do rowu, w rowie wpadli na siebie, a w dziewięć miesięcy później on się urodził.

Reszta potomstwa – braciszki i siostrzyczki – została wyskrobana.

Tata z mamą mieli pieniądze i byli śmieszni. Istna rodzina Młodziaków z Gombrowicza: ach, być w awangardzie dziejów! Ach, Swoboda Obyczajów, Epoka, Rewolucyjne Wstrząsy i Czasy Powojenne! „– Proszę, Wiktorze, weź soli... Kara śmierci jest przeżytkiem. – Dziękuję, Joanno... W Brazylii topią całe beczki soli, gdy u nas jest po sześć groszy gram. – Zuta, jeżeli chcesz mieć dziecko nieślubne, bardzo proszę! A cóż w tym złego?” Ach, postęp, mobilizacja i dynamizacja, Russell, Wells, Boy, bolszewicy i dancingi! Zabawny był dom. Lubi się taki dom.

Mama miała masę kochanków i właściwie niewykluczone, że tatuś nie był tatusiem. Przekomiczne.

Babka cioteczna w 1905 strzelała w moskiewskim teatrze do generał-gubernatora, ale chybiła. Powieszono ją. Inna babka cioteczna jechała z Leninem w 1917 w zaplombowanym wagonie ze Szwajcarii do Petersburga, a potem wyszła za wiceministra, który też był wtedy w wagonie, ale nie był jeszcze wiceministrem. W ogóle barwne to było, piękne i wielkie.

Tatuś w redakcji wlewał koledze czerwoną farbę do spluwaczki, żeby kolega pomyślał, że pluje krwią i koniec bliski. Inny kolega kupił bombonierkę dla ukochanej, a tatuś pozamieniał czekoladki na gumki szkolne. W ogóle tatuś był wesołym człowiekiem. Czasem tak żartował, że o sąd się to ocierało. Ale jak go skazano na wpłacenie dużej sumy na cel dobroczynny, tatuś wymyślił sobie instytucję, której niby zapłacił, ogłosił to w prasie i nie wpadł. Umiał sobie radzić w życiu.

Kiedy niańka przyniosła szczeniaku w Wigilię choineczkę, żeby miał jednak święta, biedaczek, jak inne dzieci, została zwolniona. To był porządny i konsekwentny, ateistyczny dom bez choinek, siana pod obrusem i prezentów, bez mazurków, pisanek i koszyczków ze święconym. Oczywiście, także bez żydowskich kuczek, szabasów i innych śmiesznych, kompromitujących bzdur. Precz z zabobonami gawiedzi! Jedno tylko święto istniało w rodzinie Urbachów: *Prima Aprilis*. Dzień dozwolonych kłamstw, dzień dopuszczalnych żartów. Na długo przed pierwszym kwietnia wszyscy się szykowali do święta, wymyślali powiedzenia, sytuacje, fałszowali listy i depesze. Żart miał być taki, żeby w niego uwierzono; inaczej się nie liczy. Wymyślenie żartu, w który uwierzono by w rodzinie Urbachów, było niemożliwe, zbyt wielką tu osiągnięto primaaprilisową perfekcją, ale z innymi mogło się udać. Zwłaszcza jeżeli żart, kłamstwo, intrygę przygotowało się na dzień inny niż pierwszego kwietnia. Na dzień, w którym nikt się niczego nie spodziewał. Jeśli człowiekowi nie wolno zamienić czekoladek w bombonierce na szkolne gumki, to co mu w ogóle wolno i po co ma żyć? Świat byłby zbyt ponury, a przecież powinien być śmieszny. Ma być śmieszny. Jest śmieszny. Credo rodziny Urbachów, credo Jerzego U.

Ma tylko jedno imię, nie tak jak inni. Imię nadane na cześć króla Anglii.

Ojciec ma aż dwa imiona: Jan Konrad. Drugie imię bodaj z Legionów. Brzmi to patriotycznie, romantycznie, symbolicznie, i strasznie polsko. Nazwisko się z tym kłóci, nazwisko jest żydowskie. No i właśnie: połączenie imion z nazwiskiem określa człowieka jak rzadko. Jan Konrad Urbach był legionistą, oficerem odznaczonym krzyżem niepodległości, autorem książki „Udział żydów w walce o niepodległość Polski” – dobrej książki – i redaktorem na-

czelnym oraz wydawcą gazety „Głos Poranny” (wydawnictwo „Głos Poranny – Jan Urbach i S-ka”) – dobrej gazety. Syn nauczy się od niego – w nowych czasach – pisać słowo „żyd” małą literą, jak przed wojną, boć to wyznanie, nie narodowość. Korektorki doprowadzi tym do rozpacz, a postępowców zgorszy: to obelżywe! Słowo „Murzyn” też się będzie po wojnie pisać dużą literą, choć to ani narodowość, ani wyznanie: chodzi o to, żeby czarnych nie obrażać, i niektórzy nawet słowo „czarny” spróbują pisać z majuskułą na początku. Wielki kult majuskuł zapanuje wśród postępowców, i jeszcze bardziej zagmatwa sprawy i tak mętne.

Bo przecież nie tylko wyznanie oznaczało słowo „Żyd” (albo „żyd”). Jan Konrad Urbach był bezwyznaniowy, tłumy czytelników jego gazety były bezwyznaniowe, a przecież jeżeli ci czytelnicy podpisywali się w listach do redakcji „Anda Rozenkwajg” czy „Mosze Cukierman”, to przecież byli Żydami (żydami)? A jeśli zmieniają nazwiska na „Agata Rogowska” i „Marcin Cukrzyński”, też nie przestaną być Żydami. Jeśli będą chodzić z medalikami, odmawiać różaniec i z najszczerzym wzruszeniem uprawiać adoracje Najświętszego Sakramentu, i tak pozostaną Żydami (żydami). Dla hitlerowców żydostwo kończyło się po trzech pokoleniach bez religii możeszowej, ale dla Polaków nie traciło mocy i po pięciu stuleciach („Takie nazwiska nadawano przechrztem w czternastym wieku!”), a żyło się w Polsce, nie gdzie indziej. Wcale nie chciało się żyć gdzie indziej.

Jan Konrad Urbach był wesołkiem, dolewał czerwonego tuszu do spluwaczki, ale był też wzniosły. W swojej książce umieścił motto ze Słowackiego – „Jeżeli gryzę co – to sercem gryzę!”. Wielbił Kościuszkę i walczył o jego dobre imię jak lew. Prawica wolała Stanisława Augusta. Prawica oskarżała „jedną z najjaśniejszych, najszlachetniejszych postaci świata” o wywołanie głupiego, romantycznego, sterowanego przez masonów, nieudanego powstania, a wychwalała króla, który grzecznie („patriotycznie”) podpisywał kolejne akty rozbiorowe, rozsądnie poddał się wrogom, skoro byli silni, potępiał niemądre bunty, i wręczył Rosji swój kraj jak na tacy, żeby go wchłonęła do ostatniego centymetra kwadratowego. Jan Urbach wielbił buntownika, który nie zdołał uratować kraju, ale ocalił jego honor. Nienawidził zdrajcy u władzy, sługusa wrogów, woskowej kukły i padliny moralnej; ze wszystkich sił nienawidził!

Syn po latach wybierze odwrotnie; zupełnie odwrotnie. Poprzez ugodowca, buntowników znienawidzi. Tyle że będzie wtedy chodzić o coś jeszcze, o – a jakże – czerwony sztandar.

Teraz rzeczywistość nie trzyma w ręku czerwonego sztandaru. Teraz po prostu się żyje, i bardzo często miło się żyje. Teraz jedyny nie wyskrobany o królewskim imieniu wyrzuca przez okna co cenniejsze przedmioty, za dużo gada, z francuskiego w przedszkolu ucieka, na fortepianie grać nie chce i w ogóle wydaje się nieco zapóźniony w rozwoju. Może mu to minie.

Jan Konrad Urbach dowodzi w swojej książce, że można być jednocześnie żydem i wielkim polskim patriotą. Cytuje „Dwa Izrael”: „A krzyż Polaków dźwignęło twe dziecię/ Za świętą Polskę oddało swe życie”. Tak, w 1861 to Żyd Landy podniósł podczas manifestacji upuszczany przez kolejnych zabijanych krzyż, i też trafiła go rosyjska kula. Tłum krzychał do wojska: „Strzelajcie, mordujcie bezbronnych!”, a wojsko ochoczo spełniało jego życzenie. Tak, „Gdy krzyż tłukli carowie, bronił go – żyd” – pisze Urbach. Norwid o tym pisał w wierszu „Żydowie polscy”! A pułk żydowski u Kościuszki, kiedy magnaci – Branicki, Poniński, Kossakowski – zdradzali ojczyznę? A legion żydowski Mickiewicza? Udział Żydów w powstaniach listopadowym i styczniowym? Pułk starozakonny wybity do ostatniego żołnierza podczas rzezi Pragi? Ilu Żydów poszło za wolną Polskę na Sybir, na katorgę? A ten sztandar – proszę, oto zdjęcie – ten sztandar z orłem i Pogonią, i z uściśniętymi rękami, wyhaftowany przez „Polki-Izraelitki z Kalisza” i ofiarowany w 1963 generałowi Taczanowskiemu? I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej...

Dobrze napisane, dobrze zrobione, ale i tak każdy zostanie przy swoim zdaniu. Antysemita wzruszy ramionami nad jęwejską propagandą, filosemita się wzruszy, Żyd albo się

wzruszy, albo pomyśli, że dość już tej bezwzajemnej miłości, basta i szlus. W gruncie rzeczy to książka dla znajomych. Dla tych, którzy u Urbachów bywają, albo u których bywają Urbachowie: dla tych, którzy od pokoleń nie mają nic wspólnego z żydowską religią ani językiem, ale w katolicyzm też nie weszli, „nie zamienili jednej grupy przesądów na drugą”, wobec czego („Tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem, Polska jest Polską, a Polak Polakiem”) nie należą nigdzie. Chyba że do grupy podobnych sobie inteligentów i burżujów, światłych i światowych, z Paryżami, Londynami, Byronami i Proustami, z widmem sprawy Dreyfusa i łagodnym optymizmem, bo sprawa Dreyfusa miała jednak happy end.

Jan Konrad Urbach najmocniej z nich był przykuty – jak na Sybirze – do taczek polskości, a i synka też do nich przykuł. Chciał tego czy nie – stało się.

Tata redagował i wydawał „Głos Poranny” (adres: Piotrkowska 101, Łódź, cena 10 groszy, a potem 20, a potem 30 – gospodarka trochę kulawa i ceny rosły), pisał wstępniaki, czuwał nad całością, codziennie od 18 do 19 przyjmował w redakcji interesantów. Gazeta była super-polska, ale czytana głównie przez Żydów: nazwiska w ogłoszeniach były przeważnie żydowskie. Gazeta była lewicowa, ale potrafiła nieźle przypieprzyć bolszewikom. W sumie: światła, liberalna i dla ludzi.

Mienniczek angielskiego króla rósł, a tata drukował w swojej gazecie „Trzech muszkietarów” w bardzo małych odcinkach. Raz na tydzień dawał specjalny dodatek dla dzieci, „Mój głosik”, redagowany przez grubą żonę współnika taty, która podpisywała się „Ciocia Marysia” i odpowiadała na pytania dziatwy, a co jakiś czas organizowała przyjęcia z nagrodami dla autorów najciekawszych liścików („Przyjdź na przyjęcie, to się poznamy”). Liściki pisali i Bella Aronsonówna, i S. Mistenbaumówna, i „Szepes Lolek”. Do akcji „Piszcie do «Głosika», koledzy” włączyli się i Szepes Lolek, i „Rozenblaumówna Janka” (wzywająca do pisania przyjaciółkę, Ratkę Rachnorównę), i Rapaportówna, i Goldsztajnówna, i Kufeldówna; włączyły się – wszędzie żydowskie nazwiska i polskie końcówki – Szperlinianka, Mejmejsztanówna, Cukiermanówna i Sonia Poznańska. W gazecie było zabawnie, bardzo zabawnie – prawie do końca. Do numeru z 31 sierpnia 1939, przedednia wojny. Następny już się nie ukazał.

W gazecie była na przykład historyjka o Angliku, który wlaźł do kuchni restauracyjnej, żeby sobie w niej upiec na lunch swój własny, specjalnie przyniesiony, kawałek mięsa. Anglika wyrzucono. Wrócił w towarzystwie glin, bo – wyobraźcie sobie – prawo sprzed 200 lat pozwalało każdemu na korzystanie z kuchni publicznych i z kuchni jadłodajni. Anglik piekł zatem swoje mięso legalnie, ale i tak został oskarżony o kradzież z przywłaszczeniem: prawo sprzed 200 lat nakazywało korzystanie z własnego paliwa.

A potem wypowiedź wnuka Marksa, Jeana Longuet, francuskiego działacza socjalistycznego, z tytułem: „Śmierć faszyzmu oznacza pokój”.

I ogłoszenie:

**uwaga!** Osoby pragnące zostać współzałożycielami mającej wkrótce powstać nowoideowej ogólnopolskiej organizacji (legalnej) proszone są o podanie swego dokładnego adresu do Administracji „Głosu Porannego” pod „Zmiana”.

Albo inne ogłoszenie:

Pan młody, poważny, w sportowej marynarce gabardinowej w kratkę, który w czwartek 25 czerwca w południe wsiadł na Piotrkowskiej róg Zawodzkiej do tramwaju w kierunku pl. Reymonta zechce za wynagrodzeniem podać swój adres lub wskazać firmę, gdzie można nabyć taki materiał jak w jego marynarce.

Od 1937 roku gazeta ma jeszcze jeden dodatek: „Rewia ilustrowana tygodniowa”. Jan Konrad będzie w nim w 1938 oddawać cześć Komendantowi, Dziadkowi, Ziukowi w artykule

„W 18 rocznicę 18 bitwy”, gdzie bitwa pod Warszawą, zamykająca czerwonym drogę na zachód, zostanie nazwana zwycięstwem wolności i demokracji, a w tekście znajdzie się chwalebna, którą można by też nazwać ostrzeżeniem:

„Tylko wolny, czujący się równouprawnionym, obywatel, żyjący w sprawiedliwie rządzonej ustroju, do upadłego bronić będzie ojczyzny w niebezpieczeństwie. Patriotyzm ludu polskiego w sierpniu 1920 może dla wielu narodów posłużyć za przykład i ostrzeżenie.”

A wokół – teksty o Rooseveltcie i Fordzie, wspomnienia sekretarza d’Annunzia, moda paryska i rady, jak przyszyć guzik albo udzielić pierwszej pomocy, i najnowsze wiadomości o ocalonych szczątkach rodziny carskiej, wybitej przez bolszewików, i ogłoszenia:

*Sprzedam kilka pięknie śpiewających kanarków rasy zagranicznej*

(Jakby kanarki mogły być rasy krajowej –cokolwiek to znaczy!)

*Dwór izraelski przyjmuje pensjonariuszów*

I tak dalej. I jeszcze ogłoszenie w ramce:

### **Ofiara dana żebrakowi nie przynosi korzyści społeczeństwu**

(Jakże to królewski imiennik po latach przejmie! Raczej nie z wertowania roczników gazety ojca. Wszyscy postępowcy mówili to swego czasu: precz z indywidualnym miłosierdziem, precz z egoistycznym samozadowoleniem ludzi dobrych, trzeba przebudować społeczeństwo, w dobrze zorganizowanym społeczeństwie niepotrzebna jest dobroć indywidualna, dobroczynność to plasterki przyklejane gruźlikowi, nie uleczy go przecież, nie dawaj biednemu ryby tylko wędkę... i tak dalej. Było tego od groma w każdym lewicującym domu, wchodziło w krew. I Jerzy Urban będzie kiedyś wyśmiewać i karcić sentymentalnych egocentryków, pchających się ze swoimi paczkami i datkami wszędzie, gdzie zdarzyło się nieszczęście, żyć nie mogących bez wysłania dwóch własnych swetrów ofiarom trzęsienia ziemi w Bośni czy Górnej Wolcie: czyżby nie wierzyli, że Państwo, Socjalistyczne Państwo samo to wszystko załatwi? I to lepiej niż oni?)

Na razie przyszły Jerzy Urban jest dzieckiem, a gazeta ojca gani prywatne miłosierdzie, które dla społeczeństwa jest niczym, albo jeszcze gorzej.

### **Zapisz się na członka łódzkiego towarzystwa przeciwżebraczego**

\*

W domu też było zabawnie. Jak u Gombrowicza. Ostrość, trzeźwość, asentymentalizm – jak to „dobrze robi na typ”! I: „Epoka, profesorze, epoka!... Głębokie przemiany. Wielka rewolucja obyczajowa, ten wiatr, który burzy, podziemne wstrząsy, a my na nich. Epoka! Wszystko trzeba przebudować od nowa!” I francuskie przedszkole dla królewskiego imiennika. I: „Nieustannie przy jedzeniu oraz w wolnych chwilach odchodziły rozmowy o Swobodzie Obyczajów, Epoce, Rewolucyjnych Wstrząsach, Czasach Powojennych etc.” I: „Pracuj! Pracować! Pracować!” – a wieczorem „wymknij się na dancing – wymknij się na dancing – wymknij się na dancing. Wróć późno, zaśnij kamiennym snem...”. Mobilizacja, dynamizacja, Russell, Wells i Boy! Europa i Ameryka, awangarda dziejów – epoka, profesorze, epoka! Jesteśmy w awangardzie dziejów!

Tymczasem Trzecia Rzesza i Związek Sowiecki podpisują pakt o nieagresji, a Jan Konrad Urbach pisze wielki artykuł „Swastyka – sierp i młot”. Cały świat zatrzęsł się z wrażenia po sowiecko-hitlerowskim pakcie, ale Polska – nie. Dla Polski to *nihil novi*. Kiedyś, kiedy była w niewoli, kiedy znikła z map, na granicy niemiecko-rosyjskiej wzniesiono pomnik na cześć świętego przymierza cara Wszechrosji i króla Prus „przeciw rewolucjonistom i szermierzom wolności całego świata”. Wielka szkoda, że ten pomnik zburzono. Można by go teraz posłać



jednemu z sąsiadów, umieszczając pod wyrytymi pięknie w kamieniu koronami obu władców swastykę oraz sierp i młot. Co za różnica?

Rosja rozmawia z Niemcami! Wulgaryzatorzy i przeniwiercy marksizmu ściskają się z – typowe dla J.K.U. określenie – z „wrogami spadkobierców idei wielkiej rewolucji francuskiej”! Mogły jakoś przejść w Bolszewii okrucieństwa Czeki i GPU, „barbarzyńskie prześladowanie socjalistów”, koszarne procesy czarownic – „ale łamańce ostatnie na pewno gładko nie przejdą”. Obrażona moralność – coś takiego też istnieje, i zabierze głos „w najmniej spodziewanym momencie”. Na razie – no, doczekaliśmy się! Hitlerowski nacjonalizm pod rękę z bolszewickim kominternem dokonują „szyfrowego wysiłku osłabienia linii obronnej demokracji”.

Pod spodem w ramach ogłoszenie:

### **Dr Weiskrum powrócił**

(Po co?!!!)

I znów wstępniak – nie podpisany: „Wy faszystowskie psy! Wy bolszewickie wyrzutki!”

Ale na stronie 9 jest miło, jest uroczo: „Shirley przestała być dzieckiem”.

Już lipiec 1939. „Sto procent sił męskich uzyska Pan, stosując aparat Nr 111”. Wojna nerwów trwa, ale gazeta powinna być do końca fachowa. Prasa jest prasą i nie powinna być niczym innym, i świetnie, jeśli niczym innym być nie musi.

Sierpień. *Pokój wisi na włosku – Kopiemy bez przerwy (rowy przeciwczołgowe) – Niesłychana bezczelność niemiecka – Kartki aprowizacyjne w Rzeszy – 36 godzin na wykończenie rowów – Niezwłoczna budowa schronów – paskarze łódzcy w Berezie –*

*Doktor: – Cóż mam pani dać, siostrz Anno, aby wreszcie dostać od pani całusa? – Chloroform, panie doktorze.*

Już tylko dwa dni do wojny. Dwa dni do końca epoki. Trudno przewidzieć, że akurat dwa dni, ale w redakcji musi już być nerwowo: ten sam tekst „Wspólne samobójstwo czy zbrodnia?” został wydrukowany dwukrotnie, na stronach 7 i 8; przedtem nie do pomyślenia!

Przedostatni dzień pokoju. Czort wie, czy naczelny jest jeszcze w redakcji. Czort wie, czy imiennik Jerzego V jest jeszcze w Łodzi. Jeżeli jest – dotyczy go rozporządzenie o szyldzikach. Każde dziecko powinno mieć szyldzik!

To zarządzenie ministra opieki społecznej. Wydrukowano je tuż po wiadomości o arsenałach broni u Niemców łódzkich. Jurek U., jak każde dziecko, powinien mieć przyszyty na spodniej stronie ubrania, na plecach (jak gdyby dziecko, zwłaszcza takie jak on, miało tylko jedno ubranie!) płócienny szyldzik o wymiarach 15 na 8 centymetrów, z wypisanymi atramentem lub ołówkiem kopiowym imieniem (bez zdrobnień!), nazwiskiem, datą i miejscem urodzenia, imionami rodziców i nazwiskiem rodowym matki, oraz adresem z podaniem województwa. Niemowlę może ewentualnie mieć szyldzik zawieszony „na szyjce, jak szkapleńczyk”.

„Niezależnie od powyższego należy każde dziecko bez względu na wiek – o ile pozwala na to jego rozwój umysłowy – nauczyć recytować bezbłędnie te same dane, które przewiduje napis na szyldziku”.

O ile pozwala na to jego rozwój umysłowy! Kiedy Urban stanie się sławny i zacznie kreować swoje życie, używając klucza gombrowiczowsko-własnego, stworzy taki obraz samego siebie, że już te słowa w zestawieniu z nim wywołałyby śmiech pusty. Gdzieżby tam sześćioletni Jurek U. dał sobie radę z SZYLDZIKIEM!

Z szyldzikiem czy bez, może już jest z rodzicami w drodze na wschód. Może redaktor Urbach jest już w drodze na wschód: pomijając pochodzenie, jest za swoje antyhitlerowskie publikacje na niemieckiej czarnej liście, ponoć ma nawet zaoczny wyrok śmierci. U bolszewików wyroku nie ma, choć ostatnie wstępniaki były nad wyraz nieostrożne. Może wyprawił na wschód żonę z dzieckiem, a sam próbuje wyciągnąć pieniądze z biznesu. Albo zlecił to

żonie i już go nie ma. Albo wszyscy są jeszcze w Łodzi, a redaktor Urbach kopie rowy. Tuż obok zarządzenia o szyldzikach jest w „Głosie Porannym” wezwanie:

### DZIENNIKARZE DO ŁOPAT!

Pisze się jeszcze o Potwornej Zbrodni Dorożkarza (zabił narzeczoną). A kupiec Hersz Rozenberg powiesił się na żydowskim cmentarzu: czyżby kłopoty finansowe?

Ostatni dzień przed wojną, ostatni numer gazety. *Pokój jeszcze możliwy – Zagrożenie Rzeczypospolitej istnieje – Sytuacja jest wysoce poważna – Dalsze zarządzenia obronne – Cztery przykazania obowiązujące kobietę, która pragnie być piękna i młoda – Ludność całuje żołnierzy – Jutro i we wtorek losowanie premiówek...*

### ***Dr med. L. Goldblut powróci!***

(PO CO?!!!)

A na ostatniej stronie reklamy gaśnic przeciwpożarowych, gazoszczelnych drzwi i okien, oraz proszków od bólu głowy. W kinach grają „Trójkę hultajską”, „Trzy serca” i „Wesoło żyjemy!” Tak wychodzimy z epoki. Koniec, niczego więcej już nie będzie.

Wczoraj jeszcze „Wesoło żyjemy!”, a dzisiaj wojna. Niemcy wkroczyli, Polska się broni, za siedemnaście dni ze Wschodu wejdą Rosjanie, ale za niecałe dwa lata dzisiejszy sojusznik i w nich gruchnie. W ogóle potrwa to wszystko prawie sześć lat i nie będzie wesoło. A przecież życie powinno być wesołe! Nawet jeśli teraźniejszość jest paskudna, to we wspomnieniu może zmienić się w coś przekomicznego: confetti i fajerwerki! Chyba że ktoś lubi rolę ofiary. Jeśli się naprawdę było kiedyś ofiarą, to się tej roli nie lubi: wszystko, tylko nie to!

No, więc miało się SZYLDZIK albo nie. Wyjechało się wcześniej albo później. Świat się zawalił albo nie. Przyszło wielkie świństwo, wielkie poniżenie, a co można lepszego zrobić z wielkim poniżeniem niż wypiąć się na nie gołym zadkiem? Na którym to zadku może sobie wisieć SZYLDZIK, zmieniony o jedną-dwie litery, albo i nie zmieniony. To wszystko – sześć lat wojny – też było śmieszne i błahe. Nieudany *Prima Aprilis*: nie my oszukaliśmy, nas oszukano. Zdarza się. Ale jest się z czego uśmieć? Jest. Kto beczy w *Prima Aprilis*, ten nie ma twarzy. Głupi jest. Głupi i bez godności. Doprawdy, gdybyśmy na piekło spojrzeli odpowiednio, skonalibyśmy ze śmiechu bez łaskotek w pięty!

Urban konał ze śmiechu. Jedyna wersja do przyjęcia dla człowieka z odrobiną dumy. Wojna była doprawdy przekomiczna! Confetti i fajerwerki! On nie jest Passentem, żeby ukrywanie się w szafie albo coś w tym rodzaju miało zostawić na nim jakiś ślad. Kiedyś – twierdzi – wyrzucono go ze schronu podczas nalotu, bo wyśmiewał się z przerażonych, rozmodlonych, patetycznych współlokatorów: a tak, tak właśnie było! Gdy go kiedy indziej – twierdzi – ustawiono z gromadą przerażonych, rozmodlonych i patetycznych do rozwałki, aż chichotał, i słusznie: lichy esesmański żarcik, on to czuł, i na jego wyszło. Wcale ich nie rozstrzelano, zabawiono się tylko, i on też się zabawił: jesteśmy kwita, kochane SS. Bardziej się bał, kiedy próbował pływać i poszedł pod wodę! Każdy przyzna, że to gorsze.

Kiedy – nie chrzczony, ukrywający się mały łgarz – poszedł do pierwszej spowiedzi, dopiero dał bobu księżulowi, wyznając swoje duszpasterskie zapędy: drapuje się w domu w sutannę i odprawia nabożeństwa (przebrał się diabeł w ornat i ogonem na mszę dzwoni) – co księżulo na to? Ach, księżulo nie wiedział, pod jaki paragraf, pod jaki numer grzechu to podczepić, bo może malec miał dobre intencje i ciągnęło go po prostu do życia duchownego? Prześmieszne!

Potem spotkał się chłopaczkę z antyhitlerowską opozycją, która – ludzie kochani! – w tarpolskim mieszkaniu państwa Barańskich wyła pieśni patriotyczne czyszcząc karabiny, a on rechotał, ale nie zrobiła mu polska armia podziemna („stuknięci kabotyni”) nic złego, choć broń miała pod ręką: uznała go za debila i zlekceważyła, koniec, szlus. Co za błąd!

Aha: jeszcze przedtem powybił okna komendantowi ukraińskiej policji, ale też nie poszedł za to na stryczek, ani on, ani rodzice. Cyrk po prostu! Confetti i fajerwerki! Nigdy się tak dobrze nie bawił, jak za Drugiej Światowej – ale, niestety albo i stety, zaczęły się czasy poważne. Czerwona wolność się zaczęła, rzeczywistość złapała czerwony sztandar, a sztandar rozwiął się na wietrze... Piękne czasy nastały! Mniej śmieszne niż te wojenne, hitlerowsko-holocaustowe, ale za to – no, piękne i tyle! Choć uśmieć zawsze się można, i zawsze jest z czego.

*Międzynarodówkę* zagrano.

I coś złapało człowieka za gardło, i lzy stanęły w oczach.

I na jakiś czas stał się człowiek poważny. Tyle że powaga w tej rodzinie nie może trwać wiecznie.

Trzeba mieć pomysł na siebie, ot co.

Ojciec – w końcu wesołek – wykreował się na romantyka, który „sercem gryzie”, na Jana Konrada – legionistę, bohatera, patriotę i liberała. Co nie znaczy, że nie był tym wszystkim. Syn będzie z siebie kpić, będzie uprzedzał (konając ze śmiechu) każdy zarzut i każdą zniewagę: zaraz, moment, on sam to powie! Kto go zechce skrzywdzić, poniżyć, obrazić, temu ręce opadną. Niemożliwe. Trudno mówić o nim gorzej niż on sam będzie mówił o sobie. Nieprzemakalny, nienormalny. Gdyby *coś strasznego* – cokolwiek by to było – wyszło na jaw, ludzie uwierzą, że sam to wymyślił. Wierzący i praktykujący, fanatyczno-mistyczny czciciel *Prima Aprilis*: oto on. Takiego siebie stworzył, takiego zbudował. Rzadka kreacja. Prawie niespotykana w świecie sensatów, udających wrażliwość, szczerłość, uczciwość i inne banały.

(Po wielu latach – w 1984 – napisze do kobiety, w której będzie zakochany: „Wiedz wreszcie, że ja mogę wzbudzać litość, owszem, ale nigdy nie mówię i nie robię niczego w tej intencji, aby litość pobudzać”. Właśnie. Więcej. Dokładnie na odwrót. Wszystko, byle nie litość! Niech nikt nigdy nie ośmieli się mi współczuć!)

No, więc wojna się skończyła, ale w czasach pokoju też można się dobrze bawić.

Powiedzmy, że jest tak: na razie tylko rodzice żałują, że go nie wyskrobali, ale rośniemy, wchodzimy w życie, i wkrótce żałujących będzie więcej. Szczeniak jest ambitny. Na dwóch osobach nie poprzestanie!

Rodzice, wciąż podając sobie sól i tkwiąc w awangardzie dziejów, załatwiają jedynekowi dobre szkoły tylko po to, żeby z każdej wylatywał z hukiem. Sam sędzia Sądu Najwyższego przez cztery lata wprowadzał go w język angielski – tyle że zajęty dotykaniem dziecięcych genitaliów Jurka U. nauczył go tylko słowa „darling”. Może tak go zmroziło to czteroletnie „darling”, że nigdy nie zdołał nauczyć się żadnego obcego języka; może był matematycznym zerem – ale czy niemożność zrozumienia przedmiotów ścisłych oznacza, sama przez się, talenty humanistyczne? W jego wypadku niczego nie oznacza. Nieuk z niego i bałwan. Leń i bęcwał. Bezczelny i nabzdyczony leń i bęcwał. Za to napisał kiedyś humoreskę, a w którejś tam z kolei szkole zaczął – w końcu dziennikarskie dziecko! – występować w szkolnym radiowęźle. Bardzo zgrabnie klecił na poczekaniu coś logicznego z gazetowych artykułów, bo czytać też umiał. Tylko tyle umiał: czytać, pisać i udawać błązna. Nie wydawało się to cudowną perspektywą na przyszłość, ale na biednego nie trafiło, można mieć syna bęcwałą; jakoś się go urządzi.

Dobrze się bawił, rodzice dobrze bawili się z nim, czego więcej trzeba?

W dniu zakończenia wojny, ze starego łódzkiego mieszkania, z dawnego łódzkiego mieszkania zadzwonił do *Polski Zbrojnej*, żeby („Tu agencja Polpress”) podyktować wiadomość o kapitulacji Japonii – wiadomość przedwczesną i fałszywą. Najlepsze, że uwierzyli. Jego dziecinny, przedmutacyjny głosik uznali za głos kobiety. Już drukowali wielki nagłówek, aż tu zadzwonili po jakiś szczegół do Polpressu, i po wszystkim. Ale prawie się udało, czyż nie? Prawie się udało!

A trochę potem – już nastąpiła w Polsce komuna – zadzwonił 1 maja (miał odpowiedni numer!) do towarzysza Jakuba Bermana, który właśnie stał na łódzkiej trybunie, patrząc z góry i godnie (och, wielka to była figura, ten Berman! Kiedy jakiś artysta ośmielił się powiedzieć mu, że bardzo jest szczęśliwy z poznania Szarej Eminencji, Berman warknął: „Nie takiej znowu szarej!”, i artyście do śmierci łydki się trzęsły ze zgrozy po tym niewczesnym dowcipie). Tak, miał właściwy numer telefonu, i zabuczał, że dzwoni z KC z Nadzwyczaj Ważną Wiadomością, i odwołano towarzysza Bermana z trybuny pierwszomajowej, a Urban pisał do słuchawki: „Umrzesz, umrzesz!”, i natychmiast się rozłączył, bo to było tak, jakby zadzwonił do Pana Boga, radząc mu zgolić brodę. I na darmo kroczył ulicą Piotrkowską tłum pod czerwonymi sztandarami, na darmo śpiewał: *Bój to jest nasz ostatni, Krwawy skończy się trud...* – bo nie było na trybunie giganta świeżutkiej polskiej komuny, bo gigant stał gdzieś w podziemiu ze staroświecką czarną słuchawką w ręku, i słuchał złośliwego pisku złośliwego szczeniaka...

Czy nie mogło tak być? Czy tak nie było?

I czy nie będzie jeszcze lepiej, jeszcze śmieszniej, jeszcze wspanialej?

Ach, Swoboda Obyczajów, Epoka, Rewolucyjne Wstrząsy i Czasy Powojenne! „– Proszę, Wiktorze, weź soli... Kara śmierci jest przeżytkiem. – Dziękuję, Joanno... W Brazylii topią całe beczki soli, gdy u nas jest po sześć groszy gram. – Zuta, jeżeli chcesz mieć dziecko nieślubne, bardzo proszę! A cóż w tym złego?” To samo plus patos. To samo plus sztandar czerwony od krwi męczenników. Ach, być w awangardzie dziejów!

Właściwie to wcale nie jest śmieszne.

Jest piękne.

*Krew naszą długo leją katy,  
Wciąż płyną ludu gorzkie łzy,  
Nadejdzie jednak dzień zapłaty,  
Sędziami wówczas będziem my.  
Sęęędziami wówczas będziem myyyy!*

I sztandary, rozwiane na wietrze. I bój ostatni.

Ach, być w awangardzie dziejów!

Jest się w awangardzie dziejów.

I wspaniale.

I niech to wreszcie trochę potrwa!

## Dziennikarz

Bohater powieści Tyrmanda marzył o zostaniu dziennikarzem od dzieciństwa, od zobaczenia w amerykańskim filmie „rozpartego za maszyną do pisania Clarka Gable’a: w samej kamizelce, kołnierzyk rozluźniony, kapelusz zsunięty na tył głowy, telefon wbity w ucho i uśmiech niezłomnej przewagi nad resztą świata...”; marzył, osiągnął cel swoich marzeń, i nie żałował. Za każdym razem, wchodząc do redakcji, przeżywał „chwilę gwałtownej radości, czuł się tu zarazem przynależny i wyniesiony”.

W „Obywatelu Kane” dziennikarz, który zaszedł wysoko w swoim zawodzie, lansuje i obala gwiazdy, kształtuje emocje głupich tłumów, zanurza ręce w mętnej wodzie polityki i burzy ją: czuje się niemal wszechmocny. Choć nie jest.

Mit dziennikarza wypełnił dwudziesty wiek. W filmach zawód dziennikarza wydawał się bodaj najatrakcyjniejszy po zawodzie prostytutki. Bohater sowieckiego filmu „Dziennikarz” – tytułowy, oczywiście, bohater – to badał matactwa nad Bajkałem, gdzie poznawał złotowłosą kobietę swego życia, to w niezbyt jasnych dla widza celach snuł się po Paryżu, tęskniąc za złotowłosą kobietą swego życia. Bohater filmu Antonioniego „Zawód reporter” czołgał się po pustyni, zabierał dokumenty nieboszczyka, a podrzucał mu własne, ginął z ewidencji tego świata, zanurzając się w cudzym życiu i w mrocznych tajemnicach handlu bronią – co, oczywiście, nie mogło się dobrze skończyć, ale czy tak pasjonacka ciekawość nie jest fascynująca? Ciekawość równoznaczna z zawodem... A dziennikarze telewizyjni, po czubek głowy oplątani siecią intryg i zależności, biegający po kolorowych studiach, wśród kamer i reflektorów, co krok ocierający się o sławy, jak rekiny walczący o dobry temat (cokolwiek to znaczy), mknący gdzieś służbowymi samochodami, czekający w hotelach na zapowiedziany huragan (albo coś w tym rodzaju)... no i tak dalej, bez końca. Prawdziwi amerykańscy dziennikarze ujawnią aferę Watergate, czyli, poniekąd, obalą prezydenta. Filmowym i książkowym dziennikarzom zdarza się wykryć mordercę, uwolnić uczciwego człowieka od ciężącego na nim, jakże niesłusznego zarzutu, zastąpić niedołączny wymiar sprawiedliwości, dokonywać istnych cudów... mityczny zawód! Fajerwerki w Disneylandzie!

Powiedzmy, że na ogół bywa skromniej. Ale i w peerelowskiej redakcji lat pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych mógł człowieka ogarnąć zachwył. „Redakcja ma swój zapach silniejszy niż plantacje róż, czy rzeźnie miejskie; w istocie jest to tylko zapach starego, niepotrzebnego papieru”. To znowu Tyrmand. Ach, te zakurzone ławice New York Timesów, Ogonioków, Spieglów i l’Expressów, te wiecznie otwarte maszyny do pisania, telefony, zwały biuletynów, ulotek, prospektów, „cyrkularzy Związku Producentów Melasy, Północnych Zjednoczeń Wytwórni Obrabiarek, zaproszeń na koncerty Rhythm Delta Boys, premiery filmów polskiej nowej fali, bale zakładów kosmetycznych „Uroda” i wystawy prymitywów Ziemi Kurpiowskiej; no i zdjęcia, gwiazdozbiory zdjęć, pogiętych, retuszowanych, spadających na podłogi i do umywalni: Caryl Chessman w komorze gazowej, nowy pomnik grunwaldzki, Chruszczow w ONZ-cie, katastrofa w Agadirze i lokalne powodzie, Eichmann i narada w Bukareszcie, szczątki samolotu U-2 w Moskwie i druga strona księżyca, broda Fidela Castro i suknie charlestonowe.”

A w tym wszystkim – szczęście.

Zapach – czy smród – terazniejszości.

Urban nie musiał szukać wzorców w Hollywood, wśród demonicznych facetów piszących w kapeluszach i z cygarami w ustach teksty, mające już za dwie godziny wstrząsnąć światem. Miał ojca.

Ojciec był pozeraczem gazet i twórcą gazet. Na kilkanaście tygodni przed śmiercią przestał czytać gazety, „czyli umarł”. Urban włożył mu – twierdzi – do trumny ostatnie „Życie

Warszawy”. Potem kompania honorowa, orkiestra, trzy salwy – i po życiu. Czyli po wszystkim.

Ojciec czytał i pisał od niepamiętnych czasów. W mglistych i zapomnianych czasach dawnej Łodzi, w ciężarówce, w pociągu, w Sejmie i gdzie popadło. Mieszkanie było zawalone gazetami. Kiedy wzrok mu się popsuł, czytał przez lupę. Kiedy zaczął podchodzić pod śmierć, nie czytał wszystkiego, odkładał na potem, w mieszkaniu rosły stopy makulatury, potem już nie czytał w ogóle, czyli umierał: nie czytać, to umierać.

A dziennikarzowi – Urban powtarzał to wiele razy – dziennikarzowi trudniej umierać niż innym. Człowiek i zawód to w tym wypadku jedno; prawdziwy dziennikarz to ciekawość, paląca ciekawość „co dalej”. Takiemu człowiekowi umrzeć – to jak wyjść ze stadionu w środku meczu, jak nie doczytać kryminału... Odejść przed ogłoszeniem wyników prawyborów w stanie Ohio? Każdy się zgodzi (albo powinien), że to zupełnie co innego niż nie dowiedzieć się, czy na świat przyjdzie wnuk czy wnuczka, albo jaka wiosna będzie w przyszłym roku. Ogół ludzi żyje swoją małą, żalną prywatnością, DZIENNIKARZ – całym światem. Ach, ta radosna pasja, która czyni z życia nieustanny cud: jak będzie? Jak to się rozwinie? Jak się skończy?

Jurek Urban zaczyna od szkolnego radiowęzła.

Potem zdaje na dziennikarstwo, nie dostaje się, ale jest przepis, że syn dziennikarza, jeden co roku, powinien się na dziennikarstwo dostać, a on jest jedyny tego roku, rodzice sprawdzili przepisy, ojciec ma na wydziale znajomych, więc się dostaje.

Długo nie postudiuje, ale przecież nie musi. Wszystko sprawdza się w praniu: marynarka, gacie, człowiek. Rozciągnie się, skurczy albo odbarwi. On się rozciągnie i zabarwi, do kurwy nędzy!

Umie pisać, łapie pracę. Śmiesznie jest.

Praca jest w „Nowej Wsi”, piśmie dla zaangażowanej młodzieży wiejskiej, nawet atrakcyjnym i kolorowym. Można zarobić i pojeździć służbowym samochodem. Ambicjonalnie to nic. Tyle że nawiązuje się kontakty. Jest za co zjeść obiad w Bristolu. Poza tym nudno. Odprawy, dyrektywy, to trzeba napisać, o tym nie wolno... i żeby chociaż o tym, o czym wolno, można było napisać po swojemu! Mowy nie ma: ocenzurują, potną, zgłajszachtują. Próbować przecież wolno.

Ma dziewiętnaście lat, kiedy (założył się) zrobi coś nadzwyczajnego: samozwańczo obejmie władzę w powiecie i opíše to w wielkim reportażu. Udało się. Zrobił to, opisał. Dziennikarski majstersztyk!

Nie wydrukowali.

– Ależ to może być, to miało być na 1 kwietnia, na *Prima Aprilis!* – Ani na *Prima Aprilis*, ani z żadnej innej okazji nie wolno stroić sobie żartów z władzy, z NASZEJ władzy!

Och, dobrze już.

Szkoda pracy, którą w to włożył, ogromnej pracy, ale niech będzie. I nudna jakaś ta władza, nudna aż mdli. Trudno. Nic dobrego nie wydrukują, więc się pisze jak trzeba, ale próbować można.

A jak próby się nie udają, spróbować inaczej. Sprawdzić, czy się dobrze pisze.

Znakomicie! Już wtedy to widać.

Pisze na przykład do naczelnej donos na samego siebie z jednej z niezliczonych delegacji służbowych. Z jakiegoś małego miasteczka. Niagramatyczny, typowy donos: że był tu niby niejaki J. Urban, podający się za redaktora, że po pijanemu powyrzucał hotelowe meble na ulicę, zgwałcił pokojówkę-dziewicę i członka Związku Młodzieży Polskiej w jednej osobie, a potem pobił towarzyszkę kierowniczkę hotelu. Znów się udało. Naczelną aż zasłabła. Nie słuchała jego tłumaczeń, że to taki kawał, że sam to napisał, bo nudno. „Nie chciała w żaden sposób uwierzyć, że mogłem nie demolować hotelu, a nawet nie gwałcić młodocianej poko-

jówki. Twierdziła, że ona się na tym zna i list jest autentyczny, nie do podrobienia. Bardzo mi ta ocena pochlebiła.”

Słowem, pisać umie. Umie, lubi, chce, nie chce niczego poza tym. Byle to, co napisze, drukowano, a ludzie to czytali.

Tu ma pecha. Nie najlepsze czasy i nie najlepsze miejsce mu się trafiły, żeby wejść w dziennikarstwo. Nie zostanie się Tu i Teraz Obywatelem Kane. Ale nie tracmy nadziei.

Czas nie tkwi w miejscu. Właśnie nastąpiło to, co za marną powieścią Erenburga będzie się nazywać „odwilżą”. Tłum ludzi walczy o schedę po Stalinie, wszystkie chwytły dozwolone, a dopóki trwa walka, dopóty prasa trzyma w pysku ochłap wolności. Teraz można zabłysnąć.

Zabłyśnie.

Ma niewiele ponad dwudziestkę i wchodzi do legendy. Nie, jeszcze nie: łapie legendę za kolczasty ogon. Trochę się pokaleczy, ale nie puści. Mówiąc po prostu – zaczyna pisać do tygodnika „Po prostu”, o którym nikt jeszcze nie wie, że stanie się legendą. Ot, organ ZMP, który w 1955 stał się (nowa winieta) Tygodnikiem Studentów I Młodej Inteligencji i zdobył wielką popularność. Na dwa lata: od momentu, w którym zaczęto socjalizm liberalizować (walka o władzę na Kremlu), do momentu, w którym przestano (walka o władzę na Kremlu została definitywnie rozstrzygnięta). W czasie walki o władzę dano się ludziom wykrzyzczeć, po zwycięstwie założono im kaganiec. Jak to zwykle bywa.

*Jesteśmy grupą młodych zapaleńców* – deklarują ludzie z „Po prostu”. *Jesteśmy grupą niezadowolonych – chcielibyśmy więcej, mądrzej i lepiej.* Ach, gorące serce i otwarta głowa: o to nam chodzi! I jeszcze o to, żeby w *naszym kraju* „wszystkie okna były od słonecznej strony”. I – a jakże – o wiekującą gorączkę. Nic letniego nie wydrukują, wszystkie teksty mają mieć *podwyższoną temperaturę*. W sam raz coś dla Urbana.

Urban w to wskoczy.

Chwilowo na Kremlu trwają jeszcze drobne przepychanki, a w Polsce, kraju satelickim, wychodzi tygodnik „Po prostu”, uwielbiany przez młodą inteligencję. Niesłychane rzeczy w nim drukują! Właściwie słychane, ale gdzie indziej albo kiedy indziej. Kilkanaście lat wcześniej albo kilkaset kilometrów dalej: co to znaczy dla ludzi przeżywających swoją młodość Tutaj i Teraz? Dopiero co śpiewali *Bandiera rossa*, skandowali *Sta-lin, Sta-lin* i chcieli wprowadzać sprawiedliwość na całej kuli ziemskiej, aż tu mały łysy aparatczyk wygłosił referat, z którego wynikało, że wszystko dotąd było podłą zbrodnią. Jak on, aparatczyk, dojdzie do władzy, będzie cudnie, ale pomóżcie mu, ludzie. Ach, pomożemy! Ach, to, co dotąd, było podłą zbrodnią, nie mieliśmy pojęcia! Ach, więc towarzysz Stalin był zbrodniarzem i debilem do tego? Ale towarzysz Lenina to nie dotyczy, towarzysz Lenin był święty, po prostu pewien wredny zbrodniarz splugawił jego przeczyste ideały? Po prostu. Ach, PO PROSTU: piszmy w PO PROSTU, kochani! Okłamano nas, zdradzono, ale my teraz napiszemy PO PROSTU całą prawdę, i wszystko stanie się jasne. Niech żyje Lenin, precz ze Stalinem; socjalizm tak, wypaczenia nie; *nasz sztandar płynie ponad trony* – i w ogóle, jak to było? O, tak to było: – *A kolor jego jest czerwony, bo na nim robotników krew. Bo na nim roobootników kreeeeew!*

I cudnie.

Tylko kto tu jest robotnikiem?

Kto lubi robotników? Kto zna robotników? I innych prostaków?

Chyba że Urban. Wieczny reporter z terenu, wieczny specjalista od *spraw krajowych*: najniższe stanowisko w każdej redakcji. Każdy facet z odrobiną polotu i znajomością choć jednego obcego języka wkręci się do *spraw zagranicznych*, i może nawet do Paryża go wysłać na delegację, jeśli tylko podpisze zobowiązanie do wiernej, pokornej współpracy z bezpieczeństwem. Urban nic nie musi podpisywać, żeby pójść w Paryżu do kabaretu. Jest krajowy i tyle. Jest od grzebienia widłami w gnojówce. Tacy się zawsze przydadzą. O to nikt bić się nie będzie.

Może nie zauważono, że w czasach przełomu sprawy miejscowe – *krajowe* – bywają najważniejsze. Wślizgnął się Urban do modnej redakcji i pokazał – nareszcie! Miał szansę, a cenzura zelżała! – że umie pisać. Że cholernie, że kurewsko dobrze umie pisać. Do tej pory nie miał szansy, ale czasy mu sprzyjały. Mógł w końcu (już dwudziestoparoletni – w tym wieku Aleksander władał połową czy jedną setną świata, nieważne, a Cezar płakał, że w jego wieku Aleksander, podczas gdy on, Cezar, ciągle był nikim... nieważne) – mógł w końcu załłysnąć.

Załłysnął „Wyznaniami cynika”.

W druku zrobiono z tego „Wyznania nawróconego cynika”, bo cenzura zewnętrzna osłabła, ale wewnętrzna działała tym radośniej. Zresztą i tak opatrzone tekst uwagą, że jest dyskusyjny, że redakcja niezbyt się zgadza... A o co młodemu Urbanowi chodziło?

O jego święte prawo do gorączki. O jego święte prawo do ośmieszania się. No, śmiecie się ze mnie, śmiecie! Ja WIERZĘ. Albo wierzyłem. Albo jedno i drugie. Lec w swojej fraszce *Gdybym był młodszy, dziewczyno, gdybym był młodszy!* – *No cóż – byłbym w ZMP*, Lec w tej fraszce powiedział wielką prawdę. Ach, cóż to był za czas, ten czas powojenny, „czas podwyższonej gorączki, nieprzespanych nocy”! I czemu tyle zła z tego wynikło? Czemu tyle świństw, tyle podłości musi człowiek robić – nie, nie musi: robi – w imię swojej wewnętrznej, cudownej, płomiennej wiary? Czemu z takim „żarem i entuzjazmem” wypełnia wielostronicowe, bzdurne ankiety? Czemu przyczynia się do wyrzucenia ze szkoły „mądrej, starej nauczycielki”, bo niby była „reakcyjna”?

(Łże jak pies: tak potem powie, i chyba można mu wierzyć. Nie donosił na żadną „starą, mądrą nauczycielkę” choćby dlatego, że nigdy nie miał starej, mądrej nauczycielki. Napisał kiedyś donos na lewaków, których skądinąd bardzo lubił i którym sprzyjał. Tyle że oni go, szczeniaka, nie chcieli. I spotkała lewaków zasłużona kara, wcale nie taka straszna: rozwiązano ich kółko dyskusyjne. Paskudnie i głupkowato postąpił, ale jak by to brzmiało w artykule? Nijak by nie brzmiało i nikogo by nie obeszło. A wykończenie „starej, mądrej nauczycielki” – czy są takie?! – wzruszy czytelników do łez. Wzruszy albo rozjuszy. Dostojewszczyzna, ludzie! Więcej dostojewszczyzny! Umieć pisać, to umieć kłamać, a on, Urban, umie pisać: JUŻ umie.)

„Popelniłem moc bzdur. Ale za to już na tydzień przed 1 maja żyłem w jakiejś gorączce.”

A potem wszystko szarzało, szarzało. Pracuje człowiek w redakcji i próbuje pisać prawdę, ale prawdy nie drukują. Próbuje interweniować, ale skutek bywa odwrotny od tego, o co mu szło. Wszystko w imię wyższych celów, które są przecież jego celami. Nie dano napisać o dziewczynie wyrzuconej z pracy za gruźlicę, dziewczynie konającej na jakimś barłogu w zielonogórskim pegeerze. I o tylu innych sprawach! W imię wyższych celów. Bo wyższe cele były „racjonalne” – a to? Emocje! Odruchy! Uczucia!

„Rozumowo po dawnemu akceptowałem rewolucję, socjalizm, generalny sens tego, co się robi. Ale uczuciowo odczuwałem coraz większą gorycz i pustkę. Człowiek coraz więcej i lepiej rozumiał. I coraz mniej czuł. Na pierwszomajowy pochód szło się bez żadnych uczuć. Z prostego nawyku.”

Zakłamali, stłumili, zabili w człowieku gorączkę! A czymże on jest poza nią?

I jeszcze Pascala młody Urban cytuje: naprawdę jest wtedy młody! *Tak jak można spacyć sobie umysł, można spacyć i uczucie*. Spacyły się jego uczucia w tych złych latach, osłabła jego gorączka podczas tych niezliczonych redakcyjnych odpraw, gdzie się mówiło: „Dzwonili z Zarządu Głównego ZMP” – czyli trzeba napisać o tym a o tym, dokładnie tak a tak, na czwartek. A dziennikarskie, zawodowe sumienie?

Pewien kolega był w Paryżu. Mało tego – był w redakcji „France Soir”, sensacyjnej popołudniówki bez wielkich ideałów i wielkich haseł. I co tam widział? To, co W NAS stłumiono: pasję i gorączkę. Pasię i gorączkę! Sens pracy dziennikarza!



Jest dziennikarzem, więc pisze o sobie: nie wolno? Każdy opowiada teraz o własnym rozczarowaniu i o własnym bólu, o własnych winach i o własnych krzywdach, więc on też: nie wolno?!

Nie bardzo.

Tekst i tu ocenzurują (jak zwykle w imię wyższych celów i wyższych konieczności), zrobią z Urbana-cynika, cynika NAWRÓCONEGO, idiotę z niego zrobią, po raz pierwszy i ostatni poskamlął sobie publicznie, dosyć.

Ale ta zakłamana, przeredagowana, ocenzurowana spowiedź przyniesie Urbanowi rozgłos. Jeszcze nie sławę, a już jej zapowiedź.

I jeszcze jedno mu przyniesie.

Tak, to on, Urban – on pierwszy, przed swoim przyszłym mistrzem, Frakiem – WYPROWADZI SZTANDAR. To on odczyta deklarację rozwiązania ZMP. Deklarację Samorozwiązania Się ZMP. Nie będzie to ani w losach Związku Młodzieży Polskiej, ani w losach Urbana, nic nadzwyczajnego. Ktoś deklarację musiał odczytać (na Kremlu zaszyły zmiany, w krajach satelickich też, może za duże, ale to się cofnie: na razie potrzeba frajera, który się wychyli i nadstawi za zmiany głowę, zanim skoczymy w następny etap – o, jest frajer? Ten z „Po prostu”? Ten nawrócony cynik? Jak się nazywa? Urban?), i tak wyszło, że to on odczytał. Wyprowadźcie czerwony sztandar i wprowadźcie go zaraz znowu, ale wyprany. Rozwiążmy czerwone krawaty, a włóżmy fioletowe. Kupmy sobie białe koszule zamiast zielonych, chociaż to niepraktyczne, bo zielone mniej się plamiły przy obiedzie. Ton grobowy, łzy w oczach, burza braw. Żegnaj, ach, żegnaj, nasza młodości!

Mógł to zrobić ktokolwiek inny, i do końca wieczności nikt by nie dociekał, kto to taki. Ale to zrobił Urban. Fakt z jego biografii. Fakt wagi kamienia węgielnego przy budowie Aten albo fakt wagi cytry Nerona przy paleniu Rzymu. – Wiecie, kto formalnie rozwiązywał ZMP?

– Wiemy, wiemy, Urban.

A ludzie z „Po prostu” przez te dwa lata walczą o współzawodnictwo pracy i cytują Goethego. Wychodzą na spotkanie ludziom z AK (dość niesprawiedliwości wobec podziemnej armii walczącej z hitlerowcami, choć nie walczyła ta armia w imię socjalizmu ani o socjalizm) i ośmieszają religię, tę dezercję sumienia, tę zdradę społeczeństwa, tę klęskę ludzkiej godności. Drukują „Pamiętnik uczennicy”, banalny dzienniczek nastolatki, która to przejmuje się „Młodą gwardią” Fadiejewa (właśnie popełnił samobójstwo), to chciałaby być gwiazdą hollywoodzką, a potem mnóstwo listów wstrząśniętych do głębi (więc taka jest nasza młodość?!) czytelników. Drukują reportaże o nędzy małych miasteczek pod tytułami takimi jak „Tam zapomniano o socjalizmie”. Doszukują się internacjonalistycznej solidarności – o nie, *non omnis moriar!* – w ulotnych chodnikowych piosenczkach (*wszystko robi Murzyn dla Murzyna – dzez bugi ługi, dzez bugi ługi, Gdy w tawernie Murzyn się urzyna – bugi ługi, bugi ługi, dzez!!!*): prawda, jakie to NASZE? Jakie, po prawdzie, czerwone? Walczą z antysemityzmem, który znów ożył i spotężniał jak w każdym okresie przełomu. Bardzo są lewicowi, zaangażowani, płomienni. Bardzo zadowoleni z siebie. W gruncie rzeczy –

No, tak – w gruncie rzeczy walczą z MOTŁOCHEM. Straszne słowo; człowiek, który stanie się wielką, nieuleczalną miłością Urbana bardzo go nie będzie lubić, bo ordynarne, obraźliwe i gwarowe. Za to celne. Ach, toż już Cyrankiewicz – obecny premier, wieloletni premier, żelazny premier – chodził ponoć kiedyś po szkolnych korytarzach, patrząc w dal i recytując Horacego: *Nienawidzę motłochu i gardzę nim!* Miły był w tej swojej ekscentryczności, i „Po prostu” też jest miły w swojej. Może i dlatego Urban czuje się w tym piśmie, które go cenzuruje, zniekształca, podporządkowuje wyższym racjom – racje są raz takie, raz inne, ale zawsze wyższe – czuje się w tym piśmie jak ryba w wodzie. Trochę może mętnej, ale czystszej chwilowo nigdzie nie znajdziesz. Bo ma się tu wspólnego wroga, a jest nim motłoch.

Jak napisał błyskotliwy historyk filozofii, przyszły lew salonowy, przyszły profesor Oxfordu, Leszek Kołakowski: „**Podmiotem głównym antysemityzmu jest motłoch**”. Podkreślił to w tekście. **Motłoch**. Podmiot główny wszelkiego draństwa, wszelkiej zbrodni. „Po prostu” jest lewicowe, bardzo lewicowe, ale to tu po raz pierwszy przestano się przymilać do kochanego ludu pracującego miast i wsi, do po stokroć świętej klasy robotniczej. Nazwano motłoch po imieniu, jak Horacy. Głupcy, masa głupców, głupcy w masie. Ich radosny anty-intelektualizm, ich tępe okrucieństwo, ich wiekuiste zadowolenie z siebie!

„**Uwaga!** – kanalia stoi za rogiem, kontrrewolucja obnaża kły”.

Tak czują, tak piszą.

Urban też pisze.

Lwem salonowym przez to nie zostanie, sławy wiekuistej nie zyska. Staje się trochę znany, coraz bardziej znany, to wszystko. Przekonał się raz na zawsze, że patos nie jest jego żywiołem. On nie będzie pisać groźnie i serio o kanalii szczerzącej zęby za rogiem ulicy, choćby to ludzi poruszało do żywego: spaliliby się ze wstydu. Pozostanie cynikiem. (Nie *nawóconym*, do licha: wszystko, tylko nie *nawróconym!*) Nie najlepsze to w czasach patosu, ale jednak.

Jego największym sukcesem stanie się reportaż *Pamiętnik swata*. (Tłumaczenie francuskie ukaże się w samych *Temps modernes* samego Sartre’a, papieża egzystencjalizmu, bożyszczka epoki.) Nigdy potem nie pozwolił *Pamiętnika*... przedrukować, i słusznie: był taki sobie. Tyle że na tle czasów, na tle ówczesnego dziennikarstwa, na tle prowincjonalnego zacofania... etc. W dodatku nazwisko miał Urban dwusylabowe, łatwe do wymówienia i zapamiętania, więc gwiazdorskie. No, i odniósł swój pierwszy sukces, zapowiadający następne: wywołał skandal, wściekłość i oburzenie. Nigdy nie będzie inaczej, żaden jego triumf nie będzie polegał na powszechnym zachwycie i uwielbieniu. Skandal, wściekłość i oburzenie: jego sposób na robienie kariery. Raczej nie wybrany, tylko wymuszony, ale trudno.

*Pamiętnik swata* został opatrzony nadtytułem „Dozwolone od lat 18 – UOZZ<sup>1</sup>”. Bardzo patetycznie. Zbyt patetycznie jak na reportażyk o fałszywym biurze matrymonialnym, założonym (no, nie: nie założonym, tylko rozreklamowanym) przez autora reportażyku dla zbadania polskiej wizji dobrego małżeństwa. Zatrzymał się dziennikarz Urban w Hotelu Francuskim w Krakowie, dał anons w gazecie, i zaczął przyjmować klientki. Klientów nie, bo anons został sformułowany pod kobiety („... oferty m.in. od dyplomatów, literatów, artystów z kraju i zagranicy. Bezpłatne rozmowy odbywać można w Hotelu Francuskim w dniach...”). Odbił dziennikarz Urban – jako Sylwester Kwiatkowski z Biura Matrymonialnego – serię bezpłatnych rozmów, po czym je opisał – złośliwie, pogardliwie i obraźliwie dla potencjalnych klientek. Pierwszy popis jego nienawiści dla MOTŁOCHU, leitmotiwu wszystkiego, co napisze w życiu. Na razie ma „dwudziestkę z hakiem”, już trochę łysieje, a kariery jeszcze nie zrobił. Próbuje więc czegoś, czego w zgrzebnej polskiej prasie socjalistycznej jeszcze nie było: reportażu uczestniczącego. Cóż, będzie pierwszy. Warto.

I niby nic specjalnego. Ale bezmiar pogardy jest dość świeży. A zarazem – jakże by inaczej? – ZAANGAŻOWANY. Nad Urbanem i nad jego pismem ciągle powiewa czerwony sztandar, trochę tylko przybladły w praniu, a społeczeństwo (mówmy po prostu: motłoch) o niczym tak nie marzy (80% o niczym tak nie marzy) jak o tym, żeby spod czerwonego sztandaru uciec jak najprędzej, choć niekoniecznie jak najdalej. Niemcy Zachodnie wystarczą. Francja, Szwecja, Włochy, nawet Finlandia. Byle to był kapitalizm. Nad Izraelem Polak chwilę się zastanowi, bo problem jest poważny – ale i tak lepsze to niż komuna. Grunt, to się wy dostać.

I po to żeśmy walczyli!

---

<sup>1</sup> Urząd Ochrony Zdudzeń Życiowych

Do takich ludzi krzyczał rozstrzelany francuski partyzant: „Głupcy, przecież to za was umieram!”

I tak dalej, i tak dalej, bez końca. Poczytajcie Malraux albo Reeda, w ogóle cokolwiek poczytajcie.

Ale ci drudzy (motłoch) nie czytają, nie słyszeli, nie widzieli, nie wiedzą.

Bo w ogóle jest tak: jesteśmy my i motłoch. Ciężko to przyjąć do wiadomości. To boli. Ale trudno. Tak już jest.

Więc taki oto jest motłoch, żeński w dodatku.

*W „Hotelu Francuskim” na pierwszym piętrze, na korytarzu, stało kilka panienek w wieku od lat 17 do 70. Chichotały – te młodsze, a te starsze przestępowały z nogi na nogę. Były wy-elegantowane jakby szły na Boże... Ciało.*

Wielokropek trudny do zrozumienia, ale może tam i wtedy coś znaczył.

Oto dwie rozwiedzione, nieudane artystki z dziećmi. Kogo by chciały za męża?

O nie, nie Gerarda Philippe’a ani Churchilla! Kogokolwiek, byle w Australii! Byle kogo, ale w Australii! Toż tu nie ma z czego żyć, nie ma żadnych perspektyw dla dzieci... „Za wszelką cenę... jedyna szansa... każda droga dobra... aby tam...”

Inne podobnie. Wyjechać! Wyrwać się z Polski! Tam może człowiek odbije się od dna, tu nigdy!

– Puszczę gotoweśmy karczować!

– Nawet, gdyby trzeba było wyjść za Żyda? – pyta złośliwy Urban, i tu kobiety się peszą. To straszna decyzja. No, do Izraela można wyjść za męża, „byle nie za Żyda”. 70% odmawia. To już lepiej zdechnąć w nędzy i samotności. Byle nie z Żydem. Nawet gdyby był bogaty, potwornie bogaty? To trzeba by się zastanowić. Nie mogą odpowiedzieć zaraz. Wyjdą i może wrócą. (Nie wrócą.) Za amerykańskiego reżysera filmowego – wojującego ateistę? No, to już łatwiejsze, chociaż potwornie trudne. Ale w ogóle – po co im coś takiego? Chcą zwykłego, uczciwego człowieka z Australii, Francji albo USA. Byle nie robotnika, na takie poniżenie nie zgodzi się żadna uczciwa kobieta: byle nie za robotnika ani Żyda. Ale pieniędzy mieć nie musi. Żadna nie szuka bogacza. Byle wyrwać się z tego potwornego kraju. A jeśli się nie da stąd wyrwać – to zdobyć mieszkanie. Znaleźć takiego faceta, żeby się razem miało dach nad głową i ciepły kąt. Bo z mieszkaniami... przecież wiadomo, jak jest z mieszkaniami!

No, bo jest tak: ma jedna z klientek sublokatorską klitkę. Spotka się z kimś z biura – wezmą na języki i życie zmarnują. Kogo innego nie pozna, bo ludzie niezamężnych kobiet nie zapraszają. Nawet do kina sama nie pójdzie, bo nie wypada. Nigdzie nie pójdzie. Nigdy nikt nie pozna poza biurem, a o biurze nawet mówić nie warto. Jej mieszkanie zajął ubek, i co zrobić? A jakże, próbowała coś zrobić, chodziła, pisała, starała się. Kwaterunek wydał pozytywną opinię, i ubek miał się wyprowadzić. Ale zainterweniowało szefostwo ubeka, napisało, że „...ob. por. X. jest naszym pracownikiem, wobec tego decyzja jest bezpodstawna i należy ją anulować”. Zaraz potem anulowano UB. Porucznik X już nie jest ubekiem. Jeszcze gorzej: kto mu wobec tego da mieszkanie zastępcze? Przecież na bruk go nie wyrzucą! Głową muru nie przebijesz. Jedyna rada – małżeństwo.

Żaden problem – zaciera ręce Urban-swat – „taka to złapie każdego!” A Urban-dziennikarz trochę się gorszy, i dzieli włos na czworo, i zaczyna myśleć: „Czy lepszy tu byłby nikt niż każdy, czy może lepszy każdy niż nikt...”

A ta dziewczyna, która miała wyjść za kolegę z biura, więc siedli i zaczęli liczyć zarobki? Ją szef już obiecał wyrzucić, bo niby małżeństwo nie mogło pracować w tej samej instytucji (nieprawda: przepis zabraniał tylko małżeńskiej zależności szef – podwładny, ale kto tam się na tym zna, zresztą kierownik wszystko może...). Siedli zatem i zaczęli liczyć, czy by wyżyli na początek z jego pensji (1056): nigdy! Nawet na mięso i światło by nie starczyło! No, więc

dziewczyna chciałaby kogoś podobnego do narzeczonego (oto zdjęcie), ale żeby starczyło im razem na mięso, światło, czynsz, bułki i podzelowanie butów. Nie musi to być w Australii.

A księgowa z dzieckiem, która chce dać dziecku TATUSIA? To taki dobry, miły chłopczyk, można ją z nim śmiało brać! Cudnie będzie! Pokój jest: wstawi się nowe łóżko i da się zrobić stojącą lampę nad stołem. „Jak wrócimy z biura, Krzyś będzie odrabiać lekcje. Puści się radio. On czytać będzie gazety, ja książkę czy za cerowanie się wezmę. W sobotę do kina można pójść... Albo gdzie do jego znajomych, bo ja to mam mało znajomych, a tak poznam nowych ludzi i Krzyś też.”

Oto przedstawicielka kilkunastu pań z biura: spisała je i przyszła do biura matrymonialnego, bo najśmielsza. Nawet pismo polecające od rady zakładowej załatwiła. Że niby wszystkie wymienione obywatelki są moralne, pracowite, i w ogóle „stanowią doskonały materiał na żony”.

I w ogóle żalność, szarość i beznadziejność. Syf, jak się zacznie mówić dwadzieścia lat później. Cholerne życie, i co zrobić? Może ktoś pomoże?

Miał ktoś pomóc, ale to był tylko Urban. Oszust, i w ogóle – o to mu tylko chodziło, żeby śmiesznie wyszło w druku. Wyszło tak sobie.

Bo – rozumiecie – tych 38 bab, z którymi gadał, to naprawdę był najgorszy motłoch! Coś, czego nienawidził! Pyta taką o zainteresowania, to mówi, że „książki”. Pyta jakie, to mówi, że „w ogóle”. Przypiera ją do muru, że nie ma książek „w ogóle”, to mu taka idiotka wyznaje, że Orzeszkowa! Główny temat zainteresowań jego ówczesnej, świeżutko poznanej, Wieśki Grocholi, która jakąś pracę o tej Orzeszkowej pisze („Tu czynię ukłon w stronę pewnej osoby, która to tylko jedna jedyna go zrozumie”), a zaraz złapie go na dziecko, wciągnie w niechciane małżeństwo, i w ogóle w coś takiego, że napisze Urban kiedyś w felietonie, z ciągle równie żywą furią – „Orzeszkowa, pies ją dmuchał”. (Znienawidzi bardzo dobrą pisarkę z powodu jakiejś dziewczyny *łowiącej na żywca*, jak mówią wędkarze, bo dziewczyna tę pisarkę czytała: ludzkie.) Kto by – myśli sobie Urban, jeszcze nie złowiony na żywego robaka, miotającego się na haczyku – kto by czytał klasykę? Lektury szkolne? Jeśli ktoś twierdzi, że to właśnie lubi, łże jak pies, analfabeta jeden. Gdyby mu Francuz powiedział, że lubi Victora Hugo albo Balzaka, też by wiedział, że to analfabeta. ON, Urban, czytywał wówczas króla reporterów, Egona Erwina Kisch, i gdyby mu któraś z tych 38 idiotek powiedziała, że ona też, że ona właśnie, to kto wie, jak by potem wyglądało jej i jego życie. Żadna. No, motłoch potworny! Dno!

Bo on, Urban, zaczytywał się właśnie „Szubieniczną Toni” (inaczej: „Tońką Szubienicą”), i obsesyjnie, no, obsesyjnie był tym tekstem Kisch, urzeczony, i szukał wszędzie tej ostateczności, tego szaleństwa, tego dramatu... Każdemu człowiekowi jego królestwo niebieskie, więc Tońce Szubienicy – wieczność w luksusowym burdelu z blond Willym, przy gramofonie; czemu nie, jeśli zgodzi się niebieski asesor?

Tak, każdy człowiek marzy sobie o własnym niebie i raj, – tyle że w niebie Szubienicznej Toni był jakiś patos, była jakaś wielkość, a tu? Jeden pokój więcej! Żeby z pracy nie wyrzucili! Ojciec dla dziecka! Piwo i kino w sobotę! Odbić się od dna w Australii czy w Stanach! Małość, małość, nicość! Motłoch! Raj szarych, nudnych nędzarzy!

Bardzo był jeszcze młody i szczery. Napisał coś, co mu przyniosło pierwszą, świeżutką sławę, jej zaczątek, jej przebiśnieg czy krokusik, ale do przedruków, do przypominania w przyszłości, w coraz świetniejszej przyszłości, to się nie nadawało.

Polska była nędzna, szara i nieszczęśliwa. Polska (via jej 38 najodważniejszych przedstawicielek) chciała uciekać na Zachód – albo chociaż dojść do własnego mieszkania, żyć w zgodnym, katolickim małżeństwie, i żeby na mięso do obiadu starczyło. Polska nie była komunistyczna ani antykomunistyczna: chciała świętego spokoju, dachu nad głową i piwa. (Och, jak on nie znosił piwa!) Nienawidziła polityki (mąż miał być apolityczny, koniecznie!)

Nie miała – jak on, Urban – wielkich ambicji, nie chciała „przeobrażać świata”; w ogóle nie chciała niczego wielkiego. Dość się nacierpiała. Trochę spokoju po tylu koszmarnych latach, tego chciała. I mieszkania, i kotleta, i kufla piwa, i odczepcie się od nas wszyscy, jeśli już nie da się zaczynać od zera w Australii, bo nie wypuścicie! Własny kąpiel, ktoś bliski, gazeta czy książka (a tak, Orzeszkowej, bo co?), mieć z czego żyć, paru znajomych, kościół – no i już, i chociaż do tego się nie wtrącajcie, dajcie pożyć!

To miał być raj.

Urbana oburzało, że czyjkolwiek raj może być taki mały. Taki nędzny. A czerwony sztandar, to co? A *Wyklęty powstań ludu ziemi*? To był wyklęty lud ziemi, ale już mu się ani chciało powstawać, zmieniać świat: inni próbowali to robić w jego imieniu, piękne dzięki i nigdy więcej! Pomóżcie nam trochę, bo strasznie żeście nas skrzywdzili, pomóżcie trochę, wygońcie ubeków z mieszkania, dajcie wyjechać do Australii, jeśli ktoś młody i bardzo chce, a poza tym – róbcie sobie, co chcecie, i nam dajcie pożyć, życie takie krótkie.

Lubicie marsze wojskowe, to sobie maszerujcie. Lubicie sztandary, to je sobie noście. A nam dajcie odetchnąć.

Dla Urbana to był wstrząs, szok i jak go zwał, tak go zwał. Oczywiście.

Jak dla wiejskiego proboszcza z powieści Bernanosa: wyobraża sobie młody zapaleniec zbawianie ludzi, wyobraża sobie ich gigantyczne grzechy – i one są gigantyczne, są straszne, tylko świadomość do nich nie dorosła. Myśli sobie młody księżulo, że ludzie będą się spowiadać z utraty wiary i z podszeptów szatańskich, cudownie świadomi swoich win, pewni, że miotają się między niebem a piekłem – a on ich poprowadzi, a on im pomoże. Nic podobnego. Przyjdą do konfesjonału (to znów Wielkanoc? Jak ten czas leci!) tępaki i krety, wybełkoczą, że od ostatniej spowiedzi siedemnaście razy przeciw siódmemu, a osiemdziesiąt trzy przeciw drugiemu, albo odwrotnie, kto by się w tym połapał, i jeszcze coś przeciwko trzeciemu, chyba sześć razy... no, i zadaj trzy zdrowaśki, i rozgrzesz, idioto, bo napiszemy do biskupa!

Tutaj tak samo.

Tyle, że tu 38 bab się trafiło, więc można zagrzmieć antyfeministycznie, niekoniecznie przeciwko całej ludzkości. To tylko kobiety nie chcą od życia „ani pieniędzy, ani luksusów”. To one nie chcą żadnych „złud”, niczego ponad pracę, dom, książkę, cotygodniową rozrywkę, dzieci. Minimalizm dążeń! Rezygnacja życiowa! Bankructwo! Na miłość boską – spokoju, spokoju i trochę lepszego życia! Tego chcą.

Więc się ich nienawidzi.

Jak osiemnastolatka – to „kurzomóźdzkowa szczebiotka”, sekretarka oczywiście, tfu! Jak po dwudziestce, to „energiczna, kanciasta”, jak zaczyna mówić, to jakby „nacisnęła spust wmontowanego w kości twarzowe karabinu maszynowego”. Jak jeszcze starsza, to „babcia”. Zęby żółte, usta wymalowane, palto „sraczkowate”, koszmar, ciarki chodzą po krzyżu, koszmar, koszmar, wszystko koszmar! Nienawidzi Urban kobiet, i trudno mu to ukryć. Poza Tońką Szubienicą czy Szubieniczną Toni, tą fatalną, tą od wiekiściego gramofonu w wiekiście, jedwabistym, lustrzany-pluszowym burdelu, tą tak dobrze opisaną. On tak dobrze nie opisuje. Może powinien zostać pedalem (akurat! Mężczyźni też obrzydliwi!), ale to nie było w jego środowisku przyjęte. Nadal nie jest, choć co krok się takich spotyka. Więc pedalem nie jest i nigdy nie będzie, chociaż, wiecie, kobiety...

– *Panie, żeby był tylko przystojny i mądry!*

– *Ba, mądry, to takie względne pojęcie i trudny warunek, proszę pani...*

– *No, mądrzejszy ode mnie.*

– *Aha – odetchnąłem z ulgą.*

A inna chciałaby jakiegoś dyplomate, katolika, wysoce kulturalnego...

*I gdzież ja jej biedaczkę znajdę dziś kulturalnego dyplomate, a do tego katolika?*

No tak: jest Urban zabawny. Ma poczucie humoru. W końcu to rok 1957.

Rok 1957 i kończy się zabawa w wolność. Jeszcze parę tekścików, jeszcze parę numerów „Po prostu”, a teraz szlus. Zamknie się pisemko (Gomułka osobiście każe zamknąć – w końcu był przedtem Pierwszy Zegarmistrz Ludowej w ZSRR i przywiózł stamtąd cały wór wskazówek, jak dowcipkują ludzie), będą nawet z tego powodu zamieszki (niesłychane, zamieszki z powodu gazety, której nie pozwolono wychodzić), trochę się demonstrantów spałuje, trochę poaresztuje, i będzie spokój. Na długie lata nastanie teraz spokój.

Dla Urbana też: ma zakaz druku. Komuś się tą pisaniną naraził, kogoś za bardzo zdenerwował. Nie on jeden, ale bodaj bardziej od innych. Wytną mu z życia cztery lata: nie pierwsze, nie ostatnie.

Władze zamknęły „Po prostu”, a uruchomiły (tuż przedtem zresztą) „Politykę”. Ośmiu członków KC w redakcji! Pomysł Gomułka: stłumić wściekłych z „Po prostu”, zrobić partyjne pismo, tnące, jak należy, po skrzydłach: ani za lewakami i cynikami (choćby nawróconymi), ani za konserwą i zamordystami. I żeby mi to było dobre, czytane pismo!

Na początku jest nudnawe. Ale ośmiu członków KC zaraz znika, a szefem zostaje M.F. Rakowski, człowiek znikąd. Albo i nie znikąd: widywano go w kabaretach, w których posępna młodzież „tarzała się w bólu istnienia z piskiem rozkoszy”. Podobał się tam, eleganckim, tak wytwornym, jakby chodził we fraku, nie w garniturze, otoczony panienkami, kochliwym i wielbiącym sztukę. Ponoć oficer od ideologii lub czegoś podobnego, ale kogo to obchodzi? Ci z piwnic i z kabaretów, ci tarzający się z rozkoszą w bólu istnienia, nazwali go „Frakiem”, bo i z nazwiska to wychodzi, i tak do niego pasuje. Po dziewięciu latach Agnieszka Osiecka, jedna z gwiazd tych podduszanych teraz cichutko i łagodnie, mokrą ścierką, bez krzyków, „piwnic” i teatrzyków studenckich, napisze do niego w noworocznej karteczce:

*Dziś, gdy Tradycji trzeba tak –  
przyda się grat, bibelot, FRAK...*

Ściśle mówiąc – FRAKO. Od „F. RAKowski”. Ładnie i oryginalnie. W ogóle spodoba się ten facet, który wyskoczył znikąd, wygryzł w mgnieniu oka ośmiu członków KC, i zaczął robić całkiem dobre pismo. Naprawdę dobre pismo! Z partią, z jej wierchuszką ma dobre układy, musi mieć, ale w środowisku też tkwi po uszy.

Coraz więcej ludzi czyta „Politykę”. To nie efemeryda jak „Po prostu”, to coś wszystkimi łapami tkwiącego w partyjnym czarnoziemiu, ale inaczej przecież nie można. Czegoś się ludzie nauczyli. Realia to realia. A dziennikarzy Frako ściga najlepszych, ma do tego dryg. Na ogół bezpartyjnych. Kiedy bezpartyjni błyskotliwie, dowcipnie i na luzie popierają linię partii, to jest coś!

Dobre, ciekawe pismo. Świetny facet. Jedno i drugie –NUMBER ONE!

Urban tymczasem dorabia jak może. Ożenił się po mieszczańsku z dziewczyną (tą od Orzeszkowej), która zaszła w ciążę i przerwać jej nie chciała, ma dziecko (z każdym dniem nienawidzi dzieci coraz bardziej: zakała ludzkości!), podjada u rodziców, pisuje teksty dla radiowego koncertu życzeń („...życzenia imienninowe śle mamusi córka z zięciem i szwagier z pociotkiem”), układa reklamy, robi analizy rynku, pisuje za innych, pisuje byle co pod pseudonimami – pisuje, pisuje i pisuje. Nic innego robić ani nie umie, ani nie chce. Przede wszystkim nie chce. Jest dziennikarzem i tyle. Bynajmniej nie w stylu Clarka Gable. Nie siedzi w kapeluszu, z nogami na stole, przed maszyną do pisania i z telefonem przy uchu. Biega po mieście, łapie chałtury, wysyła swoje artykuły i reportaże na wszystkie możliwe konkursy („Tekst proszę opatrzyć godłem, a w kopercie oznaczonej tym samym godłem proszę podać: nazwisko, imię, adres, wiek”... etc.), nigdy nie wygrywa, pisze za kogoś książkę (zysk pół na pół – może i gorzej), a czas mija. Cholernie szybko mija! Rok za rokiem!

Wydaje się, że wieki całe temu napisał w „Po prostu” swoje credo: *Pełnia ludzkiego szczęścia leży w podwyższonej temperaturze. Odwrotnie niż w medycynie. Pocieranie termometru nie pomoże. Jak osiągnąć gorączkę? Chciałbym to wiedzieć również na własny użytek.*

Teraz nie ma mowy o gorączce i pocieranie termometru nic nie pomoże: trzeba jakoś przeżyć. I wypłynąć na powierzchnię. Ale to się nie udaje; bardzo długo się nie udaje.

Wreszcie pewnego słonecznego dnia, w ogródku restauracji dziennikarzy (wstęp – w zasadzie – za legitymacją Związku Dziennikarzy lub któregoś z bratnich związków twórczych), do samotnie coś jedzącego i pijącego Urbana podejdzie sławny, wielki i wyniosły Mieczysław Franciszek Rakowski, zwany Frakiem. Przysiadzie się na chwilę. Nie powie, że zna go z „Po prostu”: „Po prostu” nigdy nie istniało. Ale był w jury jakiegoś konkursu ogłoszonego przez jakieś prowincjonalne piśmko. Podobał mu się tekst, który tam Urban wysłał. („Tekst proszę opatrzyć godłem, a w kopercie oznaczonej tym samym godłem proszę podać: nazwisko, imię, adres, wiek”... etc.) A teraz (wiedziony zapewne przez Ducha Świętego) rozpoznał autora („Tekst proszę opatrzyć godłem...”) w facecie, siedzącym przy knajpianym stoliku, i byłby skłonny zaproponować mu współpracę. „Gdyby pan mógł czasem coś napisać dla «Polityki»...”

Cóż, czas mija, układy się zmieniają, cuda się zdarzają. Byle nie tracić nadziei. Niejeden tonący wypłynął na powierzchnię.

W ogóle – będzie jeszcze śmiesznie.

Nawet sobie człowiek nie wyobraża, jak bardzo będzie śmiesznie!

## Frako i jego ludzie

Urban Superstar wydał przyjęcie urodzinowe dla żony. Na okładkach zaproszeń roześmiana twarz żony została wmontowana w Wenus Botticellego. W tle różowy poranek. Narodziny Wenus! Żona Superstara stoi na fioletowej muszli, zasłaniając od niechcenia pasmem przedługich, płomiennych włosów to, czego w tak niewinnym i promiennym ciele nie można nazwać inaczej niż „lonem”; zza muszli widać malutkiego, cynicznego Urbana w niebieskich kąpielówkach w paski. W środku tekst:

*Mija czterdziesta szósta rocznica  
skutecznego odejścia wód płodowych mojej matki.*

*Z tej okazji zapraszam  
na jedzenie, picie i tańce do hotelu Victoria,  
knajpa „Opera” (dawniej Czarny Kot) w podziemiach.*

*Piątek, 14-tego marca 1997 roku,  
od godziny 20.00.*

Tu podpis: *Małgorzata Daniszewska.*

Nie ma generała Jaruzelskiego: leży w szpitalu. Nie ma fotografów: wszyscy tu cenią dyskrecję. Jest kaszanka, śledzik, wódka, wino. Mówi się o cenie Bentleyów i o twardym postawieniu sprawy na ostatnim zebraniu rady nadzorczej. Po sali snuje się cień w garniturze i krawacie, cień z popielatą, pomarszczoną, uśmiechniętą twarzą: Frako. Mieczysław F. Rakowski, zwany w skrócie Frakiem, były premier, były pierwszy sekretarz rządzącej partii, były władca dusz polskiej inteligencji (redagował „Politykę”), były szef Superstara, którego od upadku komuny Superstar – jak lojalnie! – dofinansowuje i wspomaga. To stary Frako powiedział kiedyś, rozwiązując rządzącą partię i kończąc karierę: „Sztandar Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – wyprowadzić!” Jest tu dzisiaj, bo właśnie wyszedł ze szpitala. Zaraz znów wróci do szpitala, widać to po nim. Chodzi, uśmiecha się, rozmawia. Z kuchni przyniesiono golonkę na gorąco. Przygasają światła, pojawiają się półnagie tancerki w piórach i koronkach. Solistka świetnie tańczy. Wspaniale. Potrząsa nagimi piersiami nad golonką gości Urbana, trzepocze sztucznymi rzęsami, rozchyła purpurowe usta, w piekielnym tempie wyrzuca nad głowę nogi w siatkowych, burdelowych pończochach. Muzyka ogłusza. Mimo to słyszę za sobą jakiś męski głos:

– Biedna dziewczyna! Tak samo mi jej żal jak starego Fraka!

Komu przyszłoby kiedyś do głowy żałować starego Fraka? Był potęgą! Człowiek wiekuiściego sukcesu. Przystojny, elegancki, błyskotliwy i z układami. Nie do ruszenia. Ciągły premier *in spe*, władca *in spe*; w końcu już nie *in spe*, ale – wydawałoby się – naprawdę. I co z tego zostało? Zgodnie z logiką dziejów to on powinien wydawać dziś takie przyjęcie. Nie, on nigdy nie wydałby TAKIEGO przyjęcia. U niego śpiewałaby pewnie Francuzka w czarnej sukni, a podawano by kawior, nie kaszankę. Zdetronizowany król na wielkiej fecie u zwycięskiego, szlachetnego i wiernego Stańczyka. Kto by pomyślał? Świat naprawdę stanął na głowie!

Mieczysław F. Rakowski, zwany Frakiem, został w roku 1958 redaktorem naczelnym piśmie „Polityka”. Sam to nazywał swoim „pojawieniem się na politycznej scenie Polski”. Piśmo – tygodnik Komitetu Centralnego PZPR, z czerwoną winietką, ze sztandarem i hasłem



„Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się” – miało być kolejnym krokiem na drodze do władzy. Stało się głównym dziełem życia Fraka. Niemal niechcący i wbrew jego woli. Każdy kolejny rok kierowania „Polityką” był rokiem straconym. Karygodnym opóźnieniem. Małą klęską. Wszyscy – w prasie, w aparacie partyjnym, w modnych knajpach i barach, w każdym liczącym się miejscu – wiedzieli i mówili, że Frako chce być premierem albo Pierwszym Sekretarzem. Niektórzy przypuszczali, że Frako specjalnie tak to swoje pragnienie nagłaśnia i przekazuje w świat: nawet rozsądnie, inaczej może nikomu nie przyszłoby do głowy uważać go za kandydata do najwyższej władzy. Niestety, „wszyscy” wiedzieli też i mówili, że Frako nie ma szans. Ruscy go nie lubią. Ruscy nigdy się na niego nie zgodzą. Za liberalny jest Frako, zbyt „socjaldemokratyczny”, zbyt „reformatorski”. Niektórzy przypuszczali, że to również puszcza w świat sam Frako. Ostatecznie ani w prasie, ani w aparacie, ani w modnych knajpach i barach, ani w innych liczących się miejscach nie lubiło się Ruskich. Byli dopustem bożym, byli koniecznością równie oczywistą jak konieczność wschodu i zachodu słońca, jak konieczność następowania po sobie pór – ale gdyby zimy były łżejsze, wiosny pogodniejsze, jesień bardziej słoneczna... To już nie jest absurdem i niemożliwością. Kto by się kiedyś spodziewał Dwudziestego Zjazdu? A tu proszę, stało się: pozmieniały się układy, potasowali ludzie, zmieniła obsada ról. Jakby w Sowietach doszli do władzy reformatorzy, jakby się tam zmienił kurs, kto wie, czy Frako nie zostałby tym, czym chce być. Aparatowi raczej by się to nie podobało, straszne tam ćwoki siedzą, prostacy i zakute łby, ale elita – tak, elita byłaby zadowolona, mając na szczycie władzy swojego Fraka. Swojego człowieka, jak to się mówi. I może nawet coś sensownego zrobiłby Frako, gdyby się na te szczyty dostał. Poczytajcie „Politykę”, toż to tezy programowe Fraka, przedstawiane i przypominane co tydzień, miesiącami, latami, o wiele za długo, ale na wschodzie ciągle mróz, i trzeba być cierpliwym. Cuda się zdarzają. Może, kiedyś.

Urban jest „człowiekiem Fraka”, teraz i zawsze. Wierny z niego człowiek, a wierność bywa w polityce równie wielką cnotą jak niewierność. Wszystko zależy od układu okoliczności.

W „Polityce” nie było Boga poza Frakiem, a Urban stał się jego prorokiem.  
„Zawsze się go bałem” – napisze później.

No nie, nie był od razu prorokiem! Robienie kariery też zajęło Urbanowi lata całe, też wlokło się to jak ślina z pyska buldoga, też mu szło jak po grudzie. Bo w końcu kim był, kiedy go wzięto do „Polityki”? Młodym człowiekiem, który pisywał w kolorowym, nawet atrakcyjnym, nawet czytany w miastach piśmie dla rolników, „Nowa Wieś”. Żarliwym – może przesadnie żarliwym? – zetempowcem, który uroczyście odczytał w 1956 deklarację samorozwiązania się ZMP, a pisywał jako cynik w „Po Prostu”, najmodniejszym czasopiśmie roku przełomu. Tyle że pismo rozwiązano, i mógł się skończyć jak inni naiwni. W „Polityce” nikt w nim nie widział przyszłej gwiazdy. Dopiero po pewnym czasie zatrudniono go na stałe, dopiero po dużo dłuższym czasie zdobył łaski Fraka, choć nie aż takie łaski jak Passent czy Radgowski. Ot, dziennikarz działu krajowego, bez „języków”, nie wysyłany do Paryża ani do Waszyngtonu, powolutku zdobywający popularność (pisać to on umiał!), ale gdy przyszedł moment triumfu, gdy go w plebiscycie czytelników wybrano jako najlepszego – nie ogłoszono wyników, bo już był wylany i z zakazem druku. Samemu Pierwszemu podpadł (tak się mówiło „w kręgach”: po pierwsze mówiło się „w kręgach”, poza tym – o Pierwszym Sekretarzu PZPR „Pierwszy”, o Związku Radzieckim „Związek”, o jego mieszkańcach „radzianie”, o Domu Partii, siedzibie KC, „Biały Dom” – itd., itp.), tak podpadł, że Frako osobiście musiał się stawić do Pierwszego „na dywanik”. Potem pisał Urban pod pseudonimami, znikł „ze szpalt”, no i w ogóle – tak samo mu nie szło jak Frakowi. Czas był przeciwnikiem ich obu, czas im nie sprzyjał, stary Saturn stał im okoniem. Ale Frako był lojalny. Co musiał zrobić, to robił, kazano Urbana wyrzucić, to go wyrzucał, można było przyjąć na nowo, to przyjmował:

mało, że był porządnym człowiekiem, mało, że umiał się poznać na cudzym talencie i przydatności (czy ktoś taki nie powinien rządzić krajem?), był opoką. No tak. Mniej więcej tak było.

Mijały lata, na wschodzie trwała sroga zima, i ciągle nie nadchodził czas Fraka. Tak, był powszechnie znany, był popularny, około miliona ludzi czytało co tydzień, latami, jego „Politykę”, i niemal każdy wielkomiński inteligent wiedział, że Frako chce być premierem albo Pierwszym Sekretarzem. Tyle że czytelnicy – inteligencja, głównie „techniczna” – nie byli ludźmi mogącymi wnieść Fraka na ramionach do Białego Domu. (Do tego w *dymach pożarów, w kurzu krwi bratniej* – tak, jak się to zwykle robi.) Tu przydałby się – w sprzyjającej konfiguracji politycznej, rzecz jasna – LUD, a z LUDEM grupa Fraka nie miała nic, ale to nic wspólnego. Do LUDU trafił, przemówił, spodobał się Urban. Błazen, żartowniś, ekscentryk i Żyd do tego. Ale kto by to przewidział?

Lata mijały, składając się wręcz w dziesięciolecia, a szansa wciąż nie nadchodziła. Frako robił może najlepsze pismo w Europie środkowej, może jedno z najlepszych na świecie, ale do władzy ani trochę to nie przybliżało. Frako był jednym z pierwszych w komunizmie mężczyzn, który dał się ostrzyć brzytwą, „na zamsz”, i nosił do tego świetną zamszową marynarkę. Frako był fotogeniczny, miał dobry głos i wyborną dykcję. Miał grupkę oddanych pretorianów. Ożenił się z najsłynniejszą polską skrzypaczką, w której kochał się ponoć sam żelazny, „wieczny” premier, Cyrankiewicz (czy to dobrze, czy źle?), a potem z bardzo zdolną aktorką, której prowincjonalny debiut stał się sensacją dekady (grała w „Smaku miodu” Shelagh Delaney, w Teatrze Wybrzeże, i prosto stamtąd wziął ją sam Wajda do kolejnej supermodnej sztuki, amerykańskiej tym razem, z męską gwiazdą numer jeden, Zbyszkiem Cybulskim za partnera). Był inteligentny, był wykształcony, był czytany. On jeden był na swoim miejscu i w Komitecie Centralnym, i wśród pijanych artystów. Bywał na plenach i w kabaretach. Był właśnie tym, czego brakowało w nudnym i płaskim politycznym pejzażu jednego z wielu krajów podporządkowanych Rosji. Rosji akurat komunistycznej, przy czym czerwony kolor miał w dziejach imperium znaczenie dość przelotne i błahe. Brakowało Fraka w tej nudzie i szarości, brakowało go jak kwiatka przy kożuchu. Miał swoje układy i na szczytach partyjnej władzy, i wśród kpiących ze wszystkiego, wiecznie niezadowolonych kabaretowych błaznów.

*...Dziś, gdy Tradycji trzeba tak –  
przyda się grat, bibelot, FRAK... –*

– pisała o nim, do niego, łasząc się, w 1966, muza i królowa kabaretowych błaznów Agnieszka Osiecka.

Zresztą wszyscy się do niego łasili. Lubił to. Strasznie lubił! To była jego słabość. Wszyscy ją znali, wielu z niej kpiło, wielu z niej korzystało. Wystarczyło przymilić się do Fraka, obsypać go szaleńczymi komplementami (im bardziej absurdalne, tym lepiej), a można było wiele załatwić, bardzo wiele. Doktoryzował się z niemieckiej socjaldemokracji, i bardzo go niemiecka socjaldemokracja ceniła. Załatwić komuś ze *swoich ludzi* wstęp niemieckiego kanclerza-legendy do książki, którą ktoś z jego ludzi chciałby wydać na Zachodzie, to było dla niego tak łatwe jak dla prostaka splunięcie. W Ameryce też miał układy. Prezydent Kennedy przyjmował go u siebie prywatnie, z samą Jackie Kennedy pływał Frako żaglówką. („– Zerznąłeś ją wtedy? Przyznaj się: zerznąłeś ją na tej żaglówce?!” – pytali potem warszawscy prostytutki, a Frako uśmiechał się tajemniczo.) Elegancki, światowy, błyskotliwy: taki był Frako. Wór zalet!

*Błękitny blondyn, prawie Szwed,  
nie z Jałty i nie z Watergate.  
To był bywalec wyższych sfer –  
redaktor, doktor MFR –*

– pisała o nim, do niego, wciąż się łaszcząc, Osiecka w 1977. Doprawdy, w oczach swoich ludzi Frako był istnym cudem! Że też lud tego nie rozumiał!

Ano, nie rozumiał. I mowy nie było, żeby go kiedyś w *dymach pożarów*, w *kurzu krwi bratniej* wniósł do Białego Domu.

Wiele atutów miał Frako, i tylko jednego, najważniejszego mu brakło: nie fascynował.

Wszyscy świetnie wiedzieli, czego mogą się po nim spodziewać, i nigdy ich nie zawiodł. Nie musiał zresztą. Ale żeby im tak dał cień wątpliwości!

Nigdy nie był dla nikogo zagadką. Urban tak (jutro czmychnie do Ameryki i wszystko opisze w pamiętnikach, jutro okaże się szpiegiem NATO, w ogóle kto go tam wie?), Jaruzelski tak (ach, co się kryje za tymi czarnymi okularami? Może Wallenrod?), Rakowski nie. Nie szukano w nim tajemnicy.

Było tak. Pewnego letniego, słonecznego dnia do siedzącego w ogródku przy knajpie dziennikarzy na Foksal Jerzego Urbana podszedł nagle Bóg Wszechmogący, bodaj że już ostrzyżony brzytwą na zamsz. Mieczysław Franciszek Rakowski, wielki Frako, podszedł do pętaka, który wydrukował parę artykułów w „Po Prostu”, ale przedtem i potem szwendał się po nieważnych pisemkach, wysyłając swoje teksty na wszystkie prowincjonalne konkursy. Otóż w jednym z takich konkursików sam Frako, dorabiający jako członek jury, przeczytał coś, co Urban napisał, i spodobało mu się. Przysiadł się teraz na chwilę do stolika Urbana i zaproponował mu pisanie dla „Polityki”. Po chwili odszedł. Ale cud się stał.

Na razie to drobiazg, jeszcze się nie przeszło próby ogniowej, jeszcze się nie zostało człowiekiem Fraka. Ale się zostanie. Jednym z iluś tam; po pewnym czasie, po paru trzęsieniach ziemi okaże się, że było ich tylko kilku. Cóż: nigdy i w żadnej epoce człowiek nie odnoszący zwycięstwa nie może liczyć na więcej.

Frako i jego ludzie! Najpierw sam Frako.

Chłopski syn, co ważne – bo ważne dla niego. Kiedy kończyła się druga wojna światowa, kiedy armia radziecka wkroczyła do Poznania, nastolatek Mietek Rakowski zgłosił się na ochotnika do towarzyszącego tej armii, utworzonego w Rosji wojska polskiego. Jest zdolny, skierują go do Szkoły Oficerów Polityczno-Wychowawczych. Wstąpi oczywiście do partii – czy nazywała się jeszcze Polską Partią Robotniczą, czy już (po wchłonięciu socjalistów) Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą. (Słowa „komunistyczna” nigdy nie używano, żeby nie drażnić ludzi.)

W czterdzieści parę lat później będzie tę partię rozwiązywał jako jej szef, jako jej pierwszy sekretarz. Powie z bólem, patetycznie, prawie ze łzami w oczach: „Sztandar Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – wyprowadzić!” I wyniosą czerwony sztandar ze sceny na wieki wieków amen, i za chwilę na tę samą scenę wkroczą zgodnie z programem ludzie z sali, żeby zgłosić inicjatywę założenia nowej – no, prawie tej samej – partii, która będzie się teraz nazywać „socjaldemokratyczna”, nie „robotnicza”, i chwilowo obejdzie się bez sztandaru. Frako liczył na to, że zostanie szefem partii także pod nową nazwą, ale już go nie chciano. Był zgraną kartą, nie pasował do nowych planów, kompromitowałby tylko coś, co mogło nieźle się przyjąć w świeżutkim, postkomunistycznym kapitalizmie. I nieźle się przyjęło. Wkrótce miało nawet – rzecz kiedyś nie do wyobrażenia – wygrać wolne wybory.

Czerwony sztandar wyniesiono, a Frako – już jako Były Człowiek – poszedł upić się z najwierniejszymi pretorianami. To był koniec.

Między jednym a drugim, między entuzjastycznym zgłoszeniem się osiemnastolatka do służby nowej władzy, a pożegnaniem ustroju przez sześćdziesięciolatka, który zajął w tej władzy miejsce najwyższe, minęło dorosłe życie Fraka. Poddane jednej wierze, jednemu pragnieniu, jednej obsesji, już prawie zwycięskie, a przecież przegrane. Zmieniły się okoliczności, Rosja postawiła na innego konia, sztandar wyprowadzono.

Przegrał z godnością. Nie dołączył do tych, którzy poparli komunizm „z powodów towarzyskich” albo – tacy byli przecież zdolni! – dla robienia kariery w swoim zawodzie. On w to wierzył, do diabła! On w to wierzył! Urzekła go – chłopskiego syna – idea sprawiedliwości społecznej. Oczarował go ustrój ludzi wolnych, nie zginających karków przed obszarnikami i kapitalistami. Kto ośmielił się szydzić?!!! Czy za Wielkiej Rewolucji Francuskiej nie wierzono w Wolność-Równość-Braterstwo? No, ośmielcie się powiedzieć, że nikt w to nie wierzył, że wszyscy pchali się pod gilotynę dla kariery, spróbujcie szydzić! On, Frako, został komunistą, i nigdy nim być nie przestał. Taki był Duch Czasów, a szydzić i drwić z Ducha Czasów może tylko „intelektualny karzeł”. Tak Frako widział samego siebie – po klęsce.

Tak Frako widział samego siebie – zawsze.

Ale skąd się w ogóle wziął? Skąd nagle wyskoczył niczym diabeł z pudełka, z nicości – na redaktora naczelnego tygodnika, który wymyślono na szczytach władzy?

I jakim cudem został jego szefem przez wszystkie te lata, przez dziesięciolecia, pod różnymi rządami, przy różnych ekipach? Czemu go nie usunięto podczas któregośkolwiek przełomu: w 1968, w 1970, w 1980, w 1981... – Bo nie można było! – zapewni już po wszystkim, już w nowych czasach, już w kapitalizmie, Urban. Usunąć Fraka? Takiego zdolnego człowieka? Taki talent?

To śmieszne. Wiele talentów wyrzucano na śmietnik przy byle okazji, z byle pretekstu. Czemu nie Fraka? Jakim cudem był wieczny i nietykalny?

– Ach, bo pozycja „Polityki” była tak silna! – wybełkocze Urban.

A pozycja „Po prostu” w 1957? Rozwiązano uwielbiane, najmodniejsze pismo jednym podpisem, nikt się nie przejął ulicznymi zamieszkami... a tu wcale nie trzeba było rozwiązywać pisma, wystarczyło usunąć naczelnego, który nikogo ani ziębił, ani grzał. Czemu go nigdy nie usunięto? Czemu zawsze był nietykalny? Czemu była przed nim tylko jedna droga – w górę? Może legenda o jedynym polskim socjaldemokracie, tak zniechęconym przez Sowietów, że za nic nie mógł (choć powinien, choć mu się to należało, choć wszystkich by tym uszczęśliwił) wtargnąć na szczyty władzy, tam, gdzie jego miejsce – może ta legenda była zasłoną dymną? Może był Frako przez cały czas człowiekiem Sowietów w Polsce, przechowywanym na lepsze czasy? I właśnie dlatego nietykalnym?

To logiczne.

Tak pewnie było, tak musiało być.

– Cóż za brednia! – zawołają ludzie Fraka, wszyscy jawni ludzie Fraka (czyli nie więcej niż pięciu). Frako agentem Moskwy? Toż wszyscy WIEDZIELI, że tylko sprzeciw Moskwy przez tyle lat opóźniał (właśnie: tylko OPÓŹNIAŁ) objęcie przez niego najwyższej władzy. Ileż lat męczył się Frako na marnej posadce szefa organu prasowego KC, zanim został wreszcie premierem i pierwszym sekretarzem rządzącej partii, co przecież („Ach, jaki to wspaniały człowiek! Jaki nonkonformistyczny! Jaki niezależny!”) – co przecież od początku mu się należało? Odkąd – nikomu nie znany oficer wywiadu czy czego tam – wyskoczył na światło dzienne? Żeby przez dziesięciolecia godzić wilka z owieczką pod czerwonym sztandarem?

Jakim cudem w ogóle wyskoczył na światło dzienne?

Sekret, tajemnica, oczywistość, odczepcie się. Po prostu z takimi zdolnościami, z takim nonkonformizmem w ramach oczywistej partyjnej zależności, w ogóle W RAMACH... no, po prostu nie mógł być zastąpiony nikim innym! Nawet półgłówki z aparatu musiały to zauważyć! Toż on był FRAKIEM tego systemu, toż co by zostało z systemu po zdjęciu FRAKA? Brudny kombinezon? Król z gołym tyłkiem? Nie można było zdjąć Fraka, ludzie!

Czyli był wtyczką Moskwy? I dlatego nie do ruszenia – aż do kresu komuny?

Każdy z ludzi Fraka (pięciu? czterech?) oburzy się do żywego. Frako był czysty jak kryształ, taki świetny, że największa potęga świata nie mogła ruszyć go ze stanowiska, a do władzy doszedł przecież dopiero za Gorbaczowa, kochanego, naiwnego Gorbaczowa, który

postanowił zreformować komunizm (jak Frako), tylko go wygryźli. I zamiast komunizm zreformować, rozkradli go, rozwalili, po czym z ukłonem i pełnymi kieszeniami otwarli drzwi przed kapitalizmem. Tak, na rozwałkę dali biednego Fraka, tak samo jak biednego Gorbiego, tarcze strzelnicze z nich zrobili! Kto? Ba, kto... No, cwaniacy.

Powiedział mu ponoć Gorbi (ach, jakie GORBAZMY ludzie wtedy miewali!), powiedział mu ponoć Gorbi dokładnie 4 grudnia 1989: „Nasze socjalistyczne idee mają przyszłość”, na co Frako odpowiedział gorzko: „Idee chyba tak, ale my nie”.

Oczywiście, miał rację. W dodatku tak ładnie to ujął!

I tak można bez końca. Od Czerwonego prawdy się nie wyciągnie, i proces może być wyłącznie poszlakowy.

A więc pojawił się Frako w 1958 na politycznej scenie Polski i świata. Stworzył z pisma, które już istniało, ale niezbyt intensywnie, pismo świetne, „ostoję liberalizmu i postępowej myśli społecznej”. Jak sam powie, a jego ludzie potwierdzą, „Polityka” wychowała całe pokolenie „krytycznie myślącej inteligencji polskiej”, nie bacząc na to, czy jest to inteligencja z lewicy, prawicy czy z centrum. Prezentowała „Polityka” różne poglądy, walczyła o tolerancję, otwierała swe łamy przed myślącymi inaczej... To on, Frako, wywalczył dla niej ten status! Nie nadano go uchwałą Biura Politycznego!

Po 22 latach znalazł się Frako na szczytach władzy państwowej i partyjnej. Dlaczego? „Nie stało się tak w wyniku moich zabiegów, wchodzenia w układy, umizgów, przypochlebiania się, kłaniania się w pas”.

Więc w wyniku czego?

Ach, w wyniku jakże naturalnego uznania bijących w oczy zalet Fraka, oczywiście!

Pięknie to brzmi, ale nigdy się nie zdarza.

W największym skrócie było tak: Mieczysław F. Rakowski został jednocześnie działaczem partyjnym Mieczysławem Rakowskim, redaktorem-doktorem MFR i Frakiem. Objawił się światu w trzech postaciach.

Pierwsza to magma. Tajemnica. Mrok. Powiązania między ZSRR a lennikiem, satelitą i niewolnikiem ZSRR, powiązania tajne i jawne, partyjne, ponadpartyjne, pozapartyjne... Dajmy temu spokój, to nie na nasze głowy, a i za sto lat się nie wyjaśni. Mieczysław Rakowski, oficer, który zniemacka zjawił się w najwyższych władzach partyjnych, i nigdy (choć działo się niejedno, choć głowy spadały jak spod ostrza gilotyny) – nigdy z nich nie wyleciał. Utrzymał się do końca, doszedł aż do szczytu, i osobiście rządzącą partię rozwiązał. Jak to zrobił, kim naprawdę był („Kim pan jest, panie Rakowski” – nazwał jedną ze swoich niezliczonych autobiografii przez omówienie, jedną ze swoich niezliczonych autobiografii, które zapowiadał, ale które się nie ukazały) – tego się nie dowiemy, i machnijmy na to ręką. Niczego się nie dowiemy, wszystkiego możemy się domyślać, i to nasza sprawa, nie jego. Zresztą – dziwne, i przykre dla MFR – pytania „Kim pan jest, panie Rakowski?” nikt sobie poza nim nie zadawał.

W roku 1998 NIE ogłosiło, że Mieczysław F. szykował do druku swoje dzienniki prowadzone od czterdziestu lat, swoją CAŁĄ PRAWDE, ale – niestety! – włamano się do redakcji jego miesięcznika, ukradziono komputery i telefony, a dzienniki były na twardym dysku redakcyjnego komputera, więc przepadły na wieki. Niestety, ach, niestety, nie poznamy prawdy!

„Kim pan jest, panie Rakowski?”

Odpowiedź ukradziono.

(Oczywiście *Dzienniki* znajdowały się nie tylko w redakcyjnym komputerze i w 1998 roku zaczęły wychodzić drukiem. Odpowiedzi na pytanie „Kim pan jest, panie Rakowski?” nie przyniosły. Nikt się tego zresztą nie spodziewał.)

Tyle o Rakowskim w pierwszej postaci.

Była jeszcze druga i trzecia.

Druga – to naczelny „Polityki”, wieloletni szef naszego bohatera, Urbana, MFR. (Mieczysławem Rakowskim był dla partyjniaków!) Okazał się MFR świetnym naczelnym, robił dobre pismo, dobrze je reklamował („polski *Spiegel!*”, „najlepsze pismo na wschód od Łaby!”), i właściwie tylko tam znalazł, tylko tam zdołał związać ze sobą SWOICH LUDZI. Praca w „Polityce” była jak nobilitacja szlachecka, jak uderzenie tępą stroną miecza w ramię klęczącego petenta (odtąd jesteś rycerzem, neptku!), prawie jak beatyfikacja.

Rakowski w trzeciej postaci był Frakiem. Czymś najmniej ważnym, najmniej przydatnym w karierze, więc nieśmiertelnym. (No, nie na tysiąclecia. Mniej śmiertelnym. Prawie nieśmiertelnym. Legendarnym. Oczywiście, najmniej to cenil: człowiek jest człowiekiem.)

Frako bywał w kabaretach i narzekał wraz z artystami na beznadziejną tępotę komuny. Frako lansował modę, Frako „objasniał świat” aktoreczkom, pływał łódką po mazurskich jeziorach, był czarującym liberałem i pisano o nim wiersze. I pytano go – niektórzy może i prawie serio – czy zerznął Kleopatrze Potomaku: w końcu miał szansę, był z nią trochę sam na sam! Ach, *to był bywalec wyższych sfer – Redaktor doktor MFR!* Może go czasem lubiono. Urban na pewno go lubił, niech się tym zajmie duch doktora Freuda. Ale nie tego przecież Frako chciał! Chciał, żeby się przed nim czołgano! Chciał uwielbienia!

To go zgubiło – we wszystkich trzech postaciach.

Pokazano go kiedyś w telewizji, w czasach, kiedy brał władzę, to taką, to inną, po kawaleczku. Nie urwano transmisji z plenum KC w kulminacyjnym momencie, przetrzymano ją przez parę minut, podczas których ludzie się rozchodzą, żegnają, coś jeszcze do siebie mówią przy przydzielonym stole. Pokazano Fraka, do którego wdzięczy się – wśród cynicznych uśmiechów świadków – jakiś mały aparatczyk.

– A towarzysz Rakowski to chyba duszę diabłu sprzedał! – sepleni mały aparatczyk – Lata mijają, a on ciągle wygląda jak trzydziestolatek!

Frako promienieje. Jest rozanielony. Niby próbuje powstrzymać uśmiech, rozprzestrzeniający się od jego ust po czubek głowy i sznurowadła, ale nie może. Blask od niego bije. Gdyby był władcą absolutnym, mały aparatczyk już dostałby od niego zameczek w Normandii.

To jego słabość.

Słabości trzeba ukrywać (Urban jest w tym mistrzem, wystarczyło się przyjrzeć i czegoś nauczyć), a on tego nie umie. Frakowi wystarczy powiedzieć komplement, i ma się go w garści. Najpierw jedni przekazują to cicho drugim, potem i tak wszyscy widzą. Jeśli jest w nich dość dużo draństwa, wykorzystują to i robią kariery, albo przynajmniej zostają wpuszczeni na pole startowe. Jeśli są przyzwoitymi ludźmi, nie wejdą na pole startowe, przynajmniej nie na to pole startowe, przynajmniej nie teraz. Czy nie wiedzą, że Frako – jak Bóg – nade wszystko chce być kochany? Czemu nie okazują mu szaleńczej miłości, czemu nie czołgają się przed nim, nie łkają, nie wychwalają, nie błogosławią? Kilka osób to zrobiło, i wszystkie świetnie na tym wyszły.

Bo to za trudne.

Bo Frako chce więcej niż sam Bóg. Bóg żądał w pierwszym przykazaniu, żeby nie mieć „innych bogów PRZED nim”. Dla Fraka to za mało. Nie wolno mieć innych bogów obok niego, za nim, gdziekolwiek. Trzeba być świętym, żeby temu podołać. Nie znalazł Frako swojego świętego. Nawet Urban nie sprostał.

Tak, za wiele chciał Frako. Ale czy nie można chcieć za wiele? Nie wolno? I czy nie ma w tym jakiejś malutkiej wielkości?

No, i osiągnął Frako swoje. Wszedł do rządu, choć – mówiono – „o jeden gabinet za wcześniej”. Został premierem, kiedy trzeba było kogoś wystawić na strzał, obciążyć odpowiedzialnością za klęskę gospodarczą – ale jak on się wtedy cieszył, biedny Frako, jak promieniał od czubka głowy po czubki butów! Spełniło się marzenie jego życia! Tak właśnie wyglądają spełnione marzenia.

„Jedyną rzeczą gorszą od nie wysłuchanej modlitwy” – to słowa świętej Teresy z Avila, przepraszam – „jest modlitwa wysłuchana”.

Wszystkie modlitwy Fraka zostały wysłuchane. Chciał być premierem? Został. (Ale on chciał na długo, inaczej, wśród sukcesów!) Chciał być szefem rządzącej partii za komuny? Został. (Ale przecież to nie miało być w momencie samobójstwa komunizmu, nie miało być po to, żeby wyrzucić na wieki czerwony sztandar!) Wykorzystano jego pychę, jego pragnienie hołdów, manipulowano nim, tylko skąd miał to wiedzieć? Jedno po drugim spełniały się jego marzenia, hurtem wysłuchiowano jego modlitw, i to właśnie było klęską nad klęski: o, losie przewrotny!

Ledwo wspiął się na wyżyny, spadł z nich wśród powszechnego śmiechu. Nie śmiano się z nienawiści. Po prostu człowiek, który idzie sobie dumny i nadęty, z wysoko podniesioną głową, nieświadomy tego, że za nim podąża krok w krok przedrzeźniający go błazen – taki człowiek jest śmieszny, i tyle.

Powiedzmy, że błaznem był Urban.

Mieczysław F. Rakowski, MFR, Frako po upadku.

Frako jako człowiek upadły i prywatny. Za kapitalizmem. Za demokracją.

Ktoregoś dnia idzie sobie pieszo ulicami Warszawy, a za nim idzie ktoś, kto pokrzykuje rytmicznie: „Rakowski na szubienicę! Rakowski na szubienicę!” Wcale nie porywa ten mały pijaczek tłumów, nikt Fraka nie linczuje, ludzie najwyżej chichoczą i tyle. I to jest straszne.

Innego dnia handlarz z drogiego bazaru przy ulicy Polnej – gdzie demokratycznie zajrzał MFR, człowiek prywatny, człowiek **były** – okazuje mu sympatię, i to jest jeszcze gorsze.

– Panie Rakowski – mówi mu życzliwie podpity straganiarz – bierz się pan za ten rząd i przepędź tych Żydów!

Jeśli tacy mają być ludzie, którzy kiedyś, ewentualnie, może mogliby go wesprzeć (zresztą nie wesprą: ot, gadanie) – po co były te wszystkie lata, po co było najlepsze pismo na wschód od Łaby, i w ogóle cokolwiek? „Tak, to też jest Polska”.

I gorzko jest Frakowi, bardzo gorzko. I nie potrafi ukryć tego, jak mu gorzko, więc znów się ośmiesza.

Dwie dziennikarki szykują w świeżutkim polskim kapitalizmie tom wywiadów ze sławami: będzie się to nazywać „Szaszłyk po polsku”. Chciały dać rozmowy z trzema premierami: ostatnim czerwonym, dwoma „demokratycznymi”, ale demokratyczni się nie zgodzili albo słowa nie dotrzymali: ostał się im tylko stary Frako. „Trudno. Dobre i to”.

„Trudno. Dobre i to”!!! To o nim!

Wywiad zilustrowano rysunkiem. Takim oto: Frako w postaci ukrzyżowanego szczura, w aureoli z liter M.-F.-R. W dole tytuł „Dziś”, tytuł nieznanego, nie czytanego pisma Fraka, wydawanego dla garstki prenumeratorów z łaski Urbana, i uszaty tyłek Urbana, z którego to tyłka wydobywa się wstążka kału z napisem „NIE”. O tak, gorzko bywa. Bardzo gorzko.

Nawet inteligencji już nikt Frakowi nie przyznaje. Nawet tego. Nawet „Politykę” próbują mu odebrać!

„Urban był mózgiem tej ekipy” – głosi jeden z dawnych ludzi Fraka, Jacek Maziarski. – „Rakowski był oczywiście cieniem Urbana, choć mówił, że jest jego szefem”.

W gazecie Michnika, tego miłego chłopca z baru w Bristolu, tego sympatycznego opozycjonisty z czerwonego gniazda, z którym zawsze można się było dogadać i popić, główna publicystka pisze, że on, Frako, ciska w telewizor wazonami podczas wolnego, demokratycz-

nego dziennika. Albo rzuca niecelnie, albo co chwila mu telewizory wymieniają, prawda? Co za bzdura! W jaką grę Adaś gra? Kto od niego zażądał bicia po pysku swoich ludzi? I jak mógł, jak Adaś mógł mu coś takiego zrobić? Ten sam Adaś, który zamknięty za rządów Jaruzelskiego i Fraka (straciłby twarz, gdyby go to nie spotkało), był traktowany jak więzień stanu, i pisał sobie książki, które mu natychmiast drukowano, to w Paryżu, to w podziemiu, i telewizor mu przynoszono do celi, a on – oczywiście – niczym w telewizor nie rzucał? Jeżeli Swój Człowiek może coś takiego zrobić, czego się spodziewać po obcych? Zbyt naiwny był zawsze Frako, zbyt prostoduszny.

A w gazecie rządowej ośmielią się ogłosić, że podczas dni kultury czy czego tam podpisywał swoją książkę „jeden z «byłych ludzi», M.F. Rakowski – tłoku nie było”, kiedy był tłok! Był! Cisnęli się do niego czytelnicy po dedykacje! Ale cóż – jego słowo przeciwko słowom wrogów. Każdy uwierzy wrogom. Ach, ileż blizn, ileż blizn nosi MFR – za co? Za co???

Za to, że się urodził z cechami przywódczymi? Bo tak, urodził się z nimi, geny takie, mówcie, co chcecie! Zawsze był liderem! Wszędzie był liderem, był i będzie! Takie geny, ambicja i wola!

Znokautowały go czas i historia.

Tak siebie widzi.

Ale jeszcze poczekajmy.

Z pogrzebem marksizmu też jeszcze poczekajmy.

Gdyby nie ta kosmiczna samotność... ach, ta kosmiczna samotność! Rany, blizny, gorycz!

Jest niezręczny, zawsze był niezręczny.

Cyniczny w czasach patosu, patetyczny w czasach cynizmu. A czas i historia nokautują tych, którzy popełniają błędy. Którzy w niewłaściwym momencie opuszczają gardę – a skąd wiedzieć, który moment jest właściwy? Nie można pilnować się zawsze, bezustannie, jak Urban!

Jeśli Urban ma blizny, dobrze je schował pod srebrzystym garniturem, śnieżnobiałą koszulą i węzłem krawata. Jeśli jego wyznania ozdobi zniecka rysunek jego własnej srajającej dupy ozdobionej gigantycznymi uszami, uśmieje się. Chodzi o to, żeby o nas pisano, prawda? Źle czy dobrze, byle z nazwiskiem! Zresztą on nikomu nie składa wyznań prosto spod serca, zostawia to innym. Zostawia to Frakowi – na przykład.

Frako snuje się po sali jak cień w garniturze i krawacie, cień z popielatą, pomarszczoną, uśmiechniętą twarzą. Właśnie wyszedł ze szpitala; wkrótce pewnie do niego wróci. Ale chodzi, uśmiecha się, rozmawia. Z kuchni przyniesiono golonkę na gorąco. Przygasają światła, pojawiają się półnagie tancerki w piórach i koronkach. Solistka jest świetna, ale kariery nie zrobi: możemy się o to założyć, my, znający życie. Czegoś jej brak. Nie wie, czego jej brak: przecież tak świetnie tańczy! Wspaniale! Potrząsa nagimi piersiami nad golonką gości Urbana, trzepocze sztucznymi rzęsami, rozchyła purpurowe usta, w piekielnym tempie wyrzuca nad głowę nogi w siatkowych, burdelowych pończochach. Muzyka ogłusza. Mimo to słyszę za sobą jakiś męski głos:

– Biedna dziewczyna! Tak samo mi jej żal jak starego Fraka!

Może to któryś z ludzi Fraka. Jeżeli ktoś z nich jeszcze pozostał, poza Urbanem.

A tyłu ich kiedyś było!



## ...I jego ludzie

O wiele lat wcześniej pewien reżyser filmowy wydał w swojej warszawskiej willi skromną kolację na cześć Romana Polańskiego. Roman Polański, człowiek światowej sławy, przybył właśnie z Paryża, bo z Hollywood go wygnano. Mętna sprawa ze zgwałceniem nieletniej: wpłacił Polański kaucję i czmychnął do Europy, każdy by to zrobił. W Polsce jeszcze rządzi komuna. Miło jest. Willę reżyserowi załatwił prezes Kukuryka, cudowne nazwisko: WSZYSTKIM z sitwy Kukuryka wciąż załatwia wille albo mieszkania, ale tu się nadzwyczajnie popisał, i wciąż się o tym mówi, jeżeli nie ma o czym mówić. Jedenaście rodzin nasz kochany Kukuryka z tej willi wyrzucił, jedenastu rodzinom dał mieszkania, wywalając z listy jakichś tam Zwykłych Ludzi, czekających od lat w kolejce, bo reżyser upatrzył sobie właśnie tę willę, i remont też mu za darmo zrobili, cwaniak z reżysera! A może tych rodzin było trzy albo dziewięć: nieważne, w legendzie zostało jedenaście. Je się barszczyk z uszkami, szczupaczka, pieczyste, jak to za komuny, jeśli człowiek nie jest idiotą. Rozmawia się o skandalicznych cłach na mercedesy (ależ, stary, wystarczy zadzwonić do...) i o twardym postawieniu sprawy na ostatnim plenum KC. Jadalnia jest przestronna, meble w płóciennych pokrowcach, żeby się nie niszczyły, a kolacja naprawdę elitarna: z dziesięć osób, nie więcej. Wśród nich Frako z Passentem.

O cłach na mercedesy i o twardym postawieniu sprawy na plenum mówi się mimochodem i mało, bo w końcu to wieczór Polańskiego i on bryluje. Hollywood, zdaniem Polańskiego, jest skończony. Teraz stara Europa pokaże, co potrafi! To tu, U NAS, ostała się jeszcze prawdziwa kultura! Swoją drogą, żeby jego, JEGO, wywalić z Ameryki z powodu jakiejś trzynastoletniej kurwy... Pieprzył młodsze, i nigdy nie było sprawy! Wszyscy bardzo współczują Polańskiemu. Bo, wiecie, w Hollywood dziewicą może być tylko dwuletni chłopiec, a i to, jeśli jest bardzo brzydki... Wszyscy się śmieją. Polański monologuje dalej. W którymś momencie, po jakimś jego zdaniu Frako mówi do Passenta:

– Trzeba o tym napisać.

A Passent podrywa się z krzesła, niemalże obcasami stuka: tak jest! Napisze się! Tak jest!!!

I tylko tyle. Tylko o to chodziło osobie, która mi o tym opowiadała. Polański jak Polański, mercedesy jak mercedesy, plenum jak plenum. Ale Frako... Przyszedł z Passentem jak z przyjacielem, tyle się gadało od lat, że oni tam w tej „Polityce” jak w rodzinie... A tu nagle: pan i jego giermek! Przy tym szczupaczku (a może już przy pieczystym), na tych antykach w pokrowcach, przy tej miłej rozmowie – nagle w oczach jednego stał, w oczach drugiego strach, i trzask rozkazu, i trzask obcasów, i nagle zrozumienie, jak to jest naprawdę.

„Zawsze się go bałem” – napisał o Fraku Urban. Wszyscy się go bali.

Nazywali go „Frakiem”, żartowali sobie, Urban nawet – niepoprawny – potrafił zrobić mu kawał na *Prima Aprilis*. (Przysłał mu pięknie podrobione zaproszenie ze stadniny końskiej na chrzciny klaczy wyścigowej, której miano dać na imię Polityka, i Frako już się wybierał zaszczycić; i jeszcze jakiś żarcik wobec Fraka mu się przytrafił wcześniej czy później, ale jak na jego możliwości – mało tego było, bardzo mało.) No, ale to był Urban. Bano się Fraka panicznie. Nie tylko dlatego, że ryczał, wrzeszczał, tupał, wyzywał od „parszywych Żydów”, debilów, baranów – jeżeli był w bardzo dobrotliwym nastroju, bo potrafił ostrzej. Do tego można było przywyknąć: ot, taki charakter. Temperament taki. Do temperamentu przywykano, charakter znoszono, ale bano się go. Naprawdę się bano.

Czy ktokolwiek go lubił?

Urban. Mimo wszystko.

Napisał do niego w liście z grudnia 1986: „Ściskam Cię bardzo i proszę Cię: traktuj mądrze ten mój rodzaj uprawiania przyjaźni, który nie jest tym rodzajem, jaki najbardziej lubisz, bo nie ma w nim ekstaz i nastroju uwielbienia”.

Prośba dla Fraka – tego, którego wszyscy opisują – niewykonalna. Chciał uwielbienia, potrzebował uwielbienia!

Mimo to zrobił z Urbana swojego człowieka. Widział w nim swojego człowieka. Urban wyrastał stopniowo ponad wszystkie głowy, ponad głowę Fraka także, ale godził się na rolę Jego Człowieka. Nie umiał wpadać w ekstazy, ale na pokorę i przymilność mógł się ostatecznie zdobyć.

„... to, co piszę” – stwierdził pokornie i przymilnie we wstępie do zbioru felietonów „Gorączka” – „od bardzo długich już lat rodzi się pod wpływem myśli i działalności Mieczysława Franciszka Rakowskiego”. Bzdura. Pod wpływem szefa rodziło się – oczywiście – to, co najłabsze i najbanalniejsze w urbanowym pisaniu: to, co sam nazywał drwiąco swoją „nabożną hochpublicystyką”. Ale to jego sprawa. Chciał być „człowiekiem Fraka”, no to był. Dopóki tak mu się podobało.

Człowiek Fraka – bez ekstaz i uwielbienia? Był jeden człowiek, który przeżywał i ekstazy, i uwielbienia, a w końcu – perfidia losu, złośliwość historii – trafił na żebraczy garnuszek do Urbana, tak samo jak Szeff. Nie mógł tego przewidzieć Wiesław Górnicki, świetny dziennikarz, zabawny, błyskotliwy erudyta, który stał się człowiekiem Fraka – polityka, towarzysza Rakowskiego, tuż przed stanem wojennym. Trafił do Urzędu Rady Ministrów, a talent zawiesił na haku i jeszcze na niego splunął. Po co pisać, skoro można walczyć?

O, ten się do Fraka łąsił! I tak szczerze! Bo jemu też chodziło o czerwony sztandar, o ten sztandar, który Frako, zdławionym głosem, każe w końcu „wyprowadzić”. Frako był ze wsi, Górnicki z klasy robotniczej: czymże by oni byli, obaj, bez socjalizmu? Bez czerwonego sztandaru?

Urban się z tych kompleksów podśmiewał, ale Urban, ten burzuj, ten synalek redaktora naczelnego i wydawcy, zawsze by się jakoś urządził. Łatwo mu było twierdzić, że człowiek tak zdolny, tak błyskotliwy, tak ambitny jak Górnicki zrobiłby karierę i w kapitalizmie. W Ameryce na przykład. Akurat!

Frako, elegancki i wspaniały Frako, zaprzyjaźniony z Brandtem i hrabiną von Doenhoff, korespondujący z Bushem, Genscherem, Kohlem i Schmidtem, pływający żaglówką z Jackie Kennedy, wołał szczerze w gdańskiej stoczni, że – gdyby nie socjalizm – „krówki by pasał”. Nie wierzył w awanse społeczne w kapitalizmie, szczerze nie wierzył, i Górnicki też nie. Tu byli sobie bliscy, tu się rozumieli.

Mały Górnicki tak piękną angielszczyznę wytłumaczył kiedyś amerykańskiemu biznesmenowi przed hotelem Polonia, co i jak, i którędy stąd jechać, i która godzina, że samotny, znudzony biznesmen zaprosił dzieciaka na obiad, żeby sobie z kimś pogadać. A na zakończenie przegadanego piękną angielszczyzną obiadu dał chłopczkowi swoją wizytówkę: „– Jak będziesz kiedyś w Teksasie, zadzwoń do mnie”. Była wczesna komuna i zaproszenie brzmiało jak najzłośliwsza kpina. Mimo to Górnicki wizytówkę zachował – i prosił: w ileś lat później jako sławny dziennikarz, latający reporter, trafił do tego miasteczka w Teksasie, z którego przyjechał kiedyś do zabiedzonej Polski amerykański bogacz, i przez chwilę miał pokusę, żeby zadzwonić, ale nie zadzwonił: nie przesadzajmy.

Za to pisał do Fraka w 1980, po przeczytaniu (z zachwytem) kolejnego Frakowego memorandum do władz („Rzeczpospolita na progu lat osiemdziesiątych”, tak się to nazywało), pisał do Fraka z ciągle tym samym bólem:

„Pragniesz dać dowód szerokości swych horyzontów, tolerancji, współbrzmienia z nastrojami. Ale z tym trzeba ostrożnie, mój przyjacielu, CHŁOPSKI SYNU. Mówi Ci to ROBOTNICZY SYN, który nie raz i nie tylko w przeszłości doświadczył na sobie ciemnej,

tepej nienawiści naszych byłych jaśnie panów i sklepikarzy, którzy najchętniej widzieliby nas obu, chamów, tam, gdzie nasze miejsce – przy gnoju lub przy śrubsztaku. (...) Przepieprzyliśmy socjalizm w Polsce, ale to jeszcze nie znaczy, że jedyną alternatywą jest pokorne przyjęcie kołtuńskiego ethosu, bogoojczyźnianego bełkotu klechów, a tym bardziej fałszywej ideologii, wytwarzanej fachowo, przez niezłe opłacanych kolesiów z Waszyngtonu, których znasz równie dobrze jak ja.”

(*Wersaliki moje – AB*)

Cóż, chłopski syn i robotniczy syn: to ich łączy, Górnickiego z Frakiem. Krówki by pasali, burżuj-sklepikarz plułby im w twarz, gdyby nie czerwony sztandar. Gdyby Ruscy nie weszli. Gdyby nie ich czołgi i bagnety. Wierzą w to. Myślę, że w to wierzą. Wierzyli.

I jeszcze Żydzi są wśród ludzi Fraka, o czym i przedtem, i za chwilę. Ten sam problem: co by się z nimi stało, gdyby nie socjalizm? Z gazem by ich puszczone, prawica w ziemię by ich wdeptała i poszłaby radośnie dalej, nie ocierając miazgi z butów: tak to widzą, w to wierzą. Tacy są ludzie Fraka: piekielnie inteligentni, niestychanie zdolni, i do szpiku kości przekonani, że poza socjalizmem, że bez ruskich bagnetów... szkoda gadać! Nawet samouczka angielskiego nie mogliby sobie w kapitalizmie kupić, to przecież jasne!

Niczym Sonia ze „Zbrodni i kary”: prostytutka z nędzy, ze straszliwej nędzy, wypędzana wieczorem na róg, żeby utrzymać ojca pijaka, macochę gruźliczkę i stado bachorów, a w dzień czytająca ze łzami Nowy Testament. Sonia, odpowiadająca na pytanie Raskolnikowa, jak może – wobec tego wszystkiego, co ją spotkało, co ją spotyka – wierzyć w Boga, odpowiadająca naiwniutkim: „A czymże ja bym była bez Boga?” Naiwniutkim, głupim, bezsensownym, strasznym.

Podobnie ludzie Fraka. „A czymże byśmy byli bez socjalizmu?” To ich łączy, to ich prawdę łączy. Może Urban, to burżujskie dziecko (ale jednak Żyd) jest wyjątkiem (zwykle bywał wyjątkiem), a może i nie.

„– A czymże ja bym była bez Boga?!”

I wróćmy do Górnickiego.

W 1981, kiedy kraj podzielił się – upraszczając horrendalnie – na „lud” i resztę, Górnicki znalazł się duszą i ciałem po stronie reszty. Został doradcą premiera (którym był wtedy Jaruzelski; Frako był jego wice), i wszedł na całego w Wielki Spisek. Nie, nie będzie już burżuj ani klecha pluł nam w twarz – nam, chłopskim i robotniczym synom! Już niedługo przestanie się kołtun puszyć, zrobimy z nim porządek!

Jest sierpień, kołtun wpina sobie w klapę znaczek z czerwonym napisem *Solidarność*, a władza wciąż prowadzi z tą jego Solidarnością pojednawcze rozmowy: zyskujemy na czasie.

Po latach napisze Górnicki do Fraka:

„Tylko my czterej – Ty, Stasio Ciosek, Jurek Urban i ja – wiemy naprawdę, co się zdarzyło w nocy z 6 na 7 sierpnia 1981 roku w gmachu Urzędu Rady Ministrów. Nam nikt wody z mózgu nie zrobi, albowiem spisane są (moją ręką) słowa i czyny oraz niektóre obserwacje i rozmowy”. Było to o „małej godzinie poranka”: o 1<sup>25</sup>. Dokładnie! Jak Cezar pisze Górnicki i z wielkim patosem.

„Postawiłeś przed nami flaszkę podłej whisky (kupiłem za własne pieniądze we Włoszech, nie myślcie sobie) i uderzyłeś w ton taki – «To jest koniec, przyjaciele. To jest koniec moich złudzeń na temat porozumienia narodowego. W tym kraju żaden kompromis powieść się nie może. Trzeba wypić za Jaruzelskiego, bo też uwierzył w lojalność opozycji. Trzeba wypić, żeby nam było wygodniej wisieć nogami do góry.»”

Po czym postanowili – Urban twierdził, że to był jego pomysł – puścić przez radio, o szóstej rano, kiedy wróg będzie jeszcze „słodko spać”, komunikat, że Solidarność jednostronnie zerwała rozmowy z rządem. Kto pierwszy, ten lepszy. Komunikat drugiej strony, jako późniejszy, nie będzie wiarygodny. I będziemy wreszcie mieć wolne ręce.

Oczywiście, trzeba to było uzgodnić z Jaruzelskim. Ale o szóstej rano poszedł komunikat. („No, nie poleniśmy się i wygraliśmy!”) Nie był to zresztą aż taki triumf, jak sobie wyobrażała Wielka Czwórka: Polacy i tak od lat nie wierzyli władzy. Na zagranicę natomiast pomysł był dobry.

Jeszcze trochę kotłowaniny – i w nocy z 12 na 13 grudnia w ciemnym, pustawym gmachu Urzędu Rady Ministrów Urban najpierw potyka się o coś „miękkiego i włochatego” – „W drzwiach leżał pies milicyjny, a mogę snuć te wspomnienia dzięki temu, że bestia nosiła kaganiec” – a potem nudzi się z Frakiem w gabinecie Fraka. Gdzieś tam na ulice wyjechały czołgi, gdzieś tam wyważa się drzwi łomami, wyciąga krzyczących ludzi, ustawia patrole na rogach ulic; tu nic się nie dzieje. Generał Jaruzelski szlifuje w dawnej sypialni Piłsudskiego swoje przemówienie, które ma iść w południe w radio i telewizji. Nudy. Urban wychodzi do toalety i po drodze znów prawie się o coś potyka. Tym razem to śpiący Górnicki. W wojskowym mundurze!

Tak, odniósł Górnicki tej nocy największy sukces swego życia. Marzący od dziecka o zostaniu zawodowym wojskowym, najlepiej pilotem, został przez potężną wadę wzroku tej możliwości pozbawiony. A tu, proszę: kochany Generał wcielił go do armii, od razu z rangą. Potem go zresztą awansuje.

Mija osiem lat, Rosjanom znudziła się okupacja Polski pod czerwonym sztandarem, idą sobie. Będą budować u siebie demokrację i kapitalizm. Polacy też mają budować demokrację i kapitalizm. Podobnie jak Czesi, Słowacy, Węgrzy, i w ogóle wszyscy niegdyś podbici. Eksperyment skończony.

Jest to koniec Fraka, koniec Górnickiego, wielki start Urbana.

Ledwo się Urban dorobił i obrósł w piórka, zafundował Frakowi miesięcznik „Dziś”, a Frako zatrudnił w nim Górnickiego. Urban też zatrudnił Górnickiego w swoim NIE. Anonimowo. Będzie Górnicki drukował na przedostatniej stronie, pod ksywką „KREWA”, felieton zatytułowany – jakże by inaczej?! – „Jak cham z panem”. Nie przeszło mu, to nigdy nie przechodzi.

Pisze te swoje felietony jadowniczo, złośliwie, ziejąc nienawiścią i erudycją, żydłaczając *con brio*, gdy chodzi o skompromitowanie super-nacjonalistycznego polityka, otoczonego gwardią przyboczną wielbiących go skinów (toż to Żyd, moi kochani antysemita!), dżgając z wściekłością kler (konkordatu z Watykanem mu się zachciewa? A demokracja? „Nie ma demokracji bez półksięzycy! Bismillah! La illaha il-allah!”), nie żałując sobie – on, „robotniczy syn” – zwrotów takich, jak „zapity plebs” i „hołota”, przejmując po swojemu (tłumy przejmują) styl Urbana (...,„robienie ludziom mieleniaka z przednich płatów mózgowych”), itp. Raz Urban doszedł do wniosku, że Krewa nudzi i dziwaczy, i wyrzucił go. Przyszło tyle listów od czytelników, oburzonych zniknięciem Krewy, że Urban („Urbanissimus! JWM baron Urban!”) felieton Górnickiemu oddał. Mógł sobie dalej rozmawiać jak cham z panem – do śmierci.

Bo wyszedł któregoś dnia z redakcji –i po paru dniach umarł. Na raka. „Z ulgą przyjęliśmy wiadomość, że nie cierpiał”.

Mimo że cierpiał wcześniej. Nienawidził „tyłu pryszczu na tyłku świata”, że nie mógł nie być rozpaczliwie samotnym w tym świecie, tak pełnym wad.

A w sumie – stwierdza Urban w swoim wspomnieniu o starym kumplu, z którym nie bardzo się lubili – było „dwóch Górnickich”. (Jakby ich wszystkich, ludzi Fraka, nie było po dwóch! Fraków nawet trzech!)

Górnicki w dwóch postaciach był taki: intelektualista, zjadliwy dowcipniś, smakosz świata – i sztywny pułkownik-kancelista, miłośnik ładu, rytuałów, hierarchii władzy, małość dworu... Obie postacie łączyło jedno: bezkompromisowy był z niego ideowiec!

Tako rzeczce Urban.

Wszyscy byli podobni. Skończony cynik w symbiozie z bezkompromisowym ideowcem, wywodzący się z nizin społecznych: oto wzorcowy człowiek Fraka.

Nie z każdym się udawało. Z Zygmuntem Kałużyńskim na przykład: i plebejusz był z niego („Ja pochodzę – zupełnie przeciwnie niż pan – z proletariatu; jestem plebejuszem, który się wyłamał ze swojej klasy” – mówił w rozmowie-rzecz z wytwornym i kulturalnym Tomaszem Raczkim, którego przodkowie mieli sklepy, a ojciec grał na fortepianie), i swego czasu aparatczyk, i cynik, ale realiów (REALIA, PANOWIE, REALIA! – jak wciąż powtarzał Frako) nigdy dobrze nie rozumiał. Pamiętał potworną nędzę swojego dzieciństwa i pasanie krówek (jedną krowę się miało na rodzinę, nie więcej: niewola u bydła!), aż tu nagle szkoły można było pokończyć, zawód zdobyć: jakie znaczenie ma dla takich ludzi to, że cenzura zabrania AWANGARDY?

No, dla niego to miało znaczenie, bo był wyrodkiem.

Przez wiele lat w „Polityce”, nie był tak naprawdę Człowiekiem Fraka: za dobrze pisał, i za ważne było dla niego, co pisał. A pisał o filmie, czyli o wszystkim, bo żaden film nie istnieje w oderwaniu od reszty świata. Kiedy w latach poprzedzających sierpniowy wybuch pojawiło się w Polsce to, co nazwano eufemistycznie „kinem moralnego niepokoju” (filmy nieśmiało opozycyjne, pokazujące ohydę świata „realnego socjalizmu”), wyśmiewał je jak szalony. Po prostu nudne to było, potwornie nudne i źle zrobione: bez werwy, biglu, seksapilu! Najlepszy środek nasenny! Publiczność podzielała zdanie Kałużyńskiego i nie bardzo na „moralny niepokój” chodziła – ale „realia, panowie, realia!” Frako łaknął zbliżenia z moralnie niespokojnymi i zabronił swojemu człowiekowi dalszych drwin, na co człowiek Fraka postanowił odejść z redakcji. Wprawdzie dał się ubłagać („takie pióro!”) i został, ale co za niesubordynacja!

Za to potem, kiedy wszyscy zdradzili, on okazał się wierny. Wierny sztandarowi, Urbanowi, przeszłości, lewicy, własnej tożsamości: on też. Za kogo się uważa w czasach po upadku komuny? Za człowieka lewicy. Jak Frako. I mdli go na widok niezliczonych postkomunistów klęczących po kościołach, mdli go od łkań, jak strasznie się ci ludzie sukcesu nacierpieli, jak ich prześladowano, jak musieli udawać, żeby zająć jak najwyżej w znienawidzonej partii – podczas gdy były z nich zawsze „klerykalne kułaki”, zawsze! „Jakoś nie mogę się na ten temat uspokoić”.

Ta pornografia polityczna! Ten cyrk martyrologiczny!

Ci, którzy ucierpieli naprawdę, nie krzyczą modnie o swoim męczeństwie. Urban choćby, ten „znienawidzony obecnie” Urban, którego sezonami, latami nie wolno było drukować, któremu pokretnie pomagali koledzy, żeby mógł po kryjomu, anonimowo, zarobić „na chleb i zupę”. Są inni tacy. Każdy ucierpiał. Kałużyński myśli, że Stalin też. Ale ten krzyk, że nie ma lewicy... On sam jest żywym dowodem, że to kłamstwo. Nie tylko on. Jakby dążenie do ludzkości bez ucisku mogło zniknąć tylko dlatego, że dano społeczeństwu „ser francuski i amerykańską gumę do żucia zamiast postępowej ekonomii, oszustwo zamiast polityki i parodię zamiast religii”! „Jakoś nie mogę się na ten temat uspokoić.”

Tyle Kałużyński.

Krzysztof Teodor Toeplitz, zwany KTT, był uważany za człowieka Fraka do tego stopnia, że ludzie zapamiętali go jako felietonistę „Polityki”. Ach, świetna była ostatnia strona „Polityki”, co za felietony tam drukowano! Fajerwerki! Passent, KTT... Tymczasem KTT drukował u konkurencji, redagował też przez kilka lat własne pismo, odnowione w stylu pośrednim między stylem *Puncha* a *New Yorkera* „Szpilki”. Ale wspomnienia mają swoją logikę: najlepsze teksty Toeplitza poszły na konto „Polityki”, więc i Fraka.

On też, jak ludzie Fraka, wykpiwał dziennikarzy, opisujących ze współczuciem nędzę Trzeciego Świata – ach, szlachetni biali państwo! Był przeciwko emeryturom dla artystów – jak któryś jest coś wart, powinien odłożyć dość pieniędzy, żeby na starość żyć z procentów!

Nie brał pod uwagę inflacji, kryzysu, upadku banków – w końcu to było za socjalizmu. Napisał felieton *Mława atakuje* – wielki, słynny atak na brutalny, bezwzględny, wiecznie zwycięski motłoch; po „upadku komuny” Urban nazwał KTT prorokiem. Kpił KTT – jak Urban, jak inni ludzie Fraka – z „prostych ludzi”, z kultu „prostych ludzi”, z szantażu „prostymi ludźmi”. To on napisał – rzeczywiście w „Polityce” tym razem:

„Osobiście zawsze uważałem, że prawdziwym działaniem na korzyść prostego człowieka jest dopomaganie mu, aby przestał być prostym.”

Prawie credo „Polityki”!

Poza tym różnił się od innych Ludzi Fraka: nie kąsał. Był zawsze spokojny, kulturalny, odcytany, dowcipny w stylu angielskim, bez jaskrawości – i bardzo lubiony, bardzo czytany. Grupa Fraka kilkakrotnie usiłowała pchnąć go na ministra kultury. Nigdy się nie udało. Urban próbował lansować pomysł w prasie. „Dlaczego nie felietoniści rządzą Polską?” – pytał, niby retorycznie. Oto KTT co tydzień daje tak mądrą, tak roztropną ocenę sytuacji, a kto jest ministrem? Człowiek robiący głupstwo za głupstwem! Dlaczego (to już w 1983: i Frako, i Urban są w rządzie, próbują wzmocnić swoją pozycję, dokooptować innych swoich, zdobyć trochę terenu), dlaczego nie KTT? Urban niby żartuje, prawdziwa gra toczy się za kulisami, ale pozyskanie opinii publicznej może się przydać. No, spójrzcie, jakim skarbem jest KTT!

„...postawa Napoleona, europejskie nazwisko, umiarkowane poglądy, ateista, ale chrzczo-ny, językami włada, książek już tyle przeczytał, że więcej nie musi, może więc zająć się pracą... Gładki w obejściu, światowy, rano trzeźwy, daje się nakłonić do monogamii...”

Nic z tego. Żadne podejście nie przyniosło sukcesu. Nie udało się Frakowi rządzić w otoczeniu Swoich Ludzi, tak starannie dobranych, tak dobrze w tym kierunku przeszkolonych. Tylko Urbana mógł wziąć ze sobą w górę, gdy wreszcie trafiła się okazja. Nikt nie chciał, żeby Frako rósł w polityczną siłę: ani aparat partyjny, ani – być może – Jaruzelski.

A taki świetny zrobiłby ze Swoich Ludzi rząd!

Nie udawało się.

Kiedy wszystko się załamało, kiedy Wielki Brat zabierze swoje czołgi z krajów ościennych i zacznie budować kapitalizm, na placu boju zostanie się Urban. To on przygarnie Fraka i Górnickiego. Kiedy – co było do przewidzenia – umiarkowana, postkomunistyczna lewica wygra wybory, i parlamentarne, i prezydenckie (rozczarowali się ludzie nową władzą, zawsze tak jest), kiedy się to stanie, KTT dostanie dotacje państwowe na założenie jedyne w nowej Polsce tygodnika kulturalnego, a Passent pojedzie na ambasadora do Chile. KTT zostanie powszechnie znienawidzony (każdy chciałby dostać pismo!), jego tygodnik będzie bojkotowany, a po kolejnych wyborach (znów się ludzie rozczarowali, więc wygrała chadecka prawica) odbierze mu się państwowe dotacje. Tak toczy się świat, ale trudno się z tym pogodzić.

Był jeszcze wśród ludzi Fraka, blisko Fraka, Stanisław Ciosek, ten, który przy podłej whisky, o 1<sup>25</sup> w pewną sierpniową noc, wraz z Frakiem, Urbanem i Górnickim zmieniał świat. Ale to już sprawa mroczna, bo polityczna. W partii szedł noga w nogę z Frakiem: obaj wiecznie niedoceniani i wysyłani na stracone pozycje. Do tego stopnia, że dano mu przydomek „likwidator”. Jakiegokolwiek stanowisko otrzymał, zaraz zniknęło poletko jego ograniczonej władzy, czy to była federacja socjalistycznych związków młodzieży, czy ministerstwo do spraw związków zawodowych, czy PRON (jaruzelskie następstwo niegdysiejszego Frontu Jedności Narodu, mającego jednoczyć wszystkich, którzy przynajmniej nie są przeciw, słowem – *stare proncie w nowym froncie*), to Związek Radziecki, dokąd go wysłano na ambasadora. Śpięwali z Frakiem w duecie: ciągły pech, ciągle klody pod nogi! I razem jeździli do Magdaleny na rozmowy z opozycją, budować kompromis, nowy ład i własną klęskę.

„Normalnych ludzi” Ciosek nic nie obchodził.

Kler – nie, nie kler, episkopat – ponoć go lubił i żałował, że tak się Ciosek skończył po pierwszych wolnych wyborach. Razem z Frakiem. Dobrze się z tym ateuszem, Cioskiem,

rozmawiało. To on, w rozmowie z Fioletami, porównał partię komunistyczną z kościołem katolickim: „U was, jak u nas: wystarczy być posłusznym i odprawiać obrzędy, nie trzeba zaraz wierzyć”. Cynik był z niego, cynik „szczerzy w granicach rozsądku”. Nawet miły.

Ale to człowiek z pierwszego, polityczno-partyjnego wcielenia Fraka. Tego, o którym najmniej wiedziano. Czarna dziura, magma, wiekuista tajemnica. Co tam człowiek wie o ich partyjnych sabatach?

Oczywiście, był jeszcze Passent. Najbardziej na widoku spośród ludzi Fraka był Daniel Passent.

Ten, który – według Urbana – *Jako dziecko był dzieckiem żydowskim i w czasie okupacji siedział w szafie, ponieważ naziści pragnęli Passenta zabić. Dziwne, ale zostawiło to jakiś uraz.*

Adaś Michnik, beniaminek i ulubieniec ludzi kulturalnych (przemity, bystry, odważny chłopiec, to więzień polityczny, to zabawny kumpel od kieliszka), okropnie Passenta nie lubił. Ludzie z towarzystwa usiłowali na niego wpłynąć. Dobrze, ma Passent złe cechy charakteru, ale spróbuj go zrozumieć, Adasiu! Jako dwuletnie dziecko został przez skazanych na śmierć rodziców przerzucony w nieznane, w jedną szansę na milion, przez mur getta! Adaś (sam Żyd, ale powojenny) odpowiadał z uporem:

– Wszystko jedno. Mogli przetrzucić kogoś przyzwoitego!

Faktycznie, był Passent złośliwy i pełen nienawiści. „Gdyby moje felietony były fotografiami” – przyznał kiedyś – „to połowa ludzi, o których piszę, miałaby odstające uszy i krzywe nogi, ponieważ co drugi bohater jest mi antypatyczny.” To on robił arogancką i napuszoną warstwę „Polityki”, wyśmiewał, mieszał z błotem i niszczył konkurencję. „Wiarygodny jest człowiek, któremu wierzą, a nie ten, co ma rację” – pisał. Wierzono mu, bo był śmieszny, a przeciwników nikt nie znał: dobierał sobie takich z drugiego rzędu i niszczył. Był pitbullem Fraka, jego psem bojowym.

Wyhodowano go bardzo starannie. Niemal tak jak Aleksandra Kwaśniewskiego na pierwszego postkomunistycznego prezydenta: miał zadatki, więc tylko odchudzić, ubrać, podkształcić, włożyć mu niebieskie szkła kontaktowe, i niech mówi po angielsku, i niech gra w tenisa, to samo z jego żoną, trzeba ją zrobić pod Kleopatę Potomaku... to o Kwaśniewskim, nie o Passencie. Passenta też szykowano do wyjścia na scenę przez długie lata, ale inaczej.

Odpowiednie ręce złapały go po przetrzuceniu przez mur getta. Wychował się w rodzinie lewicowego generała. Chodził do świetnej szkoły. W 1955 pojechał studiować w Leningradzie, na uniwersytecie imienia Żdanowa. W rok później nie wsiadł do Pociągu Październik: za bardzo go brzydziła nagła wolta odnowicieli. W 1968, w czasie antysemitycznej nagonki, bał się, po prostu się bał, choć mu Urban tłumaczył, że nie ma czego. (Frako nie wdał się w antysemityzm: co to, to nie.) W 1970 odwrócił się od „lokomotywy propagandy sukcesu” i stracił na tym order. W 1980 wiele rozumiał, ale kpił z ludzi, nie mających pojęcia o realiach. W stanie wojennym z czułym smutkiem żegnał kolegów, którzy odeszli z „Polityki”, porzucili Fraka, Firmę i Sprawę w wyniku uczuciowo-intelektualnego błędu. Kiedy poszli sobie Rosjanie, wyjechał do Ameryki (na stypendium), a potem załatwiono mu nominację na ambasadora Polski w Chile. Próbował jeszcze czasem coś pisać, ale już mu nie szło: wygasł.

Szkolenie Passenta na Człowieka Fraka potrwało kilka lat. Najpierw studia w Rosji, potem w Stanach Zjednoczonych (Stany wyznawały teorię Potencjalnych Elit, i wołały dawać stypendia młodym reżimowcom, polecanym przez partię rządzącą, niż opozycjonistom lub niezależnym: chodziło o konkrety, o REALIA, o przydatność faceta w przyszłości). Passent był na etacie w „Polityce” – t ak będzie to później podawać w biogramach – już jako student, ale naprawdę zadebiutuje później, po swoim amerykańskim stażu, z fanfarami, fajerwerkami i zapowiedzią na pierwszej stronie: dziś pierwszy artykuł DANIELA PASSENTA! Imię i nazwisko obce, efektowne, gwiazdorskie, artykuł zgrabny i błyskotliwy: popracowało się nad

chłopcem parę lat, ale zysk przyszedł w jeden dzień, i to dobry zysk. Od pierwszego wydrukowanego u Fraka tekstu Passent jest sławą i gwiazdą.

Faktycznie, przez dłuższy czas nie pisze, a wystrzeliwuje fajerwerki. Płodny jest – jak się zwierzy Frakowi – niczym królik. Istnieje – jak każdy w „tej grupce”, w tym jego „punkcie oparcia” – w co najmniej dwóch postaciach. To jest pitbullem, załatwiającym jak nikt inny porachunki Fraka (wyspecjalizował się w atakach personalnych, a gryzie morderczo, ze szczękościskiem!), to wesołym światowcem, który na Manhattanie czuje się jak u siebie w domu. W pierwszej postaci stuka przed szefem obcasami: tak jest! Zrobi się! W drugiej pisze do szefa czule: „Dear Mieciek!”, „Drogie Mieciątko!” i zapewnia, że bez Fraka oraz Firmy nie umiałby żyć. A Frako to lubi.

W latach siedemdziesiątych błyszczy w „Polityce” – piśmie bardzo dumnym ze swego „europejskiego sznytu” – jako BYWALEC; nawet sprawi sobie tee-shirt z takim napisem. Na zdjęciach i na okładce książki, którą z tych tekstów robi, nie nosi oczywiście tee-shirta, tylko sztywny kołnierzyk, muszkę, melonik i przyprawione wąsy. Świetnie się wtedy czuje, tryska humorem, czyta się go ze śmiechem, dobrze jest. O „koncercie premier” z festiwalu piosenki w Opolu pisze: „Najwyżej koncert minister”. Opis bankietu na cześć szwedzkich producentów konserw, reflektujących na polskie mięso, zatytułuje: „Znajdźcie im gardło, a oni je podeźną”. Z okazji innego bankietu napisze: „...nawet pod ścianami stała nasza upper -middle class (klasa średnia-wyższa). Jest to klasa wyższa, ponieważ posiada auta, ale jednocześnie średnia, ponieważ te auta to są trabanty”. Bywa Passent w ambasadach, na wystawach, w Adrii. Uchodzi mu zwrot: „Ale wszystko było socjalistyczne, czyli nieudane”. Wykpiwał już doktoraty poświęcone grze w palanta albo przyczynom ciemnienia ciasta makaronowego. Teraz sporządza równania typu: rynek = dżungla = Mowgli = Kipling, „czyli literatura kolonialna, brytyjska, całkowicie nam obca”. Ach, *nie przeczuwał Dżugaszwili, jak się z czasem rzecz umili!* Wesoło jest, prawda? Ludzie czytają, i wierzą, że jest wesoło. No, bo jest! Po-czytaj „Politykę”, a zrozumiesz, jak jest wesoło. Podczas gdy na Zachodzie, jak napisano za Stalina, *jest daleki, obcy świat. / Tam się ranek we łzach budzi / na niedole prostych ludzi / tam uciska brata brat.* Fajerwerki! Ludzie konają ze śmiechu!

W stanie wojennym Passent nie będzie już tak wesoły. Zastąpi Fraka (który – znów jego słowa – „dostał kartę powołania” i teraz współrządzi) jako liberał, bolejący nad podziałem społeczeństwa, potępiający ucieczki z kraju („Człowiek powinien umrzeć tam, gdzie się urodził, zwłaszcza w kraju takim jak Polska, którego nie wolno opuszczać w biedzie”), zarzucający (po staremu) innym pismom tchórzostwo (jedno się pisze, drugie mówi, pomija tematy niewygodne – podczas gdy NA ZACHODZIE... ach, na Zachodzie żurnaliści odważnie kpią sobie z papieża-Polaka i walczą o prawa kobiet), przypominający, że „stan wojenny to nie jest jeszcze najgorsze, co nas mogło spotkać”, i że zamiast rzucać kamieniami w milicję, lepiej podrapać się w głowę, bo głową muru nie przebijesz, a jak się poprze władzę, to może będą jakieś reformy, może złagodnieje polityka paszportowa... Czy jego, Passenta, nie krzywdzono? Czy nie wyrzucono mu z książki o olimpiadzie („Pan Bóg przyjechał do Monachium”) świetnego zdania o zwycięstwie siatkarek z NRD nad siatkarkami z RFN – „Nasze Niemki wygrały z ich Niemkami”? I czy z tego powodu obraził się na cenzurę, na ustrój? Skądże. „Realia, panowie, realia!”

Czasem mu to wychodzi lepiej, czasem gorzej. Najlepszy był zawsze jako pitbull, a rzadko może kogoś ugryźć „za wojny”: jest przecież liberałem w ciężkich czasach, poniekąd w zastępstwie Fraka. Urbana może sobie atakować, tego żandarma, chodzącego ciężkim krokiem po rewirze, a potem piszącego raporty z przebiegu służby. (To dobre, ten atak na Urbana, to daje pozór wolności słowa!) Ludziom jest smutno, a ten żandarm w hełmie, w za dużych butach, w onucach, sprzeciwia się tolerancji „Polityki”, jej szukaniu porozumienia i kompromisu niczym „musowemu spółkowaniu z każdą dziwką”. Nic, nic Urban nie rozumie! Żandarm się z niego zrobił i tyle. No, cieszyć się, cieszyć! Tylko bez udawania, tego Urban



nienawidzi! „Nie wystarczy jeść z ręki, trzeba się jeszcze oblizywać, i to nie jest żadna arogancja władzy.” Taki jest Urban, pfe!

Dobre, prawda?

Dołożył Passent jednemu z Naszych Ludzi!

Niezależny jest, całe pismo jest niezależne i otwarte, i trochę opozycyjne wobec władzy, jak zawsze... Tyle że ludzie się zmienili.

Realia, kompromis, złoty środek – jak za Fraka! Frako dorwał się wreszcie do władzy, a „Polityka” ma pozostać jego tubą propagandową, a Passent ma robić swoje najlepiej jak potrafi. Robi swoje najlepiej jak potrafi, ale już nie te siły, nie ten humor, nie ta publiczność. Wściekli się ludzie bardziej niż można było się spodziewać.

Po upadku PRL Passent stopniowo przestanie pisać. Kiedy po długiej przerwie znów spróbuje, będzie to tak blady cień jego superstarowskiej przeszłości, że da za wygraną. Umilknie.

Odegrał swoją rolę – jaką właściwie?

Czort wie. I nie Passent jest bohaterem tej książki.

Tyle na razie o ludziach Fraka. Proletariuszach lub Żydach, z reguły szczerze i naprawdę czerwonych, pragnących wejść do historii, a Mieczysława F. Rakowskiego uznających zgodnie (do czasu) za wodza.

Czas wszystko pokręci i rozpieprzy, jak zawsze. Szczęście i pech wmieszają się do wszystkiego, jak zawsze. Ale tacy mniej więcej byli LUDZIE Fraka.

A Urban był jednym z nich.

## „Polityka”

Na okładce jubileuszowego numeru „najbardziej liberalnego czasopisma od Łaby do Władywostoku” wilk z owieczką, uśmiechnięci, piją piwo nad stosem numerów „Polityki”. To rok 1997, czterdziestolecie, i z dawnej „Polityki” tylko tytuł się ostał. Nic poza nim.

Ale do jubileuszowego numeru zaproszono czcigodnych starców, którzy kiedyś, podobno... i to z ich ducha, z ich podszeptu jest wilk zbratany z owieczką niczym w ulotkach Świadków Jehowy, i jeszcze duży, czerwony napis nad nimi:

### JAK UMACNIALIŚMY KOMPROMIS

Tak siebie widzą po latach ci, którzy przetrwali.

Naprawdę wilk nigdy nie pił piwa z owieczką. Pismo było Oficjalnym Organem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, i takim pozostało do czasu, kiedy jego prawdziwy twórca, jego naczelny, jego wódz, kazał na ostatnim tej partii zjeździe SZTANDAR (ten sztandar, który powiewał latami na pierwszej stronie „Polityki”, nad hasłem „Proletariusze wszystkich krajów...” – kiedy kazał ten sztandar wyprowadzić. Wynieść. Usunąć. Na wieki. Nie było to pismo kompromisu. Było aroganckie, wyniosłe, z cotygodniową porcją obelg dla społeczeństwa – i było dobrze robione. Naprawdę dobrze robione.

Jacek Maziarski, dziennikarz-apostata, już po wyprowadzeniu sztandaru długo oblewany przez Urbana kubłami pomyj, powiedział, że było to pismo sitwy. Pismo środowiska (środowiska Urbana, Passenta, Kałużyńskiego... itd), które „... wybrało pewną wizję życia. Jest to wizja dobrego towarzystwa, myślącego kategoriami lewicy, postępu, tolerancji i innych, równie pięknie brzmiących haseł”. Intelktualnie stało to towarzystwo poniżej przeciętnej, ale co do dobrego samopoczucia – nikt nie zdołałby go prześcignąć. Nasza sitwa! Nasza Firma! Kto nie z nami, tego zdepczemy! („Kto nie z Mieciami – tego zmieciami” – jak głosili dziarsko ludzie generała Moczara w dzikiej walce o władzę lat 1968-1970, walce przegranej.)

Och, oczywiście: była to sitwa. Ale zręczna.

Nie można było odczytać jej składu ze stopki redakcyjnej. Sprawa nie była tak prosta.

Ludzie „Polityki” mogli pracować w pismach konkurencyjnych wobec „Polityki”. Może i nie gorszych, jak „Kultura” Wilhelmięgo. Bo w gruncie rzeczy nie było się człowiekiem „Polityki”, było się człowiekiem Fraka. W uproszczeniu, i cokolwiek to znaczy. (A znaczy sporo.)

Arogancka była „Polityka” straszliwie. Ale dawała czytelnikom szansę: bądźcie arogancy razem z nami! Poczujcie się elitą razem z nami! Poplujmy sobie razem na tych durniów, Prostych Ludzi! To działało.

Tak w największym skrócie: styl „Polityki” polegał na stałym tłumaczeniu prostakom gigantycznej, nieskończonej różnicy między brandy a koniakiem, harcerstwem a skautingiem, seksem a miłością... przepraszam, zagalopowałam się. Trzeciego tematu nie tykano, robiły to inne pisma, bardziej sentymentalne.

„Polityka” miała coś wspólnego z „Głosem Porannym”, dziełem życia taty Urbana, i może dlatego także Urban dobrze się w niej czuł. (Zapisz się na członka polskiego stowarzyszenia przeciwzembraczego!) Wyśmiewała dobroć. Ten głupkowaty przeżytek dawnych czasów. Niech się ktoś tylko w innych pismach wychylił z reportażami o nędzy Trzeciego Świata (reportaży o nędzy tego świata cenzura by nie puściła) albo z czymś podobnym, „Polityka” dobierała mu się do skóry, manipulując cytatami, kpiąc, fałszując i ośmieszając (Passent w tym celował): patrzcie, pojawił się dobry biały pan! Albo (stokroć gorsze i stokroć śmieszniejsze) dobra biała pańcia! Udało się cwaniaczkom załapać delegację do jakiegoś afrykańskiego czy azjatyckiego kraiku (każdy z naszych czytelników chętnie by pojechał – prawda, czytelnicy?),

i biada, i współczuje, i płacze nad sponiewieranymi biedakami, nad wyzyskiem człowieka przez człowieka, jakby to było za Stalina.

Bywa jeszcze gorzej. Zdarza się w prasie i książkach krytyka takich rajów na ziemi jak Wielka Brytania czy USA. Dają człowiekowi posadkę szefa Instytutu Kultury Polskiej albo czegoś podobnego w samym – powiedzmy – Londynie, a człowiek coś złego w tym Londynie widzi, coś go drażni, coś go oburza (jakbyśmy żyli za Stalina, kochani czytelnicy!). To niech wraca, niech odda posadkę komu innemu! Nie wzięłybyś takiej posadki, kochany czytelniku? Pewnie, że wzięłyby kochany czytelniku, i ani by mu w głowie było cokolwiek krytykować. No właśnie.

Bo organ PZPR bardzo ceni Zachód (podobnie jak czytelnicy, którzy go z reguły nie znają), i w prawie każdym numerze traktuje paru komuchów, którym się coś na Zachodzie nie podoba.

Albowiem nie pozwoli pismo centralnych władz komunistycznych na krytykę kapitalizmu, jasne?

Jasne i świetnie wymyślone. Fantastyczny pomysł na pismo w takim kraju jak Polska. W kraju odcięty od świata, nienawidzącym paskudnej i bałaganiarskiej rzeczywistości (kto by lubił rzeczywistość?!), a więc socjalizmu (on to firmuje), przyznawać tym ludzkim niechęciom rację absolutną. Na pierwszych stronach hochpublicystyka, danina złożona władzom, a potem już wszystko dla ludzi. Należałoby wprowadzić u nas to a to. Bo tak jest w Ameryce albo we Francji, innych argumentów nie trzeba.

Bogowie, co za opozycja pod czerwonym sztandarem! Jak długo Rosja będzie to tolerować? Jak długo będą to znosić rząd i partia? Czytajmy, bo zaraz zamkną!

Więc się czyta. Nakład ze stu tysięcy egzemplarzy rośnie do ponad trzystu tysięcy, czyli prawie milion ludzi czyta „Politykę”, czyli prawie milion jest ludźmi „Polityki”, a „Polityka” poucza ich, pochlebia im, dodaje im skrzydeł, poniża i upokarza, aby zrozumieli własne błędy, ale kopie nogą w miękkim kapciu, nie za boleśnie.

Robi więc „Polityka” wielką akcję OBYWATELE, NIE JĄKAĆ SIĘ, namawiającą lud do nauki języków obcych. W szkołach uczą obowiązkowo rosyjskiego, a nie tak powinno być, to błędy niechlubnej przeszłości: angielski i temu podobne trzeba znać, „jeśli chce się jeździć za granicę”! Piszą to jakby nigdy nic, jakby czytelnicy należeli do bliżej nieokreślonej, uprzywilejowanej warstwy, która może sobie pojechać za granicę – w świecie niewymienialnej waluty, paszportów przydzielanych po miesiącach starań w nagrodę za krewnych za granicą, zobowiązujących się na policji do pokrycia wszelkich kosztów pobytu, tudzież za nieskazitelną opinię, poparcie od dyrekcji i organizacji partyjnej, potwierdzenie udzielonego na czas wyjazdu urlopu, zobowiązanie do zwrotu przyznanego paszportu w ciągu trzech dni od powrotu, *et caetera, et caetera, et caetera*. Oczywiście, akcja była cyniczna i wredna, ale taka światła! (*Czy twój ojciec pali fajkę?/ Tak mój ojciec pali fajkę/ Yes my father smokes the pipe/ powtórz to zdanie/ otworzy ci ono/ o-/ knonaświat*) Bo przecież ludzie powinni być wykształceni, powinni znać języki, prawda? Nikt nie zaprzeczy. A jeśli znać – to przecież nie po to, żeby sobie czytać Kiplinga w oryginale! I nie po to, żeby się dokształcać w swoim fachu, bo przecież jeśli się nawet jakimś cudem (trzeba mieć życzliwych ludzi za granicą oraz zgodę cenzury) zaprenumeruje *Lancet* czy *Vogue*, to i tak na poczcie ukradną. Fikcję tworzyła „Polityka”, ale taką miłą fikcją! Jakbyśmy, czytelnicy, byli równi ludziom z „Polityki”! Każemy wystawić bilet, każemy wypisać paszport – i już jesteśmy w Nowym Jorku! A wtedy przyda nam się niezawodnie znajomość języków.

*...Gdy będziesz siedział na Broadwayu  
w barze piękniejszym niż oczy szatana  
spytają cię niezawodnie  
czy twój ojciec pali fajkę*

*wtedy odpowiedz z uśmiechem  
Yes, my father smokes the pipe  
wieszisz  
jak to będzie cudownie*

OK. Poeta, kpiący sobie z nauki języków obcych w kraju szczelnie zamkniętym przed światem, powiesi się z rozpaczy czy serce mu pęknie, czy jakoś tak, i dobrze. Sensat.

Będzie w „Polityce” wielki legendarny artykuł Szefa *Dobry fachowiec, ale bezpartyjny*, artykuł przypominany latami i przez Szefa, i przez Jego Ludzi jako najlepszy dowód tego, czym była „Polityka”: walczone o triumf kwalifikacji nad przynależnością partyjną, nad koteriami i klikami, jak zacnie!

Pozytywizm i pragmatyzm lansowała klika „Polityki”, sitwa „Polityki”: Jałty nie pokonamy, władzy Rosji nie przezwyciężymy, ale moglibyśmy przecież miło pożyć w wyznaczonych nam granicach, prawda? W ramach naszej malutkiej wolności? „Polityka” walczy w naszym imieniu o to, żeby ludzie się bogacili, o to, żeby było ich stać na własne mieszkania, na samochody...

I niech znają języki. I niech pamiętają, że rozchwytywane w Polsce, droższe bodaj od jedwabnych, koszule *non-iron* nosi w Ameryce tylko biedota, nie ma się za czym rozbijać, niech baba stoi nad deską i prasuje (antyfeministyczna była „Polityka” zawsze, ale nie ona jedna, taki był duch czasów). I niech zrozumieją, że ludzie ze świetnej szkoły zawsze będą trzymać się razem, i nic w tym nie ma niesprawiedliwego, trzeba było się lepiej urodzić: my, z liceum Batorego, trzęsiemy Polską! I jeszcze... i tak dalej...

I niech Polacy o wysokich kwalifikacjach przestaną jęczeć, że zarabiają mniej od robotników niewykwalifikowanych. (*Realia, panowie, realia!*) Czemu lekarz nie przestanie być lekarzem, czemu nie otworzy straganu z pietruszką na bazarze, żeby żyć dostatnio? A jeśli tak lubi swój zawód, jeśli tak sobie ceni jego prestiż i czyste ręce – niech żyje pokornie w nędzy i nie kwęka! (To Urban.) Źle płacimy najlepszym, dobrze najgorszym? To niech ludzie będą zaradniejsi! Niech biorą drugą pracę, niech śpiewak hoduje krowy, niech orkiestra symfoniczna Polskiego Radia, której Polskie Radio nie płaci pensji, gra na deptaku, niech lekarz zamieni łazienkę w królikarnię! (To Passent.) Passent słyszał na własne uszy od pewnego muzyka, któremu to powiedział niemiecki taksówkarz, że jak był w Niemczech kryzys, to „każdy hodował króliki na balkonie albo w łazience i dziś jesteśmy najbogatszym narodem w Europie”: tak powiedział taksówkarz! I tak trzeba! Niech każdy sobie radzi sam, „jak na Zachodzie”!

Wieczne, magiczne powiedzonko „Polityki”: „jak na Zachodzie”. Czyli tak, jak być powinno.

Na pierwszej stronie czerwony sztandar, w środku przekonywanie ludzi, że powinni hodować króliki na balkonach albo handlować pietruszką zamiast kończyć ciężkie studia, po których będą żyć w nędzy: tak jest na Zachodzie. Czyli w raju, do którego dążymy. (W domyśle: na Zachodzie lekarz też, oczywiście, zarabia mniej od śmieciarza, ale jeśli jest chytry, ma na balkonie króliki: tak wygląda raj, do którego dążymy.) I przestańcie biadać nad niesprawiedliwością społeczną, lenie!

A w ogóle bardzo dobrym pismem jest „Polityka”, bardzo.

Toż to MY pierwsi, my jedyni poza *Life* drukujemy pamiętniki Eichmanna, zbrodniarza wojennego, którego namierzono, porwano, i powieszono w Izraelu. Czemu akurat my, za ile, w jaki sposób prześcignęliśmy resztę świata? Hm... Passent to załatwił, Passent jest taki zręczny!

I w ogóle, na miłość boską – „Realia, panowie, realia!”

W ramach realiów natomiast – *Nie przeczuwał Dżugaszwili, jak się z czasem rzecz umili!*, co podśpiewywał Passent w jednym ze swoich najweselszych felietonów. Już za czasów tego

aparaczyka i mentyki, Gomułki, rzecz się umiliła, a co dopiero potem. Niestety, właśnie w czasach mentyki Gomułki Urban z „Polityki” wyleciał. Za taki dobry tekst!

Ułaskawiony po latach, przestał być wesółkiem i ekscentrykiem, kpiącym sobie z Racji Stanu (cokolwiek to znaczyło). W każdym razie nie był nim już w „Polityce”, skrzydła rozwijał gdzie indziej. Sławę zdobywał gdzie indziej. „Realia, panowie, realia!”

Wśród realiów jest cenzura (według Marksa wolność to uświadomiona konieczność, a Passent zastąpi słowo „wolność” słowem „cenzura”), a władza daje czasem Rakowskiemu cenzuralne luzy, na których rośnie legenda „Polityki”. Oto pismo liberalne, odważne, uczciwe! Píše o tym, o czym nikt inny się nie zajaknie!

A reszta prasy jest tchórzliwa i zakłamana.

Dlaczego MY JEDNI drukowaliśmy Solżenicyna? Dlaczego MY JEDNI wspomnieliśmy kiedyś, leciutko, felietonowo, że są między nami a Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich sprawy ciemne i złe, a nigdy nie wyjaśnione? Choćby Katyń? Dlaczego MY JEDNI? Gdyby cenzura takich tematów nie puszczała, to i nam by nie puściła, a jak NAM wolno pisać o Katyniu, to znaczy, że każdemu wolno, tylko innych to nic nie obchodzi, wołają sobie „grać na ligę angielską” (jak mawiał Passent, pierwszy demagog „Polityki”), wołają sobie pisać o bezrobociu we Francji albo o krzywdach Irlandczyków, to nikogo nic nie kosztuje. MY JEDNI, odważni i niezłomni, tym razem (i już nigdy więcej)...

Może ten i ów czytelnik dawał się nabrać. Trzeba było tkwić w branży, żeby wiedzieć, jak działa cenzura. Że nie tylko zdejmuje, szatkuje, tnie, również każe (tym razem, w tym numerze, nigdy więcej, polecenie z góry) spuścić drażliwy temat ze smyczy. Niech sobie drażliwy temat poszczeka i wróci na łańcuch, na wieki wieków amen.

A przy tym wszystkim niezłe było to demagogiczne, aroganckie, wredne i kłamliwe pismo, naprawdę niezłe. Cóż – „realia, panowie, realia!” Niezłe było. „Polski *Spiegel*”, jak powiedział w wywiadzie dla Niemców sam Frako, a co potem powtarzano bez cytowania autora. Jakby to Niemcy stwierdzili.

I w świństwach się nie babrało. Wiecznie dumne z własnej osobności w 1968: tu nie było pisanych pod dyktando antysemitkich tekstów! Tu nie wykonano polecenia KC! Jakiś ważny Niemiec, dowiedziawszy się o tym później, zawołał o Frako: „Ależ ten człowiek ma za sobą jedną trzecią świata!”

No, miało to pismo swoje zalety i zasługi. Niezłe było.

Miało wspaniałe reportaże. Drukowało arcydzieła reportażu Ryszarda Kapuścińskiego i Hanny Krall. Wstępniaki z pierwszej strony równoważyły fajerwerkami felietonów ze strony ostatniej. Tu każdy był kapitanem własnej wanny, jak to określiła słynna terrorystka, Ulrike Meinhof, a powtórzył z aprobatą Passent, o czym za chwilę. Nie wolno było w Polsce pisać z szacunkiem o Ulrike Meinhof z „bandy Baader-Meinhof”, żeby nie psuć stosunków polsko-niemieckich, ale Frako miał z Niemcami znakomite kontakty i u niego było wolno.

Zresztą to było już w grudniu 1986 i Frako rządził, nie redagował. Pismem kierował Michał Radgowski (o którym nie napiszę ani słowa, bo to w końcu moja książka i mam prawo. Radgowskiego nienawidzę, bo mnie kiedyś śmiertelnie obraził ...no, nie mnie osobiście, nie miał pojęcia o moim istnieniu: napisał ohydne, obelżywe zdanie o kobietach z biednych dzielnic, dokładniej – o kobietach z mojej dzielnicy, i niech sobie gnije w spokoju, nic o nim więcej nie powiem poza tym, że był Człowiekiem Fraka, zastępcą Fraka, następcą Fraka, i wrednym, ordynarnym, rzygającym sobie na mnie co tydzień felietonistą z ostatniej strony „Polityki”, więc niech sobie o Radgowskim piszą inni, jeśli im czasu nie szkoda.) Ostatnia strona „Polityki” – Passent, Radgowski, czasem Głowacki (bardzo zabawny) itd. – strona felietonowa była wabikiem dla czytelników, była główną atrakcją pisma. Taaaka śmieszna! I taaaka odważna!

Właśnie o tym napisał Passent jeden ze swoich – wydawałoby się – najszczerzych felietonów.

Och, nie popierał Meinhof w tym, że zamiast robić karierę w dziennikarstwie i teatrze poszła do końca. Jeśli się człowiek szmaci, niech chociaż będzie CHŁODNY. Jak on, Passent. Ale dała mu nieboszczka Ulrike do myślenia. Nazwała go Kapitanem Własnej Wanny, i miała rację, poza to nie wyszedł.

Bo to jest tak. Wychodzi gazeta, a w tej gazecie są felietony. Takie zabawne, takie odważne! Alibi dla byle partyjnej szmaty. To one, felietony tworzą wrażenie, że w tej właśnie gazecie wolno pisać, co się chce. To one mają przyciągać publiczność i dawać gazecie posmak niezależności, błysk ekstrawagancji... Niech felietonista wyraża czasem pogląd niepopularny, a czytelnicy zaraz uwierzą, że właśnie to pismo, pismo jako całość, ma odwagę głoszenia poglądów niepopularnych.

W sumie są felietoniści tym samym, co kobiety czy Murzyni w rządzie: alibi, listkiem figowym; czego wam jeszcze, ludzie, potrzeba? Poczytajcie sobie. Śmiesznie jest?

Śmiesznie.

To czego wam więcej potrzeba?

Passent się zgadza. Zgadza się z powieszoną w celi terrorystką, która nikogo nie zabiła, ale dostała nagłej gorączki i chciała iść na całość, co ją kosztowało życie. Trochę, odrobinę jakby jej zazdrościł. Świetnie to napisała. Słusznie to napisała. Także o nim, Passencie, napisała. Tak właśnie jest, tym był, tym pozostaje. Kapitanem własnej wanny. „Notorycznym wentylem”, jak o nim mówiono czy śpiewano w kabarecie. Kapitanem własnej wanny, uważającym w dodatku – o zgrozo! – żeby za dużo nie nachlapać.

Taka była, tym była ostatnia strona „Polityki”. Wentylem. Listkiem figowym. Alibi. Sex-appealem pisma także. Zwykle od niej zaczynało się lekturę.

Urbana na ostatniej stronie nie było.

Urban był Człowiekiem Fraka, nie gwiazdą „Polityki”. Fajerwerki wystrzeliwał gdzie indziej, błyszczał gdzie indziej, swój geniusz objawiał gdzie indziej. W szmatławcach i pismach humorystycznych. W „Polityce” pozwolono mu pochopnie trochę poświecić, ale Urban nie umiał nigdy świecić „trochę”: od razu wywoływał pożary. Jak w 1963, kiedy to wierchuszka kazała go wyrzucić na zbity pysk i obłożyć zakazem druku – gdziekolwiek i kiedykolwiek. W końcu „Polityka” była organem KC, choć robiła, co mogła, żeby ludzie – dla dobra KC – o tym zapominali. Kiedy po latach Urban wrócił (Frako był lojalny, i Urban też był lojalny wobec Fraka), mógł sobie śpiewać tenorem, barytonem i basem, a także altem, mezzosopranem i sopranem koloraturowym gdzie indziej, w szmatławcach, najlepiej pod pseudonimami. W „Polityce” uprawiało się politykę. Dla Urbana pozostała tam działka nabożnej hochpublicystyki i posada szefa działu krajowego.

A przecież jeden z najlepszych tekstów w dziejach „Polityki” napisał Urban. *Jego totalność doktora Marcinkowskiego*. Tak dobrze napisał, że nie mogło mu to uść bezkarnie. Wyrzucono go z pisma na amen, a w każdym razie na długie lata. Nie Frako go wyrzucił, ale najwyższa władza, którą był akurat Gomułka, sztywny aparatczyk z ideałami dawnej komuny. Życ należało skromnie, po proletariacku. Miał więc Gomułka piękne mieszkanie i wspaniałą willę w Konstancinie, nosił eleganckie garnitury, ale za wszystko uczciwie płacił, a że wyznaczano mu absurdalnie niskie ceny, mógł się pławić w poczuciu własnej kryształowej czystości. Dom z wielkim ogrodem za trzy miesięczne pensje, z rozłożeniem na raty? Ach, dobrze się żyje w socjalizmie, dobrze się żyje! Szczęśliwy ten lud pracujący miast i wsi! Za to garnitury były – w porównaniu z nieruchomościami – bardzo drogie (krawiec, odpowiednio pouczony i opłacony przez pośredników, brał od towarzysza Wiesława jedną dziesiątą normalnej ceny): tak, bardzo drogie były garnitury! Toż krawiec mógł tego naszyć i z dziesięć miesięcznie! Co robi z takimi pieniędzmi? „– Słaby charakter, towarzyszu Wiesławie” – zwierzał się krawiec ze łzami w oczach. – „Gram na wyścigach!” Pierwszy sekretarz radził

dobrotliwie krawcowi, żeby przestał, krawiec obiecywał dołożyć starań, a nazajutrz zaśmiała się z tego cała Warszawa. Nie, nie uważano tego przedwojennego komunizującego ślusarza, który dostał w chwili przełomu najwyższą władzę, za cynika: za głupca go uważano, za niewiarygodnego, tarzającego się po perskich dywanach własnej uczciwości głupca.

Czyż nie powiedział towarzysz Gomułka, w szczerym zdumieniu, swoim wyborcom z FSO skarżącym się na wieczny brak szynki w sklepach: „Przecież robotnicy nie jadają szynki!”?

Czyż nie powiedział na innym partyjnym spędzie ludziom, zwracającym uwagę na niemożność kupienia ubranek dla dzieci (może by coś z tym zrobić: czy to produkcja nawala, czy dystrybucja?) – czyż nie wrzasnął, że to wierutne kłamstwo? Jego żona nabyła ostatnio rajtuzy dla wnuka, i nie miała z tym najmniejszych kłopotów!

Towarzysz Gomułka pił i palił, a jakże, ale pił i palił w sposób słuszny i sprawiedliwy, jak prawdziwy komunista. Pił czystą wódkę, i to tę najtańszą, po robociarsku, a palił najtańsze papierosy, sporty, przełamując je na pół jak prawdziwy, pradawny proletariusz. Jeżeli zjawiał się nagle wśród towarzyszy z najwyższych władz, trzeba było natychmiast chować whisky i koniaki: czerwoni nie piją burżuazyjnych trunków! I łososia trzeba było chować, i kawior, i co tam było: Najwyższa Władza jadła pod wódkę tylko chleb z salcesonem.

Najwyższa Władza kazała kiedyś ponoć wnieść na plenum KC abstrakcyjny obraz, wiszący w gabinecie towarzysza premiera, żeby pokazać wszystkim, że trucizna sztuki burżuazyjnej, trucizna malarstwa niefiguratywnego, może dostać się wszędzie, zanim się obejrzymy, wszędzie: nawet na czerwone wierchy!

Najwyższa Władza pobłogosławi w 1968 wielką kampanię antysemityczną, ale antysemityzmowi będzie najszczerzej przeciwna (czyż sama nie poślubiła Żydówki?) i bardzo będzie protestować przeciw przegięciom oraz nadużyciom. Nie z Żydami kazała władza walczyć, tylko ze syjonistami. A co to takiego, syjonista? Tego władza nie wiedziała. Jakiś zły Żyd. Żyd, który nienawidzi socjalistycznej Polski. Ale antysemitami nie jesteśmy, skądże! Nie tego nas uczyła nasza ideologia!

Śmiano się z towarzysza Gomułki mniej więcej co dwie godziny. Przyznawano – z pewnym szacunkiem – że chyba jest chociaż uczciwy. Przyznawano – bez cienia szacunku – że takiego dumnia świat nie widział. Gdyby spisać historię głupoty od początku świata, zasłużyłby w nim chyba na cały rozdział!

Jak człowiek był chytry, mógł sobie z nim poradzić.

Urban umiał być chytry, ale nie lubił.

I tak zgrabnie wkładał kije w mrowiska!

Na przykład, kiedy przepchnął swój tekst *Jego totalność...* Fraka akurat nie było. Frako może by nie dopuścił. Już raz wyrzucono Fraka z posady za puszczenie tekstu przyszłego suchego teścia Urbana, pisarza Andrzejewskiego, przeciwko orzekaniu kary śmierci w procesach poszlakowych (jak gdyby najwyższa władza nie mogła kazać wieszać kogo chce, według własnego przekonania: „Na pewno doktor Tarwid otruł żonę, na pewno to nie było samobójstwo, tak mi mówi mój głos wewnętrzny, mój *dajmonion!*”), ale udało mu się sprawę załagodzić i wrócić. Ciągle łagodził, uważał, znał realia.

Teraz go nie było. I Urban pokazał swój lwi pazur, poszarpał nim na strzępy kartki „Polityki”. Napisał *Jego totalność*.

Totalnością był w artykule niejaki doktor Marcinkowski z Krakowa. Zwolennik obozów koncentracyjnych dla pijących alkohol (w przyszłości – jest dopiero rok 1963 – i dla palących papierosy), przymusowej sterylizacji dla „niemoralnych”, kary śmierci dla jeszcze bardziej niemoralnych, cenzury obyczajowej, i jeszcze wielu innych straszliwych kar dla każdego, kto choć trochę odbiega od wzorca, złożonego w Sevres (czy na Kremlu, czy w niebie). Za pędzenie bimbru – żąda Marcinkowski 10 lat więzienia. Dla działaczy antyalkoholowych domaga się nagród pieniężnych.

Sam, oczywiście, lubi się napić. Ale po naszymu, po inteligencku: wino pije doktor Marcinkowski. A inni... strach pomyśleć! Karać ich za to, karać! „U nas w ogóle się nie karze. Należałoby podwoić wszystkie wyroki i zaostrzyć reżim więzienny”. Ceny alkoholu – oczywiście – podwyższyć o 100%.

Śmieszny maniak? Akurat!

To do jego rąk przecież trafia 10% państwowych opłat od alkoholu. Na jego dzieła, broszury, antyalkoholowe antologie, gdzie mamy wiersze i Majakowskiego, i Aurelii Kwiecińskiej z Igołomina. O, coś takiego:

*O Polsko Ludowa ulituj się przecie  
Zlikwiduj gospody – będzie szczęście w świecie  
Skończą się nieszczęścia zapłakanych matek  
Poprawi się dola nieszczęśliwych dziątek*

Słowem – zlikwidujcie bary, a ludzie przestaną pić. „Stłucz pan termometr, nie będziesz pan mieć gorączki” – jak powie po latach działacz ludowy, Wałęsa. Ale to jeszcze rok 1963.

I nie o to chodzi, że jakiś krakowski lekarz jest za karą śmierci (oby jak najczęściej stosowaną!), że próbuje podnieść antyalkoholizm do rangi ideologii (w rozwiązaniach szczegółowych dobrze już skądinąd – z hitleryzmu, czego Urban wprost nie napisze, bo albo ochłonął, albo mu to wycięli – znanej), że ma trzy manie – alkohol, nikotyna, seks – i z każdym z tych narzędzi szatana niestrudzenie walczy. Chodzi o to, że ktoś mu dał władzę.

„Społeczeństwo i państwo może wszystko nakazać jednostce dla dobra ogółu” – powie Urbanowi Jego Totalność. (*Powiesić Tarwida – ja CZUJĘ, że jest winny.*) I w tym rzecz, że Totalność też może „nakazać”. Upredza o tym Urbana tuż po wpuszczeniu go na salony (po długim czekaniu pod napisem „Palenie wzbronione” i landszaftem, przedstawiającym karafkę z wiśniówką, kieliszek, owoce – *Jestem pełen podziwu: nawet średniowieczni mnisi nie wieszali w swoich celach podobizn nagich dziwek, żeby pobudziwszy namiętności, tym większą mieć zasługę w ich zwalczaniu i chłostaniu*). Upredza go, żeby nie próbował pisać „polemicznie”, bo kto tak o nim, Jego Totalności, pisać próbował, ten musiał odszczekiwać, a pismo zamieszczało długi wywiad z Totalnością, ze zdjęciem Totalności, a tak! Totalność dostaje 10% alkoholowego narzutu na swoją walkę z grzechem (KTOŚ mu to daje, prawda?). Totalność protestuje przeciwko pokazywaniu w telewizji picia, i niech się zbrodzień w kryminalnej sztuce pokaże ze szklaneczką whisky, zaraz reżyser dostanie baty (choć to niby tylko dowód, że zbrodzień, prawda?). Totalność wywalczyła zakaz palenia w barach samoobsługowych, tych dla biedoty (ma dość rozumu, żeby ludzi z klas wyższych nie tykać). Totalność kazała wykastrować słynny film z Sophią Loren, *La ciociara* (w polskiej wersji *Matka i córka*), wycinając z niej najważniejszą scenę: scenę zbiorowego, żołdackiego gwałtu na pewnej kobiecie z córeczką, choć bez tej sceny film traci sens i nikt nie rozumie, czemu córeczka popada w lekką nerwicę. Wiele rzeczy może zrobić Totalność, i robi je, i tylko o to chodzi. Bo głupie czy mądre poglądy ma każdy. Zazwyczaj bez konsekwencji.

Kto stoi za Marcinkowskim? Kto daje mu 10% wziętej od nas prawem kaduka opłaty za naszą butelkę wina na publikację (w edycji zwykłej i luksusowej) książeczek z wezwaniami takimi oto:

*Gospoda przeszkadza w pracy i myśleniu  
I gotuje zgubę w przyszłym pokoleniu  
Udamy się z prośbą do naszej Ojczyzny  
Ona nam pomoże i zagoi blizny*

Kto stoi za Marcinkowskim? Ktoś. Lepiej nie pytać.



I to właśnie budzi – pisze Urban – „polityczny niepokój”. Może to nie konkretny człowiek, może to „jakaś nieuchwytna i na pewno metafizyczna siła”, w każdym razie „ktoś” nadaje istnieniu maniaka „status serio”. O Boże, ten groźny, ten absurdalny, ten niszczący poczucie humoru i proporcji „nadmiar trzeźwości”!

Artykuł się ukazał, Frako idzie na dywanik i gęsto się tłumaczy, Urban dostaje wilczy bilet i staje się wielkim pisarzem. Opłaciło mu się.

Po latach przeżytych pod pseudonimami, po latach pisania za innych, jako inni, wróci do „Polityki” i będzie ostrożniejszy. Ale nie za bardzo. Czasem coś mu się wyrwie, czasem za bardzo z czegoś zakpi, a ludzi poważnych i cnotliwych szlag trafi, błotem go obrzuca: takie już kalectwo Urbana.

W każdym razie – jest Urban czy go nie ma – „Polityka” trwa, firma trzyma się mocno. Pismo dla elity, ale rozsądnej, bardzo rozsądnej. Dla elity, rozumiejącej REALIA tudzież różnicę między brandy a koniakiem. Owszem, niezłe pismo.

Frako i Urban spróbują stworzyć wokół niego legendę.

Ma to być głównie legenda Fraka, oczywiście.

„Jaki chuj robił tę rubrykę i nie zauważył mojego wywiadu dla „Życia Warszawy”!” – nabazgrze Frako, jeden z szefów stanu wojennego, na marginesie szczotkowej odbitki „Polityki”, przyniesionej mu (wciąż zdalnie kieruje swoim pismem) do Urzędu Rady Ministrów. Chodziło o rubrykę „W kraju”, przegląd najważniejszych wydarzeń tygodnia. I otrzyma odpowiedź redaktora rubryki: nie chciał być posądzony o lizusostwo, tylko dlatego nie powtórzył informacji o wywiadzie Fraka PO RAZ DRUGI: notka była już w poprzednim numerze, Szanowny Pan ją przeoczył.

Cóż, taki jest Frako. W swojej drugiej postaci.

W czterdziestolecie „Polityki”, która z dawną „Polityką” nie ma już właściwie nic wspólnego, w czterdziestolecie radosnego pijaństwa wilka z owieczką, Jego Totalność Urban, czerwony milioner i twórca „NIE”, po raz nie wiadomo który złoży żarliwą deklarację wierności wobec swej dawnej Firmy. Wszyscy wyrosli na „Polityce”! Wszyscy! Każdy inteligentny człowiek pił mleko „Polityki”, tej wilczycy kapitolinśkiej świata na wschód od Łaby.

„Do „Polityki” jako pożywki, na której hodowali swój rozum, nie przyznają się dziś tylko ci, którzy go ostatnimi czasy zjedli i wyrzygali.”

Rozum niby.

Hm. Powiedzmy, że czwarty z Trzech Muszkieterów, Jego Totalność Urban, zawsze lubił przesadzać.

## Kariera czyli Telewizja

Dziennikarz Urban jedzie sobie taksówką, a szofer opowiada o największym wydarzeniu w swoim życiu. – Nie da pan wiary – mówi, przejęty – co mi się kiedyś zdarzyło!

No, cóż takiego?

A to, że na własne oczy – „o, tak, jak pana” widział kiedyś samego Wicherka, telewizyjnego zapowiadacza pogody! Nawet parę słów z nim zamienił! „Panie! patrzę ja i myślałem, że skonam na miejscu... Rozmawiał ze mną o tak, jak ja z panem, może na pół metra!”

– Och, wie pan – odpowiada jeden z najwybitniejszych skrybów Europy środkowej i wschodniej – królowa angielska dała mi kiedyś parasolkę do potrzymania.

– Pewnie, każdy coś w życiu przeżył – odpowiada szofer protekcyjnie, i z człowieka napelnionego dumą jak purpurowy balon zostaje mokra szmatka na tylnym siedzeniu taksówki. Nie być w telewizji, to nie być wcale. Przynajmniej w drugiej połowie dwudziestego wieku. Można być geniuszem, można zmieniać losy świata, ale nie zostało się pomazanym świętym olejem popularności! Więc po co żyć?

I co robić, jeśli się jest ambitnym? Od tej chwili w taksówce wiadomo, co jest prawdziwą sławą i prawdziwym sukcesem. Nie warto pisać wielkich dzieł, bo iluż to ludzi przeczyta książkę, nawet wydaną w dużym nakładzie? O wiele więcej odbiorców będzie mieć byle bzdura wydrukowana w gazecie czy tygodniku. A i to jest niczym wobec pokazywania się co tydzień na ekranie telewizyjnym, w każdym domu, z pałeczką magika, z kijkiem do wytyczania na mapie frontów atmosferycznych, z pięciokilowym borowikiem, z wywieszonym językiem, z błazeńskim grymasem, wszystko jedno, byle zostać zapamiętanym. Wygłupiać się w dobrym czasie antenowym, przed kolacją albo po kolacji: to jest coś!

W gruncie rzeczy – myśli sobie cynicznie jeden z największych skrybów Europy środkowej i wschodniej – jest to nawet sprawiedliwe. Kiedyś, czasem, jeden człowiek miewał i geniusz, i uznanie gawiedzi. Taki Sienkiewicz, genialny pisarz, dostał nagrodę Nobla oraz mająteczek ziemski kupiony ze składek niezliczonych wielbicieli: piękne to były czasy, rozrzucający jest ten wyjątek potwierdzający regułę, ten wyjątek z pradziejów, ale nie warto płakać nad rozlanym mlekiem, i tak było w nim dość wody. Nie nasza epoka, nie nasza broszka. Teraz się to podzieliło. Teraz są inne reguły gry, życzliwsze maluczki. Jeden jest zdolny, a drugi nagradzany. Jeden pracowity, a drugiemu dobrze płacą. Jeden ma talent, drugi sławę, a trzeci pieniądze. Chyba że się rzuci na stół czwartego asa: spryt. I że ma się w rękawie piątego asa: szczęście. Dobrze, spróbujemy. Grunt, to wiedzieć, o co chodzi. Określić sobie cel.

To Urban ma już z głowy. Cel jest taki: wszystko.

Środki, prowadzące do celu, też nietrudno określić. Po pierwsze telewizja, po drugie sitwa (albo na odwrót), po trzecie telewizja. Jeżeli tylko będzie (drobiazg) nieludzko chytry, szatańsko przewidujący, zwierzęco bezwzględny, anielsko pracowity i bosko przenikliwy, kiedyś to o nim będą taksówkarze opowiadać pasażerom. „– Wie pan, kogo raz widziałem? Samego Urbana! Tak, jak pana go widziałem, o pół metra!” A któryś z pasażerów, ten z nowym *Quo vadis* na dyskietce komputerowej w górnej kieszeni marynarki, rozszoła się wewnątrz i albo postanowi naśladować wiernie Samego Urbana, albo zginie w mrokach niepamięci. C.B.D. O., co-było-do-okazania, jak się pisało w szkole na końcu nudnych zadań matematycznych.

Cel określony, środki oczywiste, na co czekać?

Ba, ale to nie takie proste.

Sitwa istnieje: grupa „Polityki”, firma. Nie jest w niej gwiazdą. Ale wie, o co mu chodzi. Firma przyznaje nagrodę „Drożdże” ludziom, którzy są dla kultury, polityki, gospodarki tym,

czym drożdże dla ciasta: dzięki nim wszystko rośnie, kipi, nabiera smaku i kształtu... Może by przyznać tę nagrodę komuś ważnemu z telewizji? Może ktoś ważny z telewizji dowiedziałby się, że Urban zabiegał ze wszystkich sił o to, by mu przyznano nagrodę, choć głupcy i koniunkturaliści nie przyznali?

Janusz Rolicki by się nadał. Dawny kumpel z firmy, wypiął się na firmę, poszedł do konkurencji, do „Kultury”, i opłaciło mu się: szefa „Kultury” przesunięto do telewizji, zabrał Rolickiego ze sobą i powierzył mu kulturę. Rolicki sypanął na telewizyjne ekrany tony confetti, wystrzelił tysiąc fajerwerków: pisarze, dziennikarze, filmowcy z nudnych sensatów stali się duszami zabawy, zaczęli jeździć na wrotkach, przeciągać linę, plotkować, wygłupiać się, częstować zaproszonych do studio gości pierogami własnej roboty i flaczkami po warszawsku, wkładać peruki, tańczyć z tancerkami, śpiewać z pieśniarkami... co za reklama! Piękne czasy! W stałym programie „XYZ” trzy sławy zastanawiają się, kim może być tajemniczy anonim (też sławny), który zdradził prowadzącemu swoje poglądy na przeróżne błahe sprawy, swoje gusta, swój pociąg do wysokich blondynek albo naleśników z konfiturami. („– Cecha, którą Iks najbardziej ceni w kobietach: interesowność. – To już wiadomo: Iks jest kobietą! – Czemu pan tak sądzi, panie Krzysztofie? – Mężczyzna nie może przecież cenić w kobietach interesowności! To mogła powiedzieć tylko kobieta!” – po czym w finale pojawia się Iks, i jest mężczyzną. Tak, ceni interesowne kobiety, bo inne nie zwróciłyby wszak na niego, wpływowego brzydala, uwagi. Ale on, Iks, wcale by nie chciał zadać się z bezinteresowną, czyli nie-normalną. Czyż powołaniem kobiety nie jest macierzyństwo? Czyż normalna kobieta może dążyć do czego innego niż do urodzenia dziecka w maksymalnie luksusowych warunkach? Czyli pod opieką starego, bogatego prominenta, wygląd obojętny? A teraz Iks, który już nie jest Iksem, bohater naszej zgadywanki, przyrządzi na oczach państwa swoje ulubione danie! – Cięcie. – Iks, który już nie jest Iksem, nakłada zgadywaczom na talerze coś parującego i smakowitego. Zgadywacze jedzą i uśmiechają się. Ulubiona piosenka Iksa. Napisy końcowe. W następnym programie Iks – już rozpoznawany na ulicy, już sławny – pojawi się wśród zgadywaczy. Piękne bywa życie!)

Takich programów jest teraz, za Gierka, od groma. Kogo szef programu zechce uczynić sławnym, ten będzie sławny. Choćby pisał książki albo zajmował się nowymi aspektami teorii grawitacji, już nazajutrz tłumy będą go prosić na ulicy o autografy. Im zabawniejszy się okaże, im bardziej błyskotliwy, tym gęstsze będą tłumy. A kto mógłby być zabawniejszy i bardziej błyskotliwy od Urbana – gdyby dano mu szansę?

Ostentacyjnie zabiega o nagrodę dla Rolickiego. Wywołuje burzę. Szef go poparł, wiceszef ostentacyjnie podał się do dymisji (nagradzać aparatczyka i prominenta? Toż nagroda miała być dla ludzi płynących dzielnie pod prąd, idących pod wiatr, oczywiście w ramach istniejących ograniczeń i uzależnień...), Urban błysnął demagogią (A my, czy nie jesteśmy ludźmi establishmentu? I jednocześnie drożdżami tego kraju, jego życia umysłowego, jego przyszłości? I czy nie ukrywacie, ludzie, prawdziwego powodu? Nie chcecie dać nagrody Rolickiemu, bo zdradził Firmę. Czy nie byłoby godnie i pięknie, a przy tym wręcz perwersyjnie wnieść się ponad podziały i niechęci?), i wygrał.

Rolicki nagrodę dostał i umie być wdzięczny. Pokazał Urbana w telewizji. Raz, drugi, trzeci.

Sonda telewizyjna na dowolny temat – i kto udziela odpowiedzi, siedząc na tle książek, idąc ulicą, podnosząc wzrok znad maszyny do pisania? „Jerzy Urban, publicysta”. Albo: „Jerzy Urban, dziennikarz”. Nazajutrz ktoś go poznaje na ulicy. Po drugim, trzecim razie już sporo ludzi poznaje go na ulicy.

Wdzięczny Rolicki zafundował mu nawet specjalny program – program o nim, Jerzym Urbanie. Telewizja gotowa jest spełnić największe marzenie życia tego popularnego dziennikarza! Ach, jego największym marzeniem było zawsze zagrać Romea w „Romeo i Julii”! Nic prostszego, oto Julia, oto balkon, graj pan.

– *Romeo! czemuż ty jesteś Monteki?* – pyta z lekką niechęcią zawodowa aktorka w kostiumie z epoki. Toż kwiat nazwany różą pachniałby tak samo, choćby go zwano kapustą. I tak dalej, jak to u Szekspira. Kolej na Romea. Oto on.

Lysawy facet z odstającymi uszami, czerwieniąc się i trochę jękając, odgrywa z zawodową aktorką Szekspira.

–... *O! Julio,*

*Przysięgam na ten księżyc, co wspaniale*

*Powleka srebrem tamtych drzew wierzchołki...*

I tak dalej, i tak dalej. Na koniec przeprasza i dziękuje. Osiągnął szczyt swych pragnień, był Romeem, może już umrzeć spokojnie.

Publiczność w studio skręca się ze śmiechu. Ludzie przed telewizorami też. Popijając herbatę z cytryną – za Gierka zapewniono wreszcie stałe dostawy cytryn, co ten prostak Gomułka uważał za burżujski wymysł (kiszona kapusta ma więcej witamin, wrzucie ją sobie do herbaty!) – albo coś mocniejszego, jedząc kanapki albo czekoladki, oglądają dziennikarza z „Polityki” i „Szpilek”, który wcale nie jest taki nudny, jak można się było spodziewać po człowieku piszącym, przeciwnie: szalenie zabawny. O, to jest jeszcze lepsze niż Szekspir: podczas show zostaje odczytany niedawny felieton Urbana o tym, czego się dowiedział z broszury „Poznaj sam siebie” czy jakoś tak. Jakiś fizjonomista to napisał. Otwiera Urban broszurkę, i z naiwną radością próbuje się dowiedzieć, co mówią o jego charakterze jego oczy („moje piękne oczy!”), uszy, usta, nos i tak dalej. Niestety, mówią rzeczy straszne. Każdy szczegół jego przemilej fizyczności oznacza podłość, podstępność, lubieżność, fałsz, intryganctwo, chamstwo, okrucieństwo i jeszcze gorsze rzeczy. Jedno trzeba przyznać autorowi broszurki; wszystko zgadza się jak w szwajcarskim zegarku, nie ma w Urbanie żadnej cechy przeczącej innym, powieki nie przeczą uszom ani nozdrza palcom, wszystko, wszystko sugeruje tylko potworne, bezgraniczne zło, ohydę i moralną nędzę. Ludzie w studio szaleją z radości i klaszczą co chwila; ludzie przed telewizorami konają ze śmiechu: doprawdy, kontrast między naiwną pogodą człowieka, szukającego w książce czegoś miłego o sobie, a zaciśniętą pięścią, wyskakującą co chwila spomiędzy kartek, żeby zdzielić go w szczękę – ten kontrast jest prześmieszny, chaplinowski! Każdemu z nas mogło się to zdarzyć, okropne, boki zrywać: showman z tego Urbana!

I rzeczywiście.

Lata pisania – choćby to było najlepsze pisanie – nie dały mu tego, co taki telewizyjny show. Zobaczono go, poznano, polubiono. Jak zapowiadacza pogody, pokazującego milionom pięciokilowego borowika. Teraz jest kimś.

Wkrótce potem samochód Urbana ugrzązł w zaspie śnieżnej w Zakopanem. Ludzie poznali swojego showmana, pomogli, odkopali samochód ze śniegu, popchnęli. Oto, co znaczy telewizja! „– Widzisz” – powtarza Urban żonie (drugiej żonie) – „warto występować w telewizji, warto być popularnym!” Byle komu nikt by nie pomógł wydostać się z zasy. Byle komu... ach, szkoda gadać!

Jest nieludzko chytry, szatańsko przewidujący, zwierzęco bezwzględny, anielsko pracowity i bosko przenikliwy, prawda? To musi przynieść skutki.

I przyniesie – po latach. Dzięki telewizji: dobrze myślał. Oczywiście, dzięki telewizji! Po prostu *w białym płaszczu z podbiciem koloru krwawnika, posuwistym krokiem kawalerzysty, wczesnym rankiem czternastego dnia wiosennego miesiąca nisan pod krytą kolumnadą łączącą oba skrzydła pałacu Heroda Wielkiego...* nie, nie tak. Po prostu w popielatym garniturze i jedwabnym krawacie, powolnym krokiem cywila, w samo południe stanu wojennego, otoczony uzbrojoną obstawą, na duszną, zatłoczoną salę, w świetle reflektorów i błyskaniu fleszy, wkroczy rzecznik prasowy rządu w randze ministra, Jerzy Urban. I świat będzie jego.

To będzie apogeum. Ale już przedtem, przed stanem wojennym, już przedtem zbliżał się do celu milowymi krokami. 1981: to był jego rok. Znano z telewizji jego okrągłą twarz, jego

odstające uszy, jego głos, jego wypowiedzi, i nie znoszono go. („– Pamiętacie ten program, gdzie było o jego oczach, uszach i w ogóle? Że niby to wszystko oznacza, że jest łajdakiem? A myśmy się śmiali! Fizjonomiści mają rację, wygląd świadczy o człowieku, trzeba było się go wystrzegać, a myśmy się śmiali!”) Słowem – szedł we właściwym kierunku. Na razie tylko go nie znoszą, na razie tylko mu się dziwią. Jeszcze jeden krok, a będą go nienawidzić. I o to chodzi. To jest sława, jedyna dostępna sława: tyle wie od dziecka. No, jeszcze tylko krok, najwyżej dwa: już jest u progu. Wystarczy go przestąpić, nic łatwiejszego. Inni są o miliony lat świetlnych od tego progu. Już podnosi nogę, żeby nad nim przejść i być po drugiej stronie.

Jest rzecznikiem rządu w czasach pokoju i buntu. Jednego z wielu buntów. Żyje ciągle w wynajętym mieszkaniu, między maszyną do pisania a knajpą. Tyle że pokazują go w telewizji. Stale go teraz pokazują w telewizji. Pewnego dnia ktoś mu mówi, że widział na murze napis: URBAN TO CHUJ. A on się zrywa: „Gdzie to było? Pojedźmy tam! Chcę zobaczyć na własne oczy!” Bierze samochód, podjeżdża, widzi napis – i jest szczęśliwy. O byle kim na murach pisać nie będą.

Byle kogo tak nienawidzić nie będą.

O Wicherku na murach nie pisano.

## Pisarz

*Chór robił mruçando, światła były przyćmione. Nagle w kanale dla orkiestry dyrygent machnął batutą, jakby ciął głowę, na scenę lunęła powódź światła, od lewej kulisy na środek rzuciła się primadonna, osadziła się na miejscu tuż przy rampie i z przechyłu na lewe biodro wzięła górne „C”. W rozwoju akcji opery był to moment kulminacyjny, więc operowym zwyczajem tragiczny. Primadonna, energicznie robiąc ciałem, wciąż trzymała górne „C”. Akurat chór i orkiestra zamilkły, a kiedy śpiewaczka dalej to swoje „C” trzymała i nie puszczała – coś stuknęło donośnie o deski sceny...*

Jeśli pominąć zwrot „energicznie robiąc ciałem”, jest to tekst z wielkiej powieści, nieprawdaż? Z arcydzieła ekspresjonizmu! No, powiedzmy, że z Bułhakowa: spróbujcie wmówić komuś, że to z „Mistrza i Małgorzaty”, a jeśli nie czytał książki ostatnio, uwierzy. Może to zresztą coś z klasyki Czarnej Literatury? Tak czy owak, o deski sceny uderzył – na pewno! – granat, wszystko wybuchło, huk, pożar, panika, fajerwerki, języki ognia na czarnym niebie, połamane skrzypce na środku jezdni, muzyka umarła, opera umarła, genialne!

Ale to napisał Urban.

Skoro tak, łatwo się domyślić, jaki to przedmiot stuknął o deski sceniczne.

Oczywiście, była to sztuczna szczeka primadonny.

Człowiek-mit nie zrobiłby kariery, gdyby nie umiał pisać. Znakomicie pisać. Lepiej niż ktokolwiek z tłumu rwących się do wyścigu, startujących z tego samego bloku albo próbujących po tysiąc razy bić jego rekord, ambitnych skrybów. W końcu zresztą rywale się poddadzą. Tego się nie prześcignie. Można tylko naśladować, i będzie się naśladować, z roku na rok coraz powszechniej, a zawsze kiepsko.

Gdyby nie był wielkim pisarzem, nie warto byłoby pisać o nim. W życiu nie męczyłabym się po nocach nad moim niedoskonałym komputerem, nie traciłabym zdrowia ani nie nabawiałabym się sińców pod oczami, gdyby nie chodziło o oddanie hołdu niedocenianemu geniuszowi – mimo wszystko.

Tyle że on, mój bohater, on, Urban, za wielkiego pisarza nie uważał się nigdy. Miał kompleksy. Zastrzegał się, że nawet literatem nie jest, nie uprawia żadnej twórczości („...rozwojowi twórczemu podobnie jak i służbie wojskowej nie podlegam” – 1978), stał się po prostu wytwórcą produktów taśmowych. Jego główną umiejętnością – twierdził – jest rutyna. Głowę ma pełną szufladek, a szufladki są pełne ponumerowanych schematów, wobec czego wypełnia strony literami w stałym rytmie i zawsze tym samym czasie. „Gdybym umiał być Dostojewskim czy choćby Minkowskim, to bym nie robił tego, co robię.”

Ale nie umie. Jest pewny, że nie umie. Rutyna ułatwia mu pisanie krótkich kawałków, a uniemożliwia napisanie KSIĄŻKI, prawdziwej KSIĄŻKI, zabawnej, nie dziennikarskiej – książki, którą ma obmyśloną, którą widzi, czuje, prawie że mógłby jej dotknąć – i która nigdy nie powstanie. Chyba nie powstanie. Nie starcza mu oddechu na nic dłuższego niż (maximum!) kilkanaście stron. Nie udźwignie dalej wątku, stylu, napięcia. Nie utrzyma swojego górnego „C”, bo zaraz wypadnie mu sztuczna szczeka. A żałuje, żałuje!

Dziwne, ale żałuje. Dziwne, ale ma jakiś kompleks. Pociesza się, że literatura, choćby największa, to tylko półprodukt dla filmu czy telewizji. Pisarze wykonują błahą, usługową robotkę, a chodzą nadęci poczuciem misji i na teatralnych koturnach. Co gorsze, niejeden wierzy w ich wielkość, niejeden podtrzymuje legendę literatury jako sztuki głównej. Tymczasem – czymże jest powieść wobec meczu, transmitowanego na cały świat? Niczym, i niech dostojewscy przestaną zadzierać nosy. Tak mniej więcej wypowiedział się w ankiecie „Polityki” w 1978, a i potem nieraz to powtarzał. Albowiem on, Urban, „sztuki głównej” nie two-

rzył, do legendy nie wchodził, żył terazniejszością, i dobrze, i lepiej. Robił swoje na dużo większą skalę. Został nawet DZIAŁACZEM PAŃSTWOWYM!

Tego, że jest pisarzem, nie zauważył. Przeoczył. Nie uwierzył w to nigdy.

Felietony „literaturą” przecież nie były. Co z tego, że nawet w „Plugawym karle”, paszkwilu od pierwszej do ostatniej strony, nazwano je – z najwyższą niechęcią – „trzystronicowymi arcydziełami”? Wszystko to doraźne, chwilowe; tylko polityka daje ludziom takim, jak on, Urban, szansę na nieśmiertelność. Tego był pewien. Z jaką dumą podawał w czasach Jaruzelskiego do encyklopedii swój zawód: „działacz państwowy”! Może jako taki przejdzie do historii?

Wygląda na to, że chciałby przejść do historii. Każdy ma jakieś słabości. Innej szansy, niż wejście do świata Czynu, nie zauważył.

To, że wiele zawdzięcza obiektywnym nieszczęściom – wieloletnim zakazom druku, prześladowaniom zawodowym, konieczności pisania bez przerwy rzeczy najróżniejszych, byle starczyło na życie i na knajpy – to wiedział, i mówił o tym nieraz z dużą uciechą. Ale żeby miał być kimś w rodzaju Czechowa czy Babła? Tak daleko jego mania wielkości nie sięgała. Mógł jako dziecko – czy jako słynny skandalista – przebierać się za cesarza, mógł marzyć o władzy nad światem, a potem śmiać się z tego marzenia. Zachowywał się jak Conan-Doyle, przekonany, że jego szanse na przetrwanie w pamięci świata, to – na przykład – poważne, naukowe dzieła o spirytyzmie, a nie pisane dla pieniędzy błahe historyjki o Sherlocku Holmesie! Dość często popełniany błąd w widzeniu siebie i świata.

Z Urbanem było tak.

W 1957, po likwidacji „Po prostu”, z pierwszym swym zakazem druku, udał się do kumpelki z tegoż „Po prostu”, która pracę miała. Okropną, upokarzającą pracę: po sławie i chwale faktycznej szefowej słynnego opozycyjnego pisma, po posadzie Zastępcy Kierownika Biura Prasy KC PZPR, dostał się jej tygodnik rozrywkowy dla gawiedzi, właściwie dodatek do bardzo czytanej przez gawieź popołudniówki „Express Wieczorny”. Tygodnik nazywał się „Kulisy”: szmaciarsko i brukowo się nazywał. To była hańba w czasach tak poważnych i uroczystych, hańba dla kogoś, kto dopiero co robił rewolucję albo siedział na dygnitarskim biurku w KC, machając nogami w bardzo kolorowych getrach, hańba dla Anny Bratkowskiej. W gruncie rzeczy Urban ze swoją totalną infamią został mniej zhańbiony, ale dała mu Hanka szansę: mógł pisać dla brukowca pod pseudonimem.

Wziął sobie Urban ksywkę „Kibic” i zaczął pisać cotygodniowe opowiadania – „ni to reportażyki, ni to felietony” – o różnych sprawach ocierających się o sąd lub milicję. Nie o tych ważnych i wielkich: o banalnych pyskówkach, rozwodach, procesach o ustalenie ojcostwa, takiej tam nikogo nie obchodzącej sądowej mierzwie. Każda historyjka była prześmieszna, osadzona w realiach jak Titanic w dnie oceanu, a pointę miała zupełnie nieoczekiwaną: nikt by na to nie wpadł! Nikt by się nie spodziewał!

Ludzie to czytają.

Wielu kupuje „Kulisy” wyłącznie dla tych historyjek. Dla tych opowiadań. Dla tych nowelek.

Mało tego. Wraca coś, co – wydawałoby się – zostało pochowane wraz z dziewiętnastym wiekiem: rodzinne czytanie. Wtedy opuszczano niżej nad stołem nakrytym do herbaty zieloną lampę i czytano głośno kolejny odcinek powieści Tołstoja (w Rosji) albo Sienkiewicza (w Polsce), albo innych. Skończyło się to z pierwszą wojną światową, i oto wraca: za sprawą Urbana. Jego nazwisko pozostaje nieznane, długo będzie nieznane, z czasem wyjdzie na jaw, ale na razie to nieważne. W piątkowe (chyba piątkowe) popołudnia czyta się rodzinnie, zbiorowo, ostatniego Kibica. Ktoś czyta, inni słuchają. Starając się nie stracić ani słowa. Czasem wybuchając śmiechem. Nie mogąc się doczekać zakończenia, a jednocześnie pragnąc prze-

ciągnąć przyjemność w nieskończoność. Potem się komentuje. Genialnie napisane! Naprawdę genialnie!

Wyobraźcie sobie (*sluchajcie, sluchajcie!*): jest sobie szczęśliwe małżeństwo. On – docent (tweed, okulary, brydż, zagraniczny samochód), ona – asystentka w jego katedrze (ładna, zgrabna). Mieszkanie mają jak wszyscy (bez książek, bo zbierają kurz), urlopy spędzają w modnych krajach, wszystko mają cudownie zaplanowane, dziecko też – ale z tym akurat jest kłopot. Nie zjawia się dziecko, kiedy powinno. Może w ogóle, u diabła, się nie zjawi? Nie, to niemożliwe. Próbujemy dalej. Próbują tak, aż tu nagle, w 10 lat i 4 miesiące po ślubie – bingo! Jest! Lekarz stwierdził ciążę!

*...i daj Boże każdemu mieć takie na świecie przyjęcie, jakie szykowało się temu dziecku.*

A takie się małżeństwu przyjęcie szykowało: nowe mieszkanie. Własny pokój. Lekarze. Pielęgniarka do dziecka. Miejsce w najlepszej klinice dla mamusi i maleństwa. Już sterylizujemy mieszkanie, już (prawie) przecieramy zupki i wyciskamy soczki, już (niemal) wieszamy girlandy nad drzwiami, bo po lekkim porodzie przyszło na świat, zdrowiutkie i płci męskiej...

Jedzie szczęśliwy tatuś po żonę i maleństwo (a pielęgniarka już sterylizuje smoczki, butelki i wykładzinę podłogową), aż tu okazuje się, że obojga w klinice nie ma. Żona docenta wypisała się z kliniki wczoraj („wyszła na własne żądanie”), i dziecko też zabrała. Taksówką. W nieznanie.

Zarejestrowała je po drodze. Dziecko zarejestrowała. W Urzędzie Stanu Cywilnego. Tak się dziecko nazywa, jak oboje ustalili. Maciej. A potem pojechała dalej, gdzieś się przesiadła, gdzieś wysiadła, i słuch po niej zaginął. Tak było.

Siedzimy pod zieloną lampą (powiedzmy) i nic nie rozumiemy, i nie odbierajcie teraz telefonu, musimy wysłuchać do końca. Niemożliwe! Niesłychane! I co dalej?!

Docent, oczywiście, zawiadamia milicję. Milicja do niczego nie dochodzi. Po dwóch tygodniach przychodzi list od żony, z byle jakiego miasta, gdzie jej – oczywiście – nie ma i pewnie nigdy nie było: przeprasza, wszystko wyjaśni. Inaczej postąpić nie mogła.

Milicja nie ma punktu zaczepienia. Każę czekać.

Po trzech miesiącach żona wraca. Sama.

Och, wszystko to zrobiła dla niego! Żeby go nie martwić. Dziecko było ciężko chore, dziecko nie żyje. Nie chciała, żeby cierpiał tak jak ona. Było, nie ma go. Niech o nic nie pyta! Niech jej nie szarpie serca, niech nie marnuje jej ofiary!

Docent jest wzruszony. Ale potem...

Potem zaczyna się coś komplikować w sprawach finansowych. Żona ciągle gdzieś jeździ. Za dużo wydaje. Któregoś dnia docent włamuje się do jej biurka w pracy (w domu niczego nie było) i znajduje odcinki przekazów pocztowych. Jedzie tam, dokąd szły pieniądze. Do podgórskiej wioski. Znajduje tam dziecko, żywe i zdrowe.

(Umieramy z ciekawości pod naszą zieloną lampą – mówiąc symbolicznie – umieramy z niecierpliwości. Szybciej, szybciej, czytaj szybciej! O co tu mogło chodzić?!)

Po powrocie docent – o nie, żadnych awantur, o rozwodzie też nie ma mowy – wnosi do sądu sprawę o zaprzeczenie ojcostwa. Nie jest tępakiem, normalnie jak wszyscy cywilizowani ludzie uznaliby bez problemów za swoje dziecko innego mężczyzny. Ale nie będzie się ośmieszać przed całym swoim... hm, otoczeniem. Chodzi o to, że to dziecko, to dziecko, jakby to powiedzieć, to dziecko...

**TO DZIECKO JEST MULATEM!**

Co za pointa. Ostatnie zdanie wyjaśnia wszystko, sama Agatha Christie tak nie pisała, Jesteśmy wstrząśnięci, jesteśmy zachwyceni. Przeczytaj to jeszcze raz, bajeczne! Co za święto!

I zaczyna się pusty tydzień czekania na kolejne święto. Jeżeli jakiś tekst jest marny, jeżeli nie warto go głośno czytać, wszystkim jest przykro. Ale rzadko się to zdarza.



Sama wyrosłam w takim domu. Znałam podobne. I jeżeli aż tak bardzo miało się Urbanowi za złe jego rolę w stanie wojennym, to właśnie dlatego, także dlatego, że aż tak bardzo się go przedtem lubiło. Jakby nas zdradził.

Myślę, że nie miał o tym pojęcia.

Po jakimś czasie Urban zaczyna drukować swoje historyjki o małych konfliktach małych ludzi z bezdusznym prawem w śląskiej „Panoramie”, jako Magma. I bodaj jeszcze gdzieś. Píše je przez 23 lata. Napisał 1500 czy coś koło tego. Wydaje je w książkach jako Jerzy Kibic. Książki są rozchwytywane. Przelicza to na pieniądze, tylko na pieniądze. Niewiele wie o samym sobie.

My już wiemy, że to Urban. Przepadamy za Urbanem. Czytamy go na głos jak w dziewiętnastym wieku, czytamy go milcząc w autobusach, tramwajach, kolejkach podmiejskich; czytamy go jak kiedyś czytano *Quo vadis* albo *Wojnę i pokój*. Opisuje nasz świat: ciekawie, śmiesznie, dramatycznie, prawdziwie. Kiedyś nie wiedzieliśmy, kto to taki: Kibic, Magma... potem już wiemy. To ten mały z dużymi uszami, ten z „Polityki” (taki sobie) i ze „Szpilek” – genialny! Urban. Jerzy Urban. Uwielbiamy go (o czym nie wie, bo skąd? Przecież nie napiszemy do niego, bo dokąd?), a on nagle zaczyna chwalać wysłane przeciwko nam czołgi, wydrukowane przeciwko nam obwieszczenia drukowane na murach, straszące śmiercią czy więzieniem za wszystko, jak za Hitlera, błogosławi, grozi, kłamie, straszy. I teraz go nienawidzimy sto razy bardziej niż jego zasznurowanego w gorset Wodza, tysiąc razy bardziej niż Rosjan, mumiówatego Breźniewa, wojsk na granicach, żołdaków na rogach ulic, znarkotyzowanego ZOMO pędzącego z pałami: niby dlaczego bardziej, u licha? Bo daliśmy się nabrać. Bo jego jednego – no tak – jego tak bardzo – jego, do kurwy nędzy – jego jednego tak się LUBIŁO!!!

Właśnie dlatego chcielibyśmy go teraz powiesić na pierwszej latami. Najchętniej po długich torturach.

Czegoś tu nie zrozumiał, naprawdę nie zrozumiał.

Tego, że był wielkim pisarzem, a to się liczy; wbrew temu, co bredził w swojej bezgranicznej skromności, naprawdę się liczy.

Więc było tak.

Pisał opowiadania – o kobiecie, fałszującej dokumenty i udającej mężczyznę (jak w wodewilu!), żeby dostać pracę. O starym autorze nigdy nie drukowanej powieści, powiadomionym przez jakiegoś żartownisia oficjalnym listem z pieczęciami, że za tę powieść z szuflady dostał Nobla i musi zjawić się na rozdaniu nagród we fraku, więc sprawił sobie frak, a potem procesował się z żartownisiem o zwrot kosztów. O stuletniej waśni rodzinnej, zaczynającej się tak: *7 maja 1869 roku, przedpołudniem, w cukierni Fondzińskiego, Konstany J., ziemianin, powiedział „ty bastardzie” do swego szkolnego kolegi Michała R., adwokata, który gestykulując trącił niechcący filiżankę czekolady, wylał zawartość na żonę Konstatego J. i nie przeprosił...*, a kończącej się po wielu skandalach, procesach, wojnach i epokach słowami adwokata byleż śpiewaczki operowej z czasów Gomułki: *Wysoki Sądzie. Sto lat temu, 1 maja 1869 roku, przed południem, Konstany J., ziemianin, powiedział „ty bastardzie” do swego szkolnego kolegi Michała R., adwokata...*

Albo tak pisał: *Na wolnym rynku cena dobrego narzeczonego kształtowała się swego czasu: dziewięćtysięczna książeczka samochodowa PKO, pierścionek złoty z krwawnikiem i sweterek węgierski w kolorze pistacjowym, mało znoszony.*

I była to historia o dziewczynie, odsprzedającej koleżance narzeczonego w restauracyjnej toalecie, podczas kolacji we troje: spodobałaś mu się, on tobie, to kosztuje tyle a tyle i wolna droga, bierz go, ja się usuwam! Ale kiedy sprzedany narzeczonego chce się żenić z tą nową po dwóch miesiącach, podczas gdy z nią nie zdecydował się na taką ostateczność przez dwa lata i osiem miesięcy, nadchodzi straszna zemsta. Zerwie pannie młodej najlepsza przyjaciółka

perukę podczas ślubu, pokazując światu, że rywalka jest łysa. Wystąpi sprzedany o unieważnienie małżeństwa, bo wprowadzony został w błąd, nic nie wiedział! Przecież nie żeniłby się z łysą w peruce! Wnieście zdradzona przyjaciółka sprawę o poniżenie w oczach opinii publicznej. A wszystko przez to, że modne swetry zdzierają się jeszcze szybciej niż narzeczeni.

I ten styl Urbana, ten styl do naśladowania, ale nie do podrobienia! *Zjawił się facet, stanął przed oficerem i nie chwając dnia oświadczył...* albo, o dochodzeniu ojcostwa: *Ale znajdź tu człowieka ojca w takim dużym mieście!*, albo:

*Takiej miłości wieś jeszcze nie widziała. Dziewczyny, bywało, topiły się i truły, ale zawsze robiły to po doznaniu zawodu. Maria P. i topiła się, i truła zanim do tego doszło. Żeby zwrócić na siebie uwagę.*

Albo o kimś, kto pobił mało znanego poetę (*Jestem Kazik, narzeczoney Luśki. Już ty, k...* – wtedy jeszcze próbowano język Urbana obrzezać – *wiesz za co*), a kiedy doszło do sprawy, kiedy Kazik wyjaśnił, że znalazł u dziewczyny tomik wierszy tego poety, więc już wiedział, komu dać w mordę, i kiedy oburzony sąd zapytał, czy naprawdę sądzi, że *książki czytają tylko osoby pozostające w intymnych stosunkach z ich autorami*, Kazik P. odpowiedział z godnością, że sam niejedną książkę przeczytał. *Ale on zna życie – to raz, zna Luśkę – to dwa, wie jacy są artyści – to trzy, a to przecież nie była normalna książka, tylko wiersze.*

I tak zawsze, i tak co tydzień, albo i dwa razy w tygodniu.

Jeszcze nie zawsze jest Urban tak świetny, jaki będzie potem. Jeszcze zdarza mu się dopowiadać za wiele i knocić pointy (podlegał jednak *rozwojowi twórczemu*, i dobrze), ale to geniusz, wszyscy wiemy, że to geniusz. BAŻANTY, ZWIJAJCIE SKRZYDŁA – to geniusz.

Zwijamy skrzydła, zachwycamy się. Co można zrobić z Urbanem poza zachwycaniem się nim?

– On to wszystko wymyślał! – objawi potem światu Karyna, porzucona i złakniona zemsty żona. Biedni, naiwni, oszukani ludzie wierzyli, że to prawdziwe historie. Młodzi dziennikarze pytali, gdzie Urban znajduje tak świetne historyjki, w jakim sądzie: też by tam poszli! A on kłamał, zmyślał. Pisał opowiadania zamiast sprawozdań sądowych, Czechow zakłamały! (Ostatnie dwa słowa ode mnie, nie od Karyny.)

Słowem, beletrystykę pisał, nie reportaże. Łgarz, kłamca! Łajdak!

To mi coś przypomina.

Kiedy miałam osiem lat, opowiadałam czteroletniej dziewczynce bajki. Pewnego dnia dopadła mnie jej starsza siostra, moja rówieśnica, pytając groźnie, co to za kłamstwa opowiadam „Laruni” (Laryssa było czterolatce). Trzęsłam się ze strachu, bo starsza siostra wygrażała mi tasakiem do mięsa. Powiedziałam, że bajki opowiadam Laruni – po prostu normalne bajki! Takie historyjki, no, rozumiesz... Starsza siostra Laruni, wciąż potrząsając tasakiem, zapytała, czy wierzę w te historyjki, bo Larunia spać po nocach nie może, krzyczy, płacze, boi się duchów, czarownic, demonów oraz Żelaznych Wilków, więc rodzice są wściekli, i zastanawiają się, czy by mnie nie zabić, a jak tego nie zrobią, to ona już czeka z tasakiem. Powiedziałam tchórzliwie, dla ratowania życia, że wierzę. Mówię Laruni to, w co wierzę, nic nie zmyślam, tak mi dopomóż Bóg! Siostra Laruni opuściła tasak i rzekła wzgardliwie: „E, to ty głupia jesteś, a nie zła!” Tyle o stosunku LUDU do beletrystyki, *belles lettres*, *fiction*, czy jak to zwać.

Heroicznie zabrałam się w kilka lat później do pisania właśnie tego, za co grożono mi tasakiem: beletrystyki, *belles lettres*, *fiction*. Czyli do wrednych kłamstw. Nie wiem, czym grożono Urbanowi, ale zastraszone go na amen. Jakie tam kłamstwa, jakie tam opowiadania: prawdziwe do szpiku kości, najwyżej trochę ubarwione historie z życia! Nic innego nie pisał! Nie, on pisarzem nie jest, pisarzami gardzi, i zabierzcie ten tasak!

Taki był, taki jest.

Nie wszystko zmyślał. Ubarwiał. Rozbudowywał. Filtrował przez siebie samego i przez świat, który (wieczny pracownik i kierownik działów krajowych) znał doskonale. Ot, poznaje ktoś sklepową ekspedientkę, całkiem wklęsło-wypukłą, całkiem seksowną, a dziewczuszka ma przypiętą do fartucha plakietkę z napisem UCZEN. Albo on sam, narrator, poznaje ducha w kawiarni „Klub”, Rutkowskiego 5. Nic ważnego, takie szczegółiki, rekwizyty.

(Duchem była dziewczyna, która pożyczyła swojej nie ubezpieczonej koleżance własne papiery, kiedy koleżanka szła do lekarza, a tu koleżanka umarła, akt zgonu wystawiono na tę życzliwą, do której należały dokumenty, skreślono ją z listy obywateli, i co z tego, że wszyscy widzą, jak jest? Z pracy – a tancerką był duch – wyrzucili, urząd kwaterunkowy wlepił opłaty za nadmetraż, i jak ona ma udowodnić to, co wszyscy widzą, wiedzą i rozumieją? Jak ma przekonać biurokrację, że jest, że istnieje?)

O czarnym Stasiu opowiadali sobie ludzie przez lata całe, nie pamiętając już, gdzie to czytali, od kogo słyszeli, a wszyscy wzruszali się aż do zamglenia oczu albo i bardziej. Otóż czarny Staś był jeszcze gorszym od ducha koszmarem urzędników, a tak się to stało. Wrócił polski specjalista z żoną z Afryki, gdzie był na kontrakcie, i zgłosił w urzędzie nowo narodzonego synka. Dziecko urodziło się w drodze powrotnej do kraju, na promie, a poświadcza to zaświadczenie wydane przez przypadkowego lekarza, który też był na promie, po arabsku. O, jakże nienawidzą urzędy takich nietypowych spraw! Ale co zrobić? W końcu załatwiają. Wydają trzymiesięcznemu maleństwu metrykę, nadają mu imię Stanisław, i spokój.

Ale to trzymiesięczne dziecko jeździ na trycyklu i jest czarne jak noc. Ot, porwali bezdzietni ludzie w ostatniej chwili przed wyjazdem murzyńskie dziecko, które się do nich przywiązało, a oni do niego. Rodzice mieli gromadę dzieci, których nie mogli wykarmić, a ten mały tak ich, białych bezdzietnych, polubił i tak płakał, kiedy wyjeżdżali, że nagle wzięli go do samochodu, na promie zapłacili komuś za fałszywe zaświadczenie o przyjęciu porodu, bilety lotnicze wymienili na statek i samochód, żeby było mniej formalności – no, i mają swojego ukochanego Stasia. Znajomi widzą, że malec jest czarny, ale cóż: przespała się kobieta w Afryce z Murzynem, dziecko urodzone w małżeństwie jest dzieckiem małżeńskim, chyba że ktoś wystąpi do sądu, a biały tatuś czarnego Stasia do sądu nie pójdzie, bo zdradę darował, a Stasia okropnie polubił. Miły człowiek. Wszyscy mili, z wyjątkiem urzędników.

Bo zapisują rodzice Stasia do szkoły (formalnie ma trzy lata, a naprawdę jakieś osiem), tłumacząc, że pomyłono datę w metryce. Staś w szkole czuje się świetnie, a na pytanie, czemu jest taki czarny, odpowiada logicznie, że po prostu urodził się w Afryce, „a tam wszystkie dzieci rodzą się czarne”. I byłoby cudownie, gdyby nie ta Baba Jaga naszych czasów, biurokracja.

Wykryła biurokracja niezgodność dat w papierach, wtrąciła się, doszła do prawdy. Zabrała wyjące z rozpaczy dziecko „do domu”, do Afryki, a jego przemiłych białych rodziców postawiła przed sądem. Ale to jeszcze nie koniec, nie płaczcie!

Wyrok był z zawieszeniem, i zaraz po wyroku biały tatuś czarnego Stasia pojechał do Afryki, choć mu tam za kidnaperstwo groziła kara śmierci. Pojechał, odnalazł Stasia pogrążonego ciągle w najgłębszej depresji, i udało mu się załatwić formalną adopcję. Tak, wiara góry przenosi. Czarny Staś wrócił do białej Polski!

Najgorsi rasiści płaczą ze wzruszenia. Cóż za cudowny happy end! Tak, dobrzy są ludzie, i życie bywa czasem dobre: słyszeliście o czarnym Stasiu? (Opowiadanie nazywało się „Nowy obywatel”, ale tego nikt nie pamięta.) Historia Stasia idzie w lud, idzie w życie, i jest opowiadana przez dziesiątki lat jako autentyk, i nikt jej nie łączy z Urbanem, który zresztą i tak opublikował ją pod pseudonimem. Tak było, tak się kiedyś zdarzyło: piękne, prawda?

Piękne.

„– Ale czy to prawda?” – pytali ludzie. Ach, jak by chcieli, żeby to była prawda! W szkołach, urzędach i autobusach opowiadano sobie o czarnym Stasiu, i wszyscy okropnie chcieli, żeby to była prawda. Żeby ludzie byli – czasem, rzadko, wiemy, znamy realia – ale żeby ludzie byli choć czasem tak dobrzy, jak to Urban napisał! Historię Czarnego Stasia opowiadano sobie w Polsce Ludowej, w Paryżu, Nowym Jorku i Chicago, wracała bumerangiem po latach, trafiając w tych, którzy ją kiedyś przeczytali w gazecie albo w książce, wracała jako najprawdziwsza prawda: wiecie, co się kiedyś zdarzyło? Gdyby Urban przyznał się kiedykolwiek, że to on wymyślił Czarnego Stasia, rzucono by się na niego ze skrwawionym po żeberkach wołowym tasakiem: to jest zbyt piękne, niech to będzie prawda! Pozwólcie nam wierzyć, że to prawda!

Trzy miesiące temu usłyszałam znowu historię Czarnego Stasia w Londynie. I może było w tej historii trochę prawdy, tyle że Urban ją piękniej niż prawda opowiedział. A może taka była cała prawda. A jeśli wszystko wymyślił, to nie był taki, jakiego udawał. Musiał mieć trochę serca, prawda? Musiał!

A „Bażanty, zwijajcie skrzydła”, czy pamiętacie? Weszło to do języka, do powiedzeń ludowych; inteligenci mówili to zdanko, kiedy ich nerwy szarpały wręcz samobójczo, a to było z Urbana. Z krótkiej historyjki o kierowcy miejskiego autobusu, który nagle nie zatrzymał się na przystanku, tylko krzyknął do pasażerów: „Bażanty, zwijajcie skrzydła!”, i pognął przez pola i łąki, prosto na tory kolejowe, prosto pod nadjeżdżający pociąg. Na szczęście autobus rozbił się o szlaban. A kierowca nic nie pamiętał. Jakim cudem miał coś wołać o bażantach? *Nigdy bażanta nie jadł. Nigdy nie polował.*

Jak Urban pisał?

Na ogół mieszał „prawdę” z „kłamstwem”. O, tak mniej więcej pisał.

Było takie opowiadanie, dłuższe od innych, wydane w broszurce z gołą Goską na okładce. Na ramieniu gołej, cycastej Gośki siedzi Urban-puchacz, wbijając w jej jędrne ciało koszmarnie szpony. Opowiadanie zwie się *Podarte rajstopy*, i ma – a jakże – podtytuł: *Polityczno-erotyczne tajemnice byłego rzeczownika rządu.*

W opowiadaniu jest prawda i fikcja, a rozkłada się to mniej więcej tak (i jeśli ktoś nie jest ciekaw WARSZTATU PISARZA, niech skoczy do następnego rozdziału) – mniej więcej tak.

*Rysowano mnie z uszami jak talerze, łysiną jak słońce, a oczkami małymi jak u świni. I rzeczywiście w lustrze przeglądam się z zamkniętymi zawsze oczami, jestem bowiem esteta. Nawet jednak gdybym miał jeszcze i brodawki i odgryziony nos, jak każda osoba pokazująca się w telewizji wzbudzałbym ciekawość i emocje.*

Ach, jakie emocje wzbudzał Urban! Dziwaczki i wariatki dostawały na jego widok torsji i hysterii, a pewna pani, która okradła kasę w salonie gier *symulowała obłęd o tak ostrych objawach jak miłość do Urbana.*

Doprawdy, dzieje świata ociekają spermą, a pisanie historii polega na jej odcedzaniu, i tyle.

Jakże się puszy nasz puchacz! A teraz *ad rem.*

Było tak. Rok 1984, lato, ogródek restauracji dziennikarzy na Foksal (szczerza prawda, znów tu Urban bywa!). Podchodzi dziewczę po autograf. *Ona nie była brzydka, ja nie byłem trzeźwy, więc zaprosiłem ją do stolika.*

Dziewczę było dziwne. Miało na sobie ciemną jedwabną sukienkę z długimi rękawami, miało włosy zaczesane za jakąś obręcz na głowie, miało torebkę z krokodyla, miało białe rajstopy z obwarzankami na kostkach, a na stopach sandały. W taki upał i w Polsce! Ale dziewczę przedstawiło się jako Brytyjka polskiego pochodzenia, i musiało to być prawdą: żadna Polka polskiego pochodzenia nie chodziłaby w taki upał w za dużych rajstopach i bez makija-

zu. I nie mówiłaby z angielskim akcentem. Albo świetnie przygotowana przez fachowców z Intelligence Service, albo prawdziwa, inaczej być nie mogło.

Umówił się podпиты Urban z dziewczęciem na kolejne spotkanie. Dziewczę przyszło z *czterdziestominutowym, bezczelnym spóźnieniem pewnej siebie samicy.*

I zaczyna się słowotok dziewczęcia – *aż do późnego wieczora, kiedy to w jej mieszkaniu i na jej tapczanie oblazła z niej i Angielka, i dama.*

Pierwsze kłamstwo, pierwsza FABULARYZACJA.

Nie było tapczana.

W barze w „Wiktorii” dziewczyna nagadała mu bzdur niewiarygodnych. Że ma 28 lat, że w Anglii skończyła architekturę i konserwatorium w klasie fortepianu, że z ojcem-dyplomata objechała cały świat, że ma własny samolot, który uwielbia pilotować, i fotografować też lubi, a mąż-Anglik zginął w wypadku i zostawił jej fabrykę, i domy w Szkocji i pod Londynem, bo ten szwajcarski sprzedała, i może teraz wyjdzie za Portugalczyka, właśnie ma odebrać z cła samochód, który jej Portugalczyk podarował, i zaraz będzie się musiała nudzić w Maroku, ale trudno, pojedzie. Aha: jeszcze skończyła w Warszawie medycynę, zrobiła doktorat, teraz studiuje stomatologię, i wie, że zęby bolą po to, żeby człowiek wiedział, z jaką siłą gryzie, bo inaczej by je połamał. Zrobiła w Kanadzie wystawę fotograficzną o Polsce, a tu, w Warszawie, ma trzy mieszkania, a teraz stara się o kurs pilotażu „na transoceanicznych samolotach pasażerskich”, zrobi to zaraz po tych nudach w Maroku, a rachunek już zapłacony.

Więc on ją zaprasza na kolację.

Ona wciąż gada i gada (mitomanka, i to mama), ukradkiem płaci rachunek i jeszcze wręcza mu torbę z koniakiem i whisky, na pamiątkę – obraziła polskiego ministra! Jakby go nie było stać na koniak i whisky, i na bar, i na kolację! Po czym zabrała go do podłego mieszkania na Marymoncie, dała whisky bez lodu (koszmar!), pokazała album ze swymi zdjęciami przy samolocie, na koniu, na jachcie, w siodle, przy sterach i na egzotycznych wyspach, chciała koniecznie podarować super-aparat fotograficzny: jawny spisak i prowokacja!

A przedstawiło się dziewczę w opadających rajstopach jako Irena Walewicka.

*Zdecydowałem się na ryzyko połowiczne: aparatu nie wziąć, Walewicką i owszem.*

Cóż zatem robi?

*Wspiąłem się na palce i zabrałem się więc do całowania.*

Długie to było i męczące, po prawie litrze koniaku na głowę...

I co dalej?

*W końcu więc utrudzony i znudzony spuściłem pięty na podłogę...*

I co dalej?

Nic.

Urban wyszedł, a tajemnicza Angielka znikła na wieki. Nigdy już się nie odezwała i nigdy jej nie zobaczył. Nic nie wskazywało na to, żeby nasłał ją wywiad, nikt jej nie znał. Bezpieka jej nie odszukała. Więc po co, po co było to wszystko? Ten angielski akcent, ten strój, pieniądze, legenda, album ze zdjęciami, pocałunki z ministrem, cała odegrana rola?

Dotąd była prawda. Teraz wkracza pisarz. Po *spuściłem pięty na podłogę* następuje dalszy ciąg.

Polko-Angielka kładzie się w tych swoich opadających rajstopach i sandałach na łóżku. Rozkłada nogi, rozdziera rajstopy paznokciami, oddając ministrowi do dyspozycji *swoje damskie instrumentarium*, po czym zaczyna telefonować. On mozolnie instrumentarium wycałowuje, a ona gada. Nawet kiedy w końcu przestaje gadać, sytuacja się nie polepsza.

*Nawet nie pofatygowwała się jęknąć, czy tam westchnąć, a o należnym obcemu mężczyźnie symulowaniu orgazmu w ogóle nie było mowy.*

Dalsze poszukiwania, spotkania, śledzenie. Rozwiązanie zagadki prościutkie, banalne i wciąż nie wyjaśniające wszystkiego. Jakaś wymiana dokumentów z kuzynką z Polski plus mitomania. Ale ileż w tym wszystkim jeszcze sekretów i zawikłań – a w rękę tylko jeden do-

wód istnienia przedziwnej kobiety o wielu życiorysach: białe rajstopy z wielką dziurą w kroku, które mu podrzucono do samochodu. *Cóż, skoro żona wyprała je, zaszyła w kroku i nosi.*

I tyle między faktami a *fiction*.

Urban-pisarz często zaczyna od faktów, ale tak ich mało, w nic fascynującego się nie układają, trzeba je rozbudować, połączyć z innymi faktami, jedną postać kleić w całość z innymi, resztę wymyślić, większość wymyślić, czasem wszystko wymyślić. A potem znosić konsekwencje.

Wymyślił na przykład historię o małżeństwie przez ogłoszenie. Poznali się Polka z Anglikiem przez ogłoszenie, wzięli ślub *per procura*, ona do niego pojechała, i od początku było jakoś dziwnie, jakoś strasznie. Coraz dziwniej, coraz straszniej. Aż tu pewnego dnia żona znajduje w szufladzie stare zdjęcie męża. Zdjęcie z Oświęcimia. On jest tam esesmanem, ona stoi w szeregu więźniarek.

Trochę się Urban zainspirował filmem *Nocny portier*. Nieważne.

Na nieszczęście Urbana, nazwisko esesmana zostało ślicznie wymyślone i wydrukowane. Wkrótce dostał wezwanie do prokuratora: właśnie wszczęto śledztwo w sprawie człowieka o tymże nazwisku, byłego esesmana, wszystko się zgadza, władze brytyjskie żądają szczegółów, władze polskie chcą żądać ekstradycji... Wymyślił to sobie: człowieka, sprawę i nazwisko? Akurat!

Po prostu osłania zbrodniarza!

Tak, ciężko jest pisać fikcję.

Niebezpiecznie jest pisać fikcję. Ludzie tak bardzo chcą wierzyć, że wszystko, co napisane – i wydrukowane do tego – jest prawdą! Gorzej: nie umieją w to nie wierzyć.

Wszyscy wierzyli w kardiologa, który robiąc zastrzyk pacjentowi z zawałem, sam dostał zawału, położył się obok chorego (przy zawale nie wolno się ruszać) i zażądał wezwania pogotowia, choć sam był z pogotowia. A potem leżał obok trupa (pacjent zaraz umarł) wśród krzyków, lamentów i wyzwisk rodziny, wśród świec i chóralnych modłów za nieboszczyka.

Albo w dwóch studentów, zatrzymujących się podczas wakacji nad morzem u wdoworybaczki. Jeden wyjechał wcześniej, drugi – z dokumentami kolegi – uciął sobie z wdową romansik. A po trzynastu latach ten pierwszy dostaje spory spadek po wdowie z wdzięczności za najpiękniejsze chwile jej życia. Na co ten drugi, ten, co z wdową sypiał, ukryty za cudzym dowodem osobistym, wytacza proces: to jemu należą się pieniądze wdowy, nastąpiła pomyłka co do osoby...

Taka drobnica. Takie odpryski życia, jego małe anomalie i nieważne marginesy. Taka „literatura faktu”, mająca tę wyższość nad literaturą „piękną” (taka tam ona piękna!), że – napisał Urban – „przynosi treści solenne”. Ta druga literatura, ta wielka i godna, „jest rodzajem libretta do baletu szarych komórek czytelnika, zmusza je do tańca”.

To, co on, Urban, pisze, nie zmusza szarych komórek do bolera, walca, tanga ani charlestona. Przynajmniej tak się Urban reklamuje. Żadnego wysiłku! Co miało zostać napisane, zostało napisane. Czy nie tak być powinno?

Jasne, że tak być powinno.

No więc.

Tylko co miało zostać napisane, zostać powiedziane w tym kawałku najczystszej prozy, chemicznie czystej prozy, jaką był „Wieczór w bloku”? Tu już Urban nie udawał, że pisze sprawozdanie z „drobnicy sądowej”. Napisał małą syntezę życia w Peerelu, czyli (by użyć amerykańskiego słownictwa) życia komunistycznej Polski, i szare komórki czytelnika musiały ruszyć do paskudnie trudnego tańca – do czegoś między rockiem, kankanem a marszem żałobnym. Jak to u Urbana w jego szczytowej formie.

Czysta proza ma narratora, a nazywa się on „My”.

Czysta proza opisuje sobotni wieczór w nowo zasiedlonym, wielkomiejskim bloku 622. Wesele się odbywa w bloku 622, proletariackie blokowe wesele. Orkiestra wepchnęła się we wszystkie wolne miejsca, muzyka grzmi, goście tupią, w ogóle jest normalnie, czyli tak:

*... blok chodził i w pionie, i w poziomie. Goście weselni także chodzili: panie w długich sukniach z brokatu lub tiulu, panowie z butelkami w rękę, a to po korytarzu i klatce schodowej. Tam przez życzliwość dla młodej pary pili i krzyczeli. Starsze damy wtykały zapalki w zautomatyzowane wyłączniki światła, aby swoim toaletom i makijażom zapewnić stałą iluminację. Lokatorzy uchylali drzwi swoich mieszkań, jedni, żeby się pogapić, inni, żeby zażądać ciszy, jeszcze inni patrząc poczęstunku, którego im nie odmawiano.*

*(...) Z czasem na klatkę schodową wyniesiono też krzesła, a dalej sałatki i ryby w galarecie oraz przybory niezbędne do konsumpcji.*

A tu panna młoda zginęła.

A tu mieszkanie piętro niżej zostało zablokowane, sąsiadka nie może wejść do domu. Może tam ukryła się oblubienica? Mąż dobija się zatem do zablokowanych drzwi pospołu z niešťczęsną właścicielką mieszkania piętro niżej.

*– Złotko – wołał – skarbie, kotku, dziwko, ścierko, kwiatuszku – krzychał dobierając słowa w zależności od tego, czy myśli czule, czy podejrzenia podle uderzały do nietrzeźwej głowy.*

Chyba tylko policję wołać, a tu policja – o Boże, milicja chyba? Daruj, Panie, nikt się nie połapie w tych wiecznych zmianach, zostawmy już policję, żeby sytuacja była zrozumiała – policja już jest, bo ktoś wypadł przez okno i zabił się na śmierć. Bez żadnego związku z weselem: przyszedł facet z kolegą do zawodowej panienki, która gdzieś tu w tym ogromnym blokowisku mieszka, ale panienka miała klientów i kazała poczekać. To popili z kolegą na strychu, aż wreszcie facet się zniecierpliwił. Postanowił zejść niżej po kablu od anteny telewizyjnej i zastukać w okno, żeby się panienka i jej goście pospieszyli. Spadł, oczywiście. Wy-soko było, więc upadek był śmiertelny, choć może i miły.

A co z panną młodą? Och, znalazła się. Spała sobie, pijana w trupa, w kotłowni, tej od centralnego ogrzewania, w długiej koronkowej ślubnej sukni. Kiedy ją docucono, wpadła w rozpacz. *Wesele ma się jedno w życiu tylko – łkała – a ona je przespała w piwnicy.*

Doprawdy, alkohol potrafi czynić godne pożałowania spustoszenia w kobiecym mózgu. Na szczęście przemijające.

Jedno wesele w życiu?

Pesymistka!

Tak, jest Urban wielkim pisarzem.

I przy całej swej pysze sam nigdy nie zdołał w to uwierzyć.

## Niewierzący

„Społeczeństwo ma straszny ambaras z ludźmi niewierzącymi” – napisał Urban od niechcienia w jednej ze swoich Opowieści Kibica. Zwięzłej i śmiesznej jak wszystkie: w końcu dlatego przede wszystkim czyta się Urbana, że jest śmieszny. No, i jest śmieszny, ale coś strasznie serio też umie wtrącić, może to z czasem dotrze do gawiedzi, kropla draży skalę. Zwłaszcza że wszystko, co mu się najlepiej uda, znajdzie się w książkach, nie przemienie z wiatrem.

Coś autobiograficznego również lubi przemycić.

No, więc macie historię studenta medycyny, który na wykładzie wyrwał profesorowi próbkę z zarazkami cholery (mogącymi, zdaniem profesora, wytruć milionowe miasto), wypił zawartość i ruszył w świat. Albowiem był NIEWIERZĄCY.

„Społeczeństwo ma straszny ambaras z ludźmi niewierzącymi” – napisał Urban. – „Nie trzeba do tej sprawy mieszać zaraz Pana Boga. Chodzi o niewierzących w cokolwiek, w co wszyscy wierzą. Takich, którzy wierzą w coś, w co nikt inny nie wierzy, można przynajmniej zamknąć w domu wariatów. Niewierzący są czystym koszmarem.”

Student połknął zarazki cholery, mogące zabić w mgnieniu oka milion studentów, i wyszedł spokojnie z sali wykładowej. I profesor, i koledzy, wszyscy oniemieli. Kiedy minął im paraliż osłupienia, kiedy rzucili się w pogoń, śladu już po straszliwym studencie nie było. Poszedł sobie, ziejąc zarazkami, niosąc w sobie beztrosko zagładę miasta, kraju, ludzkości, dysząc, sapiąc i plując. Czemu to zrobił, na miłość boską?

Bo był podobny do Urbana.

„Wszyscy wkoło wiedzieli, że nie wierzy. Im dłużej studiował, tym bardziej naigrawał się z całej medycyny. Nie wierzył w nic: w wirusy ani w bakterie, w EKG ani w lewatywę. Nikt się go jednak o to nie czepiał. Profesorom wystarczyło, że umie. (...) Bezkarność go rozzu-chwiała.”

Student gdzieś sobie poszedł, pojechał. Miał różne przygody, którymi należało ubarwić historyjkę. W końcu go złapano, zdrowego jak rzepa. Nikomu, kto się z nim zetknął, też nic się nie stało. Zarazki były zwietrzałe, albo niegroźne, albo w ogóle inaczej jest z tą cholera niż sobie wyobrażał genialny Bruno Jasiński pospołu z medykami. Nie wystarczy wpuścić zawartość milionaśmiernej próbki do miejskich wodociągów albo do przewodu pokarmowego jakiegoś aroganckiego chłopaka. Tak, ale przecież profesor wierzył w straszliwą moc tego, co ze zgrozą zademonstrował studentom! Profesor zawiadomił władze o potwornym zagrożeniu i bliskim kataklizmie, władze zmobilizowały wszystkie siły, i co? I co zrobić ze schwytanym wreszcie błaznem, prowokatorem, wrogiem publicznym numer 1 – z człowiekiem NIEWIERZĄCYM? Trzeba go przecież ukarać, choć nic się nie stało!

W ramach ustawy o epidemiach w połączeniu z kodeksem karnym – tak, można by go ukarać. Za czyny, mogące spowodować niebezpieczeństwo powszechne. MOGĄCE, choćby i – obiektywnie – nie mogące.

„Pragnę wyrazić swoją opinię” – pisze Urban w finale swojej malutkiej, drwiącej, wczesnej autobiografii. – „Pragnę wyrazić swoją opinię: nie karać! W ogóle nie karać, choć czyn ten był może nie mniej szkodliwy społecznie, niż gdyby całe miasto wymarło na cholera. Nie karać dlatego, że nawet jeśli Niewierzący nie pójdzie do więzienia, więcej: zostanie lekarzem – to i tak poniesie karę. Życie człowieka w tym stopniu nie dzielającego wiary i poglądów powszechnych i tak będzie jednym okropnym koszmarem.”

Gorzkie zakończenie. Cóż, autobiografia *per procura*, choroba zawodowa pisarzy. Z tym, że tu może Urban trafił w środek własnej tarczy: tak, tym właśnie jest. Człowiekiem niewierzącym – ze wszystkim, co to oznacza.



Z wielu anomalii składa się osobowość niewierzącego. Jedna jest bodaj najważniejsza: chorobliwy brak strachu.

Eksperyment niemieckiego profesora Stitta – opisał go Urban w felietonie – polegał na straszaniu nieszczęsnych, od czasów Pawłowa mających ujawniać pod batem wielkie tajemnice ludzkości, psów. Psy profesora Stitta straszył (pod koniec lat sześćdziesiątych) na wolnej przestrzeni. Włączał po prostu syrenę alarmową. I co się okazało?

Psy przerażone po raz pierwszy „zawsze rwały do przodu”. Z psów przerażonych po raz drugi 90% umykało, szukając jakiegoś kąta. 98% psów przerażonych po raz trzeci padało do ziemi. Tylko 2% psów zawsze pędziło do przodu w gwałtownym, bezrefleksyjnym, szalonym ataku. Psy te profesor Stitt określił jako niebezpieczne.

A on, Urban? Czy nie gnał zawsze do przodu? Czy nie był psem niebezpiecznym? Może jeszcze gorzej?

„Okolo 0,2% całej zbiorowości badanych psów” – stwierdził profesor Stitt – „w ogóle nie można wystraszyć. (...) Są one tak niebezpieczne, nawet dla swych panów, że należy je wyselekcjonować i natychmiast usypiać.”

– GROZA! – stwierdza Urban z beztruską uciechą. Cóż, to jasne: należy do 0,2%, do małej mniejszości nieustraszonych. Może trzeba go było w porę wyselekcjonować i uśmiercić, ale nie zrobiono tego. Zdążył się dobrze zabawić: wojną, schronami, pożarami, niedoszlą egzekucją, niebezpieczeństwami wszelkiego rodzaju, tyraniami, zamieszkami, groźbami, powszechną nienawiścią, kamieniami rzuconymi w okna, obelżywymi napisami na murach... och, mnóstwem rzeczy! Nie uciekał w kąt i nie padał do ziemi. Odważny był z niego pies. Nienormalny pies. Taki do uspienia, ale przegapiony. Pies niewierzący.

## Trzystronicowe arcydzieła

To jeden z jego mistrzów, Krzysztof Teodor Toeplitz, KTT, ten superintelektualista gadający płynnie obcymi językami, ten Żyd (żyd), ale chrzczony, pouczył go (nie on to odkrył, ale on pouczył Urbana), że felietonista musi przede wszystkim wymyślić siebie. I niech ta jego dobrze wymyślona, efektowna osobowość będzie osią każdego felietonu. Na niej trzeba zawieszać zmienne w końcu i nieistotne myśli. Urban był zachwycony. Przedtem wołał „szlachetną, bezosobową rzeczowość”; od wielkiego przełomu zaczął lansować siebie. Tego trochę prawdziwego, bardziej fałszywego faceta o nazwisku Urban. Sukces był prawie natychmiastowy. Jeśli tylko chcą cię gdzieś drukować, człowieku, reklamuj samego siebie, jedyny towar, jaki masz na zbyciu, jedyny, jaki ci wolno reklamować: to ci się opłaci. Dzięki, KTT!

Urban wymyślił Urbana. I szybko stracił rozeznanie, kim jest naprawdę: autorem czy bohaterem, pisarzem czy postacią ulepioną przez pisarza. Stał się zlepkiem rzeczywistości i własnych pragnień. Urban wymyślony – pijak-zawadiaka, cham i brutal – był „projekcją pragnień człowieka nieśmiałego, lękliwego, układnego”. Wymyślony Urban mówił – *con brio* – językiem rysztopka, walił żony po ryju, odczytany był wyłącznie w kartach restauracyjnych, jadł, pił, i wielbił przemoc. Prawdziwy powoli zniknął – jeżeli kiedykolwiek istniał.

To Amerykanie wymyślili, a nazywa się to behawioryzm. (Przedtem wymyślili to Europejczycy, a nazywało się to snobizm i brzydko pachniało. Nie przyjęło się. Nie tak wprost.) Było to proste i łatwe w użyciu. Zaczynaj się zachowywać jak człowiek, którym chciałbyś być, a staniesz się nim. Spójrz choćby jak piszesz. Geniusz nie łączy liter, optymista unosi wiersze w górę, ku prawej coraz wyżej, ktoś otwarty na świat nie domyka „a”, „e”, „b”, „d” i „p”, ktoś ambitny podkreśla swój podpis grubą krechą. Jeżeli ambitny ma odnieść sukces, jego krecha będzie wyższa i grubsza z prawej. Wszystko zbadane przez skrzętne mrówki, wszystko jasne. Ucz się, naśladowaj. Kogo udajesz, takim się stajesz. Aż w końcu będziesz mógł napisać od niechcienia: *Z rzeczy wytwornych mam bronchit, szelki amerykańskie (raz jeszcze dziękuję, Mrs Robin-Krauze), żonę i znajomych*, i wszyscy się zachwycają. Mądry, stary cynik, zajdzie daleko. O to chodzi. Wymyślił siebie.

Jednogłośnie wybrał sam siebie na prowokatora i skandalistę. Teraz już miało być z górki.

Oczywiście, trudno jest bezustannie prowokować i skandalizować. Tysiąc razy na 999 wolałoby się posiedzieć spokojnie w domu albo przy knajpianym stoliku. Ale jak trzeba, to trzeba: z tej drogi nie ma powrotu. Skoro już wybrałaś, jaki chcesz być, bądź taki do śmierci. W zmiany nikt nie uwierzy. To jak pakt z szatanem. Głupie pisanie felietonów może być paktem z szatanem. Z góry się tego nie wie, a potem jest za późno.

Mira Zimińska, aktorka i piosenkarka, wykreowała siebie na gejzer dowcipu. Ach, jaka inteligentna, jaka lotna, błyskotliwa, zjadliwa, śmieszna! I zatrzymuje potem trzech zadowolonych z siebie starszków samą sławną Zimińską w sanatoryjnym parku, prosząc (żądając): „Pani Zimińska, powiedz pani coś dowcipnego!” Zimińska mówi „dupa” i idzie dalej, zostawiając starszków pogrążonych w zachwycie. Tak to jest, kiedy się już wybierze własną indywidualność.

Urban też to zrobił, Urban to zna. Jednogłośnie wybrany na prowokatora, chama, człowieka, który nie tylko chuja (używam jego słownictwa, przepraszam) ma nie obrzezanego, język też – musiał odtąd grać swoją rolę. Ciężko mu to szło: był cichy, nieśmiały, dobrze wychowany, i kłął właściwie tylko na piśmie. Ale – co za ulga! – jeśli się wybrało, nie trzeba się już bardzo starać. Możesz być świętym Franciszkiem z Asyżu, ale jeśli postanowiłeś wykreować się na hycła, to już na zawsze i dla wszystkich pozostaniesz hyclem, i dość tego gładzenia, skoro sprawa jest oczywista.

Urban, oczywiście, nie wybrał swojego wizerunku przypadkowo. Nie całkiem przypadkowo. *Autentyczną moją cechą* – napisze kiedyś, a wiele razy napisze rzeczy podobne – *autentyczną moją cechą jest przekora i tylko jej zawdzięczam zawodową egzystencję. Zamiłowanie do drażnienia, skłonność do pisania na przekór obiegowej opinii... – stanowi jedyny powód, dla którego mogę być zawodowym uczestnikiem życia umysłowego.*

Przekora (skoro oni tak – to ja inaczej) była najważniejsza, była trzonem i podstawą, a że obrosła kabotyństwem – to cóż? Takie są koszty kariery.

Kto nie udaje kabotyńca, ten jej nie robi.

Kto naprawdę jest kabotyńcem, ten też jej nie robi.

Proste to nie jest, fakt. Uczciwe może też nie. Ale tak już jest i koniec, i nie walmy głową w mur. Po pewnym czasie będzie można powiedzieć: „Nie czuję wielkiej dysproporcji między tym, jaki jestem, a tym, jaki chciałbym być”. Nie byle co.

A więc prowokuje. A nie robi tego niewinnie i od niechcenia, sadyzm psychiczny też w nim jest, dobrze to widzi. Dokopać komuś, dopieprzyć! Robi to prawie co tydzień. Miło mu się pisze. Miło mu się pisze w imieniu samego siebie – wykreowanego, trochę wymyślonego, a coraz bliższego (behawioryzm) prawdy. Miło mu się pisze w pierwszej osobie. O, choćby tak:

*Bardzo lubię befsztyki. Stawiam je wysoko ponad kluski, równość, ciastka i braterstwo.*

I co z tego? Co to kogo obchodzi? Poza tym, że ślicznie zostało powiedziane? (Styl Urbana!)

*... Schab jest wzniosły, szczególnie z czosnkiem i ziołami, a owoce jałowca winny w nim siedzieć jak rodzyńki w cieście.*

Jeszcze raz: co z tego?

Właśnie. Zaraz myśl rozwinie. Zaraz nawymyślamy czytelnikom za to, że z mięsa, które doprawdy jest czymś przemiłym, uczynili niemal jedyną treść swego życia umysłowego. Czytelnicy są z każdym słowem coraz bardziej oburzeni. (Toż komuna prawie całe mięso wywozi, wszystko na eksport, dla własnej ludności nie starcza, nie ma z czego zrobić obiadu, pół dnia się traci w kolejkach, a ten łajdak śmie sobie żartować!) Im bardziej czytelnicy się wściekają, tym bardziej Urban ich obraża. Kiedy ich już dostatecznie rozjuszył, pisze:

*I jeszcze ostatnie słowo, nim będę zlinczowany.*

Ostatnie słowo, to pytanie: czy herbata pozostała głównym motywem życia w Stanach Zjednoczonych? A przecież ich niepodległość „wybuchła” od nałożenia cła na „to zielsko”.

Prowokuje, tak. Ale czy nie można bardziej? Można. Ludu ukochany, oto największa prowokacja: *Hitler mył nogi!*

Zna swoich czytelników. Miło jest trochę rozruszać to stado baranów.

Na przykład zwierając im się ze swojej nienawiści do dzieci. Co to kogo obchodzi? No właśnie. Piwa też nie znosi, ale jaką wartość informacyjno-prowokacyjną ma ta jego niechęć? Nie lubi, to niech nie pije, wolno mu. Natomiast nie znosić dzieci, tego sensu istnienia narodów i społeczeństw, tych maleństw najśłodszych, tych aniołków, może tylko diabeł wcielony. Wymarzona rola dla Urbana!

Dzieci nie znosił naprawdę. Dziecko wymusiło na nim (jednak był mieszcuchem) idiotyzm pierwszego małżeństwa, dziecko zmusiło go do ucieczki z domu, bo czy można wytrzymać przy stole z czymś, co *ślini się, glamie, ciamka?* Nawet znajomi gorszyli się, gdy tak mówił, a co dopiero banalne, naiwne rzesze czytelników gazet! Napisał więc, co myśli o bachorach, o tym *głównym zanieczyszczeniu środowiska naturalnego człowieka, o tych istotach głupich i przykrych*, które wciąż się rodzą na powszechne utrapienie, ponieważ to dla każdego najprostszy sposób realizacji żądzy władzy nad innymi. Sprawisz sobie dzidziusia, kobieto czy mężczyzno, i już masz tę władzę, już panujesz! Tylko o to ci przecież chodziło.

Kij w mrowisko. Powszechne oburzenie. Wszyscy kochają dzidziusia, a brzydzić się nimi i mówić takie straszne rzeczy może chyba tylko szatan. Właśnie.

Będzie to powtarzał. Będzie zapewniał: *...gdyby w naszej szopce pojawił się Herod, umiałbym mu zapewnić niezłą oprawę ideologiczną.*

I za każdym razem uda mu się ludzi zbulwersować. Za każdym razem będą – biedne istoty z klapkami na oczach – demonstrować swoje oburzenie. Tacy już są.

Jak – to go akurat zdziwiło, nie spodziewał się aż takiej reakcji – oburzył ich felieton Urbana z 1971, o krzyżówkach. Zwykłych, zamieszczanych w prasie krzyżówkach, tej niewinnej rozrywce milionów. Pionowo perz, poziomo uczucie, osiem pionowo siła sprawcza lub rzeka we wschodniej Azji. Komu to mogło przeszkadzać? A tu, proszę, komuś przeszkadzało.

*Na każdego gramotnego Polaka, wliczając w to kobiety, przypada rocznie 5 odbitek krzyżówek.*

„Wliczając w to kobiety” już parę kobiet oburzy: strasznym antyfeministą i wrogiem rodziny stał się Urban pod wpływem Wiesławy Grocholi, swojej pierwszej ślubnej, a jego poczucie humoru bynajmniej nie trafia do każdego. Ale to nic wobec straszliwego, mieszącego z błotem obie płcie wraz z ich niewinnymi upodobaniami, tego oto zdania:

*Co mam przeciwko krzyżówkom? Przede wszystkim mam rację.*

I pełny ogień, i zmasowany ostrzał artyleryjski, i bomba atomowa zrzucona zniemacka na kombinację numerowanych krutek do wypełnienia w poziomie i w pionie, dzięki odgadnięciu podanych z boku (lub poniżej) haseł. TO – pyta felietonista – TO uchodzi za gimnastykującą intelekt rozrywkę umysłową? Bo trzeba wiedzieć, jak się nazywa *trąbka pasikonika*, *jeden z prawych dopływów Gangesu*, *zupa z morwy wspak...* itd, czego wiedzieć nie można bez sięgnięcia do słowników i encyklopedii? Doprawdy? Czyli szlachetniej jest walić łbem w komputer niż w balię? Zaśmiecać sobie pamięć przelotną wiedzą o *tym, jak nazywała się rufa łodzi plemienia Hopli-Hopla żyjącego w szesnastym wieku nad Missisipi*? O, nie! Zajmowanie się krzyżówkami – twierdzi coraz bardziej wściekły Urban – jest *szczytowym przejawem kretyzmu, nieoświecenia i zacofania umysłowego.*

Napisał to, i na redakcję „Szpilek” spłynęły tony oburzonych listów od ludzi, którzy rozwiązują krzyżówki, a mimo to są zupełnie O.K., a właściwie dzięki temu są niepospolicie inteligentni, i tak dalej. Boki zrywać.

Po raz trzeci wstrząsnął Urban masami, pisząc tuż przed stanem wojennym felieton „Po ryju”. Otóż jego żona – opowiedział komuch Urban radośnie zbuntowanym masom – jest w Solidarności. Żona (Karyna Andrzejewska to była akurat) przypina sobie nawet do ubrania plaketkę Solidarności, znaczek taki, z napisem i chorągiewką. Ilekroć próbuje to zrobić w domu – *zaraz dostaje ode mnie po ryju. Taka metoda politycznej perswazji jest bardzo dobra. Szanowna małżonka bardzo szybko odzwyczała się od przypinania tego. Doszliśmy też do ciekawego odkrycia naukowego. Otóż teraz, gdy pod moją nieobecność sobie to gdzieś chwilami przypina, zaraz pali ją twarz, chociaż w nią przecież wówczas nie obrywa.*

Masy bardzo się oburzyły. Przede wszystkim z powodu ordynarności wyrażenia „po ryju”. Kto by tak mówił poza skrajnym chamem? Kto mógłby chwalić się publicznie, że bije żonę? Kto mógłby w ogóle – pytali najsakrajniejsi – bić żonę?

Sto pociech! (Jeśli zważymy na statystykę.)

Był dobrym felietonistą. Dobrze siebie wymyślił.

*Jestem wielki cham, więc lubię wszelkie chamstwo i mam tego pod dostatkiem* – nikt inny nie wpadł na pomysł, żeby się tak przedstawiać. Nikt inny by nie chciał. Nieliczni utalentowani nie mogli pokonać w sobie pragnienia pochwał dla własnej inteligencji, kultury, mądrości. I nie chcieli uchodzić za ludzi ZŁYCH. Właśnie, złych.

Urban chciał, a raczej nie miał nic przeciwko temu, ściślej mówiąc – wynikało to ponieważ ze względów warsztatowych. Miałby ujawniać własne uczucia? Własne – koszmar – sentymenty? Wtedy stałby się taki jak wszyscy, i byłoby po nim!

On musi być „bezduszny”. Jeśli chce być dobry w swoim fachu – musi. Jak wtedy, kiedy pisząc o mordowaniu psów, usprawiedliwi się ze swego zimnego, cynicznego jak zawsze tonu:

*Przepraszam, że się nie wzruszam, ale uczucia wyższe są przeszkodą w pisaniu felietonów.*

Nie dodał, że są przeszkodą we wszystkim. A chyba już od dawna był tego świadomy.

## Urban kontra ja

Urban napisał kiedyś i o mnie. Bez nazwiska: nie miał wtedy pojęcia, że istnieję. Nikt nie miał pojęcia. Walnął mnie w szczękę anonimowo i grupowo. Wziął pod obcas moją grupę społeczną, moją klasę: lumpeninteligencję. Innymi słowy – artystów, pismaków, uczonych, którzy się nie przebili. Przynajmniej nie od razu. I którzy mają czelność oskarżać o swoją klęskę „sitwę”. Może i „sitwy”, w liczbie mnogiej. Ustrój, okoliczności, brak wolnego rynku, okupację, niewolę. Może i Urbana. Może i Fraka.

Tak był zadowolony z tego felietonu, że przedrukował go potem w książce „Robak w jabłku” (1982, stan wojenny).

Pisząc o mnie, nazywał mnie LI, niby od lumpeninteligencji. Wyobraźcie sobie, nie miałam dla niego wyglądu, tylko mentalność. Mogłam ślicznie pachnieć, mogłam cuchnąć, mogłam być kloszardką czy posthippiską, nic go to nie obchodziło. „Jest to drań bez swobodnego wyglądu” – tak o mnie napisał. Mało tego. Napisał, że nienawidzę zdolniejszych ode mnie, „a więc całego świata”. (No, panie Urban!) Albowiem „wśród LI nie ma ludzi zdolnych. Posiadacz talentów nie musi być LI i nie chce”. Różnię się całkowicie – twierdził Urban – od „po prostu ambitnego człowieka, mającego coś do powiedzenia czy czującego, że mógłby coś zrobić, któremu się jednak na razie nie powiodło”. A czym się różnię? Tym, że nie staram się wejść do zwycięskiej sitwy, tylko pozostaję na zewnątrz i warczę, i nie chcę, i nie podoba mi się. Jestem wewnętrznie spięta, pełna goryczy i żółci. O to, że mnie zgnojono, oskarżam „różne mroczne siły” i czekam swojej chwili. Tymczasem noszę w kieszeni grzebyk, i stale poprawiam fryzurę, po czym „strząsam wyczesane brudy z klap garnituru kupionego na wzór starszych urzędników oraz z blatu biurka...” – nie widział we mnie Urban kobiety! Z klap garnituru?! Miałam w jego oczach „teczkę i długopis, mowę, krok i mars, ochłaj i chrząknięcie, i minę, i gest, i wóz, i stołówkę, i nasiadówkę...” – ja!!!! Wóz, stołówkę, nasiadówkę? Skąd, jakim cudem, skoro byłam LI? Czyli kimś przegranym? A jeśli tak – po co się znęcać nad kimś przegranym? Czym LI komukolwiek zagrażał?

Jeszcze nieraz o mnie pisał: ależ mu załazłam za skórę! W „Felietonach dla cudzych żon” na przykład. W „Ocieraniu łez”.

Najpierw cytował człowieka, atakującego „silną i nieśmiertelną koterię, która rządzi życiem artystycznym. Uformowała się ona w okresie «błędów i wypaczeń», kiedy to panowała jawnie, czyniąc straszne spustoszenia. Potem jej członkowie przekabacili się na liberałów i odnowicieli”. Jeszcze później – napisał człowiek – część członków koterii przeszła do jawnej opozycji (niektórzy na emigracji, inni w kraju, jedni współpracujący z drugimi), druga część (współpracujemy z władzą, popieramy władzę) przyczaiła się i zachowała dominację. W sumie jedna mafia. Ta właśnie mafia niszczy ludzi spoza mafii – uczciwych, szczerych patriotów, *et patati, et patata*, jak mówią Francuzi. No. Tyle cytatów, teraz nastąpi atak.

Tylko dlaczego, do kurwy nędzy, atak jest wymierzony we mnie?!

– Och, dobrze, dobrze – zgadza się Urban – teorie o mafii nie dopuszczającej na scenę nikogo poza swoimi nie jest całkowitą bzdurą. Dobrze, dobrze, wywody Człowieka nie są nonsensem. Ale nie są też całą prawdą. Nie otworzy się kilkudziesięciu lat jednym, personalnym kluczem!

Zgoda, racja, bardzo to światło.

Tyle że zaraz będzie kopniak. W kogo wymierzony? We mnie, jak zwykle. „Czego byśmy nie sądzili o wszechpotężnej mafii rządzącej od 1945 roku po dziś dzień instytucjami kulturalnymi w Polsce, opinią, opozycją i emigracją zarazem – jednego śladu jej działań nie da się zauważyć. Takiego mianowicie, aby jakiś niewątpliwy, duży talent artystyczny w wyniku jej knowań nie mógł wyjść na światło dzienne.”

A JA (PANIE URBAN)? A CHOĆBY JA? – jak pytał dyrektor kołchozu w «Przedstawieniu „Hamleta” we wsi Głucha Dolna», zapytany, kto w tej zapadłej wiosce mógłby zagrać główną rolę w sztuce Szekspira. – A CHOĆBY JA?!

Zresztą mniejsza o mnie.

Skąd można wiedzieć, że jakiś wielki talent nie wyszedł na światło dzienne? Toż jego główną cechą jest to właśnie, że nie wyszedł na światło dzienne! Kto w czasach Van Gogha, zapytany, czy jest jakiś zapoznany i prześladowany wielki artysta, odpowiedziałby bez wahania („Proszę o światła i notujcie dobrze!”): – Jest taki, nazywa się Van Gogh, nigdy nie sprzedał żadnego obrazu, właśnie zamknęliśmy go w domu wariatów, to on! Na przykład on!

*Ex definitione* człowiek zniszczony, przeoczony, ukatrupiony, jest człowiekiem, o którym nic się nie wie. Czy Urban jest tak głupi, żeby nie znać nawet definicji? Czy polityka aż tak zaślepia?

Wszędzie – twierdził Urban – są mafie, koterie i kliki. Zgoda, w takim kraju jak PRL jest to potwornie silnie splecione z życiem politycznym. Z monopolem politycznym. I co? Toż w tym też są ciągle zmiany, toż władza personalna to *galareta w stałym ruchu*, toż (tego nie pisał) przynależność do mafii i tak człowieka uratuje, najwyżej straci się kilka lat, każdy zdolny należący do mafii się przebiję, albowiem ON się przebił. Wystarczy nie walić głową w mur. Wystarczy nie udawać świętego, nie starać się zachować czystych rączek. Trzeba zrozumieć realia. C.B.D.O.

I niech beztalencia spojrzą krytycznie na swoje dzieła zamiast gapić się na mafię! Mafia istnieje, zgoda, ale naprawdę zdolnych wykończyć nie zdoła. Jak cię, człowieku, nie drukują, nie wystawiają, nie angażują, nie filmują, nie cokolwiek – to dlatego, że zero z ciebie. Nie szukaj innych przyczyn. Kto by cię tam, zero, wykańczał! Talentu nie masz, to wszystko.

*Mafia locuta, causa finita.*

Jak LI ma nadludzkie siły, to i przez mafię się przebiję. Zgoda: w tym fachu trzeba mieć nadludzkie siły. Ja ich na pewno nie mam. Tylko po co tak kręcić?

– *A łagry? Co on myśli o łagrach?*

– *Że w ogóle nie istnieją; że to najwspanialsza instytucja na świecie; że z biegiem czasu znikną same.*

Jak sobie gawędzili paryscy intelektualiści w latach pięćdziesiątych, według powieści z kluczem Simone de Beauvoir.

Mafia nie istnieje; poza tym jest cudowna; poza tym i tak nikomu przecież nie szkodzi.

Cały Urban. Po prostu człowiek oczekiwał po nim więcej – jeszcze więcej – cynicznego, bezczelnego chamstwa.

No nie. Na szczęście nie jest to cały Urban.

Na szczęście nie.

## Urban d'Artagnan

Wierny był Urban zawsze. Nasza sitwa była naszą sitwą, koleś koleś, Firma Firmą. W każdej sytuacji można było na Urbana liczyć: ktokolwiek skrzywdzi brata z mafii, krwawymi łzami swój błąd opłacze. W czasach Solidarności zdarzały się strajki zastępcze: cały region (albo wszystkie regiony) za branżę, której strajkować nie przystoi. „Służba Zdrowia nie będzie strajkować, ale w jej imieniu wystąpi Solidarność”, pisano na plakatach, a plakatami oblepiano mury miast, i słabe, poddane wiecznemu szantażowi branże wzruszały się do łez: nareszcie! Urban nie był regionalnym związkiem zawodowym, ale sytuacja była podobna: Mietek, Krzyś i Danek nie muszą protestować, kiedy ich coś zaboli. W ich imieniu wystąpi Urban.

I występował – nieraz. Lepiej byłoby dla koleśków, gdyby tego nie robił, bo łapę miał ciężką jak niedźwiedź, drobiazgi rozdmuchiwał w tajfuny, nagłasniał sprawy, których bez jego interwencji nikt by nie zauważył, ale skoro go nie uciszali, skoro – może – sami prosili go o interwencje, najwyraźniej tracili dokumentnie rozum, gdy tylko ktoś ich obraził.

Albo ich kobietki traciły rozum, bo wielkie akcje karzące Urbana odbywały się aż nazbyt często tak, jakby na początku była prośba koleśka: „Zuzi jest przykro, Zuzia płacze, życie mi zatruwa, zrób coś”. No, to robił. Wychodził na idiotę, ośmieszał się, kompromitował, ale wierność ponad wszystko, d'Artagnan obroni i Portosa, i Aramisa, i Atosa też, choćby i wiedząc, że żaden z nich palcem o palec nie stuknie w jego sprawie, a tym bardziej w sprawie jego Zuzi. Trudno. Albo się jest przyzwoitym człowiekiem, albo nie, a przyzwoity człowiek nie czeka na rewanz i wzajemność.

Pierwszy z brzegu przykład. W jakimś mało czytany piśmku napisano krytycznie o poezji Agnieszki Osieckiej. Co robi Urban? Drukuje pełen furii felieton o bezprzykładnym ataku na Daniela Passenta, kumpla z Firmy. Złe czasy nastały dla Passenta, wrogowie polityczni boją się atakować go wprost, wolą szargać jego rodzinę! Olbrzymia większość ludzkości, nie mająca pojęcia, że Passenta coś łączy z Osiecką – nie było w socjalizmie plotkarskiej prasy, były tylko plotki – dowiadywała się tego od Urbana i nadal nie wiedziała, o co chodzi. „Rodzina”? Dlaczego od razu „rodzina”, przecież ślubu nie brali? Fakt, Osiecka była artystką cudowną i uwielbianą, ludzie za nią przepadali, ale gdyby ktoś chciał skrytykować jej rymy i asonanse, to czemu nie miałby tego zrobić? Co to ma wspólnego z Passentem, z Frakiem, z Firmą, z KC, i z purpurowym hasłem *Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się?* Czy pójsście do łóżka z kimś z „Polityki” daje człowiekowi immunitet bardziej wszechstronny od immunitetu poselskiego? – A tak – zdawał się odpowiadać Urban. – A tak, daje immunitet stu-procentowy, i niech się komuś nie spodoba wiersz kobiety kumpla, to go ośmieszę i zniszczę, a umiem to robić. Nader możliwe, że dziennikarka, której nie podobały się piosenki Osieckiej, nie wiedziała, kto z kim sypia w Warszawie, ale nie uwierzmy w jej niewiedzę, zaatakujemy frontalnie i politycznie, głośno i demagogicznie: Danek, zadowolony jesteś? Już nikt Adze nie zarzuci złej metafory, przestraszą się Firmy, Komitetu Centralnego i mnie! Czy Danek był zadowolony, nie wiadomo. Może i tak.

Zresztą ponoć nie o Danka chodziło, ponoć Osiecką akurat wtedy więcej łączyło z Frakiem (*To był bywalec wyższych sfer / Redaktor doktor MFR*), i może Urban wykonał po prostu polecenie służbowe. Ale pozory zostały zachowane. Wierność, lojalność, Firma! Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego! Niech się sto razy zastanowi każdy, kto zechce NAS zaczepić! A tak, będziemy strzelać z armat do komarów; czemu nie?

Najefektowniejszy występ Urbana-muszkietera miał miejsce w stanie wojennym. Wystąpił w obronie Mietka i Elki. Gdyby tego nie zrobił, nikt by się nie dowiedział, że ich znieważono. No i o to chodzi! Niech się cały świat dowie, że w pewnym opowiadaniu zasugerowano



– nie nazywając tego wprost – że Elka, żona mojego kumpla i szefa Mietka (a w każdym razie kobieta dość do niej, zdaniem wtajemniczonych, podobna), że Elka ma cellulitis. Och, ja dołożę autorowi i jego babie! Nie pozbierają się, szlag ich trafi, ja każdego potrafię urządzić, znacie mnie z tego!

„ – Myślisz, że Bóg mnie pomści? ”

– Tak, i znam ludzi na tym świecie, którzy pomogą Bogu – odrzekł d’Artagnan.”

Urban podobnie.

Trwa wojna „polsko-jaruzelska”. Znany pisarz Marian Brandys, brat Kazimierza Brandysa, emigranta, i mąż Haliny Mikołajskiej, sławnej aktorki, od ładnych kilku lat bezrobotnej, bo związanej z antykomunistyczną opozycją, a teraz konającej na raka – Marian Brandys napisał niewinne opowiadanie psychologiczne, „Małpeczka”. Wydano je w podziemiu, bo gdzie indziej Marian Brandys nie drukuje i vice versa, jego też nie drukują gdzie indziej. Opowiadanie niewinne, doprawdy, jak ślubny welon. O miłej, naiwnej kobiecie, żonie dygnitarza, spędzającej wakacje w starej daczce na Mazurach, daczce kupionej jeszcze zanim kochany Pieseczek został dygnitarzem. No, ale teraz nim jest, i wakacje są kompletnie popsute, bo coś się stało w polityce, co się ludziom cholernie nie podoba, tak im się nie podoba, że nawet wiejskiej gęsi służąca nie może kupić, bo chłopci „im” nie chcą sprzedać, trzeba sprowadzać jedzenie z KC czy skądś tam i limuzyną przywozić, i totalny bojkot, a przecież Pieseczek robi to, co robi, dla powszechnego dobra, tak powiedział swojej Małpeczce i Małpeczka mu wierzy. Aż tu pewnego dnia... ot, takie opowiadanie. Trochę czechowowskie.

Nikt może nie dopatrzyłby się w Pieseczku (nie ma go zresztą w tekście, ciężko pracuje w Centrali) Fraka, ani w Małpeczce Elki, jego żony, gdyby Urban nie wykrzyczał tego na cały kraj. Małpeczka nie jest aktorką, w ogóle nic nie robi, jest rówieśnicą Pieseczka, a poznali się na zetempowskiej akcji zwalczania analfabetyzmu czy propagowania kolektywizacji rolnictwa, jakoś tak. Wcale nie jak w życiu. Tyle że mają dom na Mazurach. Frako też ma dom na Mazurach, więc klucz jest chyba oczywisty. Frako obrażony. Elka wstrząśnięta. Ośmieszono ją. Bohaterka smaruje się olejkami do opalania i z przykrością czuje pod palcami ciało nie tak jędrne i twarde, jak trzydzieści lat wcześniej. I tyle. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego: d’Artagnan powinien się tym zająć.

Oczywiście. Zajmie się najlepiej jak umie.

Zacniemy od tytułu. „Dżentelmen gubi bobki” – to o autorze. On, d’Artagnan, pomyślał o nim w publicznym szalecie. Na ścianie rysunek – hm, nazwijmy to „członkiem męskim” – i litery „PZPR”. A w Urbanie-d’Artagnanie myśl: „Byłby tu przede mną pan Marian Brandys?” Onże wykonał rysunek? Tak, to do niego pasuje!

Albowiem przeniósł się z salonu do szaletu ten elegancki, dystyngowany Europejczyk, podróżnik „i w ogóle Old Spice”. I nie on jeden: cała ta cholerna opozycja, ci literaci, którzy chcą zabłysnąć w Paryżach i Nowych Jorkach, wszyscy oni lądują po prostu w wychodku. „Zacietrzewienie morduje talent”, tak to już jest, pisze Urban, i nawet się nie zastanowi, że pisze może o sobie, a jeśli nie o sobie, to bez sensu. Opozycja tkwi po szyję w kloace, a nadzwyczaj kulturalny ongiś Marian Brandys aż po uszy. Napisał bowiem opowiadanie kloaczne, a nazywa się ono „Małpeczka”.

(Ani słowa o Fraku ani o „kluczu”, przez cały czas ani słowa. 99,99% czytających nic nie rozumie, ale to nieważne. Felieton został napisany dla Fraka, Elki, Brandysa i Brandysowej. Połowa adresatów się ucieszy, połowę szlag trafi, i o to chodzi.)

W opowiadaniu prominent ma daczę na Mazurach, a daczka ma pistacjowe okiennice, wiśniowy dach i kremowe tynki. No nie! To już najbardziej prymitywna ze sztanc, to schemacik godny zawistnej kumoszki: tłumy ludzi mają domki na Mazurach, przed laty można było bardzo tanio kupić chałupkę we wsi Krzyże i wszyscy znajomi kupowali, remontowali, rozbudowywali, a teraz – tak się potoczyły polskie dzieje – mieszka tam prawie sama opozycja, aktualnych prominentów jest jak na lekarstwo, więc do czego to ma być aluzja? Do straszli-

wego bogactwa, korupcji i nepotyzmu czerwonej władzy, która dorobiła się domków nad jeziorami? A ONI, ci święci – czy nie mają takich samych domków we wsi Krzyże (poczta Karwica)? Mają! I takie same mają wspomnienia z zetempowskich akcji żniwnych: wszyscy kiedyś brali udział w zetempowskich akcjach żniwnych, a potem wspólnie kupowali chatki i działki we wsi Krzyże (poczta Karwica), żeby być wśród swoich, a teraz podzielili się, znie-nawidzili, i wytykają prominentowi, że ma – ach, co za luksus! – domek letniskowy, tak samo jak oni. Szczyt obłudy i zawiści, bibuła, ordynarna agitka!

No tak, ale w opowiadaniu nie ma cienia sugestii, że domek nad jeziorem został kupiony za judaszowe srebrniki. To stary domek, a cały problem w tym, że ludzie z innych starych domków, dawni znajomi albo i przyjaciele nagle się poobrażali, a prości wieśniacy nawet gęsi nie chcą mieszkańcom akurat tego domku sprzedać: udają, że wszystkie na skir padły, choć gęgają wesoło za płotem, i w ogóle – no, w ogóle rzecz w tym, że to, co zrobili ludzie na górze (stan wojenny zrobili) okropnie się ludziom na dole nie podoba. A wśród tych na górze jest Pieseczek, a wśród tych na dole są starzy kumple, i kiedyś było tak miło, a dziś nie jest. I nic specjalnego się nie dzieje – poza niemożnością kupienia wiejskiej gęsi na pieczone. Nikt domu nie podpala, pod nogi nie spluwa, anonimów nie pisze. Boykot, wrogość i tyle. Łagodniejsza niż w dziewiętnastowiecznych powieściach z życia wyższych sfer, bo już nie ma honoru ani pojedynków. Tyle że przykro i złość człowieka ogarnia, bo tam w górze Pieseczek męczy się dla dobra powszechnego (sam to Małpeczce wytłumaczył), a tu w dole niezrozumienie i wredność. No.

Prawdopodobnie dom Mieczysława F. Rakowskiego miał zielone okiennice i czerwony dach. Może. Podobnie jak mnóstwo domów. A może okiennice miał czerwone, dach natomiast – niebieski. Kto to może wiedzieć poza ścisłą elitą? Po co o tym pisać – *wsiem, wsiem, wsiem!* – jak na bolszewickich plakatach? Kto Fraka i Elkę rozpozna, kogo to obchodzi?

Właśnie. Elka.

Żona prominenta pojechała skromnie i proletariacko na wakacje do własnej daczy nad jeziorem. Pogwizdując i podśpiewując smaruje się olejkami do opalania, i trochę się martwi lekkim zwiotczeniem tkanki łącznej tu i ówdzie. Coś trzeba by z tym zrobić – tak sobie myśli od niechcienia. I tyle, nic więcej.

A Urban wali z Grubej Berty: opozycja nam zarzuca, NAM, niedoskonałość NASZYCH kobiet? A ich baby, to jakie? Ich ślubne? „Ożenieni są oni z szyjami, piersiami, brzuchami i udami w ruinie. Wręcz nie jest możliwe, aby dawny reporter i esteta Marian Brandys nie zauważył tego w swoim otoczeniu”.

To oczywista aluzja do żony „reportera i estety”, Mariana Brandysa. Fakt, rak Mikołajską zżera, amputowano jej obie piersi i węzły chłonne, operowano wielokrotnie,łysiała po chemioterapii, wypadały jej brwi i rzęsy, ale ciągle się jeszcze broni, ciągle żyje. Do następnej operacji, do następnej amputacji. Jest „w ruinie”, fakt, jest. Ohydna aluzja. Tak uważają ludzie. Oczywiście, ludzie ze „środowiska” wystarczająco wąskiego, żeby aluzję rozumieć. Ogół czytających nie ma dojścia do „Małpeczki” i z felietonu rozumie tyle, że popularny autor książek historycznych skrytykował kobiety facetów z rządu, a rzecznik rządu mu przyciął, iż kobiety facetów z opozycji ani trochę przecież nie lepsze. Może nawet gorsze. Bardzo prawdopodobne, tylko po co łamać krzesła?

Opozycja mówi o tym przez ładne parę tygodni. Pisać takie rzeczy, kiedy NAM nie wolno odpowiedzieć nawet apolitycznym felietonem, bo nikt go nie wydrukuje? Chyba że za trzy miesiące w gazetce powielonej dzięki przerobionej na xero wyzłymacze do bielizny, albo za pół roku w Paryżu? Do ilu ludzi to trafi, do paru tysięcy? A Urbana czytają miliony! Choćby go nienawidziły, czytają. Nikt się nie dowie, co Urban zrobił konającej wielkiej aktorce – albo dowie się parę tysięcy ludzi za pół roku (czy nawet za rok), co na jedno wychodzi. Urban jest ostatnim łajdakiem i skończoną świnią. I po co aż taka podłość, aż takie okrucieństwo? Żeby

przypodobać się Frakowi? A czemu Frako prosił o taką przysługę? Bo Elka prosiła o dołożenie rywalce? Bo Elka, po wspaniałym debiucie, nie zrobiła kariery aktorskiej, a ta konająca, ta bez piersi, i bez pach, i bez włosów – tak? Żałosne.

Tak mówi opozycja. Co mówią rządowcy, nie wiem. Obracam się akurat wśród opozycji, więc nie wiem. Może wszyscy z tamtej strony konają ze śmiechu, może bardzo się cieszą, że poczciwy Jurek tak szujom dołożył. Jestem w opozycji, więc każdą zniewagę ze strony naszych dzielę przez dziesięć, a każdą zniewagę ze strony tamtych mnożę przez milion. A ponieważ nie należę do elity, nic nie rozumiem. Może pan Marian przyciął Elce, może pan Urban przyciął Halinie: znam tylko pana Mariana i Halinę, więc jestem po ich stronie. Poza tym Urban, chcąc zabić muchę siedzącą na ramieniu przyjaciela, zabija przyjaciela i jeszcze wybija w ziemi dziurę stumetrowej głębokości. Niedźwiedzia łapa. A w ogóle mogliby się żreć w barach, a nie w prasie. Te ich aluzyjki, te ich wyzwiska! Co to NAS obchodzi?

Jestem w opozycji, więc nienawidzę rzecznika stanu wojennego.

Nie jestem w elicie, więc nienawidzę ludzi, którzy wszystko o wszystkich wiedzą. Ludzi, dla których i „Małpeczka”, i „Dżentelmen gubi bobki”, to teksty jasne jak słońce i absolutnie zrozumiałe.

Takich jak ja jest większość. Chyba. Na pewno.

Mniejszość, maleńka mniejszość urządza sobie turnieje, żyje personaliami: jak Henio przyłoży Jasiowi, to Bartek przyłoży Heniowi, i tak od początku do końca świata, i tylko tym jest polityka, i tylko tym jest historia – i jakie to żałosne!

No tak: żałosne.

Ale albo się jest jednym z czterech muszkieterów, albo nie. Urban jest jednym z czterech muszkieterów. Sama wierność. Sama lojalność. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Świat nic nie zrozumie, dla świata to będzie bełkot, ale Atos zrozumie. Albo Portos. Albo Aramis. Bóg cię pomści, przyjacielu, a ja pomogę Bogu.

Cały Urban. Niestety.

No nie.

Na szczęście ciągle nie cały.

## Sitwa (albo Towarzystwo)

Ktoś mi to opowiadał. Siedział ten ktoś we wczesnych latach czerwonej władzy w Polsce we własnym reakcyjnym domu i odrabiał lekcje z kolegą. Nagle wpadła przejęta matka, wołając: „– Nie macie pojęcia, co się dzieje na mieście! Milicja pobiła się z UB!” Kolega, nie podnosząc głowy znad zeszytu, odrzekł flegmatycznie: „– E tam, pani doktorowo! Kurwa kurwie łba nie urwie!”

Nagle zorientował się, że swym wulgarnym słownictwem obraził damę, i zerwał się przeproszać.

Jeszcze jedna historyjka, żeby wyjaśnić, o co chodzi.

W 1962 dwie czerwone potęgi – Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich i Chińska Republika Ludowa – weszły w ostry konflikt. Konflikt narastał od 1956, ale teraz – kiedy tezy z referatu Chruszczowa na XX Zjeździe stały się oficjalną linią polityczno-ideologiczną Sowietów, kiedy zwłoki Stalina wyrzucono z mauzoleum i tak dalej – Chiny się na Sowiety wściekły. Były wściekłe aż do oficjalnego samorozwiązania się sowieckiego komunizmu (żeby jakoś rzecz nazwać), a i potem nie doszło do zbliżenia. Tyle w największym skrócie.

Rzecz w tym, iż przez długie lata „ludzie” (nazwijmy ich „opinią publiczną”, tyle że utajoną) nie wierzyli w konflikt chińsko-sowiecki. Za nic, za chińskiego boga nie mogli weni uwierzyć. „Oni się tak umówili”, w sobie tylko znanych celach, dla siebie tylko znanych korzyści. Żeby jeszcze mocniej dokopać swoim poddanym, bo w końcu wszystko, co się dzieje, dzieje się tylko po to. Czemu dwa czerwone kraje miałyby się śmiertelnie pokłócić? Kurwa kurwie łba nie urwie.

W którymś momencie, kiedy Chiny z Sowietami bardzo się już lżyły, a nawet dochodziło do pogroźek, ludzie prawie uwierzyli. A nuż dojdzie do wojny chińsko-sowieckiej? Ha, gdyby do niej doszło, byłibyśmy wolni! Rusczy nie dadzą rady bić się na dwa fronty! Nastąpiło radosne czekanie na atak Chińczyków. Tłumy, kłębiące się w sklepach i biadające nad brakiem wieprzowiny, pocieszały się, że może już niedługo – jak będziemy wolni i zmienimy ustrój – doczekamy się normalnych sklepów. Niech tylko zacznie się wojna chińsko-sowiecka... a przecież zacznie się lada dzień. Kochani Chińczycy, pospieszcie się, rąbnijcie w naszego wspólnego wroga! Ale nic się nie działo, i po jakimś czasie wróciła stara beznadziejność. Wojna chińsko-sowiecka, też coś! Marzenie ściętej głowy! Kurwa kurwie łba nie urwie. Kotletów nie będzie.

A teraz *ad rem*.

No, nie od razu *ad rem*.

Temat jest rozległy jak Pacyfik, i łyżeczką się go nie wyczerpie. Znów będą dygresje, cierpliwości.

\*

*Wiek jej wahał się między czternastu latami a szesnastu. Była w granatowej plisowanej spódniczce, w żakieciku i berecie. Bluzeczkę miała białą z czarnym krawacikiem. Na ramieniu widniał gimnazjalny numer...*

*– Dzień dobry! – powiedziała nagle pensjonarka nieoczekiwanie niskim, kobiecym głosem.*

*... Wtedy inżynier miał sposobność dokładnie przyjrzeć się jej rękom. Malutkie i dziecięce, miały trójkątne wielkie paznokcie dorosłej kobiety, pokryte ciemnoczerwonym lakierem.*

Tak opisał Choromański Straszna Pensjonarkę w powieści, której akcję umieścił w latach trzydziestych. Straszna Pensjonarka zjawiała się w wigilijne przedpołudnie w zakopiańskim pensjonacie, w którym gościła akurat wielka bajzelmama z Brazylii: chciała się zaangażować. Ale, Boże złoty, cóż to był za potwór! Nic w niej do niczego nie pasowało. Niby dziecko, dziecko w sznurowanych bucikach i ze szkolną tarczą na ramieniu, ale to dziecko mówi zmysłowym altem, kładzie człowiekowi na ramieniu rękę z długimi, lakierowanymi pazurami, i dziwnie sprośnie wysuwa przy tym język. A jak coś powie, to jakby rysztoł się odezwał. Wstrząsające!

Książka mówi o latach trzydziestych, ale powstała w siedemdziesiątych, i żaden z bywałych czytelników nie miał wątpliwości: toż to Lolita! Nasza warszawska, powojenna Lolitka!

Przesadzam, mówiąc o bywałych czytelnikach. Nikt z towarzystwa dużo nie czytał: czytanie było zajęciem gminu. Ale wszyscy, którzy bywali za wczesnej komuny w Kameralnej, Spatifie i w ogóle tam, gdzie się chodziło, znali Lolitę, jedną z dwóch najślawniejszych dziewczek wczesnej komuny. I – przysięgam – od kilku mężczyzn, dorosłych a nawet **bardzo** za wczesnej komuny dorosłych słyszałam identyczną historyjkę: ktoś im w **lokalu** kładzie na ramieniu rękę z długimi, lakierowanymi paznokciami, oni się odwracają i widzą dziecko. Ach, fantastyczna była Lolita, wspaniale wymyślona! Niemożliwe, żeby sama się tak wymyśliła, to musiał zrobić Adam (Duduś) Pawlikowski, on znał języki i czytał Nabokova, i opowiadał Nabokova. Swoją drogą Lolitka była z dobrego domu i też bardzo inteligentna. Szybko wyszła za mąż za cudzoziemskiego bogacza, potem wyszła za mąż za o wiele bogatszego cudzoziemskiego bogacza, a jak ktoś znajomy pojechał do Ameryki i jakoś ją tam spotkał, to go zaprosiła do superknajpy, ciągle śliczna, bo po świetnych liftingach, a kiedy wychodzili, zawołała tym swoim słynnym altem czy kontraltem, no, tym niskim głosem wampa albo brzuchomówcy:

– I niech mi kto, kurwa, powie, że pieniądze szczęścia nie dają! Oczy skurwysynowi wydrapie!

Urban oczywiście znał Lolitę. WSZYSCY ją przecież znali, a kto nie należał do WSZYSTKICH, tego nie było.

Superdziwkę *ex-aequo*, Ewę (trudno powiedzieć, która była lepsza i sławniejsza), też wszyscy znali. Jak urodziła dziecko, chodziła z wózkim ubrana wyłącznie w sweter, wyłącznie! Nie, nie tylko majtek, butów też nie miała. Więc jasne, że snuł się za nią tłum facetów. Była wtedy jeszcze żoną tego Frykowskiego, który urządzał frykowiska, a potem ożenił się z Agnieszką Osiecką, naszą kochaną Agnieszką, a jeszcze potem zabiła go banda Mansona w domu Polańskiego, w Kalifornii. No więc Ewa Frykowska jeździła jedynym w Warszawie rollsem, a jak tylko gdzieś weszła, zaraz robiła skandal. Na przykład...

– Moment. Cierpliwości. Wiem, dokąd zmierzam. Oczywiście.

...na przykład siedzi sobie ktoś później mi bliski przy barze z najlepszym przyjacielem, reżyserem filmowym, a tu wchodzi Frykowska i z miejsca do przyjaciela: „Jasiu, twoja twarz mi coś przypomina!” Jasio się pręży, zadowolony, a ona woła na całą knajpę:

– Już wiem, już wiem! Przypomina mi taką starą, rozmazaną pizdę!

Knajpa w śmiech, a Jasio wściekły. Nie miał manier ten człowiek.

Urban miał manieri. Kiedy Frykowska wpadła, nie proszona, na jubileusz „Polityki”, i z miejsca wrzasnęła do Urbana: „Urban, ty chyba nie masz chuja!”, odpowiedział błyskawicznie:

– Jak to nie mam? Tam stoi!

I wskazał na znieawidzonego partyjnego bonzę, Starewicza, który uświetniał uroczystość.

Tak, każdy z towarzystwa znał Frykowską, i każdy zachował dla niej sentyment, kiedy już wyjechała w kierunku wielkich pieniędzy. Urban ją nawet po latach odwiedził w Szwajcarii i

pocieszył wszystkich mówiąc, że okropnie się biedaczka nudzi wśród tych swoich wielkich pieniędzy.

Żeby należeć do towarzystwa, trzeba było mieć świetne zdrowie (od wieczora do rana slalomem po tych paru miejscach, w których się bywało), pieniądze (za darmo wódki ani kolacji nie dawano), i odpowiedni zawód. Na małym biznesie (ot, choćby szklarnie z pomidorami i sałata) robiło się wtedy majątki, ale nikt się z badylarzem nie zadawał. Towarzystwo to towarzystwo. Działacze, dziennikarze i artyści. W późnych latach sześćdziesiątych i znowu w późnych siedemdziesiątych działacze byli nie tylko z rządzącej partii, także z opozycji. Zresztą czy człowiek zawsze wie, z kim pije? Do Osieckiej ktoś wykrzykiwał kiedyś raz po raz, regularnie, aż do świtu:

– A pamiętacie, Osiecka, jak nam w czterdziestym szóstym w UB śledziami płacono?

I wszyscy się zaśmiewali, zwłaszcza że Osiecka z racji wieku absolutnie w czterdziestym szóstym nie mogła być w UB.

Zdarzają się i tacy. I nigdy nie wiadomo, kto się kiedy może przydać.

Na tym polega TOWARZYSTWO: należą do niego ludzie, z których każdy może się kiedyś komuś do czegoś przydać.

Urban znał zatrzęsienie ludzi, którzy mogli się do czegoś przydać.

Zanim dorósł, już znał ich całe stado, przekazane przez rodziców. Potem dobrze sobie radził sam.

Jego najlepszym przyjacielem z dzieciństwa i wczesnej młodości był Andrzej Berkowicz, syn przedwojennego sekretarza KC Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy do spraw wojskowych, zaprzyjaźnionego z towarzyszem partyjnym (o którym to towarzyszu opowiadano potem i pisano, że całą tę partię wydał sanacyjnym władzom) Ozjaszem Szechterem, ojcem najmodniejszego później w PRL opozycjonisty Adama Michnika. Bardzo się wszystkim przyda młody Szechter, kochany Adaś, ale to jeszcze dzieciak, trzeba poczekać. Co do młodego Berkowicza natomiast – to on załatwi młodemu Urbanowi pierwszą dziennikarską posiadłość, tę w „Nowej wsi”. W dodatku Berkowicz ożeni się z osobą, której kuzynka będzie żoną Piotra Jaroszewicza, wielkiej figury, szczególnie ponoć cenionej przez ruskich, przyszłego wieloletniego premiera. Za to tatuś Urbana będzie w przyjaźni z niejakim Ochabem, I sekretarzem PZPR w 1956, a i potem ogromnej wagi postacią. Wszystko się ze sobą wiąże. Wszystko się już dobrze zaczyna.

Ledwo podrośł, zaczął Urban bywać tam, gdzie „wszyscy”. Na przykład w malutkiej kawiarence przy wydawnictwie PIW na Foksal. Kiedy po latach szefem PIW-u zostanie działacz partyjny, król i władca polskiej literatury, Andrzej Wasilewski, Urban będzie wypoczywał z Radgowskim, zastępcą Fraka, w jego modrzewiowym dworze na Mazurach. Tymczasem przesiaduje w kawiarni z kwiatem jeszcze łagodnej antykomunistycznej opozycji (Słonimski, Jan Józef Lipski, Staszewski, młody Michnik – świetnie się chłopiec rozwija) i z wpadającymi często panienkami – Lolitą, Frykowską – które też wiedzą niejedno i znają niejednego. (Każdy zna albo pozna każdego, a kogo się nie zna, ten nie istnieje: tak toczy się świat.)

Później szło się do Spatifu, knajpy – klubu, gdzie nawet szatniarze znali Wszystkich, a co dopiero goście! Tam się spotykało filmowców i generalicję, raczej emerytowaną, ale wciąż znającą Wszystkich. Przedtem wpadało się do barku Na Winklu w hotelu Europejskim, gdzie – jeśli się dłużej posiedziało – też w końcu zjawiali się Wszyscy. I jeszcze Kameralna była (do czasu), i „U dziennikarzy” na Foksal, gdzie Urban miał poznać Fraka. I do Ścieku się chodziło. A potem się piło u Giełżyńskiego albo barona Schoen-Wolskiego z telewizji, tego, co to mu kochankę-Mulatkę zabrał kumpel dziennikarz, Grzegorz Lasota... No – środowisko. KOTERIA, jak mówił Urban, ale on zawsze był cynikiem, choć przed stanem wojennym nikt nie miał pojęcia, jak wielkim. Nasza koteria, nasza sitwa, nasza klika. Wszystko tu łączyło się ze wszystkim.

Choćby Starewicz, z którego Urban tak szatańsko sobie zakpił, zapytany przez Frykowską, czy nie ma chuja. (To Frykowską, nie Urbana, wyrzucili z przyjęcia.) Z tym bardzo swego czasu potężnym partyjniakiem (Kisielewski poświęcił mu wydaną w Paryżu powieść z kluczem, *Widziane z góry*), z tym Starewiczem Darek Fikus, kolega z „Polityki”, syn tego Fikusa, który się procesował przed wojną z ojcem Jurka Urbana, był w świetnych kontaktach towarzyskich. A żona Starewicza, legendarna radiotelegrafistka zrzucona przez Sowietów ze spadochronem wraz z Nowotką, który miał zakładać w okupowanej przez Niemców Polsce PPR i w ogóle podwaliny nowego ustroju, już zaklepanego w Jałcie, ta co to urodziła bliźnięta na Pawiaku i o której Gałczyński pisał w poemacie – żona Starewicza miesiącami pracowała z Urbanem w jednym pokoju, i w tymże pokoju ćwiczyła – twierdzi Urban – dworskie ukłony, kiedy Starewicza wykopsano z władzy na marną posadkę ambasadora w Wielkiej Brytanii (mogło być gorzej, mogło być dużo gorzej). A jej syn, jedno z tych bliźniąt z Pawiaka, zostanie za kapitalizmu burmistrzem Warszawy. Bosko!

A jak żona Urbana chciała pracować w telewizji, z miejsca jej to załatwił przez swoją kuzynkę, mogącą w tej telewizji niejedno. Wszędzie byli swoi ludzie, i o to chodzi.

Wszyscy znali wszystkich, a kto nie znał wszystkich, ten nie miał szans.

Najbardziej zażartych antysemitów, którzy mieli się objawić w 1968, znał Urban świetnie „z wódek u dziennikarzy”, i żaden mu w 1968 nie podskoczył. W ogóle każdego znał. Każdego, kto mógł się przydać.

Kurwa kurwie łba nie urwie, jeżeli mamy to ująć brutalnie.

Albo „trzeba znać swojego wroga”, jeśli mamy to ująć mniej brutalnie.

Albo jeszcze inaczej.

I tak do 1981. Nie wiedzieć czemu (przynajmniej Urban tego nie wiedział i nie rozumiał, a potem trafił go WŚCIEK) ludzie się wtedy podzielili, obrazili, nabzdyczyli. Nie podobała im się pacyfikacja kraju! I tylu knajpianych znajomych powsadzano do więzień, ciągnano po bezpieczeństwach, mszczono! Nie mogli darować! Znienawidzili! Żmiję – jak się okazało – wyhodowali na własnym łonie, ze żmiją pili, ze żmiją zajadali bryzole i bażanty, co za hańba! Nigdy więcej!

Urban ciągle bywał w knajpach. I szybko doznał wstrząsu: ludzie odwracali się od niego, ludzie ostentacyjnie nie podawali mu ręki! Głupi gest, to podawanie ręki, swoją drogą, ale kiedy już się przyjął, kiedy wszyscy tak się od wieków witali – przykre, jeśli pędzisz przez pół sali z wyciągniętą prawicą, a stary kumpel od kieliszka zakłada ręce za plecy i odwraca lodowate spojrzenie. To go zabolalo. Niepodawanie ręki i nazywanie go Goebbelsem: to go cholernie zabolalo, i nie udało mu się zachować kamiennej twarzy ozdobionej drwiącym uśmiechem. Nawet jego można było zranić i zraniono: nie zdołał tego ukryć. A jeszcze dopiero co, jeszcze w 1981, ale przed wyprowadzeniem czołgów na ulice, takie mieli wszyscy świetne kontakty z solidarnościową opozycją! Toż część „Polityki” po prostu tkwiła w „naturalnych kontaktach z opozycją”! Toż „tam zawsze były grupy, z którymi byliśmy w kontakcie – Michnik, Geremek... – Kto jeszcze? – No, ja mam słabą pamięć”.

Utrzymywali z wrogami kontakty TOWARZYSKIE, czyli najważniejsze: tak Urban uważał. I trochę się przeliczył.

Pewnego dnia nad Urbanem, jedzącym obiad w restauracji, stanie człowiek i zacznie krzyczeć. Krzyczy wniebogłose: cała sala umilkła, wszyscy słuchają w zachwycie i czekają na rozwój sytuacji. Przeklina Urbana, może za chwilę rozwali głowę Urbana jakiś sławny Żyd. Woła biblijnym głosem, że jest Urban zakałą i hańbą całego narodu żydowskiego. Że na śmierć zasługuje, tylko na śmierć, i śmierć go nie minie: szybciej go spotka niż myśli! I tak dalej, i tak dalej. Już wyciąga krzyczący rękę po butelkę. Może zaraz rozwali nią głowę Urbana: ludzie od innych stolików patrzą i czekają. (Ależ będą mieli historię do opowiada-

nia!) A Urban nawet na niego nie spojrzał. Jakby nikogo nie było, jakby nic się nie stało, jakby był głuchy. Udaje, że je. Zdaje się, że ma przed sobą zajaca z buraczkami. Powoli odkrawa kawałek, dobiera buraczków, żuje.

Sławny Żyd nakrzyczał, zniechęcił się brakiem reakcji, nie zabił, poszedł.

Urban dalej je. Popija. Może zbladł, może poczerwieniał, różnie o tym mówią. Ale odważny jest, skurwysyn. O tak, to mu przyznają. Jest odważny.

Córka Urbana, ten „niewyskrobek”, jak ją nawet z pewną czułością nazywał, owoc wyjazdu na Mazury ze specjalistką od Orzeszkowej – córka Urbana, Magda, zada się w stanie wojennym z opozycjonistą. Nikim ważnym: ot, podziemnym drukarzem, którego z całą drukarnią nakryto, zdjęto, a jego samego aresztowano i posiedział sobie trochę, po czym wyszedł z amnestii. Teraz, w marcu 1984, opozycyjny drukarz bierze ślub z Urbanówną, i wszyscy strasznie się cieszą ze skandalu. Wieśka Grochola, matka Magdy Urban, ta od Orzeszkowej, żona Urbana przez całe dwanaście lat (ależ był szczęśliwy, kiedy się uwolnił!), organizuje ślub i wesele. Wszystko opozycyjne i patriotyczne: co za gratka dla zachodnich i podziemnych mediów! Zwłaszcza teraz, w paskudnej sytuacji towarzyskiej ministra Urbana, Któremu Się Nie Podaje Ręki.

No, to on też zrobi kawał. Pójdzie na ten ślub (w końcu jest ojcem panny młodej, czyż nie?), na własne oczy się przekona o swojej aktualnej sytuacji towarzyskiej, a potem napisze raport dla Generała, żeby być w porządku. W dodatku Generał w swojej wieży z kości słoniowej bardzo jest ciekaw plotek.

Było tak: amerykańska telewizja NBC filmuje jak szalona, szykując reportaż. Z drugiej strony filmuje kamerzysta Wajdy. Fotografowie szaleją. Także fotograf KOR, we fraku. Są korespondenci zachodni, są opozycyjni dziennikarze i naukowcy, jest masa solidarnościowej młodzieży. Urban kłania się znajomym, którzy z reguły się nie odklaniają. Na ogół odwracają się plecami już przed jego próbą ukłonu, żeby uniknąć kłopotliwej sytuacji. Urban próbuje podać rękę Fikusowi (tyle lat!). Próba się nie powiodła. Urban czuje się cholernie, cholernie samotny. Tkwi przy swoich starych rodzicach i bardzo mu głupio. W dodatku trzyma bukiet. I tak szczęście, że ślub jest cywilny, bo pan młody rozwodnik. Czemu nie przyprowadził – on, Urban – rządowców, żeby popsuli ten solidarnościowy zlot?

Cmoknął córkę, omijając kolejkę do składania życzeń. I zięcia też cmoknął, bo zięć tego chciał. On nie chciał, bo całowanie mężczyzny (cztery lata „darling”!) wydawało mu się zawsze homoseksualne, ale niech zięciowi będzie.

Kiedy zaczęto pokazywać palcami Victorię i Wznosić Okrzyki, wyszedł na papierosa.

Potem jeszcze trochę się pokłaniał znajomym – bez wzajemności. Grzegorz Jaszuński, który do niego wydzwaniał w lansadach („Dzień dobry, panie Jurku!”), żeby coś załatwić dla żony (Zofii Kuratowskiej, po „wyzwoleniu” wielkiej figury, za rządów katoli zesłanej na ambasadora w Republice Południowej Afryki), teraz zachowuje się jak bryła lodu. Profesor Klemens Szaniawski (toż jego dawna żona, Dzidka, córka przyjaciół rodziców Urbana, załatwiła kiedyś Urbanowi zdanie u małżonka egzaminu z logiki formalnej!) – profesor Szaniawski, opozycyjny niezłomny, nie odklania się po raz drugi: patrzy w ścianę nad Urbanową głową. (Ale już w kilkanaście minut później, na ulicy, ukłoni się Urbanowi w pas, tyle że tego już nikt nie zobaczy. Ach, ta presja środowiskowa, ta presja „towarzystwa”!)

Nieraz będzie do tego wracał. W felietonach i gdzie popadnie.

Och, oni mi nie podają ręki tylko publicznie! Prywatnie to się do mnie łaszą! Za kulisami to ręką rękę trzyma, nogą nogę wspiera, i w ogóle – kurwa kurwie łba nie urwie!

Nie kłaniają mu się, dopóki są w grupie, wśród świadków. Ulegają presji. Ale sam na sam ze strasznym Urbanem i rękę wyciągną do uścisku, i uśmiechną się, i przymilą. Tak twierdzi. Świadków nie ma i być nie może, więc niech sobie mówi, co chce.



Rozpadło się towarzystwo, rozpadła się i zdegenerowała porządna stara sitwa. A kto by się tego spodziewał? Przetrwali razem, zgodnie, przy wódce, i przełom roku 1956, i 1957, i 1968, i 1970, i 1976, aż tu nagle coś im się stało. Generał ich rozdzielił, czołgi rozwalily knajpę, źle jest, jest nie do pomyślenia. I to trochę boli.

Zawsze trochę boli, nawet jego.

Ale czas mija.

W Magdalence, podczas wyprzedaży komunizmu, już mu podają rękę, już się odkłaniają, już są mili.

Z wyjątkiem tych, którzy odeszli na zawsze, i już nigdy się nie uklonią, i nigdy nie podadzą ręki.

Pal sześć. Zawsze znajdują się inni: biznesmeni, stara gwardia partyjna, parę aktoreczek. Chociaż to już nie to. Ach, te miłe czasy dawnego Dobrego Towarzystwa, złożonego z ludzi wielkich, ludzi pokornych i fantastycznych kurewek! Ach, gdzie są niegdysiejsze śniegi?

*To se ne vrati*, jak mówią Czesi w starym dowcipie z 1968. *Ach, Dachau, Dachau, to se ne vrati!*

Czas mija. Dużo czasu minęło. Ustrój się zmienił, kraj zyskał swoją wymarzoną niepodległość, a Urban wciąż chodzi po knajpach. Tylko rzadziej. Nie, nie bardzo mu wybaczone. Nie, nigdy mu nie wybaczą stanu wojennego. SWOICH LUDZI, ludzi od kieliszka, wtedy zamykano i dręczono, a on to błogosławił! Może nienawidził ich przez cały czas, kiedy tak ufnie sobie z nim, małym mównym, świetnie piszącym cynikiem, popijali? Może chciał tylko POZNAĆ WROGA? Wypadł z towarzystwa – czymkolwiek ono jest. Nawet na bankiet do różowego, postkomunistycznego prezydenta go nie zaproszą. Żeby inni nie wyszli, żeby nie było skandalu.

Zdradził Urban towarzystwo, sitwę, klikę. Pomylił się; myślał, że to przetrwa. W końcu co nadzwyczajnego się stało? Zawsze obracał się wśród elity: zdrowej, rażnej, nadzianej pieniędzmi, dziennikarsko-polityczno-artystycznej elity. Jakim cudem miałby przewidzieć, że elita nagle stanie po stronie motłochu? Toż on chciał jej bronić przed motłochem, toż ruszył z mieczem na smoka i pokonał smoka: jak mogli się właśnie o to na niego obrazić? Czarna niewdzięczność!

Cóż, po starych układach tworzą się nowe.

Amerykański dziennikarz Michael Kaufman je z Urbanem obiad, a potem urządza w swojej willi urodziny Michnika, na których Urban, oczywiście, nie może się pokazać, żeby goście nie uciekli.

A potem jest w telewizji ostra polityczna dyskusja Urbana z Michnikiem, synem starego Szechtera, przyjaciela starego Berkowicza, tym świętym bojownikiem za słuszną aktualnie sprawę niepodległości i kapitalizmu albo czegoś w tym rodzaju. („Wymiar moralny Michnika i jego intelektualny kaliber są dla mnie – wyznam – upokorzeniem”, napisze nasz bohater w *Alfabecie Urbana*.) W telewizji zrą się bardzo pryncypialnie, jak to komuch z orłosokołem. Tyle że przed wyjściem, na ulicy, czeka gromada reporterów. Urban odjeżdża samochodem i zatrzymuje się po niewielu metrach. Michnik wychodzi jako drugi, patrzy z wściekłością na fotografów i kamerzystów, zastanawia się, co zrobić, aż w końcu robi to, co było zaplanowane. Kryjąc się pod ścianami, biegnąc i klucząc, dociera – wciąż filmowany, choć myśli, że już nie – do samochodu Urbana. Wsiada. Jadą opić swoje zgrabne, pozorne odbijanie piłeczki. Jak to w towarzystwie. Dyskusja była na niby, spór był na niby. Kurwa kurwie łba nie urwie.

Tak to przynajmniej widzą ludzie, którym raz po razie – banalne rozgrywki przedwyborcze – pokazuje się na ekranach telewizorów tę scenkę. Dobrze myśleli ludzie, słusznie czuli. Ani milicja bezpiece, ani Chiny Sowietom, ani oficjalne komuchy oficjalnym antykomuchom

– nikt nikomu łba na urwie. Udadzą przed nami, że się kłóca, po czym pojedą razem pić whisky on the rocks nad basenem. Zawsze tak było.

Urban jest człowiekiem rozsądnym i uważa się za polityka. Wie, że zawsze tak było, wie, że tak trzeba, wierzy święcie, że wszystko jest tylko grą pozorów i odbijaniem piłeczki – tyle że czasem WŚCIEK go ogarnia. Czasem coś o tym komuś powie. Czasem wpadnie w szal w swoim „NIE”. No, bo – naprawdę, niektórzy przesadzają! Rano oplują, a wieczorem wpadają na drinka: mogliby dzień odczekać! Czy myślą, że to nie boli?

Owszem, zna życie, zna grę, chce grać w tę grę – ale to naprawdę czasem boli. Zmieszano go z błotem w gazecie, w telewizji, na zjeździe partyjnym, wraca do domu wściekły i przybity – i kogo zastaje rozpartego w swoim fotelu? Tego, kto to zrobił. Rozanielonego, wesołego: stary, przecież wiesz, że to tylko odbijanie piłeczki? Tak, wie. Chyba się nie dasasz? Skądże. Nie jest idiotą i dasać się nie będzie. Tyle że jeśli wzorzec polityka złożono w Sevres pod Paryżem jak wzorce metra czy kilograma – to on do tego wzorca nie przystaje.

Co gorsze, inni już to widzą. Zaczynają się prześmiewki z autokreacji Urbana: czyste zło, pełny cynizm, po-li-ty-ka? E tam! *Myśli, że go słucha władza / Że króluje wśród cyników / A to tylko – nie przesadzam / Cienki Olek przy Michniku* – jak sobie pokpiwają prawicowe gazetki. Na szczęście mają niskie nakłady.

Ciągle jest za mało cyniczny. Zerwijcie mu maskę, a zobaczycie żywe mięso. Ale za nic się do tego nie przyzna.

I maski też nie da sobie zerwać.

Stara sitwa przepadła, nowa się tworzy, a właściwie już mu nie jest przecież potrzebna, sam zrobił karierę, i w ogóle...

I w ogóle – łba nie urwie, łeb urwie, teraz to już niczego nie wiadomo. Zmieniły się czasy. Wydaje się, że nie jest tym zachwycony.

Lolita z lakierowanymi pazurami, pijane noce, pijane monologi, pijana przyjaźń, pijana lojalność – wszystko przepadło i *se ne vrati*. I chyba niezupełnie tak wyobrażał sobie przyszłość.

Zawsze był oderwany od życia – powie o nim jego stary kumpel, potem wróg, Dariusz Fikus. – Zawsze tkwił w papierach, w wymyślonym świecie. A każdy kontakt ze światem prawdziwym wywoływał w nim nienawiść.

A to morze wódki wypite z ludźmi, którzy mieli być towarzystwem, sitwą, kliką?

Nie tak się to robi – powie jeszcze Fikus. – Toż ten człowiek zawsze był OSOBNY, z nikim nie chciał się spoufalać, nie uczestniczył w redakcyjnych bibkach, brzydził się ludźmi (wymuskany, w tych swoich garniturach szytych na miarę), jego nieśmiałość była tym samym, co pogarda, czuł niechęć do wszelkiej bliskości z innymi, obrażał ich, szokował... I czego się spodziewał? Że jeśli będzie wpadał tam, gdzie wpadają inni, jeśli będzie pił z innymi, zaakceptują go, polubią? Że jeśli zacznie naśladować ich zachowanie, niczego z siebie nie dając, pozyska sobie towarzystwo, sitwę, klikę? Nigdy do tego wszystkiego nie należał! Stan wojenny niczego nie zmienił. To on tak sobie wyobrażał, tworząc swoją legendę, wymyślając sobie własną legendę. Nigdy go nie lubiono, nigdy nie miał zaplecza; zawsze był obcy, przypadkowy, nieprawdziwy.

Tak było – potwierdza Jacek Maziarski, też dziennikarz, też niby były kumpel. O to chodzi: Urban nie miał przyjaciół, miał wyłącznie kumpli! „To człowiek całkowicie pozbawiony sfery emocjonalnej. Wyłącznie kieruje się rachunkiem – opłacalne, nieopłacalne. Kwestionuje istnienie uczuć wyższych, dlatego programowo gardzi ludźmi wierzącymi w dobro i zło.” To bryła lodu. To wróg społeczeństwa – nie, mało – to groźny wróg społeczeństwa!

A więc – może – i towarzystwa. Może nawet towarzystwa!

Inni mówią podobnie. Wielu mówi podobnie. Urban nikogo nie lubił – aż biło od niego, że nikogo nie lubi – więc jakim cudem ktoś miał lubić jego? Nawet przyjaciel ze szczeni-

kich lat, nawet ten legendarny Berkowicz w końcu zerwał z nim wszelkie kontakty, i nawet nie poszło o politykę.

Jeżeli się nie potrzebuje przyjaciół, jak można się żalić (choćby w myślach i w środku nocy), że się nie ma przyjaciół?

Pozostały mu małe gierki, pozostało mu udawanie króla cyników. Sam tego chciał, i niech się tym zadowoli. Nie można zmienić siebie, ale kto wie – może należy próbować?

Nigdy nie należał do towarzystwa! Udawał, starał się, ale nie należał! Bo w gruncie rzeczy nie bardzo chciał! Bo w gruncie rzeczy wcale nie chciał!

Cóż, można i tak na to patrzeć.

## Przed

Kiedy Urban pracował w „Nowej Wsi”, redakcja wysyłając czytelnikom nagrody książkowe, wkładała do nich druczki z ankietami. Było tam pytanie: „Na którym bohaterze tej książki chciałbyś się wzorować?” Pewien czytelnik-korespondent, obdarowany książką o życiu zwierząt, odpowiedział: „Chciałbym się wzorować na wielorybie, bo on daje wiele ton tłuszczu naszej ukochanej ojczyźnie i pomaga budować socjalizm”.

Ach, *Prima aprilis*, towarzysze! Spodobało się to Urbanowi, było w jego stylu. Zapamiętał.

Żył wśród ludzi, był wśród ludzi, i dobrze wiedział, że wcale nie chcieli być wielorybami. Nie lubili socjalizmu, bo został narzucony przez odwiecznego wroga, przyniesiony na rosyjskich bagnietach i strzeżony przez rosyjską armię. Gdyby przynajmniej był czymś dobrym! Niestety: jego niewydolność gospodarza doprowadzała do rozpacz. Co pewien czas ludzie wybuchali, robiło się z nimi porządek, i mogli sobie opłakiwać zabitych. Popłakali i znów wybuchali. Urban latami wyśmiewał kretyństwa systemu, pamiętając zarazem o realiach, o konieczności kompromisu (niech wilk napije się z owieczką), a nade wszystko o tym, że chodzi o władzę dla Fraka. Co dobre dla Fraka, dobre dla wszystkich. W 1980 zdarzyło się coś, co mogło być dobre dla Fraka, a jednocześnie było obrzydliwe, odrażające i obmierźłe. Trzeba było to pokonać, a pokonując – zyskać wielką szansę. Szansę dojścia wreszcie do władzy ludzi inteligentnych i światłych. Jego ludzi, naszych ludzi.

A było to tak.

W 1980 roku wszystko zaczyna się walić. Gospodarka pęka w szwach od dawna, od zawsze, to jedyny słaby punkt socjalizmu – ładny tam punkt, baza, podstawa i wszystko! Tak zresztą twierdzi marksizm: baza, przede wszystkim baza, potem nadbudowa. W nadbudowie miało się sukcesy, nawet czasem wielkie sukcesy, ale baza zawsze była kaleka. Może zawiął Lenin, stawiając na głowie teorię Marksa (zamiast robić rewolucję w najbardziej rozwiniętym, najbardziej uprzemysłowionym kapitalistycznym kraju świata, gdzie zmiana własności środków produkcji będzie sprawą krótką i dość prostą, zrobimy rewolucję w kraju półfeudalnym, zacofanym i nędznym, właśnie taką rewolucję, bo i czemu nie spróbować?), może teoria była od początku fałszywa – co to teraz kogokolwiek obchodzi? Może istotnie, jak powiedział kiedyś znany ekonomista, gospodarka „nie może być «w pewnym stopniu» planowa, tak samo jak kobieta nie może być «troszkę» w ciąży”, a może nie. W każdym razie system zawsze kulał i coś było nie tak.

System kulał, a poddani dygotali jak wulkan gotów do wybuchu: ani przez chwilę nie można było przestać się ich bać. Najwyraźniej nędza, zderzająca się co chwila z ostentacyjnym, bezczelnym bogactwem – klasyczny stary kapitalizm – nie była dla ludzi takim problemem jak niemożność zapewnienia stałych dostaw towarów podstawowego użytku, jak ten wieczny brak to kawy, to żyletek, to cukru. Wieczny brak stabilizacji, o to chodziło. Można żyć w biedzie, można przywyknąć do biedy, można pogodzić się zjedzeniem obierków kartoflanych podsmażonych na oleju, ale wyjść do sklepu po olej i dowiedzieć się, że go nie ma, zniknął z dnia na dzień i nie wiadomo, czy się znów kiedyś pojawi – to już jest sytuacja, w której ludzie mogą mordować. Nie odkryto sposobu na to, żeby nie brakowało oleju, żyletek czy rogalików z makiem: wolny rynek cudownie sobie z tym radził, a ten nie umiał. Ciągłe się zatem bano wybuchu ludzkiej furii, i słusznie.

W Polsce wybuch – kolejny wybuch – nastąpił latem 1980. Ceny rosły, władze kłamały, że wcale nie rosną, a jeśli nawet – to tylko dla bogaczy (przecież wy, ludzie pracy, nie jadacie szynki, kurczaków, golonki... etc.), przekroczyło to pewne granice, zaczęły się strajki. Żądano podwyżek płac w związku z podwyżkami cen, każdy strajkujący zakład załatwiał sobie natychmiast podwyżki płac, więc inne zakłady natychmiast ogłaszały strajki, poszło to jak lawi-

na, co było do przewidzenia (Urban przestrzegał przed ustępstwami do zdercia gardła), aż tu nagle w Stoczni Gdańskiej ogłoszono strajk solidarnościowy, ogólnokrajowy, polityczny. Już nie chodzi o podwyżki płac, ale o – nie, tego władza nie mogła przewidzieć – o „wolne, niezależne, samorządne związki zawodowe”. Czyli o upadek systemu.

Każdy rozsądny pesymista wie, że władza się na to nie zgodzi. Każdy rozsądny optymistą wie, że władza nie powinna się na to zgodzić. Strajkujący mają 21 postulatów, i jeśli już nie chce się strzelać (aktualny Pierwszy, godny i zachwycony sobą towarzysz Gierek w lakierkach ze złotymi klamrami, powiedział ponoć kiedyś: „Nie do twarzy MI z więźniami politycznymi”, więc tym bardziej mu zapewne nie do twarzy ze stosami trupów) – jeśli już nie chce się strzelać, jeśli się jest tchórzem o dwóch zwojach mózgowych, to ostatecznie można dogadać się fifty-fifty. Fifty-fifty, pół na pół, jeden zając, jeden wół. Tobie zając i sarna, a mnie soból i panna, towarzyszu mój. Jak się to zawsze robiło.

A władza najpierw się targuje, rzucając zbuntowanym jakieś bzdury na pociechę (msza święta przez radio? Kochani, przychodźcie sobie na godzinę przed pracą do fabrycznej kaplicy, żeby odprawiać adorację Najświętszego Sakramentu, byleście normę wyrabiali!), a potem nagle idzie na wszystko, nawet na te, kurwa, wolne związki, byle chwilowo mieć spokój. Potem się to załatwi, potem się to rozmydli, potem się to odwoła.

Pół zwoju mózgowego, niestety. Dobrotliwy dziedzic ze złotymi klamrami przy butach i cała jego przyboczna hołota, wszystko to leży teraz na grzbietach, odsłania gołe brzuchy i piszczy. No, rozłożyli się! Teraz będzie tasowanka! Czyli – być może, nareszcie – nasz czas.

Zanim jeszcze doszło do wybuchu w Gdańsku, szykował Urban teksty na różne możliwe wyniki tasowanki, i błagał siedzącego w USA szefa: wracaj, Fraku, bo coś przegapisz! Zaszedł nieodwracalny fakt społeczny: rząd został wzięty w jasyr przez społeczeństwo! Utworzą się teraz nowe sojusze, będą przegrupowania, a MY mamy przed sobą dwie drogi: wejść w to, jeśli chce się być w grupie spiskowej, albo nie wchodzić, jeżeli (to też może być niegłupie) chce się zachować wolne ręce. Nie być w razie czego związanym. Ale w sumie – wracaj szybko, Fraku – „u nas jednak najważniejsza jest obecność w sytuacjach”.

Napisał to, w przeświadczeniu, że „strajki siadają”, a tu, proszę – stało się. Stało się to, co najgorsze. Władza była słaba i głupia, ustąpiła, żeby zyskać na czasie, i będzie miała za swoje. Lud zdobył kartki żywnościowe, msze święte i wolne związki zawodowe. Teraz już się nie zatrzyma. Ruszy naprzód i stratuje.

Teraz to już wojna.

No dobrze: PRZED wojną. Najważniejszy czas w życiu Urbana! Ten czas PRZED.

\*

Przeżył już coś takiego. W okolicach XX Zjazdu, w czasach „Po prostu”. Kiedy nagle stała Wolność Słowa, i cynik (niezbyt nawrócony) mógł drukować w prawie wolnej gazecie swoje trochę ocenzone wyznania. Potem wszystko rozwalono, i słusznie. Zmienił się Urban od tego czasu, nie jest już szczeniakiem, zmienił się. I czasy też są inne. Wtedy „zapaleńcy” walczyli o prawdę, godność, sprawiedliwość i wiekiustą gorączkę. I byli w mniejszości. Teraz motłoch walczy o Boga po śniadaniu i o napchanie kałduna, i jest w większości. Dość to poniżające, być w większości: tak to Urban widzi. Kanalia stoi za rogiem, kontrrewolucja szczerzy kły.

A ludzie szaleją z radości. Wolność, wolność, wreszcie nadeszła wolność!

Wysłano człowieka z „Polityki” do Stoczni, tego inkubatora kontrrewolucji (jak ją zwał, tak ją zwał: nazwano ją „Solidarnością”, nawet ładnie). Człowiek (Andrzej Wróblewski) wrócił z inkubatora i tak o nim opowiadał, że cała redakcja skręcała się ze śmiechu. Został przyjęty przez samego Superbossa, i pojęcia nie macie, ludzie, jak to było! Siedzi sobie ten wąsaty (Lech Wałęsa się nazywa, jeszcze będzie o nim głośno) pod palmą, między krucyfiksem a

talerzem po bigosie, w klapę ma boss wpiętą Matkę Boską Częstochowską, na wąsach boss ma sos... Dzika Azja! Cudowne!

Wszyscy się zaśmiewają, a ktoś zaraz doniesie. Wojciech Giełżyński doniesie, stary kumpel knajpiany, stary playboy, świetny dziennikarz! Poleci przestrzec wąsatego bossa przed ludźmi z „Polityki”, więc Frako wywali go na zbity pysk, choć tego robić nie lubi. Lojalność wobec Firmy na pierwszym miejscu! No, i skończy się Giełżyński. Taki zdolny człowiek! Już nie znajdzie sobie miejsca, tak bywa.

Ale to tylko dowód, do jakiego stopnia ludzie poszaleli. Wolność, wolność, wszyscy chcą wolności! Dziennikarze protestują przeciwko dezinformacji, blokadzie telekomunikacji, szalejącej cenzurze... kiedyś może i Urban by protestował, teraz nie. Bo i w imię czego? W imię wielodzietnego (ma bodaj siedmioro czy ośmioro drobiązgu) wąsatego świętoszka, siedzącego pod palmą między krucyfiksem a bigosem? W imię półanalfabetów, czczących napisami na stoczniowej bramie PAPIERZA? Nie Marks wymyślił walkę klas, ona istniała zawsze. Ale zmienia się z biegiem czasów. Być może teraz granica przebiega między krucyfiksem a bigosem?

Mniejsza o to.

Najważniejsze, że jest coraz gorzej.

Wcale nie półanalfabeci, nie tylko półanalfabeci chcą teraz wolności. Wszyscy chcą wolności – cokolwiek to znaczy. Poszaleli.

Na tablicy ogłoszeń w redakcji „Polityki” wisi zawiadomienie o zebraniu. Zebraniu-W-Sprawie-Zwołania-Nadzwyczajnego-Zjazdu-Stowarzyszenia-Dziennikarzy-Polskich. Ach, wolność, wolność, jawność, i etyka zawodowa, i śmierć cenzurze: zbierzmy się wreszcie, nawróceni cynicy miast i wsi, zróbmy coś! Bądźmy wreszcie uczciwi!... Urban ogłoszenie zdziera i pędzi z nim do Fraka. Tu trzeba interweniować, do tego nie można dopuścić, toż to Czechy z 1968, prasowa kontrrewolucja, Pelikan, był taki w czeskiej kontrrewolucji, i to u nas, w naszej Firmie...

Frako interweniuje.

Więcej takich ogłoszeń nie będzie.

Ale do nadzwyczajnego zjazdu dziennikarzy dojdzie.

Bo przecież nastąpił przełom. Bo przecież prawem i obowiązkiem każdego dziennikarza, wszystkich mediów, jest podawanie prawdy, pełnej prawdy! Dajcie nam to prawo, zagwarantujcie nam to prawo, a my zrobimy z niego nasz obowiązek!

Bardzo są wszyscy wzniośli. Wymóżdżone embriony!

Urban napisał wielki list do nowego szefa partii (tego ze złotymi kłamrami przy bucikach już wypierdolono, i słusznie: „nie do twarzy” mu było z koniecznością dziejową!), niejakiego Stanisława Kania, dość miłego aparatczyka (podobno lubi dobre wino), klasycznego człowieka na Okres Przejściowy. Wysłała mu swoją analizę sytuacji. Władza jest słaba, Solidarność mocna, i właśnie dlatego władza nie powinna więcej się cofać, nie powinna ustępować, bo ją zmiotą... a tymczasem, jeżeli ruszymy skoczkiem na E3, a po następnym ruchu przeciwnika (najpewniej będzie taki albo taki) zrobimy rozsadę...

Podobno to przeczytano. Kania wziął Urbana – nie Fraka!!! – na doradcę. Ileż pomysłów miał ten facet na wykończenie – no, grzeczniej i bardziej po ludowemu: na wykołegowanie – Solidarności! Jak dobry szachista, przewidywał ruchy przeciwnika. Nagle wszedł do polityki, tej prawdziwej, bez cudzysłowu. I to było wspaniałe.

Któregoś dnia zaproszono Urbana, ciągle przecież dziennikarza (choćby pisał – między innymi – ekspertyzy dla władzy, jak się to nieraz niejednemu zdarzało, jest, był i będzie dziennikarzem), zaproszono Urbana na wieczorną dyskusję w odnowionym Stowarzyszeniu Dziennikarzy. Szefem Odnowionego Stowarzyszenia jest Dariusz Fikus: do niedawna koleżka z „Polityki”. Ten, którego tata doniósł kiedyś na tatę Urbana. A potem młody Urban spotkał młodego Fikusa w pisuarze, i młody Fikus poprosił o pożyczanie stowy, a młody Urban zażą-

dał zastawu, i młody Fikus dał mu w zastaw swoją dziennikarską legitymację, i nazajutrz na biurku naczelnego (w „Sztandarze Młodych” pracował wtedy młody Fikus) znalazł się donos od skrzywdzonej prostytutki: był u niej Dariusz Fikus (dane zna dzięki legitymacji, którą po pijanemu zgubił, i którą prostytutka załącza), zrobił karczemną awanturę, nie zapłacił za usługę, zdemolował pokój, połamał meble, niech redakcja pokryje straty... Typowy żarcik Urbana! I jak zwykle – talent Urbana – było to za dobrze napisane, żeby naczelny nie uwierzył i nie wpadł w szal. Długo trzeba było to odkręcać, i młody Fikus nigdy młodemu Urbanowi nie darował: och, zemścił się gad za tatusia! Albo przez skapstwo to zrobił, żeby na pewno swoją stowę odzyskać. Tak czy owak – kanalia.

No, więc zaproszono Urbana plus paru innych na dyskusję. Temat był taki: „Strach jako towarzysz pracy dziennikarza”. Urban przyszedł.

Przyszedł i zabrał głos.

Strach? Ma powiedzieć, co myśli o strachu?

(Z eksperymentu profesora Stitta wynika, że 0,2% psów nigdy nie da się przestraszyć, a on, Urban, gdyby był psem, należałby do tego 0,2%, i trzeba by go było odstrzelić. Ale o tym nie mówi.)

Ma powiedzieć, co myśli o strachu?

– Nasze środowisko trapią dwa rodzaje strachu. Jeden jawny, drugi tajny. Strach jawny polega na tym, żeby inni nie przekrzyczeli, nie okazali się bardziej bojowi. (...) Strach tajny polega na tym, żeby za to nie wylecieć z pracy. Nie mam zrozumienia dla obu tych rodzajów strachu.

Powiedział i usiadł. A ludzi szlag trafił. Zaczęli krzyczeć. Rwali się do głosu. Obraził ich, jak zawsze obraził! A knebel w naszych ustach, a co powie o tym kneblu? Jak mógł spokojnie znosić podłość władzy? (Wszyscy znosili.) Dlaczego – spyta o to specjalnie zaproszony Adam Michnik, kumpel od kieliszka, teraz wielki człowiek Solidarności – (podczepili się NASI LUDZIE pod masową histerię tych od bigosów i krucyfiksów, już prawie wmówili hołocie, że to oni jej bunt wywołali i zwycięstwo wywalczyli – dobrze, bardzo dobrze, ALE) – pyta kochany Adaś wielkim głosem, dlaczego tak niby odważny Urban nie pisał przed laty o więzionej i prześladowanej opozycji? Burza oklasków. Co chwila – kolejne demagogiczne pytanie i burza oklasków. Mówcy się zmieniają, i każdy oskarża Urbana, że kiedyś nie napisał (wiedzą dobrze, że by mu tego nie wydrukowano: wszyscy są tu kolegami po fachu i znają realia, ale rozjuszył ich, rozjuszył, to jego specjalność) – że nie napisał tego, czy tamtego, czy jeszcze czegoś: za chwilę okaże się, że to on, w pojedynkę, strzelał z „Aurory”!

Urban siedzi i słucha. Kiedy wrzawa przycichnie, kiedy dyskusja się skończy, wstanie i powie parę słów, których sala żąda. Ma się ustosunkować do zarzutów? Proszę!

A tak, popierał Gierka! (Tego w złotych klamrach na krokodylowych bucikach, tego, co to mu z represjami było „nie do twarzy”, tego niedawnego władcę.) Popierał go, bo za jego władzy...

–... mało kto siedział, krótko siedział, i siedział tylko w ramach pewnej koncepcji politycznej, która była mi bliska i którą popierałem. Jest to odpowiedź szczerza i serio wyjaśnia także moje następne zdanie. Jestem tu po raz pierwszy od dwudziestu lat, na zebraniu w Stowarzyszeniu Dziennikarzy, jestem pierwszy raz od dwóch lat na zebraniu publicznym, i mam wrażenie, że mowa tu jest o kraju, w którym ja nigdy nie byłem; ludzie mówią językiem, którego ja nie znam. Jest to język obcy. Jest mi po prostu głupio, że znalazłem się nie tam, gdzie moje miejsce.

I siada. I – wśród powszechnego krzyku – bazgrze na wyrwanym z notesu świstku:

*Mocą tego listu występuję z SDP, ponieważ jest to organizacja polityczna, wobec której odczuwam obecnie emocjonalną wrogość. Z góry dziękuję za załatwienie związanych z wystąpieniem formalności. Warszawa, 26 stycznia 1981. Jerzy Urban, „Polityka”, nr leg. 6162*

Potem wychodzi.

Jest walka, a on znalazł się po stronie mniejszości.

I tyle.

Tak bywa.

To jest uczciwe.

Zima mija, ludzie krzyczą, wiecują, głosują, głodują. Nadchodzi wiosna. Prymas polskiego Kościoła Katolickiego dogorywa. Wtedy właśnie strzelają w Watykanie do polskiego papieża. Który cudem przeżywa. (Złapali i skazali jakiegoś Turka, który ponoć strzelał, ale dla ludzi w Polsce i tak wszystko jasne: Rosja to zrobiła, przeciwko nam. Chcieli nas pozbawić naszej ostatniej ostoi, naszego KOŚCIOŁA!) W knajpie dziennikarzy przy ulicy Foksal, w której Urban już nie bywa (bardzo ekskluzywna znów stała się, swoją drogą, ta knajpa, oaza w powszechnym kryzysie, i bez legitymacji nowego związku już się do niej nie wejdzie), podaje się dziczyznę, a do dziczyzny przygrywa kwartet smyczkowy. Niczym na Titaniku!

W sklepach do niedawna był tylko ocet. Teraz i octu nie ma. Tylko to, co na kartki, ale bez pełnego pokrycia. Na chleb i mleko trzeba polować. Ludzie twierdzą, że rząd chowa i niszczy zapasy żywności, żeby ich głodem zniechęcić do tego, w co wierzą (a wierzą w Solidarność, wolność, i – właściwie czemu nie? – w niepodległość). Solidarność żąda prawa do kontroli magazynów z żywnością, władze odmawiają. Frako mówi, że kto ma kontrolę nad żywnością, ten ma władzę.

Frako wreszcie zaczyna zwyciężać.

Generał Jaruzelski został premierem, a Frako jego wice. I wchodzi szczęśliwy Frako do Spatifu (ciągle się bywa w tych samych knajpach, tylko ta dziennikarska na Foksal jest chwilowo skreślona), a tuż przy wejściu siedzi siwy, zgarbiony, zalany Minio. Satyryk, Janusz Minkiewicz, człowiek z towarzystwa. (Wkrótce umrze.) Przywołuje Fraka ruchem palca, a Frako podchodzi.

– O jeden gabinet za wcześniej! – chrypi Minio.

Frako wychodzi, wściekły, do drugiej, pustej sali.

Potem prawie przyzna rację Miniowi: faktycznie, może trzeba było odczekać. W najgorszej chwili wszedł do rządu! Ale jeśli człowiek czekał na to całe życie... Czy byłaby druga okazja? Lepsza okazja? Akurat!

W każdym razie wszedł Frako do rządu, a Urban został rzecznikiem najpierw Fraka, potem rządu, co nie zwróciło niczyjej specjalnej uwagi. Marna to była zawsze i pogardzana funkcjka. Nudziarze w białych koszulach, krawatach i garniturach czytają z kartek mętne rządowe oświadczenia, a nieszczęśnicy, delegowani przez swoje redakcje lub agencje prasowe, nagrywają, notują, ziewają, i czasem zadają pytania, na które nie dostaną odpowiedzi. Jeżeli coś nadzwyczajnego się dzieje, mniej ziewają i raźniej zadają pytania, na które również nie dostaną odpowiedzi. *No comment*, jak zawsze.

W każdym razie znów się wychylił Urban. Wieczny prowokator! Teraz, kiedy wszyscy cieszą się wolnością, łudzą się wolnością, spodziewają się wolności (nawet ludzie Fraka, którzy – jeden po drugim – przestają być ludźmi Fraka), on staje po stronie swoich wiekiustych krzywdzicieli, tępych aparatczyków, tych, którzy zabrali mu tyle lat życia i rozwalili karierę? Do tego stopnia irtuje go tępota motłochu, jeszcze gorsza od tępoty aparatczyków? Aż tak mu przeszkadzają bigos i krucyfiks pod palmą? I jakiś tępak, który napisał „papierz” przez „rz”, i tysiące innych tępaków, którzy błędu nie zauważyli? Do tego stopnia jest pisarzem? Do tego stopnia – człowiekiem pióra? Gotowym zmienić poglądy polityczne z powodu źle postawionego przecinka?

Nie jemu jednemu nie podoba się bigos na wąsach i święty łobrazeczek w klapie. Ale to drobiazgi, to drobiazgi. Jeżeli nie chce zamknąć się w wieży z kości słoniowej (a nie chce), niech pogra ostrożnie na dwa fronty, niech nie przesadza, niech poczeka. Tak radzą nawet ci, którzy ciągle są ludźmi Fraka (ale rozsądniej).



Frako musi. Frako wreszcie dorwał się do władzy (może o jeden gabinet za wcześniej, ale nie miał już siły czekać). Nie ma powodu topić się razem z Frakiem, trzeba pograć ostrożnie na dwa fronty, nie narazić się za bardzo żadnej ze stron... Opozycja wkrótce zostanie pokonana, to jasne, ale czy nie byłoby rozsądnie pozyskać sobie także jej życzliwości? Współczuć jej dyskretnie, popłakać z nią w kątku, że czasy takie straszne i że inaczej się nie da? Po co z taką furją opowiadać się po jednej ze stron, wcale nie zachwycającej?

Tak tłumaczy Urbanowi choćby stary kumpel, Passent. Nie wychylaj się, człowieku: po co? Życzliwość władz i popularność wśród mas, to właśnie to, o co chodzi. I można to teraz mieć bez trudu, wystarczy trochę sprytu!

Doprawdy, to on, Urban, grzeszy brakiem sprytu, brakiem rozumu?

Doprawdy?

– Kto obstawia w ruletce i czerwone, i czarne, nie chce zwycięstwa!

A on chce.

Jest rzecznikiem władzy w czasach rewolucji lub czegoś blado przypominającego rewolucję. Jest zwolennikiem posępnych nudziarzy w czasach karnawału. Mnichem wśród cekinów i strusich piór. Paralitykiem na wózku pośrodku sali balowej. Definitywnie i ostatecznie stanął po stronie mniejszości.

Większość walczy o wolność, myśli, że ma wolność, cieszy się wolnością, strajkuje, demonstruje, wywiesza transparenty, przyczepia sobie do ubrań znaczki „Solidarności”, stoi w kolejkach po żywność, tak już długich, że co trzeci raz – może – udaje się ludziom z większości dotrzeć aż do lady i kupić kostkę masła, słoik dżemu, czy co tam władza „rzuciła”. Urban ma swój gabinet, gabinet urzędnika państwowego wysokiego stopnia. Urban pisze, ciągle zabawnie, ale dla większości ohydnie i podle. (O, nie zapomną mu ludzie walenia żony po ryju za znaczek Solidarności!) Urban (jednak syn Jana Konrada!) przypomina większości rewolucję francuską i daje jej kursy historii, których większość nie chce słuchać, czytać ani znać. Urban czyta.

Na przykład listy do siebie czyta. Nie zleca podwładnym sporządzania wyciągów, sam czyta. I coraz bardziej utwierdza się w słuszności swojego wyboru. Kto obstawia w ruletce i czerwone, i czarne, nie chce zwycięstwa.

On obstawia czerwone.

Poza tym ciągle jest śmiesznie.

Już w „Polityce” zaśmiewał się nad pełnymi gromów listami czytelników; im bardziej były obelżywe, tym bardziej się zaśmiewał. (Och, jak on LUBIŁ być znienawidzony! Zwłaszcza w dobrym towarzystwie.) Jasne, że takich obelg, jakie przychodziły do niego, kiedy nie był już zwykłym dziennikarzem, ale rzecznikiem rządu w czasach triumfującej Solidarności, tego potężnego ruchu wszystkich niezadowolonych – że takich obelg i w takich ilościach nie mógł się nigdy spodziewać. To była sława!

Można sobie wyobrazić te listy: listy do obrońcy starego porządku, sługusa Moskwy i Żyda do tego. Ale wyobraźnia jest ułomna, a prawda zabawna. Dużo zabawniejsza od tego, co wymyśliłby człowiek o umyśle skażonym logicznym myśleniem.

Kiedys Urban zadał sobie trud – temat na felieton – przejrzania korespondencji z jednego dnia. Cóż w niej było?

Oczywiście, Łańcuszek św. Antoniego. Ten sam, który od lat znajdowali w swoich skrzynkach pocztowych normalni ludzie. Mętny tekst, który należało przepisać i rozesłać w 20 egzemplarzach. Bo pan Harrison z Connecticut, który to zrobił, wygrał 300 milionów dolarów, a pan Smith z Seattle, który tego nie zrobił, zbankrutował, a premier nie rozesłał łańcuszka i przestał być premierem, a dyrektor X kazał łańcuszek przepisać sekretarce i został prezesem rady nadzorczej, a pan Y nie dał łańcuszka przepisać i umarł.

Ot, folklor. Normalne listy też są.

Prostytutka pisze do rzecznika rządu: „Pocałuj mnie pan w gładką i sponiewieraną przez takich jak pan złodziei dupcię.”

Kamieniarz pyta: „Czemu Żydzi niszczyli nasz kraj?”

Pan Kos nazywa Urbana paranoikiem.

Pani Z.Z. z Poznania kreśli jego portret: „... twarz rozpustnika, wypasienie na wiktuałach niedostępnych dla zwykłych obywateli, napompowany trunkami, tupet, cynizm, bezkompromisowość, przewrotność, postawa moralna zero albo grząskie błoto. Klasyczny okaz kosmopolity.”

Partyjniacy z Radomia piszą o urzędniku, który załatwił się publicznie na środku restauracji Herbowa – czy Urbanowi starczy odwagi, by ogłosić jego nazwisko i funkcje? („Otóż nie, nie starczy” – komentuje Urban. – „Słabi tak nonszalancko się nie bawią.”)

„Jeden z Polaków” informuje rzecznika, że Polską rządzi Komitet Żydów Polskich. To on mianował wszystkich polskich przywódców i dobierał im żydowskie żony, a teraz to samo robi z wodzami Solidarności.

„Lublinianin” klnie przed rzecznikiem Solidarności. „Zażydzona PZPR urodziła tego bękartą” – pisze. – „Niech się nim teraz zaopiekuje!” Poza tym Piłsudski był takim samym Żydem i masonem jak jego przyjaciel Gomułka, który po 1956 masowo deportował polskich komunistów do ZSRR. Poza tym „Rydz-Śmigły był obłąkany i nosił perukę”.

List wariata? Ależ większość jest taka, takie jest życie umysłowe Polski: wściekły bełkot ignorantów. Dziesięciomilionowa reprezentacja niezadowolonego motłochu – no nie, tego nigdzie nie napisze, nie można – dziesięciomilionowa reprezentacja uprawia bełkot bohaterki, to wszystko. Czyż ludzie nie głoszą w zbiorowych, a jakże, manifestach, że nie będą pracować, dopóki nie będzie lepiej? „Może już teraz stanę na czele tego ruchu, a może poczekam, aż się jeszcze bardziej wzmocni”.

Jak długo można się z tego śmiać? Bardzo długo. Ale jednak –

Ach, zawsze, niezmiennie bawi go i rozczula nienawiść podobnych ludzi (czyli większości ludzi) do niego – „... ale zauważam, że zaczynam się już trochę bać. Jest to strach fizyczny. Gdyby pękły jakieś tamy w ogóle, może się zrobić w Polsce straszno.”

I co wobec tego? Co zrobić, kiedy się czuje ten fizyczny, czysto fizyczny strach?

„Przyjaciele, którzy przetrwali niejeden etap, mówią: przycupnij, siedź cicho, daj o sobie zapomnieć, a nic ci się nie stanie.”

Że niby wszystko „da się przeżyć”. To, co nieuchronnie nadciąga, też.

„Waża przyjaciele! Coś mnie nosi, bojowość przemożna rozsada. (...) Ja chcę też. Czego? Być skrzywdzonym i mieć rację. A potem zwyciężyć.”

Być ostrożnym jak inni, lawirować jak inni, przeczekiwać jak inni?

„Kto obstawia w ruletce i czerwone, i czarne, nie chce zwycięstwa.”

A on chce.

## 13 Grudnia

Minęło trochę czasu. Siedzimy u kogoś, pijemy, co jest do wypicia, a gwiazda filmu i teatru, Krystyna Janda opowiada, jaki był 13 grudnia dla różnych ludzi, wie to z plotek, ze zwierzeń, odgrywa, wspaniale odgrywa: wszyscy konają ze śmiechu.

Opowiadanie, co się robiło 13 grudnia, stało się rytuałem towarzyskim. Każdy chce to wiedzieć o innych, każdy chce opowiedzieć o sobie. Historie są najczęściej śmieszne. Taki szok, takie zaskoczenie, taka totalna bezradność – to może być albo straszne, albo śmieszne. Niech już będzie śmieszne.

Najpierw będzie o kimś z drugiej strony. O żonie Fraka, aktorce, Elżbiecie Kępińskiej. Czyli o Małpeczce z opowiadania Brandysa: odkąd Urban tak to opowiadanie rozreklamował w prasie, wszyscy ją tak nazywają. No, niektórzy. Jej koledzy po fachu, w teatrze. Otóż 13 grudnia Małpeczki był cudowny, sama to opowiadała, a część słyszało się od innych. A było to podobno tak.

### *13 grudnia Małpeczki*

12 grudnia wieczorem Małpeczka poszła z Frakiem do znajomych. Jak zwykle upiła się. Jak zwykle, gdy się upije, pobiegła do łazienki. Jak zwykle, gdy się upije i pobiegnie do łazienki, zaczęła z bezpiecznego zamknięcia wniebogłosy lżyć męża. Normalka.

Tymczasem jednak zadzwonił telefon i męża – Fraka Rakowskiego – gdzieś wysoko a pilnie wezwano. Frako nie próbował nawet informować o czymkolwiek wrzeszczącej i walącej pięściami w drzwi łazienki Małpeczki. Poprosił gospodarzy, by ją odwieźli, i zniknął.

Odwieziona po jakimś czasie do domu – a było to jeszcze mieszkanie w budynku wielokondygnacyjnym i wielorodzinnym, eleganckie, ale jakże demokratyczne – Małpeczka zwała się do łóżka i zasnęła. Budzi się trzynastego po południu, patrzy: Fraka nie ma. Zасыpia znowu. Budzi się czternastego nad ranem, patrzy: Fraka nie ma. Budzi się czternastego koło południa: Fraka ciągle nie ma i to już zaczyna być dziwne.

Próbuje Małpeczka gdzieś zadzwonić: telefon nie działa. Wszystkie nieszczęścia naraz. Przyczesła Małpeczka włosy, przemyśla oczy, włożyła szlafroczek i podreptała do sąsiada, demokratycznego sąsiada, demokratycznie zatrudnionego po prostu w najzwyklejszej w świecie Hucie Warszawa. Dzwoni do drzwi i pyta grzecznie, czy mogłaby gdzieś zadzwonić, bo jej telefon popsuty. A tu żona człowieka z Huty nagle jak na nią nie bluźnie! Małpeczka aż odskoczyła.

– Zepsuty! – krzyczała wniebogłosy żona człowieka z Huty Warszawa – ta małpa jeszcze ma czelność mówić, że zepsuty, kiedy dobrze wie, że wszystkie telefony wyłączono! Ta gnida twój mąż też wyłączał! Wojna, czołgi na ulicach, mój broni się w Hucie, tysiące ludzi w obozach, a ta szantrapa, to kurwiszcze przychodzi paść oczy cudzym nieszczęściem! „Telefon jej się zepsuł”!

I zatrzasnęła przerażonej Małpeczce drzwi przed nosem.

### *13 grudnia gwiazdy*

Trzynastego grudnia rano ktoś dzwoni do drzwi Krystyny Jandy. W ciągu paru sekund do domu wpada ekipa telewizji amerykańskiej CBS News z całą aparaturą. W mgnieniu oka oślepiłi zaspaną gwiazdę reflektorami i przystąpili do pytań. Co myśli o stanie wojennym? Co czuje w stanie wojennym? Co zrobi w stanie wojennym? Czy się boi? Czy ma kogoś bliskiego wśród internowanych? Co zamierza? I tak dalej, i tak dalej. Gwiazda płakała przed kame-

ra, powtarzając bez przerwy jedno: „Ja nie wiem... Ja przecież nic nie wiem!” Zrobiło to ponoć wstrząsające wrażenie na świecie...

Telefony nie działały, benzyny do samochodów nie sprzedawano, po ulicach jeździły czołgi i krążyły patrole, na rogach ulic stali wśród pryzm śniegu uzbrojeni żołnierze, a jednak wkrótce potem zjawiał się u gwiazdy Człowiek Od Wajdy. Ulubiony reżyser gwiazdy już wiedział, że udzieliła wywiadu amerykańskiej telewizji, i bolał nad jej nieroztropnością. Obóz dla internowanych wydawał się w tej sytuacji pewny, i Wajda polecił swojej gwiazdzie natychmiast ukryć się u niego. Co prawda on, twórca „Człowieka z żelaza”, też był zagrożony, w związku z czym, gdyby im czasu starczyło, mieli oboje ukryć się u Kuby Morgensterna. A potem...

### *13 grudnia korówki*

Do mieszkania Haliny Mikołajskiej, wielkiej aktorki i działaczki KOR-u, przyszli tuż po północy. Leżała sobie w łóżku, kładąc na kołdrze pasjansa. Mąż, Marian Brandys, klnąc pod nosem poszedł otworzyć, i zaraz do pokoju wpadli mundurowi pospołu z cywilami. Kazali NATYCHMIAST ubierać się i iść ze sobą. Zresztą grzecznie: przez cały czas byli nadzwyczaj grzeczni. Mikołajska, stara opozycjonistka, sypnęła paragrafami. Mundurowi i cywile, wciąż nadzwyczaj grzecznie wyjaśnili, że sytuacja jest nietypowa i zwykła procedura nie obowiązuje. W tej sytuacji korówka rzuciła się do okna, wychodzącego na podwórze i, wychylona do pasa, zaczęła krzyczeć: „Ratunku! Najście na dom!” Odciągnął ją mąż, który właśnie wyjrzał przez inne okno, od strony Marszałkowskiej, i zobaczył na ulicy czołgi.

– Lepiej ubieraj się i idź z nimi. Zdaje się, że sytuacja naprawdę jest nietypowa...

Ciągle nadzwyczaj grzeczni mundurowi i cywile pozwolili Brandysowi towarzyszyć żonie. W komisariacie na Wilczej był już prawie cały KOR. Nowo przybyłą powitano okrzykami, śmiechem, i Mazurem Kajdaniarskim.

Itd., itp. Każdy miał swojego 13 grudnia i każdy o swoim opowiadał. Przełomowa data!

Urban był 13 grudnia wśród tych, którzy pociągali za sznureczki. Inni występowali w jego teatrze marionetek. Nareszcie znalazł się w centrum władzy! Po raz pierwszy on także naprawdę o czymś decydował!

## Odgromnik

Wtorek. Południe. Długa, duszna sala przy placu Zwycięstwa w Warszawie, za Operą. Miejsce konferencji prasowych rzecznika rządu. Dziennikarze z całego świata siedzą przy długich stołach albo na krzesłach stłoczonych z tyłu. Niektórzy mają na uszach słuchawki, przez które usłyszą angielskie tłumaczenie. Na stołach stoją małe magnetofony, leżą notesy. Reflektory poustawiane, kamery gotowe do pracy, głośniki pohukują i charkoczą. Oczy i obiektywy wycelowane w opleciony mikrofonami stół na podium, z przodu sali. Jeszcze nikogo tam nie ma, ale już za chwilę. W SAMO POŁUDNIE, jak w starym westernie... Już się zbliża. Zaraz tu będzie. Już idzie korytarzem, w szpalerze maszynistek czekających przy stolikach, z rękami na klawiszach. Już wchodzi! Z obstawą, z pomocnikiem, z dyrektorem Centrum Prasowego – ale i tak tylko jego się widzi. Zapalają się światła, kamery pracują, błyskają flesze, reporterzy robią zdjęcia, dziennikarze prostują plecy i włączają magnetofony. Udaje, że niczego nie widzi. Nie patrzy. Siada powoli, spokojnie, za długim stołem: szeryf z westernu w nieskazitelnym garniturze, w starannie zawiązanym krawacie, w koszuli z idealnie wyprasowanym kołnierzykiem, ale jednak szeryf, nawet teraz, kiedy – wolniutko, wciąż na pół normalnego tempa – wkłada okulary, żeby zająrzeć do leżących przed nim papierów. Kule mogą mu świstać koło uszu – to znaczy, mogą trzaskać aparaty fotograficzne, syczeć kamery, oslepić światła – a ręce nawet mu nie drgną. To ważne: wrogowie będą widzieć te ręce na ekranie, powiększone, i czekać aż zadrżą. Nie doczekają się. Ani żadnego tiku, żadnego drgnienia na twarzy przybranej w urzędową powagę. Olimpijski spokój i pewność, że ma do odegrania rolę wyjątkową. Już ją gra. Odczyta teraz rządową ocenę ostatniego tygodnia. Jatki będą potem.

Przeczytał swoje. Sytuacja w kraju stanu wojennego jest coraz lepsza. Normalizuje się: z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc coraz bardziej się normalizuje. W tym tygodniu było gorzej, w zajściach wywołanych przez prowokatorów zginęły cztery osoby.

Rząd wyraża swoje ubolewanie.

W innym tygodniu zginęła jedna osoba, zastrzelona przez funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa w obronie własnej.

Rząd wyraża swe ubolewanie. Generał Jaruzelski pojechał osobiście wyrazić swoje ubolewanie rodzinie ofiary.

W minionym tygodniu stabilizacja postępowała. Popularność rządu, mierzona przez rządową agencję badań opinii publicznej, stale rośnie. Tu procenty. Popularność Solidarności, Wałęsy i Stanów Zjednoczonych stale maleje. Tu procenty. Większość społeczeństwa uważa stan wojenny za konieczny. Ta postawa społeczeństwa pozwala rządowi poważnie myśleć o stopniowym łagodzeniu jego – stanu wojennego – rygorów. Toczą się poważne rozmowy o stworzeniu nowego związku zawodowego. W przyszłym miesiącu, po weryfikacji zespołów redakcyjnych, zaczną się znów ukazywać aż trzy tygodniki. Rząd wyraża swoje ubolewanie z powodu zamordowania przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa księdza P. Rząd uważa za wykluczone, żeby Służba Bezpieczeństwa zamordowała księdza Z., ksiądz Z. był przecież pijany. Działacz wiejskiej Solidarności wpadł do studni na odludziu, bo spał się i potknął, to się w końcu zdarza.

Wybuch elektrowni atomowej w ZSRR, mimo bliskości naszej granicy, nie ma i nie może mieć dla nikogo skutków zdrowotnych. Władze podjęły decyzję podawania ludności, na początek dzieciom, preparatów jodu.

W sumie stabilizacja postępuje, a zaufanie do władz rośnie. Proces ten byłby znacznie szybszy, gdyby prasa zachodnia, której przedstawiciele znajdują się na tej oto sali, nie jątrzyła, nie podawała fałszywych informacji i nie rozdmuchiwała propagandowo drobnych incydentów.

– A teraz proszę o pytania.  
Zaczynają się jatki.

Wtorek. Wieczór. Telewizja nadaje skrót tego, co odbyło się w południe, a cała Polska siedzi przed ekranami. Orwellowska godzina nienawiści. Oto mały, łysy Żyd z odstającymi uszami, bezczelny, arogancki i nietykalny, wyjaśnia światu oślizgłym, cynicznym głosem, że nic tak pięknie nie wygląda na ulicach jak czołgi, że wybuch atomowy świetnie wpływa na cerę, a zabity sam sobie strzelił trzy razy w tył głowy, żeby upozorować zabójstwo i zaszkodzić władzy ludowej. Czy coś w tym stylu. Nic nowego, w każdym kraju propaganda odstawia takie sztuczki, ale chyba w żadnym – no nie, naprawdę w żadnym! – nie znalazł się wariat, gotów własną osobą, niemal własnym życiem ręczyć za takie bzdury. Piorunochron władzy, odgromnik władzy. Inni podejmują decyzje, posyłają ludzi do obozów, każą pacyfikować zbuntowanych, wydają rozkaz użycia broni. On tylko gloryfikuje to wszystko, jak gdyby miał w ręku władzę, a nie mikrofon. Konia kuja, żaba nogę podstawia. I Żyd do tego! Władza specjalnie wzięła Żyda do takiej roboty, jasne, w takim kraju jak Polska władza musiała wiedzieć, że to zwiększy nienawiść dziesięciokrotnie, zwiększy, a u wielu nawet wywoła: Żyd NAS poucza, Żyd NAS karci, straszy, Żyd NAM grozi, nam, biegającym co niedziela do kościoła, żeby modlić się za zniewoloną ojczyznę! Władza to wiedziała, nie jest przecież ślepa i głucha: więc nie chodziło o przekonanie kogokolwiek do racji władzy, chodziło o odgromnik.

Trzeba być szaleńcem, żeby przyjąć taką rolę. Ile mogą mu za to płacić? I jakie pieniądze byłyby warte pewności, że do końca życia nie będzie można wyjść samotnie na ulicę, pójść do baru bez zbrojnej obstawy? Niech go ludzie dostaną w ręce, a rozerwą na strzępy: czy o tym nie wie? Musi wiedzieć! Więc co mu dali w zamian za jego życie, co mu dali tak wspaniałego ci, którzy chowają się teraz za jego plecami, którzy zrobili z niego przyrząd do zbierania piorunów? „Kogo Bóg chce skarać, temu rozum odbiera” – skwitował to w swym kazaniu ksiądz Małkowski (tak, mówi się o Urbanie w kościołach, mówi się o nim przed ołtarzem), ale to przecież nie wystarcza.

Stara monarsza tradycja zabijania posłańca ze złymi nowinami nigdy nie przepadła. Urban będzie nazywać samego siebie „ustami władzy”, ale musi przecież wiedzieć, że władza chowa się w jego cieniu. Już jej nie widać, widać tylko jego. Jeszcze trochę, a nienawidzącym wystarczy jedna szubienica: dla Urbana. Chciał sławy, mają. Nie ma już w Polsce człowieka sławniejszego od niego. Ale kto by aż tak pragnął sławy? Kto przy zdrowych zmysłach? „Kogo Bóg chce skarać, temu rozum odbiera” – chyba rzeczywiście tylko o to chodzi. Dziwne.

Tak się mówi o Urbanie – przed czy po jego konferencji prasowej oraz we wszystkie dni poza wtorkiem. Na razie słucha się go. Bardzo uważnie się go słucha. Każde jego słowo uważając za kłamstwo, i konając z ciekawości, jak tym razem skłamię, do jakiej bezczelności się posunie. Przecież nie wygłasza monologu: wolni, zachodni, wrodzy dziennikarze biorą go w krzyżowy ogień pytań, bombardują faktami, są dla niego zbiorowym prokuratorem, i chociaż wiadomo, że każdemu zarzutowi zaprzeczy, że każdy fakt zniekształci, zinterpretuje po swojemu, to jednak wszyscy przed ekranami są ciekawi, jak to zrobi. I jeszcze – czy jednak w końcu nie puszcza mu nerwy. Może się podda, może się obrazi, może choć raz przyzna przeciwnikowi rację, może się zaczerwieni, może zacznie się jąkać, może na kogoś krzyknie. Czekają na jakąkolwiek „ludzką” reakcję w tej maskowatej twarzy, w tym gładkim, powolnym, nigdy się nie podnoszącym głosie. Czekają na próżno: nie, Urban nie jest człowiekiem!

\*

Po raz pierwszy wystąpił jako rzecznik – już nie rządu, nie tak to odbierano – jako rzecznik stanu wojennego od razu 13 grudnia. Telefony były wyłączone, łączność ze światem przerwana, samoloty nie latały, paliwa do samochodów nie sprzedawano, miejsca zamieszkania nie można było opuścić bez specjalnej przepustki, wprowadzono godzinę policyjną, a w telewizji dopiero w południe pokazano nagrane wcześniej groźne przemówienie Jaruzelskiego, siedzącego w mundurze na tle przekrzywionej flagi państwowej. Potem zaczęto pokazywać filmy dokumentalne o wojsku: jakie jest sprawne, zwarte i gotowe, jak wspina się po linach, skacze po dachach, czołga się i strzela. Zapowiadali „prawdziwi”, dawni spikerzy, ale tylko mężczyźni, i przebrani w mundury. Potem pokazano konferencję prasową.

Urban stał obok starego kumpla, Wiesława Górnickiego, który okazał się nagle kapitanem i nosił mundur. Urban był tego dnia jedynym cywilem w telewizji, ale nadrabiał to marsową miną.

Górnicki wyjaśniał, że władze musiały wprowadzić stan wojenny z powodu przebiegu dwóch spotkań Komisji Krajowej Solidarności, w Radomiu i w Gdańsku (eskalacja żądań, czyjś okrzyk: „Bój to ICH będzie ostatni”), jak również zapowiedzi wielkich manifestacji 17 grudnia. Oczywistym celem tych demonstracji było doprowadzenie do powstania rządu tymczasowego, konstytuanty. Stan wojenny uprzedził to o cztery dni, nie dopuścił. I tyle. O aktualnej sytuacji – rzecznik rządu.

Pierwszy występ Urbana-odgromnika, Urbana przyciągającego nienawiść. Górnicki jej nie budził, on tak. Minę ma arogancką i pewną siebie, oczy błyszczą radośnie. Ale jest spokojny, odrażająco spokojny! Właśnie ten spokój będzie doprowadzać ludzi do szału przez cały czas jego wojennego rzecznikowania. Mówi głosem łagodnym i powolnym, bardzo powolnym. Łże jak pies, ale najgorszy jest ten cyniczny – tak, cyniczny, ten obraźliwy – tak, obraźliwy – spokoj. Taki sam, jaki według niego panuje właśnie w całym kraju.

Bo nad wyraz spokojnie przyjęło społeczeństwo wyprowadzenie na ulice czołgów, nocne aresztowania, całą interwencję wojskową. („W takim razie nie było powodu, żeby ją robić!” – wściekają się ludzie przed telewizorami.) Tylko małe grupki sięją jeszcze niepokój („Czyli bronią się nasi!”), tylko w Krakowie zamarła całkowicie komunikacja miejska („Słuchajcie, w Krakowie strajk powszechny!”). Internowani będą zwalniani indywidualnie, w miarę możliwości. – Czy jest lista internowanych? – Jak już wyjaśniałem, nie ma jeszcze. Po prostu jest to proces ciągły. („Dalej będą zamykać!”) Przewodniczącego Solidarności, Wałęsy, nie internowano: przebywa pod Warszawą i prowadzi się z nim rozmowy. (Znów kłamstwo Urbana, kłamstwo typowe dla człowieka piszącego: upieranie się przy słowie, a nie sensie. „Nie został internowany”, czyli nie było nakazu internowania – ale uwięziony, a o to przecież chodzi!) Dobrze: więc czy można Wałęsę zobaczyć? Można z nim zrobić konferencję prasową?

– Proszę się do niego zwrócić. Ja nie występuję jako agent prasowy pana Lecha Wałęsy.

I ta drwina w głosie, i ten leciutki, ironiczny uśmieszek! „Pewnie chcielibyście teraz rozrwać mnie na strzępy? Proszę, spróbujcie!”

A to tylko początek. Tylko początek.

Wtorkowe seanse nienawiści będą trwać latami. Co tydzień przez dwie, trzy, cztery godziny, do oporu, rzecznik prasowy rządu w randze ministra, Jerzy Urban, odpowiada na każde pytanie dziennikarzy, a skrót wieczorem pokazuje telewizja. Wiemy, że to skrót. Dziennik rządowy „Rzeczpospolita” drukuje nazajutrz stenogramy z konferencji, ale jasne, że stenogramu z kilku godzin nie zmieściłoby się na jednej stronie. Tak, wszystko jest ocenzone, ale jednak, ale jednak...

Po kilku latach stenogramy zostaną nawet wydrukowane – dwa wielkie tomiska! – ale nie znajdzie się tam nic z tego, co zostało zapamiętane. Głędzenie o uprawach rzepaku, tak to mniej więcej ma wyglądać w druku: biedne przyszłe pokolenia, które nie uwierzą naszej pa-

mięci! Nie uwierzą, że było inaczej! Urban wydrukuję solo własny wybór z własnych występów: też okrojony, też ocenzurowany, też fałszywy. Cóż, z czerwonym nikt nie wygrał. Czerwony wszystko zakłamał. Kto chciałby wtedy, w latach wojny polsko-jaruzelskiej słuchać wykładów o kontrakcji rzepaku!

Było inaczej. Była polityczna pornografia, a Urban miał polityczny sex-appeal, o to chodziło. Striptizerka miała – jak w Crazy Horse Saloon – zasłonięte to, co najważniejsze, ale reszta była goła i podrygiwała w rytm muzyki: oczu nie można było oderwać od ekranu!

Nigdy przedtem, nigdy za komuny. Wiemy przecież, że odpowiedzi będą fałszywe, ale wreszcie słyszymy pytania! Niech będzie, że tylko niektóre, tylko najłagodniejsze: słyszymy pytania! Czy zabito, czy uwięziono, czy torturowano, czy okłamano? Śmiałe pytania, drastyczne odpowiedzi: nigdy przedtem nie zaznaliśmy takiej wolności! Komuna zawsze udawała, że nie ma problemu. Nie mówiło się ani nie pisało o niczym, co było dla komuny niewygodne. Jeśli był strajk powszechny, pozwalano po długim czasie bąknąć o wystąpieniu tu i ówdzie „niekontrolowanych przerw w pracy”. Teraz się mówi. Tyle że przekręcając fakty, ukrywając fakty, no – kłamiąc i tyle. Gdyby chociaż nie tak bezczelnie! Nie z tą miną pełną pogardy, nie tym głosem pełnym pogardy: tak, wiem, że kłamię, i wiem, że wy o tym wiecie; i co mi możecie zrobić?

Środki masowego przekazu są, jakie są. Wyłączenie telefonów rozwalilo wszystko. Radio mówiące po polsku i o Polsce jest od lat zagłuszane, choć nigdy nie nauczono się zagłuszać totalnie i doskonale: to i owo da się usłyszeć. Nie zarekwirowano odbiorników jak „za Niemca” i „za Ruska”; co z tego, skoro tam, na Zachodzie, najwyraźniej też nikt nic nie wie? Ludzie odwiedzają się w domach, przekazując wiadomości, ktoś te wiadomości zbiera. Po kilku dniach już coś wiadomo. O kopalniach przede wszystkim, o „Wujku” i „Piaście”. Zrobiono tam strajk okupacyjny, pod ziemią. A potem ZOMO – nowe słowo, straszne słowo, to „Zmotoryzowane Oddziały Milicji Obywatelskiej”, ludzie od mokrej roboty, uzbrojeni po zęby, w przyłbicach, z tarczami, nieludscy, bezlitośni – wdarli się do „Wujka”, była masakra. Po pewnym czasie ci z „Piasta” się poddali. Stocznia Gdańska spacyfikowana. Bronią się jeszcze tam, i tam, i tam... gdyby się wszystko wiedziało, mogłoby coś z tego wynikać, ale nie wie się, i o to chodzi.

21 grudnia 1981 Urban ma już regularną konferencję prasową. Zasiada w garniturze, białej koszuli i porządnie zawiązanym krawacie nad plikiem kartek i informuje. Teraz to już naprawdę zaprowadzono spokój i porządek. („Mówił to osiem dni temu: wydaje mu się, że nikt nie pamięta?!”) Ofiar śmiertelnych było bardzo mało, niesłuchanie mało: tylko siedem. Bo tylko siedmiu – potem powie, że dziewięciu, ale na tym koniec eskalacji – tylko siedmiu górników zastrzelono podczas pacyfikacji (nie nazywa tego pacyfikacją) kopalni „Wujek”. W dodatku tych siedmiu „siły, które wkroczyły do kopalni” zabiły w obronie własnej, bo górnicy atakowali te siły („Bronili się, nie atakowali, łajdaku!”) – atakowali te siły pretłami, łańcuchami, siekierami, kilofami, dzidami rozgrzanymi w ogniu i przebijającymi tarcze SIŁ. („Popatrz, Irka, jaka w ludziach determinacja, jaka nienawiść! Łańcuchami, siekierami... No, oni się jeszcze doczekają!” – „E tam, gdyby tak było, zginąłby i któryś z tamtych.” – „Może zginął, ale tego nie powiedzą, bo byśmy się mniej bali”. – „Co on gada?”)

ON dorzuca jeszcze pogroźkę. „Tak jest na całym świecie. Kto takie siły atakuje, ten naraża swoje życie”.

Proszę: Urban, ten knajpiany wesolek, ten dowcipniś z pism satyrycznych i z kabaretu, próbuje być groźny!

Nawet nie próbuje. Jest. Jest groźny.

Jak to mówił Goering? Też gruby, też wesoly, też *bon vivant*? Jak mówił? „Każda kula wystrzelona z policyjnego pistoletu jest moją kulą; jeżeli ktoś od niej zginie, możecie mówić, że ja zabiłem”. Urban tego nie mówi. Nie musi włączyć w cytaty. Każda wystrzelona kula jest jego kulą, każdy zabity – jego ofiarą; i dumny jest z tego! Rośnie w oczach. Gra największą



rolę swojego życia. Podszycia się pod swoich szefów, którzy mu tego nie żałują: użyj sobie, kochasiu! Tak, odpowiada za wszystko, wszystko popiera i ze wszystkiego się cieszy.

Jakiś zachodni korespondent pyta, czy to prawda, że internowani marzną.

– Być może, że ktoś nie zabrał ciepłej odzieży. Sądzę, że jest to uzupełniane przez rodziny.

(„Jakim cudem ktoś w taki mróz mógł się ciepło nie ubrać? Więc to prawda, że ich ciągnęli półnagich i bosych! A jeśli ktoś nie ma rodziny? I jak rodzina ma się dowiedzieć, gdzie kogo zamknęli? To już tyle dni, w grudniu! Zabijają ich!”)

– ...Wałęsa nie jest internowany, może słuchać mszy.

Wesołek, doprawdy! Skonać można ze śmiechu!

Teraz o amerykańskich sankcjach gospodarczych. Koniec z klauzulą najwyższego uprzywilejowania dla kraju stanu wojennego. Prezydent Reagan twierdzi, że ta decyzja nie jest skierowana przeciwko narodowi polskiemu, ale przeciwko rządowi.

Urban komentuje to powołutku, spokojnie, z leciutkim uśmieszkiem. A w kogóż to mogłyby być wymierzone sankcje, jeśli nie w ludność?

„Rząd się zawsze jakoś wyżywi”.

Ludzie przed telewizorami aż jęknęli. Po roku i sześciu tygodniach głodowania, pustych sklepów, kilometrowych kolejek, po tym całym koszmarze (i w środku koszmaru, bo nic się przecież nie zmieniło), po tym czasie, wystarczającym na odbycie żałoby po kimś najbliższym (tak, rok i niedziel sześć, tyle to dotąd trwało), powiedzieć coś takiego może tylko dureń – albo łajdak, który ich wszystkich, tych wygłodzonych, tych umęczonych, śmiertelnie nienawidzi. Nikt nie uważa Urbana za durnia. Nie wiedzieć czemu, nikt go za takiego nie uważa.

Ponoć oberwie za swój niewinny żarcik, za swoje jakże logiczne stwierdzenie, oberwie i od Fraka, i od Generała. Ale stanowiska nie straci. Pozostanie rzecznikiem rządu, ustami rządu – tego rządu, który zawsze tak dobrze potrafił się wyżywić! I właśnie w tym momencie zostanie znienawidzony: straszliwie, śmiertelnie znienawidzony Jego nienawiść spotkała się z wzajemnością.

Powiedział to – och, dla niego to pewnie nic nie znaczyło – tuż przed Wigilią, przed głodną, straszną, czarną Wigilią. Bez choinek (nie dowiozą ich z miasta, zakaz wyjazdów i brak benzyny) i jedzenia (sklepy ciągle puste), bez bliskich, których zabrano albo którzy nie zdołają dojechać, bez... no, bez wszystkiego, do kurwy nędzy, bez wszystkiego! I co mu można zrobić? Tylko nienawidzić, tylko do śmierci nie wybaczyć, tylko czekać. Czekać na zemstę.

To następnego dnia pojawią się pierwsi ludzie w żałobie. W żałobie po zabitych, w żałobie po ojczyźnie: jak w 1861, jak przed powstaniem styczniowym. Czarne opaski na rękawach, czarne wstążeczki w klapach. To groźne. TAMCI zatrzymują, legitymują, sprawdzają powód żałoby. Kogoś za żałobną opaskę („Brat mi umarł, brat-Polak; zabili go w Katowicach!”) wyrzucą z pracy. Zbyt niebezpieczny sposób, nie utrzyma się, trzeba sprytniej. Ale w ogóle patetyczni są ludzie okropnie; nieludzko są patetyczni! Kto by się po nich tego spodziewał? Sami by się nie spodziewali!

Tego samego dnia – pojutrze Wigilia – w różnych miejscach pojawią się ręcznie pisane karteczki. Naklejone na mur, wsunięte w witrynę sklepu, rzucone na chodnik.

„Bojkot propagandy! W Wigilię w każdym oknie zamiast choinki – znicz. Godzina 19<sup>30</sup>!”

Ludzie podchodzą, trącają się łokciami, pokazują to sobie, odchodzą, mówią innym, sami przepisują i podrzucają, i przyklejają. 24 grudnia o 19<sup>30</sup> prawie we wszystkich oknach gasną światła. Na parapetach migocą świece. Stoi się w oknie, patrzy. Niewiele jest okien, które o 19<sup>30</sup> nie pociemniały. A ci, którzy nie zgasili lamp, mogli przecież – pocieszamy się – nie wiedzieć. Bezsilni jesteśmy, chwilowo bezsilni, ale solidarni. Nie złamią nas nigdy. Ach, co za patos! Co za gorączka! Co za wielkość!

W ciągu dziesięciu dni ułożono nowe, wojenne kolędy, i byli tacy, którzy je śpiewali przy świeczkach, a za rok (nikt by nie uwierzył, że to może potrwać cały rok, a potrwa o wiele dłużej) – za rok będą je znać prawie wszyscy. Z jaką powagą je śpiewamy! Prawie ze łzami w oczach!

*Bóg się rodzi, a rodacy po więzieniach rozrzućeni,  
Bo marzyła im się Polska niepodległa na tej ziemi.  
Solidarni i odważni, górnik, rolnik i stoczniowiec  
Dziś składają do Ciebie modły: daj nam wolność, Panie Boże.*

Potem trudno uwierzyć w coś podobnego, w coś jak ze szkolnej czytanki o pradziejach. O tych dawnych, wzniosłych, patriotycznych albo czerwonych, albo czarnych, albo brunatnych czasach. Inni nie uwierzą i samemu trudno uwierzyć, a przecież niemal żadnemu pokoleniu nie udało się tego uniknąć. Tego największego prezentu od losu: święta. Mamy swoje święto. Obie strony je mają, tyle że żadna nie uwierzy, by wróg mógł czuć coś podobnego. Tę błogosławioną gorączkę. To tylko JA, to tylko MY. Nie tamci.

Urban pokonał motłoch, ja byłem motłochem, i oboje przeżywaliśmy najpiękniejsze chwile naszego życia. Tak to już jest w polityce i historii. Niestety.

No, więc śpiewamy, czytając słowa z małych, zabazgranych karteczek, a potem prawie płacząc, a potem naprawdę płacząc. Na melodię „Bóg się rodzi” najczęściej, bo najwznioślejsza i najbardziej polska.

*Pociesz Jezu kraj płaczący,  
Zasiej w sercu prawdy ziarno,  
Siłę swoją daj walczącym,  
Pobłogosław „Solidarność”.  
Więźniom naszym daj wytrwałość,  
Pieczę miej nad rodzinami,  
A Słowo Ciałem się stało  
I mieszkało między nami.*

I nawet o tych z „Wujka” już jest kolęda. O tych, o których dopiero co („Kto takie siły atakuje, ten naraża swoje życie”) mówił najbardziej zniechęcony człowiek w Polsce (od swojej przedwigilijnej konferencji prasowej jest najbardziej zniechęcony, i nic już tego nie zmieni) – najbardziej zniechęcony człowiek w Polsce, Jerzy Urban. *Przeszyły ich kule, bo chcieli być wolni* – śpiewają ludzie, a potem pełnym głosem, przy świeczkach:

*Dziś przyszli fedrować razem u Cieeeeebie.  
Połam się opłatkami z niiiimi tam w niebie!*

Ach, mamy gorączkę! Nareszcie mamy gorączkę! 42 stopnie!

I wroga też mamy. Dwóch wrogów. Tego w czarnych okularach i jego błazna, Urbana. Błazna bardziej się nienawidzi, jak zwykle. Nawet zabójcy własnej matki nie mogłoby się chyba nienawidzić tak, jak Urbana.

Załatwił to sobie dokładnie w osiem dni, między strasznym trzynastym a tą gadaniną przedwigilijną (pewnie nawet nie wiedział, co to dla ludzi – Wigilia, nie wiedział, Żyd i ateista – ale tak samo nie wiedzieli ci dranie, co to w 1970 podwyższyli ceny jedzenia i kazali strzelać do tych, którzy protestowali, więc nieważne, że Żyd: komuch, to się liczy, czerwona świnia, okupant); załatwił to sobie na amen i do końca życia. Kto się broni, ten zginie, a rząd się zawsze wyżywi: tak powiedział, upojony swoim pierwszym oficjalnym wystąpieniem, i już się z tego nie podźwignie. Najbardziej zniechęcony człowiek w kraju. Pierwszy do powieszenia. Koniec z nim.

Potem ten w czarnych okularach wygłosi do nas tradycyjne przemówienie noworoczne (z życzeniami, a jakże), a błazen je skomentuje. „No, uspokójcie się ludzie, a będzie dobrze” – wydaje się mówić Generał, cokolwiek mówi naprawdę, a jego błazen, jego straszny, groźny

blazen dodaje: „Bo jak nie...”, i celuje w nas z karabinu maszynowego. Nic nowego. Teraz to już naprawdę niczego się nie spodziewamy. Albo ci z góry, wystawiając Urbana na pierwszy plan, nie wiedzieli, co robią, albo wiedzieli aż nazbyt dobrze. Nam już wszystko jedno.

O północy – człowiek nigdy by potem nie uwierzył, że mógł być taki patetyczny, chyba że sobie to zapisał – wznosimy toast: „Za wolną, niepodzielną, niepodległą... Z Solidarnością. Z Wałęsą. Śmierć WRON-iej!” Albo inny toast, ale podobny. A za oknem – czerwony sierp księżycy, „na wojnę”. Potem będą dalsze toasty, po naszej i po ich stronie. Oni pewnie piją za dokonane już zwycięstwo nad nami, my – za nasze przyszłe zwycięstwo nad nimi. ZIMA WASZA, WIOSNA NASZA – tak sobie wymyślimy, i będziemy to pisać na murach.

Oczywiście, wiosna nie będzie nasza. Wiele lat minie, zanim będzie nasza, a jak już będzie, mało nas to obejdzie: za późno.

A Urban wraca do nas tuż po Nowym Roku, i będzie tak wracał latami. W każdy wtorek. W samo południe, jak w starym westernie. Już się zbliża. Zaraz tu będzie. Już idzie korytarem, w szpalerze maszynistek czekających przy stolikach, z rękami na klawiszach. Już wchodzi, już jest! Zapalają się światła, kamery pracują, błyskają flesze, reporterzy robią zdjęcia, dziennikarze prostują plecy i włączają magnetofony. Udaje, że niczego nie widzi. Nie patrzy. Siada powoli, spokojnie, za długim stołem: szeryf z westernu w nieskazitelnym garniturze, w starannie zawiązanym krawacie, w koszuli z idealnie wyprasowanym kołnierzykiem, ale jednak szeryf, nawet teraz, kiedy – wolniutko, wciąż na pół normalnego tempa – wkłada okulary, żeby zajrzeć do leżących przed nim papierów. Kule mogą mu świstać koło uszu – to znaczy, mogą trzaskać aparaty fotograficzne, syczeć kamery, oślepić światła – a ręce nawet mu nie drgną. To ważne: wrogowie będą widzieć te ręce na ekranie, powiększone, i czekać aż zadrżą. Nie doczekają się. Ani żadnego tiku, żadnego drgnienia na twarzy przybranej w urzędową powagę. Olimpijski spokój i pewność, że ma do odegrania rolę wyjątkową. Już ją gra.

Winni masakry w kopalni „Wujek” staną przed sądem.

Co za radość! Niemożliwe! Doprawdy?!!!

A tak. W trybie przyspieszonym osądzi się przywódców związkowych z tej kopalni, organizatorów strajku. (Gdyby się ludzie nie bronili, może by nie zginęli.)

Amerykanie dostarczają wygłodniałej Polsce „pomocy humanitarnej” poza kanałami rządowymi? OK: a my damy Ameryce kilkadziesiąt śpiworów dla jej bezdomnych: zadowoleni? Sala zaczyna się śmiać, na twarzy Urbana najmniejszy mięsień nie drgnie: stara szkoła komedii, *vis comica* Bustera Keatona, dobrze to opanował. Chyba że wcale nie czuje komizmu. Do głowy by mu nie przyszło, że już jutro dowcip „Zamienię M-3 w Warszawie na śpiwór w Nowym Jorku” zacznie krążyć po kraju: całkiem możliwe, że nawet mu to do głowy nie przyszło. Jest urzędnikiem państwowym, nie artystą. Wyśmialiście się? To kontynuujemy.

Były demonstracje („Nowe Związki Na Powązki”) przeciwko nowym, odgórnie ustanowionym po rocznej pauzie związkom zawodowym. Co gorsze, sam prymas Kościoła Katolickiego, zawsze taki grzeczny, bąknął, że ustawa o nowych związkach przeszła „bez konsultacji społecznej”. A cóż to za nonsens? Toż przed stanem wojennym były szerokie „konsultacje”, w ich wyniku powstała Solidarność, i to samo się teraz wprowadzi, tylko z poprawkami. Z poprawkami „zgodnymi z polityką rządu”.

No. Rozumiemy się?

Władze zawieszają stan wojenny. Nie odwołują, nie znoszą, tylko „zawieszają” zgodnie z życzeniem ogółu. Bo prowadzone przez rząd badania statystyczne wykazują, że tylko 27% społeczeństwa chciałoby zniesienia stanu wojennego, w każdym razie teraz, zaraz. Reszta chce, żeby to jeszcze potrwało. Może nawet długo potrwało. Części nic to nie obchodzi, nie ma zdania. (Czyli trzy czwarte narodu łaknie dalszych internowań, przepustek na wyjazd do szwagra, prawa władz do zamknięcia – „internowania” – każdego na czas nieograniczony,

bez sądu i wyroku, i zakazu zrzeszania się, i ograniczeń poruszania się, i mnóstwa podobnych rzeczy masochistycznie łaknie to dziwne społeczeństwo; i jawnej – niejawną istniała zawsze, i wszyscy o tym wiedzieli – kontroli listów i telefonów, i tego głupawego nagrania, włączającego się po nakręceniu numeru: *Uwaga, rozmowa kontrolowana! Uwaga, rozmowa kontrolowana! Uwaga, rozmowa kontrrrr...* – a tak, trzy czwarte społeczeństwa tego pragnie, i boi się zmiany, i nie chce, żeby ten cud minął, tak, trzy czwarte, stwierdzono to naukowo!) No, więc zgodnie z wolą ogółu władze stanu wojennego nie zniosą. Przez jakiś czas dadzą ludziom szansę. Jeżeli społeczeństwo zachowa się jak należy...

Nie zachowało się.

Co miesiąc, trzynastego, są demonstracje i zamieszki. Każdego trzynastego, w każdą miesięcznicę. Miało się to ludziom dawno znudzić, ale się nie znudziło: już szóste obchody trzynastego, już dziesiąte, już czternaste... Ach, to kłamstwa zachodniej prasy, która wszystko wyolbrzymia! Tak mówi rzecznik. 13 lutego wyszło na ulice Warszawy z pięćset osób, i nieprawda, że druga strona użyła przeciw nim gazów łzawiących, pałek, armatek wodnych...

– Zaraz – mówi Renate Marsch, znana z każdej konferencji prasowej rzecznika korespondentka DPA – przecież ja sama byłam tego dnia w mieście, i były gazy. Było dużo więcej niż pięćset osób, i były gazy.

Rzecznik zaprzecza. Niczym biograf Goethego, opatrujący fragment jego wspominków o kobietach, a właściwie jedno zdanie: „Te, doprawdy, kochałem najbardziej...” – kostycznym przypisem: „Tu Goethe się myli”. Tak, mylą się naoczni świadkowie. On, Urban, dostaje informacje od Milicji Obywatelskiej, i ufa im całkowicie. I koniec.

– A czy to prawda, że policja...

– W Polsce nie ma policji. Proszę o następne pytanie.

– A czy to prawda, że MILICJA aresztowała...

– Nie.

Mimo że aresztowała. Bo to się nazywa „zatrzymanie”. Dopiero po dwóch dobach nazywa się „aresztowaniem”. Urban uczy głupich zagranicznych dziennikarzy, jak nauczyciel wiejski z dziewiętnastowiecznej Ameryki: tyle razy uczniowie dostaną trzcina po łapach, aż się nauczą pytać poprawnie. Jak zapytają poprawnie – dostaną odpowiedź.

Wina tłumacza? W wielu językach nie ma osobnych słów na „aresztowanie” i „zatrzymanie”? Liczy się tylko, że ktoś trafił do celi z okratowanym oknem, albo i bez okna? A co go to obchodzi? Jest dzisiaj w złym humorze, ma powyżej uszu tej dziennikarskiej hołoty. A jednocześnie jest spokojny jak zawsze. Ani głos mu nie drgnie, ani mięsień. Następane pytanie?

– W jakiej sytuacji znajdują się obecnie dziennikarze polscy?

– Dziennikarze polscy znajdują się obecnie w sytuacji zróżnicowanej.

Koniec odpowiedzi. I drwiący uśmiezek.

Tak tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku!

Kłamca, świadomy, że nikt mu nie wierzy: tak widzimy Urbana. Część z tego, co mówi, musi być prawdą, ale nie wierzy mu się totalnie. Wystarczy, że to Urban coś powiedział, żeby wiedzieć: łgarstwo. Więc dlaczego wszyscy wciąż siadają przed telewizorami, żeby na niego popatrzeć, żeby go posłuchać? Zrobiono kiedyś wielką akcję zwalczania wroniej propagandy. Ludzie ostentacyjnie spacerowali w porze głównego wydania dziennika telewizyjnego, spacerowali z opornikami wpiętymi w ubrania – chodziło o nazwę, o słowo „opornik”, a milicja wściekała się aż miło, choć nie był to ani znaczek Solidarności, ani żałobna opaska – ludzie demonstrowali, że dziennika nie oglądają („Na darmo się męczycie!”), ale podobnej demonstracji podczas konferencji prasowej Urbana nie było. Nie udałoby się. W każdy wtorek siadało się przed telewizorami. Bo to było – to było magnetyczne, hipnotyczne; to było dzieło sztuki!

W podziemiu wydano książeczkę-do-kolorowania dla niegrzecznych dzieci, „Uszanka”. 12 portretów Urbana z uszami słonia (ułożono już dla niego napis na nagrobek: *Tu leży*

*Urban, pokój jego duszy. W tym grobie on, a w sąsiednim uszy), z pięcioramienną gwiazdką na czole, z siekiero-mikrofonem w rękę. Urbana na racicach, w błazeńskiej czapce, ze śliną kapiącą z pyska i z uzbrojonym zomowcem za plecami. Urbana-cerkiew, z kopułą i przekreślonym krzyżem na głowie, z promienistym Leninem nad głową: WYZNAWCA PORZĄDKU WSCHODNIEGO. Urbana rozkołysanego na telewizorze na biegunach, z wielkim podpisem: BUJAĆ TO NIE NAS! Urbana-fokę (wśród bałwanów), Urbana-fokę, spływającego na samo dno mętnej wody komunizmu. Urbana z worem pryncypiów oznaczonym łąką z czarną trzynastką, przykrytego napisem: DZIŚ WTOREK I KŁAMSTW WOREK, Urbana z własną, zdeformowaną głową na ciele wieprza, z gwiazdami na czole i tyłku, z mikrofonami (NIE KAŻDA ŚWINIA POLITYKIEM). Urbana-wieprza, skaczącego przez skankę na włochatych nóżkach z racicami i w podkoszulku z portretem Jaruzelskiego. I znów Urbana-błazna, w czapce z dzwonekami, z sierpem i młotem wytatuowanymi na uchu, a bolszewicką gwiazdką w kroczu, okolonego napisem: NIE KAŻDY BŁAZEN JEST STAŃCZYKIEM. Wydawca przykazuje, żeby kolorować rysunki kredkami, dając dużo czerwieni: „...ryjki, d..., medale, gatki”, a resztę kolorów dać kontrastowo. I żeby malowała cała rodzina: tata, mama, dzieci, a w miarę posiadania dziadek, babcia, wujek, kuzynka i sąsiedzi „(jeśli ktoś z nich nie siedzi)”.*

Dzieci zamalowały książeczkę, dorośli naśmiali się nad książeczką, książeczka zabrudziła się i podarła, dzieci urosły. A wojna ciągle trwa: jak ją zwał, tak ją zwał. A Urban ciągle swoje, przedtem, potem; Urban jest wieczny. Niezmienny. Nie do zdarcia.

Była masakra w Lubiniu, strzelano, zabijano? Winni za to odpowiedzą! Już wydano nakaz aresztowania. Kogo? Ano, ludzi od 13 grudnia siedzących w więzieniu (dotąd tylko internowanych) za próbę „obalenia przemocą ustroju”. Bo były zamieszki, prawda? Były zamieszki, więc władza musiała strzelać. Uprzedzała przecież. „Kto takie siły atakuje, ten naraża swoje życie”. No, widzicie sami: wzięliśmy zakładników. Jeśli jeszcze raz zrobicie zamieszki, wasi ulubieńcy dostaną czapę. Już spokój?

Akurat!

I tak dalej, i tak dalej, rok po roku.

Jakby nas nie było. A przecież jesteśmy.

\*

Milicja zatłukła na śmierć chłopca z opozycyjnej rodziny, Grzesia Przemyska. Skądże – mówi Urban. To nie milicja, to pogotowie, które go z komisariatu zabrało, kiedy zasłabł. (A milicja zatrzymała go, bo chodził po placu Zamkowym boso, innych powodów nie było: w końcu trzeba pilnować porządku.) Pielęgniarze skakali po desce położonej na jego brzuchu i zostaną surowo ukarani. Już jest ich proces. Już ich skazano. Czemu mieliby skakać po brzuchach pacjentów? Cóż, taka już jest służba zdrowia, bezczelnie domagająca się podwyżek płac. Czyż nie aresztowano dopiero co – a może tuż potem – lekarki, okradającej nieprzytomnych pacjentów w karetkach pogotowia?

Tak, aresztowano, sądzono, i uniewinniono. Mimo wszystko! Ale o tym się nie mówi.

Ksiądz Popieluszeko, wikary z Żoliborza, duszpasterz – no, właśnie – służby zdrowia, odprawia Msze Za Ojczyznę. Tłumy stoją przed kościołem, msze są nagłaśniane, żeby wszyscy mogli słyszeć kazania (*Tak jak Chrystus na krzyżu, Ojczyzna ocieka krwią*) i odpowiadać w litanii. (*Matko w Solidarności nadzieję mających – MÓDL SIĘ ZA NAMI. Matko oszukanych – MÓDL SIĘ ZA NAMI. Matko zdradzonych, Matko w nocy pojmany, Matko uwięzionych, Matko na mrozie trzymany, Matko przerażonych – MÓDL SIĘ ZA NAMI.*) Podobno WRONA już się dogadała z Kościołem, zwierzchnicy zabiorą fanatyka z parafii i wyślą (kopniak w górę, tak się to nazywało wśród partyjnych) na stypendium do Rzymu. Tym bardziej to prawdopodobne, że Urban coraz mocniej grozi: w cywilnym mieszkanku księdza

znaleziono istny arsenał broni. Kazania księdza judzą i podżegają. Albo umilknie, albo... „Wszyscy wiedzą, że nie rzucamy takich słów na wiatr”.

Tuż potem ksiądz Popiełuszko zostaje uprowadzony. Związano go w sposób znany mafii, jednym sznurem, tak, żeby każda próba poruszenia ręką czy nogą dociskała pętlę na szyi. Tak związanego wożono go godzinami w bagażniku samochodu, a potem wrzucono do rzeki. Winni znaleźli się błyskawicznie. Tak, nie mylicie się, to ubecy! Władza powiedziała to pierwsza! To ubecy! Ubecy-prowokatorzy. Władza ukarze ich surowo, władza będzie bez litości: przecież to po to, żeby ją, władzę, oczernić, dywersyjne wtyczki w bezpieczeństwo zabiły lekkomyślnego księdza. Zaraz będzie proces. Transmitowany w radio i telewizji, w końcu jest jawność. Słuchajcie, ludzie: ubecy sami wpadli na to, że dobrze byłoby zabić klechę. A właściwie jeden, jedyny ubek-romantyk, który pociągnął za sobą dwóch koleżków. Zupełnie prywatna, anarchistyczna akcja. No, dobrze: śledztwo dochodzi do wicedyrektora departamentu MSW, to on zlecił podwładnym akcję (porwać, torturować i zabić), ale na nim czym prędzej się urywa. Wyżej nikt sięgać nie będzie. Obłąkany wicedyrektor departamentu zlecił obłąkanemu podwładnemu... itd., itp.: wszyscy dostaną wyroki. Które się potem, oczywiście, skróci za dobre sprawowanie w więzieniu itd., itp. Przystojny główny morderca będzie wygłaszać przed sądem monologi jak z Szekspira. „Stoję oto przed wami, odarty z dumy i z godności...” – piękne to jest, naprawdę piękne. A kiedy zechce powiedzieć coś „do kolegów z Bezpieczeństwa”, odbierze mu się głos, a on karnie usiądzie na ławie oskarżonych. Dramaturgicznie – świetne.

Później Agnieszka Holland nakręci o całej sprawie bardzo mętny i bardzo fabularny film (ach, jak on dziko pieprzył żonę, ten morderca, i jak nieskutecznie!) – ale to przecież ta sama Agnieszka, którą nosiła w brzuchu Irka Rybczyńska, kiedy Urban przybiegł błagać ją o ratunek, bo narozrabiał w wojsku, pieczęcie z drzwi pozrywał, i której tatusia defenestrowano jak w Czechach (no, przez okno go bezpieka wyrzuciła, nikt nie wierzył w samobójstwo), a potem na pogrzebie tatusia, starego Hollanda, całe dobre towarzystwo po raz ostatni śpiewało *Międzynarodówkę*... tak, świat jest malutki. Wszystko pod jednym dachem, wszystko w jednej knajpie, sami swoi. Nie ma się czym przejmować.

Ci spoza knajpy będą oskarżać Urbana o podżeganie do morderstwa, ale ci spoza knajpy przecież się nie liczą. Mogą sobie stroić w Wielki Piątek kościelne Groby portretami klechy, mogą ufnie czekać na beatyfikację klechy, na kanonizację klechy; tak czy owak, nic nie znaczą. To motłoch. Śledztwu ukrecono głowę, ale chyba jest oczywiste, że zabicie patriotycznego księżula było prowokacją przeciw Generałowi – i jego prorokowi Urbanowi także? Ludzie podemonstrowali sobie na pogrzebie (pozwolono im na to), ponosili przez jeden dzień swoje znaczki Solidarności, pokrzyczeli – i przycichli. Zawsze przycichną.

A chłopski przywódca, Piotr Bartoszcze, po pijanemu wpadł do studni. A opozycyjny ksiądz po pijanemu walnął podstawą czaszki o chodnik. A inny opozycyjny ksiądz...

I tak czas mija.

Czas mija, a człowiek zapomina.

Już się nie śpiewa przy choince (są choinki!) antyrządowych kolęd. Już się nie śpiewa *Nie poznasz Ty Polski, taka zboleła / W kolejkach milcząca, w kajdanach cała*; śpiewa się *Lulajże Jezuniu*, jak zawsze. Ile to już lat? Już się nie obchodzi trzynastego dnia każdego miesiąca. Stan wojenny zawieszono, a potem nawet odwołano. Błahe formalności. Dopóki rządzi Jaruzelski, dopóki Urban urządza co wtorek swój show, zomowcy pałują na ulicach, Solidarność jest zakazana, a działacze siedzą w więzieniu, dopóty jest wojna. Słowa niczego nie zmieniają. Pamięta się i nienawidzi – a może tak nam się tylko zdaje? Czeką się na wielki dzień, na dzień przełomu – a może tak nam się tylko zdaje?

W roku 1986 (marzec) Centrum Badania Opinii Społecznej zrobiło wielką tajną sondę dotyczącą Urbana. Do użytku wewnętrznego. Nie do publikacji.

Nie znalazł się ani jeden człowiek, nie wiedzący, kim jest Urban. Ponad 40% badanych nie wierzyło, żeby ktoś nieświadomy istnienia Urbana mógł w Polsce istnieć; inni dopuszczali, w większym czy mniejszym stopniu, taką możliwość. 44,35% nie znosiło go, 34,9% lubiło lub podziwiała. Dla 17,6% był „obojętny”.

To był ten sam CBOS, na który zawsze powoływał się Urban. Ten zapewniający, że trzy czwarte Polaków pragnie trwania stanu wojennego – w nieskończoność albo choć trochę. Ale mniejsza o to, lepsze takie badania niż żadne. Innych nie ma.

Jak wyjaśniłby statystyczny, reprezentatywny Polak, kim jest Urban? Jak by to wyjaśnił człowiekowi, nie mającemu pojęcia o jego istnieniu?

„To rzecznik rządu” – odpowiada 56,2% pytanym (często z komentarzami, zwykle niechętnymi). 7% powiedziałyby: „dziennikarz”. Reszta: „kłamca, oszust, gracz, kukła, marionetka, tuba rządowa, wybielacz faktów, ten, co wciska ludziom ciemnotę...”. 2,2% Urbanowi współczuje: to człowiek, nadstawiający głowę za innych, narażony na ludzką niechęć obrońca nieudanych posunięć rządu... Nawet gdy chodzi tylko o przedstawienie Urbana ignorantowi, prawie 40% ludzi reaguje emocjonalnie. A gdyby przyszło go sądzić?

35,1% byłoby po stronie oskarżycieli, 30,5% po stronie obrońców. Reszta nie chce zająć stanowiska: nic ich to nie obchodzi! Albo: nie mają pojęcia, jakie byłyby i zarzuty, i argumenty obrony. Albo (2,3%): boją się i tyle. Opowiedzenie się po którejkolwiek ze stron mogłoby okazać się niebezpieczne. W sumie jednak aż 78,9% badanych (czy społeczeństwa) uznaje – w pięć lat po wprowadzeniu stanu wojennego – możliwość (czy konieczność) publicznego sądzenia Urbana. Za co?

I obrońcy, i oskarżyciele są zgodni: byłby sądzony za kłamstwa. Za stronnictwo, tendencyjność, przemilczenie, fałszowanie rzeczywistości, zmiany poglądów, wykrety i ogólniki. I, na drugim miejscu, za SPOSÓB BYCIA. Za arogancję, za cynizm, za bezczelność, przewrotność, za szydzenie z ludzi, za złośliwe denerwowanie ich – no, za sposób bycia i już!

A jakie byłyby, jakie mogłyby być argumenty obrony?

No cóż – spełniał po prostu swoje obowiązki, robił to, co do niego należało. Był dobrym dyplomata, był inteligentny, był dobrze zorientowany, dobrze mówił, dobrze sobie radził przed kamerą, był indywidualnością. Tyle nieliczni. Bo nawet wśród tych, którzy stanęliby w razie procesu po stronie obrońców, nawet wśród tych właśnie, 14,4% nie wyobraża sobie ani jednego argumentu obrony. Broniliby się go ot tak, z litości, z niejasnych przyczyn emocjonalnych, bo obiektywnie – trudno, nic nie przemawia na jego korzyść. Nic go nie tłumaczy, tego aroganckiego, obrzydliwego kłamcy. Nic – z wyjątkiem jego inteligencji, która dla oskarżycieli tylko pogarsza sprawę. Tak, inteligentny był kłamca. Błyskotliwy, kompetentny, elokwentny, odważny... Tym gorzej albo tym lepiej.

A może wierzy w to, co głosi publicznie? Wykluczone; dla ogromnej większości respondentów – wykluczone. Łże jak pies, łże świadomie, absolutnie świadomie. Czy wie, że ludzie go za to nie znoszą, że reagują na niego negatywnie, że ich złości i drażni? Pewnie, że wie! Tylko 4,5% myśli, że mógłby tego nie wiedzieć. Wie, i robi swoje: to właśnie arogancja. Guzik go to obchodzi, że go nienawidzą!

Więc dlaczego robi to, co robi? Czemu świadomie łże, wiedząc, że jest za to znienawidzony? Hm, bo – bo – niewiarygodne: bo jest człowiekiem honoru!

Nie tak to ludzie określają, ale na to wychodzi. Podjął się zadania, to je wykona. Musi grać do końca. Musi zachować twarz. Wierzy w słuszność tego, co robi, i wierzy też, że robi to właściwie.

Ale czemu rząd utrzymuje go właśnie takiego – aroganckiego, cynicznego kłamcę, któremu społeczeństwo nie wierzy i którego nie znosi – czemu go utrzymuje na jego stanowisku i w jego roli?

Bo nikt by się lepiej do tego nie nadawał. Bo nikt nie mógłby objąć tego stanowiska po nim. Bo to, co robi, jest jak najbardziej po myśli rządu. Bardzo wygodny dla władz jest Urban: „odwraca uwagę od spraw, które rząd chciałby ukryć”.

Piorunochron.

Choć nikt me użył tego słowa.

I jeszcze jedno. Aż 8,5% stwierdziło, że Urbana usunąć po prostu nie można. Sam jest tak znaczącą postacią polityczną, że nie można. Odejdzie, kiedy sam uzna to za stosowne.

Stan wojenny konsekrował Urbana.

Jakby tylko po to stan wojenny wprowadzono!

\*

Wtorek. Południe. Reflektory poustawiane, kamery gotowe do pracy, głośniki pohukują i charkoczą. Oczy i obiektywy wycelowane w opleciony mikrofonami stół na podium, z przodu sali. Już się zbliża. Zaraz tu będzie. Już wchodzi. Zapalają się światła, kamery pracują, błyskają flesze, reporterzy robią zdjęcia, dziennikarze prostują plecy i włączają magnetofony. Udaje, że niczego nie widzi. Nie patrzy. Siada powoli, spokojnie, za długim stołem: szeryf z westernu w nieskazitelnym garniturze, w starannie zawiązanym krawacie, w koszuli z idealnie wyprasowanym kołnierzykiem, ale jednak szeryf, nawet teraz, kiedy – wolniutko, wciąż na pół normalnego tempa – wkłada okulary, żeby zajrzeć do leżących przed nim papierów. Kule mogą mu świstać koło uszu – to znaczy, mogą trzaskać aparaty fotograficzne, syczeć kamery, oślepiać światła – a ręce nawet mu nie drgną. To ważne: wrogowie będą widzieć te ręce na ekranie, powiększone, i czekać aż zadrżą. Nie doczekają się. Ani żadnego tiku, żadnego drgnienia na twarzy przybranej w urzędową powagę. Olimpijski spokój i pewność, że ma do odegrania rolę wyjątkową. Już ją gra. Odczyta teraz rządową ocenę ostatniego tygodnia. Potem odpowie na pytania. Doczekać się tego nie można!

Jest sam przeciwko wszystkim. Wszystkim – z wyjątkiem rządu i Rosji. Czyli przeciwko wszystkim.

W osiem lat później – aż osiem lat! – w niejednym „solidarnościowym” domu zawiśnie na drzwiach albo na ścianie plakat z westernu „W samo południe”, z Gary Cooperem, samotnym szeryfem, wychodzącym o 12<sup>00</sup> na spotkanie z wrogiem. Komuś się to skojarzyło z Naszą Świętą Sprawą i plakaty stały się modne. Ale na plakacie jest wysoki, szczupły, muskularny mężczyzna z pistoletem u pasa, z gwiazdą szeryfa na piersi, patrzący w twarz przeznaczony spod szerokoskrzydłego stetsona. Opuszczony przez tchórzy, sam przeciw światu: każdy widzi w nim siebie. Kto mógłby odnaleźć cząstkę samego siebie w grubym, łysym, niewysokim facecie z odstającymi uszami?

Nikt.

Kiedy inny niewyrośnięty Żyd, amerykański sekretarz stanu za prezydentury Nixona, Henry Kissinger, w wywiadzie dla Oriany Fallaci nazwał siebie Samotnym Kowbojem Na Koni, Ameryka zatrzęsła się ze śmiechu i oburzenia. Słynna dziennikarka o mało nie skreśliła tego zdania, szykując tekst do druku: widziała w nim wyłącznie arogancję, której i tak było w wywiadzie dosyć. Nie wyrzuciła, bo ładnie brzmiało. Żadne z nich dwojga nie miało pojęcia, jaką furorę zrobi tych kilka słów – ani, że dla mówiącego je staną się one kamieniem u szyi i podzwonnym dla kariery: doprawdy, dziwni są Amerykanie!

Urban nigdy nie porównał się do samotnego kowboja, czy to na koniu czy pieszego. Ani do szeryfa. Na swoje szczęście nigdy się nad sobą nie litował.

Uniknął śmieszności.



## Teraz, kurwa, my!

Jak zawoła w kilkanaście lat po wprowadzeniu stanu wojennego jeden z działaczy chudeckiego odłamu Solidarności, tzw. Brat Kaczyński, Jarosław. Frakcja wreszcie wybory wygrała albo miała wygrać. O Boże! „Teraz, kurwa, my!!!” Ładnie zawoła. Ładnie i fałszywie: już go swoi skreślili. Jego w tym „my” nie ma i nie będzie.

Dla szaraczków taki moment triumfu nigdy nie nadszedł. Żadnej defilady zwycięstwa, żadnego „Teraz, kurwa, my!” Nic nam nie zostało oprócz pamięci, a pamięć jest słabiutka i ułomna.

No, więc dla nas było mniej więcej tak.

Śpiewało się zakazane piosenki na przykościelnych placykach, śpiewało się je i podnosiło „rozczapierzone palce” (och, w końcu zwyciężymy!) na politycznych pogrzebach, czytało się gazetki i książki odbite na powielaczach zrobionych z wyżymaczek – w każdym razie na to wskazywał rezultat. Oczy sobie popsuliśmy na tych małych, zamazanych literkach.

Chodziliśmy na Msze Za Ojczyznę księdza Popiełuszki. A kiedy raz (1 maja to było, Święto Ludzi Pracy) ZOMO ruszyło na nas, stłoczonych przed kościołem, tak mu zagwizdaliśmy wielotysięcznym chórem *Heiliheila*, melodię hitlerowców, że spłoszyło się i wycofało. ZOMO, wyobrażacie sobie?

Kupowaliśmy magnetowidy, żeby wreszcie móc obejrzeć dokumentalne filmy z początku wojny polsko-jaruzelskiej. Sam papież zapalił w naszą pierwszą wojenną wigilię świeczkę w swoim watykańskim oknie, wyobrażacie sobie?! Tak samo jak my, zdradzeni i pokonani. Gdybyśmy wtedy wiedzieli! A program *Let Poland be Poland*, nadawany wtedy, zaraz po ataku, w tylu telewizjach świata? Z tłumem polityków, z chmarą gwiazd show-bizu? Z Sinatra, śpiewającym *O gwiazdeczko, coś błyszczała, Gdy ujrzałem świat... Czemu dzisiaj, gwiazdko mała, twój promyczek zbladł?* A jak zomowska ciężarówka przejechała powolutku, cofając się, dwa razy, z sadystyczną dokładnością, tego przewróconego chłopaka w którąś miesięcznicę... może nie zrobiliby tego, ci dranie, gdyby wiedzieli, że ich filmują? – E tam, przejechaliby go jeszcze trzeci raz: ich to cieszy, że się ich nienawidzi, spójrzcie na Urbana! A Murzyna pamiętacie?

Właśnie, był jeszcze Murzyn z opowiadania Marka Nowakowskiego. Zaraz człowieka za ten tom, „Raport o stanie wojennym”, zamknęto. Potrzymali go trzy miesiące, a potem przestraszyli się i puścili, ale zawsze, pisarza, za książkę!!! Że niby rozpowszechnia „fałszywe informacje”, tom opowiadań! Ciemniaki tam na górze, ale żeby aż tak? Pewnie im to Urban podsunął! Kto inny tam czyta, kto inny jest aż taką szują? No więc...

Jak to było z Murzynem?

Zwyczajnie. Siedzą sobie ludzie w kolejowej poczekalni, w głuchej ciszy. Nikt się do nikogo nie odzywa. Przechodzi patrol, wali butami w kamienną posadzkę. Komuś sprawdzają dokumenty. Inni spuszczaają oczy, kulą się, byle nie zwrócić na siebie uwagi. Aż tu nagle łoskot, hałas. To wszedł wolny człowiek, kopiąc walizę na kółkach. Wolny człowiek w czerwonym swetrze, w białym kozuchu, w złotych sygnetach: Murzyn. Patrol przystanął z rękami na automatach, ale to przecież nie jego – Murzyna – patrol, nie jego kraj, nie jego sprawa, jemu nic nie zrobią. Wolność, wolność, światła pociągów, dalekie podróże... Tym jest Murzyn. Napatrzeć się na niego nie można!

Kiedys oni, teraz my! Teraz, kurwa, my!

Zima wasza, wiosna nasza! I tak *da capo al fine*.

Chodzimy na manifestacje: miesięcznicowe, rocznicowe, porozumieniowe (31 sierpnia), pierwszomajowe („NASZE święto! NASZE święto!”), i na 11 listopada, w dzień niepodległości, i na 3 maja, święto państwowe sprzed bolszewickich czasów... Wiadomo, że będą bić. Zawsze biją. I że będą zamykać: zawsze zamykają. Właśnie o to chodzi. Dlatego chodzimy.

Wcale nie męczeńsko: dobrze jest nigdy nie dać się złapać ani uderzyć. Człowiek się sprawdza. Przełazi przez płoty, ucieka po rusztowaniach, kubły od śmieci toczy ulicą prosto w tych gadów... Życie nie może być wiecznym męczeństwem, bo by się zdechło z udreki.

Czasem bywa śmiesznie.

Wołają „Ognia!”, a leją wodę!

Jak opowiadał po którymś 3 maja zachrypnięty kamieniarz-artysta, Jan Himilbach:

„Z jednej strony kolumny stał oddział uzbrojonych po zęby zeksów. Z drugiej lud pracujący stolicy. I dowódca tych psów w kokilce na łbie pluł do szczekaczki: ludu pracujący stolicy, proszę się rozejść! A lud pracujący stolicy na to: taki chuj! Na to ten oberpies: ludu pracujący stolicy, proszę się rozejść, bo będziemy strzelać! I woła: ognia! A oni, ci mundurowi, leją wodę...”

Bo zgodę na strzelanie, tak na ostro, dostają tylko czasem. Władze nie chcą przesadzać, marzą o zniesieniu amerykańskich sankcji... niech sobie poczekają! Niech się jeszcze lepiej wyżywią! Wychodzimy na ulice. Co cztery tygodnie najrzadziej. Albo na cmentarz, na pogrzeb kogoś z naszych (na cmentarzach nie biją), albo do kościoła (tam też jeszcze nie biją, nie wpadają do środka, tam jesteśmy wolni).

Czytamy prasę, tę legalną. Trochę ją czytamy.

„Polityka” wciąż wychodzi, choć Mieczysław F. Rakowski wdepnął na amen w politykę po prostu, w tę przez małe „p”. Ale czuwa.

W „Polityce” Passent się żali, że dostał zaoczny wyrok śmierci. I wspomina, jak to zapytał, tuż po zwycięstwie Solidarności, jesienią 1980 – jak to zapytał znajomą, „zwolenniczkę nieograniczonej odnowy”, co zrobi ze swoim dwudziestoletnim synem, kiedy nastąpi „tragedia”. A znajoma odpowiedziała, jakby nigdy nic: „Jak to co? Ma dwadzieścia lat i będzie wiedział, co ma robić”. Czyli na barykadę ukochanego syna chce posłać, na barykadę, na śmierć!

Cóż, zawsze tak tu było, od pokoleń. Dzieci rzucały w czołgi butelkami z benzyną. Chłopcy ginęli na barykadach. Nikt nie siedział w szafie, trzęsąc się ze strachu! Podła uwaga, tak, podła, ale jednak. Niech przestanie facet jęczeć, że „wszystkim kiepsko” (nie wszystkim! IM nie!), a niektórym jeszcze mało, jeszcze szczują!

A niby jak: mieliśmy to znosić w pokorze?

Gdyby Ruscy wkroczyli – o, gdyby Ruscy wkroczyli (nie mieli zamiaru), mieliśmy dla nich wszystko, co mogłoby im się przyśnić w najkoszmarniejszych snach. Tym bardziej nie chcieli się tu pchać, oddali robotę swoim pachółkom. A już prawie mieliśmy dla nich gotowe zaproszenia, na śnieżnym bristolu, cyrylicą!

## PAN MOŁOTOW ZAPRASZA NA COCKTAIL R.S.V.P.

Cóż, nie wyszło. A swoim – jacy by nie byli – takie zaproszenia wysyłać trudno.

Trzeba przeczekać, trzeba przechować nienawiść do najbliższej okazji, do następnej okazji – na pewno kiedyś trafi się ta dobra!

Na razie – Urban skonałby ze śmiechu – na razie na groby kościelne, wielkopiątkowe, się chodzi.

W 1982, w kościele paulinów przy Długiej, ciało Chrystusa leżało na chodniku, otoczone obrysowanymi kredą konturami innych trupów: policyjne ślady morderstwa, wielu morderstw. Te policyjne ślady miały daty: 1956, 1970, 1981. Na jednym daty jeszcze nie było.

Na Kamionku skutego łańcuchami Baranka umieszczono w środku mapy Polski. U św. Marcina na krzyżu zawieszono kotwicę, symbol Polski walczącej, a niżej, na tle białoczerwonej Polski, ustawiono gipsową Pietę. U jezuitów Chrystus wyciąga zza białoczerwonej zasłony ogromne, ociekające krwią ręce; wyżej napis: „Krew brata twego głośno woła”. U św. Anny Matka Boska, królowa Polski, stoi pod orłem w koronie (tym „prawdziwym”), a z cierniowej, prawdziwej korony, którą trzyma w opuszczonych rękach, spływają na ciało Chrystusa dwie wstęgi – czarna i białoczerwona.

Oczywiście, strasznie to naiwne, nacjonalistyczne i w złym guście. Na pewno wywołuje w Urbanie jakże zrozumiałą pogardę. Taką samą, jaką w innych wywoływała jego cudowna gorączka pod czerwonym sztandarem. Teraz inni mają gorączkę. Urban jak zawsze jest w mniejszości; jak zawsze heroicznie rozmija się z epoką.

Jesteśmy patetyczni i łzawi. Ktoś pisze w liście do paryżanina, do Polaka w Paryżu: „A jeżeli zobaczy Pan gdzieś wolność, proszę się jej od nas nisko pokłonić”, i to wcale nie śmiesz, wzrusza.

Miłosz napisał po wprowadzeniu stanu wojennego, w związku z zachodnim sloganem: „Niech Polacy sami rozwiązują swoje problemy” – sami!!! – napisał wiersz, i wiersz krąży w odpisach niczym łańcuszek świętego Antoniego: kto go dostanie, przepisuje dziesięć razy i przekazuje innym. Wiersz nazywa się „Jeszcze tym razem”, i dyszy pragnieniem zemsty: o tak, rozwiążemy sami nasze problemy! Kiedy tylko będzie można, rozwiążemy! Ze Wschodu dostały swoje srebrniki nasze „radosne, tak własne Judasze” – tak własne,

*...Że kiedyś tylko naszą będzie sprawą  
By je ukarać w myśl starego prawa,  
Że własne gniazdo, własną brudną plamę  
Władni jesteśmy własnymi rękami  
Zmyć i uprzątnąć.  
I ukamienować  
Tych, którzy winni  
Na rozstajnych drogach.*

Tych, którzy winni: Jaruzelskiego, Urbana, Fraka...

Tak, dobry jest Miłosz w marzeniach o zemście, i to się w nim lubi. Czy nie wryto na cokole pomnika poległych z 1970, czy nie wryto tuż przed wojną polsko-jaruzelską słów z jego wiersza: *Który skrzywdziłeś człowieka prostego/ Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając...* z wiersza kończącego się słowami: *Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy / I sznur, i gałąź pod ciężarem zgięta?* A Urban z miejsca – bystrości nikt mu nigdy nie odmawiał – z miejsca zrozumiał, że to o nim, dla niego, i wykpił wiersz w jakimś felietonie. Wykpił, bo przecież nie ma „człowieka prostego”! (Stara teza ludzi Fraka: jeśli nawet ktoś jest „prosty”, ma przestać być; po to, między innymi, wymyślono socjalizm.) Nie najlepszy był to felieton, zbyt sprzeczny z rzeczywistością, z oczywistością. Bo przecież jesteśmy!

Z naszymi grobami, krzyżami, sentymentami.

Pewnie, że jesteśmy!

Nosimy czarne krzyżyki, nosimy cierniowe pierścionki, i czekamy, czekamy na naszą wielką chwilę. A długo przyjdzie czekać.

W 1983 groby wielkopiątkowe były dość neutralne.

U paulinów grób ocenowano: usunięto białoczerwoną flagę, czerń, ciernie... Ludzie prymasa ocenowali, kazali usunąć: czy prymas nie za bardzo się przed NIMI trzęsie? Nie lubi się prymasa, ani trochę się go nie lubi, tego drugiego Uszatka po Urbanie, tego piorunochronu papieża – jak Urban jest piorunochronem Generała. Zostało tyle (i nawet lepiej): grób

zakratowany jak cela, wokół kraty brudny mur, pokryty nieczytelnymi strzępkami napisów, wewnątrz leżący Chrystus i twarz Matki Boskiej Częstochowskiej; nad kratą napis: OTWÓRZCIE!

W „kościelach twórców” na Nowym Mieście ciało Chrystusa leży, zakryte białym prześcieradłem, w prawdziwej celi więziennej: stołek z miednicą, pół bochenka ciemnego chleba, dwie puste prycze... a nad tym wszystkim – zwykle, otwarte okno, w którym świeci Najświętszy Sakrament.

W kościele, w którym wikarym jest ksiądz Popiełuszko, u św. Stanisława Kostki, grób ozdobiono akcesoriami stanu wojennego: pałką, tarczą plastikową, pojemnikiem po gazie.

U jezuitów czerwona wrona (CZERWONA WRONA-a!) – Szatan – żąda od wszystkich pokłonu. Nie za darmo. Cała jest otoczona pudełkami z tym, co za oddanie mu (jej. Wronie) cześć można dostać: paszport, dacza, samochód... A z tyłu, za tym wszystkim – daleki, samotny krzyż.

Gdzie indziej jak zwykle. Kamienie, ciernie, druty kolczaste i biało-czerwone wstęgi.

Wszystko jest jak zwykle: aresztowania, procesy, kartki żywnościowe bez pokrycia, ciągle uczucie głodu i sny o jedzeniu. Ale święto też jest, choć ponure. I cudowna ciekawość, co się jeszcze wydarzy: zwycięzcy chyba tej ciekawości nie mają, zwycięzcy tak dobrze się nie bawią. My, ludzie prości, to zdobyliśmy na lewo kawałek szynki, cudownie poprzerastany tłuszczem („Ale żeby szynka była tłusta, bo to dla chorego!”), to udała nam się manifestacja, to nabraliśmy zwycięzców.

O, na przykład tak.

Wałęsa (później jest, później, wypuścili go, uznali za zwykłego, prywatnego obywatela, tylko pilnują jak króla na wygnaniu) miał przyjechać do Warszawy na uroczystą mszę za powstańców getta, z udziałem prymasa, ale nie dojechał. Wysiadł w drodze „prywatny obywatel” z konwojowanego przez bezpieczeństwo samochodu i poszedł za potrzebą w krzaki. Chwilkę później wyszedł z krzaków jego wąsaty, identycznie ubrany sobowtór, i pojechał do Warszawy, a Wałęsa mógł wreszcie spotkać się z Komisją Krajową Solidarności. Przepadamy za Wałęsą w Wielkanoc 1983, naprawdę przepadamy.

Wielkanoc 1984.

Ludzie opowiadają sobie rosyjski dowcip. Niby bystry, niby inteligentny chłopak zdaje na studia. Pada pierwsze pytanie: o teorię wartości dodatkowej w *Kapitale* Marksa. – Przepraszam, jak nazwisko? – MARKSA!!! – Bardzo mi przykro, nigdy nie słyszałem o tym autorze. – W takim razie proszę coś powiedzieć o *Dialektyce przyrody* Engelsa. – Czy mógłby pan powtórzyć? – EN-GEL-SA! – Naprawdę żałuję, ale też nigdy nie słyszałem. – Więc proszę chociaż coś powiedzieć o teorii rewolucji Lenina. – Przepraszam, o czyjej teorii? Żałuję, ale z tym nazwiskiem też nigdy się nie zetknąłem. – Człowieku! – krzyczy egzaminator – skąd tyś się wziął?! – Z Zariańska.

Komisja patrzy po sobie, po czym całkiem grzecznie tłumaczy kandydatowi na studia, że, niestety, nie ma żadnych szans. Po jego wyjściu przewodniczący komisji podchodzi do okna i wzdycha: „Ech, rzucić by to wszystko i pojechać do Zariańska!”

Ale wolimy chyba inny dowcip, o, taki. Zatrzymują mundurowi ciężarówkę. Pytają kierowcę, co wiezie. „– Meble”. Zaglądają mundurowi pod plandekę, a tam same karabiny i granaty. „– Panie, to mają być meble?!” Na co szofer odpowiada spokojnie: „– Takie meble, jaki pokój”.

Bardzo to lubimy!

Na wielkopiątkowych „grobach” było wtedy tak. „U księdza Popiełuszki”, na Żoliborzu – olbrzymie, czarno-białe zdjęcie tłumu w robotniczych kombinezonach, w hutniczych kaskach, w górniczych hełmach – tłumu, wznoszącego w górę krzyże. W środku wycięty krzyż

kolorowy, kwietny, biało-czerwony, na wzór bramy Stoczni Gdańskiej w sierpniowym karawale. Pod planszą – ciało Chrystusa. Jeszcze niżej – czerwony napis: „Krzyż stał się nam bramą”. Nad pierwszą literką słowa „nam” – biało-czerwona chorągiewka, jak w solidarycy, jak w rozwiązaniach graficznych na emblematkach Solidarności.

Inne warszawskie groby mniej ciekawe. U jezuitów wszystko – oczywiście – w barwach narodowych. Trzy krzyże (biel i czerwień), a pod nimi ciało Chrystusa obramowane literą „V” z białych i czerwonych kwiatów. Na najwyższym krzyżu napis: „W krzyżu cierpienie”, a niżej porzucane tabliczki z napisami: *Prześadowani, Ateizm, Rozbite rodziny, Domy dziecka, Wojny, Szpitale, Żłobki, Obozy, Więzienia, Krzywdzeni*. Kolejka do grobu stała aż po kres placu Zamkowego (na którym za rok złapią, żeby zabić, Przemyska, bo łązi bosy i bardzo się cieszy ze zdanej matury); na schodach kościoła sprzedaje się – tysiącami – zdjęcia grobu. Eeee tam!

U św. Anny setki zawieszonych na cienkich żyłkach krzyży przesłania i otacza Najświętszy Sakrament, umieszczony na tle białego orła. Ciało Chrystusa przykryto polską flagą.

W przedsionku kościoła pobożne punki z nastroszonymi, fioletowymi włosami, z agrafkami w uszach i nosach, sprzedają krucyfiksy i medaliki. Mamy rok Orwella. Fajnie jest, jak mówiono trzydzieści lat wcześniej. Nic lepszego się od tego czasu nie wymyśliło. Fajnie jest, śmiesznie jest, tylko trochę nudno. Poczekajmy.

Nie musimy długo czekać.

Rząd się zawsze wyżywi, rząd zawsze coś wymyśli.

1985. Prawie godzinę trzeba stać w kolejce, żeby wejść do ogrodu wokół kościoła św. Stanisława Kostki. Wokół grobu księdza Popiełuszki urządzono drogę krzyżową: przy każdej stacji są napisy ze zdaniem z jego „kazań patriotycznych”. Któraś stacja z kolei jest już wewnątrz kościoła, kościoła pełnego szarf z wieńców żałobnych – a Matka Boska Katyńska tuli do siebie człowieka z dziurą po kuli z tyłu czaszki. Ostatnia stacja. Sztandar ze słowami: „Ksiądz Jerzy zmartwychwstanie, a wraz z nim Ojczyzna”. Tuż obok – grób.

Bardzo piękny grób. Wielka głębia, mrok, cienkie pnie ściętych brzóz, na ziemi gruba warstwa zwiedłych, zbutwiałych liści. Na liściach, w oddali, leży rzeźba; nagie, białe, związane, martwe ciało. Kojarzy się to i z laskiem katyńskim, i z laskiem, w którym porwano księdza. Tym laskiem, po którym szukał w nocy porwanego proboszcz z pobliskiej parafii: pobiegł tam zaraz po otrzymaniu wiadomości o uprowadzeniu, zaraz po telefonie do kurii, w nadziei, że Popiełuszcze udało się uciec. Może kryje się gdzieś w lesie, w ciemności, i boi się ruszyć? Chodził po lesie i szukał. Wołał: „Proszę księdza! Ich już nie ma! Może ksiądz wyjść!” W tym czasie samochód z pobitym, zmasakrowanym, zakneblowanym księdzem, związanym „w pętlę” łączącą szyję z podkurczonymi nogami, tak, żeby każde ich poruszenie dusiło, dojeżdżał już chyba do mostu, z którego miano rzucić ciągle żywą ofiarę do rzeki.

Fakt: płacze się nad tym. Czas mija, a ciągle gardła się ściskają, głowy odwracają, oczy szklą: strasznie sentymentalny naród, co oczywiście można tłumaczyć historycznie. Cholera, nawet po kilkunastu latach ludzie, wspominając, mają łzy w oczach i dziwnie chrypią. A jeśli im ktoś w takiej chwili przypomni Urbana, znów są gotowi rozerwać go na strzępy. Z Piotrowskiego, z mordercy, zaraz zaczęto robić bohatera, który po prostu nie mógł znieść bezkarności wroga Państwa i Porządku. Pamiętacie? A co odpowiedziały władze wojewódzkie ludziom, którzy wystąpili o zgodę na postawienie pomnika księdza Popiełuszki w miejscu jego porwania? Pamiętacie? „Proces toruński” – proces morderców – „dowiodł, że ksiądz Popiełuszek nie jest godny pomnika”, tak odpowiedziały!

Na święta Bożego Narodzenia tego roku – 1984 roku – szopka w kościele św. Stanisława Kostki, w „kościeliku Popiełuszki”, będzie taka: niebieski fiat 125p (takim porwano księdza) z otwartym bagażnikiem. W bagażniku – Dzieciątko Jezus. Tak się rodzi w tym roku, związane,

storturowane, zakrwawione. Ludzie stoją w długich kolejkach, żeby tę szopkę obejrzeć, a przechodząc obok otwartego bagażnika, płaczą. Jeszcze płaczą.

Zima znów była ICH. Ale wiosna, może... Może wreszcie będzie nasza!

Przyszła wiosna. Drzewa w zieleni. Aresztowania, porwania, tortury, tajemnicze zabójstwa. Sprawę księdza Zaleskiego, któremu Nieznani Sprawcy wypalili papierosami na twarzy, szyi i brzuchu litery „V” („Na tę literę nie zaczyna się żadne polskie słowo!” – uprzedzał przecież Generał) – sprawę umorzono. A Czarnego rozjuszono. I co to da?

Upokorzono nas. Przesadnie, ponad miarę, głupio upokorzono. To był ICH błąd. To był błąd Urbana, ich propagandysty, ich ministra propagandy, ich Goebbelsa, jak się mówi. Urban nie jest politykiem, jest znerwicowanym facetem pełnym nienawiści. Czemu go słuchają?

Potem już ważnych Grobów nie ma. I nie szuka się prawdy po kościołach. Fakt, to TAMCI (Urban and Co, Jaruzelski and Co, Kiszczak and Co, za nic się w tym nie rozeznasz, ale wiadomo, o co chodzi), to TAMCI zabili księdza Jerzego, ale to NASI (czort wie, czy ciągle nasi) wystawili go na strzał: kto widział motać mu posadkę w Rzymie, kto widział zabierać go nam ze strachu, naszego księdza Jerzego, naszą ostatnią ostoję, naszą ostatnią pociechę? NASI chcieli ustąpić, ksiądz Jerzy się bronił, nie chciał nas opuszczać, więc NASI wydali go TAMTYM, nikt się w tym nie rozezna, mamy dość!!! Niech się bawią bez nas.

I próbujemy jakoś żyć, bez gorączki. Ledwo zaczynamy przywykać, ledwo zaczynamy się uczyć, TAMCI znów nam przeszkadzają. Po diabła? Przecież był spokój. Nam już wszystko jedno. Nienawidzimy, ale wszystko nam jedno. Małe, nieważne strajki, czasem jakiś skandalik, głupstwo: uczymy się żyć w tym, co nieuniknione. Hitler rządził nami pięć lat, ale był obcy, był Niemcem, i zabijał. Bardzo zabijał. Masowo zabijał. Ci rządzą już ósmy rok, są swoi, i nie bardzo zabijają: czasem, jak się ich zdenerwuje, ale nie tak z zasady. Osiem lat, to dużo. Dziewięć, jeśli liczyć walkę. Żyć jakoś trzeba. Przystajemy protestować, przestajemy demonstrować, przywykamy. Dzieci muszą skończyć szkoły, my musimy zacząć żyć spokojnie, zacząć żyć w ogóle, tyle lat straconych, nie jesteśmy wieczni, już wszystko jedno.

I właśnie teraz ONI aż się pocą, żeby podzielić się władzą z NASZYMI, żeby pozwolić nam zatriumfować. Teraz, kiedy nam się znudziło, kiedy już nie mamy ochoty: och, dajcie nam wszyscy spokój! Potem dowiemy się, że Sowietom im kazali, że wybrali sobie Polskę na próbę, na przyczółek, na manewry: zaczynajcie, przygotujcie grunt, my idziemy za wami. Gospodarka się wali, przechodzimy na kapitalizm, tyle że teraz MY, komuniści, będziemy kapitalistami. Przejmiemy na własność to, czym żeśmy dotąd zarządzali, i będziecie, hołoto, mieć swoje wymarzone banany o każdej porze roku. Będziecie je mieć w sklepach i na straganach; jak was będzie stać, to sobie kupcie. Jakoś nam się wydaje, że stać was nie będzie.

I nagle władza klęka przed opozycją, rozmawia z nią (starannie dobraną) przy okrągłym stole, coś z nią knuje w tajnych rozmowach w Magdalence, organizuje wolne wybory... No, to głosujemy w wolnych wyborach (głupi jak zawsze) i obalamy władzę. Władza w porozumieniu z opozycją (czyli niby z naszymi) ustaliła listę krajową, która miała przejść automatycznie, a my ją w całości skreśliliśmy. Wybory mamy wygrane. Władza razem z opozycją ustaliły nad naszymi głowami, że parlament będzie odtąd dwuizbowy; Sejm i Senat. Mogliby zrobić referendum; toż w 1946 większość narodu opowiedziała się za zniesieniem Senatu! ONI mówią, że tamto referendum zostało sfałszowane (i fakt, zostało: na naszych oczach – no, na oczach rodziców, dziadków, pradziadków i pociotów – wynoszono urny z głosami na zaplecze i wnoszono inne, dawno przygotowane, a komuchy waliły mężów zaufania w morde, po czym wkraczała policja... no, milicja, nigdy się do tego nie przywyknie!), więc czemu nie urządzić nowego? Cóż, dali nam siłą Senat, żebyśmy mogli sobie do niego wybrać, kogo chcemy (taki miły gest wobec hołoty), a my, oczywiście, wzięliśmy Senat z marszu, ale i Sejm też: władza czegoś nie dopatrzyła. W każdym razie – to jasne – wygraliśmy w wolnych wyborach jak w pysk strzelił, a co wtedy robią NASI? Przepraszają przegranych! Są zażeno-

wani. Wstyd im okropnie. Nie tak się umówili w Magdalence. Umówili się na 35% władzy, nie na całą! Przepraszają. Dotrzymają wszystkich ustaleń. Bardzo im przykro, że wygrali. Społeczeństwo jest takie nieodpowiedzialne: nie tak miało być! I zaczynamy mieć dość naszych. I dopiero teraz rozumiemy, że to była jedna paczka, jedna klika, NASI i ONI. Jak w filmie szpiegowskim, jak w „Człowieku, który był czwartkiem” Chestertona (tyle że tam na czele stał Bóg), jak byle gdzie: trzeba było się zorientować w 1980, byłoby nam teraz lepiej, byłoby nam teraz lżej. A tak – rzygać się chce.

I o co nam chodziło?

Nie wiemy. Już nie wiemy.

Nawet połowa z nas nie będzie brać udziału w tych kiedyś wymarzonych wolnych wyborach. Niech się bawią sami.

Prasa ubolewa, że tak nas mało. Może po cichu wszyscy się cieszą, że nic już nas nie obchodzi. Nie będziemy przeszkadzać. Nam już wszystko jedno.

Nie lubimy już Kościoła. Nie lubimy już NASZYCH. Wszystkim chodziło o władzę, znów daliśmy się nabrać. Nigdy więcej.

Pozmieniali nazwy ulic. Stołeczna nazywa się teraz „księdza Popiełuszki”. Przechodzi ulicą jakaś para. Kobieta jest wściekła, że tak wszystko zmieniają: we własnym mieście już się człowiek nie może rozeznąć!

– A potem się okaże, że ten Popiełuszko to też był jakiś frajer, i znów zmienią nazwę! O nie, dziękuję! Komu przeszkadzała Stołeczna?!

Fakt, Popiełuszko był frajer. I my, kurwa, też. A komu przeszkadzała Stołeczna? Czort wie.

Przecież nie nam.

Kiedyś, w najlepszych – czyli najgorszych – czyli, jak się potem okaże, najlepszych – czasach było tak. Tak się to zapamiętało, i niech tak będzie.

Taka była

## NASZA WOJNA

Wygonili nas z placu Zwycięstwa. Zewsząd nas wygonili.

Wyrwali z bruku płytę, poświęconą pamięci górników, zamordowanych przy pacyfikacji kopalni Wujek. Zaczęliśmy składać kwiaty tam, gdzie BYŁA ta płyta. Bili za to, zamykali. Wieczorami zbierali się starcy i kaleki, ufając, że ich bić nie będą. Składali kwiaty, rozczapierzali palce (tak powiedział o nas Jaruzelski: ludzie, „rozczipierający palce w kształt litery, na którą nie zaczyna się żadne polskie słowo” – o Victorię chodziło, o „V”, które pojawiło się już w Sierpniu, w Stoczni), śpiewali hymn. Bito. Czasem. Czasem tak, czasem nie. Któregoś wieczoru tak skatowali kulawe starowiny, że zaczęliśmy inaczej. Ot, szedł człowiek z bukietem kwiatów przez plac – kiedyś Saski, potem Piłsudskiego, potem Hitlera, potem Zwycięstwa. W miejscu, gdzie kiedyś była PŁYTA, upuszczał swój bukiet pod ponurym wejrzeniem rozkraczonych, ustawionych obok, zbrojnych po zęby zomowców. Może nie wolno?! ONI zastanawiali się przez tydzień czy dwa, po czym zaczęli legitymować ludzi z kwiatami w promieniu kilometra. To było zbyt absurdalne, przestali. Ogrodzili plac, ponoć wymagał remontu. Płyty trzeba było zmienić, kostkę trzeba było zmienić, tak twierdzili. Śmiech powszechny, ale co poradzisz? Cholernie się nas boją, przyznali, ale co poradzisz, człowieku? Postawili płoty, a przy płotach ochronę. Mysz by się nie przecisnęła.

Wtedy się rozeszło, że Kościół na całość nie pójdzie, ale na pół – tak. W świetnym punkcie miasta jest malutki plac przy kościele świętej Anny. Eksterytorialny. Nawet śpiewać tam można – na razie. I modlić się głośno. I świeczki palić, i ulotki sypać. Dzień, dwa, i wszyscy o tym wiemy.

Ludzie przynoszą dzień w dzień pęki kwiatów i składają je stosami w kształt ogromnego krzyża przed figurą Matki Boskiej. Teren jest przykościelny, tu nie biją. Spisują po obu stronach, chodzą z automatami, ale nie ośmielają się rozwalać kwietnego krzyża, jeszcze nie.

Kto stoi wokół kwietnego krzyża? Dla nas tłum, dla nich mała grupka. Ludzie gotowi na wszystko. Od świtu do nocy: to ich więcej, to mniej; wieczorami naprawdę sporo. Śpiewają. Rozczapierzają palce. Patrzą wyzywająco na zomowców z prawej i z lewej, na tych rozkraczonych hitlerowców z automatami. Może myślą, że nas przestraszą, bydlę przekłete?

*Siekiera, motyka, gruba decha,  
Uwolnimy wkrótce Lecha.  
Siekiera, motyka, pała, suka,  
Odbijemy Frasygniuka.*

*Siekiera, motyka, suka, pała,  
Powiesimy generała,  
Siekiera, motyka, czapa, turban,  
Wisiec będzie także Urban.*

Tamci patrzą na nas groźnie. Każą im – to nas rozwalą, widać to po nich. Tępe mordy, szeroko rozstawione nogi, szczęki do przodu. Zomowcy. Jak my ich nienawidzimy! Skąd się tacy biorą?

Właśnie widzę.

Musiałam ostatnio zaplombować ząb. Siedziałam w poczekalni obok bezzębnej staruchy, której syn czy wnuk (na miłość boską! Chyba praprawnuk? *A to Polska właśnie!* Tak się tu wygląda tuż po dwudziestce!) został POWOŁANY, i zaciągnął się do ZOMO, bo to korzystne. Lepiej karmią, lepiej płacą. Na polityce to starucha się nie zna. *A to Polska właśnie!* Polska jak żywa! Siedzę obok staruchy i słucham. Piętnasty raz przyjeżdża ze swojej wiochy do dentysty, nie tracąc nadziei, że w końcu jej tę sztuczną szczękę wstawią. Grunt, że syn – czy wnuk, nie pamiętam – trafił do ZOMO, szczęściarz. Nic tylko kotlety w koszarach, a potem BumBum, Hopsasa, pały i gazy łzawiące, udało się chłopcu, nie? Pewnie, że się udało. Gratuluję starusze. Tyle że chyba ząb zaplombuję gdzie indziej: w tej poczekalni dłużej nie wytrzymam. Proszę staruchę, żeby pilnowała mojego miejsca, i uciekam. Resztkami sił dobiegam do tramwaju. APOKALIPSA WEDŁUG URBANA – myślę sobie; APOKALIPSA WEDŁUG URBANA! Czyli co? Czyli motłoch. Cholera jasna, niech go spalą w piecu krematoryjnym, niech go posiekają, niech zgnije zarażony Chorobą Kocięgo Pazura, i skończmy z nim wreszcie, z tym piekielnym motłochem! Więcej go na oczy nie chcę widzieć! (Świetne rozwiązanie: miły polski chłopczyk z motłochu oczek mnie pozbawi na wieki w ciągu dwudziestu sekund, wprawił się na kotach.) Cholera, jak ja nienawidzę Człowieka Prostego! Chyba nie mniej niż Urban.

Urban, oczywiście, żyje w tym czasie zupełnie inaczej. Też się boi motłochu, ale dla niego motłoch to zupełnie co innego niż dla mnie. Dla niego to ja. I on mi, kurwa, dołoży! Nienawidzi mnie; czuję to przez telewizyjny ekran co najmniej raz na tydzień. Wchodzi sobie do sali pełnej dziennikarzy, nabzdyczony i ważny (druga strona nieśmiałości, widzę to nawet, ale NIE CHCĘ widzieć!), w dobrym garniturze i w świetnym krawacie. Rozsiada się za stołem i zaczyna mnie mieszać z błotem. Aż sobie paznokcie w dłoń wbijam z wściekłości, ale za nic się nie odezwę i nikomu nie pozwolę się odezwać, żeby ani słowa nie stracić. Jezu, co za łajdak! Jezu, co za bydlę! Sprzedawczyk. Drań. Zbrodniarz. To ja mam być motłochem? On jest motłochem, do wszystkich diabłów, on z wnuczkiem mojej staruchy z poczekalni denty-



stycznej i tłumem jemu podobnych. Kotlety dają, narkotyki dają przed akcją, a między akcjami leżysz, chłopie, na wyrku i dobrze ci: może nie?

Cóż: nie każdy ma teraz – kiedykolwiek – gorączkę. My ją mamy. Ja i Urban, na przykład.

Jemu też dają kotlety.

*Rząd się zawsze wyżywi!*

Chyba żadne jego zdanie nie zrobiło takiej kariery.

Nie miał pojęcia, że nie mówi, a ryje pismem klinowym na kamiennych tablicach.

Choćby za to jedno zdanie powiesi się go wiosną (ZIMA WASZA, WIOSNA NASZA) tuż przy jego generale. W końcu musi przyjść sprawiedliwość!

Nazajutrz słucham z chrypiącego magnetofonu (dostać teraz baterie, to cud) jednej z NASZYCH piosenek. Ponurej. Cholernie ponurej. Płacze się przy niej. Już chyba nigdy więcej tak się nie zapłacze!

*Niedostrzegalne w milczeniu narasta,  
Aż prezydenci i gwiazd hordy bledną.  
Coś się na pewno wydarzy, to jasne,  
ALE NAM WTEDY BĘDZIE WSZYSTKO JEDNO!*

No, popłakałam sobie. Wieczorem idę do kwietnego krzyża przy kościele św. Anny. Tłum ludzi. Śnieżyca. Tłum śpiewa w śnieżycy:

*Dla Urbana gruba belka,  
Bo jest z niego świnia wielka.*

Odzywam. Nie, nie będzie nam WTEDY wszystko jedno! Powiesimy Urbana! Powiesimy na pierwszej latarni!

Śnieg sypie, lzy płyną i zaraz zamarzają; czegoś większego już nigdy w życiu nie znamy, ale nie wiemy o tym. Nigdy ich nie powiesimy, ale nie wiemy o tym. Nie będzie nam się chciało. Życie nie jest takie proste. Jeszcze rok, jeszcze dwa, i bardziej znienawidzimy naszych bohaterów niż teraz nienawidzimy wrogów. Jeszcze trzy lata, jeszcze cztery, a pomyślimy o wrogach, że przynajmniej byli uczciwi. Nie okłamali nas: obiecywali wszystko, co najgorsze, i słowa dotrzymali. Jeszcze pięć lat, jeszcze sześć, a ubierzemy wrogów w purpurę i wieńce laurowe, i wieszac zapagniemy kogo innego. Tych, których dziś wielbimy. Jeszcze siedem lat, jeszcze osiem, a nikogo już nie będziemy chcieli wieszac, i to będzie najgorsze. Ziemia się na nas zawali. Ciemność nas zakryje. Miał rację dzisiejszy bard (którego nazwiska już jutro nie będziemy pamiętać): po prostu BĘDZIE NAM WSZYSTKO JEDNO. Tak już jest, zawsze tak jest.

Na razie śnieg pada, lzy płyną i zamarzają na mrozie, bydło zomowskie w nas celuje dla zabawy, a my uczymy się nowej piosenki, właśnie ją jakiś brodaty przyniósł, i parę osób już zna tekst, a wszyscy znamy melodię. Sam tytuł – *Druga śmierć Janka Wiśniewskiego* – wystarczy, żeby nas za gardła coś strasznego ścisnęło (w 1970 zginął Janek Wiśniewski, tłum niósł go z krzykiem i śpiewem na drzwiach wyrwanych z futryny *naprzeciw glinom, naprzeciw tankom*, i zawieszono nad stoczną sztandar z czarną kokardą, i piosenkę ktoś o tym ułożył – *świat się dowiedział, nic nie powiedział, Janek Wiśniewski padł*), ale co my poradzimy? Może na wiosnę, nie teraz. Może coś się zmieni. Każda wojna się kończy, tyle że nie każda zwycięstwem. Mało która zwycięstwem. Jeszcze tego nie wiemy.

Mamy wojnę i wierzymy w zwycięstwo. We wrogów powieszonych na latarniach. W Urbana dyndającego na latarni. Ostatni raz przegraliśmy, nigdy więcej!

*Nie płaczcie, matki, gdy się dowiecie,  
Że tak jak wczoraj, że po raz trzeci  
Za związek bratni, po raz ostatni  
Janek Wiśniewski padł.*

Czy chociaż wiedzą, że to z *Międzynarodówki*, ten *związek bratni*? Jedni wiedzą, drudzy nie; nieważne. Na pierwszego maja zaśpiewamy i *Międzynarodówkę*, a tym, co jej nie znają, będzie wstyd, i w ogóle – świat jest jednym wielkim absurdem. Jak można całym ciałem i duszą coś, z czego będziemy się śmiać?

Za parę lat, teraz nie. Teraz mamy łzy w oczach, i podnosimy wysoko zmarznięte dłonie z palcami ułożonymi w „V”, i chrypimy na mrozie, i piszczymy na mrozie, i wyjemy na mrozie, obstawieni przez facetów z automatami:

*Niech wszystkie dzwony biją na trwozę,  
Na bój ostatni, ostatnią drogę.  
Za głód, za wojnę, za zmarłą Polskę  
Splećmy konopny sznur.*

Urban tymczasem je i pije. Mierzy nowy garnitur.  
Między nim a nami – nieskończoność.  
I konopny sznur.

## Stocznia

To tu, w Stoczni Gdańskiej, połała się krew w 1970, a w 1980 bramę obwieszono kwiatami i napisami popierającymi *Papierza*: już błędu ortograficznego by starczyło, żeby Urban to święte miejsce zniechęcił na wieki! Ale miejsce jest święte, zbliża się trzecia rocznica podpisania wiekopomnych Porozumień Sierpniowych, w kraju ciągle wrze, gospodarka się wali, i warto by porozmawiać z LUDEM. A nie ma nikogo lepszego do rozmowy z LUDEM niż Frako. Nie tępy aparatczyk, ale inteligentny, liberalny, światły, nie skalany żadną strzelaniną czy pałowaniem Frako. Tak postanowiono na górze. Wielki pojedynek ideowy błyskotliwego Fraka z motłochem, do pokazania w telewizji (pełna jawność!), to będzie to, o co chodzi. Dokładnie to, o co chodzi.

Czy nie przyjaźni się Frako z tłumem zachodnich mężów stanu? Czy nie pływał żaglówką z samą Jackie Kennedy? Jeśli taki człowiek zjawi się bohatersko w gnieździe skorpionów, w tej Kolebce Solidarności, w Stoczni Gdańskiej, i porozumie się z LUDEM, i przekona lud do pracy dla wspólnego dobra (właśnie „żółwie strajki” lud sobie wymyślił, odmianę strajków włoskich: jak najwolniej, jak najgorzej, jak najmniej produkować), i obieca ludowi w zamian może nie świetlaną, ale chociaż szarawą przyszłość, jeśli się dogadają... może to wstrząśnie całym krajem? Może będzie argumentem przeciw zachodnim sankcjom? I w ogóle?

Nikt tego nie robi tak dobrze jak Frako. Nikt tego nie przygotowuje tak dobrze, jak Urban. Tak postanowiono na górze.

Fatalny błąd!

Frako i Urban nie wątpią, że akcja się uda.

To ma być wielkie. To ma być przełom. Urban jedzie do Kolebki Solidarności dwa dni wcześniej, żeby wszystko do popisu Fraka przygotować. Ma być wolność. Ma być propagandowo bezbłędnie. Ma przyjść dużo bezpartyjnych, żeby zagranica nie wyśmiała. (Frako wezwie partyjnych do podniesienia rąk, żeby było widać, że są w mniejszości.) Sam Wałęsa, szef zakazanego **bylego** związku (niedawno wypuszczono go na wolność, wrócił do pracy w stoczni) może przyjść, jeśli ma ochotę. Będzie wspaniała dyskusja, którą wygramy, bo mamy rację i najlepszych ludzi w tym kraju. Zwłaszcza Fraka, przede wszystkim Fraka. Wszyscy zobaczą nasz triumf w telewizorach, a potem przestaną szaleć, zrozumieją. Wezmą się do roboty. I jakoś się uładzi. No, tak mniej więcej. Tak mniej więcej ma być.

Rakowski opíše ten dzień stylem Cezara.

„Rankiem 25 sierpnia wyjechałem do Gdańska. Po obiedzie udałem się do Stoczni. Była godzina 14<sup>15</sup>.”

Wszystko było przygotowane przez Urbana i ekipę fachowców: pozostawało wkroczyć i zwyciężyć.

Siedzi więc Frako w gabinecie dyrektora Stoczni. Wygląda przez okno: schodzą się ludzie. Schodzą się z przepustkami do tej wielkiej hali, w której trzy lata wcześniej pod pomnikiem Lenina władza podpisała buntownikom zgodę na wolne związki zawodowe. Obecnie były wolne związki zawodowe. Ludzie idą, nadciągają. Nagle słychać oklaski: to Wałęsa, wąsaty wódz byłych związków. Pozdrawia klaszcząc podniesioną ręką z palcami rozczapierzonymi w „V”, niczym Churchill w czasie Drugiej Światowej. Tłum odpowiada mu tym samym. No, przetoczyło się. Kto miał wejść na salę, ten wszedł. Już spokój. Idziemy.

Frako, elegancki Frako, spokojny i dumny Frako w nieskazitelnym garniturze, w nieskazitelnym krawacie, WKRACZA. Jak Cezar.

Wita go kocia muzyka. Gwizdy. Krzyki. Nienawistne wycie. Tego się nie spodziewał! Tak to potem opisze, z naiwnością niepojętą dla ludzi stanu wojennego, dla tych z demonstracji i z ponurych kolejek przed sklepami, dla układających kwietne krzyże, i dla klnących

przed telewizorami podczas wtorkowych sabatów Urbana: **on się tego naprawdę nie spodziewał!**

Więc do tego stopnia niczego o nas nie wiedzieli?

Urban go nie zrobił, wykluczone. Urban tracił tyle samo, albo i więcej. Nie sprawdził się jako szef propagandy. Tak starannie dobrał Urban zaproszonych, tak bystrze zaproponował wpuszczenie Wałęsy, żeby było „wiarygodnie”! Skąd mógł wiedzieć, jak mógł się domyślić, że cała sala zawyje z nienawiści? Przed kamerami telewizyjnymi, na oczach świata, na oczach władzy? Że nie będzie się BAŁA wyć, gwizdać, krzyżeć, przeklinać?

W telewizji – bo pokażą później spotkanie MFR z „robotnikami” – ryku nienawiści nie będzie. Zostanie „wyciszony”, zostanie „skrócony”. Zresztą – to oczywiste, to było rozsądne – mikrofony ustawiono tak, żeby nie brały dźwięku z sali. Mimo to coś z niego zostało, trzeba było popracować przy montażu. Wyciąć godzinę spektaklu. MFR będzie nad tym potem biadał. Niestety, skrócono przekaz telewizyjny, bo takie były wymogi techniczne, a protestów nie było słyhać (ot, trochę szumu), bo „źle ustawiono mikrofony”. On nie jest temu winien. On był za pełną jawnością. Najlepszy dowód: on sam, pierwszy, opowie wszystkim, że obecni zachowali się skandalicznie, że (nie słyszeliście tego w transmisji) wyli, krzyżeli i lżyli przedstawiciela najwyższych władz państwowych – i że przedstawiciel najwyższych władz państwowych w życiu by się czegoś takiego nie spodziewał!

Bo było tak (dla telewidza). Wkracza na salę Mieczysław F. Rakowski, w garniturze, w krawacie. Głos z offu mówi coś o tym, że właśnie wkracza. Mieczysław F. Rakowski pyta, czy może zdjąć marynarkę. Sali nie słyhać i nie widać. Mieczysław F. Rakowski zdejmuje marynarkę, potem rozwiązuje krawat, i nagle krzyży do milczącej sali: „A co, wieszacie chcecie? Przyda wam się, żeby mnie powiesić?!” Histeryk. O co mu chodzi? Przecież ani szmeru, ani pisku z tej sali nie słyhać! Fatalne wrażenie robi Mieczysław F. Rakowski, po prostu fatalne. Nie wie, czemu, od początku wścieka się, wrzeszczy, rozbiera się publicznie, koszulę też rozpina, podwija rękawy... Wreszcie zaczyna coś mówić (czytać), i nie wiadomo, kiedy zdążył się tak spocić i poczerwienić. Mówi, że coś mu tam zarzucają, ale nie powiesi się z tego powodu. „Nie powieszę się!!!” Sala milczy: przeciwko komu te krzyży?

– Niejeden z was w ogóle by nie pracował w tej stoczni, gdyby nie ten system! Niejeden nie ukończyłby żadnej szkoły! Krówki byście pasali, gdyby nie socjalizm!” – tu jakiś niewyraźny szum z sali, szybki widok sali, chyba coś ci ludzie krzyżają, ale nie bardzo słyhać, i znów MFR:

„– Zgoda, ja też bym krówki pasał!”

Jakieś slogany po drodze, jakieś slogany czytane z kartki, i znów krzyk. Że on, MFR, ma doktorat. Tu telewizja pokazuje siedzącego gdzieś w kącie Lecha Wałęsę, przewodniczącego **byłej** (wiecznej!) Solidarności. Bodaj raz udało się go widzieć przez te trzy lata wojny polsko-jaruzelskiej; ludzie napatrzeć się nie mogą.

– Porozmawiajmy sobie jak doktor z doktorem! – krzyży MFR, choć doprawdy nie ma powodu, żeby krzyżeć: sala (w opóźnionej transmisji telewizyjnej) jest taka cichutka, taka grzeczna: ani jej nie widać, ani nie słyhać. – Porozmawiajmy sobie jak doktor z doktorem, mimo że mnie doktoratu nie przysłało z Harvardu, lecz na niego zapracowałem!

To niby à propos doktoratów honoris causa związkowego przywódcy. Coś mu zarzucał MFR. Głównie to, że gdyby Solidarność zgodziła się na umieszczenie w preambule do swego statutu zdania o zwierzchnictwie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, to może dotąd byłby pokój. Preambuła, preambuła: przez rok przed wojną o niczym innym władze nie mówiły niż o preambule! Jak się nie zgodzicie na preambułę... Jak się zgodzicie na preambułę... Wałęsa coś czyta z ręcznie zabazgranych kartek. Niedługo.

– A co do preambuły – w jadłospisie też jej nie było.

Ludzie przed telewizorami skręcają się ze śmiechu, MFR coś krzyczy, potem widać stocznię, tłum wokół Wałęsy wyjeżdżającego furgonetką, tłum krzyczy, klaszcze, rozczapiera palce... no, chociaż tyle pokazali!

Ludzie cieszą się, że zobaczyli swojego Wałęsę, i że wysłannik władz tak się zdenerwował: widać było o co! Każdy wie, że „sprawozdanie ze spotkania w stoczni” ONI ocenzurowali, jak zawsze, ale coś się jednak zobaczyło, więc dobrze jest. Nic nadzwyczajnego się nie stało.

Dla ludzi nic. Dla Fraka dużo. I dla Urbana, który tak fatalnie, tak beznadziejnie wszystko przygotował. Miała być dyskusja, miał być dialog z masami, miało być coś, co wstrząśnie Ameryką i wpłynie na złagodzenie sankcji gospodarczych, a co z tego wyszło? Partanina. Albo trzeba było to pokazać w całości i bez wyciszania (mądry komentarz mile widziany), albo nie trzeba było pokazywać wcale. Cóż, władza głupia jak zawsze.

Urban będzie potem przedstawiać całą sprawę jako swój i Szefa triumf. Bo naprawdę było tak: sala nabita i gorąca od emocji, a tu Frako zapomniał okularów: jak może cokolwiek przeczytać bez okularów? Jak może cokolwiek powiedzieć bez przygotowanego tekstu?

„Posyłam oficera ochrony, żeby biegł do budynku dyrekcji... Dla zyskania na czasie, potrzebnego (?) do przyniesienia okularów, Rakowski prowokował iskrzenie polityczne, które już nie zgasło. Po dłuższym czasie podano mu okulary i zaczął czytać.

Gdyby nie incydent z okularami, słynne to spotkanie przebiegłoby o wiele spokojniej i nie miałyby owej fascynującej dramaturgii politycznej! Robiłem sobie wyrzuty, że te okulary to był przypadek. Reżyseria polityczna wymagała, żeby Rakowskiemu umyślnie schować okulary.”

Pięknie, ale fałszywie.

Urban był w 70% odpowiedzialny za klęskę, i Urban się bronił. POTEM się bronił, już za kapitalizmu. Świetny był spektakl! Świetny show! Tym świetniejszy, że Frako tak genialnie udawał zdenerwowanie i agresję!

Frako widział to inaczej.

Gorzko było Frakowi, bardzo gorzko. Tego się nie spodziewał! Tego się nie spodziewał!!!

Lud miał go kochać. Lud powinien go kochać. Dlaczego, no, dlaczego nie miały go kochać? Czemu go nie kochał? Za co nienawdził?

Tuż potem przyjedzie papież, papież-Polak, bożyszcze tłumów, i będzie mówił (4 września, ledwie tydzień później) na Jasnej Górze o zwycięzcach skazujących niedawnego „partnera” na potępienie. Niedawnego partnera – czyli Solidarność, czyli jej wąsatego przywódcę w marynarce i koszulce polo. Nikt go nie słucha. „A jeśli coś powie, to zostanie wyśmiany: bo gdzież stanąć robociarzowi w szranki z zawodowym polemizatorem?”

Fakt: wyśmiewano „robociarza” i jego bełkot o preambule: co to niby miało znaczyć, że w jadłospisie też jej nie było? Nie tylko w statucie nowych związków zawodowych? (Ani w instrukcji obsługi odkurzaczy, ani w broszurce o pielęgnacji paproci doniczkowych: więc czemu gdziekolwiek?) Ludzi to zachwyciło jak mało co; władza się wykrzywiła, i niech się wykrzywia dalej, to jej powołanie.

Ale Frakowi było gorzko, bardzo gorzko.

*Permanentnym cierniem* – jak napisze potem w swoim piśmie jeden z dzisiejszych opozycjonistów i więźniów, Adam Michnik (tyle że wykwalifikowana redaktorka poradzi mu, żeby ten nazbyt piękny zwrot usunął) – permanentnym cierniem tkwi w nim i będzie tkwić wiecznie ta przekłeta stocznia, ten nieudany show!

A przecież miał rację, prawda?

Miał rację.

A przecież ludzie mu sprzyjali?

Sprzyjali mu.  
I on to udowodni!  
Oto dowód.

Kolejny tom *Listów do M. F. Rakowskiego*: wydaje to co jakiś czas, motłoch z tego kpi, wrogowie zarzucają fałszerstwa, ale takie właśnie listy dostaje Frako, takie właśnie, i zbiera je w książki, i daje do druku, i czemu miałby się tego wstydzić? Niech się wszyscy dowiedzą, jak bardzo jest szanowany i kochany!

Cała książka zbierze się z tego, co do niego napisano po spektaklu w Stoczni Gdańskiej! Cała książka! Ile uwielbienia, ile zachwytów!

Dopiero na dziesiątej stronie pojawi się pierwsza krytyka.

I tylko anonimowi tchórze ośmielą się krytykować go teraz, w czasach czołgów i obozów, i nowych oskarżeń dla ludzi siedzących od lat w mamrze. Ludzie odważni będą pisać życzliwie, podając nazwiska. Będą pisać, tak jak Jola z trzeciej klasy.

*Panie Premierze, byłabym dumna, gdybym miała takiego ojca jak Pan. Jest mi Pana szkoda, że pan tak się męczy.*

Ach, ilu ludzi zasypuje go listami pełnymi uwielbienia! Ilu mu dziękuje!

Cóż za opanowanie, błyskotliwość, refleks, odwaga, kultura!

Modlą się do Boga o jego zdrowie.

Co za dobroć, cierpliwość, wytrwałość, bezpośredniość! Cudowne cechy! Niech oszczędza nerwy, niech się nie martwi!

Niektórzy go nie cierpieli – a jaki się okazał wspaniały!

Rzeczowy, obiektywny!

Idol! Pewien młodzieniec wychował się na jego tekstach.

Jakie to rzeczowe, jakie obiektywne!

Jak świetnie wykazał MFR głupotę swego przeciwnika politycznego – głupotę bliską brakowi instynktu samozachowawczego! Umie rozmawiać z ludźmi! Tylko głupcy są przeciwko niemu! Taka bojowość, ofiarność, witalność!

Jak Lenin!

„Nasz najbardziej polski Generał Jaruzelski może być dumny z tego, że otaczają go tacy ludzie”.

Jak cudownie uzupełniają się z GENERAŁEM: „on dystyngowany, Pan – nerwus...”

Ach, co za dzicz ośmieliła się śmiać i gwizdać!

*Jestem pewien, że ci, co pogwizdywali podczas pańskiego przemówienia, nie słyszeli gwizdania pocisków artyleryjskich w czasie II wojny światowej.*

(To na pewno autentyk.)

Ach, ci stoczniowcy-krzykacze, wychowani w dobrobycie! Autorka listu, sierota, na Zachodzie na pewno musiałyby paść krowy lub żebrać, a tu trafiła do sierocińca („internatu”) i zdobyła wykształcenie średnie zawodowe – „dzięki Państwu!”

(Też pewnie prawdziwe. I przerażające. Vide Górnicki.)

W czym imieniu Wałęsa mówił „my”? Przecież Solidarności już nie ma! W imieniu podziemia? W imieniu wyjętych spod prawa? JAKIM PRAWEM?

A oto wierszyk dla Pana, Panie Premierze.

(Znów najpewniej autentyk!)

*Zawierzyć Władzy w jej dobre chęci  
Bo kto nie wierzy niech go pokręci  
Bo Władza przecież to część nas  
A Rząd tak bardzo wierzy w nas*

No, i trochę listów niechętnych – troszeczkę, żeby widać było, jak obiektywna, szczerza i uczciwa jest cała książka.

Same anonimy. Żaden z oszczerców nie odważył się podpisać! A poziom, a język – mówią same za siebie.

... *ty knurze perwersyjny (...) ty świnię czerwona (...) ty debilny czerwony (...) ty znieawidzona świnię, ty gnoju niedopieszczony...*

*Wystąpienie Pana w Stoczni Gdańskiej, jak również pańskiego klakiera Urbana...*

(To znów wygląda na autentyk, i brzmi nieźle, choć Urban w Stoczni nie występował, tylko siedział z boku i posyłał oficera po okulary – ale potem słowa „klakier”, „klakierzy” – niemodne, kabaretowe, zapomniane, przedwojenne – będą się powtarzać co chwila: ach, ci przeciwni Panu i Władzy KŁAKIERZY! Ci KŁAKIERZY opozycji! To już na pewno zredagowane, na pewno fałszywe. Spodobało się po prostu Frakowi albo wydawcy to słowo: „klakier”. Najęty klaskacz, najęty wygwizdywacz. Dobrze!)

*Lokaju Andropowa (w ZSRR właśnie przez rok rządził Andropow), służbie Moskwy po co przyjeżdżasz na Wybrzeże, razem z tym Kłapouchem, który to mówił, że „rząd się wyżywi”, a reszta was nie obchodzi...*

Kłapouch – to fakt – źle wykonał swoją robotę. Pomylił się na samym początku: nie, nie trzeba było przyjeżdżać na Wybrzeże, nie trzeba było próbować „pojednania”. Po tym, co zrobili 13 grudnia, pojednania nie będzie, czas niczego nie łagodzi, mijające lata niczego nie dają, pomylili się wszyscy. Za bardzo upokorzyli ludzi, nie wybrną z tego. Teraz to już naprawdę musi upaść system, ale – i to niewiarygodne, to naprawdę nie mieści się w głowie! – oni nie przewidzieli, że tak będzie. Nawet Frako nie przewidział. Nawet Urban – zawsze w tłumie, zawsze w ruchu, w knajpie, w barze, zawsze wśród ludzi – nawet on nie przewidział.

Największa kompromitacja polityczna Urbana. Ale nikt nie zwrócił na to uwagi i bardzo mu to nie zaszkodziło. Gadanina o zapomnianych okularach też nie. Kto by wierzył wtedy Urbanowi, kto miałby do niego zaufanie?

Co do Fraka (który „nie spodziewał się” ludzkiej furii po trzech latach pacyfikacji) – nie była to jego jedyna klęska za stanu wojennego, skądże. Najzyczliwsi twierdzili, że wrogowie pchali go na stracone pozycje, ale czemu tak ochoczo wrogom ulegał? Jak mógł się zgodzić na wygłoszenie 3 maja, akurat 3 maja, w święto narodowe przedsowieckiej Polski, słodkiego, liberalnego sejmowego przemówienia, obiecującego wolność słowa i wolność kultury, jeżeli tylko druga strona przyjmie wyciągniętą prawicę władzy i zrezygnuje ze swoich grymasów? Nikt jego pięknej, wysmakowanej mowy nie słuchał. Posłowie stali przy oknach, patrząc na bitwę uliczną, na czołgi, kłęby gazów łzawiących, wybuchające petardy i walące po głowach buntowników pałki. Posłowie bali się, że buntownicy (strasznie byli tego dnia rozjuszeni) wtargną do budynku, a wtedy – co z nimi będzie? Czytał Frako swój referat o konieczności porozumienia i tolerancji przed pustą salą, na której siedział tylko woskowo nieruchomy generał Jaruzelski w swoich czarnych okularach. Jeden przegrany mówił do drugiego przegranego, udając, że zwraca się do całego narodu. Albo jeden zwycięzca do drugiego zwycięzcy. Słowa niewiele już znaczyły.

Jeżeli zakuje się człowieka w kajdany, nie chcąc go zabić, to po jakimś czasie trzeba go będzie rozkuć. I to właśnie problem. Im dłużej będzie się zwlekać, tym większa będzie nienawiść niewolnika, a nienawiść bywa groźna. Zwykle jest groźna. Dobry polityk zdoła sobie z tym poradzić, a Generał wyobrażał sobie, że jest dobrym politykiem. Frako też sobie to wyobrażał. Nie sprawdziło się.

W wypadku Urbana też się nie sprawdziło.

*Ludwik XIV* – napisał Urban w jednym z felietonów poprzedzających stan wojenny – *choć był tępy, rozumiał ducha czasu, gdyż duch ten był bardzo krzykliwy.*

Duch **tego** czasu też był bardzo krzykliwy, ale oni go nie rozumieli. Ani trochę. Duch czasu **we mnie** rzuca kamieniem? „Tego się nie spodziewałem!”

Nawet Urban się nie spodziewał, choć go powszechnie uważano za najinteligentniejszego z całej junty. Skompromitował szefa, i nic nie wskazuje na to, żeby to właśnie było jego celem. Ot, wygłupił się. Mimo wszystko nie słyszał wyjącego, gwizdzącego, wrzeszczącego, pełnego nienawiści i marzącego o zemście ducha czasu.



## General

Postawił Urban na czerwone i wygrał.

13 grudnia 1981 roku na ulice wyjechały czołgi, drzwi do mieszkań wyważano łomami, na murach rozklejono obwieszczenia, grożące prawie za wszystko straszliwymi karami, na zaśnieżonych ulicach stanęły wojskowe posterunki z koksownikami, odcięto telefony, zamknięto szkoły i wyższe uczelnie, kraj pokryto obozami internowania – i tak dalej, i tak dalej.

Od szesnastu miesięcy czekano na coś takiego. Nikt się nie łudził, że Rosja tak sobie, po prostu, zrezygnuje z podbitego kraju. Przypuszczano, że zaatakuje zbrojnie jak w Czechosłowacji, jak na Węgrzech, jak w Afganistanie. Czekano na to. Niemal radośnie na to czekano. Gdyby ta oczywistość budziła lęk, nie byłoby dziesięciu milionów ludzi w Solidarności, nie byłoby bezustannej eskalacji żądań – aż po wolność, aż po niepodległość, w końcu o to chodziło, i *bój to ICH będzie ostatni!*, i coraz większych, coraz potężniejszych manifestacji ulicznych, kiedy wojska rosyjskie, czeskie i niemieckie zaciskały pierścień wokół polskich granic, kiedy urządziły manewry na polskich ziemiach (miały prawo), kiedy straszono, straszono, straszono bez przerwy. Nie przestraszano.

Ludzie czekali na ICH wejście. Chcieli się wreszcie bić. Chcieli IM dołożyć – po tylu latach zakłamania, i uników, i zdrady. Zapłacić wreszcie za wszystko. Zrobić IM drugi Afganistan (ugrzęźli od paru lat po szyje w bezczelnym, też spragnionym wolności Afganistanie, który po prostu się bronił: my też będziemy się bronić, popamiętają ruski miesiąc!). Nie było uczciwej walki w 1944, kiedy nas „wyzwalali”, zaopatrzeni w glejty od Angoli i Jankesów (bierzcie sobie naszego sojusznika, sprzedaliśmy go wam w Jałcie); teraz będzie. Będą mieli wojnę w środku Europy. Wojsko stanie po stronie narodu, choćby jakiś czerwony generał próbował poddać się wrogom (powiesi się drania), a co do nas – każdy umie sporządzić cocktail Mołotowa, co trzeci ma ukrytą broń, i w ogóle – och, zobaczą wreszcie!

Kiedy już stali na granicach, kiedy spodziewano się, że wkroczą najbliższej nocy – sprzedawca zabawek spod warszawskiego ZOO, wybierając dla mojego trzyletniego synka najładniejszy, najsprawniejszy korkowiec (tłumy dzieci biegały wtedy z korkowcami, pistoletami na kapiszony, sztucznymi karabinami... i, oczywiście, w biało-czerwonych opaskach na ramionach), przekonywał, żebym się nie martwiła. Fakt, pewnie dziś wejdą. I niech wejdą, niech wreszcie wejdą! „Jak wejdą, mały będzie żył w wolnej Polsce, zobaczy pani!”

Jacek Kuroń, jeden z legendarnych działaczy tego czasu, był mądrzejszy. Kiedy wieczorem tamtego dnia przyszły *absolutnie pewne* wiadomości o dziewiętnastu po zęby uzbrojonych, czekających na granicach w pełnej gotowości bojowej dywizjach, zawołał:

– Cooo? Dziewiętnaście dywizji, kiedy na głupią Czechosłowację rzucili dwadzieścia jeden?! Dajcie mi spokój, idę spać!

I poszedł spać, i miał rację.

Ani przez chwilę nie mieli Rosjanie zamiaru WKRACZAĆ. Dokumenty udowodnią to później, ale już wtedy było to prawie jasne. Fakt, Rosja buntów nie tolerowała. Rozwaliła w 1956 zbuntowanych Węgrów, w 1968 zbuntowanych Czechów; teraz od kilku już lat próbowała opanować – bezskutecznie – zbuntowany Afganistan. Tam nie poszło łatwo: buntownicy wszczęli wojnę partyzancką, ani myśleli dać za wygraną, traciło się przez nich czas i prestiż międzynarodowy, do kraju odsyłano trupy, rodziny zabitych szalały, rodziny poborowych konały ze strachu i przeklinały władzę: nastroje nie były dobre. W dodatku gospodarczo wszystko się waliło. Niepotrzebnie dano się wciągnąć Reaganowi w wyścig zbrojeń konwencjonalnych. Cóż, nie czas płakać nad rozlanym mlekiem, i tak było w nim dość wody. Na wschodzie wojna, której końca nie widać, w kraju ruina i fatalne nastroje, na zachodzie bunt. Powróż na szyi mieli rządzący wtedy na Kremlu; naprawdę powróż na szyi!

Co nie znaczy, że chcieliby stracić Polskę: biorą tę możliwość pod uwagę (uwikłani w beznadziejną wojnę na wschodzie, z kryzysem wewnętrznym, z walącą się gospodarką, z zależnością od Zachodu i zależnością władz tegoż Zachodu od opinii publicznej, i jeszcze wobec faktu, że to jednak E-U-RO-PA, naprawdę nie mogą sobie pozwolić na zbrojny atak), ale woleliby jej uniknąć. Unikną, jeśli załatwią sprawę cudzymi rękami. Polskimi rękami.

*Załatwili.*

W nocy z dwunastego na trzynastego grudnia w ciemnym pustawym gmachu Urzędu Rady Ministrów Urban nudzi się z Frakiem w gabinecie Fraka, Górnicki przebrany w mundur śpi na kanapie, a generał Jaruzelski szlifuje w dawnej sypialni Piłsudskiego swoje przemówienie dla radia i telewizji. Na zewnątrz wojsko robi swoje. Rano już nie będzie ani Solidarności, ani wolności, a radio i telewizja powiadomią o powstaniu Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, której szefem został Pierwszy Sekretarz PZPR, premier, generał Wojciech Jaruzelski. Nowa władza zrobi teraz porządek.

Już prawie zrobiła.

Operacja wojskowa poszła całkiem sprawnie (wiekuisty instynkt plemienny nie pozwala bić swojego tak, jak obcego, a zaskoczenie też zrobiło swoje): chluba i chwała generała. Spodziewał się, że będzie trudniej. Za to potem miało być łatwiej. Pobici mieli zrozumieć beznadziejność swojej sytuacji, głupotę swoich rojeń, i spokornieć.

Nie spokornieli.

Ale to przyszłość. Na razie Urban, który postawił na czerwone, pali papierosy w siedzibie rządu, i trochę się nudzi, a trochę niepokoi, i czeka. Czy rano na pewno będzie po wszystkim?

Rano JEST po wszystkim. Prawie.

13 grudnia 1981 powstało w Europie Wschodniej nowe państwo: Ubekistan, rządzone przez generała Zomozę. Stolicą jest miasto Jaruzalem, monetą jaruzel (= 30 srebrników), godłem – wrona w rogatywce. Hymn nowego państwa brzmi tak: *Jeszcze Wrona nie zginęła /Póki my kraczymy. /Co nam Solidarność wzięła / Czołgiem odbierzemy. /Marsz, Jaruzelski / Od klęski do klęski /Za twoim przewodem /Zerwiemy z narodem.*

Jeden z ponurych żarcików stanu wojennego.

Stanu, w którym Urban był wicekrólem.

Szedł o pół kroku za swoim bożyszczem, za swoją „wielką, nieuleczalną miłością”, Wojciechem Jaruzelskim herbu Ślepowron, twórcą Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, w skrócie WRON, potocznie – wrony. Ślepowron nazwał swój rząd Wroną, symboliczne! Ludzie konali ze śmiechu.

Uczuliło to Urbana na możliwości żartów ze skrótów nazw partii, organizacji, wszystkiego. Za późno go uczuliło. Po latach, w swoim „Nie”, starał się jak mógł. Powiedzmy, Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, w skrócie ZChN? „Partia pisana przez ch”, niby jak „chuj”, które to słowo aż nazbyt często pisane jest na murach nieortograficznie, co Urban murom (słusznie) wypominał. Unia Demokratyczna? Mumia Demokratyczna. Itd. Niby nic specjalnego. Jedno mu się udało: w czasach walki o Wartości Chrześcijańskie (miały obowiązywać w prasie, radiu, telewizji, i w ogóle we wszystkich mediach), zauważył oczywisty skrót: WC. Wartości Chrześcijańskie, czyli WC, czyli wychodek, smród i ekskrementy. Prawie się odegrał za Wronę. Bo to się przyjęło. Przyjęło się jak cholera!

Ale to dopiero będzie. Na razie mamy stan wojenny, w którym Urban jest wicekrólem. Motłoch (którego wicekról nienawidzi) przegrał, generał (którego wicekról uwielbia) wygrał. Lepiej być nie może!

A oto i generał. Wielka, nieuleczalna miłość Urbana. Klucz do Urbana, być może.

Wojciech Jaruzelski, z Jaruzelskich herbu Ślepowron. Świetna rodzina. Ziemianie. W dzieciństwie pisywał urocze liściki do pisma *Słoneczko*. Był ministrantem, dobrym uczniem,

grzecznym chłopcem i miał ambicje literackie. Przyszła wojna. Całą rodzinę Rosjanie wywieźli na Sybir, drzewa ścinać w mrozie i śniegu: latem pnie miały po dwa i pół metra wysokości, bo śnieg zimą bywał dwumetrowy, ale nikomu to nie przeszkadzało. Rodzina nie wytrzymała, on przeżył. Trafił do polskiego wojska tworzonego w Rosji (do tego drugiego, czerwonego, bo do „prawdziwego”, tego, co poszło do Persji i dalej, nie zdążył), i zrobił w nim karierę. No, awansował. Wkroczył z tym rosyjsko-polskim wojskiem do swojej ojczyzny, i dalej robił karierę. Został generałem. Wiceministrem obrony, ministrem obrony. Potem, jako najwierniejszy z wiernych, premierem, i Pierwszym Sekretarzem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, i szefem sił zbrojnych, i szefem Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, i wprowadził w swoim kraju stan wojenny, bo Rosjanie tego od niego żądali (nie tylko żądali, nawet prosili, tak prosili!), i kazał strzelać do strajkujących górników, i zamykać związkowców w obozach internowania, i wszystko, co się zwykle robi w stanie wojennym.

Ludzie go kiedyś lubili, bo dobrze wyglądał w mundurze opiętym na ortopedycznym gorsecie (miał ponoć coś z kręgosłupem) i w czapce (wcześnie wyłysiał). I pięknie mówił po polsku, jak wykształcony człowiek z dobrej rodziny, miło było słuchać. Poza tym ucierpiał od ruskich, strasznie ucierpiał. Dla wszystkich było jasne, że musi ich nienawidzić, tylko się maskuje, jak każdy. Ale ucierpiał bardziej niż każdy, więc i nienawidzić musi bardziej. Bliskich mu wymordowano, dom zabrano, na Sybir zesłano: czy mógłby nie marzyć przez całe życie o słodkiej zemście? Kiedy zaczął brać władzę – partyjną, wojskową, wykonawczą – spodziewano się po nim nagłej wielkiej wolty. Człowiek tak przez nich skrzywdzony maskuje się, maskuje, a potem im pokaze! Wykorzysta swoją władzę, żeby dać przerażonym perspektywę interwencji wrogom prztyczka w nos, zrobić wyłom w systemie i przejść do historii. Widziano w nim Wallenroda. Był posłusznym aparatczykiem. Nie chciał zostać postacią historyczną, nie chciał wielkości. Był żołnierzem, wykonującym posłusznie każdy rozkaz zwierzchnika. Tu zwierzchnikiem był zaborca: co za różnica? Nie miał generał ludzkich uczuć, nie pragnął zemsty. Oszukał swoich i zrobił, co mu kazali obcy. Mało tego: może tak mu wyprano mózg, że stał się BOLSZEWIKIEM?

Tak go widziano, tak o nim myślano.

Na pewien czas przed swoim wielkim skokiem zaczął nosić czarne, gangsterskie okulary.

Potem, gdy na ulice wyjechały czołgi, pokazał się w telewizji na tle krzywo wiszącego sztandaru, narodowego sztandaru, i wygłosił mowę. Straszyl i groził. Urban stał za kulisami i uwielbiał. Na to czekał przez całe życie; to mógł kochać.

Nawet pistolet Urbanowi wtedy dano: jakby nadeszła rewolucja. Ta prawdziwa i słuszna. Poprawka do rewolucji niezupełnie udanej. Do tej, w której nie tkwiło się w centrum wydarzeń. Teraz było się przybocznym WODZA. Teraz się kochało, teraz się uwielbiało; teraz wszystko było jak trzeba.

Wiaczesław Mołotow (naprawdę hrabia Skriabin), ten który po czwartym i totalnym zagarnięciu Polski przez Rosję wołał z triumfem, że skończono wreszcie z *tym bękartem Traktatu Wersalskiego*, udzielił jednemu z moich rosyjskich kochanków Wywiadu-Rzeki (wyszła z tego książka *140 spotkań z Mołotowem*). Kochanek czcił Stalina i wielką Rosję. Mołotow też. Kochanek nie miał pojęcia, jak było za Stalina. Mołotow miał. Kochanek nosił na grób Stalina pod kremłowskim murem bukiety purpurowych róż, bo strasznie mu było żal człowieka najpierw ubóstwianego, a potem wyrzuconego z mauzoleum, człowieka, któremu wznoszono pomniki, żeby potem je burzyć, zabalsamowanego, a potem wpakowanego do zwykłej trumny i przysypanego ziemią, wychwalanego jak Bóg, a potem szkalowanego jak diabeł. Napisał poemat o Stalinie, rozesłał po redakcjach, i – choć nikt poematu nie wydrukował – karierę literacką miał natychmiast z głowy. Napisał do Mołotowa, a Mołotow się wzruszył. 140 razy przyjął egzaltowanego młodzieńca w swojej podmoskiewskiej dacy. Kolejnego spotkania nie było, bo – blisko stułetni – Mołotow hrabia Skriabin nagle umarł.

Tylko dla jednego Polaka znalazł Mołotow w ciągu tych 140 spotkań dobre słowo: dla Jaruzelskiego. Oto prawdziwy bolszewik!

„– Ja tam nigdy o nim nie słyszałem, zanim nie został w Polsce pierwszym sekretarzem. Wśród Polaków bolszewicy byli rzadkością. Ale jednak się zdarzali. Dzierżyński na przykład. To był człowiek wielkiej klasy. A w tamtych czasach Polacy byli jeszcze gorsi niż teraz. Moim zdaniem Jaruzelski wyciągnął nas z kłopotu.”

Kto poza tym znalazł uznanie w oczach hrabiego? Andropow, wieloletni szef KGB, na krótko (umarł bodaj własną śmiercią – ale przedtem, jedyny w dziejach ZSRR, kazał obniżyć ceny wódki i masy go pokochały) szef ZSRR i całego czerwonego świata. On i Jaruzelski – wielka to była, wielka szansa „dla nas, komunistów”. Przed nimi – cóż, przed nimi Fidel Castro był również „dobrą niespodzianką”. Bo w ogóle dobre niespodzianki zdarzają się rzadko. Jaruzelski był w smutnych latach poststalinowskich jedną z trzech. Jedyny polski bolszewik po Dzierżyńskim, niezłomnym i czystym twórcy Czeki: wspomniał!

W dodatku też z dobrej rodziny (choć nie tak dobrej jak Skriabinowie), też czysty i służbisty. „Wyciągnął nas z kłopotu”.

Dla Urbana czysty i służbisty generał stał się „wielką, nieuleczalną miłością”. Wielka miłość zmienia ludzkie życie. Zmieniła życie Urbana.

Za co go tak pokochał, jeżeli nie mamy się bawić w doktora Freuda? Ba. Może za to, że wydawał się być jego, Urbana, przeciwieństwem, a może i nie za to.

Generał był PANISKIEM. A mimo to traktował innych jak równych sobie! I wcale nie był taki sztywny – on, herbu Ślepowron, on, generał, wódz, władca – jak się mogło wydawać oglądaczom telewizji. Bywał nawet – powie to Urban, w życiu się tak nie roztkliwił i nie ośmieszył – bywał nawet ŁOBUZERSKI. (O, darling!) Och, on musi się bardzo podobać kobietom! „Jeszcze dziś generał Jaruzelski mógłby mieć dowolną ilość kobiet w dowolnym wieku, ponieważ jest najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego znam, właśnie z punktu widzenia kobiet” – powie Urban w latach dziewięćdziesiątych. Czarujący! (O, darling!)

I taki wzruszający w swojej czystości, abstynencji i naiwności! Kazał kiedyś adiutantowi odszukać Urbana, adiutant znalazł go w redakcji „Polityki”, i kiedy w tle strzeliły korki od szampana, kiedy Urban uspokoił, że to nie jest prawdziwa salwa, Generał tak cudownie, z tak rozkoszną troską powiedział: „Mam nadzieję, że oni się nie popiją; proszę, wpływcie tam jakoś!” Prawda, że rozkoszny?

I tak uroczo nadyma twarz, tak się zasepia, kiedy coś idzie nie po jego myśli! „– Niedobrze się stało” – mówi (a kochającemu go człowiekowi aż się serce kraje).

I taki abnegat z niego: cztery razy z rzędu może jeść parówki, i nawet nie zwróci na to uwagi. Wszystko mu jedno. Nie to się dla niego liczy. Mleko pije. Alkoholu nienawidzi jak normalny człowiek szpinaku. Siedzi po nocach nad papierami, cyzeluje każde zdanie, zastanawia się nad każdym słowem, poprawia siedemdziesiątą wersję tego samego tekstu. Pedant, cudowny pedant. Redaktor naczelny Polski Ludowej. Można by powiedzieć, że słowo jest dla niego ważniejsze od czynu!

No dobrze: to prywatnie. Pije mleko, nie pali, nie romansuje, bywa wręcz ŁOBUZERSKI i klnie okropnie. Ale co poza tym? Z tych powodów nikt na świecie by go nie zapamiętał. W końcu to polityk!

O, tak. Wielki polityk. Od czasu Stanisława Augusta – tego, który podpisał akt ostatecznego rozbioru, unicestwiając swój kraj – nie było kogoś takiego. (Serio to mówi, serio i z podziwem, syn Jana Konrada Urbacha!) „Jeżeli historia nie uzna Jaruzelskiego za największego polskiego polityka XX wieku, będzie to jedna z jej nieustannych pomyłek.”

Cóż, urzeczenie.

„Największy umysł, z jakim się zetknąłem, przynajmniej wśród ludzi. Wielka i już nieuleczalna moja miłość.”

Z tym się nie dyskutuje.

Nie ma Boga poza Nieznanym, a Mahomet jest jego prorokiem. Nie ma Boga poza Jaruzelskim, a Urban jest jego prorokiem. Tak to mniej więcej wyglądało. Stary cynik nagle doznał objawienia. Nagle pokochał kogoś nad życie. Nie byle kogo. Wodza. Szefa.

I rozgłosił to na cały świat. Tak, kocha go, podziwia, uwielbia, uważa za największego z ludzi! Dumny jest z tego, że choć na tym krótkim odcinku drogi (1981-1989) mógł być jego pomocnikiem, sługą, piorunochronem. Inni tego nie rozumieją? Tym gorzej dla innych.

Wielkie miłości rzadko bywają wzajemne. Ale przynajmniej lubił go przecież Generał! Tak napisał w książce: „Ja go po prostu lubię.” Czy to mało? Poza wdzięcznością za oddane usługi, po prostu go lubił. Szczęściarz z tego Urbana!

No nie. Niezupełnie tak było. Inaczej napisał Generał. Napisał tak:

„Ciężko narażę się wielu czytelnikom. Ale ja po prostu go lubię.” Czymże to miał się czytelnikom narazić? Tym, że „po prostu lubi” tak zniechęconego potwora jak Urban? Toż zniechęcono Urbana dopiero wtedy, kiedy się z Generałem związał, i właśnie za to! Najlepszy dowód, że rola odgromnika została dla Urbana z góry wymyślona i mądrze wymyślona. „Ciężko narażę się wielu czytelnikom” – parę słów radośnie pełnych wiary w krótkość ludzkiej pamięci, i słusznie.

Przepadano za Urbanem dopóki nie postanowił pójść za głosem serca. I co dostał w zamian za swoją „wielką, nieuleczalną miłość”? Kilka zakłamanych już na początku komentarzy.

„Żelazne nerwy. Piekielna inteligencja. Sardoniczne poczucie humoru. Autoironia posunięta aż do ekshibicjonizmu. Przerazliwie chłodny pragmatyk. Prawie wszyscy uważają go za cynika. Ja do końca nie wiem, czy czasami nie jest to po prostu przekora albo poza, swego rodzaju «garda», spoza której wyprowadza polemiczne lub prowokujące ciosy. Bo przecież jednocześnie koleżeński, uczynny, w bezpośrednim, kameralnym kontakcie po pickwickowsku towarzyski i refleksyjny.” Nie, nie trzeba go tak strasznie nienawidzić za jego podłość w stanie wojennym! W końcu podsuwano mu wtedy, do propagandowego przetworzenia, kłamliwe informacje i materiały...

Nie, inaczej wypowie się Generał: informacje i materiały, „które, jak dziś wiadomo, nie zawsze były – mówiąc delikatnie – wiarygodne”. **Jak dziś wiadomo!** A wtedy? Doprawdy, nie wiedział człowiek obdarzony przez los i Kreml niemal totalną władzą, czym obciąża swój piorunochron? Kto mu „podsuwał” stek kłamstw, starając się, żeby choć w niektóre z nich wierzył?

Trudno. Chcącemu nie dzieje się krzywda – a bardzo chciał Urban wejść w świat polityki, bardzo chciał zostać „działaczem państwowym” i uwielbiał Generała. Wszedł w świat polityki, został działaczem państwowym, a Generał po latach poświęcił mu kilka miłych słów. Bronił go wręcz przed hipotetycznym czytelnikiem, przekonany (na pewno!), że Urbanowa ohyda rzuciła cień na jego, Generała, kryształową postać. Nie; on nie obrzuci Urbana błotem. Znajdzie nawet dla niego okoliczności łagodzące. Miły będzie dla swojej zardzewiałej Wunderwaffe. A mógł przecież nie być miły.

Urban, ten cynik, zachował złudzenia. Był *blaznem w dworskiej służbie*, jak napisze z dumą we wstępie do tomu swoich felietonów z czasu zawieruchy. Nie odstraszała go liberia: proszę bardzo, mógł ją nosić. *Mnie interesują bardzo stosunki władza – społeczeństwo, a o statusie komentatora zdarzeń decyduje pan, a nie sługa. Pan ów odbierał mi swoje barwy, kiedy miał liczną a pilniejszą służbę. Dopiero na upadłych, wyludnionych dworach cenić się zaczyna starego wiernego sługę, choćby się spoufalali i nie można było na nim polegać.* Tak to sobie stary wierny sługa wyobrażał.

Niezbyt trafnie.

Nie tylko Urban zachwycał się Generałem **prywatnie**; robili to prawie wszyscy, którzy go poznali. Taki miły, szarmancki człowiek o doskonałych manierach! Taki (aż wstyd bierze za

własne grzechy) nieskazitelny w życiu osobistym! Jediną córkę nazywał Guciem, Gustawem, koziółeczkiem, Bibiński. Taki czuły, taki serdeczny, taki zabawny, taki kulturalny, taki szczupły, taki wyprostowany, taki elegancki, taki wykształcony, taki ŁOBUZERSKI! Jako człowiek – klasa. Nie było innych takich za komuny. Może na dole, ale na górze, u władzy – nie było.

I uczciwy był, taki uczciwy! Długo po utracie władzy kupił córce mieszkanie z pieniędzy za własne pamiętniki, wyobrażacie sobie?! Za swoje pieniądze kupił, za normalną, rynkową cenę! Nie załatwił tego wcześniej, kiedy wystarczyło słowo powiedzieć: czekał, dopóki się nie dorobił. Słyszał ktoś o czymś podobnym? Nikt nie słyszał. Tego nigdy nie było!

W życiu Jaruzelskiego, dopóki był u władzy, też nie tak było. Willę na Mokotowie kupił ponoć (a jakże: kupił, nie dostał) za cenę, którą nawet ja wyjęłabym w pięć minut z książeczki PKO. Ale taką cenę mu podano, więc kupił uczciwie. Jak Gomułka swoją willę w Konstancinie, Gomułka, któremu szyto garnitury za część prawdziwej ceny, a on i tak dziwił się bardzo, że tak drogo, Gomułka, którego UCZCIWOŚCI tak bardzo ludziom brakowało w ostentacyjnie złodziejskich czasach Gierka. Generał też był wzorem skromności i ascezy. Żadnych korzyści ze stanowiska! Za to, co ma, zapłacił uczciwie, z własnej pensji. Jeśli chciał kupić pałac, i powiedział swoim, że chce kupić pałac, a swoi znaleźli coś odpowiedniego, a cena wynosiła dziesięć dolarów, to czemu miał SWOIM nie wierzyć? Widać takie są ceny, nie będzie sprawdzać, nie ma czasu. Gomułka i tak dostałby szalu, że za drogo!

A więc nieskazitelny albo rozkosznie naiwny, wzruszająco naiwny i kryształowo czysty był Generał dla tych, którzy go lubili.

Kto go lubił? Ludzie tego samego pokroju, którzy – według Dygata – pasjonują się sportem. Łamagi. Jak Górnicki, wykluczony z wojska (a tak by chciał!) z powodu potężnej wady wzroku. Jak Urban, który w mundurze wyglądałby śmiesznie, a zresztą wcale nie chciał, wręcz przeciwnie, migał się jak mógł, krwi dodawał do próbek moczu, znajomych mobilizował, byle nie odsługiwać wojska, a i politykiem (tego to by chciał!) też nie mógłby zostać: Żyd? Niski Żyd z odstającymi uszami? Wybij to sobie z głowy, baranie, jak mówił Frako.

A Generał, niczym dobra wróżka, realizował niespełnione, nierealne marzenia. Z wiecznego cywila-wbrew-woli, Górnickiego, zrobił pułkownika. Z pełnego kompleksów dziennikarza, który w najlepszym razie mógłby stać się szarą eminencją w szarych kulisach władzy, podpowiadaczem, podszeptowaczem, ekspertem, autorem przemówień, zrobił polityka. Wielkiego, sławnego polityka, zawsze w świetle reflektorów, sławniejszego niż on sam, wypychanego na proscenium. Dobra wróżka. Fortuna z rogiem obfitości, czarodziej, Bóg! Jak go nie kochać?

W 1981 Jaruzelski zgarnął (dostał od Wielkiego Brata) całą władzę. Był szefem wojska, szefem Partii, szefem rządu. Tak godnie i słodko, tak niewinnie, tak niemal ŁOBUZERSKO wysyłał w teren swoje Wojskowe Grupy Operacyjne, szykował struktury i infrastruktury do Wielkiego Skoku, że zorganizowana opozycja niczego, doprawdy niczego się nie spodziewała! Nie najlepiej to świadczy o przenikliwości opozycji, ale o profesjonalizmie generała – znakomicie.

Czasy Gierka, który żył i dawał żyć, kradł i dawał kraść, obławiał się i dawał się obławić, odeszły w niebyt. Solidarność miała osiem (a może dziesięć?) milionów członków, podczas strajków ogłaszała powszechną abstynencję, urządzała msze polowe i odmawiała litanie. Trzeba było po drugiej stronie kogoś podobnego, tyle że lepszego. I był taki. Naprzeciwno nieskładnie i niegramatycznie gadającego robotnika znalazł się ziemianin z herbem. Naprzeciwno ojca ósemki legalnych dzieci, bez przerwy oglądającego się za panienkami (zaraz go sfilmowano, ponagrywano, był na niego materiał: nawet podczas nabożnej wizyty u papieża skoczył sobie ponoć Wódz Ludu do rzymskiego burdelu) – wierny mąż z jednym, ale ukochanym dzieckiem (koziółeczkiem, Gustawem, Bibiński). Żadnych nałogów nie miał (poza

stanem wojennym, kiedy nerwy zmuszały do palenia – ale nigdy nie zawlókł tej zarazy do domu, nigdy!) czerwony generał, a wódz ludu papierosa albo fajki z ust nie wyjmował. I popijał wódz ludu jak wszyscy, podczas gdy Generał – „okazjonalną lampkę wina” od czasu do czasu, nic więcej. Święty człowiek!

Zresztą, jeśli nawet ktoś miał coś „na Jaruzelskiego”, to jego ludzie. Nie ma się czym przejmować.

No, i Sowieci. Tym można było się przejmować, owszem. Chyba że się było bardzo posłusznym, a Generał był bardzo posłuszny, jak to w wojsku. Na sto procent, do końca.

Nie był tak prostoduszny jak Urban, to na pewno. Niejeden nazywał go – Generała – tchórzem. W odwagę Urbana nie wątpiono. Ten nie bał się niczego! I nie jest prawdą, że na ruletce swego życia obstawił po prostu czerwone. Stawiał na zero: minimalne szanse wygranej, trzydziestosześcioletni zwrot stawki, może nawet rozbić banku, jeśli się uda. Że nie ryzykował wiele, trzymając się władzy? Władza mogła się w każdej chwili zmienić. Świadomie ściągnąć na siebie powszechną nienawiść nie jest niczym wesołym. Ochrona? Kiedy Jaruzelski, długo po stanie wojennym, pokazał się wśród ludzi, miał przecież ochronę. Nie przeszkodziła próbie zabójstwa, przypadkiem nieudanej: malutka różnica w kącie uderzenia, i byłoby po nim. Więc co z tego, że Urbanowi też dano ochronę, a później, po latach, mógł ją sobie sam opłacać? Zrobił z siebie na zawsze cel na strzelnicy, bo takie miał poglądy, bo tak mu się podobało. Jaruzelski był zwiadowcą na pierwszej linii frontu, ale takiej odwagi, jak odwaga Urbana, nie widział. Sam przeciw wszystkim, ciągle sam przeciw wszystkim!

On, Jaruzelski, tchórzyl.

Albo miał sumienie i skrupuły. Kiedy zażądano od niego na Kremlu spacyfikowania własnego kraju, wzbraniał się. Nie chciał zostać pierwszym sekretarzem, raz nawet był gotów zrezygnować z funkcji premiera. Jeśli już trzeba TO zrobić, niech TO zrobi kto inny! Inni byli gotowi: w końcu chodziło o władzę. Olszowski, beton partyjny, doprosić się nie mógł, żeby to jemu zlecono tę misję, załatwił sobie poparcie Niemców, naciskał. (Kiedy się nie udało, wybrał po jakimś czasie prywatne, dostatnie życie w Ameryce.) Już powstało tajne Biuro Polityczne. My to zrobimy, MY! Rosjanie woleli Jaruzelskiego: faktycznego szefa armii, człowieka popularnego we własnym kraju, gdzie za mundurem panny sznurem, bolszewika. Był najlepszym rozwiązaniem. Nie brało się pod uwagę innej kandydatury.

Nie chciał tego zrobić. Z otwartych na trochę po upadku systemu archiwów Kremla wynika jasno, że bronił się jak mógł. Już w dwa miesiące po wybuchu Solidarności Breżniew mówi: „Co się tyczy towarzysza Jaruzelskiego, to oczywiście człowiek pewny, a jednak w tej chwili zaczyna mówić bez szczególnego zapału”. To prawda, stwierdzają wice-władcy. Wygląda na zdruzgotanego. Jest w nie najlepszym stanie. Spycha ofiarowane mu stanowisko na kogo innego. „Krażą nawet takie pogłoski, że Jaruzelski całkiem upadł na duchu i nie wie, co robić. To oczywiście bardzo źle”. Niektórzy zaczynają już wątpić w słuszność wyboru właśnie jego na kata własnego kraju. „Co się tyczy polskich przywódców” – powie Ustinow – „uważam, że trudno powiedzieć, który lepszy. Kiedyś sądziliśmy, że generał Jaruzelski jest niezłomnym działaczem. Okazało się, że w gruncie rzeczy jest słaby.”

Ale Breżniew nie widzi alternatywy. Jaruzelski albo nikt.

Nie, nie zwolnią go z jego funkcji! Zostały mu powierzone i ma je pełnić z godnością! W końcu jest żołnierzem!

Tak, był żołnierzem. Nie myślał o sobie inaczej, nie określał siebie inaczej. „Jestem żołnierzem”.

Więc na co czeka?

Przez rok kluczy, zwodzi, zwleka, proponuje jakieś pokojowe regulacje, chce ciągnąć sprawę przez Sejm (bzdura!); wreszcie ulega.

– Zrobię wszystko jako komunista i jako żołnierz, Leonidzie Iljiczu, żeby sytuacja się poprawiła, żeby doprowadzić do przełomu w kraju i naszej partii.

Nareszcie!

Jeszcze próbuje się targować, wywalczyć pomoc gospodarczą po pacyfikacji – jakby Rosjanie mogli takiej pomocy udzielić! Wszystko się wali, system się wali, zostały tylko czołgi, żeby trochę odsunąć agonię: niechże Jaruzelski – jako komunista i jako żołnierz – wyprowadzi wreszcie czołgi!

Zrobił to.

Poinformował swą zwierzchność w Moskwie o nadłamaniu stosu pacierzowego kontrrewolucji. Okrzepł jako działacz polityczny. Chwalono go.

„Wyciągnął nas z kłopotu”.

Po czym zaczął kłamać. Przekonywać, że to, co zrobił – to straszliwy, dramatyczny wybór „mniejszego zła”. Czyż nie byłoby większym złem, gdyby czołgi były zagraniczne? Gdyby nie on, weszliby Rosjanie. Ile krwi by się polało! On ratował – modne wtedy określenie – „żywą substancję narodu”. Kiedy już dla najgłupszych stanie się jasne, że interwencja sowiecka nie wchodziła w grę, Urban wymyślił nową wersję propagandową zamachu z 1981: dobrze, Rosjanie by nie weszli, ale może Jaruzelski nie wiedział tego Całkiem Na Pewno? Czy nie lepiej okazać nadmiar ostrożności, na wszelki wypadek? A gdyby im się odmieniło? Co za katastrofa!

W domyśle: Polacy by walczyli, a nie ma walki bez ofiar. MY, ludzie mądrzejsi, nie pozwolimy tym wymóżdżonym durniom – społeczeństwu, ludności, narodowi – decydować, czy chcą za coś ginąć, czy nie. Ocalimy ich nic nie warte życie, nie pytając ich o zdanie.

Nie lubił Urban polskich powstań. Nie rozumiał ich. Może się zresztą postarzał. Może jak 38 kobiet z Krakowa, którymi tak – młody zapaleniec z „Po prostu” – gardził, doszedł do tego, że w życiu chodzi o jeden pokój więcej i o kufel piwa (nie, tylko nie piwa). A tu minęło ćwierć wieku. Ludzie, kiedyś wymęczeni wojną, okupacją i wszelkimi kataklizmami zmiany ustroju tak, że nie chcieli już niczego prócz spokoju, wypoczęli przez ćwierć wieku i znów zaczęła im się śnić Pełna Chwały Krwawa Łąźnia, a potem wolność, godność, niepodległość i euforia. Rozmynał się Urban z ludźmi. Ze szczerym zadowoleniem, ze świetnym samopoczuciem stanął po stronie tych, którzy popsuli im zabawę. Istna Środa Popielcowa po ludowym karnawale.

Zabawa się skończyła, nastąpiła wojna polsko-polska, wojna polsko-jaruzelska. I nienawiść. Straszna – tym większa, że bezradna – nienawiść do zdrajców.

Ludzie układają o Generale wiersze, układają o nim piosenki. Czasem patetyczne, czasem po prostu obelżywe. Jak ta zawierucha wyzwisk, drukowana na odwrocie fotografii generała w gorsecie i czarnych okularach, wyzwisk tak obrzydliwych, że szczęściarze, którzy są akurat w Paryżu (tam to sprzedają, w Księgarni Polskiej), nie kupują, bo to naprawdę zbyt kloaczne, zbyt wstrętne. Potem żałują. Urban chyba pocztówkę z Generalem zna: dużo z niej będzie w jego „NIE”. Z innymi adresatami.

W malutkich broszurkach, które tak łatwo zdobyć tuż po wyprowadzeniu czołgów na ulice, więcej jest patosu niż obelg.

*Wesołych Świąt, panie generale!*

*Wesołej śmierci, choć nie będzie chlubna.*

*Dław się krwią naszą przy świątecznym stole*

*Życzą ofiary następnego grudnia.*



Albo:

*Dokąd to, ślepcze, prowadzisz,  
Każąc iść w równym szeregu?  
Przecież tam mróz jest nieludzki  
I tylko WRONy na śniegu.*

Albo:

*Coś ty zrobił, coś ty zrobił, Generale,  
Że na twoich rękach krew i łzy?  
Nie odejdiesz do historii w chwale,  
Hańba będzie towarzyszyć ci.  
Przecież wszystko mogło być inaczej,  
Gdybyś Narodowi służyć chciał,  
Ale teraz Polska nie przebaczy...*

I tak dalej, i tak dalej. Wiele będzie wierszyków o Generale, nawet dzieci je układają (*Jaruzelski, Jaruzelski / to morderca / zawsze pierwszy*), i śpiewać się będzie o Generale w sypiącym śniegu, na przykościelnych placówkach (*Zielona Wrona, dziób w wężyk szamerowany*), i pisać na murach JARUZELSSKI – z dwiema błyskawicami SS w środku nazwiska, albo będzie się pisać jego nazwisko cyrylicą („ruski generał w polskim mundurze!”), i podnosić ręce z palcami ułożonymi w churchillowskie „V”, a kiedy to Generał w jakiejś mównicy wyśmiejemy („Rozczapierzają palce w kształt litery, na którą nie zaczyna się żadne polskie słowo!”), nienawidzić go jeszcze bardziej niż dotąd (Jeśli Victoria, jeśli zwycięstwo w polskim języku nie istnieje, ruski generale, starczy nam palców na literę „W” -jak wolność!), i wierzyć, jednak wierzyć w zwycięstwo.

I Norwida się cytuje, Norwida się przepisuje i powiela w ulotkach: czy nie napisał wiersza „Do wroga”, i czy ten wiersz nie pasuje do Jaruzelskiego jak ulał? *Ty! prawd-promienie wzięwszy za sztylety/ Śmiesz jeszcze mniemać, żeś wódz – żeś generał? / O! niewolniku – stój – cofaj bagnety – / Dopókiż będę za ciebie umierał?* Tak, jak o Jaruzelskim to napisane, jak w przeczuciu Jaruzelskiego, tej bryły lodu, tej *głuchej lodu bryły*: tym przecież jest, prawda? Łód. Nic ludzkiego. Bryła lodu w ortopedycznym gorsecie.

Komuś przyśni się sen o Polsce, tak zasznurowanej w ten gorset, w gorset generała, że aż krew tryska. Ktoś ten sen opíše.

Serio się generała traktuje; mógłby być z tego dumny. Bryła lodu, czerń, krew, SS. Zbrodniarz. Idealny obiekt nienawiści. Nie wywołuje śmiechu jak Urban. Nie budzi bezgranicznej pogardy jak Urban. Nienawiść i tyle. Równie zimną jak on sam.

Żartów na temat generała nie będzie. No, może poza jednym.

W grudniu 1981 ktoś napisał na murze, a inni zaczęli to powtarzać i pisać na innych murach, mały wierszyk:

WRACAJ GIEREK DO KORYTA  
LEPSZY ZŁODZIEJ NIŻ BANDYTA

Poza tym jednym wesołym graffiti nie było się z czego śmiać. I nie śmiano się.

Owszem, próbowano sobie czasem wyobrazić, jak mógłby się Generał usprawiedliwiać. Nikt nie znajdował usprawiedliwienia. To przyszło później, po wszystkim. (Może naprawdę chciał uchronić kraj przed sowiecką inwazją? Może naprawdę myślał, że wybiera „mniejsze

zło”? Może się mylił, ale „uczciwie” mylił? Im więcej czasu mija, im mniej to wszystkich obchodzi, tym łagodniejsze są opinie.)

Wtedy „opinie” nie były łagodne. Wtedy nie było wybaczenia. Nigdy nie miało być wybaczenia. Wyobrażano sobie Generała błagającego Najwyższy Trybunał o łaskę, tłumaczącego – na pół po rosyjsku – że kazali, że nie chciał, że musiał, że już w lutym, że okoliczności... Ale nie da, nie da mu dokończyć Najwyższy Trybunał!

*Panie Wojciechu, po co te brednie,  
Przecież to Sąd Ostateczny,  
Ty podpisałeś zamach na świętość,  
Ty w potępieniu dziś wiecznym.*

*Bez apelacji, bez prawa łaski  
Zdradę swą odpokutujesz  
Przez całą wieczność prosząc o wsparcie  
Górników z kopalni „Wujek”.*

*A jeśli kiedyś po tysiącletniach  
W sztolni pogardy ktoś powie,  
Że miałeś rację, że dobrze chciałeś,  
Ja – Pan Bóg – stanę na głowie.*

Tak to widziano „za wojny polsko-jaruzelskiej”.

A może Mołotow miał rację, może był z Jaruzelskiego – poza wszystkim – prawdziwy BOLSZEVIK? Ostatni Mohikanin bolszewizmu?

(Cokolwiek to znaczy.)

Kiedy komuna upadła, kiedy skończyły się pierwszomajowe pochody, jeździł Generał samotnie i prywatnie (prawie samotnie i prawie prywatnie: to oczywiste, że z ochroną!) pod pomnik Nike. Tam, gdzie się za czasów jego władzy składało 1 maja kwiaty przed wyruszeniem w pochód. Przywoził ze sobą kwiaty i kładł je pod pomnikiem, i może grzmiały mu w uszach dawne zwycięskie szturmówki, a może i nie. Skąd można wiedzieć, co czuł? Po prostu był wierny. Ciągłe czczył swoimi kwiatami, on, ziemianin i generał, robotnicze święto. Potem, pod wieczór, postczzerwoni urządzali huczne pierwszomajowe bankiety, ale jego nie prosili, choć się tego spodziewał, choć na to czekał. Był zbyt kompromitujący. Nie należało się narażać wyborcom.

Chętnie by poszedł, ale nie dostawał zaproszeń. Przykro mu było.

Ciągle próbował istnieć. Uparcie próbował istnieć.

Wydał książkę „Stan wojenny. Dlaczego...”, i napisał w niej dumnie, rycersko, że on, tylko on jeden jest za stan wojenny odpowiedzialny. „Byłoby poniżej mojej oficerskiej godności, gdybym zasłaniał się jakąś zewnętrzną dyspozycją, czy dyrektywą.”

Chciał po prostu ratować swój kraj! Nie pytając kraju ani nikogo o zgodę. Wiedział lepiej i był wszechmocny.

Kiedy będzie – demokratycznie i bez piedestału – podpisywać egzemplarze swego dzieła podczas promocji, ktoś, czyje życie stan wojenny zniszczył, nagle uderzy go cegłą w głowę. Nie będzie odpowiadać przed sądem, bo Generał mu – po chrześcijańsku – wybaczy. Choć ciężkich doznał obrażeń, choć dwa centymetry w prawo i byłoby po nim, choć ponoć wzrok – i tak zły, stąd te czarne okulary – prawie w wyniku tego zamachu stracił... Nie, nie będzie procesu zamachowca. Pokażą go tylko w telewizji: Urban zbyt cichym, zbyt monotonnym

głosem będzie mu tłumaczyć, że Generała zabijać nie należało, i zostanie zakrzyczany: właśnie, że należało, właśnie, że należy!

Cóż, koniec dla Generała z publicznymi występami. To zbyt ryzykowne. A każdego trzynastego grudnia, kiedy to – po tylu latach! – przed generalską willę przy ulicy Ikara schodzi się młodzież, żeby palić świeczki za zabitych, śpiewać i skandować hasła, lepiej być na badaniach kontrolnych w szpitalu. Rutynowo.

Zmieniły się czasy. Zatonął niezatapiałny okręt, zawały się mury. Nie mógł Generał przewidzieć w 1981, że tak szybko się zawał: nie był Bismarckiem czy Talleyrandem, był po prostu żołnierzem! Nawet gdyby wiedział, co się zaraz stanie, i tak nie mógłby – on, żołnierz – postąpić inaczej.

Kiedy skończyła się wywojowana w Magdalence prezydencka kadencja Generała (był ponoć urażony, że wybrano go na prezydenta większością tylko jednego głosu, pokazując ostentacyjnie światu, że pod przymusem to pierwszy wolny parlament robi, pod strasznym przymusem!), kiedy jego miejsce zajął – po wyborach powszechnych – ten wąsaty, wielodzietny robociarz ze Stoczni, którego nie udało się wykończyć, zrobiło się smutno. Ale trzeba było być dzielnym.

Nad gmachem KC od dawna nie powiewał już czerwony sztandar; umieszczono w nim giełdę. A dla Jaruzelskiego załatwiono gabinet na pierwszym piętrze w siedzibie nowego banku. Z tabliczką przy drzwiach: *Gabinet byłego prezydenta Polski, gen. Wojciecha Jaruzelskiego*. Dwa pokoiki: w pierwszym trzech ochroniarzy i sekretarka, w drugim, przesyconym zapachem kapusty z bankowej stołówki, wśród paru biurowych mebelków, on. Tu przyjmował gości, tu udzielał wywiadów, tu pisał, poprawiał, szlifował, cyzelował to, co miało po nim pozostać. W świetnie wyprasowanym garniturze, w równiutkim krawacie, w bielutkiej koszuli, w czarnych okularach ukrywających chore oczy. Z rosyjskimi książkami na półkach. Człowiek *ancien regime'u*, troglodyta.

Tak o sobie mówi: troglodyta.

I jeszcze, oczywiście: żołnierz. To go określa. Tak sam siebie określił. Był, jest, zawsze pozostanie żołnierzem, a to słowo zawiera w sobie inne – honor. I niech będzie, że to honor dawnych czasów, honor *ancien regime'u*, którego już nikt nie rozumie. Na swoje nieszczęście doczekał końca *ancien regime'u*. Przetwał jak troglodyta, jak dinozaur, jak przedpotopowy, zasuszony żółw w szklanej gablotce, i już tego nie zmieni.

Chociaż mogło być inaczej.

Kiedy człowiek trochę się rozrzewni, nieraz myśli, że mogło być inaczej. Przecież on też – jak Urban, jak ten śmieszny Urban – chciał pisać. W szkole ojców marianów był najlepszy z polskiego. Nie, to nieprawda: był jednym z dwóch najlepszych z polskiego. Ten drugi to słynny poeta, Gajcy. Zginął w powstaniu, zginął w walce o wolną Polskę. Ale tak kiedyś mówiono, naprawdę tak kiedyś w szkole mówiono: „Jaruzelski i Gajcy to najlepsi poloniści”. I gdyby świat potoczył się inaczej, gdyby nie wojna, nie Sybir, gdyby nie złożyło się tak, że został żołnierzem... kto wie, kim mógłby się stać, jako kto przetrwać w historii? Tak dobrze w końcu pisał, a słowo jest takie trwałe!

Ciągle pisze. Ale to nie to, co u tego błazna, Urbana. **Jego**, Generała, pisanie jest zimne i nieskazitelne. Każda nauczycielka dałaby mu za nie najlepszy stopień. (Urbana wyrzucano z każdej szkoły.) On sam jest zimny i nieskazitelny. Jakoś nie to liczy się w życiu.

On, żołnierz, posługuje się słowem jak cywil, a Urban, cywil, jak strzelec wyborowy. Każdy z nich ma czego drugiemu zazdrościć. Każdemu to, na czym mu mniej zależy.

O, tak: wie Generał o uwielbieniu Urbana, nie może nie wiedzieć! Czytał jego zachwyty nad sobą. Widział zdjęcie w *Jajakobyły*, zdjęcie z jakiegoś przyjęcia, gdzie rozanielony Urban stoi obok swego bożyszczka – wysokiego, wielkopańskiego, dumnego. Widział podpis pod

tym zdjęciem: „Wielka i już nieuleczalna miłość”. I choć zawsze był bliższy Rakowskiemu, zrobił coś dla swego najwierniejszego z wiernych: w jakieś piętnaście lat po ogłoszeniu stanu wojennego przeszedł z nim na ty. Nie lubi się spoufalać, więc trudno było o coś więcej. Prawda?

## Gebels

Człowiek niesympatyczny, ale wnikliwy łobuz, dr J. Goebbels...” – napisze Urban w felietonie z lat sześćdziesiątych. W trzydzieści lat później będzie się procesował o porównanie go z tym „człowiekiem niesympatycznym, ale wnikliwym łobuzem”, i po długich zachodach proces wygra. Albo i nie wygra. Lata mijają, sprawa przechodzi z jednej instancji do drugiej, sytuacja polityczna co chwila się zmienia, raz Urbanowi sprzyja, raz wręcz przeciwnie, a w ogóle – nikogo to nie obchodzi. Poza Urbanem.

W czasach „Polityki” i powolnych, długich zachodów o władzę, przed Sierpniem, to jego szefa, Fraka, nazwano w jakimś obelżywym liście Goebbelsem. Gorzej, bo nieortograficznie: „gebelsem”. Wtedy było to jeszcze śmieszne i potraktowane lekko: ale głupi są ludzie! Nazwisko ministra propagandy Trzeciej Rzeszy tonęło zresztą w wiernopoddającym tekście Urbana „Wyprawa do Ciemnogrodu” w natłoku innych wyzwick („dno polskiego życia umysłowego”), którymi czytelnicy obrzucili w listach Szefa po jego nie dość czołobitnym artykule o papieżu. O POLSKIM papieżu: za innego tak by nie oberwał. A oto jak Fraka nazywały tępaki:

*Pucybut, kanalia, łobuz, cham, szpieg, parszywa owca, antypolak, podlec, żaloszny pismak, ryba, złodziej, impertynent, kłamca, demagog, GEBELS, szubrawiec...* itd.

Albowiem: *Bo kto Polski i polskich synów nie kocha, /To precz z tej ziemi i heja wynocha.*

Dopóki lżono Rakowskiego, Urban zaśmiewał się, Szefa bronił, adwersarzy wyszydzał, a po cichu zazdrościł. Szefa najłżejsza nieżyczliwość bolała jak indiańska strzała wbita w serce; dla Urbana te stosy wściekłych listów były dowodem sławy: byle kogo tak nienawidzić nie będą! Szef chętnie by mu oddał ten rodzaj popularności; Szef chciał być kochany, uwielbiany, szanowany, chwalony, i to przez wszystkich. Na tym polegała jego słabość. Urban marzył o nienawiści: na tym polegała jego siła. Ale jeszcze trochę czasu minie, zanim po raz pierwszy napiszą o nim na murze URBAN TO CHUJ, a on rzuci się do samochodu, żeby ten dowód swej wielkości zobaczyć na własne oczy. Jeszcze więcej czasu minie zanim zaczną o nim mówić i pisać (mówić w radio i telewizji, pisać w prasie) tak samo, jak ktoś nieznany, kiedyś, w liście do Fraka: GEBELS. Kiedy to spotkało Fraka, Urban tarzał się ze śmiechu. Kiedy spotkało jego, obraził się śmiertelnie, wziął adwokata i zaczął się procesować.

Dlaczego ten jeden, jedyny raz stracił poczucie humoru i zdrowy rozsądek (pokazał swój wrażliwy punkt, wiedząc przecież – musiałby stracić rozum, żeby tego nie wiedzieć – że wszyscy zaczną natychmiast w ten punkt celować), trudno zgadnąć. Może to i klucz do Urbana.

A przecież porównanie było tak pochlebne! Dwóch było w nowożytnym świecie geniuszy propagandy: David i Goebbels. Pierwszy trafił nieomylnie w serce czasów: w roku 1789, w roku rewolucji francuskiej, wystawił na dorocznym Salonie swój wielki obraz „Brutus”, wywołując powszechne wzruszenie: tacy byli bohaterowie chwili, bohaterowie epoki! Dla sentymentalnych, dla zachowawczych, dla reakcjonistów Brutus był potworem: tym, który wszedł do spisku przeciwko najlepszemu przyjacielowi, opiekunowi, może i nieślubnemu ojcu; tym, który z grupą współników zaatakował go w senacie w idy marcowe; tym, na widok którego – celującego sztyletem w jego serce – Cezar krzyknął „Et tu, Brute?!”, po czym zalał się, przestał się bronić... – tak, tylko zdrajcą, tylko bestią pozbawioną ludzkich uczuć był Brutus dla reakcji! Dla rewolucjonistów był kim innym: pra-rewolucjonistą. Człowiekiem, który przyjaciela, ojca, synów, wszystkich i wszystko poświęcił dla IDEI. Jak Pawlik Morozow po rewolucji październikowej. Brutus odrzucił duszne, zatechłe ciepłko rodzin, miłości, ufności, malutkiej lojalności, malutkich przysięg – dla IDEI. Zabił człowieka, który go kochał i który mu ufał, bo ten człowiek próbował zniszczyć republikę dla własnej dyktatu-

ry. Tak trzeba! Tak właśnie trzeba! Ludzie rewolucji dawali synom imię „Brutus”. Ludzie rewolucji ze łzami w oczach wpatrywali się w ogromny obraz, na którym Brutus, po stracie najbliższych, stoi samotnie i niezłomnie pod statua Rzymu. Louis David wcelował się beżbłędnie w epokę. Za trzy lata znajdzie się w Konwencji. We władzy wieloosobowej i demokratycznej, ale jednak władzy.

Przedtem i potem zajmie się czymś większym niż malowanie obrazów. Zacznie organizować wielkie święta, rewolucyjne happeningi: na początek pogrzeby. Zabito któregoś z naszych, znów zabito któregoś z naszych! Połączmy się, brońmy się, stańmy się dzięki tej śmierci silniejsi, twardzi, bezlitośni! Oto pogrzeb Lepelletiera: półnagie ciało z wielką, ukarminowaną raną, ukoronowane na ulicy przez przewodniczącego Konwentu, wśród śpiewów i krzyku, niesie się przez Paryż do Panteonu. Za trupem – jego skrwawiona odzież niesiona na pikach, jego ostatnie słowa wypisane na transparentach. Za pikami i transparentami – tłum.

Oto pogrzeb Marata: podobny, ale jeszcze lepszy. Oto portret zamordowanego Marata: na stoliku leży kartka z jego ostatnim, doskonale czytelnym rozkazem: Wypłacić 5 franków wdowie po takim-to-a-takim, której mąż zginął za ojczyznę. Płaczcie, ludzie! Ludzie płaczą. Oto przeniesienie zwłok Woltera do Panteonu, wśród tłumów pseudo-Greków w białych tunikach. Oto projekty mundurów – wojskowych i cywilnych. I projekty sztandarów. Oto święto rozumu: śliczna dziewczyna w białej sukni i błękitnym płaszczu (Matka Boska!), ale w czapce frygijskiej i z piką w ręku siedzi na tronie w katedrze Notre Dame jako Bogini Mądrości, wśród śpiewów, tańców i dymów kadzidel. Przeniosą ją do Konwentu i znów do Notre Dame, a tłum pod akompaniament pieśni *Zstąp, o Wolności, córo Natury...* padnie na kolana w zachwycie. Przepiękne! Wzruszające! Zaiste, rozum jest czymś cudownym! A oto i Święto Wolności: galernicy idą, brzęcząc kajdanami, wokół nich dziewczątka w bieli powiewają gałązkami palmowymi, chłopcy niosą Tablice Praw Człowieka i Obywatela, a mężczyźni popiersia bojowników o wolność. Posługujemy się religią, a jakże: podczas rewolucyjnych pogrzebów orszaki zatrzymują się na kolejnych „stacjach”, i jeszcze te gałązki palmowe, i inne symbole bliskie pospólstwu, i setki werbli na Polu Marsowym, i umalowane, gorejące, „chrystusowe” serca zamordowanych. I Święto Najwyższej Istoty, z Robespierrem w błękitnym fraku przewiązanym trójkolorową szarfą, z całym Konwentem w trójkolorowych pióropuszech, z chórami, orkiestrami wojskowymi, bukietami z kłosów, maków i bławatków, rogami obfitości i tłumem w marszowym pochodzie: precz z Kościołem, ale co do Boga – *hoch! hoch! hoch!* (A nie: to już następca.)

Trzymał się David jakobinów, i słusznie, bo byli najsilniejsi, ale kiedy rewolucja upadła, uczeplił się Napoleona. Malował jego niezliczone apoteozy: oto Napoleon w wieńcu laurowym, na stojącym dęba rumaku, piękny jak marzenie, wśród orłów i skrzydlatych Wiktorii. Oto Napoleon koronowany. Oto Napoleon zwycięski, i jeszcze raz zwycięski, i jeszcze raz zwycięski... Dla syna Napoleona, króla Rzymu, zaprojektował David kołyskę! I gobeliny z Napoleonem i orłami projektował, i cesarską talię kart, której nie zrobiono, ale pomysł przejęli inni... a potem władza wróciła w stare, zużyte ręce, i tu już się Davidowi nie powiodło. Królowie byli tępi: skonfiskowali mu dobra, pozbawili go praw, musiał uciekać, żeby już nigdy nie wrócić. Nie każdy znał się na propagandzie.

Hitler się znał. Pierwszy po stu kilkudziesięciu latach pustki. Bolszewicy doceniali potęgę propagandy, próbowali trochę z Majakowskim, trochę z Eisensteinem, fantastyczni to byli ludzie, ci dwaj, ale tylko artyści, tylko twórcy. Brakowało geniusza, który wzięłby wszystko w garść i wyreżyserował odgórnie. Hitler takiego geniusza miał, i poznał się na nim, i docenił go, a geniuszem był doktor Joseph Goebbels. Mały, nieśmiały kuternoga, który UMIAŁ PISAĆ. I miał pomysły. W końcu był, u licha, intelektualistą. Na pewno słyszał nawet o Davidzie.

Bo o Davidzie zapomniano: za mało się sam rozreklamował, a wynalazek Gutenberga nie był jeszcze wystarczająco rozpowszechniony. Łączność była słaba, prasa niskonakładowa,

radio nie istniało, nie mówiąc już o innych mediach. W czasach Hitlera i Goebbelsa (1923-1933-1945) propaganda masowa stała się wreszcie możliwa.

Goebbels był pismakiem (jak później Urban), wielbicielem Dostojewskiego, nie drukowanym powieściopisarzem, nie wystawianym dramatopisarzem (napisał sztukę o Chrystusie, „Wędrowiec”, i powieść o wchodzącym w politykę młodzianku, „Michael”), latami prowadził dziennik, wysyłał do gazet artykuły (nie drukowano), miał kompleksy i myślał o samobójstwie. Aż wreszcie trafił na wiec nieważnego Adolfa Hitlera, szefa nieudanego puczu z 1923, wykrzykującego swoje mowy w piwiarniach, i poczuł gorączkę. Straszna, morderczą gorączkę: co najmniej 42° Celsjusza. Oto wódz, ocalenie, gwiazda przewodnia!

Wódz go przyjął, polubił, docenił. Wszyscy go przedtem odrzucali, a oto najwspanialszy z ludzi uznał jego wielkość. Prasa, która nie chciała go drukować, wydawnictwa, które nie chciały go drukować, teatry, które nie chciały wystawiać jego sztuki, wszystko to było w rękach Żydów, a wódz chciał zrobić z Żydami porządek: jemu, malarzowi, artyście, też się przez nich nie powiodło. On, bohaterski żołnierz Pierwszej (wtedy po prostu Wielkiej: jeszcze nie liczono) Wojny Światowej, snuł się po klęsce ulicami Berlina zabiedzony i głodny, bez swego Krzyża Żelaznego (Żydzi i filosemici od Traktatu Wersalskiego zabronili Niemcom noszenia orderów i odznaczeń, rozwiązali im armię, skazali na wiekuiłą pokutę za wspólne grzechy), spychany do rynsztoka, odpychany pod ściany przez opasłych Żydów w podbitych futrami pelisach, przez roześmiane Żydówki w norkach i srebrnych lisach, i szlag go trafiał. Nie jego jednego, ale jego najbardziej. Może tylko niektórzy z bezczelnych, aroganckich, obwieszonych złotem, rozpychających się triumfatorów (a kto gnił w okopach?!) byli Żydami, ale to nieważne. Jego krwią się utuczylili, jego krwią, przekłęci burżuje! Ach, niech żyje socjalizm! Ale nasz socjalizm, narodowy, niemiecki, bez Żydów! Niemcy, obudźcie się!

Hitler walczył, założył partię, rwał się do władzy. Mały, zakompleksiony kaleka kochał i wielbił. A Hitler, pierwszy z ludzi, poznał się na nim. (Żydzi z prasy, teatrów i wydawnictw wcale się na nim nie poznali, może nawet nie czytali tego, co im wysyłał, skoro był spoza sytuacji: punkt-gigant na ich niekorzyść!) W 1926, na siedem lat przed zdobyciem władzy, mianował go Gauleiterem Berlina. I kazał mu zająć się propagandą. Tak, świetnie pisał Goebbels, ale to nie wystarczy. Słowo pisane zdobywa mniej ludzi niż słowo mówione. Wielki mówca był Hitlerowi potrzebny, nie wielki pisarz. Czy Goebbels, ze swoją inteligencją, nie może stać się wielkim mówcą? I wielkim szefem propagandy? Niech tylko przydepcze gardziel swego intelektu! Trzeba obniżyć poziom, koniecznie obniżyć poziom! Jeżeli propaganda ma mieć wielki zasięg, musi być płytka. Trzeba odwoływać się do uczuć, nie do rozumu. Trzeba powtarzać slogany. Powtarzać je w nieskończoność. Czy Goebbels to rozumie? Czy się zgadza?

Rozumiał i zgadzał się.

Do krasomówna szycował się latami, ale robotę zaczął od razu. Brał przykład z Davida. Teatralne efekty masowe, teatr uliczny, teatr uczestniczący: o to chodziło. W ostatnim roku przed zdobyciem władzy wykorzystywał śmierć każdego SA-mana do robienia wielkich pogrzebów *d la David*, pogrzebów-manifestacji: demonstracje z pochodniami, defilady, pieśni! Z napisanego pod znaną już melodię tekstu o zabitym Horście Wesselu, zrobił niemal hymn, drugi hymn nowych Niemiec. Plakaty z wielkimi, czerwonymi literami krzyczały z murów. Flagi ze swastyką, hinduskim symbolem słońca, wznosiły się i opadały, spowite w kir. Ciągnęły je po niebie samoloty, kiedy na ziemi grano *Horst Wessel Lied*. Po zwycięstwie został Goebbels ministrem propagandy, dbał i o film, i o afisz, i o piosenkę, o wielkie zrywy przy nadzwyczajnych okazjach i o beztróską (ale sączącą po cichutku, delikatnie jak zefirek, jedyłą prawdę) rozrywkę dla ludu, opium dla ludu. Jak David Najwyższą Istotę, tak on przypominał, podawał ludowi na tacy potężne, odważne, bohaterskie bóstwa starogermańskie, o tyle wspanialsze od łzawego chrześcijaństwa; wznosił je na niebo przy gromach muzyki Wagnera. Zjazd partyjny w Norymberdze czy (dużo później) powszechne modły za pokonanych przez Rosjan Bohaterów Stalingradu, wesołe komedyjki czy doprowadzające ludzi do spazmów

wstrętu i nienawiści filmy dokumentalne o ubojach rytualnych i innych bestialstwach wrogów – za wszystkim tym stał, wybierał, organizował, polecał, znajdował najlepszych wykonawców. Robił arcydzieła wszech czasów z wiecu, pogrzebu, pożegnania żołnierzy idących na front albo piosenki o dziewczynie, która będzie wiernie czekać. Nagłaśniał, oświetlał, topił we łzach, podkładał pod muzykę. Krasomówcą został – choć wódz pragnął tego o wiele wcześniej, i choć nieraz próbował – dopiero w obliczu klęski. Tysiącletnia Rzesza waliła się w gruzy, a on na wielkim nocnym wiecu pod gołym niebem, oświetlony punktowcami, tak, jak powinien być oświetlony zbawca i przewodnik, pytał głosem wzmocnionym przez potężne mikrofony: „Czy chcecie wojny totalnej?” I nie zadowolił się pierwszym „tak”; powtarzał pytanie dopóki odpowiedź nie zmieniła się w ogłuszający, ekstatyczny ryk. Stał jeszcze za ostatnim filmikiem o Hitlerze, zmęczonym, wzruszonym i tak bardzo „ludzkim”, żegnającym czule dzieci w ogromnych hełmach, ruszające do obrony Berlina. Filmik był przejmujący, ciepły i – może nawet – podrywający do beznadziejnej walki. A potem największy propagandysta w dziejach otruł w schronie gromadkę swoich własnych dzieci i siebie. Wódz też się zabił. Obaj byli ludźmi honoru. Obaj nade wszystko bali się poniżenia. Nie będą ich zwycięscy wrogowie obwozić w klatkach wśród radosnego motłochu!

I tyle. Papiery Goebbelsa zabrali Amerykanie, ale nie udało im się specjalnie skorzystać z jego rad i przemyśleń. Trochę, ale nie za bardzo. Geniusz to geniusz. To rzadkość.

W trzydzieści sześć lat później w Polsce objął władzę dyktatorską generał w czarnych okularach, a propagandą zajął się dziennikarz z odstającymi uszami, który go kochał i wielbił. Podobieństwo minimalne. Właściwie żadne: wnikliwy niemiecki łobuz robił propagandę, która do ludzi trafiała. Dwoił się i troił, żeby trafiała. Żeby była skuteczna. Urban nawet o tym nie myślał, nawet nie próbował. Przedstawiał swoje kłamstwa tak, żeby wszyscy wiedzieli, że to kłamstwa, w które sam nie wierzy. Prowokował, skupiał na sobie nienawiść, ściągał na siebie nienawiść, zdejmując jej część ze swego szefa i wodza. To przeciwnicy brali przykład z wnikliwego łobuza, to oni urządzali patetyczne pogrzeby, atakowali piosenką, sztandarem, plakatem, hasłem, wzruszeniem. Urban leniwie groził. Gdzie tu szukać podobieństw?

A jednak porównanie z geniuszem wszech czasów – najwyższa możliwa pochwała dla każdego skryby, spuchłabym z dumy na pół pokoju, każdy by spuchł – obraziło Urbana tak bardzo, że wbrew wszystkim swoim zasadom zaczął się procesować. Tego nie daruje! Nie, tego nie daruje! Naprawdę stracił rozum. Właściwie dlaczego?

Bo Goebbels był Niemcem? W gruncie rzeczy nie ma chyba innego wyjaśnienia. Goebbels był Niemcem, a Urban Polakiem i Żydem do tego. Goebbels firmował kacety, piece krematoryjne, Ostateczne Rozwiązanie Kwestii Żydowskiej i wojnę totalną. Mimo to był największym w dziejach geniuszem propagandy, i każdy człowiek z nim porównany powinien zwołać tłum ludzi i otworzyć szampana. Każdy, tylko nie Urban. Stracił nagle poczucie humoru, stracił cały swój cynizm, wściek go nagły ogarnął: doprawdy, kogo Bóg chce skarać, temu rozum odbiera.

Zaczęło się tak: 24 lutego 1992 w telewizyjnym programie na żywo „Dekomunizacja po polsku” Ryszard Bender, dziesięć lat wcześniej jedyny poseł, który ośmielił się głosować przeciwko uznaniu *ex post* stanu wojennego za zgodny z prawem, konieczny etc. – otóż Ryszard Bender wyraził się dokładnie tak:

– ... ten Goebbels stanu wojennego – pan Jerzy Urban...

Nawet gorzej, bo niegrammatycznie, jak w wypadku Fraka: „– Weźmy ten Goebbels stanu wojennego, pan Jerzy Urban...”

I tyle. Nic.



A Jerzy Urban uznał, że świadomie naruszono jego cześć, wziął papugę i wszczął sprawę „o ochronę dóbr osobistych”. W pierwszej instancji, przed Sądem Wojewódzkim w Lublinie, przegrał z kretesem.

Wyrok, oddalający powództwo Urbana i zasądzający 9 milionów złotych na rzecz pozwanego „tytułem kosztów procesu”, był obszernie umotywowany w tonie dość gorącym, dalekim od prawniczej bezstronności, więc łatwy do zaczepienia. Cóż, czasy były jeszcze – nawet w 1994, kiedy po dwóch latach zwłoki wyrok ten zapadł – były jeszcze dość świeże.

Sąd zdecydował się widzieć sprawę rzekomej obrazy w jej kontekście. Powołał się na orzeczenie Sądu Najwyższego z 1976 roku, z czasów „komuny”: „Przy ocenie naruszenia czci należy mieć na uwadze nie tylko subiektywne odczucie osoby żądającej ochrony prawnej, **ale także obiektywną reakcję społeczeństwa**”. Bender oceniał rolę byłego rzecznika prasowego rządu w randze ministra na tle rzekomej polskiej dekomunizacji, której istnieniu zaprzeczał. Na długo przed dekomunizacją była denazyfikacja w Niemczech, po przegraniu przez nie drugiej wojny światowej. Denazyfikacja się odbyła, dekomunizacja nie. Bo „czy w Niemczech, gdyby przeżył Goebbels, czy by dopuszczono takiego kogoś do takich możliwości działania – większych niż posiadał w okresie właśnie stanu wojennego?” Powód (Urban) przyznał, że „czuł się odpowiedzialny za całą działalność Rządu w tym okresie” – to pozwala na porównanie jego funkcji z funkcją propagandysty Goebbelsa. Albowiem tak właśnie jest postrzegany Goebbels, vide „Encyklopedia II Wojny Światowej”, wydana w 1975.

**Goebbels Joseph Paul:**... *Zniekształcał i fałszował rzeczywistość, stąd jego nazwisko stało się symbolem demagogicznej i kłamliwej propagandy.*

A czy Jerzy Urban nie uprawiał demagogicznej i kłamliwej propagandy? Cały materiał dowodowy potwierdza, że tak. Kto oskarżał opozycję, zrodzoną w czasie ruiny gospodarczej, że to ONA ruinę gospodarczą spowodowała? Kto porównywał tę opozycję do Targowicy – czyli do grupy uprzywilejowanych *ancien regime*’u w XVIII wieku, błagającej Rosję o interwencję wojskową w zbuntowanej przeciwko rosyjskiej presji Polsce? Żonglując słowami, odwracając fakty ogonem (przepraszam, nie zdołałem przez cały czas utrzymać się w prawniczym żargonie, dla jego wielbicieli sygnatura akt: I C 734/92, Sąd Wojewódzki w Lublinie, Wydział I Cywilny), lżąc przeciwnika („barany”), kłamiąc, kłamiąc i jeszcze raz kłamiąc? Kto fałszował nawet dane statystyczne, podając na konferencji prasowej, że Wolnej Europy, głównej polskojęzycznej nierządowej rozgłośni radiowej, pierwszego źródła nie ocenizowanych informacji, słuchało w stanie wojennym tylko 24% Polaków, podczas gdy te 24% to byli ludzie, słuchający jej „bardzo rzadko”? Kto... etc.

Proces odbywał się w czasie, gdy powstała już nawet praca magisterska o fałszu Urbanowej propagandy: tylko czerpać i cytować.

Jaką zatem obelgą ma być porównanie Urbana z Goebbelsem? Nazwano go „Goebbelsem stanu wojennego”, Goebbelsem na małą, malutką miarę. Działania Josepha G. miały o wiele większy wymiar, tuż przed klęską wręcz wymiar światowy, ale sposoby, styl, metody (fałszowanie informacji, zwalczanie przeciwników przez oczernianie, ubliżanie, dezinformację) są porównywalne. Nie obrażono Urbana, nie naruszono jego czci, sąd powództwo oddala i zasądza...

Oczywiście, byli świadkowie. Tylko Szymon Szurmiej, działacz mniejszości żydowskiej w Polsce (według „Alfabetu Urbana” – „etatowy żyd”, „trudno, taką ma posadę”), łagodził, że jest za wcześnie na oceny stanu wojennego i roli w nim Urbana, że tak czy owak porównanie kogokolwiek do zbrodniarza wojennego jest obelgą... Inni mówili bez takich ceregieli. Dla historyka Stefana Kurowskiego i Goebbels, i Urban, to „polakożercy”. Inni łączyli działalność rzecznika wojennego rządu z działalnością wydawcy „NIE”: ten sam goebbelsowski styl, tyle że po zrzuceniu komunistycznej zgrzebności rozbuchany i uatrakcyjniony wizualnie. Polski gebels ośmiesza godło i flagę swego państwa (wypięta goła baba z biało-czerwonym sztandarem w tyłku – „w odbyticy”, jak precyzuje świadek Urbankowski), obraża kościół katolicki

(papież z przerwy na nosie) w ten sam sposób, w jaki ludzie Goebbelsa ośmieszali Żydów i księży. Jak śmie protestować?

Tylko jeden ze świadków – ekspertów? – uznał cały proces za piniactwo. „Jerzy Urban powinien być dumny z takiego porównania” – powiedział Stanisław Skalski – „gdyż Joseph Goebbels to była w pewnym sensie wielka postać”. Zdumiony sąd stwierdził, że zeznania tego akurat świadka niewiele wniosły do sprawy. „Tak daleko idącej oceny nie można uznać za prawdziwą.”

Mój Boże!

Urban natychmiast zaskarżył wyrok w całości. Uzasadniając to stekiem bzdur.

„Słowo «Goebbels» ma na całym świecie, a w szczególności w krajach okupowanych przez hitlerowców szczególną wymowę” – taki tekst wysmażyli przegrany z dwoma adwokatami. – „Goebbels był wprawdzie ministrem propagandy III Rzeszy, ale i jednocześnie był czołowym przywódcą hitlerowskim. Każdemu Polakowi (...) nazwisko to nieodparcie kojarzy się z postacią zbrodniarza wojennego, jest synonimem masowej eksterminacji Słowian i innych narodów podbitych przez hitlerizm. Niemal wszyscy Polacy wiedzą, że Goebbels został uznany za zbrodniarza wojennego przez międzynarodowy trybunał w Norymberdze. Natomiast tylko nieliczni wiedzą, że niezależnie od tego, iż był tak wielkim zbrodniarzem – pełnił funkcję ministra propagandy.”

Znów wieczna Urbanowa pogarda dla motłochu. „Każdemu” coś tam nieodparcie się kojarzy z tym, a nie z tamtym. Komu się kojarzy inaczej, ten nie istnieje; ja nie istnieję. Ale jedźmy dalej.

Więc jak? Osoba, która kiedyś pełniła funkcje państwowe – ex-minister Urban – nie zasługuje na ochronę prawną? To ma być „uzasadniony interes społeczny lub prywatny”, wyłączający bezprawność działania przy naruszaniu czyichś dóbr osobistych? Toż powód (Urban) „nigdy nie został skazany za dopuszczenie się jakiegokolwiek czynu karalnego i chociażby z tego tylko powodu nie sposób podzielić poglądu, że jest sprawcą oczerniania, ubliżania czy szkalowania.” Dlaczego sąd uznał, iż zeznania Franciszka Ryszki, twierdzącego, że nazwanie kogokolwiek Goebbelem zawsze ma odcień pejoratywny, niezależnie od kontekstu – dlatego sąd uznał, że te zeznania „nic nie wnoszą do sprawy”? (Fakt. Tak samo jak twierdzenie innego świadka, że człowiek nazwany Goebbelem powinien czuć się zaszczycony: sąd miał swoją linię postępowania i ekscentryczności skreślał.) Dlaczego z drugiej strony była tylko wrogość i nienawiść?

Mój Boże! (Raz jeszcze.)

Urban będzie się jeszcze długo procesować i odwoływać. Zanim skończy z Benderem, Bender też wytoczy sprawę przeciw niemu, z równie głupiego powodu (dając w „NIE” przed wizytą papieża tytuł „Witamy Breżniewa Watykanu”, Urban miał się dopuścić „obrazy, zniewagi i naruszenia czci najwyższego autorytetu moralnego współczesnego świata” – mój Boże! po raz trzeci), zakleszczą się ze sobą na amen, ale to już drugorzędne. Wygra Urban w końcu, czy przegra, to błahe detale. Ważne jest co innego: czemu się tak odsłonił, czemu wpadł w aż taki wściek z powodu całkiem miłego komplementu?

Ze wszystkich stron zacznie być teraz nazywany gebelsem („Na to jest szczególnie wrażliwy, to go zabolili!”), bo wszystkich naraz do sądu nie pozwie. Piętnastu znanych ludzi ogłosi nawet na konferencji prasowej, czyli poda do druku (zyg zyg marchewka, Jurek ogórek, kiełbasa i sznurek) coś takiego:

„Oświadczamy, iż w naszym przekonaniu Jerzy Urban po wprowadzeniu stanu wojennego pełnił w PRL rolę odpowiadającą roli ministra Goebbelsa w hitlerowskich Niemczech.”

Nie, nie zgłupieje Urban do tego stopnia, żeby zacząć mnożyć procesy. Nawymyśla, nazwie piętnastu znanych idiotami, poinformuje, w co go antygebelsowcy mogą pocałować, tekst zilustruje toczącym pianę z pyska baranem ze skrzydłami husarskimi zamiast rogów – i tyle. Przy okazji puści trochę farby, ale tylko trochę.

„Zmierzam do sądowego zdezwauowania Bendera, pragnąc uciąć kretyńskie porównywanie realnego socjalizmu lat 80. z hitleryzmem” – napisze. – „Ekipa gen. Jaruzelskiego była historycznie, a przede wszystkim treścią i kierunkiem swej polityki oraz jej metodami, odległa o lata świetlne od stalinizmu, który można porównywać z nazizmem. Choć czynione przez pravicę utożsamianie obu reżimów też jest nadużyciem prawdy.”

Ach, mój Boże! – po raz czwarty. Czyli bronił czerwonego sztandaru przed porównaniem ze swastyką, a swojej „wielkiej, nieuleczalnej miłości”, generała Jaruzelskiego, przed porównaniem z Hitlerem? Bo jeżeli miał być gebelsem, jak nazwać jego szefa? Hitlerem, oczywiście. Może tak było.

Naprawdę, mogło tak być.

„Z Führerem będziemy zawsze zwyciężać” – pisał doktor Goebbels, szczerze, intymnie, dla samego siebie. Bo – „... on zespala w sobie wszystkie cnoty wielkiego żołnierza: dzielność, mądrość, rozagę, elastyczność, zmysł ofiary i WIELKOPAŃSKĄ pogardę wygodnictwa.” Akurat WIELKOPAŃSKĄ! Co za kompleks niższości! Co za uwielbienie!

„Moja wielka i już nieuleczalna miłość” – napisze wkrótce Urban pod swoim zdjęciem z życzliwie uśmiechniętym generałem w czarnych okularach. A tak, niech wiedzą! – „Moja wielka i już nieuleczalna miłość!”

A Goebbels pisał o swoim szefie, dzielącym z góry, jeszcze przed wojną, po nowemu francuskie departamenty: „Wszystkimi decyzjami znacznie wyprzedza sytuację. Jak każdy geniusz.” I: „Ależ on pozostaje pod opieką Wszechmocnego. Umrze, kiedy wypełni swoją misję.”

I tak dalej, i tak dalej.

O to miało chodzić? O miłość?

O Boże!!! – po raz piąty i ostatni.

„Jestem wielce zadowolony ze swoich prac jako rzecznika rządu” – napisze Urban w trakcie procesowania się o „gebelsa” – „choć moi mocodawcy wytykali mi potknięcia. (...) Przygany ze strony politycznych wrogów są jak order za skuteczność. Ich długa pamięć, to zaś dowód, że udało mi się być dolegliwym.”

Etc., etc., etc.

O nie: nikt nie udowodni podobieństwa komunizmu i faszyzmu! Czy faszyzm nie był dokładnym przeciwieństwem wszystkiego, nad czym powiewał czerwony sztandar (z wyjątkiem paskudnych kilku lat za Stalina)? Czy nie propagował wielodzietności (słusznie obalono – dobrze, pośmiertnie – Stalina za cyniczne próby tego samego, za ordery dla tych suk – wieloródek!), czy nie zatknął na maszcie obsranej pieluchy niemowlaka z rozwolnieniem? Plus nacjonalizm, kult swoich („Aleśmy śliczni!” – wrzeszczą zapici analfabeci z przedmieścia – „aleśmy śliczni, cudowni, wspaniali, niech nam ktoś podskoczy!”), nienawiść do obcych, do innych („Spalić żywcem! Oczy wyłupić!”), plus kult rodziny („Moja żoneczka i pięcioro drobiazgu! Dajcie nam zasiłki!”), plus korporacjonizm, plus głoszenie JEDYNYCH prawd, tych, kurwa, zesłanych prosto z nieba... O nie! Przeciwno temu byłby Urban zawsze, nawet gdyby mu się przytrafiło być Niemcem, i do tego dwumetrowym, niebieskookim aryjczykiem. Nigdy by nie maszerował w rytm faszystowskich marszy, nigdy by nie powiewał zasraną pieluchą jak sztandarem czerwonym od krwi poległych, nigdy by... i tak dalej. Porównano go ze wszystkim, czego nienawidził, czego do mdłości nienawidził. Porównano go do płodnego królika, trującego piątkę własnych śmierdzących bachorów w obliczu kłęski. Do małego, tchórzliwego łajdaczka: co jak co, ale tchórzliwy to on, Urban, nigdy nie był! I obrażono GENERAŁA; strasznie obrażono GENERAŁA. Wasz przeklęty papież – wykrzyczy rozwścieczony Urban – też jest dyktatorem w swoim państewku, kretyni! I co?

Czy ci ludzie naprawdę uważają jego, Urbana, za głupszego od samych siebie? Najwyraźniej tak. Zabawne ludziki!

A może – na miłość boską, w wypadku Urbana to prawie obraza majestatu – a może nagle ocknął się w nim dzieciak z łódzkiego getta, zauważony może kiedyś z odrazą w tłumie „prawdziwych”, chałasiarskich Żydów, przez kulawego jak diabeł mistrza propagandy, doktora Goebbelsa?

Zwierzęta, nie ludzie: skończyć z nimi, przeciąć ten wrzód! Co za ohyda! Ależ oni wstrętni! Albo i dzieciak z pokonanej Polski, oglądanej kiedyś z odrazą przez kulawego jak diabeł mistrza propagandy, doktora Goebbelsa? Jako jeden z milionów apatycznych insektów, pełzających resztkami sił po tym „spartaczonym kawałku Azji”, jakim miał być, według doktora Goebbelsa, jego kraj? Po tej „kupie gnoju”, jak doktor Goebbels raczył nazwać jego miasto?

Kto może mieć czelność porównywać jego, ofiarę, jego, kawałek mięsa do zagazowania żywcem w jakiejś wielkiej piwnicy, w jakimś (ohyda!) okropnym ścisku – właśnie jego z chwałcą i pomagierem katów? Jego, Usta Jedynej Słusznej Władzy – z Ustami Władzy Nieślusznej I Zbrodniczej?

Nikt nie jest wolny od sentymentów, ale ludzie wielcy panują nad sentymentami w stu procentach, dlatego są wielcy. W każdym tkwi dawne dziecko, ale pozwolić szczeniakowi mówić w swoim imieniu? Jeden tylko wielki błąd popełnił Urban w życiu, i to był ten błąd: obraził się o coś, co miało być obrazą, ale dla ludzi inteligentnych, dla ludzi jego pokroju – a jakże – było komplementem i najwyższą pochwałą. Wściekł się, zaczął tupać nogami, pobięł na skargę! Boże! (Po raz szósty?) Akurat on!

Wyszczerbil swój budowany przez dziesięciolecia cyniczny wizerunek, nadstawił się do bicia, zbanalniał. Okazał słabość, potworną słabość. Właśnie on! Z powodu zwęglonego berlińskiego trupa z 1945 roku!

Najwidoczniej ten zwęglony trup był dla niego czymś więcej niż dla przeciwników, którzy trafili na to nazwisko ot tak, przypadkiem. Którzy śpiewali idącym do ataku zomowcom „Heili-heila”, którzy rysowali na murach GENERAŁA powieszzonego na swastyce, bo od nikogo nie zaznali tyle zła, co od tych ze swastyką. Więc rzucają swastyką w Urbana, a on, ten stary cynik, żacha się, dąsa, rumieni, nagle żałośnie podobny do głupich, tępych tłumów, którymi zawsze pogardzał. JA i Niemiec? JA i doktor Goebbels? Nigdy!

Do kurwy nędzy, nie wiem, o co mu chodziło. I nie zapytam go. Nawet gdyby chciał mi odpowiedzieć, nie jestem pewna, czy sam tak dobrze wiedział, o co mu chodziło. O co mu ciągle chodzi. Wpakowano Achillesowi ładunek śrutu w piętę: nie zabiło go to, ale rozjuszyło. – Tylko nie w piętę, łajdaki; tylko nie w piętę! – Dlaczego nie w piętę? Kto by to wiedział?

Strasznie nagle zbanalniał.

Narysował sobie tarczę strzelniczą na piersi, a pierś dumnie wypiął. Chcecie strzelać w gebelsa? To strzelajcie, strzelajcie: nie znajdziecie go we mnie! Nie traficie!

Trudno, taki już był.

Taki już jest.

## Po

Skończyło się.

Rosyjskie czołgi weszły, rosyjskie czołgi wyszły. Weszły i wyszły, kiedy tak im się podobało. A między jednym i drugim – epoka, życie, klęski, kariery, tragedie, tragikomedie, groteski. Dużo hałasu o nic, pomyślą sobie niedługo ci, którzy tkwili w epoce najkrócej. W każdym razie skończyło się.

Zanim jeszcze czołgi wyszły, Urban przestał być rzecznikiem: przeszedł na szefa telewizji. „Był z nami, a jakby go wcale nie było” – napiszą ludzie z telewizji na swój jubileusz. – „Można wierzyć lub nie, ale przeszedł przez telewizję w sposób niezauważalny, cicho i bezszelestnie. Niektórzy nawet powątpiewają, czy w ogóle był?”

Urban jeździ do Magdalenki, gdzie (na boku, kularowo, po godzinach, bez postronnych) ustala się łagodne przejście od ustroju do ustroju. Byle uniknąć rewolucji, kontrrewolucji, czy jak ją zwał! Opozycja ma dostać część władzy; władza zabezpiecza swoje interesy finansowe, przejmuje bazę, wije się jak w ukropie wśród depozytów, przekazów, przelewów, pożyczek bezprocentowych, planowanych bankructw, przejmowania tego, co zbankrutowało, pakowania krewnych do rad nadzorczych i zarządów... wszystkim, czym powinni zajmować się ludzie rozsądni, przewidujący upadek systemu.

My mamy się cieszyć, bo wszystko za nas, jak zwykle, mądra władza załatwiła. Nie musieliśmy nikogo wieszać, nie musieliśmy wychodzić na ulice. Sępy z sokołami same się dogadały, kto ile czego bierze, i teraz wszystko podają nam na tacy. Podobno chcieliśmy kapitalizmu? – Nie – piszczy my jak rozdeptane myszy – niekoniecznie! Chcieliśmy stałych dostaw świeżego pieczywa, importu owoców tropikalnych oraz sprawiedliwości społecznej! – Czyli kapitalizmu, odpowiadają sępy i sokoły. Macie go, dajemy! – Ale my przede wszystkim chcieliśmy wolności! – I to załatwione, Rosja już nas zwalnia ze swojej strefy wpływów, Rosja ledwo zipie, Rosja sama się wycofuje, zadowoleni? – Akurat.

System upada szybciej i gwałtowniej niż się spodziewano: 4 czerwca 1989 opozycja wygrywa wybory w praktyce stuprocentowo. (Nie spodziewano się tego: trudno uwierzyć, ale czerwoni naprawdę się tego nie spodziewali! Nawet trapił się tym, jak osłodzić kolegom przeciwnikom ich przewidzianą statystycznie klęskę.) Opozycja jest grzeczna, tak jak się w Magdalence umówiła. Żadnej dekomunizacji, żadnej zemsty, żadnych rozliczeń: oddzielamy przeszłość grubą krechą i zaczynamy radośnie budować kapitalizm. „Jesteśmy wreszcie we własnym domu” – recytują w telewizji aktorzy (co wieczór inny). – „Nie stój, nie czekaj. Co robić? Pomóż!” Urbana już tam nie ma, i chyba nigdy nikt go na ekranie nie zobaczy. Za bardzo utożsamiał się z tym, czego nienawidzono. Generał jeszcze trochę poreprezentuje jako prezydent, bo tak się umówiono, żeby przekazanie władzy przeszło łagodniej. Rządząca od wejścia czołgów partia sama się rozwiąże i zawiąże na nowo, pod inną nazwą. A Urban, tak samo jak Rakowski i tłum innych, zejdzie z areny, zniknie, umilknie na wieki. No i dobrze.

Tyle że – niesłychane! – bardzo szybko zaczną ludziom brakować Urbana. Cóż z tego, że są wreszcie we własnym domu? Że mają już, dla równowagi, przy czerwonym prezydencie antykomunistycznego premiera, a nowym rzecznikiem rządu została bardzo ładna kobieta, była modelka, z jasnymi lokami prawie do pasa? Też jest „w randze ministra”, jak Uszatek. Tylko – o Jezu – jakie teraz nudne są te konferencje prasowe rzecznika! I coraz niechętniej patrzy się na czytającą coś z kartek złotowłosą byłą modelkę. A od Urbana oczu nie można było oderwać, pamiętacie? To był show!

Ciekawe, co się teraz dzieje z Urbanem.

Brak jakoś Urbana.

Jesteśmy wprawdzie we własnym domu, ale nudny ten dom. W ogóle nudno. Gdyby był Urban, chociaż by ludzi rozweselił.

Tęskni się za nim. Może wciąż z nienawiścią, ale się tęskni.

Daje nam trochę potęsknić i wraca na ring. Książkę wydaje. Wspomnienia o różnych ludziach, których znał albo i nie znał. *Alfabet Urbana*: tak się to nazywa.

Trudno uwierzyć, ale kolejki ustawiają się na ulicach jeszcze przed otwarciem księgarni. Kilka tysięcy egzemplarzy poszło jak złoto; mówi się nawet o milionie. Na okładce uszata dłoń Urbana pokazuje nam figę, a do tego przedramiona ułożyły się w gest, najłagodniej określany słowami: „Tu się zgina dziób pingwina”. Bardzo to obelżywe, bardzo. Ale czy ktokolwiek spodziewał się po Urbanie czego innego? Jaki był, taki jest: miły okrucieństwo stabilizacji w czasach tak męcząco zmiennych. Znow się odezwał stary Urban, kto by się tego jeszcze spodziewał?

Jako wstęp zamieścił Urban swoją krótką, drwiącą, prowokacyjną autobiografię. Autobiografię złośliwego, niedorozwiniętego nieuka, burżuazja żyda, zetempowca marzącego o zostaniu etatowym aparaczką, wyrzucanego z przedszkola, szkół, studiów, redakcji, posad (rzecznika rządu, szefa telewizji, dyrektora agencji Unia-Press), obkładanego zakazami druku... Tyle że obecnie, po raz pierwszy w życiu, ma wreszcie program!

**Doznawszy tak wielu w życiu niepowodzeń, oddzielam przeszłość grubą krechą, a od teraz będę robił karierę...**

Program pierwsza klasa!

A po nim śmieszne, jak to u Urbana, zgryźliwe i pełne anegdot biografijki różnych ludzi: od paru zdań do paru stron. Ocenzone ostro przez prawników, ale i tak dużo zostało. Tak właśnie Urban widzi: polityków, dziennikarzy, artystów, gwiazdy towarzystwa i rozpustne panienki.

Oczywiście, że jest sukces. Mogą go ludzie nienawidzić, ale stęsknili się za nim. Zresztą trzeba teraz obdzielić nienawiścią więcej ludzi. Tyle się jej dostaje niedawnym orłom i sokołom!

Nie tak miało być, nie tak to sobie ludzie wyobrażali. To, co zrobiono z ich światem. Miała być wolność i sprawiedliwość. Jest złodziejskie bagno, korupcja, w biały dzień mogą cię obrabować na głównej ulicy miasta, a policja chyba u spowiedzi (wywalczyła sobie prawo do praktyk religijnych w pracy – podobno życzyliśmy sobie powszechnej klerykalizacji? Nie, doprawdy? Musiano nas źle usłyszeć, za cicho piszczyliśmy!), bo tam, gdzie jest jej miejsce, nigdy jej nie zobaczysz. I tak dalej, i tak dalej. Niczego już nie można zwalić na komucha: toż rządzą nasze orły i sokoły, te sprzedawczyki i złodzieje. Nie tak miało być, nie tak powinno być, nie, nie, NIE!

I co widzimy w kioskach? Pierwszy numer nowego pisma, „NIE”. Pisma Urbana.

Zapowiadał je już we wstępie do swego *Alfabetu*. Tyle że miał to być tygodnik satyryczny. Może i jest satyryczny, ale nie tylko. Jest dokładnie tym, czego nam trzeba w 1990 roku, niedługo po zwycięstwie. Jeżeli można jeszcze nazywać to zwycięstwem.

Oczywiście, ciągle z nas kpi. Ciągle nam pokazuje, gdzie się zgina dziób pingwina. Ale przywykliśmy do niego. Już się nie obrażamy jak kiedyś. Przynajmniej nie wszyscy. Już nie musimy go wieszać. Przynajmniej nie wszyscy. Kupujemy „NIE”, oczywiście. Czytamy wstępniak Urbana i znow nie jesteśmy obrażeni, śmiejemy się nawet. W końcu dobrze już znamy starego Urbana; wiele lat na to zeszło, ale poznaliśmy go dobrze, jest prawie nasz. Co napisał?

*Wszczynamy nasze polityczne „NIE”. Będziemy szydzić z rzeczy poważnych i weselić się ze smutnych. Świętości nie szargane umierają z nudów. Pospieszmy je ratować.*

*„NIE” ma być niedobre. W kraju, gdzie cokolwiek się robi – robi się źle, przyrządzenie dobrego czasopisma byłoby narodowym odszczepieństwem. Rozdyma nas patriotyzm i paractwem wyrażamy plemienną solidarność.*

*Polacy chodzą obrażeni na wszystkich i na wszystko. Damy dużo nowych, dobrych powodów do obrazu. Ludzie to kupią.*

Tak, chyba kupimy.

## Skąd wziął szmal?

Wszystko to bardzo piękne. Był sobie znany dziennikarz. Nastąpiła śmieszna wewnętrzna wojna, czołgi wyjechały na ulice, zaczęto strzelać, bić, internować, więzić bez wyroku, więzić z wyrokiem, czasem mordować – i znany dziennikarz stał się, jako rzecznik tego wszystkiego, jako Usta Władzy, najślawniejszym człowiekiem w kraju. Potem system przewrócił się łagodnie jak Wańka-Wstańka, ale jednak się przewrócił, a wczorajsza sława wydała książkę złożoną z plotek o innych sławach, która to książka (właśnie nastąpił kapitalizm i wolny rynek, nie można już było odgórnie ograniczać nakładów) rozeszła się w milionie egzemplarzy (no, może w ośmiuset tysiącach... może w iluś tam tysiącach, co za różnica, komunizm upadł, i wysokość nakładu trzyma się w tajemnicy zarówno przed czytelnikami jak przed autorem, co logiczne) – no, więc wydał książkę-bestseller, a za zyski założył tygodnik, którego już pierwszy numer rozszedł się fantastycznie, a zatem... etc., etc. Spójna, zgrabna historyjka dla Amerykanów. Jasne, wolny rynek i równe szanse! Hugh Hefner też wziął kiedyś 6000 dolarów oszczędności plus tyle samo kredytu bankowego i wydał pierwszy numer *Playboya*, który tak kupowano, że nie nadążało się z dodrukami, strzał w środek tarczy, a potem... A potem – lawina, majątek, pałace z basenami, piękne dziewczuszki wypchane silikonem, prywatne samoloty i cała reszta. Z pucybuta milionerem: zawsze się tak robiło.

Nie w Europie, a zwłaszcza nie w Polsce. Tu zresztą nie było mitu pucybuta, a ludzie mieli swój ponury, zdrowy rozum. Zjawia się outsider i puszcza nowe pismo na cały kraj, akurat! Nawet gdyby miał dość pieniędzy, jak załatwić dystrybucję? Wiadomo, że cała jest w rękach komuchów! Organizacja, centralizacja, specjalizacja! Gdyby przyszedł ktoś z zewnątrz, jego gazetę wzięłoby najwyżej pięć punktów sprzedaży. To mamy z głowy: wiemy, jak jest. A szmal na rozruch biznesu? Na to nie starczyłoby honorarium za największy best-seller świata, to inne sumy i inne układy. (Poza tym Urban zapowiadał nowe pismo już we wstępie do książki, o której nie mógł jeszcze wiedzieć, jak się sprzeda.) Więc skąd ten szmal?

No, dobrze. Tak naprawdę zarobił na szmuglu piwa z Niemiec, na *Schnapsgate* – jak wielu ludzi z kręgów bliskich nowej władzy. Pierwszy „postkomunistyczny”, mieszany zresztą rząd, skierował do pierwszego postkomunistycznego, mieszanego zresztą parlamentu, projekt ukazu o ograniczeniach produkcji i sprzedaży krajowego alkoholu (trzeba ograniczyć pijaństwo tego prymitywnego narodu: o, doktorze Marcinkowski, bądź naszym patronem!). O ograniczeniach sprzedaży alkoholu zagranicznego nie było słowa. Wystarczyło działać błyskawicznie. Tłumy ludzi bliskich nowej władzy porobiło na tym fortuny. Kiedy zorientowali się małuczcy, kiedy przez granice ruszył mały szmal i mały biznes, puściło się w telewizji wielki krzyk o przestępstwie (co z tego, że import zagranicznego alkoholu jest zgodny z przepisami, skoro sam przepis jest bezprawny, można się było od razu zorientować, winni wykorzystania luki prawnej w chęci zysku zostaną surowo ukarani...) – no, i ukaz się szybko zlikwidowało. Jeszcze przez kilka lat prasa i telewizja co jakiś czas straszyla strasznym osądzeniem winnych, wykorzystujących drobne przeoczenie prawne. „Pewna pani sprowadziła z Niemiec wagon najtańszego spirytusu, za zyski sprowadziła dwa wagony, za zyski sprowadziła cztery wagony, za zyski sprowadziła cały pociąg”... na szczęście władze zorientowały się w porę, że źle sformułowały przepisy, i winni rozpijania was, narodzie kochany, z tą straszną kobietą na czele, i z pewnym kmiotkiem, który sprowadził z Rosji czy Słowacji dwie cysterny... winni nie nacieszą się swoimi plugawymi zyskami, ukarzymy ich za to, że dorobili się na postępowaniu zgodnym z prawem, strasznie ich ukarzymy! No i tyle. Kto miał się dorobić, ten się dorobił.

Urban się dorobił.

Urban sprowadzał piwo. Piwa nie znosił, więc nie było mowy, żeby uszczknął choć puszkę z transportu.

Dorobił się błyskawicznie, więc szybko mógł rozkręcić biznes. Rozumiecie: w zarządzie monopolu dystrybucji prasowej RSW–Prasa siedzieli kolesie i mieli siedzieć jeszcze długo, bo przecież takiego molocha nie zlikwiduje się w rok czy dwa, nieprawdaż? Prawdaż. No, więc Urban zaraz jak tylko stracił posadę ministra, wystąpił do kolesiów o zgodę na wydawanie pisma, dostał po cenach preferencyjnych przydział papieru, papier sprzedał po cenie czarnorynkowej, za to kupił w Niemczech (jeszcze istniało czerwone NRD) piwo po cenach preferencyjno-hurtowych, sprzedał w Polsce do sklepów monopolowych (pośrednicy jeszcze nie byli drodzy) po cenach w miarę rynkowych, za zysk powtórzył numer tyle razy, na ile mu czas pozwolił (przepisy miały obowiązywać króciutko), po czym mógł wystartować ze swoją gazetą cotygodniową. Święty Jerzy dosiadł konia i ruszył do walki ze smokiem kapitalizmu. Chciał go pokonać jego własną bronią. I proszę!

To druga wersja, trochę sensowniejsza od pierwszej (*wydał książkę, a za zyski założył pismo*), ale nadal czysta i niewinna. Uwielbiany przez tłumy pisarz ustąpił miejsca self-made - manowi, wykorzystującemu, rzecz jasna, tajne informacje i kontakty z władzami (kto by nie wykorzystał?!), ale gazetka sama się przebiła. No, dobrze, kolesie załatwili mu zezwolenie, przydział papieru i dystrybucję według starego, komunistycznego rozdzielnika, do każdego zakątka w kraju (przecież nie zlikwiduje się takiego molocha jak RSW-Prasa w ciągu miesiąca czy roku: damy tam zarząd komisaryczny, żeby powolutku i bez strat szykował samoliquidację molocha). No, dobrze, był dość sprytny, żeby zarejestrować pismo tylko na siebie: prywatna, jednoosobowa inicjatywa. Chociaż nie od razu: prawdę mówiąc, przez pierwszy kwartał miał Urban ponoć wydawcę (więc właściwie w ogóle nie potrzebował wkładu finansowego!), spółkę Presspo z Poznania. Po kwartale umowa wygasła, a interes kwitł, i wtedy to przejął całość. No, dobrze: albo kolesie domyślili się w końcu, że jest z nich najmądrzejszy, albo ich przechytrzył. Fakt, że „NIE” zrobiło furorę na rynku, temu nikt nie zaprzeczy!

Faktem jest też, że inni mieli podobne szanse, ale nikt furory na rynku nie zrobił. Kto by kupował nową gazetkę Fraka? Albo czyjąkolwiek? Trzeba było być zniechęconym powszechnie superbłaznem, żeby każdy chciał wiedzieć, co nowego krwawy superbłazen wymyślił. A jak się człowiek dowiedział, chciał wiedzieć, co łajdak wymyśli jeszcze. I jeszcze raz.

Druga wersja startu Urbana w biznesie jest mniej naiwna niż pierwsza, ale jednak naiwna i dość mętna. Jednoosobowa inicjatywa geniusza, sukces jak w bajce. Własne, całkowicie niezależne pismo najslawniejszego człowieka w kraju!

No nie – przyzna po jakimś czasie – niezależne to „NIE” nie jest. Nie ma gazet niezależnych. Powiedzmy, że jest dość mało zależne. Mniej niż reszta prasy.

Od kogo „NIE” jest zależne? Ach, nie ośmieszajcie się takimi pytaniami!

Grunt, że jest dobre. Prawda?

Jasne.



## Demon

Pochyliła się nad walizką, popatrzył na nią, a potem strzelił obok jej ręki grzebiącej w kolorowych łaskach. Rewolwer był wyposażony w nowoczesny tłumik i rozległo się tylko ciche, głuche plaśnięcie.

Znieruchomiała. Stała przy walizce sparaliżowana strachem. Pojęła wreszcie, że jest zdecydowany na wszystko.

– Gdzie masz te dokumenty? – spytał.

– Tutaj ich nie ma – odparła drżącym głosem. – Są w Gdańsku u moich rodziców.

– Jedziemy! – zakomenderował. – Walizkę bierzemy ze sobą. Na wszelki wypadek – wyjaśnił napotkawszy jej zdumione spojrzenie. – Aby nie zostawić śladów naszego nieporozumienia.

Odnalazł pocisk, który utkwiał w metalowej kasetce o grubych stalowych ściankach z biżuterią na dnie walizki. Jedną ze ścianek przebił, w drugiej się zatrzymał.

– Nie uszkodzone świecidełka możesz zachować – poinformował ją. – Reszta należy do mnie. Wynagrodzę ci stratę.

Przebrał biżuterię, część jej oddał, część zostawił w kasetce i zamknął walizkę.

– Ile to wszystko razem jest warte? – spytał wskazując na walizkę. – Pięć tysięcy dolarów wystarczy?

Nie odezwała się, więc uznał, że się zgadza.

Oto Urban lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku. Urban z cienkiego, niegramatycznego paszkwila, sprzedawanego którejś zimy na ulicach Warszawy, niedostępnego w księgarniach, nie dostrzeżonego przez prasę. Na jaskrawej, kolorowej okładce nazwisko autora – „Mieczysław R. Olbromski”, tytuł – *Plugawy karzeł*, podtytuł – *Kto zamordował byłego premiera Jaroszewicza* (żadnego związku z treścią: po prostu niewiele wcześniej zamordowano w podwarszawskiej willi byłego komunistycznego premiera i jego żonę, dziennikarkę, mogło to przyciągnąć kupujących), i obrazek. Goluteńki (ale w strategicznym miejscu trochę mglisty), tłuściutki Urban siedzi na stosie dolarów, wczepiony weń zakrzywionymi szponami. Język ma wywieszony do granic możliwości, oczy złe i drwiące, uszy olbrzymie; z jednego zwisa równie gigantyczny złoty kolczyk w kształcie sierpa i młota. W tle jedna bardzo powiększona, bardzo realistyczna dwudziestodolarówka. Na tylnej stronie okładki – informacja, że „znany pisarz i reportażysta”, Mieczysław R. Olbromski, „odslania prawdziwe oblicze...” itd. W środku, między dwiema okładkami, szaleje demon. Pędzi przez nędzny, głupi, sprzedajny świat swoim samochodem za sto tysięcy dolarów, pijany w sztok, pełen pychy i wstrętu, z rewolwerem w kieszeni. Pod telefonem czekają na jego pierwszy znak płatni mordercy z rosyjskiej mafii i z kilku byłych albo i nie byłych wywiadów. Ale sam też sobie nieźle radzi. Małe „pik” z tłumikiem między palcami pięknej Diany, całymi w brylantach, nagła stalowa nuta w głosie – i gangsterzy bledną, a ślicznotki, choćby i trzynastoletnie, układają się w kuszących pozach, czekając pokornie na ten zaszczyt, tę swoją dożywotnią chlubę i chwałę, na kontakt cielesny z SAMYM URBANEM. Tym królem gangsterów, tym diabłem wcielonym, tą największą z wielkości. Ale – ha ha! – czekają na próżno. Bo cóż może tłumaczyć aż taką demoniczność, aż taką diaboliczność, aż taką erupcję zła, jeśli nie jakaś anomalia seksualna? No, impotencja po prostu?

Oto klucz do naszego demona. „Kutasik jak napaśtek”, w dodatku niesprawny. Czy facet, mogący normalnie pojechać, robiłby podobne rzeczy? Czy rwałby się do władzy – ach, nie, nawet nie do normalnej władzy, do sławy („*Tak, potrzeba mi do szczęścia sławy, jak największej sławy, niczego więcej*”), czy wkładałby całą duszę (jeśli szatan ma duszę) w swoje „trzystronicowe arcydzieła”, czy wykańczałby aż tak bezlitośnie wrogów? To musiało być to.

Zwykła męska niesprawność. Plus – powiedzmy – padaczka. Plus koszmarna brzydota. Plugawy karzeł, nazwijmy go dla uniknięcia procesu Jakubem Bluffem. Plugawy karzeł o złotych, spróchniałych zębach, słoniowych uszach, jajowatej głowie. Zawsze zapluty. Parskający śliną, chyba że właśnie toczy z ust pianę, tarzając się w drgawkach. Pijany przez całą dobę. Rzygający na obficie owłosione wzgórki łonowe kobiet, których nie może zaspokoić, choć stał się z konieczności mistrzem minety. Ohyda. Paskudztwo. Wszyscy go nienawidzą. Może z wyjątkiem czytelników jego tygodnika „Sprzeciw”, tak popularnego, że przynosi mu krocie. Miał jednego przyjaciela-dziennikarza, ale przyjaciel nim gardził, wyśmiewał go, w dodatku zbierał przeciwko niemu tajne, kompromitujące materiały (wywiad, kontrwywiad *e tutti quanti*), w związku z czym demon kazał swoim kumplom z wywiadu czy kontrwywiadu zabić gada. Żeby potem wyciągnąć swoją TECZKĘ od wdowy, pięknej Diany (*a potem strzelił obok jej ręki grzebiącej w kolorowych łaszkach*). Co nie zaspokaja jego bezgranicznej potrzeby zła, skądże!

Nieudolna, niegramatyczna próba opisu najohydniejszego stworu tego świata, Jerzego Urbana. Nieudolna, bo nielogiczna. Nie pogardza się kimś, kto budzi paniczny strach. Nie czuje się aż takiej nienawiści – bezinteresownej nienawiści – do zera. W każdym razie autor powinien lepiej wiedzieć, co czuje.

Ten nie wie. Kto zresztą jest taki logiczny, opanowany i chłodny wobec diabła? Kto zdołał kiedykolwiek przekonująco opisać diabła? A Bluff-Urban jest przecież diabłem! Diabeł i ślini się, i morduje; rzyga i myśli; ma paskudne zęby i genitalia, ale wszystko może i wszystko rozumie. Za dużo może. Za dużo rozumie. Właśnie dlatego nie da się go opisać. Ani zrozumieć. Ani pokonać. Potwór. Gigant. Lucyfer, wijący się w epileptycznych drgawkach na warszawskim chodniku, by zaraz potem (to w końcu nie jest „prawdziwa”, „medyczna” epilepsja!) zerwać się, wskoczyć do samochodu „za sto tysięcy dolarów”, i z dzikim wizgiem odjechać w gigantyczną noc, w noc bez granic. Na spotkanie z rosyjskim bandytą. Na rządową orgię. Z rewolwerem w kieszeni i otchłanią w sercu. Załatwiać swoje nędzne, małe, zbrodnicze sprawy. (A serce demona – jakże by inaczej? – wyje z rozpacz.)

*Wrócili do Warszawy. Jechał na złamanie karku, jeszcze szybciej niż w tamtą stronę. Przed jej domem wręczył Dianie obiecane pięć tysięcy dolarów.*

*– No, to z diabłem! – powiedział na pożegnanie – wybuchając rehotliwym śmiechem, a potem nagle spoważniał i ostrzegł ją: – Jeżeli piśniesz komuś słówko, roztrzaskam ci kulami tę twoją ładną buzię. Wiesz, że nie żartuję.*

*Omiotła go pogardliwym spojrzeniem i bez słowa wysiadła z samochodu.*

Nie byle co! Gdyby istotnie był taki, Chandler powinien go opisać – gdyby żył. I gdyby żył w postkomunistycznej Europie wschodniej. Skądże, Chandlera za mało! Toż nie tylko królem gangsterów jest Jakub Bluff, także księciem ciemności. Jego Ogoniastą Mością. Jego Smolistą Wysokością. Ojcem dla dziecka Rosemary – gdyby nie jego prześmieszna seksualna ułomność. Jakim cudem tak szybko dziennikarz z Europy wschodniej aż tak wyrósł, aż tak głęboko zstąpił do piekieł? Urban demonem! Właściwie dlaczego?

„– Urban to skurwysyn” – bełkocze pijak w knajpie – „ale mądry skurwysyn! A kto inny jest tu MĄDRY?”

Tyleż mówi – we wszystkich swoich meandrach i nielogicznościach – paszkwil z lat dziewięćdziesiątych. Skąd się wziął ten DEMON, czemu jest właśnie taki, aż tak ohydny i aż tak groźny?

*– Ułomnych, mało przydatnych należy zrzucać ze skały, jak robili to starożytni – rzekł prowokująco, swoim zwyczajem.*

*– A nie przyszło ci do głowy, że w oczach innych ty także jesteś ułomny? – spytała.*

*– Silniejszy zawsze zrzuca słabszego – odparł. – A ja jestem silny dzięki swej zdolności myślenia.*

Tyle stron, żeby dojść do tego samego wniosku, co pijaczyna w byle jakiej knajpie! „Skurwysyn, ale mądry”.

I tyle o Urbanie-demonie. Urbanie-legendzie. Tak komicznym, że aż serio. Tak groteskowym, że aż strasznym. Tak wyjątkowym w swej chytrej, bezlitosnej ohydzie, że nawet – czemu nie? – mogącym budzić litość. Wyjątki są samotne.

*Samotność to jest śmierć za życia, sam się na nią skazałeś.*

Legenda fałszywa jak każda. Ale legenda.

W latach dziewięćdziesiątych Urban naprawdę staje się demonem. Już nie jest byle dziennikarzyną, choćby i zdolnym, choćby i czytany. Już nie jest odgromnikiem dla wszystkich piorunów przeciwko władzy. Teraz uwielbiają go ci, którzy go nienawidzili. Był rzecznikiem czołgów, obozów i pacyfikacji. Stał się rzecznikiem liberalizmu i demokracji, europejskości i tolerancji, wolności i równości (o tyle, o ile), rozdziału Kościoła od Państwa i innych podstawowych, banalnych praw wyższych cywilizacji. A że przyszło mu żyć w kraju po 123 latach niewoli, 20 latach kapitalizmu, 6 latach hitlerowskiej okupacji, 50 latach socjalistycznych eksperymentów pod rosyjskim batem – w kraju, który po tym wszystkim zaczął się staczać w feudalizm i w katolicki chomeinizm, udało mu się nagle rozdzielić. Dla jednych demon, dla drugich prorok, ostatnia nadzieja i prawie święty. Jedyny odważny. Cóż by się z nami stało, gdyby go zabrakło?

Widziałam to. Mknął demon swoim zielonym jaguarem przez ulice miasta. Był maj i ulicami ciągnęły pochody małych dziewczynek w ślubnych szatach od pierwszej komunii. O latarnie opierali się wykończeni ostrym picciem ojcowie dziewczynek, przystępujących do pierwszej komunii.

Pod światłami do zielonego jaguara podbiegały dzieci z prośbą o autograf. Żeby chwalić się potem, latami – jeżeli Urbana zabiją, może i do końca życia – tym niewiarygodnym spotkaniem. („Widziałem go, o, tak jak pana, na pół metra!”). W restauracjach podchodzili na chwilę dobrze wychowani ludzie, nie chcący, skądże, zawracać głowy, ale – „Ja, proszę pana, co tydzień, od początku, czytam NIE, no i... no, i chcę tylko podziękować za to, co pan dla nas wszystkich robi!” Ściskali dłoń Urbana i odchodzili, przejęci, do swoich stolików.

Demon rośnie z dnia na dzień. Wrogowie załamują ręce: Bóg nie jest najwyraźniej po ich stronie – albo jest za słaby. Sam Leszek Bubel, wydawca antysemitycznych gazetek z krzyżówkami, sam Bubel, który kandydował na prezydenta (przegrał sromotnie, ale przecież kandydował), krew z krwi i kość z kości narodu polskiego, przegrał z demonem. Chciał wydawać gazetę „Nowe NIE”, ale – „Urban dowiedział się za wcześnie”. Wykończył mu gazetę, wyskrobał jej embriona. Ten Gebels zawsze będzie bezkarny. Będzie nadal wydawać swoją gazdiniówkę, „która szarpie nerwy milionów Polaków”, „urbanizuje” niewinne dzieci, a w ogóle jest źródłem „bandytyzmu, bezmyślnych mordów wśród młodego pokolenia”.

Styl mówi sam za siebie. Gdyby Bubel umiał pisać (i zmienić nazwisko) mógłby może wydawać „Nowe NIE”. Ktokolwiek umiałby pisać równie dobrze jak Urban, mógłby stać się kontr-Urbaniem. Mógłby mądrze, błyskotliwie, dowcipnie bronić tego, z czym demon walczy. Tyle że nikt tego nie umie. W swojej specjalności Urban osiągnął rekord wszech czasów. Skoczył w dal na trzysta metrów. Nikt mu nie dorówna. Nie można z nim walczyć, można się tylko żalić.

To cały problem: przeciwnicy demona bełkoczą, on jeden mówi jasno i wyraźnie. I ciekawie, i śmiesznie. Tak, że tylko jego chce się słuchać i czytać. Stara diabelska sztuczka. Cała popularność diabła wynika z tego, że jest inteligentniejszy od Boga. A przynajmniej taki się wydaje, co już jest dowodem inteligencji. Wyszarpuje pazurami z mapy całe kontynenty. Co chwila pozyskuje sobie nowych wiernych. Zawsze zwycięża. Ale czy jest mu czego zazdrościć – poza zwycięstwem?

Ostatnia pocięcha wrogów demona: w gruncie rzeczy nie ma mu czego zazdrościć!

*Pilem sobie kiedyś z kolegą w barze „Corso” przy placu Zbawiciela w Warszawie – pisze w 1997 (powtarzam to) Marek Oramus z prawie już nie czytanego „Tygodnika Solidarność”. – Byliśmy jedynymi gośćmi, miało się ku północy, zaraz chcieli zamykać. W pewnym momencie do lokalu wtargnęli czujni osobnicy, którzy rozstawili się po kątach i zastygli w profesjonalnych pozach. Zaczynam wszedł Urban z żoną (chyba), zasiedli obok nas przy barze. Kolega, chcąc chyba zweryfikować realność tego przeżycia, zwrócił się do Urbana o papierosa. Dostał, następnie paczka wyciągnęła się w moją stronę.*

*Do dziś pamiętam amplitudę wyciągniętej ręki. Jej drżenie można by chyba mierzyć w centymetrach. Nikt mi nie wmówi, że nie móc pokazać się bez obstawy na ulicy własnego miasta, trząść się jak galareta i jeszcze pracować po pas w kloace, to takie wielkie szczęście.*

Niestety demon jest potężny. W ciągu roku – dwóch wyrósł z rewolweru z tłumikiem i z rozwalania na postrach kasetek z biżuterią głupiutkich piękności. Gdyby był tylko bandytą, szantażowanym szantażystą, mordercą byłych premierów i emerytowanych generałów, można by wzruszyć nad nim ramionami. Minęło trochę czasu, i już widać, jak nie docenili Urbana niedawni paszkwilanci. Jest coraz czarniejszy, ogon ma coraz dłuższy, coraz głośniejsze stukanie kopytami. Ma władzę, ma pieniądze. Ma pieniądze, czyli władzę.

Gwiazdor-szmaciarz, Goebbels stanu wojennego, obsceniczna świnią, dystrybutor kloaki, stał się szanowanym obywatelem i poważnym biznesmenem, dającym ludziom zatrudnienie i rozrywkę. Już się go nie postawi pod pręgierzem, już nie można lżyć go bezkarnie. To jemu – piszą wstrząśnięte, niskonakładowe gazety – wolno testować cierpliwość społeczeństwa, to jemu wolno lżyć i poniżać. Tej obscenicznej świni, szmaciarzowi, skatologowi, plującemu „nam” w oczy „czymś podobnym do substancji po żuciu tytoniu”, i wycyganiającym za to niezłe pieniądze, to jemu wolno wszystko. Wolno mu kłaść „notorycznie” sprawy najświętsze. Choćby „największe autorytety moralne, których nam zazdrości cały świat”. Bełkot. Niestety, ciągle bełkot.

W sumie – demonowi można by nawet współczuć, gdyby nie był demonem. Taki samotny, taki przerażony! Można by mu współczuć, gdyby to nie z jego powodu („Tygodnik Solidarność” jest święcie przekonany, że gdyby nie Urban, nic takiego nie mogłoby się zdarzyć) nastolatki mordowały swych rówieśników na ulicach. To Urban zachęca do morderstw, sącząc przez swą kloaczną gazetkę swój kloaczny etos – „Wszystko wolno, ponieważ Boga nie ma”. A czytelnik, ten kołtun-libertyn, wpatruje się w NIE „niczym szpak w żeńskie organy płciowe”, i wierzy święcie, że na ciężko chory mózg pomogą regularne okłady z fekaliiów. Zgroza!

Szatan nawiedził świat, a imię jego Urban.

## Kobiety, sex itd.

12 sierpnia 1881 roku Antonia Havlova, nazywana „niebieską Toni” z racji koloru oczu i służbowej (atłasowej) kiecki, jadła śniadanie w towarzystwie innych prostytutek z burdelu pani Koutzkiej w Pradze. Nagle rozległy się krzyki: to burdelmama żarła się z inspektorem tajnej policji, a inspektor się odgrażał. Jak ona będzie mu robić trudności, to on też zacznie jej robić trudności. Do tego, oczywiście, nie można dopuścić. Udaje się więc burdelmama do kuchni i przedstawia swoim paniom propozycję-nie-do-odrzućcia. Chodzi o pójście do celi masowego mordercy-zboczeńca (dusił dziewczyny, a potem okaleczał zwłoki). Morderca ma być nazajutrz powieszony, i trzeba spełnić jego ostatnie życzenie (zgodnie z zasadą prawa rzymskiego *scortum scorto*, później zapomnianą), a jego ostatnim życzeniem jest trochę seksu. No, jeszcze jedna dziewczyna. Gdzie ją znaleźć, jeśli nie w burdelu?

Ale inspektor biega od dawna między praskimi bajzlami, i żadna zawodowa nie chce, nawet za największe pieniądze (których zresztą nikt nie daje), nigdy! Stąd już inspektor nie odejdzie, nóg na loterii nie wygrał. Tu musi załatwić sprawę. I tyle. I koniec.

Oczywiście, tu też żadna nie chce iść do zbrodniczego Ferdynanda Prokupka. Wszystkie o nim czytały, wszystkie widziały go na zdjęciu w gazecie (potworny!): za nic.

Skoro żadna nie chce iść z dobrej woli, za pięć guldenów, znajdziemy taką, która nie będzie mogła odmówić. Pani Koutzka, burdelmama, nakazuje to posługaczce. Posługaczka jeszcze niedawno była w burdelu jedną z „pań”, ale zachorowała, wszystkie włosy jej wypadły, zbrzydła strasznie, chrypi ohydnie, trzymają ją tu z łaski, bo inaczej tylko samobójstwo by jej zostało. Ale i ona nie chce spać ze zbrodniarzem. Cóż, rzuci się do rzeki, trudno. Wtedy Toni mówi nagle: „Ja pójdę”.

Idzie. Znosi kpiny strażników, rewizję, strach po zamknięciu drzwi celi – krostowato-szczeciniasty Prokupek może ją w każdej chwili udusić jak niejedną przedtem – ale wie, co należy do jej zawodu. Niech się klient przynajmniej ucieszy. Mało tego: kiedy już mogłaby odejść, robi jej się żal człowieka, którego rano powieszają, i z własnej woli zostaje jeszcze trochę. A kiedy wraca w nocy do burdelu, znajduje na swojej szafce nocnej tekturową szubienicę.

I to już właściwie koniec. Nazajutrz dziewczyna jest pośmiewiskiem i koleżanek, i klientów (zresztą żaden już jej tknąć nie zechce, tak się skalą – a dopiero co ustawiały się do niej kolejki!), jest Szubieniczną Toni, i nawet jej blond-Willy wrzaśnie na cały lokal, że wezwie ją, jak będą go mieli wieszać, wcześniej nie, i pójdzie do pokoju z inną, i nie ma już dla Toni życia, i zatrudni się w nędznym burdeliku przy domu ślepców, ale i tam ją po trzech dniach rozpoznają, i tylko ulica jej pozostanie, a ulica to najgorsze, co może być na świecie, naprawdę najgorsze...

Po trzydziestu latach „ulicy” zobaczy Tońkę Szubienicę wielki reporter Egon Erwin Kisch, i – zaciekawiony jej przewiskiem, wykrzyczanym w żalonym barku przez inną weterankę podczas krwawej bójki – za trzy wódki kupi sobie jej spowiedź. Kiedy zacznie jej szukać, żeby to i owo w reportażu uzupełnić, dowie się, że umarła.

I tu się dopiero zaczyna arcydzieło mistrza wszystkich dziennikarzy. Literatura się zaczyna. Sentymenty. Cztery piąte tekstu zajmą sentymentalne wymysły, i nie byłoby bez nich arcydzieła, i każdy pismak powinien sprawę przemyśleć. Naśladować Kisch, sprzeciwić mu się, zignorować? Toż to fabuła, toż to beletrystyka! W niby-to-reportażu! Czy tak WOLNO? Czy wolno tak mieszać gatunki? Czy dziennikarz, ten urzędnik na służbie chwili, ma prawo ni stąd, ni zowąd skakać sobie w NIESKOŃCZONOŚĆ?

Bardzo ważne pytanie dla ambitnych żurnalistów dwudziestego wieku, ale nas ono teraz mało obchodzi. *Ad rem*.

Umarła Tońka Szubienica. Przed śmiercią, w rozmowie z pismakiem, który zapłacił za trzy wódki, krzyczała o sprawiedliwości, o wielkim sędzi, który powinien dać jej kiedyś za-  
dośćuczynienie, a wrogów (z policją obyczajową włącznie) skazać na straszne kary. Wy-  
obraźmy sobie – myśli pismak, zaczynając zniecka tworzyć arcydzieło – tak, wyobraźmy  
sobie, że to jest możliwe! Wyobraźmy sobie, że taki sąd istnieje! Jak by to było?

Tak by to było. Dowozi świeżo zmarłych (*Przyjaciele, nie wąpmy w to!*) wóz policyjny  
prosto na salę sądową. Niebieski Asesor i Piekielny Asesor kłócą się o politykę, prezes śpi i  
chrapie. Ale kiedy się prezes budzi – ach, wtedy wszystko jest jak w naszych marzeniach! Żli  
i obłudni pójdą do piekła, a co do Szubienicznej Toni...

Po długim przesłuchaniu Sam Prezes („Z pana to takie pocziwe zwierzę” – powie mu  
oskarżona) zapyta wreszcie Tońkę, **dlaczego**. Dlaczego, no, DLACZEGO poszła wtedy,  
przed trzydziestu laty, do celi zbrodniarza Prokupka?! A ona zamyśli się, po czym powie:  
„– Właściwie to sama nie wiem dlaczego”. I ciemność nagle zapadnie, i zagrzmią organy, i  
rozlegną się dzwony. I znajdzie się Szubieniczna Toni w raju, z którego wygnał ją kiedyś głu-  
pi, niewybaczalny społecznie akt litości: w burdelu pani Koutzkiej. Ale tym razem wszyscy  
bardzo się ucieszą, że ją znowu widzą, i blond-Willy zawoła: „Kochanie, dzięki Bogu, że  
znów tu jesteś!”, a ona będzie jak dawniej w błękitnych atlasach, ażurowych pończochach i  
lakierkach, tylko białe pierzaste skrzydła jej wyrosną u ramion, i zapali papierosa, ale zaraz  
go rzuci, żeby zatańczyć z blond-Willym... i taka będzie szczęśliwa, ach, taka szczęśliwa! Po  
prostu w niebie!

Niebiański Asesor bardzo się, oczywiście, zgorszy decyzją prezesa. „Każdemu człowie-  
kowi jego królestwo niebieskie”? Czy to nie przesada? Czy to w tym wypadku nie przesada?  
Choć, oczywiście, pan prezes jest po prostu nieomylny...

Kiedy się – czasem – budzi.

Właśnie *Wniebowstąpieniem Szubienicznej Toni* był Urban przejęty do szpiku kości, kie-  
dy pojechał w 1957 do Krakowa, organizować fałszywe biuro matrymonialne, żeby je opisać  
w „Po prostu”. Naprawdę bardzo był wtedy młody i egzaltowany, choć biadał nad swoją  
„dwudziestką z hakiem”. I bardzo młodzieńczo mylił sposób opisanie faktów z samymi fak-  
tami. Czy naprawdę, gdyby sam zobaczył dwie tłukące się w obskurnej knajpce podstarzałe  
dziwki, z których jedna wrzeszczy coś o szubienicy, przejąłby się tak, żeby potem szukać,  
tropić, pytać, zgłębiać temat? Czy tak by się wzruszył czyimś złamanym życiem, żeby od-  
woływać się (Kisch też był ateuszem i nie o wiarę tu chodzi) do Boga, diabła, Sądu Ostatecz-  
nego? O tak, na pewno, gdyby to życie było pięknie opisane, gdyby już PRZED NIM zostało  
pięknie opisane! Nie wpadł na to, że zawsze ktoś musi zacząć.

W porównaniu z Szubieniczną Toni, z błękitami, ażurami, skrzydłami, muzyką i Wielkim  
Sądem rzeczywistość była upiornie szara, żalonna i śmieszna. Tak też o niej – zdruzgotany  
kontrastem – opowiadał. Nie wyobrażał sobie, żeby Niebo i Piekło mogły zajmować się duszą  
dziewczyny pokazującej pośrednikowi matrymonialnemu zdjęcie narzeczonego: znajdźcie mi  
takiego samego, tylko żeby więcej zarabiał! Albo duszą księgowej, szukającej ojca dla Krzy-  
sia – takiego dobrego, miłego dziecka! Nikt tych marność w czerwonej Polsce nie opisywał,  
on był pierwszy. Za gardło go ścisnęła *Wniebowstąpienie Szubienicznej...* – ale TO? Gdzie tu  
miejsce na patos i wzruszenie? Nędzne, obrzydliwe historie! W wielkiej literaturze wszystko  
wyglądało inaczej, a on nie zamierzał tworzyć wielkiej literatury: po prostu nie przyszło mu  
to do głowy. Gdyby przyszło, może by i potrafił.

Urzeczone Szubieniczną, zbrzydzone prawdziwymi, chodzi jednak z kobietami do łóżka,  
jeśli trafi się okazja. W Krakowie się trafiła.

Bo w ogóle bardzo to trudne – miłość, seks i tak dalej, bardzo trudne, mętne i zakłamane,  
a porządному człowiekowi cholernie trudno sobie z tym poradzić.

Urban jest porządnym człowiekiem, żeby sprawa była jasna.

Z kobietami w życiu Urbana było mniej więcej tak.

Najpierw trochę byle czego i byle jak, i w ogóle normalnie.

A może nie tak zupełnie normalnie, bo nieśmiały jest i ambitny. Jeżeli kobieta mu się podoba, dołoży wszelkich starań, żeby tego nie okazać – miną, słowem ani uczynkiem, bo mogłaby go przecież wyśmiać, a wtedy spaliłby się ze wstydu. Mogłaby go nie chcieć, a tego nie zniosłaby jego pycha. Niech one zaczynają. Niech one pierwsze okazują, że byłyby skłonne. Ale jeśli uzna za sygnał i zachętę coś, co wcale nie będzie sygnałem ani zachętą, co wtedy? Będzie ośmieszony, poniżony, sponiewierany! Zdarzyło się w końcu kiedyś, że dziewczyna przyszła do niego z wódką. On widział w tym jednoznaczny *sygnał* i *zachętę*, więc zachował się odpowiednio. Został odepchnięty, wyśmiany i poniżony, a nazajutrz oskarżony o próbę gwałtu, co omawiano na zebraniu ZMP. Cóż z tego, że go uniewinniono? Tak, wszystko jest trudne, mętne i zakłamane.

Gdyby można było najpierw wszystko sobie wzajemnie wyjaśnić w listach! Niestety, świat nie jest stworzony dla ludzi pióra.

Potem Tońka Szubienica czy Szubieniczna Toni: marzenie o kobiecie! Szalonej, patetycznej, seksownej, fatalnej, zabawnej, niezwyklej. Ale zanim się zdążył za czymś choć trochę podobnym rozejrzeć, już jest jakaś ciąża, której panienka nie chce przerwać, i każdy porządny facet w takiej sytuacji się żeni (w rodzinie Młodziaków nie do pomyslenia, ale nawet rodzina Młodziaków za komuny skapcianała), więc i on się żeni, i już po życiu.

Chyba że się nie umrze za szybko.

Pierwsza żona – Wieśka Grochola – była ładna, neurotyczna i nierozsądna. Najlepszy dowód, że tak się uparła przy facecie właśnie wyrzucanym z pracy, potem przez kilka lat z wilczym biletem, znów na krótko urządzonym, i znów z wilczym biletem... dwanaście lat byle czego! Jej też nic się w życiu nie udawało, więc na pozór pasowali do siebie znakomicie.

Urban ciągle narażał się władzy, chałturzył, łapał byle jakie zajęcia, na chwilę się urządzał i znów go wyrzucano na bruk, bo nie umiał opanować swojej manii pisania tego, co uważał za słuszne. Ona miała w ciągu iluś tam przewidzianych w umowie lat (w sumie bodaj ośmiu) zrobić doktorat ze swojej Orzeszkowej (właściwie przerobić magisterium o Orzeszkowej na doktorat o Orzeszkowej), ale nie zdołała, więc straciła robotę na Uniwersytecie. Mąż załatwił jej druk w „Polityce” listu otwartego o feudalnych stosunkach na wyższych uczelniach (niby dlaczego pracownik naukowy miałby robić jakieś tam doktoraty? czy nie wystarczy, że w ogóle jest świetny?), a potem ułatwił jej wejście w dziennikarstwo, i gdyby tylko umiała pisać... No, ale nie umiała. Tym większy żal: czemu drukuje się tylko tych, którzy lepiej czy gorzej, ale umieją pisać? A jeśli ktoś nie umie pisać, to już nie będzie drukowany, tak? Niby dlaczego? Gdzie tu sprawiedliwość? Ciągłe to samo! W nauce, w prasie, w telewizji wszędzie czegoś od człowieka żądają, choćby miał protekcję. A może to wina Urbana: kiepska ta jego protekcja, starcza jej tylko na załatwienie etatu, nie kariery. Nic dziwnego: sam nie może kariery zrobić, choć tak haruje. Tak, to jego wina, jego wina!

Stąd tylko krok do szpitala psychiatrycznego, i tak też się skończyło.

Po drodze było dużo picia, jakieś zdrady, najpierw jej, potem i jego, wielka kotłowanina, a wreszcie – co za szczęście! – samotność. Człowiek bardziej konsekwentny zostałby w tym rajku na zawsze, ale Urban konsekwentny nie był.

Kobiety w jego życiu! W ankiecie Hanny Bakuły, pytany, ile ich było, zakreślił odpowiedź „10-50”, dość pojemną odpowiedź, dopisując: „Tu się chyba mieszczę”. Albo miał mniejszy temperament, albo słabszą pamięć od swojej trzeciej żony, zdolnej zapamiętać z nazwiska swoich 57 kochanków i dwie kochanki i mieć wciąż ich telefony w notesie! A ci

zapomniani? A kilkanaście osób płci obojga, „które używszy ongiś Daniszewskiej już nie żyją z powodu kraks, samobójstw lub chorób nie w każdym bynajmniej przypadku przeniesionych drogą płciową”? Tak, z trzecią żoną było mu wreszcie wesoło – choćby dlatego, że dopiero z nią udało się najpierw wszystko ustalić listownie – ale trzeba było na to dość długo poczekać.

Po drodze jeszcze raz mogło być wesoło, ale za wielki był z niego wtedy sensat, za bardzo się zakochał. Wreszcie to, o czym zawsze marzył! Dziewczyna, która zrywa się w środku nocy z krzykiem, bo przyśniło jej się równanie wszechświata, i pędzi do biurka, żeby je czym prędzej zapisać. (Urban zapisku nie skopiował, bezpowrotnie zubożając tym ludzkość.) Dziewczyna, która tańczy nago na stole (na urbanowym stole), wywołując głośno tego z gości, który ma na nią ochotę (Urbanu zamurowało, kto inny zgłosił się pierwszy) – po czym, narzuciwszy jakąś szmatę, wychodzi z tym wybranym a chętnym – podczas gdy serce Urbana ocieka krwią. (Ale kiedy on ma inną, przybiega zrobić straszną scenę.) Która w Zakopanem kopie go butem narciarskim w kostkę (OCHWACIŁA MNIE!) – i oznajmia, że więcej się z nim nie pokaże, bo nie będzie się kompromitować z kulawym. Urocza! Właśnie o takiej kobiecie zawsze marzył, takiej szukał! Prawie Tońka Szubienica! Gdyby go jeszcze kochała, byłaby ideałem, ale nie kochała. Znalazła sobie kogoś odpowiedniego w Ameryce, po latach zaczęła przyjeżdżać do Polski, i jasne już było, że Zdzicha to naprawdę cudo, UROCZA WARIATKA, ale nie dla niego, nie wyszło, trudno. Dzięki niej przynajmniej zrozumiał do końca, jakiej kobiety mu trzeba.

Takiej jak Zdzicha, tylko żeby go kochała.

Romansowej i alkoholowej, koniecznie romansowej i alkoholowej! Z papierosem w pysku, z kielichem w łapie, z przeszłością, od której mieszczuchom włos by się zjeżył na głowach. I zwariowanej, i ekscentrycznej (*urocza wariatka*), i koniecznie inteligentnej (Zdzicha zajmowała się Metodologią Socjologii, wyszła za sławnego amerykańskiego uczonego, i do prawdy nie była głupia), i żeby miała własne ambicje („Nie mógłbym mieszkać z kobietą, która nie pracuje”), i jeszcze – o Boże, co jeszcze?

I jeszcze trochę metafizyki by się przydało. Tekturowa szubienica na szafce nocnej.

O to najtrudniej.

Przeskakujemy kilkanaście lat, każdy by tak chciał. Urban też by może chciał, ale on musiał te lata przeżyć od stycznia do grudnia, od początku do końca. No, teraz już jest wielki, teraz wszedł do historii. Teraz Urban stał się URBANEM, nareszcie! Z dziennikarza, któremu różnie się wiodło, zmienił się w mit i legendę. Śnieg pada. Ludzie stoją na śniegu przy kościele (tu najbezpieczniej) i śpiewają chórem (jeszcze im się nie znudziło!) o szubienicy dla Urbana. Nikt mu nie postawił na szafce nocnej szubienicy tekturowej (jakim cudem?!), ale o prawdziwej ciągle się marzy. Tylko mocna to musi być szubienica, żeby udźwignęła tyle zła! Dubeltowa!

*Dla Urbana gruba belka,  
Bo jest z niego świnia wielka.*

No, nie bardzo to wyszukane, ale szczere.

A potem, pierwszego maja, w dzień, który próbuje się odebrać władzy (NASZE ŚWIĘTO! NASZE ŚWIĘTO!) coś się skanduje o szubienicy dla Urbana. Jak zawsze, jak przy każdej okazji. I gwizdże się – fantastyczny efekt, kiedy robi to tłum – *Heili Heila* na powitanie idących do ataku zomowców ukrytych za przyłbicami, za tarczami, i nagle dowódca *tych psów w kokilkach* zmienia rozkaz, i psy się wycofują, a tłum bije brawo, i jest to przy kościele na Żoliborzu, przy „kościel Solidarność”, i który to może być rok? Chyba 1984. Tak, 1984. Jeszcze parę miesięcy, a księdza z tego kościoła, ulubieńca tłumów, ubecy zwiążą w



obwarzanek, wrzucą do bagażnika samochodu, powożą przez kilka godzin, żeby się dobrze pomęczył, a wreszcie cisną do rzeki. Na razie jest pięknie, słonecznie, ZOMO nie biło, i w ogóle – niedługo zwyciężymy, powiesimy Urbana, i cudnie będzie.

Wyobraźmy sobie, jaki powinien mieć nagrobek. Och, to jasne! W dwóch grobach powinien leżeć, zbrodniarz, a napis będzie taki:

*Tu leży Urban, pokój jego duszy.*

*W tym grobie on, a w sąsiednim uszy.*

Bo nagle odkryto – długo nikt tego nie zauważał – że uszy ma Urban duże i odstające. Z każdym dniem coraz większe, z każdym tygodniem coraz bardziej odstające. Jak skrzydła nietoperza. Jak uszy słonia. Że też może istnieć ktoś z takimi uszami!

No, ale już niedługo. W końcu przyjdzie wolność, niepodległość, i – oczywiście – haniebny kres szczekaczki junty. (*Pytano, czemu nie ma psa / pewnego człeka. / On odrzekł: po co mi pies? / Mamy Urbana, niech szczeka.*) Toż TO WSZYSTKO musi się kiedyś skończyć!

Nikomu do głowy nie przyjdzie, że Szubieniczny Urban jest także mężczyzną.

A jest.

I właśnie zmienia żonę. Ta ostatnia nazywa się Karyna Andrzejewska (po autorze *Popiołu i diamentu*, Jerzym Andrzejewskim: nie córka, synowa, snobizm był wielki na wielkie nazwiska, ale córek dla wszystkich nie starczyło, synowe też były w modzie – Andrzejewska, Woroszyńska...) i pracuje w piśmie sportowym. Następna żona również pracuje w piśmie sportowym, a Urban od sportu odżegnuje się jak katol od szatana, zabawne. Aktualna żona przychodzi pewnego dnia do pracy w lśniących, błyszczących, czerwonych spodniach, a redakcyjny kolega, Janusz Atlas, niedawny amant żony przyszej, obecny mąż najładniejszej, najśmieszniejszej i najbardziej ekscentrycznej dziennikarki z telewizji, pyta od niechcenia:

– Coś ty takie kurewskie spodnie włożyła?

Aktualna żona bardzo się obraża i skarży się mężowi, rzecznikowi rządu, wicekrólowi Ubekistanu. Wicekról wysłał oszczercy uroczysty list w małżeńskiej kopercie z nadrukiem: *Karyna i Jerzy Urban*. Słowa „*Karyna i*” przekreślił, ale jeszcze się jakoś poczuwa.

*Wielce Szanowny Panie!* – pisze Urban tonem wielce namaszczonego – *Od osoby godnej zaufania dowiedziałem się, że nazwał Pan kurewskimi najlepsze spodnie mojej żony, sporządzone z krasnej podszewki, kupione ze zrzutów politycznych. Bardzo to zabolalo moją żonę i mnie, gdyż te spodnie są tym, co mamy najlepszego, a ich uroda jest szeroko uznawana w polskim społeczeństwie ze względu na wymowę koloru. Wyrażanie takiej opinii o spodniach niedzielnych mojej żony tym bardziej jest niegodne, że Pana żona ma urodę i wdzięk w sobie i w mężu, a moja wyłącznie te spodnie. Rzeczzone spodnie są zresztą najmniej kurewskie ze wszystkiego, czym moja żona dysponuje, o czym Pana zawiadamiam z należytą powagą.*

*(...) Pozwolę sobie przypomnieć, że w roku 1981 w knajpie SPATiF negocjował Pan publicznie moją orientację polityczną, przypisując mi te właśnie cechy, które obecnie widzi Pan w spodniach mojej żony. (...) Niech się Pan nie zdziwi, jeżeli po krytyce najlepszych spodni mojej żony spadną na Pana różne nieszczęścia. Jestem bowiem co prawda leniwy, ale nie za bardzo.*

*Jeżeli więc nawet Pana żona ma lepsze od mojej spodnie, to moja ma ostrożniejszego męża. Zobaczymy, która żona lepiej na tym wyjdzie.*

*Pański oddany sługa  
Urban*

Jest 4 sierpnia 1984; o nową żonę zacznie Urban na dobre zabiegać we wrześniu. Ale już jest na dobrej drodze.

Za dziewięć lat była żona – druga była – wyda paszkwil na Urbana pod tytułem „Byłam jego żoną...”, paszkwil w formie wywiadu-rzeki. Na okładce będzie portret żółto-fioletowego Urbana okrytego taką ilością brodawek, jaka nie zmieściłaby się nawet na ropusze, z uszami włochatymi jak uszy niedźwiedzia i z baraním wejrzeniem. W środku będzie o tym, jak to Urban kradł w knajpach i u znajomych sztuce, popielniczki, papierosy, orzeszki, niemalże śledzie w sosie pomidorowym, kieszenie miał wytłuszczone, niszczył sobie garnitury – manie mściwego człowieka, który chce się ODEGRAĆ. Jak pisał donosy na najbliższych przyjaciół. Jak wyrwał na parkingu wycieraczki z Bogu ducha winnych samochodów, bo jemu, JEMU ukradziono wycieraczki. „Niech inni też mają porysowane szyby”. Jak mu tłuszcz ciekł po brodzie, kiedy się obzerał. (Serwetami musiał się okrywać, żeby się nie zaświnić – a i tak zawsze się zaświnił!) Jak zeżarł pewnej aktorce słoik kleju do tapet, myśląc, że to śmietana. Jak krzyczał po nocach, przez sen, jak budził się z krzykiem na krótko przed Sierpniem – histeryk i hipochondryk. Jak płaka – baba! – kiedy podejrzewano u niego raka, i jeszcze raz, kiedy zachorował jego ojciec (toż ojciec był już po osiemdziesiątce!). Jak pił – i z ludźmi, i „do lustra”, i bez lustra, wiecznie. Jak się wciąż bezskutecznie odchudzał: co schudł, to znowu tył. Jak wpadał czasem we WŚCIEK – tak to nazywał – i zdolny był mordować, naprawdę. Jak miał owrzodzenie dwunastnicy. I jeszcze jak ją, Karynę, okradł przy rozwodzie. Jak ukradkiem powynosił z domu wszystko, co cenniejsze. Prezenty, które dostali wspólnie! Jak o swojej nowej najdroższej mówił: „Wiesz, dupa Zbyszka Rykowskiego”. (A to był JEJ kochanek, ten Rykowski, także i jej!) Jak w czasach kartek, kiedy to pełnotłuste mleko należało się tylko dzieciom, kradł sąsiadom butelki spod drzwi i sam wypijał. Albo zamieniał na swoje, od tłuszczone. Albo zamieniał kapsle. Jak przepadał za zającem z buraczkami („obrzydliwość!”). Jak oglądał porno z Oleksym, później premierem oskarżonym o szpiegostwo dla ruskich. Jak brał hormony, „małpie zastrzyki”. I tak dalej, i tak dalej.

Cóż, żona.

Druuga z kolei i z wyboru, nie z powodu wpadki na Mazurach i antyaborcyjnego uporu, jak to było z tą pierwszą. Więc ważna. Spotkał się z nią nawet Urban zyczliwie, kiedy się dowiedział, że o nim napisała (zawsze to reklama), dał jej parę dobrych rad co do zawierania umów z wydawcami, parę ostrzeżeń, żeby nie dała się okraść, z przykładami, z nazwiskami, z właściwymi paragrafami, a ona to zaraz opowiedziała prasie, mściwa bestia. Ludzie z branży natychmiast się na niego poobrażali, długo musiał to odkręcać, a przed samą książką zdjął go lęk: więc aż tak go Karyna nienawidzi? Zamieścił nawet lekko historyczny tekst w „NIE”, ostrzegający przed kłamstwami byleją, ale zaraz się uspokoił. Czegokolwiek mógł się bać, Karyna tego nie powiedziała. Chyba nie zdawała sobie sprawy, co może powiedzieć. Świetnie.

A przecież po drodze było miło. Upatrzył sobie Urban Karynę na długo przedtem, zanim zdołał ją poznać. Tyle o niej słyszał! Romansowa i alkoholowa, i zawsze w kłębach papierosowego dymu („Dopale i lece” – nawet piosenkę z tym szlagwortem kiedyś o niej kochana Agnieszka napisze), i nosząca nazwisko pisarza, który *otał się o Nobla* (jest Urban trochę snobem, czemu nie?), i w ogóle PIKANTNA. Dużo wysiłku musiał włożyć w to, żeby ją poznać (nie był chamem, który nosi gotową konfekcję albo zaczepia kobiety w knajpie!): trzeba było zmontować solidną intrygę. Trochę mniej wysiłku kosztowało go to, żeby – podczas spotkania u znajomych – zwrócić na siebie jej uwagę: coś powiedziała o głośnym tykaniu budzika, więc wyrzucił budzik przez okno. Nadzwyczajny to był budzik, długo trzeba było szukać identycznego, żeby go gospodarzom zwrócić, ale wrażenie zrobił, prawda? Nie mogła go nie zauważyć!

Potem już był w swoim żywiole. Istne dżungle kwiatów, wysyłanych do pracy i gdzie popadnie! Cudowne listy urodzonego pisarza! A przede wszystkim – ta „wielka, niewyobrażalna

wprost troskliwość”, kiedy ją dopadła grypa – doprawdy, mężczyzna, który umie tak się zajmować chorą kobietą, może mieć każdą kobietę. Jeżeli tylko zdoła ją poznać.

Taki był czuły, taki opiekuńczy, taki dobry, że właściwie „rozwiódł ją” z synem pisarza aspirującego do Nobla, zanim jeszcze gorączka spadła do 36,6°. Pozostało tylko załatwić formalności.

Nie, nie, to nie wszystkie zalety Urbana jako kochanka! Umiał jeszcze coś, czego prawie nikt nie umie: umiał walczyć.

Bo powiedzmy, że zwątpiła kobieta w uczucia cudownego mężczyzny, zasypującego ją kwiatami, listami, i pielęgnującego w chorobie czulej niż rodzona mama. Nie zadzwonił kiedyś, nie przyszedł – trudno, taki sam jest, jak wszyscy! Co wtedy robi kobieta? Kobieta, mogąca podobać się Urbanowi? Wypija butelkę koniaku i natychmiast wiąże się z innym. Co wtedy robi Urban, mężczyzna, mogący podobać się kobietom? (Doprawdy, milczał przez dzień czy dwa z Przyczyn Wyższych!) Robi wszystko. Od bijatyki z rywalem po intrygi, szukanie poparcia, angażowanie krewnych i znajomych, patos, szantaż, prośby – naprawdę wszystko! I, oczywiście, zwycięża.

A co potem?

Co potem? Kto by to pamiętał po latach?

Okropnie było potem. Strasznie było. Okazał się – ten mężczyzna, tak demonstrujący swoją wielką miłość, że „żadna chyba kobieta nie mogła się oprzeć” – okazał się chamem, brudasem i brutalem, kradnącym łyżeczki, fistaszki i wycieraczki z samochodów, piszącym donosy na Toeplitza i Passenta, łaszącym się do aparatczyków, obgadującym paskudnie nawet swojego świętego Fraka, kpiącym prywatnie nawet z najświętszego Jaruzelskiego, obrzydliwie zachwyconym sobą, cynicznym kłamcą i łajdakiem. I tchórzem: takim obrzydliwym tchórzem! W stanie wojennym nosił broń na szelkach, a nigdy mu się nie udało trafić w tarczę podczas nauki strzelania, choćby tylko w tarczę! Żalony błazen.

Nie, było inaczej. Uroczy był. Wstawał o szóstej rano i robił śniadanie. Potem pisał, a kiedy wracała z pracy, czekał z befsztykami, sałatą i winem. Albo z kaczką nadziewaną jabłkami. Albo z *boeuf Bourguignon*: tak lubił *boeuf Bourguignon*, że wkleił przepis do szuflady biurka i nosił szufladę do kuchni, kiedy się brał do przyrządzania obiadu. Bo ona sobie od razu wymówiła gotowanie, są ciekawsze zajęcia. Czy nie lepiej poczytać dobrą książkę? Więc gotował albo zabierał ją do knajp, i kupował jej różne szmaty (on to nazywał „szmatami”, świetne rzeczy kupował, na otwarciu „Maxima” była na przykład w spódnicy i kasaku z zamaszowych skórek, ślicznie to wyglądało), i tańczyła kiedyś boso z Marylą Rodowicz w migających, kolorowych światłach (disco to było), a kiedy indziej przyszła córka Breżniewa we wspaniałym futrze i też tańczyła (a obstawa pilnowała futra), i jedli sobie kawior z grzankami wśród kryształów do trzeciej rano, a potem on wstawał o szóstej i brał się do pisania, a kiedy wracała z pracy czekał z kolacją albo ją gdzieś zabierał, i jakoś zawsze były na to pieniądze, tyle tylko, że nie lubił tańczyć, wolał jeść i pić, ale nic nie szkodzi, do tańca byli inni...

A kiedyś piekli sobie ryby w popiele. Sole to były. Albo raki jedli, albo jeździli do Soczi, do Złotych Piasków, na Mazury, a ich pierwsze mieszkanie – jego mieszkanie, wynajęte – miało widną kuchnię, a potem dostali spółdzielcze, ale zamienili je za dopłatą na zrujnowane kwaterunkowe, za to w willi, a ślub brali jedenastego listopada, żeby łatwiej było zapamiętać datę, i w ogóle miło było, dopóki –

No, dopóki się wszystko powolutku nie rozlało.

Bo dwanaście lat to trwało (kolejne dwanaście lat!), ale jednak w końcu poszło w diabły.

I diabli wiedzą dlaczego.

Kiedy miała dosyć pracy przy komputerach w Komisji Planowania (wychodzić na ósmą, wracać pod wieczór!) i zapragnęła żyć tak jak on: nie pracować, tylko pisać jakieś bzdury w

dowolnie wybranym czasie, rano, wieczorem, w nocy, dłużej, krócej, czasem wcale, wedle własnej woli, a zarabiać na tej zabawie więcej niż uczciwy człowiek na pełnym etacie. Tak, tego chciała. Każdy by chciał! Porzuciła więc komputery, Urban ją – jak poprzednią żonę – zaprotegował, gdzie się dało, została dziennikarką, i co? I nic. To wcale nie było łatwe. Nie udało się, nie wyszło! On, ten wiecznie pijany cham, błyszczał sobie w „Polityce” i gdzie mu się podobało, i równie łatwo było mu napisać pięć, osiem czy dwanaście stron jak innemu splunąć, a ona musiała wycierać kąty w byle „Sportowcu”, gdzie pierwszy lepszy miał czelność wyśmiewać jej lśniące, czerwone spodnie. Doprawdy, świat nie jest sprawiedliwy!

Więc pocieszała się, jak się dało i z kim się dało, i bardzo mu miała za złe swoją klęskę – i wtedy właśnie jakoś się to wszystko powoli rozlazło. Może by jeszcze trwało, bo człowiek przywyka, ale on – ten złodziej łyżeczek i popielniczek, ten amator dziczyzny i zupy cebulowej, ta szczekaczka stanu wojennego, ten tchórz krzyczący przez sen, ten lizus, grubas, intrygant, donosiciel i kłamca – on się zakochał. Zakochał się w innej!

Tak; właśnie tak było w roku zabójstwa księdza Popiełuszki. Zakochał się Szubieniczny Urban. Ach, Tońka, Tońka, może to wreszcie ty?

## Księżniczka Burgunda

Proszę państwa, przed nami mały recital. Pani MAŁGORZATA DANISZEWSKA!

Bal maturalny – właściwie popisy abiturientów, bo o tańcach nie ma mowy, atmosfera raczej knajpiana – wieńczący cykliczny program telewizyjny „Egzamin dojrzałości”. Taki, w którym dorośli, znani ludzie zdają kolejny raz pseudo-maturę; mnie też zapraszano, ale się przeraziłam, nie nadawałam się, przepadłabym z kretesem. Trzeba mieć więcej luzu albo spić się w trupa, albo dać sobie w żyłę, co najwyraźniej większość uczestników robi. Kręci to *Piotruś Pan TV Production*, program jest bardzo oglądany, telewidze bawią się jak króle albo barony, i w ogóle – śmiesznie jest. Albo bywa.

Ale tego, co teraz widzę, ogół nie zobaczył. Ocenzurowano. Wycięto. Oglądam ocalony skrawek taśmy. Rok 1995.

– Proszę państwa, przed nami mały recital. Pani MAŁGORZATA DANISZEWSKA!

Ciemnawa salka klubu „Tango”, ludzie przy stolikach jedzą i piją, niemrawe oklaski. W stronę estrady zmierza niepewnym krokiem wyraźnie stremowana i podpita dla kurażu pulchna blondynka w czarnej sukni do kostek, w pantoflach na wysokich obcasach i w bardzo pogrubiającym białym żakiecie. Ma fryzurę na Marilyn Monroe i drugi podbródek. Trochę się zatacza. Bardzo głośno pyta mikrofon, czy jest właśnie mikrofonem. Zrzuca go i łapie w ostatniej chwili.

– Proszę państwa, to jest tak, że jak w domu zaczynałam śpiewać, to matka mówiła mi: „Córko, rysuj!” – (Na sali głucha cisza, nikt się nie śmieje: już coś jest nie tak.) – I ja nie śpiewam dlatego, że chcę śpiewać, tylko napisałam teksty piosenek, które UWIELBIAM. I jak ja ich nie zaśpiewam, to ich nikt nie zaśpiewa. A jak ich teraz nie sfilmują, to nigdy w życiu ich nie sfilmują. Mam straszną tremę!

I niepewnym, nieoczekiwanie miłym i delikatnym głosem, przez cały czas trochę fałszując, zaczyna śpiewać:

*Latam jak durna po mieście,  
Zerżnijcie mnie wreszcie!  
Nogi jak słupy, szorty do dupy  
I geeeenialnie ciągnę druty.*

– Ojej, zgubiłam melodię!

Kamera pokazuje oburzone oblicze superkatolickiego hrabiego Niesiołowskiego z ZChN. Ale hrabia ma policzki wypchane jedzeniem; musi przełknąć, żeby ostentacyjnie opuścić salę. Co robi zresztą podczas tego występu niejeden.

Zdaje się, że śpiewająca chciałaby, strasznie by chciała zostać zerżnięta, ale nie przez byle kogo. Przy odrzucaniu niegodnych wściekłość sali narasta. W powietrzu pachnie linczem.

*Bujaj się ty, przepocone sandały,  
Śmierdzi ci z gęby jak z kubła.  
Wypierdol trabanta i nie rznij amanta,  
Ja jestem księżniczka Burgunda.*

Na sali narasta skandal. Jedni wychodzą, inni gwizdzą i protestują. Śpiewająca trochę się peszy.

– Mam drugą piosenkę, porządniejszą! Mam drugą, porządną! Nie, w ogóle nie? Drugiej nie chcecie państwo?

Kołysząc się w biodrach, śpiewa już z boku sceny, na koniec:... *amanta, Ja jestem księżniczką Burgunda...*, i kłania się niezgrabnie, i niby ma zejść, ale nagle zmienia zdanie. Jeszcze kawałek.

*Kochaj mnie, zerznij mnie,  
kochaj mnie, zerznij,  
Kochaj mnie, kochaj – nie kochaj.  
Kochaj mnie, zerznij mnie,  
kochaj mnie, zerznij mnie,  
Kochaj mnie, kochaj – nie kochaj...*

No, już kończy. Już wychodzi. I nagle się buntuje.

– Mam drugą, porządniejszą!

Ci, którzy dotąd nie wyszli, gwizdzą, krzyczą, protestują. Ona szuka w kieszeni żakietu właściwej kartki.

– Słowa, zaraz. Lecimy – (I, do sali): – CICHO! ZAMKNAĆ SIĘ!!!

*Pomyśl, ile we mnie znajdziesz zalet!  
Nie dam ci teściowej ani dzieci.  
Jak nie kochasz, to mnie rzuć,  
Bez rozwodu, czysta chuć,  
Kochaj mnie! Kochaj mnie!*

Sala gwizdże, protestuje, próbuje przerwać. Urban, siedzący przy jednym ze stolików z Moniką Jaruzelską, śliczną córką krwawego tyrana, uśmiecha się roztkliwiony w kłębach tytoniowego dymu, popijając whisky on the rocks. Blondynka w białym żakiecie karci łagodnie z wyżyn estrady rozjuszone spóółstwo:

– Teraz... zara, nie koniec... CICHOO!!!

*Kochaj mnie!  
Jakby było święto, wciągaj brzuch.  
Dotknij mnie  
Jak pod szkolną ławką,  
Zrób mi tak,  
Jakbym schudła cztery kilo,  
Kochaj mnie! No, kochaj mnie!*

– DLACZEGO? Przepraszam, zostałam zdjęta ze sceny. Oni mówią, że cenzura, a może ja źle śpiewam?! Dziękuję.

I wreszcie znika. Szkoda.

Przez kilka nocy mi się to śni, nie przesadzam. Gorzej. Nawet mi się nie śni. Spać nie mogę, przewracam się z boku na bok, ale i z lewej, i z prawej, i na wprost – Daniszewska. Kołysze się w biodrach i śpiewa. W moje lewe ucho, w moje prawe ucho, psiakrew, nigdy mi się coś takiego nie zdarzyło! Łykam kolejny proszek nasenny i nic. Wszędzie Daniszewska.

*Gnoju ty jeden spod Pucka...*

Naciągam kołdrę na głowę. Bezskutecznie. Wciąż Daniszewska.

*... I usta wycieraj nim mnie pocałujesz,  
Ty władco małego falluska.*

Czwarta rano. Daniszewska i nic poza nią. Odkopuje pantoflem na wysokim obcasie faceta, dyrygującego z dołu, przy rampie, z kieliszkiem wódki w dłoni.

*Zerżnij mnie, kochaj mnie,  
Zerżnij mnie, kochaj mnie,  
Zerżnij mnie, kochaj, nie kochaj...*

Bóg mi świadkiem, w rozpaczę zaczynam liczyć barany. Ale już zza pierwszego barana wyłania się Daniszewska, śpiewając:

*Dyskretna jak szlaban,  
Nazwiska nie nadam,  
Ciężą nie zrobię poruty.  
Cytuję Marqueza... pierdolony zgręza...  
I geeeentialnie ciągnę druty!*

Trzecia bezsenna noc. Za dwie godziny muszę wstać, nie zniosę tego! Precz mi z oczu i z uszu, już nie mogę! Ale ona, z kartką w ręku, wciąż przegina się na tle świetlnego napisu *TANGO*, i wciąż *geeeentialnie ciągnę druty*; koszmar! Co za osobowość!

Ma Urban szczęście w miłości, horoskop nie kłamie.  
Zresztą zasłużył sobie: byle kto się na takiej nie pozna.

\*

Kiedy powiedział swojej drugiej żonie, że chce mieć trzecią, wobec czego prosi o rozwód, i poinformował grzecznie, kto zacz, ta miłość jego życia, druga żona wybuchła, informując go bardzo głośno i jakże po kobiecemu, z kim ta jego dziwka sypiała. Lista nazwisk była długa. Kiedy się skończyła, Urban dodał spokojnie i flegmatycznie:

– Zapomniałaś o Passencie.

Fakt, zapomniała.

Na co jak na co, ale na szczęście w miłości Urban sobie zasłużył.

\*

Na początku romansu spisali sobie nawzajem – klasyczny obyczaj – listy poprzedników i poprzedniczek. Żeby wszystko było jasne.

Jego lista była o tyle krótsza od jej listy, że na długo wpadł w straszne kompleksy. A ona i tak nie była pewna, czy wszystko pamięta. Budziła się w środku nocy i dopisywała numer 11A. Albo 15B. Albo 375C. Piekielna robota, zgadzam się, znam to z autopsji.

W życiu nie spotkał kobiety tak seksownej. Ani tak inteligentnej. (*Cytuję Marqueza, pierdolony zgręza...*) Ani tak – a jakże – genialnie gotującej, jeśli tylko ma ochotę. A jak nie ma ochoty – jego sprawa, żeby zarobić na kucharkę i pokojówkę.

Takiej, żeby się chciało pójść z nią do łóżka już po południu, jeżeli wieczór ma się wolny – on w podkoszulku, żeby nie budzić obrzydzenia, ona w fikuśnej koszulce, żeby budzić podniecenie – i to oglądać telewizję, to się pokochać, to poczytać, to pojeść, popić, znów się pokochać, pogadać, wszystko fantastyczne! Jeśli trzeba wstać – to on, żeby zrobić kolejne drinki, ona – żeby zrobić kolejne kanapki czy inny smakołyk, jeśli ma taką fantazję. I kolejna mineta, i kolejne 69, a teraz niezły serial, popatrzmy, e tam, dno, zjedźmy coś raczej, wypijmy coś raczej, dla Gosi wódka z tonikiem i sokiem z cytryny, dla Jurka zamrożona czysta albo

whisky on the rocks, zjadłoby się coś, kanapeczkę z czerwonym kawiolem by się zjadło, zaraz przyniosę, tylko wywietrz tymczasem pokój, bo zadymiony jak krematorium, jasne, czemu nie... kurwa, to jest życie!

Tylko trzeba na nie zasłużyć.

KOBIETA, pisał Urban w jakimś felietonie bez sensu i pointy, takim, że już się do niego nie przyznawał, nie pozwalał przedrukować: bo i cóż to był za felieton? Raczej początek powieści, i to marnej. Ot, taki wybuch zauroczenia. KOBIETA! Jego kobieta! Kto może o niej cokolwiek wiedzieć poza tym, którego wpuściła do łóżka, i to na długo? Psy i koty ją lubią, bo i ona je lubi, bawi się z nimi, głaszcze, fajna jest. Wykolejeńcy ją lubią, bo pije i pali jak smok, hazard uwielbia, zaden nałóg nie jest jej obcy, dobry z niej kumpel. Dzieciak doceni pyszną jajecznicę. Fachowcy docenią fachowość. Intelktualiści docenią intelekt, choć pewnie się zgorszą pogardą dla intelektu (*Cytuję Marqueza... pierdolony zgręza...*). Ale tylko jej facet, ten od seksu, może naprawdę zrozumieć, jakim jest cudem. Do czego on zmierza? Sam nie wie. Pointa? Nie ma pointy. Dobrze, dobrze, nie każdy tekst musi być udany, i tak zapłacą. Chciał wykrzyczeć swój zachwyt – bez dystansu, a to błąd. Wstęp, rozwinięcie, zakończenie, dowcipy, żarciki, pointa! Już dobrze, przeprasza. Musiał to napisać. I tyle.

Tak samo, jak MUSIAŁ napisać, też bez większego ładu i składu, felieton w „Nie”, zaczynający się od słów: „Pragnąc być użytecznym mojej żonie, Małgorzacie Daniszewskiej, także po śmierci, zapisuję jej moją skórę, żeby dała z niej sobie zrobić torebkę czy rękawiczki...” I jeszcze się upierał, że naprawdę spisał taki testament, że to SERIO, SERIO, SERIO!!! Niech obedną trupa ze skóry, niech skórę wygarbują, spreparują, niech chociaż torebkę z nieboszczyka Gośka ponosi, niech rękawiczki z nieboszczyka wsuwa co rano na ręce, niech buty z tej skóry, której tyle razy dotykała, wkłada na nogi, niech w portmonetce z jego moszny trzyma bilon, niech coś z niego zostanie, *non omnis moriar*, tyle że bez patosu, cynicznie. Po co marnować zwłoki pod pozorem, że są **ludzkie**, więc ważne i święte; po co ładować do durnego grobu na kretyńskim cmentarzu coś, co nie jest ani ważne, ani święte, ale w czym była miłość? Testament ateisty: zróbcie ze mnie torebkę dla Gośki, niechże będzie ze mnie jakiś pożytek! Materialistyczno-metafizyczny pożytek. No tak.

Zakochał się, szczęściarz, z wzajemnością.

Po raz pierwszy zobaczył ją u jednego z jej kochanków. (Który był bodaj i kochankiem Karyny, jego ślubnej, tylko trochę wcześniej.) Miała na sobie norki i tenisówki, niewiarygodne! To o czymś świadczyło, tylko o czym? Etola z norek i tenisówek na gołych nogach, byle kto tak się nie ubierze, o czymś to świadczy, tylko o czym? O tym, że nie jest przeciętna, na pewno. Prawda? Prawda.

W dodatku nawymyślała mu jak cholera. Chuj i zdrajca! Ona była wiceszefem Solidarności w swojej redakcji – dziennikarka, niezłe! – więc nie ominęły jej rewizje o świecie, przesłuchania, blokady pracy, normalka, ale to, że teraz jej aktualnego naczelnego, świetnego człowieka, z dnia na dzień na bruk wyrzucono, tego już za dużo! Jest podpita, pali jednego papierosa po drugim, podoba mu się.

Zaprasza ją na obiad.

Sprawę naczelnego załatwił pozytywnie.

Tuż potem zachorowała, a on wysłał do niej długą, namiętą, sprośną depeszę, którą panienka z poczty, krygując się i pesząc, przeczytała jej przez telefon. Zezłiła się, uśmieła się: niech będzie. O, to był ktoś, ta blondynka w norkach i tenisówkach, rozpustna córka szacownego adwokata z Białegostoku; to naprawdę był KTOŚ!

Zaczął do niej pisać – często, ciągle, tak, jak lubił, wieczny skryba (*Ja wolę pisać, bo mogę się oświadczać bez przykłękania*). Nawet kiedy była już gotowa pójść z nim do łóżka, nadal pisał, umacniał swoją sytuację, robił z tego pójścia do łóżka coś nadzwyczajnego, coś



ważnego: dręczył ją! Nigdy nie robiła z seksem wielkich ceregieli, a tu on, mężczyzna, tak. W porządku: ona też go dręczyła. Odgrywał przed nią zimnego, cynicznego twardziela z pokerową twarzą, a ona uprzedzała, żeby nie był „taki ufny”. On ufny? W swoim przekonaniu cały ział nieufnością i smrodem z fajki, on, rzecznik stanu wojennego, największy cynik dziennikarstwa, największy cynik w ogóle, a tu takie zdanie! Może Gośka kocha innego? Może o to chodzi? *Odpowiedz, nie ucieknę, tylko będę walczył.*

Cały Urban!

Jest październik 1984, NAM właśnie mordują księdza Popiełuszkę, ON jest zakochany. Jeszcze jest z nią na „pani”, a już godzi się mieć z nią dzieci, jeśli ona tego pragnie. Dopiero co mógł robić propagandę dla Heroda, a teraz chce chodzić z jej córeczką do zoo, i gotów jest spłodzić coś następnego, i w ogóle – jest do usług. Za chwilę powie, że zawsze o tym marzył. Z nią – tak. Małej Marcie już kupił jamniczka, żeby pozyskać jej łaski. Miła dziewczynka, kto by pomyślał? Nie ma porównania z jego własną córką! Nigdy by nie uwierzył, że istnieją sympatyczne dzieci, a tu proszę – istnieją. O ile są jej dziećmi. O ślubie mówi (pisze) od początku. Tylko się rozwiedzie; Gosia na szczęście od dawna jest rozwiedziona. Zakochał się i tyle. A więc?

*A więc – stoję przed Panią otwarty na różne możliwości i ciekaw, czy i co z tego wyniknie (...). Czy będę użyty do wnoszenia śmieci oraz załatwiania sprawunków? Czy zostanę potem zaliczony do starych przyjaciół i w domu starców, gdzie Pani wyląduje, będę podawał sztuczną szczękę i ranne pantofle? Czy polecą Pani na romans, a jeśli, to lekki czy mocniejszy, smutny czy wesoły? Czy w ogóle więcej się Pani ze mną nie spotka?...*

Spotkała się.

Wysyłał jej kwiaty i wermuty, kupował drogie prezenty, czarował jej rodzinę, dzwonił do jej matki, siostrę i córkę zapraszał na obiady, do teatrów i do kabaretów, „starał się” o nią jak w dziewiętnastym wieku, kochał ją i mówił (i pisał), że ją kocha, szantażował opowieściami o tych, które (a jakże) jego kochały i nawet próbowały grozić samobójstwem, ale ona natychmiast mu się odwzajemniała podobnymi historiami o swoich facetach, a miała ich dużo więcej niż on kobiet (albo pamięć miał gorszą), i w ogóle – po co się dręczyć?

Przestali się dręczyć.

Karyna, na szczęście, zgodziła się na rozwód.

Generał Jaruzelski, na szczęście, też się zgodził na jego rozwód.

Wszystko się powoli łożyło.

Do ślubu z nim – ministrem, dygnitarzem, wicekrólem – pójdzie boso. Julia Roberts, hollywoodzka supergwiazda, powtórzy ten numer w blasku tysięcy reflektorów, ale Gośka będzie pierwsza. O, Gośka to jest ktoś!

Znał już kobiety niezwykle. Znał taką, która gasiła sobie papierosy na dłoni, a wcale nie była fakirem i chodziła poparzona; imponowało mu to. Znał Zdzichę ex-Pietrzakową, która zrywała się w nocy, żeby zapisać równanie wszechświata (właśnie jej się przyśniło) albo tańczyła nago na stole, ale ona, Gośka, ta „wyrozumowana sekutnica”, która nawet pisać potrafi – ta jest najniezwyklejsza.

– Czy Urban mógłby być z kobietą przeciętną? – zapyta ją (Gośkę D.) po jakimś czasie dziennikarka z luksusowego (jak na kraj postkomunistyczny) kobiecego miesięcznika, a Sexgosia odpowie:

– Człowiek, który był opozycyjnym dziennikarzem w „Po Prostu”, ministrem rządu stanu wojennego, potem kapitalistą, jest dość elastyczny, żeby się przystosować do przeciętności, co w ogóle w życiu jest zawsze najłatwiejsze. W każdym razie wystarczają mu pozory nieprzeciętności. Kobieta prawdziwie nieprzeciętna budziłaby wiele zawiści w Urbanie. Zawiść tłamsi uczucia.

Trzeźwe.

Ale mimo to... Ale jednak...

Kiedy walczył z ustawą antyaborcyjną, powoływał się na swoją Gośkę, która jakoby kroczyła w protestacyjnym pochodzie, powiewając sztandarem z wytartego w rozpuście prześcieradła i wołając: „Księżu proboszczu, ręce precz od mojej cipy!” Kiedy na *Prima Aprilis* brał ślub z Anastazją P., królową postpeerelowskiego seksu (spała z tłumem polityków i opisała to w pamiętnikach), tłumaczył się tym, że jego żona, choć cholernie seksowna, jest zbyt intelektualna jak na jego wymagania. Taka z niej intelektualistka, że niech ręka boska broni, artyści i temu podobne wyrzutki społeczeństwa kręcą się wokół niej jak na diabelskim młynie; nie do zniesienia dla zwykłego, prostego redaktora naczelnego. Zwiąże się teraz z Anastazją P. uczciwym, białym małżeństwem („Moja nowa żona jest kobietą surowych zasad: albo seks, albo małżeństwo”). Może przestanie wreszcie być upokarzany tą cholerną przewagą intelektualną kobiety, która wszystko widziała, wszystko czytała, wszystko wie! Każdy przyzna, że życie z taką jest piekłem!

Niektórzy uwierzyli w nagłe małżeństwo Urbana z Anastazją P., Pierwszą Ladacznicą Trzeciej Rzeczypospolitej. Bo to do niego pasuje, nieprawdaż? Prawdaż. Wielu uwierzyło. Primaaprilisowe żarty Urbana zawsze były znakomicie przygotowane: jego ulubione święto!

A w dodatku udokumentował to prześlicznym fotoreportażem ze ślubu. Na zdjęciu był nawet historyczny pałacyk w Alejach Ujazdowskich, który kupił swojej nowej ślubnej w prezencie. Oraz, oczywiście, szczęśliwi oblubieńcy: Urban w garniturze szytym na miarę u Armaniego i pod krawatem, u boku wysokiej, pulchnej blondynki (jego typ!) w jasnym kostiumie od Deni Cler (snobizm i elegancja na miarę postkomunistycznej **Warszawy**).

I na Sylwestra pójdzie z Anastazją, a wpadająca do knajpy, jak było umówione, pół godziny później Gośka nieźle się ubawi paniką znajomych, już przekonanych o zdradzie, już wietrzących skandal. W kilka lat później Urban oznajmi w wywiadzie, że właśnie spotkał kobietę swojego życia (nikt znany), a we wstępniakach „NIE” zacznie opisywać, bardzo zabawnie, jak to ślubna go katuje, pozbawiając go w brutalnych starciach części krwi i odzieży – a jest to osoba w zasadzie dość delikatna i absolwentka prawa. Jak zatem mogą traktować swoich mężczyzn kobiety mniej kulturalne i gorzej obeznane w paragrafach? I dlaczego w wielkiej akcji Przeciwno Przemocy W Rodzinie katem i potworem jest zawsze facet? Nie znacie Gośki!

W dodatku Gośka ma ambicje i nie cierpi być tylko żoną milionera. Zakłada, za jego pieniądze, niskonakładowe pismo, które szybko padają. Żegna hucznie jedno bankrutujące pismo, witając jednocześnie następne. Za którymś razem musi się udać. I udaje się. Wymyśliła sobie tytuł **ZŁY** i podtytuł (**bez przebaczenia**). Same przedruki. Zło tego świata w kapsułce, zło i nic poza nim, zło bez usprawiedliwień i bez przebaczenia. Ludzie muszą poznać, zrozumieć i dobrze sobie wyobrazić cierpienia ofiar. Niech poznają, i niech nic im nie rozprasa uwagi.

Nikt nie wierzy w powodzenie czegoś tak niezwykłego. Nikt normalny takich okropności czytać nie będzie poza sadystami, którzy potraktują „Złego” jak instruktaz. Natychmiast czynią się protesty, doniesienia do prokuratury, sprawy sądowe: jest skandal, a skandal to połowa powodzenia. „Zły” rozchodzi się nieźle, coraz lepiej. Gośka staje się kimś niezależnie od Urbana. Może to Urbana dobić. Albo i nie. Może ją teraz rzucić. Albo ona jego. Podobno Gośka żyje z naczelnym pismem, które wydaje. Były ich wspólne zdjęcia w jakimś szmatławcu. A co na zdjęciach? Nic takiego, idą sobie z tym naczelnym ulicą. E tam; sama nadała to szmatławcowi, wielu ludzi tak robi. Dobrali się z Urbanem jak w kocu maku: para ekscentryków, pijaków, smakoszy i skandalistów, złaknionych bezustannego rozgłosu wokół siebie. Z drugiej strony...

Z drugiej strony, czy nie krzyczała Gośka niedawno do Urbana, przy ludziach:

– Zobaczysz, odejdę od ciebie! Odejdę, a wtedy pożałujesz! Zobaczysz, co to jest żyć z kobietą, która nawet nie umie posiekać śledzi!

– ... no, czy tak nie krzyczała? Przechabawnie: jakby cały ich związek opierał się na SIEKANIU ŚLEDZI!

A kiedy indziej, pamiętacie: to on jej przypomniał, jak to poprzedniej nocy mówiła, że nie może się doczekać jego śmierci...

Ale ona wtedy zaczęła go strasznie całować, wołając: „Łysy, przecież ja cię kocham! Mało to się mówi w złości?”

A w jej czterdzieste siódme urodziny (tym razem na zaproszeniach głowa Gośki została wmontowana w starą erotyczną pocztówkę, w jakąś stukilową babę w gorsecie, podtrzymującą oburącz pięćdziesięciokilowy biust: „Zapraszam do bufetu!”), w jej czterdzieste siódme urodziny, czy nie zatańczyli ze sobą, całując się bez przerwy, aż do chwili, kiedy kucharze w wielkich białych czapach wnieśli na tacy młodego dzika? Pieczonego, oczywiście, ale w całości...

A wtedy już wychodził „Zły”.

I Urban go zareklamował w „NIE” tak, że trudno lepiej.

Jak to on go zareklamował? Z kolorowym zdjęciem okładki i z tekstem: *Oto strona tytułowa czasopisma, którego wydawanie rozpoczęła moja milutka i słodziutka żona, Małgorzata Daniszewska. Jest to pierwszy i jedyny w Polsce, a też na świecie, magazyn poświęcony okrucieństwu i obrazujący je ze szczegółami. (...) Jeżeli ktoś lubi coś pogodnego do poduszki, „Zły” jest akurat.*

Chwileczkę. Potem były dwa upiome kawałki ze „Złego”, o egzekucjach, w Chinach i w USA, upiome! I że Daniszewska zapewnia o swych szlachetnych humanitarnych celach, ale – zdaniem Urbana – *kobiety, które naprawdę kierują się dobrem swoich bliźnich, za męża nie wychodzą.*

No nie, cytujemy do końca, bo to śmieszne. Cały Urban. Wyciąga do czytelników „NIE” rękę, prosząc o współczucie.

*Oto redaktorka, z którą nadal ufnie mam dzielić łóżko i spać bez lęku, że się obudzę z wydlubanymi oczyma. Oto z kim mam kopulować spokojnie, bo bez strachu, że będę biegał z odgryzionymi pamiątkami po mych młodzieńczych genitaliach. Oto z kim mam wciąż dzielić stół bez niepokoju, że ugotowana przez żonę grzybowa przyprawi mnie o śmiertelne drgawki. Oto wspólne gospodarstwo domowe, w którym jutro szafa może być zastąpiona szubienicą lub kołem do łamania kości, a parasol ustąpić miejsca pejczowi z żelaznymi haczykami na końcu. Któż bowiem zdoła przewidzieć, czy zajęta męczeniem czytelników Daniszewska – nade mną przestanie się dzięki temu znęcać. A jeśli przeciwnie: wdroży się do jeszcze okrutniejszego sadyzmu niż ten, którego już zaznałem, i na mnie pospieszy sprawdzać, ile jakich cierpień wytrzyma bydlę zwane człowiekiem?*

Co za wyznanie miłosne! W stylu Urbana, oczywiście, bo niby w czym?

W dodatku każde jego poprzednie małżeństwo trwało dwanaście lat, i u nich też minęło dwanaście lat.

I tak można bez końca.

Albowiem był Urban zawsze nieprzewidywalny, i to właśnie w nim fascynowało: ciekawe, co teraz wymyśli! A wymyślić mógł wszystko. Zawsze wyglądał na faceta, który dla kawału, dla udanego *Prima Aprilis*, poświęci mamę, ciocię, i trzy tuziny kuzynów. Czyż nie spodziewano się po nim każdego dnia stanu wojennego, którego był heroldem, chorążym i rzecznikiem prasowym, że lada moment czmychnie do Ameryki, żeby tam sprzedać najtajniejsze sekrety Wrony i Generała w wysokonakładowych pamiętnikach, a potem zamieszkać w willi w Malibu?

Trzeba by dużo czasu, żeby zrozumieć, że on naprawdę kochał Generała oraz Księżniczkę Burgunda. I chyba nikogo poza tym.

Taki już był.

Taki już jest.

## Cynik

W pierwszej „popaździernikowej” gorączce młody człowiek, który odczytał publicznie (ponoć trudno było złapać innego chętnego) deklarację samorozwiązania się ZMP, i który zaraz trafił do – najmodniejszego, najbardziej elitarnego, najbardziej żarliwego, najbardziej zaangażowanego w to, żeby zło zwalczyć, a dobro uświęcić, w ogóle NAJBARDZIEJ – pisma „Po Prostu”, napisał dla tego pisma – no, co mógł napisać Urban? „Wyznania cynika”, oczywiście. Redakcja zmieniła tytuł na „Wyznania nawróconego cynika”, i nigdy jej tego Urban nie darował.

Pismo szybko rozwiązano, Urban pisał gdzie indziej, i jeszcze gdzie indziej, zdobył sławę, stał się wielkością i potęgą, zaznał powszechnej nienawiści i powszechnego uwielbienia, zamieszkał w willi z basenem, z freskiem „Lenin nauczający”, z piecem chlebowym, ogrodem, altaną, jacuzzi, kominkiem, garażem na kilka samochodów i wszystkim, co należy mieć, żeby żyć miło, a nawet czasem radośnie. Teraz to on przyjmował dziennikarzy, błagających o wywiad, a dziennikarze opowiadali potem ze zgrozą znajomym: „Słuchajcie, przyjeżdżam na ten wywiad, a on leży na kanapie w białym szlafroku, świeżo po kąpieli w basenie, no, Neron po prostu, a żona, ta straszna Gośka, OBGRYZA mu paznokcie u nóg!” Tak, tym właśnie się stał, a przyjeżdżali do niego (nie zawsze zastając go w trakcie obgryzania paznokci u nóg) nie tylko dziennikarze i fotoreporterzy, telewizja i filmowcy, ale i studenci, piszący o nim prace magisterskie: stał się tematem, stał się klasyką, stał się – za życia, ludzie – obiektem badań naukowych. No, więc przyjeżdża studentka Uniwersytetu Warszawskiego, robiąca dyplom z Urbana, włącza magnetofon i pyta, czy Urban jest cynikiem. A on, przyrządzając drinki za barem, pod portretem rosyjskiego pijaka o twarzy Majakowskiego, twierdzi, że nie rozumie tego słowa. „Cynik”? A cóż to jest? Niejasne to jakieś, nieklarowne!

– Pozwoliłam sobie zajrzeć do słownika – mówi studentka, Izabela Wodzińska, zerkając na magnetofon (działa), a potem na przygotowaną kartkę. – Pozwoliłam sobie zajrzeć do słownika: „... kpiący z przyjętych obyczajów, jawnie lekceważący funkcjonujące wartości...”

– No, do tej definicji ja przystaję w sposób całkowity – odpowiada Urban, grzechocząc lodem w szklance, i z wyrazem błogości upijając pierwszy łyk.

Ale to przecież pejoratywne określenie?

Pejoratywne, hm... No, jeśli to słowo musi być pejoratywne, to dla niego cynikiem byłby człowiek, który co innego myśli, a co innego mówi... nie tak w ogóle, tylko dla interesu; wyznaje jakieś wartości, ale postępuje sprzecznie z nimi; pożyczka, wiedząc, że nie odda; no, obłudnik i tyle! Ale w nim, Urbanie, tego akurat nie ma: obłudy.

– I niedostatek obłudy jest już społecznie przyjmowany jako cynizm.

Bo chodzi o to, hm, chyba o to, że... Urban pije następny łyk i zapala następnego papierosa – że ludzie, no, to społeczeństwo, które go uważa za cynika, ci ludzie łatwo mówią to, co myślą, ale gdyby to miało być ogłoszone, wydrukowane na przykład – to już pojawiają się bardzo silne hamulce. A jemu, Urbanowi, łatwiej się wypowiedzieć w piśmie niż w rozmowie, to mówiąc miewa opory i czuje hamulce.

W gruncie rzeczy – tego nie powie – problem jest klasowy. Dobrze, niech będzie zawodowy. Tak, brak mu pewnego rodzaju obłudy. Po pierwsze: w felietonach, w tych trzystronnicowych tekstach, które są jego specjalnością, wszystko musi być dobitne i z wybitym własnym „ja” autora, inaczej nie da się czytać. Po drugie... po drugie...

– Po drugie... sądzę, iż wtedy warto pisać, gdy ma się do powiedzenia coś przeciw opinii obiegowej. Gdy się chce coś powiedzieć zgodnego z opinią, nie należy tego mówić, bo to nie wzbogaca myślowo.

Anarchistą też nie jest, skądże, państwowcem! I nihilistą nie jest, jego NIE za skarby świata nie oznacza negacji wszystkiego, tu chodzi o wartości, jednym mówi się „tak”, drugim

„nie”, nigdy, tysiąc razy „nie”. Komunistą też nie jest, jest komuchem, to co innego. Utożsamia się z pewną ekipą. Jest – absolutnie! – za równością startu. Za podstawowym zakresem funkcji opiekuńczych państwa, zawsze. Za racjonalizmem w polityce wewnętrznej, a pragmatyzmem w międzynarodowej. W sumie komuch z niego, nie komunista – choć w ostatniej chwili, istny Rhett Butler, próbował walczyć za przegraną sprawę, wstąpić do rozwiązywanej partii... Rozwiązano ją przed rozpatrzeniem jego podania. Ale komuchem jest, o, tak!

Człowiekiem amoralnym, „pornografistą”? Bzdura, jest za maksymalną swobodą obyczajową, dopóki w tym nie ma czyjejs krzywdy. Kobieta kopulująca z psem? Proszę bardzo, dopóki to nie szkodzi ani jej, ani psu. Natomiast sadyzm, agresja, krzywda...

Więc kim w końcu jest, u licha? Antyklerykałem?

– O, tak! O, to na pewno!

Niewiele.

## Błazen

Przyznaję: tu jestem bez żadnych kwalifikacji. Goły robak. Kiedy byłam dzieckiem, mówiono mi nieraz, że nie ma smutniejszego zawodu na świecie niż zawód błazna. „Zrozum” – tłumaczono, a ja w lot rozumiałam i powieki mnie piekły – „taki człowiek śmieje się, choćby mu serce pękało. Może mu ktoś najdroższy umiera, może go przyjaciel zdradził, może jest zrujnowany. A on musi się śmiać i robić miny, bo za to mu płacą. Bo z tego żyje”. I kazano mi słuchać arii „Śmieję się, pajacu”, i powieki piekły coraz bardziej: o, biedne błazny! W cyrku – a ciągle zabierano mnie do cyrku – siedziałam, sześćioletnia, z ponurą miną wśród chóralnego śmiechu, kiedy wymalowany klaun w łańcuchowym stroju fikał trzydzieści koziołków po każdym kopniaku w pośladki, chrypiał, wrzeszczał i stroił miny. Biedny człowiek, właśnie mu jedyne dziecko umiera, o tu, z prawej, zaraz za tą zwisającą zasłoną, a on wyglupia się, żeby mieć z czego żyć. I patrzyłam ze zdumioną pogardą na beztroski, rozbawiony, śmiejący się i klaszczący tłum. Cóż za okrutni ludzie! Jak mogą! Powinni zalewać się łzami zamiast rechotać i klaskać!

Krótko mówiąc, wychowano mnie tak, że nie było dla mnie miejsca w szekspirowskim świecie – a świat jest, i długo jeszcze będzie szekspirowski. Litowałam się nad błaznem zamiast śmiać się z tego, że taki śmieszny. Nie doceniałam jego pracy, kwalifikacji i wysiłku. Potem było mi wstyd, ale tylko trochę. Współczucie dla błaznów weszło mi w krew.

Po latach niechodzenia do cyrku, już dorosła, zobaczyłam błazna w Niemczech. Siedziałam w ogródku kawiarnianym, pijąc mrożoną kawę, a błazen – w pstrokatym stroju, z czerwonym, przyprawionym nosem – skakał za przechodniami, przedrzeźniając każdy ich ruch i gest. Czasem przechodnie nie zauważali, że idzie za nimi błazen, i kawiarnia skręcała się ze śmiechu. Czasem zauważali, oglądali się, przyspieszali kroku, czerwienieli – i kawiarnia jeszcze bardziej skręcała się ze śmiechu. Cóż, Niemcy. Prymitywny, szekspirowski naród.

Jeszcze czegoś nauczono mnie w dzieciństwie, uprzedzając, że bym nie śmiała się w cyrku z biednego błazna, któremu serce pęka. Powiedziano mi, że błazen ma o wiele wyższe kwalifikacje od wszystkich cyrkowców razem wziętych. Nawet od akrobatów! Żeby zrobić nieudane, przekomiczne salto mortale, trzeba umieć robić salto mortale lepiej niż ci, którym ono wychodzi bezbłędnie. Żeby fikać trzydzieści koziołków po kopniaku, trzeba być przerażająco sprawnym fizycznie. W sumie błazen był dla mnie królem każdego spektaklu. Tyle że wstydliwym. Nie należało się z niego śmiać. Nie wypadało mu klaskać. Tak mnie wychowano.

Urban był błaznem.

Urban był błaznem, aleja też się zmieniłam. Nie dopatrywałam się już konającego dziecka za prawym, podwiniętym rogiem purpurowej kotary. Zaśmiewałam się, kiedy błazen kopał, i kiedy błazna kopano. Podziwiałam zręczność błazna. Nie, żeby stała się bardzo szekspirowska. Ale jednak. Jak on skacze, jak on fika, jaki ma czerwony nos, jakie zabawne rzeczy gada! Wspaniale!

Tyle że skłonność do szukania za tymi fajerwerkami wesołości serca płaczącego krwawymi łzami tak całkiem nie przeszła. I nie jest to tylko moje kalectwo umysłowe. Oboje z Urbanem żyliśmy w kraju i czasie, w których wesołość była nieobyczajnym wybrykiem. On może jeszcze doświadczył – *Prima Aprilis!* – resztek epoki „wyglupiania się”, jak mówiono później z niesmakiem. Za mojego życia ludzie byli poważni, godni i znudzeni. O żartowniśiach czytało się w pamiętnikach. Kiedyś – wydawałoby się – nic, tylko robiono sobie „kawały”. Witkacy kiedyś przyszedł do kawiarni w piżamie, ale jego towarzystwo zrobiło mu jeszcze lepszy kawał, bo udało, że nic nie zauważa, tak że w końcu wściekł się i poszedł do domu. Pewien aktor – już za peerelu – miał rolę okrojoną z niewielkiej do jedyne go zdania: „Nie wiem, co mam odrzec”. Ale na pewnym przedstawieniu jego partner, zadawszy mu py-

tanie, sam odpowiedział: „Nie wie, co ma odrzec”, i odwrócił się plecami. I został nasz nieszczęsny aktor na scenie z opadniętą szczęką, zmiażdżony na wieki. A za powstania warszawskiego było tak: powstańcy przygotowali sobie w pewnym domu zapas wody do picia, całą wannę, aż tu przyszedł Pawełek i się w tej wannie WYKĄPAŁ! A ile mydła przy tym zużył, niesłychane!

Tak, świat przeszłości wydawał się pełen ludzi gotowych na wszystko, byle się pośmiać, i byle inni się pośmiali. Tylko co w tym śmiesznego – przyjść do kawiarni w piżamie, zniszczyć popis nieszczęśliwego kolegi albo skazać obłączonych powstańców na picie brudnej wody z mydlinami? Nas to nie bawiło, albo bawiło troszeczkę, półgębkiem: ach, kiedyś ludzie musieli być zupełnie inni! Rozbawieni, złośliwi, szalejący z uciechy na *Prima Aprilis*, dzień dozwolonego kłamstwa (jakby inne dni w roku nie były dniami dozwolonego kłamstwa!), tańczący przy sztucznej muzyce we własnych mieszkaniach, grający w karty, bawiący się w szarady i głuchy telefon, dziecinni do śmierci, niesłychani!

Czego jak czego, ale śmiechu w życiu mojego pokolenia – i następnego też – zabrakło.

I tu Urban był przeżytkiem, dinozaurem, cielęciami o czterech głowach, zjawiskiem tak niesłychanym jak Gwiazda Betlejemska: on nie tylko miał poczucie humoru (to się czasem zdarzało), ale był – w czasach „komuny” – człowiekiem WESOŁYM! To jedno naprawdę nie mieściło się w głowie. Może to właśnie wyniosło go na orbitę.

## Anastazja P.

Oto pierwszy wolny Sejm w powojennej Polsce. Amfiteatralny, okrągły, bo czy kto kiedy widział kwadratowy cyrk? Tak pytano przed laty, teraz nikt by nie śmiał. Zły, narzucony ustrój został obalony. Dobry i upragniony ustrój nastał w 1989, kiedy w pierwszych uczciwych wyborach dano władzę kwiatowi narodu, najlepszym z najlepszych, najczystszym z czystych. Radość była ogromna, ale po roku czy dwóch dziwnie przygasła. Nie tak miało być!

Ludzie biednieją, wszystko się wali, dawne prawo jakby nie obowiązywało, a nowego nie ma; to coś uchwalono, to odwołano; czort wie, jak jest z własnością, od którego roku coś jest twoje, od którego mogą zabrać, jak będzie z czynszem, i czy wolno wyrzucać z mieszkań na bruk, czy nie wolno, i czy apteki, jeśli mają być prywatne, będą honorować ubezpieczenia, czy trzeba za lekarstwa płacić sto procent, i co z wkładami na mieszkania, bo wpłaty wciąż przyjmują, ale czy to będzie ważne, bo inflacja szaleje i straty rosną? Albo czy zwrócą domy, warsztaty, sady i fabryki zabrane przez czerwonych w 1945, czy w 1946, czy kiedy indziej, czy tylko te, które czerwoni zabrali niezgodnie nawet z własnym prawem, czy i te zabrane w 1863, bo ktoś z władz powiedział, że i te? A z kwaterunkiem co będzie? A ze spółdzielczością? Jak mają likwidować, to zaraz, ile lat można czekać? Co z bezrobociem? Co z wymiennalnością złotego? Z bankami? Z gwarancjami państwowymi dla banków? No, z pieniędzmi co będzie, z pracą, z dachem nad głową, z ciłmi, dotacjami, kontraktami, ze wszystkim, co ważne?

Posiedzenia Sejmu transmituje się teraz w telewizji, na znak wolności i jawności, i ludzie najpierw patrzą z zapartym tchem, potem z mniej zapartym, aż w końcu prawie przestają patrzeć. Po tej stronie ekranu wszystko się wali, a po tamtej, za ekranem, kłócą się o to, czy biały orzeł w herbie ma mieć koronę i krzyż, czy tylko koronę: miesiącami się kłócą! Aha, jeszcze chcą zakazać przerywania ciąży, i rozwodów, i pornografii, i nakazać telewizji oraz prasie propagować wyłącznie Wartości Chrześcijańskie, czystość, cnotę, wierność, wielodzietność... jak za komuny: nakazać, zakazać, zabrać. To o co nam chodziło?! Na samą zmianę guzików w wojsku, żeby orzełki na guzikach były ukoronowane, wydano fortunę, a strzykawek w szpitalach jak brakowało, tak brakuje, i co chwila ktoś łapie żółtaczkę. Bandytyzm rośnie, a oni się cieszą, że przywrócono w policji praktyki religijne: ciebie napadają, a gliny pewnie stoją w kolejce do spowiedzi! Marzyło się kiedyś, żeby Solidarność rządziła, no i rządzi, a ludzie piszą na murach: KOMUNO, WRÓĆ! Cóż, mieli rację święta Teresa i Oscar Wilde: jedna jest tylko rzecz gorsza od niewysłuchanej modlitwy – modlitwa wysłuchana. Jedna jest tylko rzecz gorsza od niespełnionego marzenia – marzenie spełnione. Mieli rację, ale cholernie przykro przekonać się o tym na własnej skórze. Objęły wreszcie władzę nasze orły i sokoły, i mamy za swoje.

Urban założył „NIE”, kiedy już zaczynano pisać na murach KOMUNO, WRÓĆ, i przestał natychmiast być wrogiem publicznym numer jeden, przeklętą świnią do powieszenia na haku i wypatroszenia żywcem: czyta się go, wierzy się mu. Żeby tak umieć, płynąć pod prąd, płynąć jednocześnie z prądem! Odwrotnie niż w stanie wojennym, mówi teraz to, co ludzie myślą i widzą, a o czym nikt poza nim nawet się nie zająknie. Co z tego, że to stary komuch? Inne komuchy teraz klęczą i klepią zdrowaśki, i odżegnują się, i lżą, i przepraszają. Jedyne jawny opozycjonista, to Urban, i to jest coś! Tonący brzytwy się chwyta.

No, właśnie: rzuciły się do żłobu nasze świętoszki! Ludzie biednieją, bezrobocie rośnie, a oni między jednym paciorkiem a drugim diety poselskie sobie podwyższają. Chcą innych karami zmusić do świątobliwego życia, a sami wcale nie święci. Jeżdżą samochodami po pijanemu, zabijają, okaleczają, i nic im nie można zrobić, bo mają IMMUNITETY: dopiero teraz nauczyli się ludzie słowa „immunitet”, mają powód!



Jeszcze się ogląda transmisje z obrad Sejmu, ale coraz częściej ze złością albo śmiechem: oto nasza wysłuchana modlitwa, nasze spełnione marzenie! Ciągłe cyrk, tyle że teraz, dla odmiany, świątobliwy. *Panopticum*.

W tym świątobliwym *panopticum* pojawia się pewnego dnia wysoka, elegancka blondynka w szerokoskrzydłym kapeluszu. Nazywa się Potocka, tak, z tych Potockich, no tak, powiedzmy, że hrabianka, czy to ważne? Na imię ma Anastazja. Przyjechała z Paryża, jest korespondentką *Figaro*. Akredytowała się przy Sejmie jako dziennikarka, więc będzie tu często bywać. Przy okazji załatwia w Polsce sprawy męża Francuza, mąż ma udziały w kasynach i tak dalej. Wystarczy to powiedzieć jednej osobie, a za godzinę będą wiedzieć wszyscy. Hrabianka z Paryża! Kręci się tu, po Sejmie, polska hrabianka z Paryża! W dodatku seksowna, w dodatku – sama to kiedyś o sobie powie – „sypiąca panienska”. Ani się obejrzy, a pozna nieźle kwiat narodu, czy z kwiatem sypia (z kilkoma działaczami trochę się zdrzemnie), czy do meritum nie dochodzi (z kilkoma działaczami skończy się na karesach), czy po prostu prowadzi z kwiatem życie towarzyskie.

W dodatku zamieszkała z inną dziennikarką, tubylczą, dość już znaną, całkiem dobrą, i obie całymi nocami piją z ludźmi jak ludzie. A o co innego w życiu chodzi?

Imię „Anastazja” nikogo nie zastanowi: który z orłów i sokołów mógłby wiedzieć, że to imię najsłynniejszej w świecie mitomanki, rzekomej rosyjskiej carówny, rzekomej wielkiej księżnej, cudem ocalałej z porewolucyjnej masakry? Że może jest aluzją, może jest żartem to imię wielkiej europejskiej legendy? Tu się nic nie czyta, tu się nic nie wie. Tu ekipa telewizyjna obiecuje sfilmować posła Pierwszego Wolnego Sejmu, jeżeli poseł skoczy po pół litra dla ekipy, a poseł skacze. Pod warunkiem, że będzie nie tylko plan ogólny, ale i zbliżenie. W hotelu poselskim, gdzie mieszkają ci dojeżdżający, ci z prowincji, o ile jeszcze sobie nie załatwili dość dobrych mieszkań w stolicy, wóda leje się strumieniami, panienska biegają po korytarzach, w ogóle dobrze jest. Normalnie jest, tak jak miało być. Tylko kaplicy brakuje. Koniecznie musi być w Sejmie kaplica. Jak się człowiek spije i wyrzyga, powinien móc się i pomodlić, a do najbliższego kościoła ze trzysta metrów. No, to już, z pieniędzy podatnika, jak guziki dla wojska! W knajpie sejmowej taniutko, świetna kuchnia po cenie surowca, i alkohol po cenie jakiejś tam, świetnej. Więc zaczyna się dzień od butelki albo dwóch, a potem co chwila się wraca. Nastąpiła demokracja, posiedzenia pierwszego wolnego parlamentu telewizja transmituje w całości, na żywo: koniec z czerwoną cenzurą! A ludzie oglądają, bardzo jeszcze demokracji ciekawi. Sala ciągle pustawa, przy głosowaniu nigdy nie ma quorum, a wyniki nie zgadzają się z liczbą obecnych. Bo – wiecie – już się nie liczy podniesionych rąk jak w epoce kamienia łupanego. Naciska się przyciski, a wyniki natychmiast oblicza komputer. Więc czemu nie nacisnąć przycisków za kolegów z prawej albo z lewej, kolegów, którzy tak dobrze bawią się w barze? Odwdzięczą się jutro. Niestety, wszyscy oglądają, niektórzy się orientują, sprawa się rypla. Trochę posłom pogroźono paluszkami i spokój. W końcu cała prasa nasza, ta postczerwona też, bo mamy układy. Teraz dostaniemy kaplicę i prymas przyjdzie na sejmowy opłatek, a na razie napijmy się.

Tylko jeden Urban, kanalia, pisze przeciwko nam. I czytają go. Ale co nam może Urban zrobić? Na puklerz może nam skoczyć! A teraz wódka i msza święta, i wódka, i panienska. I przegłosować, żeby nam wszystkim dali komputery i sekretarki: nawet przyjdziemy na głosowanie. I diety znów przydałoby się podwyższyć. Już sobie podwyższyliśmy. Tak, jak to robiły komuchy. Ale ich już zmiotł wiatr historii, teraz nasza kolej. Teraz, kurwa, my!

A w tym wszystkim hrabianka z Paryża, zaokrąglona gdzie trzeba, jasnowłosa, taka, jak się lubi, i jeszcze do tego w wielkich kapeluszach, na wysokich obcasach, w obszytych koronkami gorsetach pod klasycznymi kostiumami, szykowna, fikuśna, i parłująca po parysku, i pijąca z ludźmi jak ludzie... świetna!

Oni myślą, że bawią się nią, ona – że bawi się nimi.

Obie strony mają rację dopóki do zabawy nie wmisza się Urban. Ale kto by tu myślał o Urbanie!

Hrabianka – oczywiście – nie jest hrabianką. Imię „Anastazja” brzmi jak SOS: jeśli tu jest choć jeden inteligentny człowiek, to zrozumie! Nie ma ani jednego. Hrabianka nazywa się Marzena Domaros i urodziła się w Zblewie koło Starogardu jako córka palacza kotłowego i księgowej. Była zdolna, była ambitna, miała piękny głos, wspaniale śpiewała, dobrze pisała, raz dwa nauczyła się francuskiego, ale co z tego w takim *anus mundi*? Była najlepszą uczennicą, ale co z tego? W trzeciej klasie liceum zorganizowała festiwal piosenki francuskiej, ale co z tego? Na Uniwersytet Gdański zdała, tylko nie dostała się „z braku miejsc”, co mogło oznaczać brak protekcji, tak wtedy bywało. Studiowała zaocznie, pracując to w szkole, to w jakimś prowincjonalnym centrum kultury, to jeszcze gdzieś. Kiedy waliła się komuna, pojechała do Gdańska, do paszczy lwa, w samo centrum wydarzeń. Przynajmniej tak jej się wydawało.

Wlazała po uszy w odrodzoną Solidarność. Wpakowała się w wielki romans z działaczem odrodzonej Solidarności. Organizowała ze swoim działaczem Igrzyska Solidarności (on napisał hymn igrzysk!), na których inni działacze mieli biegać, skakać, kopać piłkę i rzucać czym popadnie. Sam Wałęsa (ksywka „Wąsy”) brał w tym udział – a może tylko miał brać. Ach, co za feta! Co za triumf! Baloniki i ognie sztuczne, oklaski i fajerwerki! Tyle że ukochany nagle zniknął. Nic dziwnego: dziewczyna jest w ciąży, więc czmychnął za granicę, bo była okazja. Porzucona łapie jakieś prace w radio, kręci się przy teatrze, zaciąga długi. Pod koniec, przed porodem, głoduje. Gotuje sobie jakieś zupki z wody, mąki i soli. Wreszcie rodzi córkę i daje jej nie używane w Polsce, wywleczone z głębi Rosji i prawosławia, jakże symboliczne, jakże naiwne imię: Nadzieja.

A potem rusza do przodu.

Czegoś się nauczyła, bardzo się zmieniła, stwardniała. No, teraz wszyscy zobaczą! Teraz się odegra!

Nie zaraz. Jeszcze patrzy. Jeszcze się uczy.

Dookoła – w obozie zwycięzców – sami łajdacy i idioci. Najlepszy dowód, że nawet jej dali się nabrać. Uwierzyli, że sam nieboszczyk Dior przyjedzie do nich ze specjalnym pokazem mody, żeby Uczcić i Uświetnić! Zresztą we wszystko wierzą. Tacy głupi i tacy cwani! Ksiądz Jankowski, obwieszony orderami spowiednik Wałęsy, kapelan Solidarności, puszcza na rynek szampana ze swoim portretem, jeździ mercedesem, ściąga długi przez rosyjskich bandziorów, robi jeden lewy biznes po drugim, a żeby forszę uprać i odpodatkować, zakłada Fundację Obrony Moralnych Praw Rodziny, Matki i Dziecka... bo strasznie są oni wszyscy moralni, strasznie! Zna to. Teraz, kurwa, my! Wygraliśmy! Nasi górą! Więc milion dolarów prałata wypierzemy w jakiejś świętej pralce, a teraz kaczuszka w jabłuszkach, a teraz imieniny Wodza, bardzo świątobliwe, bo Wódz jest taki nabożny, taki nasz, bez obrazka Matki Boskiej w klapie nigdzie się nie ruszy – imieniny pełne Fioletów. Tak się Fiolety pooblewają szampanem, że będą musiały fiolety ściągnąć podczas bankietu, żeby wyschły, i jeść, i pić w gaciach, w otoczeniu wszystkich liczących się orłów i sokołów, wszystkich bohaterów Naszej Wspaniałej Walki, też pijanych i rozbawionych... rzygać się chce!

Marzenka Domaros ogląda to wszystkimi własnymi wielkimi oczami, bo sam prałat -milioner ochrzcił jej Nadzieję (choć żeby tam przedtem ktoś pomógł ciężarnej bojownicze w ósmym miesiącu, żyjącej zupą z mąki i soli, o tym mowy nie było, ale trudno, takie jest życie), i w ogóle kręci się trochę przy nich wszystkich, przy tym wszystkim. Zgrywa się, kręci i kłamie, żeby im się wydawało, że mogą jeszcze mieć z niej jakiś pożytek. Czasem się udaje.

Tyle że już ją mdli. Tyle że już nienawidzi.

Może tak jest po każdej wielkiej zmianie władzy, a może nie. Jak się tego dowiedzieć? Normalny człowiek nie ogląda w życiu więcej niż jednej wielkiej zmiany władzy. Wielkiej zmiany ustroju. No, ta jest paskudna. Co za głupia, tępa, obłudna hołota!

Pojawił się na świecie ktoś, kto nienawidzi hołoty równie mocno, jak Urban. Ktoś może równie ambitny jak Urban. Tyle że trzeba mieć do tego geniusz Urbana, cierpliwość Urbana, gorączkę Urbana, trochę szczęścia Urbana... ale kto może wiedzieć, zobaczymy.

Na razie pewna blondynka z prowincji przyjeżdża do stolicy, gotowa na wszystko. Zawsze tak się zaczyna.

W jakiś czas później Marzena Domaros wkracza do Sejmu jako Marzena Domaros, dziennikarka z Gdańska. Bez kapelusza. I fakt, jest dziennikarką z Gdańska, od zawsze kręci się przy prasie, pisuje. Pewien górnik ją wprowadził, górnik-solidarnościowiec, poseł Alojzy Pietrzyk. Dziewczyna robi nawet wywiad z wielkim ważniakiem, ciągle jeszcze jako Domaros, ale już niby dla *Figaro*. Ważniak się nabrał. A potem wystarczy trochę inaczej się ubrać, włożyć kapelusz, i przedstawiać się jako Anastazja Potocka. „– Z tych Potockich? Hrabianka, hrabina?” – „No, wie pan... czy to wszystko dzisiaj cokolwiek znaczy?” A więc hrabianka-demokratka, jak to w Paryżu. Korespondentka *Figaro*. Drukuje coś w *Figaro*, czy nie – nikt tego nie sprawdzi, bo nikt tu nie zna obcych języków i nie czytuje obcej prasy. Zresztą nikomu nie chciałoby się sprawdzać. Wszyscy wierzą, wszyscy zachwyceni. Można zacząć zabawę.

Wysoka blondynka w szykownych strojach i kapeluszach „z Paryża” bawi się znakomicie. Patrzy, słucha, uczestniczy. A w 1992 znika i wydaje nagle książkę: „Erotyczne immunitety”. Częstkę tego, co widziała i czego doświadczyła, ciąg dalszy oraz dowody w sejfie, na wypadek, gdyby ktoś chciał ją skrzywdzić. Są tak głupi, że chcą.

A przede wszystkim wiedzą, wiedzą jedno: to Urban! Urban za tym stoi! Urban ją nasał! Kolejna prowokacja Urbana, kolejny happening Urbana: jak można było od razu nie zgadnąć?!

Największa klęska Urbana: nie, to nie on wymyślił!

Nie, naprawdę, nie on wymyślił hrabiankę Anastazję: wymyśliła się sama. Nie wiedział dość wiele o kobietach, nie wyobrażał sobie istnienia takiej kobiety, najmniejszego pojęcia nie miał o Żądzy Zemsty, która góry przenosi. Jego kobiety najwyżej chciały iść „na łatwy chleb” i pracować w telewizji. Jak kobiety wszystkich facetów z jaką taką pozycją; dziwić się potem, że telewizja była do niczego? Nie marzyły o Wielkości, Sławie i Zwycięstwie. Chciały wygodnie pożyć, a w ogóle mieszczki z nich były, choć puszczalskie. Anastazja P., hrabia Monte Christo w czarnym kostiumie i kapeluszu, amatorka, która zbiegła na szpilkowych obcasach z ekranu, z filmu *Płaszczka i Szpady*, żeby wkroczyć dzielnie do Pierwszego Wolnego Parlamentu odrodzonej Rzeczypospolitej... nie, tego nie podejrzewał, nie doświadczył, i chętnie połamałby sobie za karę dolną szczękę ze złości, gdyby mu się udało rozdziwić i strzelić samego siebie dobrym prawym prostym. Niestety, nie jego dziełem była Anastazja P.!

Pozostawało trochę się pod nią podszyć.

Spróbował, oczywiście.

Książka Anastazji P. (tak się podpisała na okładce), książka spisana z magnetofonowych nagrań, wyszła w wydawnictwie, o którym nikt nie słyszał przedtem ani potem. Mówiono, że tę ważkę-jednodniówkę wzięła na siebie i podpisała papiery trzecia żona Urbana. Może. Nieważne.

Urban poznał Marzenę Domaros, kiedy już zrobiła swoje, doświadczyła swego (w tym ponoć gwałtu, popełnionego przez super-katola i super-świętoszka, marszałka Sejmu, czci-

ciela cnoty, wartości chrześcijańskich, Krzyża Pana Naszego i całej reszty) – kiedy już doświadczyła swego (mogło tego być więcej, zgoda) i przestraszyła się. A było się czego bać. Tego się nie wie z góry. Było się czego bać.

Poznał ją, bo – przerażona – chciała poznać jego. Żeby ją obronił. Żeby zamknął jej dokumenty w swoim sejfie. Żeby schował nagrania, żeby coś podpisał przy notariuszu. Żeby ją ocalił. Żeby ją uratował.

Czemu pobiegła właśnie do niego – nieznanego i pełnego jakże zrozumiałej nieufności?

Największa pochwała Urbana! Największy komplement, jaki mógł usłyszeć w życiu!

Komplement wypowiedziany – później – przez wystraszoną fałszywą hrabiankę ze Zblewa koło Starogardu.

– *A komu, do diabła, miałam wtedy zaufać?! Każdego prawnika, każdą kancelarię prawną, każdą redakcję można przecież przekupić albo nastraszyć. Wierzyłam, że Urbana nie można. I – jak dotychczas – nie zawiodłam się.*

No, więc było tak.

Zabawiła się panienka ciekawa świata, lubiąca seks, inteligentna, utalentowana, ambitna i mściwa – zabawiła się udając hrabiankę, paryżankę, bogaczkę wobec ludzi, których nie cierpiała. Udając, żeby opisać, opowiedzieć, zdemaskować, ośmieszyć. A te głupie snoby natchymiały dały się złapać, zaśliniły się z zachwytu: ja, prostak, mam teraz władzę, i zabawię się z hrabianką z Paryża! Tak, jest sprawiedliwość na świecie!

Albo ktoś ją nasłał (nie Urban, niestety). Albo ktoś ją przejął w trakcie zabawy, zaszantażował, ustawił, nastraszył. Bezpieka, która teraz nazywa się Urzędem Ochrony Państwa (ale *kwiat nazwany różą pod inną nazwą pachniałby tak samo*): najpewniej stara, pocziwa bezpieka. Może i Urbana na końcówce nabrała, choć dużo jej z tego nie przyszło. Sama Anastazja twierdziła, że uciekła do Urbana ze strachu przed szantażem nowej bezpieki: już ją śledzili, już ją ktoś napadł dla postrachu, już czegoś od niej chcieli, ale nie zaraz, cierpliwości... jak to oni. Pozostawało narobić krzyku, i to szybko. Samej się przyznać, i to szybko. Ujawnić mistyfikację. Co też zrobiła.

Bawiła się w Sejmie głównie z czerwonymi, bo miała słabość do czerwonych, coraz bardziej po swych pierwszych, solidarnościowych doświadczeniach lewicowa. Nacięła się, oczywiście. Taka sama banda chamów jak czarni i pośredni. (A czego się spodziewała? Urban zapytałby, chichocząc, czego się spodziewała po motłochu, ale jeszcze nie знаła Urbana.)

Choćby skarb lewicy, wzorcowy postkomuch (był kiedyś ministrem komuszego jeszcze rządu, ale szybko się skumał z opozycją, nagrał wspólny program z Michnikiem, wszyscy oprócz skrajnej reakcji go popierali: oto nasza szansa! Załatwimy mu władzę!). Podeszła po prostu w Sejmie do skarbu lewicy (języki, tenis, opalenizna: istny Kennedy!), zagadała. Zaraz kawka, drink, brudzio (prosto w usta), może zmienimy lokal, łóżko, w łóżku chamski, zajęty wyłącznie sobą i za szybki, dno. Żadnego pytania o środki ostrożności: toż to sprawa kobiety; jak wpadnie, niech się sama martwi. A w rozmowie bywał nawet bystry i błyskotliwy, jaka szkoda! A oficjalnie – taki liberalny, postępowy i szlachetny bojownik o prawa kobiet, jaka szkoda! Cóż, tak już jest, jeśli się zajrzy za kulisy. Pośpi się z nim trochę, zachowa miłosne liściki, wciągnie w sprawę paru świadków i zmieni front.

Albo drugi skarb lewicy, szef – czy przyszły szef – socjaldemokracji, zwany kanclerzem: nawet miły. I nawet kwiaty raz dał kochance, co się czerwonym nie zdarza: wprawdzie wysłał po nie kierowcę, ale i tak było to wyjątkowe, niesłychane: powiedzmy, że liczą się intencje.

Z posłami chłopskimi nie sypiała, wystarczyło z nimi popić. Prymitywy, bardzo po picu agresywne, ale przez chwilę: zaraz padają. Jak to chamy: „pić, pieprzyć i bić się”, „drzyjcie, sprzątaczkę i kelnerki”, rynsztok. „Każdą najbrzydszą babę wystarczyłoby wpuścić do Sejmu na 24 godziny, a wyleczono by ją tam z kompleksów do końca życia”.

Z katolami, żądającymi właśnie z taką pasją zakazu aborcji, więzień za aborcję, zakazu środków antykoncepcyjnych, zakazu edukacji seksualnej, i w ogóle – niech żyją nam czystość i cnota, niech nas błogosławi Najświętsza Panienka i niech nam podatnicy wybudują w Sejmie kaplicę, żebyśmy nie musieli chodzić trzysta metrów do najbliższego kościoła – z katolami owszem. Jeden z najważniejszych, wicemarszałek Sejmu, pobił ją po prostu i zgwałcił, aż wstyd się przyznać, że tak się można było nieostrożnie i głupio zachować. Wstąpiło się do pokoju wicemarszałka z jeszcze kimś, ten ktoś po cichu zniknął, wicemarszałek zamknął drzwi, schował torebkę nieznanego mu do tego dnia dziennikarki, dał jej parę razy po twarzy, żeby była grzeczna, a bił mocno... no i tak dalej. Pobił, poszarpał, posiniaczył, walił nią o meble; bił i w trakcie, bo tak lubił; w sumie banał.

I co można zrobić? Biec na policję? „Zgwałcił mnie wicemarszałek Sejmu”? Już słysząc ten homerycki śmiech całego komisariatu! Rzeczywiście, zaczną śledztwo przeciwko jednemu z naszych orłów i sokołów, z nietykalnych! Dopiero co ten sam facet załatwił aresztowanie rodziców chłopca swojej córki, bo chłopiec mu się nie podobał, i co mu zrobiono? Nic. Prasa nawet pisała o wszystkim ze współczuciem, pytając retorycznie, czy czytelnicy (ojcowie i matki) nie zrobiliby tego samego, gdyby im się dziecko sprzeciwiło i gdyby mogli. Pewnie, że by zrobili! – twierdziła prasa (z wyjątkiem, oczywiście, szmatławca Urbana, „Polityki” i czegoś tam jeszcze). Co do gwałtów – od lat w Polsce główną osobą podejrzaną w procesach była zgwałcona: może się malowała, może się modnie ubierała, czyli prowokowała? Może to ona winna? Tak było już za komuny, więc co dopiero teraz, w epoce krzyża dla orła! Czy nie rozmawiała z nim, nie piła? Rozmawiała i piła. No, to czego się spodziewała?

Koszta własne.

Kto sieje wiatr, zbiera burzę.

Jeszcze trzeba wicemarszałka obłaskawić, żeby się nie zdenerwował i nie wykończył jej za wcześniej. Potem się go opisze. Pora na dalsze eksperymenty.

Z ośmieszonym bezustannie w urbanowym „NIE” hrabią – superkatolem, na przykład. Hrabia już wie, że hrabianka sypia ze skarbem lewicy: nie dałoby się zabawić we troje? Ach, taka koalicja łózkowa, w życiu publicznym wykluczona, lecz tym bardziej pociągająca... O, doktorze Freudzie! Skarb opozycji, zwany pieścizotliwie Jackiem Zupą, człowiek z laickiego (ale klękającego) centrum też by chciał zabawić się z hrabianką we troje, ale zamiast skarbu lewicy wolałby jakąś panienkę, może tę z radia: ach, wypościli się ludzie za komuny, chcieliby teraz poszaleć jak w Paryżu! Właśnie przeprowadzono zakaz aborcji, posłowie katolicy przez pół nocy opijali szampanem ten triumf Cnoty, Krzyża i Krwi Pana Naszego, a teraz chętnie znów zdradziliby swoje nudne żony z czymś świeżym i nowym. Z czymś wkleśłowypukłym, wielkookim, długorzęsym i w koronkach. Grzeszek na trzy zdrowaśki.

A gdyby wynikło z tego grzeszku, przypadkiem oczywiście, Po Stokroć Święte Nowe Życie?

Hm. To byłby kłopot. Ale po co się z góry martwić?

Tymczasem trzeba pomyśleć o rewizjach granicznych, o badaniach ginekologicznych na granicy: te suki kobiety gotowe jechać do krajów, gdzie zbrodnia jest dozwolona, żeby pozbyć się kłopotu. Do czego – w imię Ojca i Syna – nie dopuścimy!

No i ślicznie. Ślicznie się rozwija reportaż uczestniczący o świętoszkach, które obaliły grzeszną komunę – aż tu nagle zjawia się bezpieka i trzeba zmykać, i próbować zrobić skandal z tymi strzępkami, które się zebrało (za mało się zebrało!), a komu można zaufać poza Urbanem?

Urban jest nieufny. („Skoro wiedział, że to nie on mnie podpuścił, to kto?... Najzabawniejsze, że nikogo nie było – tylko ja!”) Sprawdza ją. Prosi innych o sprawdzenie. A czas nagle. Już się rozeszło, że Anastazja P. dyktuje w hotelu Sobieski jakąś „książkę” jakiemuś fachowcowi z magnetofonem (czyli znalazł się wydawca łasy na jej wyznania!), już ją areszto-

wano pod pierwszym lepszym podejrzeniem, potrzymano w jednej celi z kobietą, która powiesiła własne dwuletnie dziecko na rajstopach we framudze drzwi oraz z kilkoma podobnymi, w Celi Morderców (rozumiesz chyba, kurwo, jak z tobą będzie, jeśli się nie uspokoisz?!), po czym wypuszczono – no, teraz nie ma wyjścia, wpadła w kipiącą histerię, nie da się szantażować, nie da się zastraszyć, powie wszystko, umrze, ale powie, napisze, wyda!

Urban w to wchodzi.

Nie on (hańba na jego głowę!) wymyślił Anastazję P., ale on ją wylansuje. A o ile zna tych głupców z nowej władzy, odwałą za niego 90% roboty.

Nie myli się.

Książka jest jeszcze w drukarni, kiedy za Marzeną D. (Anastazją P.) zostaje rozesłany list gończy. Nie, o nic nie jest oskarżona, ale podejrzana – o kradzieże i oszustwa, a właściwie nie podejrzana, policja po prostu chciałaby się z nią skontaktować... porozmawiać...

Czyli zastraszyć i uciszyć. Doprawdy, Urban zaczyna się dobrze bawić!

Co za głupcy! Mogliby ją ścigać choćby za morderstwo: kto by im uwierzył? Latami tak wykańczano niewygodnych, niebezpiecznych, uczciwych. Czy ludzie tego nie pamiętają? Jeszcze długo, jeszcze bardzo długo będą pamiętać! I nie uwierzą.

A może by ją skierować na badania psychiatryczne? Istnieją poważne podstawy do podejrzeń, że ta pani nie jest zupełnie normalna, że ma „pewne anomalie psychiczne”... Dla jej własnego dobra należy ją czym prędzej złapać, zamknąć i zbadać. Ogłasza się to ze śmiertelną powagą w telewizji.

Urban bawi się coraz lepiej.

Już była krótka, nagła, ale wystarczająca reklama. Już wyszła książka. Ludzie ją rozchwytyją. Opisani szaleją. Gazety i telewizja szaleją. Oszustka, złodziejka, dziwka, mitoman-ka, prowokatorka usiłuje oszkalować to, co najświętsze – naszą młodą, świeżą, wolną władzę! Kwiat narodu! I niby co jest w tej książce? Że władza lubi sobie popierdolić? A co, władza to nie ludzie? Dlaczego ludzie jeszcze nie rozumieją, że polityk to też człowiek i miewa chwile słabości? Prowokacja Urbana: wszystko to prowokacja Urbana! Byle zdyskredytować demokrację, a przywrócić totalitaryzm! O, do licha: wykończymy kurwę! Wystarczy nam strzelić z palców, a wykończymy!

W sumie coraz śmieszniej.

Urban wchodzi w to na amen.

Szykuje kasetę video o ukrywającej się Anastazji. „Patrzcie na mnie!”, tak ją nazwie, i każdy czytelnik „NIE” będzie mógł ją sobie zamówić listownie, telefonicznie lub faxem. Urban zamieszcza na pierwszej stronie „NIE” swoje zdjęcie – na klęczkach, z bukietem kwiatów, przed uśmiechniętą Anastazją. Urban mówi w wywiadzie dla „Expressu Poznańskiego”:

„To prawda, że ją nasłałem. A teraz naślę ją jeszcze wyżej. I ona uwiedzie Wałęsę, Suchocką, Glempa i innych”. Urban pisze prawie to samo we własnym piśmie. Tak, to ja, to ja, to ja wymyśliłem! Największy skandal po wyprowadzeniu czerwonego sztandaru – to ja, ja, ja! Patrzcie na mnie! Patrzcie na mnie!

A skandal rzeczywiście jest wielki.

Krzysztof Kąkolowski wypowie się dość trafnie: Sejm jest nie lubiany, wyborcy rozczarowani. Skandal z Anastazją potwierdził to, co ludzie myślą o tych, których (z braku wyboru) wybrali, i grozi wywołaniem (wzmoczeniem) tęsknoty za komuną. Za totalitaryzmem. (Och, to jest groźne!)

Profesor od prawa prasowego, dyrektor Instytutu Dziennikarstwa, Bogdan Michalski, zasnuje się amatorszczyzną Anastazji. Gdyby ci głupcy – nowa władza – trafili na profesjonalistkę, nie byłoby im dziś wesoło! Nie zauważyli istnienia wolnej prasy: na jej grzbiecie wjechali do parlamentu, ale nie zauważyli! I odcięli się od poparcia środowisk, którym zawdzię-

czali swój propagandowy sukces, walnęli w emerytów i „budżetówkę”, w przeklętą inteligencję, rozzuchwalili się, rozbawili, nabrali arogancji... Do głów im nie przyszło – tak samo, jak przedtem komuchom – że inteligencja umie się bronić. A potem, kiedy już zrobili z siebie pośmiewisko, zaczęli krzyczeć o swoim urażonym honorze! „Honor kwiatu naszego narodu” – tak się któryś z nich wyraził, dosłownie!

„Ja bym powiedział, że część posłów przyswoiła sobie poczucie honoru dość późno.”

Cóż, w tym zabiedzonym kraju władza prowadziła sobie *dolce vita* na poziomie Grójca. Nie było jej stać na nic innego. A kiedy okazało się, że *dolce vita* rozgrywa się przy odsłoniętej kurtynie, że wszyscy patrzą i widzą, spieszyła się władza i obrażała. Ale nic nie zrozumiała.

– Bo i o co chodzi? – napisze drwiąco kto inny. – Rozjeżdżają ludzi po pijanemu, szaleją, robią biznesy z mafią, bogacą się na przemyśle, chronią immunitetami, aż tu nagle ktoś ich demaskuje? – Przecież to kurwa! – krzyczą wtedy. – Spała z nami, więc kurwa! Nie będzie kurwa CZŁOWIEKA oskarżać! I o co w ogóle chodzi?

Nie rozumieją, o co chodzi. Za tysiąc lat nie zrozumieją!

Przecież mają immunitety! Tego jednego, trudnego, obcego słowa się nauczyli, bo przydatne.

Trudno. Takich wybraliśmy, bo lepszych nie było.

Na takich sobie zasłużyliśmy.

Dopiero za kilka lat (czy nie osiem?) skandal Rozporka Clintona wstrząśnie Ameryką, a Polska, pamiętna afera z Anastazją P. (znowu byliśmy pierwsi: Monica Lewinsky to błąd cień naszej Anastazji, bose stopy Julii Roberts przy ślubie to mięta z bubrem po Urbanowej Goście!), zareaguje tak samo jak kiedyś, zaściankowo. Prezydent USA pofiglował sobie z zależną służbowo panią, też sprawa! Doprawdy, nie o to chodziło, że uprawiał z panią, oszukując swoją Świętą Żonę, różne perwersyjki? Nie o to? Tylko o to, że złożył w sprawie karnej – ręka na Bibli, oczy wzniesione w niebo – fałszywe zeznanie, a i panią zmusił do fałszywych zeznań? O krzywoprzysięstwo niby? U nas, Polaków, to sprawa na malutką grzywnę. W ogóle przerastamy Amerykanów nieskończenie. U nas nic, NIC nie zaszkodzi politykowi u władzy! Żadne tam krzywoprzysięstwa, gwałty, afery korupcyjne, przestępstwa podatkowe czy wykroczenia drogowe, nawet morderstwa, dopóki trwa IMMUNITET, dopóki trwa KLIKA. Urban już się o tym przekonał (co mu przyszło z jego prasowych śledztw przeciwko przestępcom u władzy, co mu przyszło z jego Niezbitych Dowodów? Polak to nie durny Jankes, ot co).

Fakt. Ale jest wcześniej, władza jeszcze młoda, noc jeszcze młoda. „NIE” jeszcze młode, do afery Clintona osiem lat, jesteśmy pierwsi. Co nam chciano udowodnić? Że władza to gromada chamów i obłudników, żądających od nas świętości, i skrecających się ze śmiechu na samą myśl o tym, że moglibyśmy ich posłuchać? Przecież wiemy to od zawsze! Politycy to świnię; nikt uczciwy nie pchałby się w to szambo. Niczego się po nich nie spodziewamy poza najgorszym.

Co nie znaczy, że nie przeczytamy książki podpisanej przez Anastazję P.: przeczytamy. Że nie pośmiejemy się z okropnie obrażonych kretynów: pośmiejemy się. Ale nie przyjdzie nam do głowy spodziewać się czegoś lepszego niż to, co jest. Nie zaczniemy machać śnieżnymi skrzydełkami jak Jankesi.

Samiśmy chamy, i chamów mamy nad sobą. Zaprawdę słuszne to i sprawiedliwe. *Jestem, wielki cham, więc lubię wszelkie chamstwo, i mam tego pod dostatkiem* – jak napisał kiedyś Urban. My też mamy tego pod dostatkiem. Już nam ręce opadły.

Co nie znaczy, że nie lubimy się czasem pośmiać. Choć tyle nam się należy.

Więc co tam dalej ze sprawą Anastazji P.?

Bohaterowie książki grożą procesami, ale żaden do sądu się nie zwróci. (Anastazja P. wie o wiele więcej niż powiedziała; to, co wydano, to zabawka dla ludu, pierwsze ostrzeżenie, drobiazg. Anastazja P. przekazała Urbanowi „pewne dokumenty”, które wyjdą na jaw, gdyby przez 48 godzin nie dawała znaku życia. Itd.) Bohaterowie książki są przestraszeni, robią unik, uciekają w żarty, odmawiają komentarzy.

Hrabia N. powie: „... z nimfomanką i oszustką, czy też z URBANEM nie dyskutuję”. Po czym zagrozi procesem przeciwko pismu, które wydrukowało fragmenty „Erotycznych immunitetów”. Czemu, na Boga, nie przeciwko autorce?

– To jest sprawa policji obyczajowej – powie wzgardliwie.

(Policji obyczajowej nie ma od wieków, przynajmniej oficjalnie. Nie tak się to nazywa.)

Przywódca chłopski, Roman Bartoszcze, brat tego, którego za stanu wojennego utopiono w studni, żąda powołania nadzwyczajnej komisji sejmowej dla zbadania sprawy, ten skandal wykracza już poza wszelkie granice, dopiero co zdławiono moką ścierką żądanie weryfikacji posłów pod kątem ich działalności agenturalnej, bezpieczniackiej, teraz z kolei to... znów wszystko uciszymy, przemilczymy? Nie zbierze nawet 15 podpisów, niezbędnych do wniesienia „sprawy” na porządek dzienny. Inni zbiorą więcej. Komisja Regulaminowa uchwali, że Prezydium Sejmu powinno żądać od prokuratury ukarania Marzeny D. / Anastazji P. „w obronie dobrego imienia Sejmu”.

Posel katolicki, marszałek Sejmu, nazwie Anastazję prostytutką, a Urban z radością zagrozi mu – pospołu z Anastazją – procesem. Naiwny katol naprawdę nie zna definicji słowa „ prostytutka”? Naprawdę myśli, że to kobieta, odbywająca stosunek seksualny bez ślubu? Na szczęście istnieją sądy! Żądamy – za naruszenie czci i dobrego imienia – stu milionów na Czerwony Krzyż!

Marszałek milknie, przerażony. Za to wicemarszałek, ten lubiący mocno bić gwałciciel, wystąpi w specjalnym programie telewizyjnym, sugerując – w zgrabniejszej formie – to samo. (Toż to kurwa, ludzie! Gdzie problem, gdzie sprawa? On – jak każdy mężczyzna – „narzędzie gwałtu nosi przy sobie”, ale trochę poczucia proporcji, proszę! Gdzie problem, gdzie sprawa? Przecież to nie dziewica, sypiała z chłopami, więc kurwa!) Dziennikarka prowadząca program („100 pytań do ...”) dopowie za niego, świątobliwa, solidarna i oburzona: „Rzeczywiście, warto by się dowiedzieć, z czego żyje Anastazja P!”

Urban bawi się jak król.

Żeby kobieta, KOBIEȚA, mówiła o swoich kochankach? W Wólce Górnej nie do pomyslenia! Coś takiego może zrobić tylko prostytutka, a od prostytutek jest policja obyczajowa, ma je zamykać, ma nie dopuścić, żeby zakłócały życie pełnoprawnym obywatelom! Naprawdę, już tak nie jest? Naprawdę, niezamężna niedziewica też ma prawa obywatelskie? Nie wiedzieli, nie słyszeli, inaczej było w Wólce, nie do pomyslenia!

Można oszaleć z radości. Ależ się hołota podkłada! Ależ nadstawia goły tyłek pod bat! Cóż to za motłoch, te antykomuchy; co to za motłoch, na szczęście!

Na szczęście.

Nie, nie będą się orły i sokoły procesować z kurwą! Jak ptak zanieczyści ci ubranie, wytoczysz mu proces? To prowokacja politycznych sępów! To wszystko Urban! Ta *hiena dziennikarska, żywiąca się padliną!* Tak, powiedział to superkatolicki wicemarszałek Kern, powiedział to publicznie, w telewizji: niech mu Urban wytacza proces! Proszę!

Ani się Urbanowi śni.

Wszyscy kochankowie i doskakiwacze Anastazji byli żonaci. Więc i żony się wypowiedzą. Zabawa coraz lepsza.

– ... nie znalazłabym powodów, dla których mąż miałby mnie zdradzać z mało atrakcyjną, wyuzdaną kobietą bez klasy.

Świetne! *O, sancta simplicitas!*



Wszystko kłamstwo! – doda jedna z Żon. Ta „oszustka, wyłudająca pieniądze i okradająca ludzi” opisuje jej męża jako pijaka, a oni oboje piją najwyżej wino do posiłków (w kilka lat później telewizja różnych krajów będzie z lubością pokazywać Skarb Lewicy, jak próbuje po oficjalnych bankietach wsiąść do bagażnika rządowej limuzyny itp.), i mąż nie przepada za anyżkiem, i w ogóle kłamstwo za kłamstwem, i nie jest to insynuacja nimfomanki, nie: to ohydna intryga! („Ale jeszcze nie mam w ręku dowodów”.)

(Doprawdy, Hillary Clinton, która za kilka lat będzie przy każdej okazji bronić swojego męża-prezydenta [*standing by her man*], budząc tym najpierw zachwyt, potem śmiech, wreszcie pogardę – Hillary będzie dopiero DRUGA. Zawsze byliśmy pierwsi, my, Polacy I nikt tego nigdy nie zauważył!)

Hrabina N.: „Pamiętników prostytutek nie czytuję i nie zamierzam czytać”.

Inne żony – rozsądniej – odmawiają wywiadów na temat jednej z „prostitutek pana Urbana”.

No, proszę: i tak wyszedł Urban na swoje.

Czasem rozjuszeni ludzie uderzają w ton bardziej nabożny i patetyczny. Ultrakatolicki wicemarszałek gruchnie na przykład w plotkarską dziwkę psalmem. O, tyle ma do powiedzenia, tyle! I oczy wzniesione do nieba, do Boga. *I choć przyjdzie mi iść przez dolinę ciemności, Nie ulękę się zła, bo Ty jesteś ze mną.*

Jedna z Żon podobnie:

– A jeśli coś zapisane jest w górze, to karząca ręka sprawiedliwości spadnie na Anastazję P.!

Jakby zaszumiały orle skrzydła!

Wspaniale!

Urban pójdzie z Anastazją P. na bal sylwestrowy, gdzie tańczyć nie będzie, bo nie lubi pracy fizycznej, ale chętnie sobie popije: jemu wolno, on się na prezydenta ani marszałka nie wybiera!

Legenda rośnie. I o to chodzi.

Urban 1 kwietnia następnego roku weźmie ślub z Anastazją P. i podaruje jej pałac (wszystko udokumentowane przepięknymi zdjęciami). Anastazja P. spróbuje kandydować do Sejmu, ale zrezygnuje. Anastazja P. wyda jeszcze jedną książkę o swojej przechadzce po pierwszym Wolnym Parlamencie (zniekształcili jej tę pierwszą, ten bestseller, naszpikowali wulgaryzmami, których ona nie cierpi: teraz sama napisze trochę prawdy o tej wiecznej wymianie trochę oglądanych chamów na chamów cuchnących gnojem, o tej wiecznej wymianie, którą jest historia, przynajmniej tutaj, przynajmniej teraz) i płytę z piosenkami. Anastazja P., ponętna, złotowłosa, wklęsło-wypukła, zaśpiewa słodko i drwiąco:

*Jestem niewinna, jestem dziecinna,  
działałam w dobrej wierze.  
Mym powołaniem było oddanie  
się tym, którzy są przy sterze.  
Byłam gotowa wspomóc psychicznie  
działania Sejmu i rządu,  
a nie jak ktoś mnie oskarżał publicznie,  
że brałam się do nierządu!*

Głos ma wspaniały (choć mówią, że to nie jej głos: to jakaś genialna debiutantka zgodziła się zaśpiewać za nią, po czym – pieniądze były tego warte – zamilknąć na wieki), inteligentna jest, zabawna, ale przecież nikt tych piosenek (*To moja słabość – nic nie poradzę, że lubię*

*mężczyzn, co mają władzę*) w radio ani w telewizji nie puści! To nie Ameryka, a i tam byłoby trudno. Kilkanaście piosenek, z których wszystkie – poza jedną – są aktualne, polityczne i drwiące! Jakby nie wiedziała, że drugiej płyty nie będzie: trzeba było (własnym głosem) zaśpiewać *Ave Maria*; podobno robiła to na przyjęciach tak, że słuchaczy coś za gardła ścisnęło! A ona o nabożnisiu (co to *na otomanie lubił uderzyć niespodziewanie*), o klękającym bezbożniku (co to *w tercecie chciał się zabawić jak w kabarecie*), o chadekach – z takim głosem (jeśli to jej głos), z takim talentem, z taką ambicją, z takim wejściem! Byle zmieszać z błotem już i tak ubłoconych orłów i sokołów (*Hrabianki lubią słodkich brutalni – ludzi z marmuru, żelaza, stali...*) – jakby los (lub Urban) mógł jej dać kolejną szansę! Kolejne nagranie! Kolejny koncert!

Zabawiła się Anastazja P. ludźmi z *marmuru, żelaza, stali*, a oni nią nie: czy naprawdę myślała, że jej to darują?

Czarny znów łapie za ster polskiego Titanika, płyty Anastazji P. sprzedaje się na lewo, na kilku straganach; tylko Urban mógłby jej pomóc, a Urban się na nią zeźlił: więcej miała wspólnego z bezpieką (z UOP-em), niż mu na początku mówiła! Trochę się dał nabrać! Napuścili ją na niego, przechrztyli go – chociaż po co? I tak to on wygrał! Zresztą ma dosyć. Nie będzie niczym managerem. Nikomu – poza Frakiem, a to inna sprawa – nigdy pomagać nie będzie: nie prowadzi żłobka!

Ale śmiesznie było?

Oo tak! Było bardzo śmiesznie!

Zdażył za pięć dwunasta w taki śmieszny, taki świetny skandal, udało mu się. Anastazji P. mniej się udało (jedni ją nasłali, drudzy ocenzurowali, trzeci opluli), ale może jeszcze biedaczka, matka Nadziei, wypłynie: nigdy nic nie wiadomo. Śmiesznie było, hipokryci i obłudnicy dostali sójkę w bok, a Urban przy okazji dodał sobie do biografii najlepszą, najpochlebniejszą opinię, jaka mogłaby się w czyjejkolwiek biografii znaleźć:

**– A komu, do diabła, miałam wtedy zaufać?! Każdego prawnika, każdą kancelarię prawną, każdą redakcję można przecież przekupić albo nastraszyć. Wierzyłam, że Urbana nie można. I – jak dotychczas – nie zawiodłam się.**

## Anty-Urban

Skoro demon nawiedził świat (a imię jego Urban), pierwszą myślą mnóstwa ludzi było przeciwstawić się demonowi. Założyć pismo „TAK”, które rozłoży na obie łopatki pismo „NIE”. Głosić wartości prorodzinne, chrześcijańskie i przaśne z takim samym zapalem, z taką samą jaskrawością i krzykliwością, z takim samym – *horribile dictu* – seksapilem. Tak, żeby Urban nie mógł się pozbierać. Ale do tego trzeba by było człowieka o talencie równym urbanowemu, a to nie wchodziło w grę: Urban osiągnął swoje, bo był najlepszy. Prościutkie to i czytankowo sprawiedliwe, aż mdli, aż się wierzyć nie chce – ale tak to było. On był najlepszy.

Co nie znaczy, że przeciwnicy byli, bez wyjątku, zakutymi łbami. Próbowali. Czasem nawet niezłe próbowali.

Urban ośmieszał co tydzień Wartości Chrześcijańskie, nazywając je (całkowicie usprawiedliwiony skrót, nie zapomniało się kpin z WRONY) WC. Jak Water-Closet, jak wychodek, jak sracz. Przyjęło się. A kiedy się już przyjęło, pojawił się w telewizji facet w kowbojskim kapeluszu, prowadzący co tydzień swój WC *Kwadrans*. Niby od inicjałów (Wojciech Cejrowski), ale i tak wszystko było jasne: o WC chodziło, o Wartości Chrześcijańskie. Żartobliwie, kpiąco i z pasją. Jak trzeba. Pojawił się Anty-Urban!

Anty-Urban znał Amerykę, znał amerykańskie gwiazdy propagandy, wiele się od nich nauczył, miał w Stanach rancho i w ogóle – nie przyszedł do telewizji prosto z wiochy! Puszczal w swoim programie muzykę *country*, siedział w swoim kowbojskim stroju, a zmianę tematu sygnalizował waleniem w stół wielkim, folklorystycznym kubkiem. Zapraszał znanych ludzi na zjadliwe, okrutne wywiady (niektórzy przychodzili), walił prawdę w oczy, był ordynarny, arogancki, pewny siebie i zwycięski. I wcale nie głupi.

Wiedział, że musi szokować. Takie było jego zadanie, z tego żył, tym się wslawił. „To jest środek do osiągnięcia pewnego celu”. Pewnie, że tak.

To on – nie on pierwszy, nie on ostatni, nie on jedyny – miał pomysł pisma „TAK”. Odpowiedzi na urbanowe „NIE”, odpowiedzi mocnej jak pięść w bokerskiej rękawicy. Tymi samymi (podobnymi) środkami walczyć o całkiem przeciwne cele – to była jedyna droga, i WC to wiedział i garstka świątłych pravicowców, która go wspierała, wiedziała o tym równie dobrze, ale czy główną cechą i wiekuistą zgubą prawicy nie jest kompletny brak poczucia humoru?

Wyszło na to, że tak. Trafił się przeciwnikom Urbana zdolny, gotowy na wszystko Anty-Urban z poczuciem humoru, i nie docenili go, i nie obronili go, choć był ich ostatnią szansą. Wzięła się za niego SITWA przeciwników i wykończyła. Wywaliła z telewizji, wykopała z mediów. U szczytu popularności, kiedy oglądały go masy, kiedy objeżdżał kraj z wieczorami autorskimi, kiedy wydał książkę: a bo co? Urbana też wykopywano u szczytu popularności; zawsze się tak robi.

Nie będzie zamieszek w obronie dziennikarza, nie przesadzajmy. Czy ktokolwiek bronił Urbana po starciu z Jego Totalnością Doktorem Marcinkowskim? Czy ktokolwiek wiedział, co się właściwie stało? Był Urban, nie ma Urbana. Był WC *Kwadrans*, nie ma WC *Kwadransa*. Mało to nam zabierano! Mało to jeszcze nam zabiorą!

Kowboj W.C. (Wojciech Cejrowski, Wartości Chrześcijańskie) zwalczał *con brio* wszelkie wartości miłe liberalom.

Wychowanie seksualne w szkołach? Tak, pozwólcie bandzie psychopatów z siekierami wychowywać „seksualnie” swoje dzieci! Niech im dają instrukcję obsługi mężczyzny i kobiety – jak dwóch maszynek na guziczki! Niech już po wiek wieków nie będzie pierwszego

pocałunku – tylko pierwszy stosunek! Tak chcecie wykrzywić psychicznie swoje dzieci? Gratulacje, wolna droga. Ale zastanówcie się jeszcze!

I łup kubkiem w stół, i wywiad z liberałką.

– Jakby pani zorganizowała kurs na kradzieże kieszonkowe, wszyscy by kradli!

– Nie – mówi liberałka, ale już jej nie słuchamy: łup!!!

Nazywają zasady naszych dziadów i pradziadów zasadami Ciemnogrodu? A co nam to szkodzi? Bądźmy z tych zasad dumni! Precz z Jasnogrodem! Precz z Jasnogródkiem Wojującym!

Za pierwszego postkomunistycznego premiera wzywano do oddzielenia przeszłości grubą kreską i zaczęcie wszystkiego od nowa. Ach, jak zgrabnie ONI SOBIE wybaczyli! W naszym imieniu! Ale my nie musimy, w my nie musimy. Walczmy!

Zboczenia seksualne! Jakim prawem żąda się od uczciwych katolików tolerancji wobec zbrodni? Zbrodnia szerzą się, bo jest na to społeczne przyzwolenie! „Jak jest przyzwolenie, że wolno być pedalem...”

To nie zbrodnia, to moralnie obojętne, w to społeczeństwo nie powinno się wtrącać, odczepić się, dać spokój ludziom, którzy nikogo nie krzywdzą? Jak mówią urbanowcy? Nooo, ludzie, zastanówcie się: czy nie jest zbrodnią i obłądzeniem wypychanie tłoka w rurę wydechową?

Ludzie wyją ze śmiechu.

Dlatego wszelkie skłonności do zbrodni należy zwalczać już u dzieci! On sam zwalczałby je bezlitośnie u siebie – gdyby je miał. Tak trzeba!

Jeździ po Polsce i zawsze opowiada swój żarcik o tłoku i rurze wydechowej, a ludzie wyją ze śmiechu. Właśnie!

Spójrzcie na przyrodę! W przyrodzie opcji nie ma! Samiec i samica, samiec i samica – dla przedłużenia gatunku!

(Najwyraźniej nigdy nie był w ZOO, więc mówi to z nad wyraz przekonującym zapalem.)

– Ale, proszę pana, są małżeństwa bezdzietne...

– To nie zmienia zasady, którą rządzi się świat. To, że czasem są bezdzietne małżeństwa, nic nie zmienia.

Europa! Zjednoczona Europa! Jakieś tam europejskie zasady, tolerancje, standardy i inne głupoty... Jakieś Karty Praw Człowieka...

– Ja jestem Polakiem, i chcę być Polakiem-katolikiem, a nie rozemlać się gdzieś w jakiejś Europie! I oklaski.

A kobiety? Kobiety z tym swoim wyzwoleniem, z tymi swoimi prawami?

Wystarczy spojrzeć, jak one się ubierają! Jak kobieta włoży obcisłą kieckę i tyłkiem kręci, to każdy facet ma prawo wprost ją spytać, ile bierze, prawda? Kartkę z ceną jej na ten tyłek nalepić, tak być powinno!

Ktoś pyta WC, jak się to wszystko zgadza z WC. – Trzeba bić wrogów!

Ale w Wartościach Chrześcijańskich jest przecież „Miłujcie nieprzyjaciół swoich”... Bzdura.

Nie teraz. Nie w takiej walce.

-Wrogowi nie ulegać! Wroga bić!

Bić jasnogrodzian!

Oblężyć i zdobyć Jasnogródek Urbana i spółki! Żydokomuny, pedatów i lesbij, Europejczyków i bezbożników! Skończmy z defensywą, przejdźmy do ataku!

Nawet zabawny bywa WC. Choćby wtedy, gdy – jest rok 1996 – wzywa swych zwolenników do zjechania się na Złot Ciemnogrodzian.

„Będzie rzucanie jajami pod wiatr, kurs ksenofobii, palenie czarownic, oblężenie i zdobycie Jasnogrodu, wynoszenie Polski z Europy, poranny pacierz, utylizacja «Trybuny Ludu», wymiana grubej kreski na gruby sznur, grzebanie w życiorysach, drwiny z autorytetów moralnych, lepienie garnków, plwanie na komunę, rodzinna atmosfera, prawdziwa Polska, zaściankowa i religijna...”

Prawie Urban!

No, niezupełnie.

Ale może i najzdolniejszy z kandydatów na anty-anty-Antychrysta. Tym gorzej dla niego.

Urbanowe „NIE” podśmiewa się z WC bez specjalnego przejęcia. Michnikowa „Gazeta Wyborcza” żąda wielkim głosem zdjęcia WC Kwadransa. To program antysemitki, ksenofobiczny, podżegający do nienawiści, niebezpieczny!

Program zostaje zdjęty. Tylko „NIE” zaprotestuje.

Podobno WC Kwadrans ma iść w którymś kanale niezależnym, ale takie tam one niezależne! Koniec z panem WC. Wykończono go: w końcu nie tylko plugawego Urbana atakował, ale Orłów i Sokolów, władzę, potężną część władzy. Nawet Kościółowi dokładał, sądząc, że jako nabożny katolik ma do tego prawo: to mu się jakieś ustalenia soborowe nie podobały, to co innego. Więc zamknęło się usta panu WC, normalnie. I gdyby nie mydlono nam od lat oczu demokracją oraz wolnością słowa, me byłoby się czym przejmować.

Teraz będzie TAK bez poczucia humoru, jak to na prawicy. Radio Maryja i jego szef, nowy Anty-Urban, okropny sensat, Ojciec Rydzyk. Radio Maryja ma taką moc, że w samochodach nie można złapać innej stacji. Wielu się złości, ale nic na to nie poradzi. Ach, Ojciec Rydzyk! Płomienny, zacięty, pełen niegramatycznej furii! I taki – w porównaniu z panem W.C., z Pierwszym Kowbojem Rzeczypospolitej – nudny!

Więc ksiądz Popiełuszko oddał życie za Ojca Rydzyka?

Na to wychodzi, niestety.

Cóż Ojciec Rydzyk może powiedzieć po ośmioletniej antykościelnej krucjacie Urbana?

*Ksiądz jak chcą zniszczyć, to szukają, żeby zarzucić księdzu pieniądze, pijaństwo i kobiety. Ludzie wybaczą inne rzeczy, ale pieniędzy nie wybaczą. I nas też od tej strony rozpracowują w mediach. – (W „NIE” „rozpracowują”, nie „w mediach”, ale dość już frontalnej walki z Urbanem, to mu tylko przysparza popularności.) – Różne rzeczy nam zarzucają, ale w ten sposób można obrzydzić człowieka człowiekowi, tak się niszczy człowieka, zabija dla społeczeństwa. Apeluję do wszystkich, którzy dobrze czują, dobrze rozumieją, i my będziemy robili wszystko dalej dla Kościoła i dla ojczyzny.*

Znów, jak zwykle, nie ma prawica poczucia humoru.

Urban cytuje Ojca Rydzyka całymi garściami, bez komentarza: co tu jeszcze komentować?

Nie udał się numer z Anty-Urbanem.

Na Boże Narodzenie 1997 poproszono Urbana o udział w specjalnym wydaniu krakowskiego tygodnika „Przekrój”. Pozostawiano mianowicie w pary (pary różniące się programami, poglądami itp.) kilkanaście „wybitnych osobistości naszego życia publicznego”, aby złożyły sobie wzajemnie życzenia świąteczno-noworoczne. Toż to Święta! „Czas miłości, przebaczenia, pojednania”. Urbana zestawiono z Ojcem Rydzykiem: napiszcie do siebie coś miłego!

Urban napisał:

*Z okazji 1997 urodzin Pańskiego szefa życzę Wielebnemu Ojcu Dyrektorowi, żeby sobie odpuścił na Święta Boga i Ojczyznę, bo byty te trochę wytrzymają bez podpórki. Życzę Ojcu, żeby dobrał sobie dwie śmieszki: jedną białą a drugą czarnoskórą, gdyż najprzytulniej jest na sandwicza. I kopnął się na Hawaje, by rano uprawiać z nimi libertynizm, a wieczorem post-modernizm. Można też na odwrót. Załączam domowy przepis na patriotyczny koktajl świąteczny: wziąć ćwiartkę wódki, położyć na kaloryferze, żeby nabrała mocy, domieszać setę wódki, przyprawić pięćdziesiątką i szczęść Boże, żeby ominęło tchawicę.*

Skarcono Urbana i życzeń nie wydrukowano. Oczywiście.

## Dziadek ich nie lubi

Wielki rosyjski historyk, Dymitr Iwanowicz Iłowajski, nienawidził Żydów. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, częsta przypadłość. Wielki historyk, autor podręczników szkolnych, na których wychowało się kilka pokoleń (w Polsce też), wydawał na starość miesięcznik *Kreml*. Większą część malutkiego nakładu rozdawał krewnym i znajomym. Stać go było na to, nie musiał już szukać zarobku ani powodzenia. Wśród krewnych i znajomych była przyszywana wnuczka, późniejsza wielka poetka, Marina Cwietajewa. Opisała po latach wizyty u sławnego dziadka. Stawały maleństwa – wnuki rodzone i przyszywane – przed sławnym dziadkiem, i grzecznie odpowiadały na zawsze te same pytania.

– Czytaliście mój *Kreml*?

– Tak! – odpowiadały karnie maleństwa.

– A co ja tam piszę?

– O Żydach!

– A co o nich piszę?

– Dziadek ich nie lubi!

Dziadek uśmiechał się z zadowoleniem, głaskał maleństwa po główkach, i można już było iść się bawić.

Wypisz wymaluj Urban z czasów, kiedy nastąpiła wolność, znaleźliśmy się wszyscy – nareszcie! – We Własnym Domu, i kazano nam równie ochoczo, jak przedtem socjalizm, budować kapitalizm. Tyle że nasz, własny, narodowy, z krzyżem i orłem w koronie, i z medalikiem na szyi, i z kartką od spowiedzi dla działu kadr. A tym bardziej potem, kiedy lud w wolnych wyborach wybrał sobie na władzę postkomuchów, przemianowanych teraz na socjaldemokrację (no, po co było nas pałować?), i jeszcze później, kiedy lud skreślił świętego Lecha, swego legendarnego przywódcę, a prezydentem został Aleksander Kwaśniewski, post-komuch. W sumie u władzy znaleźli się, po krótkim zamieszaniu, ci, których Urban popierał. Krytykował ich, oczywiście, ale nie za mocno. Ani się obejrzał, a jedynym tematem do ataków, demaskowania i frontalnej krytyki został kler. Klechy. Czarni i fioletowi, czarni i purpurowi, i oczywiście Pan Papież (chyba nie powinien być niezadowolony ze swego przydomka, skoro sam Bóg – przynajmniej w języku polskim – go sobie chwali?).

– Czytaliście moje „NIE”?

– Tak!

– A co ja tam piszę?

– O czarnych!

– A co ja o nich piszę?

– Dziadek ich nie lubi.

I tyle.

Oczywiście, że nie lubił! Jak cholera nie lubił, i nie bez powodu. Już w latach sześćdziesiątych zacierał pewnie ręce, pisząc (jako Kibic, jako pisarz) o aferach robionych przez rzymskich księży. Krąży taki we wsiach, wśród ludzi prostych, wyciąga od ludzi prostych pieniądze – a potem świadkowie oskarżenia tłumaczą przed sądem, że facet „wzbudzał zaufanie”.

– Czy teraz też wygląda na osobę godną zaufania? – dociekliwie pytał prokurator. Świadkowie spoglądali na ponurego typa siedzącego obok milicjanta na ławie oskarżonych i przeczyli. „Teraz nie, bo nie nosi sutanny”

I tak miał Urban dużo szczęścia. Za komuny nie wolno było o czarnych (nie, nie o Murzynów chodzi: tak nazywano księży w bezpiece, a potem słowo poszło w lud – albo odwrotnie) ani pisać: komuchy miały z nimi dobry układ. Za stanu wojennego też nie wolno było

pisnąć przeciw czarnym nawet piskiem rozduzionej myszy, bo wszyscy buntownicy chowali się pod sutanną, a sutanny zachowywały zdrowy rozsądek i wiedziały dobrze, z której strony chleb jest masłem posmarowany. Tłumy buntowników zbierały się w kościołach i na cmentarzach (co chwila ktoś choć trochę opozycyjny odchodził z tego świata, więc można było choć nad otwartym grobem pokrzyknąć, pośpiewać i porozczapierać palce), dorosłe, czasem bardzo dorosłe dzieci komuchów i ateistów dawały się ochrzcić, ale i kler, i władza, obie potęgi dobrze wiedziały, z której strony chleb jest posmarowany – yle że równowaga była bardziej chwiejna. Trzeba było lawirować. To chapnąć, to uskoczyć. Prosta, zabawna gra.

A potem nastąpiła wolność. Dla Urbana też. Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Mógł wreszcie splunąć czarnym w twarz. I co? I nic. Miał szczęście, świetnie trafił: tłumy miały ochotę na to samo. Albo przynajmniej miło im było popatrzyć.

Urban założył NIE, a ja podpieram ścianę w kolejce na komisję lekarską: wypadek miałam. Ze trzydzieści osób podpira ścianę: ustrój ustrojem, ale krzesel dla połamańców jak nie było, tak nie ma. Niektórzy podparli się kulami, bardziej gięty przysiedli na podłodze, pośredni stoją. Mąż kobiety, którą właśnie przesłuchują medycy i Czynniki Społeczny, szaleje z niepokoju. Bo żona taka nieśmiała, taka nerwowa, taka naiwna. Da im się zakrzyknąć i odszkodowania nie dostanie. Jak zaczną na nią wrzeszczeć, że nie taka znów chora, że siostra pani doktor w wózku inwalidzkim lata do Brukseli, a renty nie bierze (kiwamy głowami: tak, pani doktor zawsze na przesłuchaniach gada o swojej dzielnej, bogatej siostrze) – jak jej tak rykną, rozplacze się i tyle. Szkoda, że on, mąż, nie może za nią zeznawać.

– Bo ja, wicie państwo, ja to się nikogo nie boję. Mnie nikt nie zakrzyknie. W urzędzie czy w kościele, nie zakrzykną mnie! Prawdę i tak powiem!

„W urzędzie czy W KOŚCIELE”... – Jezus Maria! Jeszcze dwa lata temu – nie do pomyślenia! A ludzie kiwają z podziwem głowami i pytają, czy naprawdę nawet klechów się nie boi. Nie każdy jest taki odważny, wie pan, chociaż wszystkich szlag trafia. A pan mówi swoje? „– A jak?!!!” – odpowiada bohater, przeżąc pierś, i wszyscy się zachwycamy. Tak, to jest mężczyzna! Ma szczęście jego żona! Nawet jeśli ją tu dziś sprzedajne łapiduchy skatują, to się odwoła i odszkodowanie załatwi dla biednej kaleki. Toż nawet czarnych się nie boi, pełnym głosem to *urbi et orbi* powiedział. Żeby tak mieć jego odwagę!

Wracając z komisji, widzę na murze wielki napis: PROBOSZCZE DO GAZU! (Wśród innych, starszych: KSIĘŻA NA KSIĘŻYC! albo POLSKA DLA POLAKÓW, ZIEMIA DLA ZIEMNIAKÓW! – to już wszyscy znamy. Ale żeby aż tak?) *Proboszcze do gazu*, mój Boże! Każdy może nabazgrać na murze, co mu się podoba. Między nami mówiąc, napis jest obrzydliwy. Ale nie wygląda na bardzo świeży. Jezu Chryste, jeszcze dwa lata temu pobożne starowinki z okolicy przyleciałyby z mokrymi ścierkami, żeby to świństwo zmyć, a weterani podziemia przynieśliby swój czarny spray, żeby je zamazać. Toż to proletariacka, pobożna dzielnica, nie jakieś tam Śródmieście czy Żoliborz, gdzie – wiadomo – same Żydy i masony. Nikt nie zmył, nikt się nie oburza, wszyscy przechodzą obojętnie! Tak, dokonała się rewolucja. Wielka rewolucja. O Jezusiczku, sługi twoje do gazu albo na księżyc wysyłają, i nikomu to nie przeszkadza, śmieją się nawet! Tak, wiele się zmieniło od czasów Solidarności!

Bo Solidarność dorwała się do władzy (na murach już piszą nie na czerwono, ale na czarno, i nie NSZZ Solidarność, tylko NSZZ Beznadziejność), i już się kończy. Ale się wygłupiła! I dalej to robi. Koleżcy Urbana ze stolców barowych – Żydzi i ateści, albo jedno z drugim – jeżdżą limuzynami na pielgrzymki, a telewizja pokazuje, że klękają na właściwym kolanie i umieją się przeżegnać. Koleżcy Urbana watę szklaną mają zamiast mózgow. Przypochlebiają się katolickiemu, wierzącemu społeczeństwu jak mogą. Przez całą wojnę polsko-jaruzelską spotykaliśmy się po kościołach i na cmentarzach, bo gdzie indziej by spałowali albo zamknęli. A księdza Popiełuszkę to kochaliśmy, naprawdę. Tyle że wikary dla nas, nie my dla wikarego, a to się im w głowach nie mieści. Jak nam proboszcz podskoczy, to drzwi do kościoła gwoździami zabijemy, delegację do kurii wyślemy, i wyrzucimy proboszcza. Jakby nam sam



Bóg powiedział, że mu się nie podobamy, to... no, to byśmy zobaczyli! Nasz Bóg, nasz kościół, nasz kraj. I robimy, co się nam podoba.

Tak sobie – mniej więcej – ludzie myślą.

W sumie jedynym uczciwym – na to wychodzi! – był ten cholerny Urban. Nie wierzył w Boga, to nie wierzył: zawsze to mówił i nikogo nie oszukał. Nie błagał na wiecach o publiczne współczucie, że nie otrzymał, biedaczek, Łaski Wiary. Kiedy ziemia mu się paliła pod nogami, nie polecał na mszę i nie zaczął rozczapierzać palców pod krzyżem. Nie klepał zdrowasiek przed kamerą telewizyjną, nie jeździł mercedesem na pielgrzymki jak Żydzi z opozycji. Zachował godność ten człowiek, a w dodatku wyczuł pismo nosem. Właśnie tak było trzeba, a nie tak, jak nasze orły i sokoły. Co ONI WSZYSCY o nas wiedzą?!

Kiedy sam prymas wyklnie odrażającą, antyklerykalną gazetkę Urbana, ten z radością umieści słowa prymasa na górze pierwszej strony, wielkimi literami, żeby nikt nie przeoczył. Pod czerwonym „Ostrzegamy!” napis od brzegu do brzegu:

**„...nabywanie i czytanie tego pisma  
nie tylko przynosi wstyd, ale jest grzechem...”**

***Józef kardynał Glemp prymas Polski***

Wiadomo, że to nikogo nie odstraszy, przeciwnie. Tylko nakład wzrośnie. Numer z takim *non imprimatur* w kraju tak katolickim aż kusi do grzechu. Wiele się zmieniło od pierwszej Solidarności.

Urban zmienił się może najmniej. Ale jeśli ktoś zawsze jest sobą, nie może przez całe życie pluć pod wiatr, bo wiatr się zmienia. Nie może zawsze płynąć pod prąd, bo prąd też się zmienia. Nie może zawsze być przeciwko nam: czasem jest z nami, albo my z nim, wszystko jedno. Nienawidził czarnych, kiedy ich kochaliśmy, i nadal ich nienawidzi, kiedy my też nienawidzimy. Łaska ludu na pstrym koniu jeździ. Urban wygrał.

## O tak!

Wydawca, naczelny redaktor i główny autor pisma „NIE” odpowiada na pytanie, czy jest szczęśliwy. Powinien odpowiedzieć „nie”, utrzymałby się w stylu. Mógłby odpowiedzieć „tak”, to byłoby nawet perwersyjne. Ale on odpowiedział ekstatycznie, egzaltowanie, niczym Ania z Zielonego Wzgórza: „O tak!”

Tylko jedna osoba w tomie – chodzi o książkę Hanny Bakuły *Sposób użycia*, odpowiedzi kilkudziesięciu polskich słów wszelkiego rodzaju w tym samym kwestionariuszu – zdobyła się na podobny słowny orgazm. „Tak! Tak!” – napisała ruda dziennikarka telewizyjna, Katarzyna Dowbor. Inni mówili normalnie: „nie” albo „tak”, albo „czasem”, albo „bywam”, albo „akurat mam depresję, więc pytanie nie na miejscu” (Monika, córka Jaruzelskiego). Jedyne Urban i zdrowa, wysportowana, dobrze zarabiająca ruda z końskim ogonem nie mieli wątpliwości: – O, tak! Tak, tak!

I niechże innych skręci z zazdrości.

Gwoli sprawiedliwości: nie było to jedyne pytanie, na które w odpowiedzi zawołał „O tak!” Pieniądze też wywoływały w nim dziki entuzjazm. Czy lubi je zarabiać? „O tak”. Czy lubi je wydawać? „O tak”. Ankietowy autoportret człowieka sukcesu. Znienawidzonego człowieka sukcesu. Wie, że każdym – prawie każdym – słowem kogoś tam, nieznanego i anonimowego wroga zdenerwuje, i bardzo go to cieszy, i chętnie się o to postara.

Pod aroganckim zdjęciem z fajką w zębach – słowny autoportret.

Wykształcenie? – *Nie dotyczy.*

Żona? – *Gosia, dla znajomych Sexgosia.*

Rozmiar ubrania? – *Zawsze od dziecka noszę szyte na miarę, nie jestem chamem, który używa konfekcji.*

Rozmiar koszuli? – *Też szyte, szyja nr czterdzieści i cztery.*

Ulubione samochody? – *Najdroższe, marka obojętna, nie znam się.*

Ulubiony kolor? – *Czerwony.*

Optymalny metraż mieszkania? – *800 m kw.*

Ulubiony deser, napój, alkohol, hobby, ulubiony wypoczynek? – *Wódka, wódka, wódka, wódka, wódka.*

Jakie sporty uprawia? – *Poker.*

Jego miejsca erogenne? – *Chuj.*

Czego nie lubi w seksie? – *Mężczyzn.*

A seks oralny? Tak, nie? Czynny, bierny? – *I bierny, i czynny. Bierny zamyka maskę partnerce, a czynny mnie nie pozwala jeść.*

Z przekonanych politycznych jesteś... – *Kapitalistyczna postkomuna.*

Największa wada? – *Wyniosłość.*

Największa zaleta? – *Umiejętność zarabiania.*

Czy jesteś szczęśliwy? – *O TAK.*

Och, nie na wszystko można dać wystarczająco arogancką odpowiedź; to znaczy można, ale nie warto. Dowie się więc złaknięty informacji o Urbanie czytelnik, że lubi nasz prowokator forszmaczek (siekanego śledzia), zupę czosnkową i baraninę; i muzykę barokową, i Brittena, i obrazy Boscha, i papierosy (40 dziennie mniej więcej) – a nie lubi przeglądać się w lustrze, tańczyć, śpiewać ani poznawać nowych ludzi. I że – jedyny wśród pytanych – woli listy pisać niż dostawać. Niesłychane.

A przede wszystkim – tak, tak, jest szczęśliwy! Nie ma lepszej zemsty niż być szczęśliwym, jak to już dawno powiedział pewien mędrzec. Więc on się zemścił.

I to jak!

Tyle w wersji dla gawiedzi, błażej i pogodnej. Bo jest i wersja poważniejsza. Patetyczna. Tak, jest Urban szczęśliwy, i dzięki wam za to, wrogowie, wam wszystko zawdzięczam! Dzięki ci, Solidarności, dzięki, wodzusię narodu z Matką Boską w klapie, Lechu W.! Bez was umarłbym jako niespełniony idiota, bez was byłbym do śmierci tylko zdolnym dziennikarzem! Na szczęście lud się zbuntował, Lechu skoczył przez płot, i dzięki temu Urban został dolarowym milionerem. Za komuny rozdeptywano go jak robaka przy byle okazji, wystarczyło widzimisię pierwszego lepszego urzędnika, żeby go skazać na dożywotnie bezrobocie (był dość silny i uparty, żeby przeżyć i po kilku latach znów wypływać na powierzchnię, ale to jego sprawa), nie miał szans, żeby wzbic się w pracowniczej hierarchii ponad posadkę kierownika działu krajowego (bezpartyjny żyd?!), i nic, i nie krzywduje siebie. Popierał komunę – on, dziecko bogatych burżujów – ze wszystkich swoich sił. Od piętnastego roku życia szedł przez świat z czerwonym sztandarem to w rękę, to w duszę. (Mnie jest gorzej, ale innym lepiej, nastąpiła sprawiedliwość!) Mimo to był w świecie realnego socjalizmu **człowiekiem trzeciej kategorii**, i godził się z tym, i uznawał historyczną słuszość tej swojej podrzędności, i dopiero Solidarność go od tego wyzwoliła, i triumf *zatechłych wartości*, i wszystko, czego nienawidził, z czym walczył. Trudno, przegrał.

Dzięki, wrogowie. Nareszcie jest szczęśliwy. (O TAK!)

Jeszcze na przełomie 1980/1981 KC nie zatwierdziło go – niezłomnego obrońcy partii, niezłomnego wroga kontrrewolucji – na marnej posadce „jednego z ośmiu zastępców szefa dziennika telewizyjnego”. Ale już się wyzwalał ze swego trzeciorzędności statusu. Dzięki walce z kontrrewolucją został ministrem. Dzięki zwycięstwu kontrrewolucji w 1989 został milionerem i człowiekiem szczęśliwym. (O TAK!)

Fakt: system, któremu Urban służył, zdegenerował się i upadł. Urban na tym zyskał; popularny i ogłupiony ogół stracił. *Piszę te słowa w chwili, kiedy jedna doba w dawnym domu wczasowym dla 4-osobowej rodziny kosztuje więcej niż średni zarobek miesięczny. Ludzie pracy najemnej nie będą już wyjeżdżać na urlopy. Stopniowo kształcenie dzieci stanie się dla nich za kosztowne. (...) Ludzie aprobują to, ich wola. Dzięki Wałęsie czuję się więc zwolniony z poczucia, że powinienem troszczyć się o prawa socjalne większości, tego poczucia, które było motywem zawiązywania sobie czerwonego krawatu w 1948 r.*

To w 1990, w *Alfabecie Urbana*. Bardzo był rozgoryczony i trochę przesadzał. Przesada nieco mu przeszła, złość pozostała.

W końcu to prawda, że **jego**, Urbana, klęska była zwycięstwem, a zwycięstwo wrogów było ich klęską. Jemu w świecie wywalczonym przez wrogów jest o wiele wygodniej niż w tym, który próbował budować. *Elitom już jest lepiej i będzie jeszcze lepiej. Mnie osobiście łatwo do nich przystać, należeć i korzystać. Mogę wreszcie mieć pieniądze i nie muszę się tego wstydzic. Mogę jeździć do hoteli, dla innych niedostępnych, i już nie uważać tego za moralnie dwuznaczne. Mogę wysłać pasierbicę do Anglii na wakacje i nic nikomu do tego, przestało to być niestosownością. Może ona chodzić i chodzi do ekskluzywnej prywatnej szkoły i nie muszę się wstydzic posyłać ją w takie miejsce. Kiedyś, gdyby nawet taka szkoła była, musiałbym się wstydzic, bo miałem zobowiązania społeczne. Wałęsa mnie z nich zwolnił.*

No, nie przesadzajmy. Wałęsa jest tylko symbolem. Takim sobie symbolem: Bozia w klapie, cwaniactwo, pieniądz, rodzina, obyczajowe kołtuństwo, w ogóle stęchlizna... *Byłbym upokorzony, gdyby symbol ruchu, którego nie cierpię, miał większy wymiar.*

I właściwie dobrze się stało. Teraz – nareszcie – pieniądze, wpływy i wolność. I forszmak, i baranina, i wódka, i Bosch, i barok, i seks, i wszystko, co się człowiekowi podoba. Jeżeli to nie jest szczęściem, to co niby nim jest?

Więc jest Urban po swojej klęsce szczęśliwy. Naprawdę szczęśliwy. – O TAK!

## NIE

Najpierw zobaczyło się to słowo na okładce jakiegoś pisemka, tuż po Upadku Komuniizmu. „URBAN: NIE!”. To było ostatnie słowo wywiadu z niegdysiejszym modnym dziennikarzem, niegdysiejszym rzecznikiem rządu i hieną reżimu, teraz człowiekiem na rozdrożu: NIE!

Ach, odpowiadał po prostu na pytanie, czy spodziewa się odgrywać jeszcze, w nowym systemie, jakąś rolę polityczną. „NIE” – warknął gorzko i trzeźwo, dając wywiadowi świetną pointę, godną wybicia na okładce: przeczytajcie to! Stara kanalia przyznaje się, że przegrała, rozumie to, cierpi: przeczytajcie to, będzie wam miło.

Może właśnie wtedy, kiedy spojrzął na okładkę, zdał sobie sprawę z tego, co powiedział, i jak dobrze to zabrzmiało. Bomba! Urban: NIE. Urban:

Nie. Dobry symbol, dobry tytuł. „Poproszę NIE”. – „Czy jest jeszcze NIE?” Krótkie to, dziwne, trudne do wymówienia, ale brzmi świetnie. Można by tak nazwać gazetę. Nie, gazeta to za dużo, tygodnik. Nieduży tygodnik. Kilka stron. Trochę gazeciarski tygodnik, nazwałoby się go „dziennik cotygodniowy”, będzie śmiesznie. W stylu popołudniówki, kolorowy, krzykliwy, ordynarny, straszny, wesoły i sensowny. A do tego własny. Po raz pierwszy coś własnego, po raz pierwszy pełna władza! Przy odrobinie szczęścia ludzie będą to czytali; jak cholera będą czytali!

No, a potem jak w bajce: 4 października 1990 roku wychodzi pierwszy numer gazetki tygodniowej „NIE”, cienkiej, śliskiej i kolorowej. Kto zna Urbana (wszyscy go znają i prawie wszyscy nienawidzą), ten jest co najmniej ciekaw, cóż to kanalia wysmażyła. A wysmażyła coś takiego:

*Wszczynamy nasze polityczne NIE. Będziemy szydzić z rzeczy poważnych i weselić się ze smutnych. Świętości nie szargane umierają z nudów. Pospieszmy je ratować.*

*NIE ma być niedobre. W kraju, gdzie cokolwiek się robi – robi się źle, przyrządzanie dobrego czasopisma byłoby narodowym odszczepieństwem. Rozdyma nas patriotyzm i partactwem wyrażamy plemienną solidarność.*

*Polacy chodzą obrażeni na wszystkich i na wszystko. Damy dużo nowych, dobrych powodów do obrazu. Ludzie to kupią.*

Kupili.

Czytelnicy kupili, elita wpadła w szal. Urban, znienawidzony jeszcze przed chwilą Urban, wydaje pismo szmaciarsko-lewicowe, lewicowo-szmaciarskie, i mowy nie ma, żeby ktoś dał się namówić do bojkotu. Tego ludzie potrzebowali. Opozycji wulgarnej i finezyjnej jednocześnie, dostępnej i dla dumia, i dla intelektualisty. Pisemka ujawniającego skandale i afery, kpiącego z wypełniającego nową Polskę w koszmarnym stężeniu odoru *sanctitatis*, okraszającym politykę (taką prosto z mostu, bez hochpublicystyki i niedomówień) seksem i wszystkim, czego lud łaknie. Chleb lud dostał, choć w umiarkowanych ilościach i drogo; Urban dał mu igrzyska. Niczym Neron po spaleniu Rzymu.

Do tego ten język, ten język!

Wielu rażący, w wielu budzący autentyczną niechęć, ale jednak.

Styl Urbana nazwie Lawrence Weschler w *New Yorkerze* z grudnia 1995 (w samym *New Yorkerze* poświęcą Urbanowi wielki artykuł!) „rynsztokiem *con brio*”, i trudno lepiej. Pisał tak od lat, zawsze ograniczany cenzurą, choćby redakcyjną, pisał „językiem ulicy” przefiltrowanym przez inteligencję faceta, który widział siebie jako temat dla Harolda Pintera (nie przesadzajmy z Szekspirem!), a teraz, we własnym NIE, mógł sobie wreszcie pozwolić na wszystko. Rynsztok *con brio*! Tak to będzie pisane, bo tak mu się podoba, a bo co? O kurwa, za chuja nie zrezygnuje!

I klechom można dołożyć.

A klechy z poplecznikami nie zachowają wzgardliwego milczenia, na szczęście.

Już po drugim numerze „NIE” zostaje Urban pozwany do sądu. Za rozpowszechnianie pornografii. Z żądaniem zakazu wykonywania zawodu dziennikarza czy redaktora: sprytnie, prawda? Urbanowa efemeryda zaraz zniknie i będzie spokój.

No, bo jest tak: natychmiast po nastaniu WOLNOŚCI próbuje się tę wolność hołocie odebrać w imię Wartości Chrześcijańskich (zaraz przez Urbana paskudnie nazwanych WC). Fakt, w Sejmie żąda się dwóch lat więzienia za przerwanie ciąży, i są duże szanse, żeby to uzyskać, a sam zakaz aborcji zwycięskie orły i sokoły opozycji mają już jak w banku. Mało kto ośmiela się w prasie wielką akcją pogromców komuny krytykować, a jeśli już – to grzecznie i nie wadząc nikomu. I gdyby tydzień wcześniej nie pojawił się znowu na arenie powszechnie znienawidzony Urban...

Ale pojawił się. I już w drugim numerze swojego szmatławca zamieścił pornograficzne zdjęcie z *Penthouse*'a z nadrukiem „Dziewczyna NIE”, z podpisem *Dziewczyna „NIE”, cena: 18 lat alimentów albo 2 lata więzienia*. No, to już sprawa dla prokuratury!

O rozpowszechnianie pornografii, oczywiście (choć *Penthouse*y i temu podobne można teraz – w końcu wolność nastąpiła! – kupić w byle kiosku) Z żądaniem skazania winnego na zakaz wykonywania zawodu. Nie jak za komuny, tajnie i po cichutku, ale jawnie i w majestacie prawa. „NIE” zniknie z powierzchni ziemi i będzie spokój.

Tu staje się coś dziwnego, choć do przewidzenia: prasa staje jak jeden mąż za znienawidzonym Urbanem. Nigdy więcej kneblowania ust! Dziś on, jutro my! Wolność jest niepodzielna! I ta próba karania pisma za jego linię polityczną pod byle bzdurnym, apolitycznym pretekstem! Dość tego! Jeden pismak po drugim oznajmia, że uważa Urbana za kanalię, ale będzie walczyć o jego niewinnienie. Czytelnicy (których liczba natychmiast się podwoiła, „NIE” ma już 600 000 nakładu) przysyłają naczelnemu pieniądze na koszt procesu. Nawet wzruszył się stary cynik.

Zostanie uniewinniony.

Odtąd „NIE” istnieje. Naprawdę i trwale istnieje. Znienawidzone przez prawicę, znienawidzone przez Kościół, nie przesadnie wielbione przez nową lewicę, ale czytane. Urban wreszcie – po tylu latach wyrobnicstwa na cudzych poletkach – jest na swoim. Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem. No, prawie.

Szef zaprzeczy zachwytom nad „jedynym pismem niezależnym”: pełna niezależność to mit, to nierealne. „Jesteśmy po prostu stosunkowo mało zależni na tle silnie pouzależnianej prasy”. Od kogo „NIE” jest zależne, choć „stosunkowo mało”? Niech się czytelnicy zastanowią, to prostsze od rozwiązywania krzyżówek.

„Stosunkowo mało zależne” „NIE” jest wyklinane z ambon, w małych miasteczkach ze strachu nie kolportowane, nie zapraszane na konferencje prasowe (toż to nie prasa, to szambo!), miewa też dalsze procesy, ale dość niemrawe.

Choćby ten.

Wolność wolnością, ale nic nie usprawiedliwia zamieszczenia na pierwszej stronie tygodnika, który mogą zobaczyć dzieci, rysunku rozkraczonej baby w pasie cnoty, z mapą Polski zamiast głowy! Pozew *w sprawie publicznego wyszydzania, poniżania Rzeczypospolitej Polskiej poprzez opublikowanie w tygodniku „NIE” rysunku przedstawiającego karykaturę kobiety...* wniesie katolicki senator; sprawę się umorzy.

I tak dalej. Pismo prosperuje, a Urban z groźnego żandarma zacznie się zmieniać w obrońcę uciśnionych. Wielka polityka nie jest dla ludzi wstrząsająco ważna, ale wynikające z niej konkrety – bardzo. To, że zakazą skrobanek czy środków antykoncepcyjnych, alkoholu albo papierosów („...papierosy miewa się częściej niż poglądy”, zauważy Urban w którymś ze swoich wstępniaków), albo znów w imię wyższej moralności podniosą ceny – to tak, to jest

ważne. Ciekawa rzecz: ważne dla milionów, ale nie dla prasy, nie dla radia, nie dla telewizji. Bodaj tylko dla Urbana – palacza, pijaka, rozwodnika, sponsora kilku skrobanek. Swój człowiek z Urbana, nasz człowiek. Człowiek i tyle.

Wierzy mu się, ufa mu się. Tak, właśnie jemu, piorunochronowi stanu wojennego! Kiedy po kilku latach jego trzecia ślubna założy własne pismo, napisze do redakcji dziewczynka „molestowana seksualnie” przez ojca, że koleżanka ją namówiła do szukania właśnie tam pomocy, bo to pismo robi ŻONA URBANA. A skoro tak, może jej jakoś pomogą.

Bo komu poza Urbanem można jeszcze zaufać? Każdego nastraszą, każdego przekupią, jak mówiła Anastazja P. Ale chyba nie Urbana. Nie Urbana. Na Urbanie jeszcze nikt się dotąd nie zawiódł!

Urbanowi się ufa. Jemu jednemu na tym szmatławym świecie. Jeszcze niedawno – nie do pomyślenia!

Kiedyś skazany na wieloletnie bezrobocie – właśnie wtedy, gdy w plebiscycie czytelników „Polityki” okazał się najpopularniejszym autorem – za *Jego Totalność Doktora Marcinkowskiego*, teraz może sobie Urban używać do woli na innych totalnościach. Od prawicowego oszołoma po papieża. Nie musi rozdzielać samego siebie na wesołka i szydercę (ten tekst tylko do pisma satyrycznego, tam może przejdzie) oraz na państwotwórczego ponuraka (a teraz zawieszamy talent na haku i udajemy się na zebranie). Na ośmiu stronach „NIE” jest dość miejsca na wszystko.

Pierwsze z brzegu tytuły z „NIE”:

*Z drogi, kurwy, papież jedzie*  
*Łono po kardynalsku*  
*Farsz boży*  
*Dupa nie dowód*  
*Czerwona świnia szczeka*  
*Chujowy montaż*  
*Chujowy wyrok*  
*Zygota z Krzyżem Walecznych*  
*Burdel prezydencki*  
*Temida z syfkiem*  
*Wsadzić, żeby wyjąć*  
*Rabin z kurii*  
*Nie bzykać róż*  
*0+0+0*  
*Cmoknij mnie w pompę*  
*Zanik członka*  
*Ukrzyżować co się da*  
*Mniam mniam, gul gul*  
*Niewyskrobanka*  
*Tup tup i trup*  
*Cztery oralne*  
*Listy spod macicy*  
*Żydowskie figle*  
*Jedna pała – jeden lud*  
*Jak ja tych kurwów nienawidzę*  
*10 baniek za sumienie*  
*Afrodyzjak watykański*

*Bij sekciare  
UOP kręci giełdą  
Męskie dupy  
Zanim cysorz się wyrzyga  
Zupa z lechtaczki  
Rznij Najjaśniejszą  
Lenin na rykowisku  
Kapitalizm na flet i harmonię  
Itl., itp.*

Człowiek się cieszy, jak to czyta, a kto się nie cieszy, ten chyba nie czyta, bo po co? Tak by się wydawało. Na czymże innym polega wolność prasy?

Akurat, wolność prasy! Ktoś tu cholernie dał się nabrać! Nie ma jej i nie będzie. Nigdzie jej nie ma: czemu miałyby pojawić się tutaj?

Ach, uchwalono nową konstytucję! Świetną! Cudowną! Ideálną! Urban osobiście o niej napisze w swoim „NIE”. Cóż to za konstytucja, ludzie; pojęcia nie macie!

### ŚPIEWA, TAŃCZY, RECYTUJE, DAJE DUPY I STEPUJE

No, genialna po prostu, genialna ta polska katolowska konstytucja, uchwalona w 1997 pod kloszem sutanny! Nawet łaskawa; nawet istnienie takich jak Urban uwzględnia, nawet takim jak Urban daje – podobno – jakieś prawa. No, doprawdy – *śpiewa, tańczy, recytuje, daje dupy i stepuje*: genialna konstytucja! Aż człowiekowi staje, jak ją poczyta, taka świetna!

Na samym początku chwali konstytucja Boga. Ach, jak go chwali! Bowiem jest Bozia źródłem 1) prawdy, 2) sprawiedliwości, 3) dobra, 4) piękna. Jakże to Bozi pochlebi! Cholerne pochlebi!

A w dodatku taka z tej konstytucji dobra kurewka, że i o bezbożnikach nie zapomniała. Ich też wybrandzluje. Bo nie jest ona tylko konstytucją wierzących, nie, skądże: także tych, którzy czerpią te same wartości (1/2/3/4/) z innych niż Bóg źródeł. A Urban? (A ja?) A wszyscy ci ludzie, dla których nie ma prawdy, sprawiedliwości, dobra ani piękna? Cóż, ci nie są obywatelami, to chyba jasne?

Absolutnie jasne. Skoro już preambuła nas wykluczyła, nie ma co czytać dalej. Ale przeczytamy, bośmy ciekawi.

Nasz kraj (no, już nie nasz, bo masę ludzi wykluczono w preambule, choć niby mają dokumenty i obywatelstwo) – nasz kraj chroni „rodzinę, małżeństwo i macierzyństwo”. Ojcostwa nie chroni, i słusznie, bo chłopy to świnię. Choć z drugiej strony obiecuje także nie wtrącać się w ludzką prywatność, ale nie wymagajmy od byle kurewki logiki Arystotelesa. Nasz kraj, czyli nasze wspólne dobro, czyli abstrakcja, czyli Anioł Stróż, chroni nasze rodziny, małżeństwa i pracę (jak?!) – „czyli ple, ple, ple, gołe niczym dupa szympansa”.

Mnóstwo praw mają mieć obywatele Rzeczypospolitej (poza obywatelami wykluczonymi już w preambule), a prawa ich wynikają z Prawa Naturalnego, nadrzędnego wobec wszystkich praw państwowych, i dupa szympansa. A cóż to takiego, Prawo Naturalne? Kodeks kanoniczny, prawa fizyki i chemii, prawa przemiany materii? Och, to takie ple, ple, ple, to nic nie znaczy. Chodzi o to, że istnieje „przyrodzona i niezbywalna godność człowieka”, która jest źródłem jego „wolności i praw”. Dupa szympansa. A jeśli ktoś nie ma żadnej godności, jak Urban (albo ja), to już nie ma praw i wolny nie będzie, zamurować z miejsca, zamknąć i wyrzucić klucz? Jaki sąd ustali, czy w ogóle urodziliśmy się z jakąś godnością, a jeśli nawet – czyśmy jej nie sprzedali na targu? W dodatku artykuł 49 gwarantuje nam (poniekąd: zmieni to



ustawami dodatkowymi) ochronę informacji na nasz własny temat. Więc co z tą godnością? Jaki sąd będzie sprawdzał, czy ją mamy (nie mamy!) – a zatem: czy podlegamy konstytucji?

I jeżeli nie czerpiemy wartości nr 1, 2, 3, 4 ani z Boga, ani z żadnych innych źródeł, jeżeli poza tym nie mamy cienia godności, to co z nami zrobi konstytucja naszego kraju? Jesteśmy obywatelami czy nie? Podlegamy prawom, czy nie?

Bełkot i dupa szympansa, nie konstytucja.

Tekst przeszedł bez echa (kolejne wygłupy Urbana!), a przecież był cholernie ważny. Kler chciał wyjąć spod prawa wszystkich niewierzących (preambuła o Bogu), pan Mazowiecki ułożył śliczne złagodzenie (ludzi, wierzących w Boga pod inną nazwą – *prawda, sprawiedliwość, dobro, piękno* – też przygarniemy, biednych ciemniaków); w sumie zrobiono konstytucję dla mniejszości (kto wierzy w prawdę, sprawiedliwość, dobro i piękno?!!!) – a większość wykopano spod prawa. Skoro ta konstytucja nas nie bierze pod uwagę, nas, ludzi bez *przyrodzonej i niezbywalnej godności*, jak może nas brać pod obcas swoich praw i sankcji?

Jak tuż przed stanem wojennym, dostaje Urban mnóstwo listów. Równie głupich, jak wtedy, tyle że częściej czołobitnych. I częściej proszących o wsparcie: w końcu kapitalista jest potężniejszy niż komuch! Po każdym prasowym reportażu, pokazującym basen Urbana, samochody Urbana, ogród Urbana, napitki i żarcie Urbana, przychodzą listy: panie Urban, czemu pan, a nie ja? Panie Urban, oddaj mi pan to, co pan ma, bardziej na to zasługuję! Pan nie ma *przyrodzonej i niezbywalnej godności*, a ja tak: niech mi pan odda swój dom, samochody, miliony, niech je pan odda godniejszym!

Jeszcze gorzej niż za komuny. Ale – wtedy czy teraz – motłoch jest zawsze motłochem. Jaki śmieszny!

*Piszę ten list, ponieważ mam dla Pana propozycję. Otóż prowadzę działalność gospodarczą. Fantastyczna sprawa, dzięki której można się stać człowiekiem zupełnie niezależnym finansowo, mieć dużo wolnego czasu, mieć świadomość, że pomaga się komuś takiemu jak ja osiągnąć sukces finansowy. Szukam człowieka dynamicznego, ambitnego, uczciwego do współpracy. Wydaje mi się, że spełnia Pan te warunki i będzie się nadawał. (...) Kiedy nasza współpraca będzie się układać i nabierzemy do siebie zaufania, zdradzę Panu, na czym polegają moje interesy.*

\*

*Jest tragicznie i śmiesznie, że mam najmniej kilkaset pomysłów na zrobienie wielkiego majątku, a przy tym całkowicie brak mi pieniędzy. Stąd pomysł, żeby Pan je finansował, przy podziale zysku np. pół na pół. (...) Nie chcę od Pana żadnych pieniędzy. Pieniądze cały czas będą leżały u Pana, a Pan tylko będzie opłacał potrzebne wydatki, kierując się moimi zleceniami. Wszystko, co Pan by opłacał, może Pan zapisywać, żeby się Pan nie bał, że coś zapomni, a ja to wykorzystam w rozliczeniu.*

\*

*Najchętniej Pan Redaktor Naczelny wysłać by nas mógł za granicę. Żona mogłaby pracować jako opiekunka dzieci, a ja też nie boję się żadnej pracy, mogę nawet założyć tam własną firmę, gdybym tylko dostał tyle pieniędzy, ile na to potrzeba. Ewentualnie niech Pan założy, a ja będę w niej pracować.*

\*

*Kończyłem kurs spawacza i mam uprawnienia, ale nie wolno mi pracować w tym zawodzie (padaczka). Umiem jednak ładnie pisać i gotów jestem napisać wszystko, co mi Pan Redaktor każe.*

\*

*Proponuję dostarczanie do „NIE” tajnych dokumentów wywiadu na każdy potrzebny temat. Oczywiście będą to kserokopie.*

\*

*Witam pana panie Urban! Jestem stałym czytelnikiem i proponuję reklamę tygodnika „NIE” na skrzydle samolotu. Długo myślałem jakie pismo wybrać, wybór padł na „NIE” ze względu na dużą poczytność. Jest tylko jeden problem. Nie mam samolotu. Koszt wynosi...*

\*

*Mam kapitalny pomysł na doskonały interes, który przyniesie w ciągu jednego roku ok. 500 proc. od włożonego kapitału. (...) Oczywiście nigdy Panu nie zdradzę, na czym polega mój pomysł i jak chcę obracać naszymi pieniędzmi, gdyż pomysł ten stanowi mój jedyny kapitał.*

\*

*Założyłbym pismo „Tak”, które pisałoby to samo co „NIE”, tylko na odwrot. Dzięki temu każdy, czy ma takie, czy inne upodobania, kupowałby „NIE”, albo „Tak”, co najmniej podwajając Panu zarobki.*

\*

*...chodzi mi mianowicie o to, żeby Pan podarował mi szmal w kwocie jeden milion sto tysięcy nowych złotych. Mieszkam na wsi z rodzicami i mnie praca na roli po prostu wkurwia.*

\*

*...mógłbym codziennie rano przynosić ciekawe wiadomości... Umiem dobrze grać na harmonii, więc redaktorom byłoby weselej w pracy.*

\*

*Potrzebuję pieniędzy na perukę i flet poprzeczny.*

\*

*Hej! Młoda, ładna i wesoła dziewczyna przyda się w każdej redakcji.*

\*

*Jest nas cztery wesołe i niebrzydkie studentki. Chcemy na wakacje pojechać do Francji...*

I tak dalej. Banalne listy do bogaczy. Urban złości się i uogólnia (oto kapitalizm po polsku, świadomość nie nadaża za bazą, wiecznie spóźniona jak pociągi w Najjaśniejszej Pomrocznej), Urban dedykuje wybór listów, które dostaje, „w mordę plutym analitykom Międzynarodowego Funduszu Walutowego... w dupę kopanym badaczom z różnych komisji europejskich...”, Urban wcale nie jest ubawiony tą prymitywną zebranią tak, jak był ubawiony obelgami, spływającymi kiedyś na jego biurko, gdy był rzecznikiem czerwonego rządu. W gruncie rzeczy wcale to nie gorsze niż dawne anonimy do „gebelsów” i „czerwonych świi”.

Dla niego gorsze. Oto kapitalizm! Macie go, zachwycajcie się nim, w mordę pluci, w dupę kopani!

Nienawidzi i jest znienawidzony: pięknie, mamy równowagę.

A co jest w **tym** liście? Wierszyk? Świetnie. Wydrukować.

*Urban ty ciołku!  
wy jebane kmioty  
pierdolone cioty  
skurwiałe fagasy  
śmierdzące kutasy  
sowieckie pacholki  
warszawskie matolki  
gnidy pierdolone  
żydłaki zawszone  
pojebane chuje  
JA WAS ZAMORDUJE  
URBAN MAC'!!!*

Nawet z pewnym małym talencikiem napisane. Wydrukować.

Pismo ma szokować i gorszyć, bo inaczej będzie nudne. Więc szokuje i gorszy. Trudno szokować i gorszyć z równą siłą latami, ale wiernemu wyznawcy *Prima Aprilis* i to się udaje.

W 1995 np. „NIE” zaczyna drukować przewodnik po polskich burdelach. Pisze to wice-naczelnny, Piotr Gadzinowski, świetne pióro, choć Urban trochę się krzywi, że przewodnik miał być śmieszniejszy. Cykl nazywa się „Rozkosze napletka”, podpisany jest „Gerwazy Zaganiacz”, a ilustrowany ocenami jakości burdeli. Czy tam Agencji Towarzyskich, jak się to teraz obłudnie nazywa. Do oceny służy rysunek organu męskiego w erekcji, pomalowanego na czerwono i kwitnącego równie czerwonymi kwiatuśkami. Najgorszy burdel dostaje symbolicznie tylko jednego chuja, najlepszy – aż pięć.

W żadnym krajowym bajzlu nie widział autor takiej karty dań jak w szczecińskim Las Vegas. A oto opis:

*Smakoszom na przystawkę polecamy czarnulkę Stefanię: biust trójeczka, piczka miękka, wąska, tatuaż na dupce, warkoczyki i wdzięk pensjonarki. Albo Ofelię z Małopolski, również pensjonarskiej urody, delikatną, niczym krewetki na awocado, mistrzynię francuskich smaków. Jako danie główne niewątpliwie Olę. Przyrządzoną niczym goloneczka po bawarsku, cycato-dupiatą blondyneczkę. Konsumującą na ostro, krzyczącą raz po raz „Zgwałcę cię, karełku”. Ulubioną przez sąsiadów zza miedzy, ale i potrafiącą przyprawić po francusku. Albo*

*Ewę-Lenę przybyłą z Orszy, blondynkę o cudownie jędrnych piersiach, z techniką bajkonurską, stale zmieniającą pozycje. Potrafiącą usztynić nawet wymęczonego testowaniem flaka.*

*...Kiedy nasza gromada testatorów, zmęczona nocną robotą, opuszczała wesoły, roziskrzony Szczecin, wspólnie złożyliśmy ręce i zwróciliśmy je na Wschód.*

*Dziękujemy ci, Armio Czerwona! Za to, że po latach niewoli przywróciłaś naszej Rzeczypospolitej ten prastary polski gród. (...) Dzięki waszemu trudowi dziś możemy tu poruchać jak Jewropejcy.*

Oczywiście, to tylko *sex appeal* pisma „NIE”, jego szata godowa, jego barwne piórka. To, i mnóstwo innych wabików. Ważne jest wykrywanie afer polityczno-finansowych. Także wśród kleru, zwłaszcza wśród kleru. Ważne są szpile, co tydzień wbijane przez Urbana w twarde tyłki to prawicy, to lewicy, jeżeli lewica za bardzo się przed prawicą ukorzyła, jeżeli zdradziła swoich wyborców. AFERY „NIE” ukażą się nawet jako książka (oto, co odkryliśmy, zbadaliśmy, ujawniliśmy, mucha nie siada), i nie wywołają wielkiego entuzjazmu. Toż wszyscy wiemy, że władza – czerwona, biała, czarna, każda – kradnie, kłamie i w ogóle. Po co tyle wysiłku, żeby to opisać i udowodnić? Żeby uwiarygodnić pismo? Tak, to jest coś. TAMCI nie ośmielają się wytaczać procesów, a jak już się ktoś wygłupił, to przegrał. Ale czy po to was czytamy, urbanoidzi?

I co z was zostanie po stu latach? Przecież nie te przebrzmiałe, nieważne aferki małych, nieważnych ludzi, o których zaraz zapomnimy. I nie hochpublicystyka Urbana, który co jakiś czas wciąż wiesza talent na kołku, żeby iść na plenum (jak je zwał, tak je zwał). **Seksapil** zostanie. Humor, fajerwerki. *Ogni Moskwy*.

Właśnie: tak się nazywał najstynniejszy rosyjski cocktail. Ognie Moskwy, płomienie Moskwy, fajerwerki Moskwy. Spirytus pół na pół z szampanem. Lekkie to było, pienne, perliste, ale w mgnieniu oka zwała człowieka z nóg. Tym jest „NIE”; tym – mniej więcej.

Bazę ma poważną, posepną, spirytusową. Ale to, co czujemy w pierwszej chwili – to pianka, bąbelki, lekkość, szampan. Nareszcie coś wesołego, lekkiego, zjadliwego, kolorowego, istne *Prima Aprilis*, i nikt się nie spodziewa kaca.

Chociaż będzie go miał, chyba że głowę ma wyjątkową mocną.

## *Prima Aprilis*

Oto bąbelki i piana, wylewająca się z kieliszka, w cocktaju Ognie Moskwy: happeningi „NIE”, żarty „NIE”, wieczny, cotygodniowy *Prima Aprilis* „NIE”. Trudno było kiedyś wymarzyć sobie tyle okazji do świetnej zabawy: to już nie jest dolewanie czerwonego tuszu do spluwaczki gruźlika ani mówienie władcy przez telefon: „Umrzesz, umrzesz!” Teraz to imprezy na cały kraj, zabawa dla milionów. I nie tylko zabawa.

Sejm wciąż stara się przeforsować system strasznych kar za skrobanki. Zatem „NIE” ogłasza konkurs: wypłaci sporą sumkę każdej kobiecie, która ujawni swój romans z posłem lub senatorem, romans, w wyniku którego doszło do aborcji, najlepiej takiej, za którą on – parlamentarzysta – zapłacił. (Legendarny Larry Flynt, SKANDALISTA LARRY FLYNT, bohater filmu Formana i wydawca „Hustlera” wpadnie na podobny pomysł – ściągnie pomysł Urbana? – dopiero w kilka lat później, podczas Afery Clintona.). Ponoć nazajutrz deputowani przychodzą do roboty bladzi ze strachu i na drżących nogach, ale w sumie pomysł nie wypalił. Nie na każdym kroku można znaleźć Anastazję P. Zgłaszają się kobiety do Urbana, ale bardziej boją się swoich byłych niż łakną nagrody i rozgłosu. Ponoć któraś już była zdecydowana, ale nabożny parlamentarzysta dał jej więcej za milczenie, niż Urban dałby za gadanie, a i zastraszył przy tym.

Zresztą każda widzi, jaki los spotkał Anastazję P. Nie warto iść w jej ślady.

Cóż, dziewięć pomysłów na dziesięć może nie wypalić, liczy się ten dziesiąty. A Urban pomysłów ma pod dostatkiem.

Gdy prezydentem będzie Wałęsa, wprowadzi się w „NIE” rubrykę „Pan prezydent powiedział”. Nic, do czego można by się przyczepić: po prostu dokładne, dosłowne cytaty z najnowszych wypowiedzi międzynarodowego symbolu walki o wolność i demokrację, a teraz tyjącego, tarzającego się w luksusie i poczuciu wszechwładzy prezydenta. Cytaty są dokładne, z yyyy i eeee, z niegramatycznością, mętniactwem, chaosem: pojąć nie można, o co człowiekowi chodzi. Wałęsa zawsze tak mówił, ale jeśli się go słuchało, samo rozłożenie akcentów, mimika, gesty, siła głosu pomagały zrozumieć. Bez tego, w druku, to zwykły bełkot. I Urban nadaje ten bełkot tydzień po tygodniu, latami. Bez komentarza, bo zbędny. Oto wasz idol!

Im bliżej do następnych wyborów, tym ostrzejszy jest Urban. Nic specjalnego. Nadal zamieszcza bełkot Wałęsy, tyle że podaje poza tym, ile mu jeszcze dni zostało do końca prezydentury. Dokładnie. Co tydzień o siedem dni mniej. Ale za to spędzi te ostatnie dni – jeszcze 1044, jeszcze 365, jeszcze 122, jeszcze 8 – w wannie za tyle a tyle, drapiąc się szczotką kąpielową za tyle a tyle, itd., itp. Bo kazał Wałęsa lepiej wyposażyć swoją służbową prezydencką łazienkę (służbową, nie własną, ale co z tego?). To przemawiało do wyobraźni. Powtarzane tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, wchodziło w podświadomość.

Aż w końcu Wałęsa przegrał sromotnie z postkomuchem, i zasłużył sobie na to, i nie było czego żałować. Fakt, że to Urban go obalił i wykończył; bez Urbana, bez jego „NIE” mógł śmiało przetrwać następną kadencję. Czyli bez wolności słowa, którą tylko Urban zapewniał. Inni przeciwnicy Wałęsy też mogli tak o nim pisać, tylko nie starczyło im odwagi. Albo talentu. Oszłomiła wyzwoliciele Polski spod czerwonej tyranii (tak pięknie mu kiedyś skandowano pod stoczniovym murem, po wywalczeniu wolnych związków zawodowych: „Dziękujemy! Dziękujemy!”), oszłomiła go władza. A nie znał innej niż ta czerwona, więc myślał, że też może sobie pozwolić na wszystko.

Nie płacił podatków? A który z czerwonych władców płacił podatki? Synowie rozjeżdżali ludzi po pijanemu i lżyli policję? A o synkach tych poprzednich nikt nie słyszał? Podobno jeden taki utopił panienkę i nic mu się nie stało! Nie zauważył Lechu, że czasy się zmieniły,

choć niby (nabrali go doradcy!), choć niby o takie właśnie czasy walczył. Że sprawa Anastazji P, choć niby nic z niej nie wynikało i nie jego dotyczyła, była pierwszym ostrzeżeniem. Że wolność prasy nastąpiła. I miał rację, wolność prasy nic by nie znaczyła, gdyby nie Urban. Czy wolna prasa amerykańska ośmieliła się pisać słówko o romansie wszechgwiazdy, Marilyn Monroe, z dwoma braćmi Kennedy, prezydentem i prokuratorem generalnym, a potem kandydatem na kolejnego prezydenta? Skądże! Czy przed upływem wielu lat mogły wyjść na jaw poszlaki, że to wielcy braciszkwowie *per procura* wszechgwiazdę zamordowali? Przenigdy! Dowody ginęły, zdjęcia ginęły, billingi telefoniczne ginęły, zbyt dociekliwym zamykało się gęby. Czemu tu nie miałyby być tak samo?

Pewnie byłoby tak samo, gdyby nie Urban. Nie „gdyby nie wolność prasy”: gdyby nie Urban. Inni odważni, jeżeli byli, nie mieli jego – a jakże, SEKSAPILU, ani środków, ani możliwości, ani inteligencji, ani nienawiści. Może przede wszystkim tego im brakło. Nienawiści.

Rozjeżdża kogoś kolejnego kolejny pijany Wałęsowicz (znów słówko Urbana), i przy okazji tak policję traktuje, że policję szlag trafia: zaparła się policja i nie daruje, będzie sprawa. Oczywiście, syn prezydenta wyjdzie ze sprawy nietknięty, to było do przewidzenia. Spił się, i był wściekły, i prowadził jak szalony, i lżył, i obrażał, bo kłopot miał okropny, każdy go chyba zrozumie: panienka mu w ciążę zaszła!

Może by go ten i ów zrozumiał, gdyby nie był Wałęsowicz pokazowym świętoszkiem i synem świętoszka, chwającego cnotę, małżeństwo, płodzenie aż do granic możliwości ludzkich, a także żądającego strasznych kar na tej ziemi (nie czekajmy na Boga!) za najmniejsze sprzeniewierzenie się nakazom prowincjonalnego proboszcza. A tu taka furia, bo Wszechmogący nowym życiem grzech nieczystości uświęcił i pobłogosławił? Co za gratka dla Urbana!

Jasne, że z sądu wyjdzie kolejny Wałęsowicz czysty i bielutki jak bracia. Tylko cholernie śmieszny mu papugi z duchołapami pretekst do tego wynajdą. Otóż cierpiał syn prezydenta na piekielnie rzadką przypadłość. Na *pomroczość jasną* cierpiał. Niby wszystko widział, wiedział i rozumiał, ale niezupełnie, bo mrok jakiś padł na jego promienny umysł: jest taka jednostka chorobowa, a jakże, tylko mało znana. Może syn prezydenta wyjść triumfalnie z sądu i ożenić się z nieostrożną panienką (inaczej się już nie da). I wszystko byłoby cudnie, gdyby nie było Urbana.

Ale on jest.

I będzie sobie kpil jak szalony z *pomroczości jasnej*. I wolną, chrześcijańską Polskę nazwie *Najjaśniejszą Pomroczną*. I będzie opisywał w swoim piśmidle los ofiar obfitej prezydenckiej progenitury – ludzi przejechanych, poturbowanych, okaleczonych. I nigdy nie omieszka przypomnieć, że właśnie teraz prezydent kąpie się w wannie za tyle a tyle milionów, szorując sobie plecy szczotką za tyle a tyle milionów...

A po tym wszystkim wszechświatowy idol sam dołoży sobie klepkę do trumny, odmawiając w telewizyjnym przedwyborczym pojedynku podania konkurentowi ręki („Ja panu nogę mogę podać, nie rękę!”), znieważając najdelikatniejszych nawet przeciwników swojościelnej kampanii antyaborcyjnej i antykoncepcyjnej wrzaskami, że gdyby takie swobody istniały w ich, przeciwników, czasach (istniały), to rurami kanalizacyjnymi by przeciwnicy spłynęli... Kogo Bóg chce skarać, temu rozum odbiera.

Wygląda na to, że teraz Bóg jest po stronie Urbana.

No, to olbrzymia, dziesięciolitrowa flacha szampana za zwycięstwo, a potem jeszcze mały happening.

Z muzeum figur woskowych w Kopenhadze postanowiono wyrzucić Wałęsę: już się nie liczy, kto by go chciał oglądać, już po nim! A można Wałęsę kupić? Owszem, za głupie trzy tysiące dolarów; po co Kopenhadze to truchło? Tanio jak barszcz: samo ubranie kosztowało z tysiąc. Urban kupuje.

I przylatuje samolotem z Kopenhagi z woskowym Wałęsą na sąsiednim siedzeniu (bilet mu wykupił!), a w Warszawie już czeka tłumek na trasie przejazdu Urbana z Bożyszczem odkrytym cadillackiem, a na placu Zamkowym jeszcze większy tłumek urządził wiec, i już się tam zwolennicy tłuką z przeciwnikami. A tymczasem Urbana z Bożyszczem zatrzymano na cle. Są wszystkie dokumenty, nie ma podstaw, żeby woskowej kukły nie przepuścić, ale znamy życie, prawda? Znamy.

Czas mija, ludzie się niecierpliwią, a celnicy szykanują. Może zwolnią chwilowo tylko głowę Wałęsy, żeby Urban miał z czym pojeździć po mieście, bo czas nagli? Nie zwolnią. Ostatecznie Urban jedzie sam, wytłumaczyć zebrany, co trzeba. Jedzie jak szef państwa, limuzyną otoczoną przez motocyklistów na harleyach. Na placu Zamkowym przemawia do tłumu, w którym wrogów tymczasem przybyło, zjawiała się Konfederacja Polski Niepodległej, wszyscy krzyczą, ale to Urban ma megafon, więc jest górą. Ktoś woła „Urban do piekła”, a Urban ripostuje wesolutko: „Już lecę!” Po chwili wszyscy biją się ze wszystkimi. Szkoda, że nie ma Wałęsy!

Będzie za kilka godzin, celnicy go wreszcie zwolnią. I objedzie Warszawę, stojąc w otwartym samochodzie obok uśmiechniętego Urbana, młody, szczupły, ciemnowłosy, ciemnowąsy, w jasnej kurteczce z wpiętym obrazkiem Matki Boskiej – taki, jakim go w 1980 poznano i pokochano, tyle że woskowy. Jedni się śmieją i klaszczą, inni krzyczą, wygrażają Urbanowi pięściami: jak on to lubi!

Podjeżdża Urban ze swoim wrogiem pod Sejm i pod Belweder, uroczyscie, a potem udaje się z nim do redakcji „NIE”, tego siedliska Szatana. Niech sobie odtąd stoi w hallu: doskonałe miejsce dla niego.

Któregoś dnia „NIE” ogłasza na pierwszej stronie, że zgodnie z duchem kapitalizmu zainwestowało zyski, a zainwestowało w kupno hymnu narodowego. Prawa do hymnu (*Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy*) kupił Urban za półtora miliona dolarów (tu szczegóły), i każdy, kto po tym wielkim dniu zechce hymn zagrać lub zaśpiewać, będzie musiał wpłacić na Urbanowe konto (oto jego numer) równowartość 75 centów. I na konto zaczęły wpływać pieniądze, naprawdę!

Nie do wiary? We wszystko można uwierzyć, i Urban wierzy – zawsze, ZAWSZE!

Pięciolecie „NIE” uczci Urban balem, który – na cześć komuny i PRL-u! – miał się odbyć w kufajkach i gumiakach, z kartkami żywnościowymi dołączanymi do biletu wstępu („Który odcinek wyciąć, na kaszanek, salceson czy papier toaletowy?”), z konkursem dla przodujących dojarek i z wielkim finałem: wywożeniem Urbana na taczkach. PIĘCIOLATKA „NIE” (ani się obejrżeli, a wykonali *piatiletku*, kto by się tego spodziewał?) odbyła się na terenie wyścigów konnych na Służewcu, gdzie rozstawiono stoły i namioty, przy wtórce starych piosenek. Kufajki i gumiaki w końcu nie okazały się konieczne, wystarczyło coś czerwonego w ubiorze. Dojarki wykonały striptiz, do którego Gośka chciała się przyłączyć (czerwone rajstopy już zdjęła), ale ją Urban powstrzymał, żeby nie odbierała chleba profesjonalistkom. A Urbana i topiono, i wywożono na taczkach, i w ogóle było świetnie od wieczora do świtu. Nawet Generał zaszedł na chwilę, w czarnych okularach i z ochroną. Umiał się Urban bawić, i umiał bawić innych.

To było najmiłsze w jego nowej sytuacji: *Prima Aprilis* przez cały rok! Bankiecik dla mafii (nie zgłaszajcie się, sami was znajdziemy), bale u Szatana w wielkim poście, wybory nowej żony dla aktualnego, rządzącego akurat prezydenta (jak ma być instytucja *first lady*, to wyborcy muszą mieć wpływ na to, kto nią zostanie), etc., etc., etc.

Kiedy prezydenta (socjaldemokratycznego, więc w sumie komuszego prezydenta) paru emigrantów obrzuciło w Paryżu jajkami, niszcząc *first lady* (tej normalnej, nie z wyboru czytelników „NIE”) żakiet i fryzurę, kiedy postczerwonego ministra oświaty obrzucili jajkami

studenci z Krakowa, Urban to przejął. Koniec z monopolem radykalnej prawicy na jajorzuty, niech inni też porzucają, a my wyliczymy, w kogo rzucają najchętniej.

*My – ludzie lewicy, zgodnie z naszym etosem sprawiedliwości społecznej, postanowiliśmy w Wieruszowie dać szansę każdemu. Sprawić, aby każde polityczne zwierzę w naszym kraju, a nie tylko sponsorowane przez księży antykomusze bojówki, miało szansę pierdolnąć jajem w łeb swego politycznego wroga.*

Ustawilo zatem „NIE” pod murem dziewięć dziewczyn w pelerynach, kaskach ochronnych i maskach podobnych nad wyraz do twarzy znanych polityków z lewicy, prawicy i centrum. Jajka sprzedawali ludzie „NIE” obok. Kupujcie i rzucajcie!

Tego właśnie wszystkim brakowało. Szaleństwo ogarnęło ludzi, zapach świeżego koglu -moglu przesycał powietrze, tłum szalał przy kontenerze z jajkami i kupował – jedni po pięć, inni od razu po mendlu, i rzucał w zniechęconych. Wielu waliło seryjnie, nie w jednego lub dwóch ulubieńców, ale hurtem, w całą „klasę polityczną” – *pa wsiem, pa wsiem!* Rozgrzany tłum wrzeszczy i rzuca. Za żywopłotem-jajochronem czają się emeryci, łapiąc nie rozbite jajka. *Na dobre dziś. Na smaczne, wiedeńskie jutro.*

Aż tu deszcz lunął z jasnego nieba. Aż tu bojówkarze z Radykalnej Akcji Antykomunistycznej kupili jajka, żeby obrzucać nimi organizatorów imprezy, dwóch niczym nie osłoniętych facetów z „NIE”. Jak się wszystko policzyło, okazało się, że konkurs wygrał wróg Urbana numer 1 po tym, jak Wałęsa w wosk się obrócił. Marian Solidarissimus Krzaklewski, katol i czarna reakcja: 153 celne rzuty jajem w twarz. Na drugim miejscu znalazł się zimny, odpychający spec od ekonomii, Balcerowicz (128). Na ostatnim – ekscentryczny konserwatywny liberał, przeciwnik zawyżonych podatków, zawsze wymuskany i w muszce Korwin Mikke. *262 jaja społeczeństwo nam zwyczajnie podpierdoliło.* Tak czy owak, całe zyski ze sprzedaży zostaną przekazane na konto wyborcze Jajowego Czempiona, niech ma.

A z prawicową, nacjonalistyczną, religianką „Gazetą Polską” zabawił się Urban tak oto. Niby nie było warto zajmować się mało czytaną, niskonakładową „Gazetą”, ale po to się żyje i jest się Urbanem, żeby mieć *Prima Aprilis* przez cały rok. Do tego się przynajmniej dąży.

Więc było tak. „Gazeta Polska” oczywiście nienawidziła „NIE” śmiertelnie i co chwila dawała temu wyraz. Tuż po wyborach – które Lechu Z Bożą W Klapie przegrał sromotnie, kto wie, czy nie z powodu wiekuiestej nienawiści Urbana do motłochu spod Trembowli i do wszystkiego, co go przypomina – tuż po wyborach ładniutka Elżbieta Isakiewicz z „Gazety Polskiej” wzywa swych czytelników do palenia kiosków sprzedających „NIE”. Świetnie!

Mojemu przyjacielowi, Jerzemu Nasierowskiemu, którego Urban nazwał Pierwszym Pedalem Rzeczypospolitej („Ale on mnie nie lubi, w ogóle nie lubi pedałów, choć tak ich broni” – *oh darling!*) – mojemu przyjacielowi zastępca Urbana składa propozycję. „Jeśli nie my sami, panie Jurku, to kto opluje „NIE”? „Gazeta Polska” ma same zwroty. Miałby pan przy okazji temat na komedię filmową...” (Temat istotnie będzie, scenariusz „Prowokacji” powstanie, ale nikt go – oczywiście – do realizacji nie weźmie, choć dobry.) Mój przyjaciel zastanawia się tylko chwilę, po czym oświadcza: „Robię te kioski”. Tylko gdzie, jak, za ile? Ustalają, gdzie, jak i za ile. „Wkrótce Urbanowi przyjdzie finansować całą prawicową prasę”, stwierdza wicenaczelną z goryczą, i ustala budżet.

Bierze mój przyjaciel z redakcji „NIE” wielki plik numerów „Gazety Polskiej” (dotąd nie czytał), i zaraz mu cyklonem B zapachniało. Co za krwawe szczucie „prawdziwych Polaków” przeciwko chorym na AIDS! (Kler twierdzi, że to kara boska za ich grzechy.) A potem z braku Żydów zagazuje się parę milionów „nas, pedałów” – „lub 12-13 milionów nieprawdziwych Polaków, głosujących na lewicę...” Do licha, z radością zrobi coś przeciwko „Gazecie Polskiej”! Ze szczerą uciechą!

Pierwszy Pedał Rzeczypospolitej zbiera ludzi. Kumpel zgłasza się do pani Isakiewicz w imieniu młodych z Zabrze, i dostaje pieniądze na akcję. Młody Michałek, podopieczny moje-



go przyjaciela, chłopak po domu dziecka o niezliczonych talentach, wymyśla hasła na transparenty. Wystarczy poprawić ortografię: świetne!

„Gazeta Polska” to prawdziwie wolna gazeta. Dlaczego? Sami nie wiemy. („Skreśl, Michał, wszystko od «dlaczego», to nie przejdzie”) Ale już *Od nocy do rana Lej zbója Urbana* jest OK. Co jeszcze?

*Jeśli kupisz „NIE”  
podetrzyj nim się.*

*Pal Urbana „NIE”,  
Bóg nagrodzi Cię.*

*Prawdziwy Polaku  
powieś „NIE” na haku.*

*Chwała „Gazecie Polskiej”!  
(chórem) Chwała (trzy razy)*

Dobre! I jakie autentyczne! Jakie prawdziwie ludowe, prawdziwie polskie! Każdy uwierzy! Idą Jurek z Michałkiem kupować w domu towarowym „Smyk” materiały do manifestacji. Na głowę kukły Urbana – piłkę wodną, na odzianie korpusu – dziecięce ubranko (ekspedientka, wypisując rachunek na redakcję „NIE”, cieszy się bardzo, że „coś się panu Urbanowi urodziło”), na transparenty – sześć prześcieradeł (kolejna ekspedientka, pisząc rachunek dla „NIE”, uśmiecha się życzliwie i znacząco), i w ogóle – „Ludzie, Jurek, nas napierdola za to szkalowanie Urbana”, jak mówi Michałek. Cóż, trudno.

Michałek układa kolejne hasła.

*Gdy się obudzisz człeku z rana  
widzisz w oczach złego Urbana.  
Tego barana co ryje i niszczy  
„Gazetę Polską” wśród gwiazd i zgliszczy.*

W porządku. „Gazeta” to bierze i „NIE” też.

Zrobili kukłę Urbana z piłki i ubranka wypchanego „Gazetą Wyborczą”, bo najgrubsza. Wzięli ze sobą egzemplarze „NIE” na wypadek, gdyby w kioskach w Zabrze – tam będzie pierwsze podejście – już ich nie było. Angażują za wódkę paru zabrzańskich aktorów, charakteryzują się, stają przed jakimś kioskiem z kukłą, napisem „Polaku, bądź z Gazetą Polską”, i skandują:

*Urban i jego „NIE”  
ogłupia cię  
a ty się na to godzisz.*

Wręczają ludziom egzemplarze „NIE” do podarcia, a ludzie nie drą, tylko zmykają, zadowoleni, że mają coś za darmo. Tylko jedna staruszka naddarła. Zresztą zaraz ktoś zaczął wrzeszczyć „Policja!!!”, zatrzymał radiowóz, i cudem udało się ocalić zdjęcie.

Które „Gazeta” zamieści. Oto Pierwszy Pedał Rzeczypospolitej (nie do rozpoznania w ciemnych okularach, czapce i z przyklejonymi wąsami!) trzyma kukłę Urbana, zawieszoną na szubienicy. Oto tłumek niesie transparenty: „Tfu! Polaku, pluj na tę szmatę!” i „Bądź z Ga-

zeta Polską”. Pod spodem dużo pochwał i wezwanie, by wszyscy albo przyłączali się do takich demonstracji, albo sami je organizowali w swoich środowiskach.

Zrobiono jeszcze jedną próbną akcję w Gliwicach, ale rzekomych wielbicieli „Gazety Polskiej” tak skini pobili (wielbicieli Urbana? Świat nie ma za grosz logiki!), że jednemu pękł nadgarstek. Najwyższy czas na wielką akcję w Warszawie, i do domu.

„Gazeta” zwraca pieniądze za płyty pilśniowe, flanelę, trzy kije do szczotek i połowę petard; za resztę musi zapłacić „NIE”. Pewien ksiądz pożycza tubę na baterie do wykrzykiwania haseł. Studentom nie chce się brać udziału w prawicowym happeningu; w ogóle zdobyć ludzi do roboty to marzenie ściętej głowy. Trzeba było pchnąć na akcję chłopaczków z podwórka. Na nic się zdało rozrzucanie ulotek z tekstem: *POLAKU! KATOLIKU! Strzeż się tygodnika „NIE”. Strzeż się Urbana i jego zgrai, oni chcą ci zabrać duszę! Nie bądź głupi. Czytaj tylko „GAZETĘ POLSKĄ”. Precz z tygodnikiem „NIE”*. Polaków katolików ani trochę to nie obezszło. Mimo że impreza miała się odbyć trzynastego grudnia, w tę historyczną i krwawą datę! Punkt o piętnastej, w centrum miasta. Nic. Nikt się nie pchał do walki z Urbanem.

W końcu malutki happening jednak się odbył, huknęły petardy, kukła Urbana spłonęła na szubienicy w rytm haseł Michałka:

*Spalmy na stosie Urbana „NIE”  
A jego dźwięki będą He He He!*

*I wtedy w chwale unieśmy dłonie  
Że nam Urban płonie, płonie.*

Popatrzyło na to ze 150 osób, fotoreporterzy porobili zdjęcia, błyskając fleszami. Michałek niósł wyciętego z dytki anioła o twarzy Elżbiety Isakiewicz, walczącego z diabłem o twarzy Urbana. Pod transparentem „Prawdziwie polska rodzina” demonstrowali ex-włamywacz i pedał Nasierowski (wciąż w charakteryzacji) oraz ex-prostytutka, dziś przemytniczka Maria z dwiema nieślubnymi córeczkami (jedną miała z Żydem austriackim, drugą ze szwedzkim) i aktualnym narzeczonym, Żydem holenderskim. Przed kioskiem, który chytrze ogłosił remanent, podarto kilkanaście egzemplarzy „NIE”, pokrzyczano „Precz z komuną”, wybuchły fajerwerki, podpalono Urbana.

*I wtedy w chwale unieśmy dłonie  
Że nam Urban płonie, płonie.  
Spłonął.*

A prowokatorzy, którzy „przez chwilę zapomnieli schizofrenicznie, że są prowokatorami”, gotowi iść w jakąkolwiek stronę, może w święto pierwszomajowe za Stalina, a może w noc norymberską, ładują się z resztką rekwizytów do furgonetki, którą Maria zaraz pojedzie przemycać sto kilo używanych nerek do Holandii. Tarzają się po wyleniałych etolach i prawicowych transparentach niczym prawdziwi terroryści po udanej akcji, niczym zbawienie ludzkości... Jeszcze szampan w redakcji „NIE”, jeszcze pozowanie do kolejnych zdjęć: będzie z tego dobra rozkładówka do świątecznego numeru.

Ktoś się nagle zmartwił, że „pani Eli” z „Gazety Polskiej” będzie przykro: zaufała im, uwierzyła, fotografowała się z nimi, wyłożyła trochę redakcyjnych pieniędzy, a teraz zostanie ośmieszona.

Wielkie rzeczy: na tym polega *Prima Aprilis*, udany *Prima Aprilis*, że nabranemu jest przykro. A w „NIE” *Prima Aprilis* jest co tydzień – albo powinien być. I „NIE” trzyma się mocno: miał rację naiwny Michałek ze swoim hasełkiem.

*Spalmy na stosie Urbana „NIE”  
A jego dźwięki będą He He He!*

## Czerwony

Oto Urban, któremu nie udało się zatrzymać upragnionego przez motłoch kapitalizmu. Motłoch poszedł, zdumiony („Nie tak miało być!”), na zasiłki dla bezrobotnych. Urban założył wielkonakładowe lewicowe pismo i wybudował sobie dom z krytym basenem, a na zewnętrznej ścianie umieścił wielki obraz z Leninem przemawiającym na rewolucyjnym wiecu; nazwijmy go „Lenin nauczający”. Pod Leninem nauczającym parkuje stadko zielonych jaguarów albo i śnieżnobiały lincoln. Urban kupił sobie statek żeglugi rzecznej, i nazwał go „Aurora”: nazwa jest wymalowana na burcie czerwoną cyrylicą. Kiedy warszawskie zoo znalazło się w trudnościach finansowych, Urban, ta hiena, zobowiązał się utrzymywać swoje krewniaczki-hieny wraz z ich ewentualnym przychówkiem, co poświadczyła stosowna tabliczka na siatce przy wybiegu. W podróżach Urban zatrzymuje się u Ritza, a na liście dziesięciu najważniejszych żyjących Europejczyków (to oni reprezentują prawdziwą, nie zafalszowaną cywilizację starego kontynentu!), Dziesięciu Nieśmiertelnych, w brytyjskim „The Independent”, zajął w 1997 trzecie miejsce. Wyprzedzając nie tylko prezydentów, kanclerzy, hinduskiego pisarza skazanego przez islam na śmierć, Salmana Rushdie (dopiero piąty!), ale i projektanta mody, Versace – tego od nieśmiertelnych rosenthalowskich porcelan z pawiem albo Meduzą (dopiero szósty, o trzy miejsca za Urbanem!). Którego to Versace zaraz zresztą zamordowano: nieśmiertelnych ubywa, nieśmiertelni nie są wieczni. Im który sławniejszy, tym chętniej biorą go na muszkę. Urban ma ochroniarzy, ale Versace też miał ochroniarzy, i Jaruzeński miał; każdy ma ochroniarzy. Od pewnego poziomu – każdy. Urban zdobył sławę, władzę nad dobrym kawałem opinii publicznej, i nienawiść tłumów. Urban popija wieczorami whisky on the rocks przy kominku, czasem oglądając telewizję.

A w telewizji dają niekiedy coś dokumentalnego o minionym ustroju. Nie doczekamy się już bezpośredniej transmisji z Moskwy, Pekinu czy Hawany: stopniały niegdysiejsze śniegi. No, więc czasem, w jakimś dokumencie o zbrodniach-przeciw-ludzkości. Albo w reportażu o manifestacjach bezrobotnych z Paryża, Rzymu czy Buenos Aires, najwyżej przez dwie sekundy. Albo w filmie Warrena Beatty *Czerwoni*: gwizdże to jakiś stary Amerykanin, który za młodu był lewicowcem. Albo jeszcze gdzieś. *Międzynarodówkę* grają, śpiewają, gwizdzą, nucą. *Międzynarodówkę!* I Urbana coś ściska za gardło, i łyzy mu podchodzą do oczu: no, wzrusza się stary cynik, wzrusza się i już!

Czasem Gośka każe to zagrać dla niego na swoich lub jego urodzinach, w jakiejś wynajętej knajpie. Wynajęta orkiestra gra *Międzynarodówkę*, na sali przygasają światła, i czerwoni mogą sobie dyskretnie popłakać. Poprzygryzać usta, pociągnąć nosem, odchrząknąć. Potem wniosą golonkę, albo Gośka będzie tańczyć na stole, albo striptizerki zrzucą z siebie trochę koronek, pokażą czarne, rude, złote, fioletowe trójkąciki, i jakoś się przyjdzie do siebie, i będzie można pogadać z innym czerwonym o skandalicznych cłach na rolls-royce’y, i o tym, jak się z płacenia tych ceł wykręcić. Rozkleiłeś się, bo jesteś pijany. Wszyscy się rozkleili, bo są pijani. Ach, *Wyklęty powstań, ludu ziemi! Powstańcie, których dręczy głód! Myśl nowa blaski promieeeeennymi...*

Wstyd się przyznać, że człowiek się wzrusza. Kapitalista! Milioner! Nie on jeden. Ale tylko on się przyzna. Na piśmie. W druku. Całej tej hołocie, która w najlepszym razie dorobiła się sklepików ze szmuglowaną konfekcją – albo poszła na bezrobocie. Trzeba było mieć rozum. Rząd się zawsze wyżywi, mądry człowiek zawsze wyjdzie na swoje. Na chuja był wam ten kapitalizm, idioci? Wydawało wam się, że zdołacie go udźwignąć?

On jeden to napisze, w czasach, kiedy pokazywanie starego Fraka, zdławionym głosem kającego wyprowadzić – na wieki – sztandar komunistów, przestanie już śmieszyć do łez, ale tak zupełnie śmieszyć nie przestanie. „Jestem poruszony, gdy śpiewają *Międzynarodówkę*” – napisze czerwony milioner. – „... Męczy mnie wówczas wzruszenie, emocje grają, wpadam w nastrój wzniosły.” Nie, nie, nie jest zimnym racjonalistą! Chciałby być. Udaje. Próbuje tak

o sobie myśleć. Niestety, do kurwy nędzy, istnieją imponderabilia. Jak je zwał, tak je zwał. Te od Piłsudskiego, bożyszczą taty, te z przewrotu majowego. (... *Całe życie walczyłem o znaczenie tego, co zowią imponderabilia, jak – honor, cnota, męstwo i w ogóle siły wewnętrzne człowieka...* – zdaniem ogółu tak się to ma do Jerzego U, jak pięść do kolana, ale ważne, co on sam czuje.) I te z pancernika Potiomkin, i z krążownika Aurora. Ethos. Głupoty. To, co najważniejsze. On, Urban, może mieć w ogrodzie porcelanowy grill z porcelanowym ślimakiem Rosenthala-Versace, bandę ochroniarzy, czuwających nad nim, Urbanem, dzień i noc, i statek, i basen, do którego skaczą sobie w pijane noce pijani goście – ale będzie płakał przy *Międzynarodówce*, nie wsiądzie w Makao do rikszy ciągniętej przez pieszego, bosego Chińczyka (szczyt wyzysku człowieka przez człowieka, szczyt poniżenia dla nędzarzy, czytało się o tym kiedyś w komunistycznych agitkach), nie włoży smokingu, nie podzieli się opłatkiem... Nie jego wina, że świat potoczył się w głupią, absurdalną stronę. Nie jego wina, że z punktu widzenia idiotów on z tej katastrofy świata dobrze wyszedł. Ach, *bój to będzie ostatni! Bój to JEEEST nasz ostatni!* I wszystko, co się za tym kryje dla prawdziwego komucha, dla starego komucha, dla komucha czerwonego jak szkarłupnia, jak homar, jak langusta. Kogo to śmiesz, ten niech się śmieje. On sobie popłacze. Bo mieliśmy z posad ruszyć bryłę świata, wiedzeni przez myśl nową, co *blaski promiennyymi...* I tak dalej.

Nie zdążył się dostać do upadającej, czerwonej partii, w której go przedtem nie chcieli. Za to jest w malutkiej, różowej jak krewetka partyjce o niemądrej, fałszywej nazwie (kto by się teraz przyznawał do komunizmu?) „Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej”, i przyjeżdża swoim zielonym jaguarem na zebrania, i odsiaduje – jak mawiają urzędnicy – dupogodziny, a kiedy któryś z bardziej (a jakże, bardziej) cynicznych znajomych pyta, czy mu nie szkoda czasu na te bzdury, odpowiada „Nie”, i źrenice robią mu się małe jak szpileczki.

A potem każe grać orkiestrze *Wyklęty, powstań, ludu ziemi...*, i wzrusza się: nie wolno mu?!

Poza tym jest bardzo szczęśliwy, naprawdę bardzo szczęśliwy. „– Czy pan jest szczęśliwy, panie Urban? – O, tak!”

Może nie tego chciał od życia, ale kto wie, czy to, co dostał, nie jest w sumie lepsze? Nigdy nie chciał willi, zamku ani pałacu, ale spotkał świetną kobietę, zakochał się, ona tego chciała, niech będzie. Przywykł, chociaż narzeka. Przywykł, ale narzeka. Jest człowiekiem miasta, jest Urban Urbanis, chciałby – skoro już ma być bogaty – spędzić życie w wielkim, pięknym mieszkaniu w centrum miasta, o dwa kroki od paru niezłych knajp, zamiast tłuc się do knajpy samochodem przez pół godziny albo więcej, albo w ogóle siedzieć wieczorami w domu niczym sparaliżowany starzec, bo już przygotowano na kolację sarninę albo przepiórki, a do tego deszcz pada: zaraz dwie służące w czarnych sukienkach z białymi fartuszkami oraz jeden lokaj też ubrany jak pingwin wniosą półmiski. Trudno, tak jest rozsądnie, miło, prześlicznie. Kto by tracił godzinę na dojazd i powrót, żeby zjeść coś gorszego w tłoku, gwarze i zgiełku? Nikt, naprawdę nikt poza nim. Każdy by mu zazdrościł. Nudno jest, i nie ma wyboru.

Zresztą się przywyka. Do dobrego nawet bardzo łatwo się przywyka.

Iść do baru? Ma bar w domu, ma stołki barowe i wszystkie możliwe alkohole! Po co dookoła tłum obcych albo i znajomych chamów? Po nic. Tyle że nudno jest. Nudno bywa. Za to w domu można sobie pooglądać telewizję, a tam, czasem, jeśli dają coś o zbrodniach przeciw ludzkości, zagrają *Międzynarodówkę*, i przypomni sobie człowiek piękne, biedne czasy, i gardło mu się ściśnie. A później można będzie na pięć-sześć dni wyskoczyć do Afryki, Azji czy Ameryki Łacińskiej: nigdy nie podróżował, wieczny dziennikarz działów krajowych, to teraz sobie użyje. No i fakt: ciekawe te dalekie kraje. Malownicze. I Gośka się cieszy. – *Czy jesteś szczęśliwy? – O tak!*

Ciągle jest sławny, ale ludzie już do niego przywykli. Za bardzo przywykli. Kiedy był rzecznikiem stanu wojennego i wicekrólem Ubekistanu, prawie każdy Polak wiedział, kim jest. Teraz wie o 2% mniej. Albo i o 3% mniej. Albo o 5%. Trzeba być czujnym, bo procenty jeszcze bardziej spadną. Trzeba dawać wywiady każdemu piśmidłu, które tego chce, i nie reagować, jeśli piśmidło wszystko pokręciło, załgało, zrobiło z jego wypowiedzi ich dokładne przeciwieństwo... czasem sobie myśli, że tym razem naprawdę wyszło sprostowanie, ale potem trzeźwieje: właściwie po co? Niech mówią, co chcą, byle mówili! Nadal mówią.

I nawet go teraz lubią. Popelnił, widać, jakiś błąd. *To były bardzo przyjemne czasy* – powie Gośka w wywiadzie dla jakiegoś szmatławca (o, Gośka to jest ktoś!) – *kiedy Jurek był jeszcze znieawidzonym politykiem. (...) Mieliliśmy dużo czasu dla siebie, moi znajomi mnie nie poznawali. Czasami ktoś plunął na jego widok...* – A teraz, po upadku komuny, kiedy łajdak stał się ostatnim, jedynym obrońcą ludzkiej wolności i godności? – *Panie Jureczku – wykrzykują wielbiciel, zupełnie nie zważając, że właśnie jemy, kupujemy czy rozmawiamy. Żądają uścisków dłoni, autografów i zdjęć. Na Gubałówce przebrany niedźwiedź prawie oszalał, bo Jurek odciągnął mu całą klientelę. Jeżeli ktoś go nienawidzi, to skrzętnie to ukrywa. Nikt go już nie opluwa, nikt nie ubliża... nuda. A przecież wychodziłam za znieawidzonego polityka. Może to powód do rozwodu?*

Tak, świetna jest Gośka. Bardzo zabawna, nawet w gadaniu dla szmatławca. Z drugiej strony to święta prawda. Kto by się fotografował za pieniądze z facetem ubranym w białą niedźwiedzią skórę, z niedźwiedzim pyskiem nałożonym na własny, skoro może mieć za darmo zdjęcie z samym Urbanem? Z kochanym panem Jureczkiem, pogromcą Czarnych, obrońcą Zwykłych Ludzi? Coś tu nie gra, coś tu źle wyszło. Gośka ma rację: przydałoby się więcej nienawiści.

A jakże, nienawiść też jest. Może po prostu należy czuwać nad proporcjami.  
Łatwo powiedzieć.

Ci z bożą w klapie coraz droższego garnituru dorwali się do władzy – na trochę, na trochę – i nawet konkordat z Watykanem załatwili (na długo, na długo), a ci różowi wciąż robią przed nimi w gacie ze strachu, co im minie, ale po co tracić czas? Czy nie można od razu przewidzieć, że jeśli teraz ruszymy skoczkiem na E4, a potem zrobimy rozsądę, to w czterech ruchach mamy szach i mat, chyba że przeciwnik jest geniuszem, a nie wygląda na to przeciwnik, naprawdę nie wygląda?

Reszta czyta Urbana.

Tłumy czytają Urbana.

A niektórzy piszą o Urbanie, robią mu darmową reklamę, i tłumy to czytają, i pysnie, i o to chodzi. Tłumy oglądają jego piękne, kolorowe zdjęcia pod prysznicem albo na sedesie, albo z ręką pod swetrem Gośki na pokładzie *Aurory*, albo w czapce kapitańskiej na pokładzie *Aurory*, i z psami, i z ochroniarzami, i strzelającego szampanem do własnego basenu z butelki trzymanej na wysokości intymności, jakby to była ejakulacja (*Po szampanie Zaraz stanie* – *J. Urban*), i jak się da. Prawicowe szmatławce ogłaszają konkursy na projekt muszli klozetowej z wbudowaną głową Urbana (zresztą zaczął stary kumpel, produkując papier toaletowy z podobizną Urbana, kochany człowiek, a durnie dali się wciągnąć), i drukują rzekome *spowiedzi Urbana*, spisane niby jego językiem, niby językiem „NIE”, rynsztokowym (ale to nie jest *rynsztok con brio*, tak żaden z tych średniaków nigdy pisać nie zdoła), i będą oświadczać w jego imieniu: *W stanie wojennym czułem się jak chuj w piździe*, nawet zabawnie, ale jedno udane zdanie na kilka stron to nic...

Wrogowie robią mu reklamę, przyjaciele nie potrafią temu przeszkodzić, ale jedno pozostaje niezmiennie: tak jak on, nikt pisać nie umie. Jeżeli człowiek jest nieludzko chytry, szatańsko przewidujący, zwierzęco bezwzględny, anielsko pracowity i bosko przenikliwy (dla

niego drobiazg), czasem świat, kraj, epoka oddają mu sprawiedliwość. Mimo że jest najlepszy. A on jest najlepszy.

To w prasie. Ale co znaczy prasa?

Najważniejsza u kresu drugiego tysiąclecia (*Jakiś taki szary ten nasz fin-de-siècle; pamiętam, że poprzedni był weselszy!* – napisze do mnie) jest ciągle telewizja. A nie tak łatwo dostać się do telewizji, nawet jeżeli jest się sławnym, nawet jeżeli ludzie chcieliby cię oglądać: nie jemu to tłumaczyć! To ciągła walka, walka bez końca. Z każdą zmianą władzy, z każdą zmianą szefa trzeba zaczynać od nowa. Nie dla każdego magiczne słowo URBAN znaczy to samo. Zawsze mogą znaleźć nowego idiotę z trzykilowym borowikiem. A kogo nie pokazują w telewizji, ten nie istnieje. Trzeba kombinować, trzeba się starać. Trzeba walczyć.

Żeby pojawić się na przykład w pierwszy dzień świąt 1997 w telewizyjnym show z głupami jako raper Liroy.

Najpierw serio, w stalowoszarym garniturze, śnieżnobiałej koszuli i pięknym krawacie („Proszę pani, jestem tak brzydki, że nie mogę dodatkowo być niechlujny!” – powiedział kiedyś dziennikarce), z wywiadem. Mówi byle co („Każdy mój występ nieartystyczny był artystyczny!”), a z sali i tak grzmią śmiechy i brawa. Czy lubi rap, metal, techno, muzykę ogłuszającą? Im bardziej głuchnie ze starości, tym bardziej lubi. Nie lubi tylko tańczyć, bo to wysiłek fizyczny. Pływa charcząc z nienawiści, jedynie po to, żeby mu nogi nie zanikły. Jedyne wysiłki, na które się zdobywa, bo przyjemność jest tego warta, to te łóżkowe... (*Brawa*) Rozmawiać też nie lubi, zwłaszcza z kobietami – wstyd, zahamowania – więc niech grają, niech mu grają do pęknięcia bębenków, niech mu ułatwią życie! Ach, grajcie mi, grajcie, i nie żądajcie ode mnie niczego!

Ale przecież ma za chwilę udawać rapera Liroya – ksywka „Szczyryk z Kielc”! Nie boi się ośmieszenia?

Całe jego życie, cały jego zawód, to ciągle narażanie się na śmieszność. Innych też obśmiewa: sprawiedliwość wymaga, żeby sam się bez trwogi i wstydu ośmieszał. Spełni swoją powinność wobec tych poważnych i ważnych ludzi, z których od lat robił sobie jaja. Teraz jego kolej: sam wysiłek fizyczny, który włoży w swój popis, wysiłek fizyczny tak mu obcy, tak zniechęcony, powinien być wystarczająco śmieszny. Uwaga, teraz ja! (*Teraz, kurwa, ja!*)

– ... Zapraszam na scenę – woła prezenter – życzę dobrej zabawy, przed państwem Jerzy Urban jako Liroy!

(Brawa, wycie, śmiech)

Godny, złośliwie uśmiechnięty Urban w stalowoszarym garniturze, śnieżnobiałej koszuli, drogich okularach i świetnym krawacie, odchodzi w kłęby piekielnego dymu – żeby natychmiast się z nich wynurzyć z łysiną ukrytą pod zieloną, włóczkową czapczką, w czerwonej kamizeli na granatowym podkoszulku, w szerokich, białych portkach, z przyklejoną czarną bródką, z oczami błyszczącymi dziko w świetle reflektorów, i żeby zacząć podrygiwać, gestykulować, wykrzywiać się pod krzyk z playbacku:

*Skaczcie do góry jak kangury!*

*Skaczcie do góry jak kangury!*

*Skaczcie do góry jak kangury!*

*Skaczcie do góry jak kangury!*

*Skaczcie do góry jak kangury!*

Ludzie szaleją z zachwytu. Doprawdy, skonać można! Urban wygina się, podskakuje, i udaje, że to on sam, we własnej osobie, śpiewa tym ochryplym, bełkotliwym głosem:

*Liroy znowu zapodaje jak walkie-talkie  
To nie jest formacja, to nie są baboki  
Rzeczywistość dookoła jest tak zamotana  
i zagmatwana  
jak wiejska śmietana  
na śniadanie lub do obiadu  
do zupy  
do dupy*

No tak, jego wizja tego świata! Nie przeciwstawił się samemu sobie. *Prima Aprilis*, towarzysze! Zawsze mówiłem, że nic nie ma sensu!

*To nie czas na politykę  
To nie jest czas na logikę  
Nadszedł czas na zwykłą gimnastykę  
więc skaczcicie do góry jak kangury  
skaczcicie do góry jak kangury  
skaczcicie do góry jak*

Coraz zgrabniej wymachuje rękami, coraz składowiej otwiera i zamyka usta. Na początku szło mu byle jak, ale uczy się w trakcie. Potem zawodowiec z jury zapyta z niesmakiem, czy *ta arytmia była zamierzona*, a on odpowie, rozgrzany, rozluźniony i panujący nad tłumem: „– To były najbardziej rytmiczne ruchy w moim życiu i parę kobiet może o tym zaświadczyć”, a tłum zawyje z zachwytem. Potem modna piosenkarka z jury, potrząsając Jedwabnym Płaszczem Kruczoczarnych Włosów (jakby kiedyś napisano w gazecie tatusia), zaszczebio-cze, czemu zakrył najpiękniejszą część swego ciała: ona tak lubi jego uszy! A on zerwie z głowy włóczkową czapkę, odsłaniając bielutką, lśniącą łysinę nad wymalowaną twarzą, i odpowie szarmancko, że może sobie uszy obciąć i posłać jej jak Van Gogh, a tłum wpadnie w ekstazę. Tak, dobry showman z niego. W kościele primaaprilisowego obrządku właśnie do-  
stępuje wyższych święceń.

Ale to za chwilę. Na razie trzeba powykrzywiać się, pokłapać szczęką, poskakać. Pod schrypnięty, niewyraźny, ogłuszający śpiew wypełniający salę.

*Czas zacząć nowe zamieszanie  
To nie jest sen i to nie są kalambury  
Więc skaczcicie do góry jak kangury  
Skaczcicie do góry jak kangury!  
Skaczcicie do góry jak kangury!  
Skaczcicie do góry jak kangury!  
Skaczcicie do góry jak kangury!  
SKACZCIE DO GÓRY JAK KANGURY!!!!!!!!!!!!!!!*

Sam skacze, na ile może. W zielonej czapeczce, w czerwonej kamizeli, z przyczepioną bródką. Błyskając szalonymi, dzikimi oczami. Tak, to do niego podobne. Tego można się było po nim spodziewać. Tyle że nikt się nie spodziewał, on nas zawsze zaskoczy.

*(Śmiech, wycie, brawa)*

No. Tak to jest. Tak się to robi, panie taksówkarzu. Coś to pan widział na odległość pół metra samego zapowiadacza pogody z telewizyjnego dziennika. Pan mnie nie pamięta, ja pa-  
na tak.

Agnieszka Osiecka – którą uwielbiał – napisała w małej książeczce *Biała bluzka* – którą uwielbiał – o facecie, który najpierw miał być filologiem klasycznym, potem skończył politechnikę, miał rozgrzebany doktorat z półprzewodników cieplnych, *ale kiedyś usłyszał szczygła na dachu i zrozumiał, że nie tędy droga*. A po iluś stronach bohaterka krzyczała do swego ukochanego kretyna, waśniaka, osła Tytanii, bohatera antykomunistycznego podziemia ze stanu wojennego:

*Ty małżowino uszna, bezduszna! Myślisz, że Ja jestem szczygłem z twojej biografii? A może to ty jesteś szczygłem z Mojej biografii? Co? Patrz na mnie, patrz!*

I wzruszył się stary cynik, nigdy nie nawrócony. Fakt: kto jest szczygłem z czyjej biografii, tego nigdy nie dojdziemy. Ale patrzcie na mnie, patrzcie na MNIE, patrzcie!!!

Patrzą.

A on im na ekranie telewizyjnym, kiedy siedzą przy choince jedząc ciasto, podryguje i rusza ustami pod ten schrypięty wrzask z offu:

*Skaczcie do góry jak kangury!  
Skaczcie do góry jak kangury!  
Skaczcie do góry jak kangury!  
Skaczcie do góry jak kangury!  
Skaczcie do góry – najwyżej jak się da!*

No, taki już jest.

I jednocześnie (też do przeczytania przy choince i makowcu) wydaje kolejny numer „NIE”, w którym się zwierza (komu?!!!), że ciągle go wzrusza *Międzynarodówka*, że do śmierci pozostanie człowiekiem *Międzynarodówki*: to mu nie przejdzie, z tego się nie wyleczy. Że udaje zimnego racjonalistę, ale się wzrusza. Udaje, że żadnych ludzkich uczuć, ale nieprawda. Bo jak zaśpiewają *Wyklęty powstań, ludu ziemi...* To jest ten jego – niech będzie – k amień węgielny, szkielet, papierek lakmusowy i jeszcze milion banałów: jak go zwał, tak go zwał. I stąd nienawiść – jego do czerwonej partii nie przyjęli, choć w nią wierzył, bo w nią wierzył, a tych, co teraz mówią, że wstępowali „z powodów towarzyskich”, albo dlatego, że to pomagało w karierze, albo dlatego, że nie wstąpienie mogłoby przyhamować karierę, albo jeszcze inaczej, tych przyjmowali. Z otwartymi ramionami. Jego odrzucali, raz po razie. Takich jak on, nie było im trzeba. Chcieli cyników.

No, teraz i on jest cynikiem.

Założył się z Goską o białego lincolna z białymi, skórzanymi siedzeniami, że postkomuch Kwaśniewski nie wygra w Polsce wyborów prezydenckich. Wygrał. On, Urban, z radością kupił Gośce białego lincolna: o niczym tak nie marzył, jak o swojej przegranej!

A teraz szef bładoróżowej, dobrze zblakłej w wielkim praniu postpartyjki, w której Urban jest pokornym szeregowcem, mówi, że do komuchów przystąpił „z powodów towarzyskich” (Leszek Miller się nazywa ten nowy szef, jeden z załatwionych przez Anastazję P, malutką *porte-parole* Urbana – PATRZCIE NA MNIE!!!!). Mówi jak wielu innych przed nim. Jak poprzedni szef różowej partyjki, oskarżony o szpiegostwo Oleksy, jak post-czerwony prezydent (wart białego lincolna) Kwaśniewski (też zaliczony przez Anastazję), jak tylu innych. Och, oni nigdy nie wierzyli w ten tam *bój ostatni* i inne bzdury; tylko cynik Urban wierzył. Doprawdy, niepotrzebnie robił biedny Frako taką szekspirowską tragedię z wyprowadzania na wieki, w ciemność i zapomnienie, czerwonego sztandaru! „Powinien był raczej usiąść gdzieś w kącie i sztandar cichutko zjeść.”

Nie, nie ma już czerwonych! On, Urban, jest ostatni.

Czasy mogą się jeszcze zmienić. Wszystko się zmienia. A na razie...



*Skaczcicie do góry jak kangury!*  
*Skaczcicie do góry jak kangury!*  
*Skaczcicie do góry jak kangury!*  
*Skaczcicie do góry jak kangury!*  
**SKACZCIE DO GÓRY JAK KANGURY!**  
**SKACZCIE DO GÓRY**  
**NAJWYŻEJ JAK SIĘ DA!!!**

On też skacze, on sam skacze. Jak kangur. W zielonej czapce, w czerwonej kamizeli, z twarzą wymalowaną na żółto. (*Brawa, śmiech, wycie*) Prawie apokalipsa! Apokalipsa według Urbana! Śmiesznie jest, prawda?

– Śmiesznie jest.

– To się śmiecie.

To się śmieją.

Niczego innego się po nich nie spodziewał. I miał rację, niestety.

Miał rację.

## Apokalipsa według Urbana

Trzy potwory wloką jakiś ciężar pustą ulicą; właśnie minęły pasy dla pieszych. Potwory zostały zaprzężone do swojego białawego, niewyraźnego ładunku jak rosyjska trojka, i gnają przed siebie z rozpędem trzech ogierów. Prosto na nas. Tyle że nie ma dokoła bezgranicznych śnieżnych przestrzeni, nie ma w górze pochmurnego, gwiaździstego ani rozdartego błyskawicami nieba: jest ohydna ulica zamknięta po bokach dwoma splekanymi, betonowymi murkami, a nad głowami potworów coś żółtawego, zadymionego, gęstego od kurzu: niebo klasy robotniczej. Bo to niezawodnie ona tak pędzi w niewiadomą przyszłość jak trzej jeźdźcy Apokalipsy, jak awangarda wielkiej nawałnicy. Potwory są ludźmi płci męskiej, są ubrane w waciaki i gumki, na głowach mają bezkształtne czapeczki, na ziemistych mordach tępo-chytre grymasy, zarost, zmarszczki, brodawki i pryszcze. Szczera resztki zgniłych, żółtawych zębów albo rozchylają w wysiłku usta bezzębne i zaślinione. Ale jak biegną, jak biegną całą szerokością jezdnii! Jak natężają bary w swojej uprzęży! Jeszcze chwila, jeszcze metr – a zmiążdżą nas i stratują, i nawet nie zetrą miazgi ze żłobkowanych podeszew.

Tak jest na obrazie.

Obraz pochodzi sprzed kilku lat, ale właśnie teraz wisi na ścianie galerii. Teraz, w stanie wojennym. Nazywa się *Jeźdźcy Apokalipsy czyli Fucha*. Dokoła – inne obrazy Jerzego Dudy-Gracza. Tępe gęby czytających z kartek, zasypiających albo ryczących jakąś niesłyszalną pieśń aktywistów pod wyblakłymi, bezbarwnymi sztandarami, przed łysym i kaprawym księdzem. Powykręcane artretyzmem staruszki z siatkami na żywność obok nieprzytomnych pijaków opartych o kubły do śmieci i zgarbionych urzędników z teczuszkami – a nad nimi, na huśtawce, równie bezmyślne twarze, równie wstrętne, otyłe i żylaste cielska pijanych wybrańców w tekturowych koronach: toż to karnawał! Sielska pastereczka z sinymi udami grubości stuletniego dębu śpi pijackim snem przy grającym radiu, gdzieś na pustkowiu. Potwory jadą w głupawym triumfie na grzbietach innych potworów. Olbrzymie brzuchy, olbrzymie piersi, wywieszzone jęzory, zwały tłuszczu, niewidzące oczka, opadające szczęki, rozdziawione usta, żylaki, kartofle, śmieci, robactwo, siność, sadło, krzyż, taniec, sztafeta, zataczający się bieg naprzód, flagi, sztandary, strajkowe opaski, święte obrazy, księzowskie stuły, odróżające życie i nieważna śmierć monstualnych, jadowitych robaków istniejących i przestających istnieć przez jakiś niewiarygodny przypadek. Ale jakich groźnych, jakich czasem strasznych! Jeszcze chwila, a wyskoczą z ram i jak czołg zmiążdżą wszystko, co nie jest nimi!

APOKALIPSA WEDŁUG URBANA – nazwie swój atak na malarza oburzony krytyk sztuki w podziemnym piśmie. A któryś z widzów napisze do artysty w wyłożonej księdze pamiątkowej: „JAKA SZKODA, ŻE PAN MA RACJĘ!”

Trwał nieważny rok 1985, rządził ciągle generał w czarnych okularach, a Urban był najbardziej zniechęconym człowiekiem w Polsce. Wydawało się, że za sekundę coś się zmieni – albo że nigdy nic się nie zmieni. Wystawa w Zachęcie, zapiski w księdze pamiątkowej, gniewna recenzja w powielanej, prawie nieczytelnej broszurce – wszystko to działo się daleko od Urbana i niby nie jego dotyczyło. Świat dyktatury proletariatu i świat „Solidarności” zostały zrównane ze sobą: triumfujący, czarnosecinny, wymóżdżony, pokrapiający skorupę brudu i potu wodą święconą, cuchnący, straszliwy motłoch. Krytyk trafił w sedno, nazywając tę wizję artysty apokalipsą według Urbana. Tak właśnie widział Urban swojego wroga. A czy miał rację, czy nie, to już inna sprawa.

Bo może prawdziwy był świat przedurbanowej propagandy i pozaurbanowej propagandy? Świat komunistycznych lakierników (o, święta, świetlana klaso robotnicza, o, wielomilionowy czerwony ludu pracujący miast i wsi, o, *Eos rózanopalca z dumną twarzą robotnicy!*)? A także świat antykomunistycznych lakierników, drukujących podobne peany na cześć świętych, świetlanych, bohaterkich mas (o, wielomilionowy anty-czerwony ludu pracujący miast

i wsi!) w podziemnych drukarniach wałkowo-bębnowych imienia kresowego szlachcica-socjalisty – tego od IMPONDERABILIOŃ? Może świat był i jest zjednoczony (jeżeli tylko wyrzucimy na margines kilkudziesięciu, nie więcej, łajdaków pokroju Urbana), miły i śliczny, szczupły i solidarny, z mądrym spojrzeniem i całymi zębami, w czystych majtkach, z prawem moralnym w środku i z niebem gwiazdzistym nad sobą? Może większość jest cudowna, a mniejszość wstrętna?

Może ohyda jest tylko w oczach patrzącego? „Kultura artystyczna” – pisze autor *Apokalipsy według Urbana*, Andrzej Osęka, w roku 1985 – „bierze się głównie, jak sądzę, z poczucia związku z innymi ludźmi, ze zrozumienia i pochwycenia idei wspólnoty. Wszystko wskazuje, że Jerzy Duda-Gracz jest tego pozbawiony”.

Urban, oczywiście, także.

„Chodzi o to” – pisze Osęka – „by upaprać wszystkich, pokazać wymiennosc, nicość symboli, zamącić w głowach enigmatyczną metaforą, przykuć uwagę paskudnym widokiem, wytrącić ziemię spod nóg, porazić szaleństwem, odebrać nadzieję.

Jerzy Duda-Gracz robi to, i najwyraźniej lubi to robić. Odmalowuje kawałek po kawałku skarłałą Apokalipsę, w której czas zatrzymać się musi na samych okropnościach, żadne światło w ciemnościach nie zaświeci”.

Urban, oczywiście, także. Bardzo to lubi!

TO BOLI, PROSZĘ PANA – zapisał inny widz w książce uwag objazdowej wystawy obrazów Dudy-Gracza. No, właśnie, boli! Czy nie powinno?

Tytuł *Apokalipsa według Urbana* trafiał w sedno. Drugi Polski Bolszewik Po Dzierżyńskim, Generał Jaruzelski, „wybawił Rosję z kłopotu”, układ jałtański pozostał jeszcze na trochę w mocy, tysiące ludzi ocaliło wpływy i władzę, tysiące ludzi wpływów i władzy nie zdobyło, regionalny system związkowy nie zdołał przedostać się do innych krajów, zobowiązania i zależności gospodarcze zachowały na kilka lat swoją ważność – a obok tego, w tym i ponad tym pewien łysy dziennikarz z odstającymi uszami walczył ze swoją apokalipsą. Inni walczyli o własne interesy, on nienawidził. Inni bronili swoich przywilejów, on atakował. Atakował sinego, przyszczatego, debilnego, zaślinionego, kaprawego potwora z wywieszonym językiem: motłoch. Nazywany, w miarę potrzeby, to Ludem, to Narodem, to Klasą Robotniczą, to Niezależnym, Samorządnym Związkiem Zawodowym Solidarność. Czasem nawet Eos różanopalcą. Jakkolwiek go zwał, był to motłoch. Bestia. Wróg. Jeźdźcy Apokalipsy, pędzący na nas ze swoją betoniarką. Szpetota, głupota, tępota i ślepa chytryść, wszystko, co najstraszniejsze. Urban nic nie zyskiwał na zwycięstwie, przelotnym zwycięstwie nad jeźdźcami Apokalipsy: nic poza ich nienawiścią. Walczył dla innych. Ale cieszył się: nikt się tak nie cieszył, jak on!

Polityk (a on tak bardzo chciał być politykiem!) też ma instynkt i emocje. Jeżeli się do czegoś nadaje, potrafi je tłumić i z kamienną twarzą robić to, co trzeba, choćby go od tego mdliło. Cóż to jednak za radość, kiedy warunki ułożą się wreszcie zgodnie z jego instynktem i emocjami, i kiedy może robić to, co chce. Dołożyć tym, których nienawidzi. Puścić na motłoch czołgi albo choć je oklaskiwać. „To lubię, tego nie lubię” – nawet dziecko może się tym kierować tylko raz. Później dostanie w skórę i nauczy się moresu. Przez całe życie trzeba się dostosowywać do okoliczności, unikać niebezpieczeństw, płaszczyć się przed silniejszymi, wchodzić w zależności i układy, nie mówić za dużo, nie posuwać się za daleko, liczyć się z cenzurą zewnętrzną i wewnętrzną – nawet jeśli chce się tylko przetrwać. Tym bardziej, jeśli się chce zrobić karierę. Choćby się było prowokatorem. Choćby się było tak rozsądnym, że nawet nie próbuje się marzyć o wielkim święcie. Czasem jednak przychodzi święto.

Dla Urbana był to – niezawodnie – stan wojenny.

Nieświęty Jerzy zaatakował świętego smoka.

Nareszcie miał szansę.

\*

Apokalipsa według Urbana: jaka ona była?

Malutka, szara i głupia, niestety. Jak na obrazach Dudy-Gracza. Na miarę nieważnego kraju w Europie Środkowej. Powiedzmy, że na miarę całej Europy środkowej i wschodniej oraz sporej części Azji: i tak niewiele. Dajmy na to, że na miarę prawie całego świata: wszędzie ceni się ilość, a nie jakość. Wszędzie kadzi się masom, bo takie liczne i albo mają prawo głosu, albo chociaż mają prawo strajkować i demonstrować. A mniejszość panicznie się ich boi.

Choćby Generał. Jak on się przejmował każdym wyjściem LUDU na ulice, każdą groźbą strajku generalnego! Urban, niestety, nie miał szans na zdobycie władzy, więc nawet do tego nie dążył: znał swoje miejsce. Ale chciał, żeby go słuchano, a nie słuchano go. „Generał Jaruzelski nie rozumiał czegoś, co po nim już pojmowali premierzy o ilorazie inteligencji ulokowanym między zajacem a szczurem: że ludność jest od tego, żeby strajkować i manifestować, a władza od tego, aby rządzić – i obie strony mogą robić swoje, nie przeszkadzając sobie nawzajem.”

Ten kult motłochu! Ten lęk przed motłochem! Dlaczego wszyscy boją się motłochu? Dlaczego ON się nie bał?!

Apokalipsa była na początku malutka, szara i głupia. Żałosna jak ludzka trojka zaprzężona do betoniarki, zaśliniona, kostropata, ale rozpędzona, ale w mocnych buciorach, tratujących wszystko, co po drodze – JEGO tratująca! Chyba, że w porę odskoczy.

Odskoczył.

Przedtem wszystko wydawało się piękne, po prostu piękne. Zamiast dymów nad Auschwitzem czerwone chorągwie na śnieżnobiałych wieżach. Sprawiedliwość. Trały i werble. I gorączka. Jeżeli cokolwiek może w nas wywołać taką gorączkę – niech będzie błogosławione. Jeźdźców Apokalipsy zatrzymamy, kto do ocalenia – tego ocalimy, zjadaczy chleba w aniołów przemienimy, wystarczy ludzi oświecić, a będą dobrzy i wzniośli, płomienni i szlachetni, źródłem zła jest ciemnota, zwalczymy ją, wejdziemy w nią z pochodniami, latarniami, słońcami i gwiazdami, nie trzeba dużo czasu, spieszymy się, przed nami wielki festyn i wiekuste szczęście, i 42 stopnie Celsjusza.

Jest się nikim, ale to nie ma znaczenia.

Potem wszystko zaczęło się walić, białe wieże pękały, sztandary gniły, ludzie nas nie rozumieli, ludziom się nie podobało, i nawet mieli swoją rację, dużo błędów popełniono, dużo krzywd wyrządzono, a ludzie jak to ludzie, trzeba z nimi spokojniej, cierpliwiej, potrwa to dłużej niż się wydawało, ale w końcu będzie lepiej, na pewno. Może nie warto liczyć na raj na ziemi, ale lepiej będzie, może być lepiej. Jaśniej, uczciwiej i w ogóle. Gorączka spadła do 38 stopni. Nawet łatwiej z tym żyć. O wiele łatwiej.

Zaczyna się być kimś.

Potem było coraz nudniej. Cholernie, kurewsko nudno.

I coraz głupiej. Tak głupio, że rzygać się chciało. A ludzie przestali być ludźmi. Wróciło stare, słuszne słowo: motłoch. Co zrobić z motłochem? Choroba przeszła, gorączka minęła. Ma się 36,6 stopni Celsjusza, jak należy. Spociał się człowiek i już. Już jest się zdrowym, już wszystko normalnie. Skończyła się bajka, zaczęła się konieczność geopolityczna. Malutki rozsądek niewolników. Szare bloki i nylonowe, a potem stylonowe, a potem jeszcze jakieś gacie. Motłoch jest zadowolony: chce mieszkać w szarych blokach i mieć coś nylonowego, a potem coś stylonowego, a potem jeszcze coś. Nie podrzyna gardeł, nie buduje barykad, nieźle mu. Należałoby się cieszyć, a tu człowiek się nie cieszy: zaczyna być wściekły. Należałoby

wyzdrowieć, a tu tęskni się za gorączką. Pociera się termometr moczy się go w gorącej herbatce, żeby przypomnieć sobie, jak bywało dawniej.

Zaczyna się robić karierę.

To nawet łatwe: wystarczy lżyć świat, w którym motłoch nieźle się czuje, a motłoch, zachwycony, zaczyna bić brawo.

\*

No, więc świat widziany przez Urbana i opisywany przez Urbana stał się światem apokalipsy. (Gorączka minęła, 36,6° Celsjusza, a więc choroba musi być bardzo ciężka.) Czyli stał się szary, nudny, mały, duszny i absurdalny. To świat, w którym kelner nie idzie z zamówieniem do kuchni, tylko do urzędniczki. Kierownik sali nie przechadza się po knajpie, zagadując do gości, ale wypełnia papiery. Tak samo jak babcia klozetowa i kat: o, kat na pewno pracuje w tym światku na siedząco, z rączkami na blacie. Prawą rączką pisze, wyliczając swój przerób dzienny, roczny, dziesięcioletni. Lewą czasem wiesza. Och, cudny to świat, raj na miarę dwóch zwojów mózgowych obłąkanego urzędnika! Zamiast sprzątnięcia – zakaz śmiecenia, zamiast wytyczania ścieżek – zakaz deptania trawników, zamiast wentylacji – zakaz palenia papierosów. Lekarz PYTA pacjenta, co mu jest, po czym wypisuje recepty i wypełnia formularze. Przemysł obuwniczy latami prowadzi badania antropometryczne stóp potencjalnych klientów, w wyniku czego zawsze brakuje tych samych numerów: „największych, najmniejszych i średnich”. Urządza się kosztowne kongresy i konferencje, jakby to wciąż było średniowiecze, jakby ludzie musieli ze sobą ROZMAWIAĆ, mimo że umieją czytać i pisać: czy wymiana listów nie wystarczy?

Tłumy zawodowych obrońców pokoju, zawodowych weteranów, zawodowych przedstawicieli kobiet, dzieci i ludów kolorowych zataczają się i przelewają ze zjazdu na zjazd, z akademii na akademię, z bankietu na bankiet. I gadają, gadają, gadają: jak to analfabeci. Zamiast czytać i pisać!

Nawet prostytutki siedzą w lokalach równie wściekle jak urzędniczki lub babki klozetowe – „... z odętymi mordami, niechętnie ludziom, obrażone, jakby i wzgardliwe. Należałoby wydać im zakaz wywyższania się, żeby w knajpie zapanowała miła atmosfera”. Kelner albo jest opryskliwy i ordynarny, albo obejmuje klienta z lepką amikoszonerią. Fryzjer opowiada ci o swoim ciężkim życiu, lekarz o swoich hemoroidach, podwładny o kłopotach z żoną... a niechże ich wszystkich szlag trafi! Sprzedali swój czas pracy; kiedy wreszcie pojmą, że w czasie pracy nie wolno im być ludźmi? W ciągu dnia pracy mają zmieniać się w instrumenty ze zdawkowymi uśmiechami na umytych gębach! Dopóki pracują, nie są ludźmi, i nie mają prawa żądać, żeby ich traktować jak ludzi: czy nigdy tego nie rozumieją?

Lud! Sól ziemi! Istoty, które – wynika to z badań socjologicznych – za bardziej naganne uważają nie zarejestrowanie radia niż zabicie psa. A niechże je wszystkie...!

Przeszło przez cenzurę? To jeszcze parę słów o tym, co nigdy nie przechodzi: w tym nudnym, idiotycznym świecie wolno krytykować tylko zło. Nie wolno walczyć z głupim, wrednym, nieudolnym dobrem. Czyli z czystymi intencjami. A co człowieka obchodzi brak złych intencji u wymóżdżonych bestii?!

Idioci kradną wagon wódki, żeby go sprzedać, a pieniądze PRZEPIĆ: o, *sancta simplicitas*, nie można było od razu?

W obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu można kupić czterokolorowe długopisy. Pstryk – i pojawia się to barak, to komora gazowa, to ściana śmierci, to pomnik ofiar. W obozie koncentracyjnym można kupić takie długopisy, ale nie wolno zapalić papierosa, choć jest się w końcu na świeżym powietrzu. „– No, wie pan?! Tu zginęły cztery miliony ludzi!” Ano zginęły, zginęły.

Amerykańska polonijna wycieczka nie pali, kupuje długopisy (pstryk – komora gazowa, pstryk – ściana śmierci!), zwiedza, i bardzo jest zadowolona. Choć to w sumie nic specjalnego. „W Roma my byli też w takim miejscu – mówi pani Maryśka. – Tam brali katolików, puszczała na nich lwów, a lwy ich zjadali.” No, i dobrze.

Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich oskarża dziennikarza, który to zapisał – jego, Urbana – o obrazę narodu polskiego. (Toż nie zawsze jest Naród Polski taki głupi i tępy, tylko czasem, tylko w porywach!) Niestety, komisja nie ma odpowiednich kompetencji, żeby Urbana skazać za opisanie pani Maryśki. Zgodnie ze statutem ma sądzić tylko tych, którzy działali jako czynni hitlerowcy przed końcem II wojny światowej, kiedy to Urban był dzieckiem, i do tego ofiarą. Nie zauważyła tego komisja w porę. Jaka szkoda!

Wygląda na to, że tak głupio, żałośnie i nędznie będzie zawsze. Na szczęście w końcu się umrze. I adiu Fruziu, jak mówił lud przed wojną (chyba weselszy bywał wtedy lud, chyba bystrzejszy, ale *to se ne vrati*). Tyle że w takim kraju, w takim świecie nie tylko żyć nie warto. Umierać także.

Kiedyś – „pokazują to czasem w kinie” – konało się we własnym łóżku, wydając ostatnie dyspozycje i błogosławieństwa. Choć raz, na samym końcu, miało się frajdę monarchy absolutnego! Kiedyś – pisano o tym w książkach – skazaniec, który urwał się z szubienicy, zostawał ułaskawiony. A choćby sznur nie miał się przerwać, choćby śmierć była pewna (zwykle była), pytano skazańca o jego ostatnie życzenie. I spełniano je! Najnędzniejszy nędzarz mógł napić się przed powieszeniem szampana, zjeść kotlet albo zapalić papierosa. Miło było.

Niestety, *to se ne vrati*, jak wzdychali nostalgicznie dwaj czescy profesorowie w dowcipie z 1968, wspominając przy kopaniu rowów swoje pierwsze spotkanie w hitlerowskim obozie w Dachau. *Ach, Dachau, Dachau... to se ne vrati!*

Skazańcy giną bez świadków, żeby ich męka nie rozniecała w tłumach złych instynktów, i nikt już nie sprawdzi, czy spełniono ich ostatnie życzenie. Niewinni według prawa konają w szpitalu, w zatłoczonych salach, pełnych w dodatku odwiedzających, w asyście dwóch uczniów szkoły pielęgniarstwa, czekających z parawanem, żeby nim za chwilę (no, szybciej, szybciej!) zakryć zwłoki. Zwłoki (śliczne słowo: przecież to ja albo ty) muszą na środku sali, za parawanem, doczekać nocy, żeby ich wywózka nie denerwowała chorych. Potem zmieni się pościel na czystą. Czemu nie za życia, czemu nie przed śmiercią? Milej chyba byłoby umierać w czystej pościeli!

Nie ma takiego przepisu.

Potem będzie pogrzeb, wieńce, grób, płyta, krzyż, świece i kwiaty w każde Zaduszki. Czy nie można by choć części tej pompy dać człowiekowi za życia?

Nie ma takiego zwyczaju.

Spróbuj lecieć samolotem nad Polską 31 października albo 1 listopada! Zobaczysz w dole niezliczone prostokąty ziemi, połyskujące milionami świeczek. Te połacie ziemi oddane trupom! Te sumy wydawane na groby i na ich pielęgnację! A ci, którzy jeszcze nie są trupami – czy na nic nie zasługują? Czy niczego nie dostaną? Niczego: nie ma takiego zwyczaju, żeby rujnować się dla żywych.

Toż kult, oddawany zmarłym – toż ten kult jest częścią kultury narodowej i świadectwem trwałości więzów rodzinnych! A chuja! Czy żona Urbana – gdyby w ogóle czuła żal po jego śmierci – czułaby go mniej, gdyby pamiątką i symbolem była fajansowa waza z prochami, stojąca na kredensie, a nie „cztery metry kwadratowej kosztownej ziemi pokryte drogimi wyrobami z kamienia”?

„Nie obrażę się nawet, jeżeli któregoś dnia prochy pójdą do zsypu, bo waza okaże się potrzebna do zakiszenia ogórków. Wolę być dobrze traktowany za życia, niż być traktowany za życia tak źle, iż wdowa po mnie odczuwać będzie wyrzuty sumienia, które zechce złagodzić, finansując mi nagrobek i układając na nim kwiaty, których nie powącham.”

Ludzie czytają to i uważają, że Urban jest bardzo zabawny. *Enfant terrible*, prowokator, ale prześmieszny. Nienawiści jakoś nikt nie zauważa.

Prawdziwymi nienawistnikami są ponoć inni. Ci, którzy chcą zmienić, zniszczyć, obalić nie rzeczywistość, tylko ustrój. Słowem – ludzi u władzy zastąpić innymi ludźmi. Nie przeszkadzają im ani nagrobki, ani spoufalanie się fryzjera. O co innego im chodzi. Bardzo są wzniośli i pięknie mówią o sobie. Pisarz Dygat poparł ponoć antykomunistyczną opozycję, bo, jak powiedział, „wychował się na westernach”. W plecy się nie strzela i w ogóle. O, świecie czystych zasad, czystych rąk, czystych serc!

Ale dla Urbana westerny są nudne niczym przyroda i rodzina. Czego innego by trzeba – tylko czego?

Jemu też cholernie się tu nie podoba, ale nie zna języków, a zresztą – o ile można wiedzieć – gdzie indziej jest tak samo. Co ma zrobić?

Wyśmiewać, dopóki – i na ile – cenzura pozwoli. Uskakiwać z drogi jeźdźcom Apokalipsy. Ubierać nienawiść w zabawne, nie za bardzo zjadliwe zdania. Robić swoje, czyli pisać swoje: tylko do tego się nadaje i aż do tego. Cenzura zdejmie całość albo część, naczelny każe przerobić to zdanie, na miejsce siedmiu zdań wstawić siedem innych zdań, zakończenie przesunąć na początek – ale coś zostaje, coś zostaje. Skrawek opisu apokalipsy.

Te teksty o nienawiści są śmieszne: tak śmieszne, że można nienawiści nie zauważyć. Czasem ktoś się czegoś domyśli, częściej nie. Harówka katorżnika. Patyczek na drodze triumfalnej trojki.

Czas mija, i ciągle jest się na początku drogi. Zaczyna się być znanym dziennikarzem i dostaje się zakaz druku: zaraz o tobie zapomną. Jeszcze raz się zaczyna, i znów to samo, albo coś podobnego. Czas mija. Potem przez jakiś czas się wie. I znów nadjeżdża nasza trojka.

Motłoch, w swej bezgranicznej głupocie – tak to widzi Urban – chce koniecznie obalić ustrój, bez którego zawsze byłby motłochem. Nie zarabiałby więcej od profesorów, lekarzy, inżynierów, managerów, nie łaszono by się do niego od świtu do nocy. Nie nazywano by go *wyklętym ludem ziemi*, nie grzmiałyby na jego cześć trąby i werble. Nic by nie było. Nic. Jak przez tysiąclecia.

Ale motłoch jest pewien – nauczyli go o tym na tajnych kursach, w ulotkach i przez monachijskie radio ci, którzy nie dorwali się w porę do władzy, więc chcą teraz dojechać na własną koronację na betoniarce jeźdźców Apokalipsy – motłoch jest pewien, że w innym ustroju miałby to wszystko, co ma, plus chrupiące bułeczki, tanią szynkę w każdym sklepie i stałe dostawy owoców tropikalnych. (Co nawet od biedy byłoby wykonalne, tyle że rządzący za diabła nie znali się na motłochu.) Motłoch zaczął strajkować (co też dałoby się szybko zahamować, gdyby u władzy byli ludzie z chociaż pięcioma fałdami mózgowymi zamiast dwóch), rozzuchwiał się, rozjuszył, nazwał się Niezależnym Samorządnym Związkiem Zawodowym „Solidarność”, zrzeszył trzy i pół raza tylu ludzi, co partia rządząca, i pędzi drogą ze swoją betoniarką. Precz z socjalizmem, niech żyje kapitalizm, czyli stałe dostawy owoców tropikalnych, msza święta przed pracą, mieszkanie dla każdego (spłata w ciągu pięćdziesięciu lat, bez procentów), i żeby Żydów bić, i żeby wszystkim dać po równo, bo wszyscy mają równe żołądki, i czas pracy skrócić, a płace podwyższyć, a ceny obniżyć...

– Nawet o sto procent! – zawoła pewnego dnia przywódca motłochu, który to przywódca (oczywiście) nie czytał Marksa ani nie uczył się matematyki. – Obniżymy ceny o pięćdziesiąt albo i o sto procent!

Rzygać się chce.

I z myślą o tych baranach, ze współczucia dla tych baranów, w jakimś związku z tymi baranami miało się kiedyś 42 stopnie gorączki! Już nie ma powodu współczuć, tak jak się współczuło czy mogło współczuć Wyklętemu Ludowi Ziemi w 1945 czy w 1948. Jeszcze się

coś z tego pamiętało, jeszcze się coś o tym słyszało i wiedziało. O szewcach klepiących biedę i o bosych chłopach. O pełnych sklepach i o biedakach przed wspaniałymi witrynami. Ale to – to już nie jest Wyklęty Lud Ziemi. To triumfujący motłoch z mieszkankami w blokach (ohydnych blokach, zgoda), z bibelotami na półkach (ohydnych półkach, zgoda, innych nie było, ale czy motłoch kupiłby ładne półki?), z wczasami za pół darmo, z przydziałem kartofli i cebuli z miejsca pracy, z grzybobraniami, na które zakład pracy podwozi sól ziemi autokarami, a sól ziemi upija się w trupa i paskudzi, z...

37,2°. To już coś.

... czy motłoch naprawdę nie rozumie, że nigdzie nie byłoby mu lepiej? Być bezmózgowcem bez żadnych kwalifikacji, a żyć lepiej niż mądrzy i wykształceni naiwniacy, walczący o prawa dla motłochu, o dostatek dla motłochu, o oświatę dla motłochu, o mieszkania dla motłochu, o gwarancje pracy dla motłochu, o wakacje dla motłochu, o rozrywki dla motłochu... a niechże ten motłoch wreszcie diabli wezmą!

37,6°. Jeźdźcy apokalipsy coraz bliżej, więc i duszy coraz lepiej. Nareszcie, po tylu latach, gorączka rośnie. Nienawiść uzdrawia. Błogosławiony motłoch, błogosławiona nienawiść: nieźle jest. Coraz lepiej.

Bo zjawił się ktoś, kto robi z motłochem porządek. Koniec z obślinianiem mu śmierdzących od brudu nówek. Czołgi się pośle przeciw pijanej betoniarce, weźmie się ją na muszkę, salwę się palnie: zbyt groźnie się zrobiło, teraz to już wojna, nie pozwolimy się zmiażdżyć, koniec zabawy. Nareszcie!

Potem czołgi, strzały, i obozy dla motłochu, i władza. I nienawiść motłochu.

Potem klęska.

I zmiana klęski w zwycięstwo, a nienawiści w miłość. I 40 stopni gorączki, jak kiedyś. Jeźdźcy apokalipsy wierzą, że wygrali. Obwiesili betoniarkę girlandami i spili się w trupa. Kiedy się ockną, zobaczą, kto wygrał naprawdę.

Na szczęście byli głupi.

Niestety byli głupi. Bo trochę ich człowiekowi żal, mimo wszystko. Zdobyli, czego chcieli, i już płaczą, i już się żalą, że nie tego przecież chcieli. Już nie zdobędą mieszkanka w betonowym bloku, a owoce tropikalne są wszędzie, tylko za drogie. Miał być raj, a jest gorzej niż było. Oszukano ich! Będą się tak miotać do końca świata, jak to głupcy. Betoniarka wpadła w poślizg. Nie tak miało być, nie tak miało być! Co, nie wiedzieli z góry, jak będzie? Szympanś by wiedział! A niech ich szlag trafi.

Nie warto im współczuć. Koniec złudzeń. Koniec sentymentów. Zaczyna się świetna zabawa.

Była wojna. Potem coś bliskiego rewolucji. Potem głupawa stagnacja. Bunt. Klęska buntowników. Dyktatura. Nowy układ. Zwycięstwo buntowników. Stracono kilkadziesiąt lat, żeby wrócić do punktu wyjścia. Znowu mamy kapitalizm, i Urban znów należy do uprzywilejowanych. To takie łatwe, kiedy się ma rozum bez sentymentów.

Teraz jest wolny, samorządny i niezależny. Ma własne pismo. Pisze, co chce, i drukuje, co chce. A ludzie to czytają, kupują, wrywają sobie z rąk. Przywykli do Urbana. Nienawidzili go, kiedy co tydzień błogosławił w telewizji wysyłane przeciw nim czołgi, może wciąż go nienawidzą, ale życia sobie bez niego nie wyobrażają. Przywykli do niego. Znają go. Podobno założył pismo: każdy chętnie przeczyta choć pierwszy numer. Trudno żyć bez śmiertelnego wroga, bez wroga numer jeden.

Pismo nazywa się „NIE”. Dobrze się nazywa: kto w miesiąc, dwa, trzy po zwycięstwie mógłby jeszcze powiedzieć rzeczywistości TAK?

Odkąd zaczął wydawać „NIE”, był po ich stronie. Po stronie milionów: tych, którym się NIE PODOBA. Władza im się nie podoba, ksiądz się im nie podoba, cenzura im się nie po-



dość, nowych zniewoleń bardzo się boją (skrobanek mają zakazać, rozwodów mają zakazać, golizny mają zakazać, wszelkiej zabawy mają zakazać!), a poza tym nudno im okropnie. Szaro im okropnie. Błazna im trzeba: niech ich zabawi.

Błazen ich bawi. Błazen mówi językiem motłochu, błazen jest ciągle kolorowy w coraz mroczniejszym świecie, błazen udaje brata-łatę motłochu, błazen usiadł okrakiem na betoniarnie z butelką wódki – a jednocześnie sączy, sączy swoją apokalipsę.

Zrobił prawdziwą karierę. Wielką i ostateczną.

Teraz to naprawdę łatwe: wystarczy lżyć świat, w którym motłoch źle się czuje, a motłoch, zachwycony, zaczyna bić brawo. Mało tego: zrywa się z miejsc i robi ci *standing ovation*. Rzuca kwiaty pod nogi. Co było do przewidzenia.

Kilka milionów ludzi czytało co tydzień pismo Urbana. Był wolny, drukował co chciał, pisał co chciał, już mu nie wycinano siedmiu zdań, żeby je zastąpić siedmioma innymi zdaniami, jak w czasach lepszych dla motłochu, a gorszych dla niego. Był wolny, był sławny, był coraz bogatszy, a w dodatku ciągle mu o coś chodziło. Ciągle miał gorączkę, i ciągle czuł nienawiść.

Której dopiero teraz nie musiał już ukrywać, przebierać, maskować.

Rozpisywał swoją wizję apokalipsy na rozkoszne, słodkie rocznice pospółstwa. Dzień Dziecka chociażby: ach, kochane nasze maleństwa, przyszłości nasza, ach, dzieciństwo sielskie i anielskie! O, takie na przykład: kilku chłopczków łapie ciężarną kotkę, wykluwa jej oczy, rozpruwa brzuch, wyciąga kocięta, przywala kocięta deską i skacze po niej, potem morduje matkę wymyślając po drodze wszystkie tortury, jakie półgłówek (a chytre bywają półgłówki) może wymyślić... No, macie swój Dzień Dziecka: właśnie to czcicie. Dajcie jeszcze bachorowi prezencik, kupcie mu pluszowego kotka: toż takie czyste, takie kryształowe, takie kochane są nasze maleństwa!

Może wolicie Dzień Ojca? Ach, tatuś kochany! Na spacer zaprowadzi, na rowerku jeździć nauczy, w rachunkach pomoże, uspołeczni, patrząc głęboko w oczy wyjaśni dobro i zło, wprowadzi w sprawy firmy, ze ściskającym się gardłem poprowadzi córkę w śnieżnym welonie przed ołtarz... cudne, doprawdy! Przecudne! A naprawdę pakuje chuja w niewinną buzię niemowlęcia – proszę, oto procenty, to wcale nie wyjątek, to częste! – naprawdę grozi kilkuletniej córeczce siekierą jeśli nie połknie spermy, naprawdę gwałci, dręczy, maltretuje, masakruje... i obchodźcie sobie jego święto, zakłamanymi idiotami, i wygłoszcie wniosły komentarz w telewizji na tle tępych facetów idących z odświętnie ubranymi bachorami do kościoła!

Właśnie, kościół! Siadają sobie w ławkach mali i duzi zbrodniarze, ksiądz chlapię sobie z kielicha i pogada o Jezusie, który zginął za nich na krzyżu, im będzie milutko i nawet przyklękają sobie przy Podniesieniu (prawie nikt nie wie, co to znaczy: wiedzą tylko, że trzeba przyklękać), a potem dzieciątka pobiegą szukać czegoś małego do torturowania i mordowania, rodzice pobiegą szukać czegoś dużego do torturowania i mordowania w przyszłości, bo zaraz to się boją, ale dużo jest ofiar, niech tylko ksiądz da sygnał, nada się każdy, kto nie wierzy, że Jezus zginął za niego na krzyżu... jeszcze kilka dni, i złapią betoniarkę, i wyszczerzą spróchniałe zęby, i naprzód, przed siebie, na nas! Ot, taka malutka, codzienna apokalipsa. Jutrzejsza apokalipsa.

Fakt, świat jest taki. Ludzie są tacy. Ale kto widział robić z tego powodu takie historie? Trochę grzeczniej, a byśmy cię lubili, Urban. Zrobiłbyś milutką, uczciwą karierkę, Urban. Po co odstawiać takie historie z powodu drobiazgow? Z powodu tego, co zwykłe, codzienne, normalne? Ot, oślepiło się kotka, zgwałciło maleństwo, pobiło bachora ateistów, połamało rączki i skrzypce muzykalnemu szczeniaku inteligentów, spaliło żywcem psa, skopało ciężarną żonę – no, i co? Zwykłe, ludzkie sprawy, sama normalność.

Gdyby Urban nie zszedł na dno, do samego piekła, gdyby nie zaczął pisać tak nisko, że nawet ludzie prawie z dna go czytali, gdyby nie wtargnął do telewizji, gdyby WSZYSCY (no, 98 procent) nie dowiedzieli się kim jest – nikogo by to nie obchodziło. Klasyczne skomlenie

intelektualistów z niskonakładowych pisemek. Intelktualiści ciągle zalewają się łzami, bo komuś wybito oczko, komuś złamano nóżkę, kogoś puszczone z dymem, zrobiono pogrom, masakrę, Oświęcim, obcięto łapy kotu i spalono żywą resztę... z powodu takich błańostek, takiego banału! A tu nagle cham z chamów („Jestem wielki cham, więc lubię wszelkie chamstwo i mam tego pod dostatkiem” – pisał na prawie dwadzieścia lat przed swoją koronacją), prawie że NASZ CZŁOWIEK (choć żydłak) robi z tych bzdur wielkie historie. Tyle że nie zalewa się łzami: raczej rechocze drwiąco. Tyle że gada o tym: nie wiadomo, po co o tym gada. Tak, żeby miliony przeczytały i usłyszały jego ponury rechot w tle. Widzicie siebie? No, to gratulacje.

Obok macie dziwkę z rozkraczonymi nogami, a na następnej stronie przewodnik po burdelach. Czytajcie. Wszystko napisane po waszemu, kurwa, dupa, cipa, gówno, chuj, rynsztok *con brio* – tego *con brio* nie zrozumiecie, a o to właśnie chodzi, i w ogóle do kolejnego numeru, buźka, pa pa. Za tydzień w tym samym miejscu. Znów sobie porechoczymy.

Może co któryś czytelnik pomyśli sobie: TO BOLI, PROSZĘ PANA. Albo: JAKA SZKODA, ŻE PAN MA RACJĘ. I mimo to będzie czytał dalej.

Jeźdźców apokalipsy prawda nie boli, ani trochę. Boli innych. A kogo boli, ten nasz.

Kogo boli, ten Urbana.

## Koniec

*Z przypisów wydawcy do „Ferdydurke” Gombrowicza:*

*Rozdział XII kończył się w wydaniu pierwszym słowami: „(...) zawstydził się i poszedł do domu” (s. 186 w. 23); ciąg dalszy tego zdania („– podczas gdy grzmot oklasków rozlegał się wśród widzów”) dodał autor w wydaniu drugim.*

Tak właśnie osiąga się wielkość. W wydaniu drugim trzeba dodać grzmot oklasków.

I tyle na razie

o Jerzym Urbanie, człowieku, który osiągnął wielkość.

## Spis treści

Cholerny nieunikniony wstęp  
Zaraz, jeszcze nie koniec! – Druga wersja pradziejów Urbana  
Dziennikarz  
Frako i jego ludzie  
...I jego ludzie  
„Polityka”  
Kariera czyli Telewizja  
Pisarz  
Niewierzący  
Trzystronicowe arcydzieła  
Urban kontra ja  
Urban d’ Artagnan  
Sitwa (albo Towarzystwo)  
Przed  
13 grudnia  
Odgromnik  
Teraz, kurwa, my  
Stocznia  
Generał  
Gebels  
Po  
Skąd wziął szmal?  
Demon  
Kobiety, seks itd.  
Księżniczka Burgunda  
Cynik  
Błazen  
Anastazja P.  
Anty-Urban  
Dziadek ich nie lubi  
O tak  
NIE  
*Prima Aprilis*  
Czerwony  
Apokalipsa według Urbana  
Koniec